

Grom

Dean Ray Koontz



calibre 0.9.27

Table of Contents

CZEŚĆ PIERWSZA - LAURA

ROZDZIAŁ I - PŁOMYK NA WIETRZE

ROZDZIAŁ II - NIEGASNĄCY PŁOMIENI

ROZDZIAŁ III - ŚWIATŁO W CIEMNOŚCI

ROZDZIAŁ IV - WEWNĘTRZNY OGIEŃ

CZEŚĆ DRUGA - POŚCIG

ROZDZIAŁ V - ARMIA CIENI

ROZDZIAŁ VI - TOWARZYSZ NOCY

ROZDZIAŁ VII - I ŻYLI DŁUGO I SZCZĘŚLIWIE

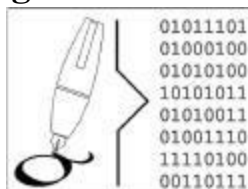
SPIS TREŚCI

Dean Koontz

Grom

Przełożył Paweł Korombel

Data wydania oryginalnego: 1988 Data wydania polskiego: 1991



Gregowi i Joan Benfordom

Czasami myślę, że jesteście najbardziej interesującymi spośród wszystkich ludzi, jakich znamy. Wtedy zawsze łykam dwie aspiryny i kładę się. Ale ta myśl nadal mnie prześladowuje.

(...) Żałobnej mowy słowu Wtórąje płacz dziecięcia, które na świat przychodzi.

Nie boję się śmierci. Wolałbym tylko, kiedy nadejdzie, rozminąć się z nią.

WOODY ALLEN

Kolejka górską: 1) kolejka w lunaparkach... ze stromymi wzniesieniami, po których następują gwałtowne, szybkie zjazdy; dla amatorów silnych wrażeń.

THE RANDOM HOUSE DICTIONARY

*O naturze wszechrzeczy. Przeł. Edward Szymański.

CZEŚĆ PIERWSZA

LAURA

Kiedy jesteś kochany,
stajesz się silny;
kiedy ty sam kochasz,
stajesz się odważny.

ROZDZIAŁ I

PŁOMYK NA WIETRZE

1.

W zimową noc, gdy urodziła się Laura Shane, szalała burza i tę osobliwość pogody ludzie zapamiętali na całe lata.

Środa 12 stycznia 1955 roku była zimna, szara i ponura. O zmierzchu gęste, puszyste płatki śniegu zaczęły opadać, wirując, z nisko rozpostartych chmur i mieszkańcy Denver kulili się w oczekiwaniu na zadymkę od Gór Skalistych. Około dziesiątej w nocy przesywająco zimny podmuch nadszedł od zachodu, zawył ponad górskimi przełęczami i zaskrzeczał wśród poszarpanych leśnych zboczy. Śnieżynki zmniejszyły się, aż stały się drobne jak ziarenka piasku, i dźwięczały niczym nacierający piasek, gdy wiatr ciskał nimi o szyby obstawionego książkami gabinetu doktora Paula Markwella.

Markwell zagłębił się w stojący za biurkiem fotel i pił scotcha, aby się rozgrzać. Ale przyczyną dręczącego go uporczywie chłodu nie był zimowy podmuch, lecz wewnętrzne skostnienie umysłu i serca.

Od czterech lat, kiedy jego jedyny synek, Lenny, umarł na chorobę Heinego-Medina, Markwell pił coraz więcej. I teraz, choć miał dyżurować, gotowy na telefoniczne wezwanie ze szpitala okręgowego, sięgnął po butelkę i dolał sobie chivas regal.

W oświeconym roku 1955 dzieci dostawały szczepionkę doktora Jonasa Salka i bliski wydawał się dzień, gdy groźba śmierci lub paraliżu spowodowanego przez wirusa polio zostanie całkowicie wyeliminowana. Ale Lenny zaraził się w 1951, na rok przedtem, nim Salk rozpoczął testowanie szczepionki. Mięśnie układu oddechowego chłopca zostały również porażone, a jako komplikacja wywiązało się zapalenie płuc. Lenny nie miał szans.

Od strony wznoszących się na zachodzie gór głuchy grzmot przetoczył się przez zimową noc, ale Markwell nie zauważył tego. Był tak pogrążony w nie odstępującej go nigdy czarnej zgryzocie, że często zewnętrzne wydarzenia nie docierały w pełni do jego świadomości.

Na biurku stało zdjęcie Lenny'ego. Nawet po czterech latach widok uśmiechniętej buzi synka był dla niego torturą. Powinien był schować fotografię, lecz nieustanna samoudręka, której była narzędziem, stanowiła wybrany przez niego sposób pokuty za

własną winę.

Żaden z kolegów Markwella nie wiedział o tym, że pije. Nigdy nie widziano go pijanego. Pomyłki, jakie popełnił przy leczeniu kilku pacjentów, mogły być wyjaśnione naturalnymi przyczynami, toteż nie zaliczono ich do błędów w sztuce lekarskiej. On sam zdawał sobie jednak sprawę, że były to błędy, a spowodowane tym uczucie wstrętu do siebie wywoływało tym większą potrzebę picia.

Ponownie zagrzmiało. Tym razem uświadomił sobie, że to piorun, ale wciąż nie poświęcał temu uwagi.

Zadzwoił telefon. Whisky sprawiła, że był oszołomiony i wolniej reagował, toteż podniósł słuchawkę dopiero po trzecim dzwonku.

— Halo?

— Doktor Markwell? Tu Henry Yamatta. — Głos Yamatty, internisty ze szpitala okręgowego, zdradzał zdenerwowanie. — Jedna z pańskich pacjentek, Janet Shane, właśnie została przywieziona przez męża. Rodzi. Chodzi o to, że zatrzymała ich burza, więc nim się tu pojawili, już poród był w toku.

Markwell napił się, słuchając, a następnie spytał — zadowolony, że głos nie brzmi bełkotliwie:

— Czy to wciąż pierwsza faza?

— Tak, ale bóle są zbyt silne i jak na ten etap trwają za długo. Schodzi śluz z krwią...

— To normalne.

— Nie, nie — przerwał niecierpliwie Yamatta — to nie są wody płodowe.

Odejście wód płodowych stanowi wyraźną oznakę rozpoczęcia się właściwego porodu. Choć Yamatta twierdził, że u pani Shane akcja porodowa jest w toku, Markwell mylił się sugerując, że internista mówi o zwykłym odejściu wód płodowych.

— To jeszcze nie krwotok, ale coś jest nie w porządku — powiedział Yamatta. — Brak skurczów macicy, miednicowe zaparcie, choroba systemowa...

— Nie stwierdziłem żadnych fizjologicznych anomalii, które mogłyby stanowić niebezpieczeństwo w wypadku ciąży — odezwał się ostro Markwell. Wiedział jednak, że mógł ich nie zauważyć... jeśli był akurat pijany. — Doktor Carlson ma dziś dyżur. Gdyby stało się coś złego, zanim się pojawię, to on...

— Przywieźli nam właśnie cztery ofary wypadków, w tym dwie w ciężkim stanie. Carlson ma pełne ręce roboty. Jest pan potrzebny, doktorze Markwell.

— Już jadę. Będę za dwadzieścia minut.

Markwell odwiesił słuchawkę, dopił whisky i wyjął z kieszeni miętową pastylkę. Odkąd zaczął ostro pić, zawsze je nosił przy sobie. Rozwijając papierek i wkładając ją do ust przeszedł z gabinetu przez hall do przedpokoju.

Był pijany, a miał odebrać dziecko i być może spaprać tę robotę, co zniszczyłoby jego reputację i było końcem kariery, ale nie dbał o to. W gruncie rzeczy oczekiwał na taką katastrofę z rodzajem perwersyjnej tęsknoty.

Nakładał płaszcz, kiedy huk gromu wstrząsnął nocą. Dom zadrżał razem z nią.

Zadygotał i wyrzwał przez okno przy frontowych drzwiach. Drobne, suche śnieżynki kłębiły się za

szybą; na chwilę zawisły nieruchomo, jakby wiatr wstrzymał oddech — a potem zawirowały na nowo. Markwellowi kilkakrotnie zdarzyło się dawniej słyszeć grzmoty podczas burzy śnieżnej, jednak zawsze grzmiało tylko na początku, a grzmoty były słabe i odległe, nigdy nie sprawiały tak groźnego wrażenia jak teraz.

Błysnęło raz, potem drugi. Padający śnieg zamigotał dziwnie w momentalnym rozbłysku, a szyba nagle zmieniła się w lustro, w którym Markwell zobaczył swoją wystraszoną twarz. Następne uderzenie pioruna było najgłośniejsze z dotychczasowych.

Otworzył drzwi i wyrzwał zaciekawiony w kłębiącą się ciemność. Silny wiatr unosił śnieg aż pod dach werandy, miotając nim o frontową ścianę domu. Trawnik pokryty był świeżą, dwu — lub trzycalową warstwą białego puchu, podobnie jak gałęzie sosen od strony, z której wiało.

Błyskawica była tak jasna, że go oślepiła. Wydawało się, że straszliwy huk gromu pochodzi nie tylko z nieba, ale i spod ziemi, jak gdyby niebo i ziemia rozwarły się, zapowiadając Armagedon. Dwie wydłużające się i przecinające wzajemnie brylantowe strzały rozdarły ciemność. Zewsząd wyskoczyły, drgając i pulsując, niesamowite sylwetki. Cienie balustrady, drzew, bezlistnych krzaków i ulicznych latarni były tak niesamowicie zniekształcone przy każdym błysnięciu, że znany widok wydawał się Markwellowi jakimś surrealistycznym malowidłem: rozjaśnione nieziemskim światłem zwykłe przedmioty objawiały się w odmienionych, przerażających kształtach.

Oszołomiony obrazem przecinanego błyskawicami nieba, grzmotami, wiatrem i powiewającymi białymi kurtynami śnieżycy, Markwell po raz pierwszy tej nocy poczuł, że jest pijany. Zastanawiał się, na ile te przedziwne elektryczne zjawiska były prawdziwe, a ile było w nich jego alkoholowych halucynacji. Przesunął się ostrożnie przez śliską werandę do szczytu schodków, prowadzących na pokrytą śniegiem ścieżkę frontową. Oparł się o kolumnkę werandy i wyciągnął szyję, żeby spojrzeć w górę na rozrywane błyskawicami niebios.

Kilka następujących po sobie błysków sprawiło, że trawnik i ulica zdawały się podskakiwać niczym kadr filmu wyświetlanego przez zacinający się projektor. Wszystkie kolory spęzły, pozostało tylko oślepiające światło błyskawicy, bezgwiazdne niebo, połyskliwa biel śniegu i atramentowa czerń drżących cieni.

Kiedy w oszołomieniu i strachu spoglądał na to niezwykle widowisko, niebios rozdarło następne poszarpane pęknięcie. Grot wymierzonej w ziemię gorejącej strzały dotknął żelaznej lampy ulicznej, stojącej zaledwie sześć stóp od Markwella. Krzyknął przerażony. Od spowodowanej przez grzmot wibracji zadzwoniły mu zęby; podłoga werandy zatrzęszczała. W zimnym powietrzu natychmiast rozszedł się zapach ozonu i smród gorącego żelaza.

Cisza, spokój i ciemność powróciły.

Markwell przełknął miętówkę.

Na werandach wzdłuż ulicy pojawili się zdumieni sąsiedzi. Albo, być może, znajdowali się tam przez cały czas, a on dostrzegł ich dopiero teraz, kiedy powrócił względny spokój. Paru z nich podreptało po śniegu, by z bliska zerknąć na złamaną lampę, której żelazne zwieńczenie było na pół stopione. Rozmawiali między sobą i odzywali się do Markwella, ale on nie odpowiadał. Wstrząsające widowisko nie otrzeźwiło go. W obawie, że sąsiedzi odkryją jego stan, wycofał się z

werandy i wszedł do domu. Oprócz tego nie miał czasu na pogaduszki o pogodzie. Powinien zająć się ciężarną kobietą i rodzącym się dzieckiem.

Usiłując odzyskać samokontrolę, wyjął z garderoby wełniany szal i owinał wokół szyi, krzyżując go na piersiach. Ręce mu drżały, palce miał lekko zeszywniałe, ale udało mu się zapiąć płaszcz. Wstrzymując przyływ nudności naciągnął kalosze.

Opanowało go przeświadczenie, że niezwykle jak na tę porę roku wyładowania niosły dla niego przekaz o jakimś specjalnym znaczeniu. Były jak znak, omen. Nonsens, to whisky go tak zwodzi. Ale uczucie pozostało, kiedy szedł do garażu, podnosił drzwi i cofał samochód na podjazd. Zimowe opony, owinięte łańcuchami, trzeszczały i pobrzękiwały delikatnie na śniegu.

Kiedy przesunął dźwignię biegów na luz, zamierzając wyjść i zamknąć garaż, ktoś silnie zastukał w boczną szybę od strony kierowcy. Przestraszony Markwell podniósł głowę i zobaczył jakiegoś mężczyznę, który nachylony spoglądał przez okno samochodu.

Nieznajomy wyglądał mniej więcej na trzydzieści pięć lat. Miał wyraziste, przyjemne rysy twarzy. Nawet przez częściowo zaparowaną szybę widać było, że to przystojny mężczyzna. Nosił ciężką, jakby marynarską kurtę z podniesionym kołnierzem. W mroźnym powietrzu z nozdrzy buchała mu para, a kiedy się odezwał, jego słowom towarzyszyły białe obłoczki oddechów.

— Doktor Markwell?

Markwell opuścił okno.

— Tak?

— Doktor Paul Markwell?

— Tak, tak, przecież mówię... Ale dziś wieczór nie przyjmuję. Spieszę się do pacjentki w szpitalu.

Obcy miał niezwykle niebieskie oczy, kojarzące się Markwellowi z obrazem czystego, zimowego nieba, odbijającego się w cieniutkiej na milimetr warstwie lodu, pokrywającej świeżo zamarznięty staw. To były piękne, przykuwające uwagę oczy, ale dostrzegł od razu, że były to również oczy człowieka niebezpiecznego.

Zanim Markwell zdołał wrzucić bieg i tyłem wyjechać na ulicę, gdzie mógłby rozejrzeć się za ratunkiem, mężczyzna w grubej kurtce wepchnął przez otwarte okno pistolet.

8

— Tylko bez głupstw.

Gdy wylot lufy wbił mu się w miękkie ciało pod podbródkiem, lekarz ze zdziwieniem poczuł, że nie chce umierać. Od dawna oswoił się z myślą, że jest gotów na przyjęcie śmierci. Jednakże teraz, zamiast pogodzić się z tym, że istnieje w nim jeszcze wola życia, odczuł przyływ wyrzutów sumienia. Chcieć żyć — to oznaczało zdradzić syna, z którym mógł się połączyć tylko po śmierci.

— Niech pan zgasi światła, doktorze. Dobrze. Teraz silnik.

Markwell wyjął klucz ze stacyjki.

— Kim pan jest?

— To nie ma znaczenia.

— Dla mnie ma. Czego chcesz? Co masz zamiar ze mną zrobić?

— Rób, co mówię, a nic ci się nie stanie. Jeśli spróbujesz uciekać, rozwalę ci ten cholerny łeb, a

potem, dla samej frajdy, właduję cały magazynek w twoje zwłoki.

Głos miał miękki, pobrzmiewający nieco wysilonym zadowoleniem, ale zdecydowany.

— Klucze.

Markwell podał mu je przez otwarte okno.

— Teraz wylaż.

Powoli trzeźwiejąc Markwell wygramolił się z wozu. Wiatr z furią uderzył go w twarz. W obronie przed drobnym śniegiem musiał zmrużyć oczy.

— Zanim zamkniesz drzwi, podnieś szybę. — Obcy naparł na niego, blokując drogę ucieczki. — Dobrze, bardzo dobrze. Teraz, doktorze, chodź ze mną do garażu.

— To wariactwo. Co...

— Ruszaj się!

Obcy stał obok Markwella, ściskając jego lewe ramię. Gdyby obserwował ich ktoś z sąsiedniego domu czy z ulicy, mrok i padający śnieg ukryłyby broń.

W garażu, posłuszny wskazówkom obcego, Markwell zamknął wielkie drzwi.

— Jeżeli chcesz pieniędzy...

— Zamknij się i wlaż do domu.

— Posłuchaj, moja pacjentka rodzi w okręgowym...

— Jak się nie zamkniesz, to kolbą tego pistoletu wybiję ci wszystkie zęby, żebyś przestał gadać.

Markwell wierzył mu. Mężczyzna był wprawdzie jego wzrostu, to znaczy miał około sześciu stóp i ważył jakieś sto osiemdziesiąt funtów, ale był niebezpieczny. Jego jasne włosy zmoczył topniejący śnieg. Z kropelkami wody spływającymi po czole i policzkach wydawał się tak pozbawiony ludzkich cech, jak jedna z lodowych rzeźb stawianych podczas zimowego karnawału. Markwell nie wątpił, że gdyby doszło do użycia siły, obcy z łatwością pokonałby każdego przeciwnika, zwłaszcza gdyby nim był kilkudziesięcioletni, niezbyt wygimnastykowany, a w dodatku pijany lekarz.

9

W ciasnej poczekalni oddziału położniczego Bob Shane czuł lęk przed zamknięciem. Pokój miał niski sufit, pokryty dźwiękochłonnymi płytkami, ponure zielone ściany i jedno zaszczone okno. Było bardzo duszno. Sześć krzeseł i dwa stoliki zajmowały zbyt wiele miejsca na tej niedużej przestrzeni. Bob miał ochotę pchnąć dwuskrzydłowe drzwi wahadłowe, prowadzące na korytarz, przebiec szpital i główną poczekalnię i wyrwać się na zewnątrz, w zimną noc, wolną od zaduchu środków odkażających i choroby.

Siedział jednak dalej, aby być blisko Janet na wypadek, gdyby go potrzebowała. Coś się stało. Wiadomo, że porodowi towarzyszą bóle, ale przecież nie aż takie, jak dręczące Janet brutalne, przedłużające się skurcze. Lekarze nie chcieli przyznać, że pojawiły się jakieś poważniejsze komplikacje, ale ich zaaferowanie było widoczne.

Bob zrozumiał, skąd wzięła się jego klaustrofobia. Nie bał się otaczających go ścian. To otaczała go śmierć, śmierć jego żony i nie narodzonego dziecka — lub ich obojga.

Wahadłowe drzwi otworzyły się i wszedł doktor Yamatta.

Podnosząc się z krzesła Bob potracił stolik, zrzucając na podłogę kilka magazynów.

— Co z nią, doktorze?

— Nie gorzej — Yamatta był niskim, szczupłym mężczyzną o miłej twarzy i dużych, smutnych oczach. — Doktor Markwell zaraz tu będzie.

— Chyba nie czekacie na jego przyjazd, żeby się nią zająć?

— Nie, nie, oczywiście, że nie. Ma dobrą opiekę. Myślałem tylko, że to pana uspokoi, kiedy dowie się pan, że jej stały lekarz jest już w drodze.

— Aha. No, tak... dziękuję panu. Przepraszam, czy można ją zobaczyć, doktorze?

— Jeszcze nie teraz — odpowiedział Yamatta.

— A kiedy?

— Kiedy minie... mmm... kryzys...

— O co tu chodzi?! Minie kryzys?! Kiedy to, do cholery, się skończy?! — W tej samej chwili pożałował wybuchu. — Przepraszam, doktorze... Po prostu... boję się.

— Rozumiem, rozumiem...

Wewnętrzne drzwi łączyły garaż Markwella z resztą domu. Minęli kuchnię i weszli do hallu na parterze, zapalając po drodze światła. Z butów spadały im grudki topniejącego śniegu.

Uzbrojony mężczyzna spenetrował jadalnię, pokój dzienny, gabinet, izbę przyjęć i poczekalnię pacjentów; potem rzucił:

— Na górę.

W głównej sypialni nieznajomy zapalił jedną z lamp. Wziął wysokie, wyściełane

10

krzesło, stojące przy toalecie, i przesunął je na środek pokoju.

— Doktorze, proszę zdjąć rękawiczki, płaszcz i szalik.

Markwell posłuchał go, rzucając części ubrania na podłogę, i zgodnie z poleceniem usiadł na krześle.

Obcy odłożył pistolet na kredens i wyjął z kieszeni zwój długiej, mocnej linki. Sięgnął pod płaszcz i wyciągnął — niewątpliwie z zawieszanej na pasie pochwy — nóż o szerokim ostrzu. Pociął linkę na kawałki, najwyraźniej po to, by przywiązać Markwella do krzesła.

Doktor wpatrywał się w leżący na kredensie pistolet, zastanawiając się nad szansą uchwycenia broni, zanim uczyniłby to bandyta. Gdy jednak jego wzrok napotkał spojrzenie lodowatych oczu obcego, zdał sobie sprawę, że tamten przejrzał jego plan niczym dorosły przewidujący dziecięce podchody.

Mężczyzna o blond włosach uśmiechnął się, jakby chciał powiedzieć: „No jazda, tylko spróbuj”.

Markwell chciał żyć. Kiedy napastnik krępował go całego od stóp do głów, poddawał się temu bez oporu.

Zaciskając węzły, obcy w niezwykły sposób troszczył się o swoją ofarę.

— Nie chcę cię udusić. Jesteś pijany i ze szmatą w gębie możesz zacząć wymiotować i zadławisz się na śmierć. Zaryzykuję i trochę ci zaufam. Ale jeżeli zaczniesz wołać o pomoc, zabiję od razu. Zrozumiano?

— Tak.

Kiedy tamten wypowiedział dłuższe zdanie, w jego wymowie pojawił się obcy akcent, tak lekki, że Markwell nie był w stanie go zlokalizować. Skracanie końcówek i od czasu do czasu pobrzmiwające gardłowe dźwięki, ledwo dające się uchwycić.

Obcy usiadł na krawędzi łóżka i położył rękę na telefonie.

— Jaki jest numer szpitala okręgowego?

Markwell zamrugał.

— Co?

— Do cholery, pytam cię o numer. Jak mi go nie podasz, raczej wytrzęsę go z ciebie, niż będę szukał w książce.

Markwell podał mu numer.

— Kto ma dzisiaj dyżur?

— Doktor Carlson. Herb Carlson.

— Czy jest dobry?

— O co ci chodzi?

— Czy jest lepszym lekarzem od ciebie, czy też jeszcze jednym pijaczną?

— Nie jestem pijakiem. Mam...

— Jesteś nieodpowiedzialnym, zasmarkanym od użalania nad sobą, alkoholowym wrakiem — i wiesz o tym dobrze. Odpowiedz na pytanie, doktorze. Czy na Carlsonie

11

można polegać?

Mdłości, które nagle dopadły Markwella, tylko częściowo były rezultatem whisky, na którą sobie przedtem pozwolił; prawdziwą przyczyną było obrzydzenie w obliczu prawdy odkrytej przez napastnika.

— Tak, Herb Carlson jest dobry. Jest świetnym lekarzem...

— Kto jest dyżurną pielęgniarką?

Markwell przez moment musiał się skupić.

— Myślę, że Ella Hanlow. Nie jestem pewien. Jak nie Ella to Virginia Keene.

Podmuch wiatru uderzył w dom, zagrzechotał uchyloną okiennicą, zagwizdał pod okapem i Markwell przypomniał sobie, że burza trwa. Kiedy obserwował padający za oknem śnieg, znów poczuł się zagubiony. Ta noc obfitowała w tyle zdarzeń — piorun, nie dające się wytłumaczyć pojawienie się obcego — że nagle wszystko to wydało mu się nierealne. Naprężył się w krępujących go więzach, pewien, że są tylko częścią pijackiego snu i rozerwą się jak pajęczyna, ale trzymały mocno, a wysiłek spowodował, że znów zrobiło mu się niedobrze.

Obcy powiedział do słuchawki:

— Siostra Hanlow? Doktor Markwell nie będzie mógł zjawić się dziś w nocy w szpitalu. Jest tam u was jedna z jego pacjentek, Janet Shane, i ma trudny poród. Hmmm? Tak, oczywiście. Chce, żeby doktor Carlson zajął się przyjęciem dziecka. Nie, nie, obawiam się, że on nie da rady. Nie, to nie pogoda. Jest pijany. Tak, właśnie. Byłby zagrożeniem dla pacjentki... Nie... Jest tak pijany, że nie ma sensu oddawać mu słuchawki. Przepraszam. Ostatnio dużo pił, próbował to ukrywać, ale dziś

wieczór jest z nim gorzej niż zwykle. Co? Jestem sąsiadem. W porządku. Dziękuję, siostró Hanlow. Do widzenia.

Markwell był wściekły, ale równocześnie czuł zdumiewającą ulgę, że jego tajemnica została ujawniona.

— Ty draniu, zrujnowałeś mnie.

— Nie, doktorze. Sam się pan zrujnował. To nienawiść do samego siebie zniszczyła panu karierę. I odepchnęła od pana żonę. Pana małżeństwo z pewnością rozpadało się, ale można było je uratować, jeśli by Lenny żył, a nawet dałoby się jeszcze je uratować, kiedy umarł, gdyby nie wycofał się pan tak kompletnie w głąb siebie.

Markwell był zdumiony.

— Skąd, do diabła, wie pan, jak to było ze mną i z Anną? I skąd pan wie o Lennym? Nigdy przedtem pana nie spotkałem. Skąd pan w ogóle coś o mnie wie?

Ignorując te pytania, obcy oparł dwie poduszki o wałek na łóżku. Przeniósł nogi w mokrych, zabłoconych butach na prześcieradło i wyciągnął się.

— Bez względu na to, jak pan to odbiera, strata syna nie była pańską winą. Jest pan tylko lekarzem, a nie cudotwórcą. Ale utrata Anny — to już był pański błąd. I to, że stał się pan wyraźnym zagrożeniem dla swoich pacjentów — to również pańska wina.

Markwell próbował protestować, ale wreszcie westchnął i zwiesił głowę na piersi...

12

— Wie pan, gdzie tkwi pański problem, doktorze?

— No, może pan mi to powie.

— Pańskim problemem jest to, że nigdy nie musiał pan o nic walczyć i że nigdy nie spotkał się pan z przeciwnościami. Pana ojcu dobrze się powodziło, więc miał pan to, co chciał. Chodził pan do najlepszych szkół. I choć praktyka rozwijała się nieźle, nigdy nie potrzebował pan pieniędzy — odziedziczył pan spadek. Więc kiedy Lenny zaraził się Heine-Medina, nie potrafił pan sobie poradzić z przeciwnikiem, bo nigdy z taką sytuacją nie miał pan do czynienia. Nie był pan zaszczepiony, a więc i nie uodporniony — i wpadł pan w prawdziwą rozpacz.

Podnosząc głowę i mrugając, aż wzrok mu się przejaśnił, Markwell powiedział:

— Nie mogę się w tym połapać.

— Dzięki tym wszystkim cierpieniom czegoś się pan nauczył, doktorze Markwell, i jeśli tylko będzie pan tak długo trzeźwy, żeby nie uciekać się do wykrętów, może zdoła pan wrócić na właściwą drogę. Ciągle ma pan jeszcze wątłą szansę na odkupienie swoich błędów.

— Może nie pragnę samoodkupienia.

— Obawiam się, że to może być prawda. Myślę, że boi się pan umrzeć, ale nie wiem, czy ma pan wystarczająco dużo sił, żeby żyć.

Oddech lekarza był gorzki od miętówek i od whisky. Miał sucho w ustach i zeszywniały język. Marzył o kieliszku.

Bez przekonania spróbował poruszyć rękoma przywiązany do krzesła. W końcu, czując wstręt do tonu samoużalania się we własnym głosie, ale nie mogąc zdobyć się na zachowanie godności, spytał:

— Czego pan ode mnie chce?

— Chcę powstrzymać pana przed udaniem się dziś w nocy do szpitala. Chcę mieć tę cholerną pewność, że nie będzie pan przyjmował dziecka Janet Shane. Stał się pan rzeźnikiem, potencjalnym zabójcą i trzeba pana na czas powstrzymać.

Markwell oblizał suche wargi.

— Ciągłe nie wiem, kim pan jest.

— I nigdy się pan nie dowie, doktorze. Nigdy się pan nie dowie.

Bob Shane nigdy jeszcze tak się nie bał. Powstrzymywał się od płaczu z przesądnej wiary, że otwarte okazanie lęku byłoby kuszeniem losu i sprowadziłoby śmierć na Janet i dziecko..

Pochylił się na krzesło, skłonił jeszcze bardziej głowę i modlił się w milczeniu: „Panie Boże, Janet mogła trafić na lepszego ode mnie. Ona jest śliczna, a ja prościuch. Jestem tylko właścicielem małego narożnego sklepu, który nigdy nie będzie miał dużych obrotów, ale ona mnie kocha. Panie, ona jest taka dobra, uczciwa, skromna... nie zasługuje na to, żeby umrzeć. Może Ty zapragnąłeś wziąć ją do siebie, bo już w swojej dobroci dojrza

13

ła do nieba. Ale ja jeszcze nie dojrzałem i bez jej pomocy nigdy nie stanę się lepszy".

Jedno ze skrzydeł poczekalni otwarło się.

Bob podniósł głowę.

Doktorzy Carlson i Yamatta wkroczyli w swoich zielonych szpitalnych fartuchach.

Ich widok tak wystraszył Boba, że powoli wstał z krzesła.

Oczy Yamatty były jeszcze smutniejsze niż zwykle.

Carlson był wysokim, dostojnie wyglądającym mężczyzną, któremu udawało się zachować godną postawę nawet w obwisłym, szpitalnym stroju.

— Panie Shane... przykro mi. Przykro mi... ale pańska żona zmarła podczas porodu.

Bob stał bez ruchu, tak jakby te straszne słowa zmieniły go w kamień. Z tego, co mówił Carlson, docierały do niego tylko strzępy:

— ...poważne kłopoty z pracą macicy... jedna z tych kobiet, których budowa w istocie wyklucza poród. Nigdy nie powinna zająć w ciążę. Przykro mi... tak żałuję... wszystko, na co było nas stać... ale dziecko...

Słowo „dziecko" wytrąciło Boba z paraliżu. Zrobił chwiejny krok w kierunku Carlsona.

— Co pan powiedział o dziecku?

— To dziewczynka — powiedział Carlson. — Zdrowa, mała dziewczynka.

Jeszcze przed chwilą Bob myślał, że wszystko stracone. Teraz wpatrywał się w Carlsona, myśląc z kielkującą nadzieją, że jakaś część Janet nie umarła i że jednak nie został całkowicie sam na świecie.

— Naprawdę? Dziewczynka?

— Tak — powiedział Carlson. — Wyjątkowo śliczne maleństwo. Urodziła się z gęstą ciemnobrązową czuprynką.

Patrząc na Yamattę Bob odezwał się.

— Moje dziecko żyje.

— Tak — powiedział Yamatta. Wyrazisty uśmiech szybko przemknął mu po twarzy. — I

zawdzięcza pan to doktorowi Carlsonowi. Obawiam się, że pani Shane nie miała żadnych szans. W mniej doświadczonych rękach dziecko również mogłoby nie przeżyć.

Bob odwrócił się do Carlsona, ciągle lękając się uwierzyć w to, czego się dowiedział.

— Moje... dziecko żyje i to jest jakaś pociecha, prawda?

Lekarze stali w dziwnym milczeniu. Potem Yamatta położył dłoń na ramieniu Boba Shane. Jakby czuł, że taki kontakt z drugim człowiekiem przyniesie tamtemu pocieszenie.

Bob był o pięć cali wyższy i o czterdzieści funtów cięższy niż fligranowy lekarz. Ale to on potrzebował wsparcia. Płakał, złamany smutkiem, a Yamatta obejmował go.

14

Obcy pozostał z Markwellem jeszcze przez godzinę, ale teraz już się nie odzywał i nie odpowiadał na żadne z jego pytań. Leżał na łóżku, wpatrując się w sufit, tak pogrążony we własnych myślach, że prawie się nie poruszał.

Lekarz, w miarę jak trzeźwiał, czuł, że narasta w nim pulsujący ból głowy. Jego pijackie ciągi zwykle zaczynały się od uzalania nad sobą, a kac powodował, że z kolei sięgał po kieliszek.

W końcu napastnik spojrział na zegarek.

— Wpół do dwunastej. Muszę iść.

Wstał z łóżka, podszedł do krzesła i znowu wyciągnął spod płaszcza nóż.

Markwell zeszywniał.

— Nadetnę trochę pańskie więzy, doktorze. Jeśli powalczy pan z nimi przez jakieś pół godziny, będzie mógł się pan uwolnić. A mnie starczy czasu na wydostanie się stąd.

Mężczyzna stanął za krzesłem i przystąpił do pracy. Pomimo jego słów Markwell oczekiwał, że ostrze wbije mu się między żebra.

Ale po niespełna minucie obcy odłożył nóż i podszedł do drzwi sypialni.

— Naprawdę ma pan szansę na samoodkupienie, doktorze. Chyba że jest pan na to za słaby, ale miejmy nadzieję, że się mylę.

I wyszedł.

Przez dziesięć minut, w czasie których Markwell usiłował się uwolnić, od czasu do czasu dochodziły go z dołu jakieś hałasy. Oczywiście, napastnik szukał kosztowności. Chociaż wydawał się tak tajemniczy, chyba był tylko włamywaczem o dziwacznym modus operandi.

Dwadzieścia minut po północy Markwell w końcu uwolnił się. Przeguby, boleśnie poobcierane, krwawiły. Chociaż od pół godziny z parteru nie dobiegały żadne dźwięki, wyjął pistolet z szafki przy łóżku i ostrożnie zszedł po schodach. Wchodząc do części domu służącej mu jako biuro przypuszczał, że zostanie apteczkę ogołoconą ze środków narkotycznych, ale zawartość żadnej z dwóch wysokich białych szafek nie była naruszona.

Pospieszył do gabinetu, spodziewając się, że marnie zabezpieczony sejf ścienny będzie otwarty. Był nietknięty.

Zbity z tropu już zamierzał wyjść, kiedy dojrzał puste butelki. Szklą po whisky, ginie, tequili i

wódce piętrzyły się w barowym zlewie. Napastnik zatrzymał się tylko po to, żeby odnaleźć i wylać alkohole.

Do barowego lustra był przyklejony krótki list. Napastnik zostawił wiadomość napisaną wyraźnymi, drukowanymi literami.

JEŻELI NIE PRZESTANIE PAN PIĆ, JEŻELI NIE POGODZI SIĘ PAN
ZE ŚMIERCIĄ LENNVEGO, TO NIE MINIE ROK, A WŁOŻY PAN
SOBIE LUFĘ W USTA I WYSTRZELI MÓZG Z GŁOWY. TO NIE

15

PRZEPOWIEDNIA, TO FAKT.

Ściskając list i broń Markwell rozejrzał się po pustym pokoju, jakby obcy był tu wciąż, niewidoczny jak duch, który może wybierać między widzialnością i niewidzialnością. Kim jesteś?, zapytał w myśli. Kim, do diabła, jesteś?!

Odpowiedział mu tylko wiatr za oknem, ale nie potrafił zrozumieć nic z jego żalnego zawodzenia.

Nazajutrz o jedenastej, po wcześniejszym spotkaniu z przedsiębiorcą pogrzebowym w sprawie pochówku Janet, Bob Shane wrócił do szpitala okręgowego. Chciał zobaczyć swoją nowo narodzoną córkę. Najpierw dano mu bawełniany kitel, czepek i chirurgiczną maskę. Potem, pod nadzorem pielęgniarki, kazano dokładnie wyszorować ręce, a następnie pozwolono wejść na salę noworodków, gdzie mógł delikatnie podnieść Laurę z łóżeczka.

W pokoju leżało jeszcze dziewięć innych noworodków. Każdy z nich w ten czy inny sposób był uroczy, ale Bob nie dałby się przekonać, że Laura Jean nie jest z nich wszystkich najśłodsza. Chociaż według popularnych wyobrażeń aniołek powinien mieć niebieskie oczy i jasne włosy, a oczy i włosy Laury były brązowe, to jednak w jej wyglądzie było coś anielskiego. Przez całe dziesięć minut, podczas których trzymał ją na ręku, nie płakała, tylko wodziła oczkami, mrugała i ziewała. W jej spojrzeniu kryło się zamyślenie, jakby przedwczesna świadomość, że nie ma mamy i że ojciec i ona mają w zimnym, niegościnnym świecie tylko siebie nawzajem.

Okno dla gości, przez które rodziny mogły oglądać noworodki, wypełniało jedną ścianę. Zgromadziło się przy nim pięć osób. Czwórka stała śmiejąc się, pokazując palcami i strojąc miny, żeby rozbawić maleństwa. Piątym był mężczyzna o blond włosach, ubrany w ciężką, marynarską kurtę. Stał z rękami w kieszeniach, nie uśmiechał się, nie pokazywał palcem, nie robił min. Wpatrywał się w Laurę.

Po paru minutach, podczas których spojrzenie obcego nie schodziło z jego dziecka, Bob poczuł niepokój. Facet wyglądał przyzwoicie i bez zarzutu, ale w jego twarzy była jakaś twardość. Coś, czego nie dawało się bliżej określić, ale co kazało mu pomyśleć, że ten człowiek musiał widzieć i dopuszczać się rzeczy potwornych.

Bob zaczął przypominać sobie sensacyjne historie o porywaczach — w rodzaju tych, jakie drukują ilustrowane szmatławce — na przykład o dzieciach sprzedawanych na czarnym rynku. Powtarzał sam sobie, że wpada w paranoję, że wyobraża sobie niebezpieczeństwo tam, gdzie go nie ma. Że po stracie Janet boi się, że może stracić również córkę. Ale im dłużej jasnowłosa mężczyzna obserwował Laurę, tym bardziej niespokojny stawał się Bob.

Jakby wyczuwając jego niepokój, mężczyzna podniósł oczy. Mierzyli się wzrokiem. Niebieskie oczy obcego miały niezwykle, intensywny blask. Lęk Boba zwiększył się.

16

Mocniej przytulił córeczkę, jak gdyby obcy mógł, rozbijając szybę, wtargnąć tu, żeby mu ją odebrać. Zastanawiał się, czy nie wezwać jednej z sióstr, żeby zagadnęła tego mężczyznę i czegoś się o nim dowiedziała.

Wtedy tamten uśmiechnął się. Był to szeroki, ciepły, szczery uśmiech, który odmienił mu twarz. W jednej chwili jego wygląd przestał być złowieszczy, stał się przyjacielski. Mrugnął do Boba i przez grubą szybę wyraźnie wypowiedział jedno słowo:

— Piękna.

Bob rozluźnił się, uśmiechnął. Uświadomił sobie, że uśmiech nie jest widoczny zza maski i kiwnął głową, żeby wyrazić podziękowanie.

Obcy raz jeszcze spojrzął na Laurę, powtórnie mrugnął do Boba i odszedł od okna.

Później, kiedy Bob Shane poszedł już do domu, przy oknie sali noworodków pojawił się wysoki mężczyzna w ciemnym ubraniu. Nazywał się Kokoschka. Obserwował niemowlęta. W pewnej chwili zmienił kąt widzenia i dostrzegł swoje bezbarwne odbicie w wypolerowanym szkłe. Miał szeroką, płaską twarz o ostrych rysach i ustach tak twardych, jakby wyrzeźbionych w rogu. Dwucalowa blizna po pojedynku znaczyła jego lewy policzek. Ciemne oczy, pozbawione głębi, jak pomalowane ceramiczne kulki, były niczym oczy rekina, krążącego w cienistych głębiach oceanów. Rozbawiło go, kiedy dostrzegł, jak bardzo jego twarz kontrastuje z niewinnymi twarzyczkami dzieci leżących w łóżeczkach za szybą. Uśmiechnął się, i ten tak rzadki u niego wyraz twarzy nie dodał jej ciepła, a nawet uczynił ją jeszcze groźniejszą.

Znów spojrzął na swoje odbicie. Nie miał problemu ze znalezieniem Laury Shane pośród otulonych w powijaki niemowląt, bo nazwisko każdego dziecka było wydrukowane na kartce, przyklejonej do brzegu jego łóżeczka.

Dlaczego jest wokół ciebie taki szum, Lauro? — rozmyślał. Dlaczego twój los jest tak ważny? Po co tyle zachodu, żebyś bezpiecznie przyszła na świat? Czy powinienem zabić cię natychmiast i udaremnić temu zdrajcy jego plan?

Był w stanie ją zamordować z zimną krwią. Zabijał już dzieci, choć nie tak małe, jak te tutaj. Żadna zbrodnia nie była zbyt straszna, jeżeli sprzyjała sprawie, której poświęcił życie.

Maleństwo spało. Co jakiś czas poruszało ustami i jego maleńka buzia na chwilę marszczyła się, jakby pod wpływem żalu i tęsknoty na wspomnienie łona matki.

W końcu zdecydował się nie zabijać jej. Jeszcze nie.

— Zawsze mogę wyeliminować cię później, mała — wymruczał. — Kiedy będę wiedział, do czego jesteś potrzebna temu zdrajcy, zabiję cię.

Kokoschka odszedł od okna. Wiedział, że minie ponad osiem lat, nim znowu zobaczy tę dziewczynkę.

2.

W południowej Kalifornii wiosną, latem i jesienią deszcze padają rzadko. Prawdziwy okres opadów zwykle zaczyna się w grudniu i kończy w marcu. Ale w sobotę drugiego kwietnia niebo było zachmurzone, a powietrze bardzo wilgotne. Otwierając wejściowe drzwi swego małego spożywczego sklepiku w Santa Ana, Bob Shane stwierdził, że wszystko wskazuje na możliwość jeszcze jednej ogromnej ulewy na koniec sezonu. Fikus z tyłu domu i daktyłowa palma na rogu ulicy stały nieruchome w martwym powietrzu, jakby uginając się pod ciężarem nadchodzącej burzy.

Radio przy kasie grało cichutko, Beach Boys śpiewali nowy hit, Surf'n USA. Zważywszy na pogodę, ich piosenka była równie na miejscu, jak White Christmas w lipcu.

Bob spojrzął na zegarek: piętnaście po trzeciej.

Lunie o wpół do czwartej — pomyślał — i będzie porządnie lało.

Z rana ruch był duży, ale po południu uspokoiło się i chwilowo w sklepie nie było żadnego klienta.

Rodzinny sklepik musiał teraz sprostać nowej, zabójczej konkurencji ze strony sieci „7-Eleven” — sklepów z wyłożonymi w pakach towarami, otwartych od rana do późnego wieczora. Bob chciał więc przerwyc się na prowadzenie delikatesów z drogą, świeżą żywnością, ociągał się jednak, bo wymagało to znacznie więcej pracy.

Jeżeli burza będzie gwałtowna, to dzisiaj pojawi się już niewielu klientów. Może więc wcześniej zamknąć sklep i zabrać Laurę do kina?

Odwracając się od drzwi, powiedział:

— Lepiej weź łódkę, kochanie.

Laura, pogrążona w pracy, klęczała przy pierwszym rzędzie półek po drugiej stronie lady kasowej. Zajmowała się zupami w puszkach, których cztery kartony Bob wcześniej przyniósł z magazynu. Miała tylko osiem lat, ale można było na niej polegać, tym bardziej że lubiła pomagać w sklepie. Najpierw pometkowała wszystkie jak należy, a teraz porządkowała je na półkach, pamiętając, że stare puszki powinny stanąć na froncie przed nowymi.

Ociągając się, podniosła wzrok.

— Łódkę? Jaką łódkę?

— Z góry, z mieszkania. Jest w szafie. Sądząc po niebie, będzie nam dziś wieczór potrzebna, żebyśmy mogli się stąd wydostać.

— Głuptas — powiedziała. — Nie mamy żadnej łódki w szafie.

Wszedł za ladę kasową.

— Mała, ładna, niebieska łódeczka.

— Taak? W szafie? W jakiej szafie?

Zaczął przekładać paczki Slim Jimów na metalową półkę, obok krakersów do kanapek.

— Ależ w szafie bibliotecznej, rzecz jasna.

— My nie mamy biblioteki.

— Nieee? Och, jak o tym powiedziałaś, to przypomniałem sobie, że nie ma jej w bibliotece. Jest w szafie w pokoju żaby.

Zachichotała.

— Jakiej żaby?

— Co, chcesz mi powiedzieć, że nie słyszałaś o żabie?

Śmiejąc się, potrząsnęła głową.

— Otóż z dniem dzisiejszym wynajmujemy pokój wspaniałej, godnej szacunku, przybyłej z Anglii żabie. Żabi dżentelmen, który zjawił się tu w interesach królowej, w celu załatwienia pewnych spraw.

Na kwietniowym niebie błysnęło. Przetoczył się grzmot. W radiu na Rhythm of the Rain i e Cascades nałożyły się trzaski wyładowań.

Laura nie zwróciła uwagi na burzę. Nie bała się rzeczy, które przerażały większość dzieci. Była tak pewna siebie i tak zajęta sobą, że czasami wydawała się starszą panią, udającą dziecko.

— Dlaczego królowa miałaby kazać żabie zajmować się jej interesami?

— Żaby są doskonałymi businessmanami — powiedział, otwierając i nadgryzając Slim Jima. Od śmierci Janet, kiedy przeniósł się do Kalifornii i otworzył nowy interes, przybyło mu pięćdziesiąt funtów. Nigdy nie był przystojnym mężczyzną. Teraz, mając trzydzieści osiem lat, był przyjemnie zaokrąglony i nie miał specjalnych szans, żeby zawrócić w głowie jakiejś kobiecie. Nie zrobił też żadnej kariery, bo nikt nie wzbogacił się prowadząc sklep spożywczy. Ale nie dbał o to. Miał Laureę, był dobrym ojcem, a ona kochała go całym sercem, tak jak on kochał ją, więc nie obchodziło go, co reszta świata może o tym myśleć.

— Tak, żaby są naprawdę doskonałymi businessmanami. A rodzina tej żaby służyła koronie od stuleci. Tak naprawdę, to ma ona tytuł szlachecki. Sir i omas Żaba.

Błysnęło bliżej niż poprzednio. Grzmot także był głośniejszy.

Kiedy Laura skończyła uzupełniać półki z zupami, wstała z kolan i wytarła ręce o biały fartuch, który miała nałożony na T-shirt i dzinsy. Była śliczna. Miała gęste, brązowe włosy i duże piwne oczy. Była uderzająco podobna do matki.

— A ile czynszu płaci Sir i omas Żaba?

— Sześć pensów tygodniowo.

— Czy mieszka w tym pokoju obok mojego?

— Tak, w pokoju, w którym w szafie jest łódka.

Zachichotała znowu.

— Mam nadzieję, że nie chrapie.

— To samo powiedział o tobie.

Zniszczony, pordzewiały buick podjechał pod front sklepu. W momencie, w którym kierowca otwierał drzwi, trzeci piorun wyrwał dziurę w ciemniejszym niebie. Powietrze wypełniło się roztopionym światłem, które spływało ulicą, oblewając jak lava parkującego buicka i przejeżdżające samochody. Towarzyszący błyskawicy grzmot wstrząsnął budynkiem od dachu do fundamentów, jakby nabrzmiała burzą niebiosą znalazły odzew na dole, wstrząsając ziemią.

— O rany! — powiedziała Laura, nieustraszenie drepcząc do okna. Chociaż deszcz jeszcze nie spadł, to nagle z zachodu powiał wiatr, niosąc przed sobą liście i śmiecie.

Mężczyzna, który wyszedł z zajeżdżonego niebieskiego buicka, spojrzał w niebo ze zdumieniem.

Strzały błyskawic przesywały niebo jedna po drugiej, elektryzując powietrze i wywołując płomieniste refleksy w oknach i chromie samochodowych karoserii, a po każdym błysku następował grzmot tak ogłuszający, jak uderzenie pięści bogów.

Pioruny oszołomiły Boba.

— Kochanie, odejdz od okna! — krzyknął do Laury.

Pobiegła za kontuar i pozwoliła objąć się ramieniem; bardziej dla uspokojenia ojca niż siebie.

Mężczyzna z buicka wszedł szybko do sklepu. Patrząc na pełne piorunów niebo, rzekł:

— Widzisz to, człowieku! Niezłe, co?!

Grzmoty umilkły, zapadła cisza.

Spadł deszcz. Grube krople najpierw spokojnie osiadały na oknach, a potem oślepiająca ulewa lunęła, zacierając obraz świata na zewnątrz. Klient odwrócił się i uśmiechnął.

— Dobry pokaz, co?

Bob otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale kiedy dokładniej przyjrzał się mężczyźnie, zamilkł, wyczuwając niebezpieczeństwo, tak jak jeleń wyczuwa krążącego wilka. Facet był ubrany w zdarte, robocze buty, brudne dżinsy, poplamioną wiatrówkę, do połowy zapiętą na wybrudzonym białym podkoszulku. Miał tłuste, potargane przez wiatr włosy, nie ogoloną twarz, nalane krwią, pełne gorączki oczy. Ćpun. Zbliżył się do kontuaru i wyciągnął z wiatrówki rewolwer. Tego należało się po nim spodziewać.

— Dawaj, co masz w kasie, dupku.

— Dobrze.

— Spiesz się.

— Tylko spokojnie.

Ćpun oblizał blade, spękane wargi.

— Nie każ mi czekać, dupku.

— Dobrze, dobrze, oczywiście. Proszę — powiedział Bob, jedną ręką starając się wepchnąć Laurę za siebie.

— Zostaw tę małą na widoku! Chcę ją widzieć. No już, wyciągaj ją naprzód!

— Dobrze, tylko się uspokój.

Facet był tak napięty jak policzki szczerzącego się nieboszczyka. Widać było, jak chodzi mu całe ciało.

— Tak, żebym ją widział. I nie sięgaj po nic, tylko do kasy. Nie bierz broni, bo wywalę ci twój

pieprzony mózg na świeże powietrze.

— Nie mam broni — zapewnił go Bob.

Zerknął na zalane deszczem okna, mając nadzieję, że żaden klient nie nadejdzie w czasie napadu. Ćpun był tak spięty, że mógłby zastrzelić każdego, kto przekroczy próg.

Laura spróbowała powoli przesunąć się za ojca, ale ćpun krzyknął:

— Hej, nie ruszaj się!

— Ona ma tylko osiem...

— To dziwka, wszystko to pieprzone dziwki, duże czy małe.

Jego skrzekliwy głos załamywał się ciągle. Wyglądał na bardziej przerażonego od Boba, którego to właśnie najbardziej niepokoiło.

Chociaż był cały skupiony na ćpunie i jego rewolwerze, na jakiejś obłądnej zasadzie docierało do niego, że w tej chwili w radiu leci Skeeter Davis i jego Koniec świata. Jeśli to przepowiednia, to niezbyt miła, pomyślał. U człowieka, któremu grożono bronią, zrozumiałe było przesądne pragnienie, żeby piosenka skończyła się, nim w jakiś magiczny sposób przyspieszy koniec świata jego i Laury.

— Oto pieniądze, to wszystko, bierz je.

Zmiatając gotówkę z lady i upychając ją w kieszeni brudnej wiatrówki, mężczyzna spytał:

— Masz na tyłach magazyn?

— O co chodzi?

Jednym wściekłym ruchem ćpun zmiotł z lady na podłogę Slim Jimy, Life Savery i gumy do żucia. Szturchnął Boba rewolwerem.

— Masz magazyn, dupku — wiem, że masz. Wycofamy się do niego.

Bobowi nagle zabrakło w ustach śliny.

— Posłuchaj, bierz pieniądze i idź. Dostałeś, o co ci chodziło. Teraz idź. Proszę.

Tamten wyszczerzył zęby. Miał już teraz pieniądze i choć jeszcze wyraźnie trząsał się, lęk Boba ośmielił go. Poczł się pewniej.

— Nie bój się, nikogo nie zabiję. Jestem kochaś, nie zabójca. Tylko trochę zabawię się z tą małą dziwką, a potem znikam.

Bob przeklinał siebie za brak broni. Laura przyłgnęła do niego; wierzyła, że ją uratuje, a on nie mógł nic zrobić, żeby ją obronić. Kiedy będą szli do magazynu, rzuci się na ćpuna, spróbuje wyrwać mu rewolwer. Wiedział, że jest za ciężki, bez formy. Zrobi to za wolno i dostanie kulę w brzuch. Umrze na podłodze, a ten cuchnący sukinsyn zaciągnie Laurę do magazynu i zgwałci.

21

— Ruszać się — rzucił zniecierpliwiony ćpun. — Już!

Padł strzał, Laura krzyknęła i Bob chwycił ją mocno, osłaniając. Ale to ćpun dostał kulę. Uderzyła go w lewy policzek i oderwała część czaszki. Zwalił się ciężko na zrzucone z lady Slim Jimy, krakersy i gumy do żucia. Umarł tak szybko, że nawet nie zdążył instynktownie nacisnąć spustu swojego rewolweru.

Oszołomiony Bob obrócił się w prawo i zobaczył wysokiego, jasnowłosego mężczyznę uzbrojonego w pistolet. Najwyraźniej wszedł do budynku drzwiami dla personelu i bezgłośnie przemknął się przez magazyn. Wchodząc do sklepu zastrzelił ćpuna bez ostrzeżenia. Patrzył na martwe ciało chłodno i bez emocji, jak doświadczony likwidator.

— Dzięki Bogu — powiedział Bob. — Policja.

— Nie jestem z policji.

Mężczyzna miał na sobie szare, luźne spodnie i ciemnoszarą marynarkę, spod której była widoczna przewieszona przez ramię kabura.

Bob nie wiedział, co myśleć. Zastanawiał się, czy ich wybawca nie jest kolejnym złodziejem, który dokończy tego, w czym ćpunowi tak gwałtownie przerwano.

Obcy podniósł wzrok znad trupa. Jego niebieskie oczy patrzyły prosto, intensywnie.

Bob był pewien, że widział już gdzieś tego faceta, ale nie mógł sobie przypomnieć, gdzie i kiedy. Obcy spojrzał na Laurę.

— Wszystko w porządku, kochanie?

— Tak — powiedziała, ale ciągle jeszcze tuliła się do ojca.

Ostry smród uryny unosił się nad trupem. Stracił kontrolę nad pęcherzem w momencie śmierci.

Obcy przeszedł przez pomieszczenie, obchodząc przy tym zwłoki, i zasunął rygiel przy drzwiach wejściowych. Opuścił żaluzje. Z troską spojrzał na duże okna wystawowe. Spływający po nich deszcz rozmywał obraz zewnętrznego świata, skąpanego w popołudniowej burzy.

— Przypuszczam, że nie da się tego ukryć. Miejmy choć nadzieję, że nikt teraz nie przyjdzie i tego nie zobaczy.

— Co nam zrobisz? — spytał Bob.

— Ja? Nic. Nie jestem jak ten świr. Niczego od was nie chcę. Zamknąłem drzwi tylko dlatego, żebyśmy mogli ustalić, jaką historię powinniście opowiedzieć policji. Musimy ją mieć, zanim ktoś tu się zjawi i zobaczy ciało.

— Po co mi jakaś historia?

Obcy przykucnął przy zwłokach, wyjął z poplamionej krwią wiatrówki pęk kluczy samochodowych i zwitek pieniędzy. Prostując się, rzekł:

— Dobrze, powiecie im, że było tu dwóch bandytów. Ten tu chciał zabrać się do Laury, ale drugiemu pomysł zgwałcenia małej dziewczynki wydawał się obrzydliwy i chciał tylko się stąd wydostać. Pokłócili się, zrobiło się gorąco i tamten zastrzelił tego sukinsyna i dał nogę z forszą. Potrafcie powiedzieć to tak, żeby wam uwierzyli?

22

Bob nie mógł uwierzyć, że on i Laura są uratowani. Dalej jedną ręką przyciskał do siebie córkę.

— Ja... ja nie rozumiem. Tak naprawdę to z nim nie byłeś. Nie będziesz miał kłopotów za to, co zrobiłeś — przecież to on chciał nas zabić. Więc dlaczego nie powiedzcie im prawdy?

Mężczyzna podszedł do skraju lady kasowej i położył pieniądze przed Bobem.

— A jaka jest prawda?

— No... przypadkowo przechodziłeś i zobaczyłeś, że jest napad...

— Ja nie przechodziłem przypadkowo, Bob. Pilnowałem ciebie i Laury.

Wkładając pistolet do kabury na ramieniu, mężczyzna spojrzał na dziewczynkę. Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma. Uśmiechnął się i szepnął:

— Jestem anioł stróż.

Bob, nie wierząc w istnienie aniołów stróżów, zapytał:

— Obserwowałeś nas? Z jakiego miejsca, od jak dawna, dlaczego?

Kiedy obcy odezwał się, jego głos wyrażał niepokój. Do Boba dotarło teraz, że pobrzmiwał w nim delikatny, nie dający się umiejscowić akcent, jakiego nigdy nie słyszał.

— Tego nie mogę powiedzieć.

Spojrzał szybko na zmywane deszczem okna.

— I nie mogę być przesłuchiwany przez policję. Więc musicie mieć tę prostą historyjkę.

— Skąd ja cię znam? — spytał Bob.

— Nie znasz mnie.

— Ale jestem pewien, że cię już gdzieś widziałem.

— Nie widziałeś. Nie potrzebujesz tego wiedzieć. A teraz, na miłość boską, schowaj pieniądze, żeby kasa była pusta. Byłoby to dziwne, gdyby ten drugi człowiek wyszedł bez tego, po co tu przybył. Wezmę buicka i zostawię go parę ulic dalej, żebyście mogli opisać go glinom. Podajcie im też mój rysopis. To nie ma znaczenia.

Na zewnątrz przetoczył się grom, ale dźwięk był niski i daleki, niepodobny do wybuchów, od jakich zaczęła się burza.

Wilgotne powietrze zgęstniało. Przypominający miedź zapach krwi wolno mieszał się z odorem uryny.

Czując mdłości, Bob oparł się o kontuar. Laurę trzymał jednak dalej przy sobie.

— Dlaczego nie mogę im powiedzieć, że po prostu powstrzymałeś rabunek, zastrzeliłeś faceta i nie chcąc rozgłosu, wyszedłeś?

Obcy, zniecierpliwiony, podniósł głos:

— Pewnego razu zdarzyło się, że uzbrojony mężczyzna wędrował sobie, aż trafił na napad i postanowił zostać bohaterem? Gliny nigdy nie uwierzą w taką podejrzaną historyjkę...

23

— Ale tak było...

— Ale tego nie kupią! Posłuchaj, zaczną kombinować, że może to ty zastrzeliłeś ćpuna. Ponieważ nie masz broni, przynajmniej oficjalnie zarejestrowanej, to zaczną się zastanawiać, czy nie posłużyłeś się nielegalną bronią, której pozbyłeś się po zastrzeleniu faceta, a potem wysmażyłeś zwariowaną historię o jakimś Samotnym Jeźdźcu, który wkroczył tu i uratował wasze tyłki.

— Jestem szanowanym businessmanem, mam nieposzlakowaną reputację.

W oczach obcego pojawił się dziwny smutek, jak gdyby nie mógł pozbyć się lęku.

— Bob, jesteś dobrym człowiekiem... ale czasem jesteś trochę naiwny.

— O co ci...

Obcy podniósł dłoń, żeby go uciszyć.

— Kiedy przychodzi krach, ludzka reputacja nigdy nie znaczy tyle, ile powinna. Większość ludzi ma dobre serce i oceniając bliźnich, wątpliwości woli raczej rozstrzygać na ich korzyść, ale jest także zatruta mniejszość, która wprost pali się, żeby rzucić innych na kolana i zrujnować.

Jego głos zniżył się do szeptu i chociaż patrzył dalej na Boba, wydawało się, że widzi inne miejsca, innych ludzi.

— Zazdrość, Bob. Zazdrość zżera ich żywcem. Gdybyś miał forszę, zazdrościliby ci jej. Ale ponieważ jej nie posiadasz, to zazdrozczą ci, że masz taką dobrą, mądrą, kochającą córkę.

Zazdroszczą ci po prostu tego, że jesteś szczęśliwym człowiekiem. Zazdroszczą ci tego, że ty im nie zazdrościsz. Jedną z najsmutniejszych właściwości człowieczej egzystencji jest fakt, że niektórzy ludzie nie potrafią cieszyć się samym życiem, ale radość znajdują tylko w niepowodzeniach innych.

Oskarżenie o naiwność było nie do odparcia i Bob wiedział, że obcy mówi prawdę. Wzdrygnął się. Po chwili milczenia lęk w oczach obcego zastąpiła wola działania.

— A kiedy gliny dojdą do wniosku, że kłamiesz i że żaden Samotny Jeździec cię nie uratował, to zaczną myśleć, że ten ćpun wcale nie chciał cię obrabować, że może znałeś go i pokłóciłeś się z nim o coś, a może nawet zaplanowałeś jego zabójstwo i po jego śmierci usiłujesz sfingować napad. Tak rozumują gliny, Bob. Jeżeli nawet nie będą cię mogli w to zrobić, to postarają się zmienić ci życie w piekło. Chcesz, żeby Laura musiała przez to przejść?

— Nie.

— Więc zrób, jak mówię.

Bob skinął głową.

— Zrobię po twojemu. Ale kim, do diabła, jesteś?

— To bez znaczenia. I tak nie ma na to czasu.

Przeszedł za kontuar i stanął twarz w twarz z Laurą. Nachylił się.

— Czy rozumiałaś, co mówiłem tacie? Jak policja zapyta, co się stało...

24

— Byłeś z tamtym człowiekiem — pokazała mniej więcej w kierunku zwłok.

— Zgadza się.

— To był twój kumpel, ale potem zaczęliście się kłócić na mój temat, choć nie wiem o co, bo nic nie zrobiłam...

— To nieważne, słoneczko — powiedział obcy.

Laura skinęła głową.

— A potem zastrześliłeś go i uciekłeś ze wszystkimi naszymi pieniędzmi. Odjechałeś, a ja bardzo się bałam.

Mężczyzna podniósł spojrzenie na Boba.

— Ma dopiero osiem lat, tak?

— Bystra z niej dziewczynka.

— Ale jednak lepiej, żeby gliny za bardzo jej nie przyciskały.

— Nie pozwolę im.

— Jak spróbują — powiedziała Laura — to się po prostu rozplaczę i będę płakać, aż dadzą mi spokój.

Obcy uśmiechnął się. Patrzył na Laurę z taką miłością, że Bob poczuł się nieswojo. Ale jego zachowanie nie przypominało tamtego zbrojnego, który chciał ją zawlec do magazynu, była w nim czułość i tkliwość. Dotknął jej policzka. Nagle, niespodziewanie, w jego oczach pojawiły się łzy. Zamrugał, wyprostował się.

— Bob, schowaj te pieniądze. Pamiętaj, to ja je wziąłem.

Bob uświadomił sobie, że ciągle trzyma w rękach plik banknotów. Wsadził je do kieszeni dzinsów, a jego luźny fartuch przykrył powstałe wybrzuszenie.

Obcy odryglował drzwi i podniósł żaluzje.

— Uważaj na nią, Bob. Ona jest wyjątkowa.

Potem rozpląnął się w deszczu, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Opony buicka zapiszczały, kiedy ruszał z parkingu.

Radio wciąż grało, ale Bob usłyszał je po raz pierwszy od czasu, kiedy nadawało Koniec świata, jeszcze przed śmiercią ćpuna. Teraz Shelley Fabares śpiewał Johnny Angel.

Nagle znowu usłyszał deszcz, ale teraz nie był to ściszony, dobiegający z oddali szmer i postukiwanie. Usłyszał prawdziwy wiatr walący z furią o okna i dach mieszkania położonego nad sklepem. Mimo że wiatr wpadał przez otwarte okno, smród krwi i uryny stał się trudniejszy do zniesienia niż przed chwilą. I równie nagle, jakby ześlizgując się błyskawicznie ze stromej skały, ocknął się z pełnego przerażenia transu. Odzyskał pełną świadomość i dotarło teraz do niego, jak blisko śmierci była jego najdroższa Laura. Porwał ją w ramiona, uniósł w powietrze i przytulił, powtarzając jej imię i głaszcząc po włosach. Wcisnął twarz w jej kark. Czuł słodycz i świeżość jej skóry, pulsowanie arterii i dziękował Bogu, że ona żyje.

— Kocham cię, Lauro.

25

— I ja cię kocham, tatusiu. Kocham cię za Sir □omasa Żabę i za miliony innych rzeczy. Ale teraz musimy zadzwonić po policję.

— Tak, oczywiście — powiedział, z ociąganiem stawiając ją na ziemi. Miał oczy pełne łez. Był tak roztrzęsiony, że nie mógł sobie przypomnieć, gdzie stoi telefon.

Laura zdjęła już słuchawkę z widełek. Podała mu ją.

— Może ja zadzwonię, tato. Numer jest tu, na aparacie. Chcesz, żebym zadzwoniła?

— Nie. Ja to zrobię, dziecinko — zamrugał, żeby powstrzymać łzy.

Wziął od niej telefon i usiadł na starym drewnianym krześle stojącym za kasą...

Położyła mu rękę na ramieniu, jakby wiedziała, że potrzebuje jej dotknięcia.

Janet była odporna emocjonalnie, ale siła i samoopanowanie Laury były niezwykle jak na jej wiek. Bob Shane nie miał pojęcia, skąd się brały. Może to właśnie brak matki spowodował, że nauczyła się opierać na samej sobie.

— Tato? — powiedziała Laura, stukając palcem w telefon. — Policja, pamiętasz?

— Och! Tak, tak.

Usiłując nie myśleć o smrodzie śmierci przenikającym sklep, wykręcił numer alarmowy policji.

Kokoschka siedział w samochodzie po drugiej stronie ulicy, przy której mieścił się mały sklepik Boba Shane. W zamyśleniu wodził palcami po bliźnie na policzku.

Deszcz ustał. Policja odjechała. Neony i lampy zapłonęły z nadejściem nocy, ale asfaltowe ulice mimo tej iluminacji pozostawały matowe, jakby nawierzchnia wchłaniała światło, zamiast je odbijać.

Kokoschka zjawił się w okolicy równocześnie ze Stefanem, jasnowłosym niebieskookim zdrajcą. Słyszał strzały; widział, jak Stefan ucieka w samochodzie zabitego; dołączył do tłumu gapiów, kiedy zjawiła się policja i dowiedział się większości szczegółów na temat tego, co wydarzyło się w

sklepie.

Przejrzał oczywiście kretyńską historyjkę Boba Shane, jakoby Stefan był drugim z pary złodziei. Stefan nie był żadnym bandytą. Odegrał rolę obrońcy i niewątpliwie kłamał, aby ukryć swą tożsamość..

Laura znowu została uratowana.

Ale dlaczego?

Kokoschka usiłował dociec, jaką rolę w planach zdrajcy może odgrywać ta dziewczynka, ale bez skutku. Wiedział, że przepytывanie jej nie ma sensu, bo jest za mała, aby mogła mu powiedzieć coś użytecznego. Rozumiała tyle z tej tajemniczej sprawy co on sam.

Odczuł, że jej ojciec też nic nie rozumie. To ta mała interesowała Stefana, nie ojciec, więc Bob Shane nie może wiedzieć, skąd Stefan pochodzi ani jakie ma zamiary.

26

W końcu Kokoschka odjechał parę ulic dalej. Zjadł obiad w restauracji, a potem, dobrze po północy, wrócił w pobliże sklepu. Zaparkował na bocznej ulicy, w cieniu rzucanym przez rozłożyste liście palmy daktylowej. W sklepie było ciemno, ale na piętrze, w mieszkaniu, paliło się światło.

Z głębokiej kieszeni płaszcza wyciągnął rewolwer. Był to colt agent, kaliber 38. Krótka, o zwartym kształcie, potężna broń. Kokoschka uwielbiał takie dobrze zaprojektowane i dobrze wykonane przedmioty. Szczególnie lubił czuć je w ręku. Oto była sama śmierć zaklęta w stal.

Mógł przeciąć druty telefoniczne, idące do mieszkania Shanów, włamać się po cichu, zastrzelić dziewczynkę i jej ojca i wymknąć się, zanim policja zareaguje na hałas. Do takich zadań miał i ochotę, i talent.

Ale jeżeli ich zabije, nie wiedząc, dlaczego to robi, nie znając roli, jaką mają odegrać w planach Stefana, to później mogłoby się okazać, że ich wyeliminowanie było błędem. Musiał znać cel Stefana, zanim przystąpi do działania.

Niechętnie wsunął rewolwer do kieszeni.

3.

W bezwietrzną noc deszcz spadał pionowo na miasto, jakby każda kropla miała niezwykle ciężar. Bębnił hałaśliwie po dachu i przedniej szybie małego czarnego samochodu.

Był wtorek, koniec marca, godzina pierwsza w nocy. Ulice spływały deszczem, zalewającym niektóre skrzyżowania. Było pusto, tylko czasami przejechał wojskowy samochód. Stefan wybrał okrężną drogę do instytutu — omijał dzięki temu posterunki, choć zawsze mógł trafić na jakiś dodatkowy, ustawiony poza planem. Dokumenty miał w porządku, a jego przepustka zapewniała mu swobodę poruszania się po godzinie policyjnej — niedawno zresztą ogłoszonej. Niemniej wolałby nie natknąć się na żandarmerię wojskową. Nie mógł pozwolić na przeszukanie wozu. W walizce na

tylnym siedzeniu znajdowały się przewody z miedzianego drutu, detonatory i plastik. Nie miał prawa posiadać żadnej z tych rzeczy.

Ponieważ szyba była zaparowana, w dodatku deszcz przesłaniał dziwnie opustoszałe miasto, wycieraczki były zużyte, a osłonięte refektory samochodu oświetlały tylko wąski wycinek drogi — prawie minął ciasną, brukowaną uliczkę, wiodącą na tyły instytutu. Zahamował, ostro zakręcił. Czterodrzwiowy samochodzik, mijając zakręt z drzeniem i piskiem opon, lekko ślizgał się na mokrej kostce.

Zaparkował w ciemności przy tylnym wejściu. Wysiadł z samochodu i wyciągnął walizkę z tylnego siedzenia. Instytut mieścił się w ponurym, trzypiętrowym budynku. W oknach były grube kraty. W powietrzu unosiło się coś groźnego, ale było to na tyle

27

nieuchwytnie, że nikt by nie pomyślał, iż budynek ten ukrywa tajemnice, mogące całkowicie odmienić obraz świata. Stalowe czarne drzwi miały wpuszczane zawiasy. Nacisnął przycisk. Z zewnątrz usłyszał dźwięk dzwonka. Nerwowo czekał, aż ktoś zareaguje.

Miał na sobie gumowe buty i płaszcz przeciwdeszczowy z podniesionym kołnierzem, ale był bez kapelusza i parasola. Zimny deszcz kleił mu włosy do czaszki i spływał po szyi.

Trzęsąc się, spojrzął na wąskie okienko, osadzone w murze obok drzwi. Miało sześć cali szerokości i stopę wysokości. Szkło odbijało obraz zewnętrzny, zapewniając widoczność tylko z wewnątrz.

Cierpliwie słuchał, jak deszcz tłucze w samochód, rozlewa się w kałuże i bulgoce, spływając przez pobliską kratkę ściekową; słuchał, jak smaga liście platanu, kołyszącego się na rogu, sycząc przy tym, jakby spadał na rozpaloną blachę.

Nad drzwiami zabłysło światło. Żółta struga światła latarki skierowała się na dół, koncentrując się dokładnie na nim.

Stefan uśmiechnął się do lustrzanego okienka, kierując grymas do niewidocznego wartownika.

Światło zgasło, szcęknięty odsuwane rygle i drzwi otworzyły się do wewnątrz. Znał tego strażnika: Wiktor jak-mu-tam, tęgi mężczyzna po pięćdziesiątce, z mocno przylizanymi, siwymi włosami. Nosił okulary w metalowej oprawce. Był dużo sympatyczniejszy, niż sugerował jego wygląd, i tak naprawdę miał w sobie coś z zaaferowanej kwoki, gdy z zatroskaniem pytał o zdrowie przyjaciół i krewnych.

— Co pan tu robi o tej porze i przy tej ulewie?

— Nie mogę spać.

— Ohydna pogoda. Proszę, niech pan wejdzie, proszę! Jeszcze się pan zaziębi.

— Męczyło mnie, że nie skończyłem pracy, więc pomyślałem, że równie dobrze mogę przyjechać i dokończyć ją.

— Szybko wpędzi się pan do grobu, proszę pana. Słowo daję, tak będzie.

Stefan wszedł do przedpokoju i obserwował, jak strażnik zamyka drzwi, a równocześnie szukał w pamięci strzępków informacji na temat osobistego życia Wiktora.

— Sądzę z waszego wyglądu, że żona nadal robi wam całe kopy tych wspaniałych klusek, o jakich opowiadaliście.

Odwracając się od drzwi Wiktor parsknął cichym śmiechem. Poklepał się po brzuchu:

- Przysięgam, że ona chyba diabłu służy, wodząc mnie na pokuszenie. Obżarstwo to grzech. A to co, proszę pana, walizka? Wprowadza się pan?
- Ocierając twarz ręką, Stefan odpowiedział:
- Dane. Wziąłem je do domu tydzień temu. Pracowałem nad nimi wieczorami.
- Nie ma pan prywatnego życia?
- Dwadzieścia minut, co drugi czwartek.

28

Wiktor mlasnął językiem z dezaprobatą. Podeszedł do biurka, zajmującego jedną trzecią powierzchni małego pokoiku, podniósł słuchawkę i wywołał drugiego strażnika. Tamten siedział w podobnym przedpokoju przy drzwiach frontowych instytutu. Kiedy ktokolwiek zjawiał się po godzinach, wprowadzający go strażnik zawsze zawiadamiał kolegę z drugiej strony budynku, po części dlatego, żeby uniknąć fałszywych alarmów, a po części, by przypadkowo nie postrzelić przychodzących.

Strącając krople deszczu na zniszczony chodnik i szukając kluczy w kieszeni przeciwdeszczowego płaszcza, Stefan podeszedł do drzwi wewnętrznych. Podobnie jak i poprzednie, były wykonane ze stali i miały wpuszczane zawiasy. Jednakże te mogły być otwarte wyłącznie dwoma, równocześnie obracanymi, kluczami — jeden z nich posiadał upoważniony pracownik, a drugi miał przy sobie wartownik sprawujący służbę. Prace prowadzone w instytucie były tak niezwykle i miały taki stopień tajności, że nawet nocna straż nie miała dostępu do laboratoriów i archiwów.

Wiktor odłożył słuchawkę.

— Jak długo będzie pan pracował, proszę pana?

— Parę godzin. Czy jest ktoś jeszcze?

— Nie. Pan jest jedynym męczennikiem. A męczenników tak naprawdę nikt nie docenia. Zapracuje się pan na śmierć, daję słowo. I po co? Kogo to obchodzi?

— Eliot napisał: „Święci i męczennicy panują zza grobu”.

— Eliot? To poeta czy ktoś w tym stylu?

— T. S. Eliot — tak, to poeta.

— „Święci i męczennicy panują zza grobu”? Nie znam faceta. Ale nie wygląda na szanowanego poetę, tylko na wywrotowca.

Wiktor roześmiał się cicho, widocznie rozweselony zabawnym przypuszczeniem, że jego ciężko pracujący przyjaciel mógłby znajdować jakieś upodobanie w zdradzieckich knowaniach.

Razem otworzyli wewnętrzne drzwi.

Stefan przeniósł walizki z materiałami wybuchowymi do hallu instytutu na parterze. Zapalił światło.

— Jeżeli praca w środku nocy ma wejść panu w krew — powiedział Wiktor — to przyniosę panu jakieś ciasto od żony, żeby miał pan dość sił.

— Dziękuję, Wiktorze, ale mam nadzieję, że to nie wejdzie mi w krew.

Strażnik zamknął metalowe drzwi. Zasuwa zaskoczyła automatycznie, wydając metaliczny dźwięk.

Stefan pozostał sam w hallu. Pomyślał, nie po raz pierwszy, że los był dla niego łaskawy, obdarzając go taką powierzchownością: jasne włosy, wyraziste rysy, niebieskie oczy. Jego wygląd

po części wyjaśniał, dlaczego bezczelnie mógł wnieść materiały wybuchowe do instytutu, nie obawiając się przeszukania. Nie było w nim nic niejasnego czy podejrzanego. Był bez skazy. Kiedy uśmiechał się, był to uśmiech anioła. Jego poświęce

29

nie dla kraju nigdy nie będzie kwestionowane przez takich ludzi jak Wiktor. Ludzi, których ślepe posłuszeństwo wobec państwa i sentymentalny patriotyzm piwośzy skutecznie chroniły przed jasnym widzeniem wielu spraw. Doprawdy, wielu.

Wjechał windą na drugie piętro i skierował się prosto do biura. Zapalił mosiężną, wygiętą lampę. Po zdjęciu gumowych butów i przeciwdeszczowego płaszcza wyjął z szafki z aktami teczkę w grubej okładce i rozrzucił na biurku jej zawartość, aby stworzyć przekonujące wrażenie wyteżonej pracy. Możliwość, że w środku nocy zechce się tu pojawić inny członek zespołu, była mało prawdopodobna, ale nie należało zaniedbywać niczego, żeby oddalić ewentualne podejrzenia.

Wziął walizkę, wyjął z wewnętrznej kieszeni płaszcza latarkę. Wszedł po schodach na strych, omijając trzecie piętro. W świetle latarki pojawiły się potężne belki, z połyskującymi gdzieniegdzie paroma źle wbitymi gwoździemi. Chociaż strych miał podłogę zbitą z prostych desek, to nie używano go jako magazynu i poza frankami szarego kurzu i pajęczyn był pusty. Tam, gdzie dach był najwyższy, wzdłuż poziomej osi budynku, Stefan z łatwością mógł się wyprostować. Ale tam, gdzie strome płyty dachowe tworzyły okap, musiał poruszać się na czworakach.

Kiedy jego głowę dzieliło od dachu tylko parę cali, nieprzerwany szum deszczu stał się tak ogłuszający, że zabrzmiał mu w uszach jak ryk nie kończącej się fotylli bombowców, nadlatujących na niskim pułapie z potężnym ładunkiem bomb. Wierzył, że taki właśnie zgubny los nieuchronnie czeka jego miasto.

Otworzył walizkę. Pracując szybko i z wprawą saperską rozłokował cegielki plastyku, tak umieszczając detonatory, aby siła wybuchu poszła w dół i do wewnątrz. Eksplozja będzie musiała nie tylko zerwać dach, ale i zmieść płaszczyzny podłóg, żeby ciężkie płyty dachowe i belki stropu opadły swobodnie na dół, na rumowisko, dopełniając dzieła zniszczenia. Upchał plastik za belkami i w kątach ogromnego pomieszczenia, a nawet uniósł parę desek podłogi i powsadzał pod nie materiał wybuchowy.

Na zewnątrz burza na chwilę przycichła. Ale wkrótce złowrogie trzaski gromów rozbrzmiały z nową siłą i deszcz powrócił, bardziej rześysty niż poprzednio. Nadleciał również długo oczekiwany wiatr, lamentując w rynnach i jęcząc pod okapami. Jego dziwny, głuchy głos zdawał się grozić i jednocześnie oplakiwać miasto.

Ziębnąc na nie ogrzewanym strychu kontynuował swoją delikatną pracę coraz bardziej drżącymi rękami. Mimo dreszczy czuł, jak zlewa go pot. Podłączył detonatory do wszystkich ładunków i przeprowadził od nich przewody do północno-zachodniego kąta strychu. Splótł je w jeden miedziany warkocz i spuścił w dół szybem wentylacyjnym schodzącym do piwnic.

Ładunki i przewody ukrył, jak się dało najlepiej, tak że nikt stojąc w drzwiach strychu by ich nie dostrzegł. Ale przy dokładniejszej inspekcji lub w razie konieczności składowania tu czegoś, druty i zgnieciony plastik mogłyby zostać zauważone.

Potrzebował dwudziestu czterech godzin, podczas których nikt nie zajrzałby na strych. Nie było to wiele, zważywszy, że od miesiący był jedynym, który odwiedził poddasze instytutu.

Jutro w nocy powróci z drugą walizką materiałów wybuchowych i rozmieści je w piwnicach. Tylko równoczesna eksplozja na górze i na dole dawała pewność całkowitego zniszczenia budynku, który wraz z zawartością stanie się wówczas kupą gruzu, połamanych belek i poskręcanych rur. Po wybuchu nastąpi pożar. Nie powinny się zachować żadne zapisy prowadzonych tu groźnych badań, które nigdy nie mogą zostać podjęte.

Ogromna ilość materiału wybuchowego — mimo że rozlokował go i ukształtował starannie — zniszczy również konstrukcje budynków przylegających do instytutu. Obawiał się, że spowoduje to śmierć niewinnych ludzi. Ale tych śmierci nie da się uniknąć. Gdyby użył mniej plastyku, mogłaby się zachować jakaś kopia dokumentacji i projekt szybko odżyłby na nowo. A ten właśnie projekt musi szybko obrócić się wniwecz. Przyszłość całej ludzkości zależała od tego, czy uda mu się tego dokonać. Jeżeli zginą przy tym niewinni ludzie, zapłaci za to tylko on, dźwigając do końca życia poczucie winy.

Powrócił do swojego biura, mieszczącego się na drugim piętrze. Na chwilę usiadł za biurkiem. Musiał poczekać, aż wyschną mu włosy i ustąpią dreszcze. Wiktor nie był niespostrzegawczy.

Zamknął oczy. Przywołał obraz twarzy Laury. Myśl o niej zawsze była dla niego odpoczynkiem. Świadomość jej istnienia niosła mu spokój i dodawała odwagi.

4.

Przyjaciele Boba Shane byli przeciwni udziałowi Laury w pogrzebie ojca. Uważali, że dwunastoletniemu dziecku należy oszczędzić takich ponurych ceremonii. Jednakże ona uparła się. Nikt nie był w stanie jej powstrzymać, kiedy pragnęła czegoś naprawdę, a niczego nie pragnęła tak gorąco, jak pożegnać go po raz ostatni.

Ten czwartek, 24 lipca 1967 roku, był najgorszym dniem w jej życiu, gorszym nawet niż ostatni wtorek, dzień śmierci ojca. Wcześniej była tak oszołomiona, że nic nie czuła — teraz rozpacz dawała znać o sobie. Kiedy w pełni zaczęła sobie uświadamiać poniesioną stratę, coraz trudniej było jej zapanować nad uczuciami. — Włożyła granatową sukienkę. Czarnej nie miała. Włożyła też czarne buty i granatowe skarpetki. Te skarpetki ją martwiły. Obawiała się, że będzie w nich wyglądać dziecinnie i niepoważnie. Ponieważ jednak nigdy przedtem nie nosiła nylonowych rajstop, uznała, że włożenie ich po raz pierwszy na pogrzeb nie jest dobrym pomysłem. Spodziewała się, że oj

ciec będzie spoglądał nanią z nieba podczas ceremonii i chciała wyglądać tak, jak ją zapamiętał. Gdyby zobaczył ją w rajstopach, mogłoby mu być wstyd, że tak głupio udaje dorosłą.

W domu pogrzebowym siedziała w pierwszym rzędzie, między Córá Lance, prowadzącą salon piękności niedaleko od sklepu Shane'a, i Anitą Passadopolis, która razem z Bobem zajmowała się działalnością dobroczynną w prezbiteriańskim kościele St. Andrew. Obie pięćdziesięciokilkuletnie kobiety nie dawały jej chwili spokoju swoją bezustanną opieką i troską.

Nie potrzebowały się martwić. Nie miała zamiaru płakać, wpadać w histerię ani rwać włosów z głowy. Wiedziała, co to śmierć. Każdy musi umrzeć. Ludzie umierali, psy umierały, koty umierały, ptaki umierały, kwiaty umierały. Nawet starożytne sekwoje umierają wcześniej czy później, choć żyją dwadzieścia, trzydzieści razy dłużej od ludzi — co zresztą nie wydawało się jej sprawiedliwe. Ale z drugiej strony przeżycie tysiąca lat jako drzewo było o wiele nudniejsze niż przeżycie tylko czterdziestu dwóch lat jako szczęśliwa ludzka istota. Jej ojciec miał czterdzieści dwa, kiedy serce odmówiło posłuszeństwa — trzask, nagły zawał — za wcześnie, ale taki jest świat i nie ma co ronić nad tym łez. Laura szczyliła się swoim zdrowym rozsądkiem.

A poza tym śmierć to nie koniec istnienia. Na dobrą sprawę śmierć to dopiero początek. Zaczyna się inne, lepsze życie. Musi tak być, bo ojciec jej to powiedział, a on nigdy nie kłamał. Ojciec był najuczciwszym, kochanym, cudownym człowiekiem.

Kiedy pastor podszedł do ambony, stojącej po lewej stronie trumny, Cora Lance przysunęła się bliżej Laury.

— Czujesz się dobrze, kochanie?

— Tak, dobrze — powiedziała, nie spoglądając na Córé. Wiedziała, że nie powinna patrzeć nikomu w oczy, więc z wielkim zainteresowaniem obserwowała przedmioty nieożywione.

Był to pierwszy pogrzeb, w jakim brała udział. Zupełnie się jej nie podobał. Dywan w kolorze burgunda był idiotycznie gruby. Zasłony i tapicerskie krzesła również były barwy czerwonego wina i miały tylko cieniutkie złote paski po bokach. Abażury lamp były również w kolorze burgunda; wszystkie pomieszczenia sugerowały, że burgund stanowił obsesję i fetysz ich dekoratora.

„Fetysz” — to było dla niej nowe słowo. Nadużywała go, jak zwykle nowych słów, ale w tym wypadku było to uzasadnione.

W zeszłym tygodniu, kiedy po raz pierwszy usłyszała to śliczne słowo „odseparowany”, oznaczające „odosobniony lub odizolowany”, używała go przy każdej sposobności, aż ojciec zaczął żartobliwie drażnić się z nią, odmieniając je na różne zabawne sposoby: — Hej, jak ma się dzisiaj moja mała separatka? — mówił. Albo: — Chrupki ziemniaczane wychodzą bardzo szybko, więc przesuńmy je na najbliższą półkę przy kasie, bo teraz leżą na miejscu nieco zbyt odseparowanym. — Lubił ją rozśmieszać, na przykład

opowieściami o Sir □omasie Żabie, przybyłym aż z Brytanii ziemno-wodnym stworzonku, które wymyślił, kiedy miała osiem lat i którego przezabawną biografę upiększał niemal codziennie. W jakiś sposób ojciec był bardziej dziecinny niż ona sama i za to go kochała.

Poczuła, że dolna warga zaczyna się jej trząść. Zagryzła ją. Mocno. Gdyby rozplakała się, byłby to dowód, że nie wierzy w to, co ojciec opowiadał jej o następnym, lepszym życiu. Płacząc uznałaby, że

umarł na dobre, raz na zawsze, finito.

Miała ochotę odseparować się w swoim pokoju nad sklepem. W łóżku z prześcieradłem naciągniętym na głowę. Ten obraz był tak sugestywny, że zdała sobie sprawę, iż grozi jej własny fetysz — odseparowanie.

Z domu pogrzebowego przeszli na cmentarz.

Miejsca spoczynku nie miały nagrobków. Poszczególne kwatery były zaznaczone brązowymi tabliczkami na marmurowych płytach. Lekko falujące, zielone płaszczyzny, ocieniane przez ogromne wawrzyny i nieco mniejsze magnolie, można by pomyłkowo uznać za park, miejsce zabaw, ruchu i śmiechu — gdyby nie otwarty grób, nad którym na linach zawieszono trumnę z ciałem Boba Shane.

W nocy obudziły ją dwukrotnie odgłosy dalekich grzmotów i mimo że była na wpół uśpiona, wydawało się jej, że dostrzega światło błyskawicy, migoczące za oknem. Ale jeżeli niezwykła jak na tę porę roku burza istotnie przeszła w nocy, to teraz nie było po niej śladu. Dzień był jasny, bezchmurny. Laura stała pomiędzy Córá i Anitą. Dotykały jej i mruczały coś uspokajająco, ale nic, co robiły czy mówiły, nie było w stanie jej pocieszyć. Z każdym słowem końcowej modlitwy pastora coraz bardziej ogarniał ją lodowaty chłód — aż w końcu czuła się tak, jakby znalazła się nie ubrana na mrozie Arktyki, a nie stała w cieniu drzewa, w gorący, bezwietrzny lipcowy poranek.

Przedsiębiorca pogrzebowy zwolnił mechanizm windy, na której linach wisiała trumna. Ciało Boba Shane zaczęło opuszczać się pod ziemię. Nie była zdolna dłużej patrzeć na powolny ruch trumny. Ze ściśniętym gardłem Laura odwróciła się, wymknęła spod opiekuńczych skrzydeł dwóch przyszywanych babek i odeszła parę kroków w głąb cmentarza. Była zimna jak marmurkowa kulka, musiała wyjść z cienia. Kiedy tylko dotknęło jej słońce, poczuła na skórze jego ciepło, ale wewnętrzne zlodowacenie pozostało.

Patrzyła w dół długiego, łagodnego zbocza. Trwało to chyba minutę, nim zobaczyła tego mężczyznę, który stał w cieniu rzucanym przez dużą kępę wawrzynów, na skraju cmentarza. Nosił jasne, luźne, brązowe spodnie i białą koszulę, która wydawała się lekko świecić w cieniu — jakby był duchem, który porzucił swoje zwykłe, nocne łowy dla dziennego światła. Obserwował ją i pozostałych żałobników, stojących przy grobie Boba Shane, na szczycie wzgórza. Z tej odległości Laura nie była w stanie dojrzeć rysów jego twarzy, ale spostrzegła, że był wysoki i miał jasne włosy. Było w nim coś dziwnie znajomego.

33

Intrygował ją, choć nie wiedziała dlaczego. Jak zaklęta zesła ze wzgórza, krocząc między grobami. Im bliżej była jasnowłosego mężczyzny, tym bardziej wydawał się jej znajomy. Z początku nie zareagował na to, że się zbliża, ale zdawała sobie sprawę, że obserwuje ją uważnie: czuła ciężar tego spojrzenia.

Cora i Anita wołały za nią. Nie reagowała Pochłonięta niepojętym podnieceniem szła coraz szybciej. Teraz od obcego dzieliło ją tylko około stu stóp.

Mężczyzna wycofał się między drzewa, w zwodniczy półmrok.

Przestraszona, że jej się wymknie, zanim zdoła go dokładniej zobaczyć, zaczęła biec. Nie wiedziała dlaczego, ale chciała ujrzeć go z bliska. Podeszwy jej nowych butów ślizgały się i parę razy o mało co nie upadła. W miejscu, gdzie stał, trawa była wyraźnie zgnieciona, nie był więc duchem.

Laura dostrzegła jakiś ruch między drzewami, widmową biel koszuli. Pobieгла. Pod wawrzynami rosły tylko rzadkie, wyblakłe żółta trawy. Słońce nie miało tu dostępu. Ponad powierzchnię ziemi wyrastały korzenie, rzucając wszędzie zdradzieckie cienie. Potknęła się, oparła o pień, żeby się nie wywrócić, złapała równowagę i podniosła wzrok — tylko po to, aby odkryć, że mężczyzna znikł.

W kępie rosło chyba ze sto drzew. Gałęzie splatały się gęsto, tak że słońce przeświecało tu tylko złotymi nitkami, jakby utkana na niebiosach materia wystrzępiła się między drzewami. Biegła dalej, starając się oczami przebić mrok. Parę razy już jej się wydawało, że go dostrzega, ale zawsze okazywało się to złudzeniem, refeksem światła na liściach lub wytworem wyobraźni. Kiedy podniósł się lekki podmuch, była pewna, że słyszy jego oddalające się kroki, zlewające się z szelestem liści, ale kiedy dobiegła do miejsca, skąd dochodził ten dźwięk, nie znalazła tam nikogo.

Po paru minutach wyszła spomiędzy drzew na drogę, prowadzącą przez inną część rozległego cmentarza. Samochody parkowały przy brzegu trawnika, połyskując w słońcu. Sto jardów dalej grupa żałobników uczestniczyła w innej ceremonii pogrzebowej.

Laura zatrzymała się na skraju drogi, ciężko oddychając. Zastanawiała się, gdzie znikł mężczyzna w białej koszuli i skąd płynął przymus, żeby go ścigać.

Świeciło słońce, ucichł krótki powiew wiatru i na cmentarz powróciła doskonała cisza. To spowodowało, że Laura poczuła się niepewnie. Wydawało się, że światło słoneczne przenika przez nią, jakby była przezroczysta; stała się dziwnie lekka, pozbawiona ciężaru, a równocześnie powoli zaczęło się jej kręcić w głowie. Poczła się tak, jakby śniła sen, w którym unosiła się cał nad ziemią, wśród nierealnego pejzażu.

Zaraz zemdleję — pomyślała.

Oparła się ręką o przedni błotnik zaparkowanego samochodu i zagryzła zęby, usiłując nie stracić świadomości.

Chociaż miała tylko dwanaście lat, rzadko myślała czy postępowała jak dziecko i nigdy nie uważała się za dziecko — nigdy aż do tej chwili na cmentarzu, kiedy nagle poczuła się bardzo mała, słaba i bezbronna.

34

Brązowy ford wjechał wolno na drogę, zwalniając jeszcze bardziej, kiedy zbliżył się do niej. Za kierownicą siedział mężczyzna w białej koszuli.

W momencie, w którym go zobaczyła, zdała sobie sprawę, skąd go zna. Cztery lata temu. Napad. Jej anioł stróż. Chociaż miała wtedy tylko osiem lat, ta twarz utkwiła jej w pamięci.

Zwolnił tak, że prawie stanął i przesuwiał się obok niej, wpatrując się badawczo. Dzieliło ich zaledwie parę stóp.

Przez otwarte okno samochodu każdy szczegół jego przystojnej twarzy był równie wyraźny, jak tego strasznego dnia, kiedy po raz pierwszy zobaczyła go w sklepie. Jego oczy były tak samo świetliste i błękitne i równie przyciągające uwagę, jak w jej wspomnieniach. Kiedy ich spojrzenia spotkały się, zadrżała.

Nie mówił nic, nie uśmiechał się, tylko wpatrywał się w nią uparcie, jakby starając się zapisać w pamięci każdy szczegół jej postaci. Patrzył na nią jak człowiek, który przebył pustynię, mógłby patrzeć na szklanek pełną chłodnej wody. Jego milczenie i nieruchomy wzrok niepokoiły Laurę, a

równocześnie napełniały jej serce niewytłumaczalnym poczuciem bezpieczeństwa.

Samochód potoczył się dalej. Krzyknęła:

— Zaczekaj!

Odepchnęła się od samochodu, o który dotąd się opierała, i rzuciła się biegiem za brązowym fordem. Obcy przyspieszył i wyjechał z cmentarza, zostawiając ją samą w słońcu. Dopiero po chwili usłyszała, jak z tyłu odezwał się jakiś męski głos:

— Laura?

Kiedy się odwróciła, w pierwszej chwili nie dostrzegła go. Cicho zawołał po raz drugi i wtedy go zobaczyła o piętnaście stóp od niej, na skraju kępy drzew. Stał w purpurowym cieniu wawrzynu. Nosił czarne, luźne spodnie, czarną koszulę i wydawał się zupełnie nie na miejscu w środku tego letniego dnia.

Zaciekawiona, zmieszana, zastanawiając się, czy tego człowieka łączy coś z jej aniołem stróżem, Laura ruszyła ku niemu. Była od niego już nie dalej niż o dwa kroki, kiedy uświadomiła sobie, że dysharmonia między nim a jasnym, ciepłym letnim dniem nie wynika tylko z czarnego stroju. Zimowy mrok stanowił nieodstępną część jego osoby. Chłód zdawał się wypływać z jego istoty, jakby urodził się po to, żeby zamieszkać pod biegunem albo w głębokich pieczarach skutych lodem gór.

Zatrzymała się pięć stóp przed nim.

Nie odzywał się, ale wpatrywał się uparcie, spojrzeniem pełnym bezbrzeżnego zdumienia.

Dostrzegła bliznę na jego lewym policzku.

— Dlaczego ty? — spytał zimowy mężczyzna i postąpił do przodu, sięgając po nią.

Laura zrobiła niepewny krok w tył, czując nagle strach tak obezwładniający, że nie była zdolna wydobyć z siebie głosu.

35

Z zagajnika dobiegało wołanie Cory Lance:

— Laura? Wszystko w porządku, Lauro?

Reagując na bliski głos Cory nieznajomy obrócił się i wszedł między wawrzyny. Jego ubrana na czarno postać zniknęła tak szybko w cieniu, jak gdyby nie był prawdziwym człowiekiem, lecz częstką mroku, na krótko powołaną do życia.

Pięć dni po pogrzebie, we wtorek dwudziestego dziewiątego lipca, Laura znalazła się z powrotem w swoim pokoju nad sklepem. Przez tydzień jej tu nie było. Pakowała się teraz, żegnając przy tym miejsce, które było jej domem tak długo, jak sięgała pamięcią.

Zrobiwszy przerwę na odpoczynek, przysiadła na skraju łóżka, na rozrzuconej pościeli, próbując przypomnieć sobie, jak bezpieczna i szczęśliwa była w tym pokoju zaledwie parę dni temu. Setka książek w miękkich okładkach, głównie opowieści o psach i kotach, stała na półce w kącie. Pięćdziesiąt miniaturowych psów i kotów — szklanych, mosiężnych, porcelanowych, ołowianych — zapełniało półkę nad łóżkiem.

Nie miała żadnego zwierzęcia, bo przepisy sanitarne zabraniały trzymania zwierząt nad sklepem z żywnością. Miała nadzieję, że któregoś dnia będzie właścicielką psa albo nawet konia. Ale, co

ważniejsze, kiedy dorośnie, może zostanie weterynarzem i będzie leczyć chore i poranione zwierzęta.

Ojciec powiedział jej, że może być, kim chce: weterynarzem, prawnikiem, gwiazdą filmową — kimkolwiek.

— Możesz paść łosie, jeśli zechcesz, albo tańczyć na jednokołowym rowerze. Nic nie będzie dla ciebie zbyt trudne.

Laura uśmiechnęła się na wspomnienie ojca pokazującego, jak wyglądają akrobacje na jednokółce. Ale równocześnie przypomniawszy sobie, że odszedł, i poczuła otwierającą się w niej okropną pustkę.

Wyjęła wszystko z szafy, starannie ułożyła swoje rzeczy i wypakowała nimi dwie walizki. Miała również kufek, do którego włożyła ulubione książki, parę gier i misia.

Cora i Tom Lance robili spis rzeczy z małego mieszkania i spożywczego sklepu na dole. Laura miała zostać z nimi, choć nie było jasne, czy na zawsze, czy tylko chwilowo.

Zdenerwowana, dręczona myślami na temat niepewnej przyszłości, Laura powróciła do pakowania. Otworzyła szufadę bliższej z dwóch szafek nocnych i zastygła na widok elfch bucików, malutkiej parasoleczki i długiego na cztery cale szalika. Wszystko to przyniósł jej ojciec jako dowód, że Sir Tommas Żaba wynajmuje u nich pokój.

Namówił jednego ze swych przyjaciół, zręcznego kaletnika, do wykonania bucików tak szerokich, aby wygodnie mieściły się w nich zakończone płetwami nóżki. Parasoleczkę wynalazł w sklepie z miniaturowymi przedmiotami, a szaliczek w ziele

36

ną kratę zrobił sam, pracowicie wykańczając frędzelki. W dniu jej dziewiątych urodzin, kiedy wróciła do domu ze szkoły, buciki i parasoleczka stały w mieszkaniu oparte o ścianę, a szaliczek, pieczołowicie złożony, spoczywał na wieszaku.

— Psssst... — wyszeptał dramatycznie ojciec — Sir Tommy wrócił właśnie z morderczo wyczerpującej wyprawy do Ekwadoru, gdzie doglądał interesów królowej — rozumiesz, ona ma tam kopalnię diamentów — i pada na nos. Jestem pewien, że nie wstanie szybko, ale mimo to prosił mnie, żeby życzyć ci wszystkiego najlepszego i zostawił dla ciebie prezent na podwórku.

Tym prezentem był nowy, wspaniały rower marki Schwinn.

Teraz, patrząc na te trzy przedmioty leżące w szufadzie, Laura zrozumiała, że z jej życia odszedł nie tylko ojciec. Razem z nim odszedł Sir Tommas Żaba i wiele innych, stworzonych przez ojca postaci, a także głupiutki, kochane opowiadki, którymi ją zabawiał. Buty na płetwiaste nóżki, mała parasoleczka i szaliczek wyglądały tak miło i wzruszająco, że na moment uwierzyła, iż Sir Tommy istniał naprawdę, a teraz odszedł, by prowadzić własne, lepsze życie. Z ust wyrwało się jej ciche, pełne rozpaczliwego westchnienia. Upadła na łóżko i kryjąc twarz w poduszce, zagłuszającej rozpaczliwe łkanie, po raz pierwszy od śmierci ojca poddała się smutkowi.

Nie chciała bez niego żyć, a jednak będzie musiała nie tylko po prostu żyć, ale osiągnąć powodzenie, gdyż każdy dzień będzie jak wystawione dla niego świadectwo. Mimo młodego wieku wiedziała już, że jeśli osiągnie sukces i zachowa dobroć serca, to dzięki temu jej ojciec będzie istnieć dalej, obecny w jakiejś części jej istoty.

Ale wyglądało na to, że optymistyczne spojrzenie w przyszłość oraz poszukiwanie szczęścia nie będzie łatwe. Teraz wiedziała już, jak przerażająco łatwo potrafi w życiu nadejść nieszczęście i zmiana. Jednego dnia wszystko jest jasne i ciepłe, a drugiego zimne i burzliwe. Nigdy więc nie zna się chwili, w której piorun może powalić kogoś bliskiego. Życie jest jak płomyk na wietrze. Twarda to lekcja dla dziewczynki w jej wieku; odebrawszy ją poczuła się stara, bardzo stara, wiekowa.

Kiedy powódź łez ustąpiła, pozbierała się szybko, bo nie chciała żeby Lance'owie odkryli, że płakała. Jeżeli życie ma być twarde, okrutne i nieprzewidywalne, to ujawnienie najmniejszej nawet słabości nie jest rozsądne.

Starannie opakowała w papier buciki na płetwiaste łapki, parasolkę i szaliczek. Schowała je do kufra.

Kiedy uporała się z zawartością obu nocnych szafek, podeszła do biurka, żeby kontynuować pakowanie. Na bibularzu leżała, wyrwana z bloczku do notatek, złożona kartka. Zapisana wyraźnym, eleganckim, prawie maszynowym pismem wiadomość przeznaczona była dla niej:

37

Droga Lauro,

Co ma być, to będzie i nikt nie jest w stanie temu zapobiec. Nawet Twój niezwykle obrońca. Ojciec kochał Cię całym sercem. Niewielu innych miało szczęście doświadczyć takiego uczucia. Niech Cię to pocieszy. Chociaż teraz myślisz, że już nigdy nie będziesz szczęśliwa, mylisz się. Nadejdzie dla Ciebie czas radości. To nie jest pusta obietnica. To fakt.

List nie był podpisany, ale wiedziała, kto mógł go zostawić: ten sam człowiek, który był na cmentarzu i patrzył na nią tak badawczo z przejeżdżającego samochodu, który przed laty uratował ją i ojca przed zastrzeleniem. Nikt inny nie mógłby nazwać siebie jej niezwykle obrońcą. Przeszedł ją dreszcz. Nie strachu, ale podniecenia na myśl, jak dziwny i tajemniczy jest jej obrońca. Jego osoba budziła jej ciekawość i zdumienie.

Podskoczyła do okna i odsunęła framugę. Była pewna, że zobaczy go stojącego na ulicy, wpatrującego się w sklep. Ale nikogo nie było.

Nie było też mężczyzny w ciemnym ubraniu, ale jego nie spodziewała się zobaczyć. Wmówiła sobie po części, że nie ma związku między tym drugim nieznanym a jej obrońcą. Tamten mógł być przecież na cmentarzu z innego powodu. Wiedział, jak ma na imię... ale mógł usłyszeć, jak Cora wołała ją ze szczytu cmentarnego wzgórza. Potrafiła usunąć go ze swoich myśli, ponieważ nie chciała, żeby stanowił część jej życia. Ale niezwykle obrońca żył w jej myślach, ponieważ pamięć o nim dodawała jej siłę.

Jeszcze raz przeczytała kartkę.

Chociaż nie rozumiała, dlaczego jasnowłosego mężczyzna tak bardzo się nią interesował, poczuła się podniesiona na duchu faktem, że zostawił jej wiadomość. Nie musisz rozumieć, dopóki wierzysz.

5.

Następnej nocy po rozmieszczeniu materiałów wybuchowych Stefan powrócił z tą samą walizką, znowu narzekając na bezsenność. Wiktor spodziewał się tej późnej wizyty. Miał dla niego prezent — pół placka upieczonego przez żonę.

Stefan pogryzał placek, kształtując i rozłokowując plastyczny materiał wybuchowy. Ogromna piwnica była podzielona na dwa pomieszczenia i — inaczej niż ze strychu — pracownicy korzystali z niej w ciągu dnia. Musiał zatem szczególnie zadbać o ukrycie przewodów i ładunków.

W pierwszym pokoju gromadzono dokumentację prowadzonych badań. Znajdowały się też w nim dwa długie dębowe stoły, służące do pracy. Szafy na akta, wysokie na sześć stóp, były ustawione przy dwóch ścianach. Udało mu się umieścić materiały wybuchowe między górną częścią szaf a ścianą, gdzie nawet najwyżsi pracownicy nie byli w stanie ich dostrzec.

38

Przewody rozprowadził za szafami. Był jednak zmuszony przewiercić małą dziurkę w ścianie działowej pomiędzy pomieszczeniami w podziemiu, aby przeciągnąć przewód detonacyjny do drugiego z nich. Udało mu się to zrobić w miejscu nie rzucającym się w oczy. Przewody były widoczne tylko na przestrzeni paru cali po obu stronach ścianki.

Drugiego pokoju używano jako magazynu na materiały biurowe i laboratoryjne. Stały tam też klatki ze zwierzętami — parę chomików, kilka białych szczurów, dwa psy, jedna szczególnie żywotna małpa, umieszczona w klatce z trzema poprzeczkami, na których mogła wywijać koziołki. Wszystkie one przeszły (pozostając przy życiu) przez początkową fazę eksperymentów. Chociaż więcej ich nie wykorzystywano, opiekowano się nimi, aby móc stwierdzić, czy po dłuższym okresie nie powstaną jakieś problemy związane ze szczególnymi przygodami, w jakich brały udział.

Stefan poupychał potężne porcje plastyku w puste miejsca za składowanymi materiałami i doprowadził wszystkie druty do krytego siatką szybu wentylacyjnego — tego samego, przez który poprzedniej nocy spuścił przewody ze strychu. Kiedy pracował, czuł, że zwierzęta obserwują go z niezwykłym napięciem, tak jakby wiedziały, że pozostało im nie więcej niż dwadzieścia cztery godziny życia. Poczul na policzkach rumieniec płynący z poczucia winy. Dziwne, nie czuł go, kiedy wczoraj myślał o śmierci ludzi pracujących w instytucie. Może dlatego, że zwierzęta były niewinne. Ludzie nie.

Około czwartej rano Stefan zakończył zarówno robotę w piwnicach, jak i pracę, którą musiał wykonać w swoim biurze na drugim piętrze.

Przed opuszczeniem instytutu wszedł do głównego laboratorium na parterze i przez długą chwilę wpatrywał się w bramę.

Brama.

Wykresy, zespoły wskaźników i zegarów. Wszystko to świeciło w mechanizmie koordynującym jej pracę. Delikatnie płonęły kolory: pomarańczowy, żółty, zielony. Dopływ mocy nigdy nie był przerywany. Brama miała cylindryczny kształt; dwanaście stóp wysokości, osiem średnicy. W przyćmionym świetle była prawie niewidoczna. Jej zewnętrzna, zbudowana z nierdzewnej stali warstwa połyskiwała nikłymi kroplami światła urządzenia koordynującego, zajmującego

powierzchnię trzech ścian pomieszczenia.

Używał już bramy wiele razy, ale zawsze czuł się onieśmielony jej widokiem. Nie tyle z powodu niezwykłości naukowego przełomu, jaki stanowiło jej skonstruowanie, ile z powodu bezmiaru zła, które mogło przynieść jej zastosowanie. Nie była to brama do piekielnych czeluści, ale trafwszy w ręce złych ludzi, mogła tam prowadzić. A obecnie kierowały nią ręce doprawdy złych ludzi.

Podziękowawszy Wiktorowi za ciasto — powiedział, że zjadł całe, choć naprawdę większą część zżarły zwierzęta — Stefan wrócił do swojego mieszkania.

Już drugą noc z rzędu szalały burze. Dął wiatr z północnego zachodu. Woda, pieniąc się, waliła z wylotów rynien, spływała w pobliskie rynsztoki, rzęsiście skapywała z da

39

chów, przykrywała kałużami ulice, przelewała się ponad otworami ścieków, ale że całe prawie miasto skryło się w kompletnym mroku, kałuże i strugi wyglądały jak pokryte olejem, nie wodą. Po ulicach poruszał się tylko nieliczny personel wojskowy. Wszyscy nosili czarne przeciwdeszczowe płaszcze. Wyglądali w nich jak postaci z dawnej, gotyckiej powieści Brama Stokera.

Stefan wracał do domu najkrótszą drogą. Nie starał się unikać znanych mu posterunków. Jego dokumenty były w porządku, miał ważną przepustkę na godzinę policyjną i nie wiozł już nielegalnie zdobytych materiałów wybuchowych.

W domu nastawił duży budzik, stojący przy łóżku, i prawie natychmiast zasnął. Koniecznie musiał odpocząć, bo w czasie najbliższego popołudnia czekały go dwie wyczerpujące wyprawy — i wiele zabijania. Jeżeli nie będzie wystarczająco czujny, to może znaleźć się po niewłaściwej stronie lufy.

W jego snach pojawiła się Laura. Uznał to za dobry znak.

ROZDZIAŁ II

NIEGASNĄCY PŁOMIEŃ

1.

Między dwunastym a siedemnastym rokiem życia los rzucał Laurę Shane niczym kłębkim jednego z tych pozbawionych korzeni chwastów, miotanych po kalifornijskiej pustyni, które w krótkich chwilach ciszy osiadają to tu, to tam, aby znów potoczyć się dalej, gdy tylko wiatr zawieje.

Nie miała krewnych, nie mogła też pozostać u Lance'ów — najbliższych przyjaciół ojca. Tom miał sześćdziesiąt dwa lata, a Cora pięćdziesiąt siedem i choć byli już trzydzieści pięć lat po ślubie, nie mieli dzieci. Perspektywa wychowywania młodej dziewczyny napawała ich przerażeniem.

Laura rozumiała to i nie miała do nich żalu. Tego sierpniowego dnia, kiedy w towarzystwie kobiety z Agencji Opieki nad Dziećmi Okręgu Orange opuszczała dom Lance'ów, ucałowała Corę i Toma i zapewniła ich, że wszystko będzie dobrze. Odjeżdżając w samochodzie, należącym do pracowniczki Agencji, wesoło machała ręką, mając nadzieję, że tamci czują się rozgrzeszeni.

Rozgrzeszenie. To słowo było nowym nabytkiem. Rozgrzeszony: uwolniony od konsekwencji własnych uczynków; uwolniony albo zwolniony od pewnych obowiązków, zadań czy odpowiedzialności. Pragnęłaby zapewnić sobie rozgrzeszenie z obowiązku samotnego kroczenia przez świat, bez opieki kochającego ojca, i rozgrzeszenie z obowiązku zachowania pamięci o nim.

Z domu Lance'ów przewieziono ją do domu dziecka — nosił nazwę Domu McIlroya — starego, z mnóstwem przybudówek, wiktoriańskiego domiszcza o dwudziestu siedmiu pokojach, zbudowanego w czasach rolniczej sławy i chwały Okręgu Orange przez magnata przemysłu spożywczego. Później dom został zamieniony na przytułek, w którym dzieci pozostające pod opieką państwa oczekiwały na przeniesienie do rodzin opiekuńczych.

Ta instytucja nie przypominała żadnej z tych, o jakich czytała w książkach. Po pierwsze, nie było w niej miłych zakonnic w czarnych powiewających habitach.

Laura zauważyła go po raz pierwszy zaraz po przyjeździe. Pani Bowmaine, opiekunka, prowadziła ją do pokoju, który miała dzielić — tak ją poinformowano — z bliźniaczkami Ackerson i dziewczynką imieniem Tammy. Sheener szeroką szczotką zmywał wyłożony płytkami hall.

Był silny, żylasty, blady, piegowaty, miał ze trzydzieści lat. Jego włosy były koloru świeżo wybitej miedzianej centówki. Miał zielone oczy. Podczas pracy uśmiechał się i cicho pogwizdywał.

— Jak się pani dzisiaj czuje, pani Bowmaine?

— Jak ryba w wodzie — widać było, że lubi Sheenera. — To jest Laura Shane, nowa dziewczynka. Lauro, to jest pan Sheener.

Sheener z niezdrową ciekawością wlepił wzrok w Laurę. Kiedy udało mu się wydusić słowa pozdrowienia, głos zabrzmiał mu chrapliwie.

— Mhhh... witamy w McIlroyu.

Idąc za opiekunką obejrzała się na Sheenera. Tylko ona dostrzegła, jak opuścił rękę do krocza i powoli się tam masował.

Nie spojrzała już na niego powtórnie.

Później, kiedy rozpakowywała swój skromny dobytek, usiłując nadać własnemu kątowni w sypialni na drugim piętrze bardziej przytulny wygląd, obróciła się i w drzwiach zobaczyła Sheenera. Była sama, bo inne dzieci bawiły się na boisku albo w pokoju zabaw. Teraz jego uśmiech różnił się od tego, jakim obdarzył panią Bowmaine, był zimny i drapieżny. Światło, padające na drzwi z jednego z małych okien, odbijało się w jego oczach pod takim kątem, że z zielonych stawały się srebrne, jak przesłonięte błoną katarakty oczy trupa.

Laura usiłowała coś powiedzieć, ale bezskutecznie. Powoli cofała się, aż oparła się o ścianę przy łóżku.

Stał bez ruchu, z opuszczonymi rękami. Dłonie miał zaciśnięte w pięści.

Dom McIlroya nie miał klimatyzacji, więc choć okna sypialni były otwarte, panował tropikalny upał, ale Laura nie była spocona, dopóki nie zobaczyła Sheenera. Teraz jednak jej T-shirt można było wyjąć.

Na zewnątrz dzieci śmiały się i krzyczały. Bawiły się blisko, ale do Laury ich głosy dobiegały jakby z oddali.

Ciężki, rytmiczny, chrapliwy oddech Sheenera zdawał się rosnąć, pochłaniając powoli głosy dzieci.

Przez długi czas żadne z nich nie poruszyło się ani nie odezwało. Potem on gwałtownie odwrócił się i wyszedł.

Z miękkimi kolanami, ociekając potem, Laura podeszła do łóżka i osunęła się na jego krawędź. Zapadający materac ugiął się, skrzypnęły sprężyny.

Kiedy uspokoiło się bicie serca, omiotła wzrokiem szare ściany pokoju. Poczła przyływ beznadziejności. W czterech rogach stały wąskie, żelazne łóżka pokryte włochatymi kapami, ze sfaczałymi poduszkami u wezłowia. Przy każdym łóżku stała poobijana, kryta laminatem nocna szafa. Żelazna lampka. Porysowana komoda z ośmioma szufladami. Dwie dla niej. Dalej stały dwie

szafy. Miała korzystać z połowy jednej z nich. Na oknach stare zasłony, spłowiałe i brudne, nieforemnie zwisały z pordzewiałych prętów. Cały dom był przegniły i ponury, w powietrzu wisiał nieokreślony, przykry zapach, a Willy Sheener, nawiedzający pokoje i korytarze, był jak zły duch, który czeka tylko na pełnię księżyca, żeby zacząć swe krwawe zabawy, przypadające na ten czas.

Tego wieczora bliźniaczki Ackerson zamknęły drzwi do pokoju i zaprosiły Laureę, aby przyłączyła się do nich. Zasiadły na wyleńiałym, kasztanowym dywanie, w kręgu, i dzieliły się sekretami.

Czwarta koleżanka — dziwna, cicha, delikatna blondynka o imieniu Tammy — nie chciała się do nich przysiąść. Z poduszkami upchanymi pod plecy siedziała na łóżku, czytając książkę, z zajęciem obgryzając przy tym paznokcie.

Laura z miejsca polubiła □elmę i Ruth Ackerson. Właśnie skończyły dwanaście lat, były więc młodsze od niej tylko o parę miesięcy. Jak na swój wiek były bardzo mądre. Zostały osierocone w wieku dziewięciu lat i od tej pory żyły w przytułku. Znalezienie rodziców, którzy byliby gotowi adoptować dzieci w ich wieku, nie było łatwe, tym bardziej że bliźniaczki były zdecydowane się nie rozłączać.

Nie będąc ładne, były zadziwiająco podobne w swym braku urody; pozbawione połysku brązowe włosy, krótkowzroczne piwne oczy, płaskie twarzyczki, tępe podbródki, szerokie usta. Miały braki w urodzie, ale nie brakowało im inteligencji, energii i dobrego serca.

Ruth nosiła niebieską piżamę z ciemnozielonymi obszyciami na mankietach i kołnierzu oraz niebieskie pantofle, a włosy miała związane w koński ogon. □elma miała piżamę w kolorze malinowym i żółte kapcie na futerku; na każdym z nich znajdował się guziczek imitujący oko. Włosy nosiła luźno rozpuszczone.

Z zapadnięciem zmroku nieznośny upał zaczął ustępować. Do Pacyfku było mniej niż dziesięć mil, więc lekki nocny wiaterek umożliwiał spokojny sen. Teraz, przy otwartych oknach, strumienie chłodnego powietrza, wpływając do pokoju, poruszały starymi zasłonami.

— W lecie można tu umrzeć z nudów — mówiła Ruth do Laury, kiedy usiadły w kółeczko na podłodze. — Nie wolno nam wychodzić poza teren, a ten jest niewielki. W lecie wszyscy dobroczyńcy mają w głowie tylko wakacje i wycieczki nad morze, więc zapominają o nas.

— Ale za to Boże Narodzenie jest wspaniałe — dodała □elma.

43

— Wszystkie listopady i grudnie są wspaniałe — uzupełniła Ruth.

— No — powiedziała □elma — święta są kapitalne, bo dobroczyńcy zaczynają czuć, że nie są w porządku, gdy mają wszystkiego aż po dziurki w nosie, a my, biedne, obdarte, bezdomne podrzutki musimy nosić płaszczki z gazet, papierowe buty i jeść zeszłoroczny kleik. Więc przysyłają nam całe kosze wspaniałości, szalejemy na zakupach i łazimy po kinach, chociaż nigdy na naprawdę dobre filmy.

— Och, niektóre są fajne — powiedziała Ruth.

— Takie filmy, na których nikt nigdy, nigdy nie wylatuje w powietrze. I nigdy żadnego migdalenia. Nigdy nie biorą nas na film, w którym facet kładzie łapę na cycku jakiejś panienki. Filmy rodzinne.

Nuda, nuda, nuda.

— Musisz wybaczyć mojej siostrze — Ruth zwróciła się do Laury. — Ona myśli, że wpływa na burzliwe morze wieku dojrzewania.

— Ja jestem na burzliwym morzu wieku dojrzewania! Czuję, jak moje soki wzbierają — krzyknęła □elma i wysoko podniosła nad głowę chude ramionko.

Ruth dorzuciła:

— Obawiam się, że płaci teraz za brak opieki rodzicielskiej. Nie potrafiła się przystosować do warunków życia w sieroctwie.

— Musisz wybaczyć mojej siostrze — odparowała □elma. — Ona zdecydowała się przeskoczyć dojrzewanie i przejść bezpośrednio od dzieciństwa w wiek starczej zgrzybiałości.

Laura spytała:

— Co powiecie o Willym Sheenerze?

Bliźniaczki Ackerson zerknęły na siebie chytrze i zaczęły mówić z tak idealną synchronizacją, że wygłaszając na przemian opinie, wchodziły sobie w słowo bez sekundy pauzy:

— Och, to trzepnięty człowiek — powiedziała Ruth, a □elma: — Męt — na co Ruth: — Potrzebuje leczenia — i znowu □elma: — Nie, jego trzeba walnąć w łeb kijem od baseballu. Tak z tuzin razy. Może ze dwa tuziny, a potem trzeba go przymknąć na resztę życia.

Laura opowiedziała im o tym, jak pojawił się w drzwiach.

— I nie odezwał się? — zdziwiła się Ruth. — To gorzej, uch, czuję gęsią skórkę. Zwykle mówi: „Jesteś taka śliczna, mała dziewczynka” albo...

— ...proponuje cukierki — skrzywiła się □elma. — Wyobrażasz sobie? Cukierki! Taki palant! Śmieć z broszurek, które gliny wtykają dzieciom, żeby wiedziały, jak mają odróżnić zboczeńców od normalnych ludzi.

— Nie było cukierków — powiedziała Laura i zadrżała, kiedy przypomniała sobie, jak słońce kładło się srebrem na oczach Sheenera.

Znów usłyszała jego ciężki, rytmiczny oddech.

□elma skłoniła się w przód i zniżyła głos do scenicznego szeptu:

44

— Na to wygląda, że Białemu Węgorzowi język stanął kołkiem. Zagrzał się do tego stopnia, że zapomniał swojego normalnego tekstu. Może czuje do ciebie wyjątkowy pociąg, Lauro.

— Biały Węgorz?

— Pan Sheener — wyjaśniła Ruth. — Węgorz dla ułatwienia.

— Jest taki blady i śliski — powiedziała □elma — że to do niego pasuje. Założę się, że ma wyjątkową chęć na ciebie. Zrozum, mała, ty jesteś topowa.

— Coś ty — zaprzeczyła Laura.

— Żartujesz? — powiedziała Ruth — z tymi ciemnymi włosami i ogromnymi oczami?

Laura zarumieniła się i zaczęła protestować, ale □elma ją osadziła:

— Posłuchaj, Shane, Zdziwiałące Duo Ackerson — Ruth i moi — nie cierpi fałszywej skromności jeszcze bardziej niż zadzierania nosa. Walimy prawdę prosto w oczy. Wiemy, na co nas stać i potrafimy się z tego cieszyć. Bóg wie, że żadnej z nas nie grozi zdobycie tytułu Miss Ameryka, ale

jesteśmy inteligentne, bardzo inteligentne i nie wstydzimy się przyznać, że mamy dobrze poukładane w głowach. A ty zwalasz z nóg, więc nie udawaj szarej myszki.

— Moja siostra czasami nieco przesadza ze szczerością i bogactwem wypowiedzi — powiedziała przepraszająco Ruth.

— A moja siostra — Elma zwróciła się do Laury — właśnie ćwiczy wprawki do roli Melanii w Przemieńło z wiatrem. — I z przesadnym południowym akcentem i nadmierną afektacją zaczęła deklamować: — Scarlett to dobra, naprawdę dobra dziewczyna. Och, Scarlett nie chciała zrobić nic złego. Rett w głębi serca też jest dobry, a nawet Jankesi są dobrzy; także i ci, co spalili Tarę i nasze zbiory i porobili sobie buty ze skóry naszych dzieci.

Laura w połowie monologu Elmy zaczęła zwijać się ze śmiechu.

— Więc przestań odgrywać rolę pierwszej naiwnej, Shane! Jesteś bombowa.

— Dobra, dobra. Wiem, że jestem... ładna.

— Dzieciaku, kiedy Biały Węgorz cię zobaczył, poszedł mu bezpiecznik w mózgu.

— Tak — zgodziła się z tym Ruth — twój widok go oszołomił. To dlatego nawet nie był w stanie sięgnąć do kieszeni po cukierki, które zawsze tam nosi.

— Cukierki — wrzasnęła Elma — paczki orzeszków w czekoladzie, batoniki Tootsie Roli.

— Laura, pilnuj się — ostrzegła Ruth. — On jest naprawdę chory...

— To świr! — kontynuowała Elma. — Szczur kanałowy!

Z dalekiego kąta pokoju odezwała się cicho Tammy:

— Nie jest taki zły, jak mówicie.

Blond dziewczyneczka była tak cicha, mizerna i bezbarwna, tak zlewała się z otoczeniem, że Laura zapomniała o niej. Teraz patrzyła, jak Tammy odkłada książkę na bok

45

i podnosi się na łóżku; podciągnęła przy tym kolana pod brodę i objęła nogi ramionami. Miała dziesięć lat, o dwa mniej od swoich koleżanek z pokoju, i jak na swój wiek była niewyrośnięta. W białej nocnej koszuli i skarpetkach wyglądała bardziej na zjawę niż na żywą osobę.

— On nikogo by nie skrzywdził — Tammy mówiła zacinając się i trzęsąc, tak jakby wygłaszanie przez nią opinii na temat Sheenera — na temat czegokolwiek i kogokolwiek — kosztowało ją tyle, co przejście po linie bez kija balansowego.

— A właśnie, że skrzywdziłby, gdyby mu się to upiekło — sprzeciwiła się Ruth.

— On jest... — Tammy przygryzła wargi. — Jest... samotny.

— Nie, kochanie — sprostowała Elma — nie jest samotny. Jest tak w sobie zakochany, że nigdy nie będzie samotny.

Tammy odwróciła wzrok. Wstała, wsunęła stopy w znoszone kapcie i wymamrotała: — Już prawie czas spać. — Zabrała ze sobą saszetkę z przyborami toaletowymi i chyłkiem wymknęła się z pokoju. Zamknęła drzwi i poczłapała do jednej z łazienek, na koniec korytarza.

— Ona bierze cukierki — wyjaśniła Ruth.

Lodowata fala obrzydzenia wstrząsnęła Laurą.

— Och, nie.

— Tak — powiedziała Elma. — Nie to, żeby miała chęć na cukierki. Ona jest... pomieszana w

środku. Chce, żeby ją ktoś lubił w taki sposób, jak robi to Węgorz.

— Ale dlaczego? — spytała Laura.

Ruth i □elma dokonały kolejnej wymiany swoich specjalnych spojrzeń, dzięki którym zdawały się podejmować decyzję w danej sprawie bez słów, w przeciągu jednej, dwóch sekund. Ruth, wzdychając, wyjaśniła:

— No wiesz, Tammy chce takiego kontaktu, bo... jej ojciec nauczył ją tego chcieć.

Laura była wstrząśnięta.

— Jej własny ojciec?

— Nie wszystkie dzieci u McIlroya są sierotami — mówiła □elma. — Niektóre są tu, bo ich rodzice popełnili przestępstwa i poszli do więzienia. A inne były dręczone przez swoich starych fizycznie albo... seksualnie.

Ożywcze powietrze, płynące przez otwarte okno, było prawdopodobnie tylko o jeden albo dwa stopnie zimniejsze niż wtedy, kiedy zasiadały w kółko na podłodze, ale Laurze wydało się, że to chłodny, późnojesienny wiatr tajemniczym sposobem przeskoczył w czasie kilka miesięcy i wślizgnął się w sierpniową noc.

Odezwała się:

— Ale, tak naprawdę, to Tammy tego nie lubi?

— Nie, nie sędzę — powiedziała Ruth — ale ona tak...

— ...musi — dokończyła □elma. — Nie może sobie z tym poradzić. Jest pokręcona.

Milczały wszystkie, myśląc o rzeczach, przed którymi myśl staje bezradna i w końcu Laura powiedziała:

46

— Dziwne i... takie smutne. Nie dałoby się z tym skończyć? Nie mogłybyśmy powiedzieć o Sheenerze pani Bowmaine albo innej wychowawczyni?

— To nic by nie dało — powiedziała □elma. — Węgorz wyparłby się. Tammy też by się wyparła, a my nie mamy żadnych dowodów.

— Ale jeżeli on napastował nie tylko ją, to jedna z tych pozostałych...

Ruth potrząsnęła głową.

— Większość przeniesiono do domów opieki społecznej, do rodzin zastępczych albo wróciły do swoich rodzin. Te dwie czy trzy, które tu zostały... no cóż, albo są takie jak Tammy, albo śmiertelnie boją się Węgorza, za bardzo, żeby pisać choć słówko.

— A poza tym dorośli nie chcą nic wiedzieć, nie chcą mieć z tym do czynienia — wyjaśniła □elma. — Wyszliby na głupców, gdyby się okazało, że dopuścili, żeby się to działo pod ich nosem. A poza tym, kto wierzy dzieciom?

□elma zaczęła parodiować panią Bowmaine, uchwyciła nutę fałszu w jej głosie tak doskonale, że Laura od razu rozpoznała, o kogo chodzi:

— Och, moja droga, to są okropne, kłamliwe istoty. Hałaśliwe, kłótlive, uciążliwe małe potwory, zdolne dla samej przyjemności zniszczyć reputację panu Sheenerowi. Gdyby tak dało się im wstrzyknąć środki uspokajające, powiesić na hakach i podawać pokarm dożylnie, o ileż skuteczniejszy byłby nasz system, moja droga — i o ileż większy byłby z tego pożytek dla nich samych.

— I wtedy Węgorz byłby oczyszczony z podejrzeń — powiedziała Ruth — wróciłby tu i znalazł sposób, abyśmy zapłaciły za oskarżenie go. Już raz tak było z jednym perwersem, który tu pracował, z facetem, którego nazywałyśmy Łasica Fogel. Biedny Denny Jenkins...

— Denny doniósł na Łasicę Fogla; powiedział pani Bowmaine, że Łasica napastował jego i dwóch innych chłopców. Fogla zawiesili. Ale ci dwaj nie potwierdzili opowieści Denny'ego. Bali się Łasicy... a równocześnie tkwiła w nich ta chorobliwa potrzeba akceptacji. Kiedy Bowmaine i jej zespół przesłuchiwali Denny'ego...

— Walcowali go — wpadła w gniew Ruth — zadawali podchwytliwe pytania, aby złapać go w pułapkę. Pomieszało mu się, zaczął sam sobie zaprzeczać, więc powiedzieli, że to wszystko zmyślił.

— A Fogel wrócił do pracy — powiedziała □elma.

— Odczekał — dodała Ruth — a potem znalazł sposób, żeby zatruć Denny'emu życie. Dręczył go bez przerwy, aż kiedyś... Denny po prostu zaczął krzyczeć i nie mógł przestać. Lekarz dał mu zastrzyk, a potem go zabrali. Powiedzieli, że ma zaburzenia emocjonalne. — Była bliska płaczu. — Nigdy już go nie zobaczyłyśmy.

□elma położyła siostrze rękę na ramieniu. Powiedziała do Laury:

— Ruth lubiła Denny'ego. Był miły. Mały, nieśmiały, dobry... nie miał żadnych szans. Dlatego musisz być twarda wobec Węgorza. Nie może zobaczyć, że się boisz. Jakby czegoś próbował, krzycz. I kop w krocze.

47

Tammy wróciła z łazienki. Nie spojrzała na nie, zdjęła pantofle i wślizgnęła się pod kołdrę.

Laura, chociaż wzdrygała się na myśl, że Tammy ulega Sheenerowi, czuła wobec tej delikatnej blondyneczki bardziej współczucie niż obrzydzenie. Nic nie mogło być bardziej godne litości niż widok tej małej, samotnej dziewczynki leżącej na wąskim, zapadającym się łóżku.

Tej nocy Laura śniła o Sheenerze. Miał swoją własną głowę, ale cielsko białego węgorza. Gdziekolwiek by Laura uciekła, Sheener wślizgiwał się za nią; przeciskał się, wijąc, przez zamknięte drzwi i inne przeszkody.

2.

Po tym, co zobaczył, Stefan powrócił z głównego laboratorium instytutu do swojego biura na drugim piętrze ze zmartwiałym sercem. Usiadł przy biurku i ukrył twarz w dłoniach. Był wstrząśnięty, wściekły i przerażony.

Ten rudy skurwiel, Willy Sheener, zgwałci Laurę wielokrotnie, pobije ją i zostawi półżywą w stanie takiego szoku, że ona nigdy z tego nie wyjdzie. To nie była tylko kwestia prawdopodobieństwa, to nastąpi na pewno, jeżeli on temu nie zapobiegnie. Widział to, co już nastąpiło: pokrytą bliznami twarz Laury, zmasakrowane usta. Najgorsze z tego wszystkiego były oczy: miały płytkie, na wpół umarłe spojrzenie — spojrzenie dziecka, które nie oczekiwało już od

życia radości ani nadziei.

Zimny deszcz stukał o biurowe okna. Ten głuchy odgłos rozbrzmiewał w nim echem, jakby potworności, których był świadkiem, wypaliły go do pustej skorupy.

Poprzednio, w sklepie jej ojca, uratował Laurę przed ćpunem, ale oto już pojawił się następny pedofl. Eksperymenty w instytucie między innymi nauczyły go, że przekształcanie losu nie jest rzeczą łatwą. Przeznaczenie dąży do przywrócenia tego kształtu, jaki miało posiadać. Być może gwałt i psychiczne zniszczenie były tak trwałą częścią losu Laury, że nie będzie w stanie im zapobiec i nastąpią one wcześniej czy później. Może nie zdoła uratować jej przed Willym Sheenerem albo jeżeli nawet pokrzyżuje mu szyki, inny gwałcieł wkroczy w życie dziewczynki. Ale musi spróbować.

Te na wpół umarłe, pozbawione radości oczy...

3.

W Domu McIlroya przebywało siedemdziesięcioro sześciorgo dzieci; żadne z nich nie ukończyło trzynastego roku życia. Po przekroczeniu tej granicy wieku przenoszono je do Caswell Hall w Anaheim. Ponieważ w wykładanej dębową boazerią jadalni u McIl

48

roya mieściła się tylko czterdziestka, posiłki wydawano na dwie zmiany. Laura, wraz z bliźniaczkami Ackerson, była w drugiej.

Pierwszego ranka w przytułku, stojąc między □elmą a Ruth w kolejce po posiłek, Laura spostrzegła, że jednym z czterech wydających jest Willy Sheener. Pilnował, żeby nie zabrakło mleka i szczypcami nakładał bułeczki na tacki.

Laura przesuwiała się w kolejce, a Węgorz poświęcał jej więcej uwagi niż dzieciom, które akurat obsługiwał.

— Nie daj się spieszyć — szeptała □elma.

Laura mężnie usiłowała wytrzymać spojrzenie Sheenera — i zawarte w nim wezwanie. Ale to ona pierwsza spuściła wzrok. Kiedy dotarła do jego stanowiska, powiedział:

— Dzień dobry, Lauro — i położył na jej tacce słodką bułeczkę, wyjątkową bułeczkę, którą dla niej zachował. Była dwa razy większa od pozostałych i miała więcej jagód i lukru.

We czwartek, po trzech pełnych dniach pobytu w przytułku, Laura przemęczyła się na spotkaniu, typu jak-ci-się-u-nas-podoba, z panią Bowmaine. Odkryło się ono w biurze wychowawczynie na parterze. Etta Bowmaine była tęga, a jej garderoba zawierała wyłącznie pozbawione wdzięku sukienki z drukowanych tkanin w kwiatowe wzory. Wypowiadała wytarte zwroty i komunały z tą rozlewną nieszczerością, którą tak doskonale parodiowała □elmą. Zadawała masę pytań i w zasadzie nie oczekiwała na nie rzetelnych odpowiedzi. Laura naopowiadała, jak szczęśliwa jest u McIlroya, i kłamstwa te wprawiły panią Bowmaine w zachwyt.

Wracając do swojego pokoju na drugim piętrze, na północnych schodach Laura natknęła się na

Węgorza. Weszła właśnie na drugie półpiętro. Stał na następnej kondygnacji, wycierając ścierką dębową poręcz. Zakręcona butelka pasty do mebli stała o stopień niżej.

Zamarła i serce zaczęło jej bić w podwójnym tempie, bo zrozumiała, że zaczął się tu na nią. Wiedział o wezwaniu jej do biura pani Bowmaine i domyślił się, że wróci do swojego pokoju najbliższymi schodami.

Byli sami. W każdej chwili ktoś mógł się pojawić: inne dziecko albo któryś z opiekunów. Ale w tym momencie byli sami.

W pierwszym odruchu chciała zawrócić i pójść południowymi schodami, ale przypomniała sobie, co □elma powiedziała o konieczności stawienia czoła Węgorzowi i o tym, jak takie typy żerują na słabeuszach. Mówiła sobie, że najlepiej zrobi przechodząc obok niego bez słów, ale nogi miała jak przyśrubowane do podłogi; nie była zdolna wykonać kroku. Spoglądając na nią z wysokości połowy kondygnacji, Węgorz uśmiechnął się. Był to koszmarny uśmiech: miał białą skórę i bezbarwne wargi, krzywe zęby, pożółkłe i pokryte brązowymi plamkami jak skóra przejrzałego banana. Pod rudą, rozwi

49

chrzoną czupryną ta twarz robiła wrażenie maski klauna, ale nie tego, którego widuje się w cyrku, lecz takiego, jacy krążą w wieczór Halloween — z rodzaju tych, co to mogą nosić przy sobie, zamiast ręcznej polewaczki, piłę elektryczną.

— Śliczna z ciebie dziewczynka, Lauro.

Próbowała wydusić z siebie, żeby poszedł do diabła. Nie była w stanie.

— Chciałbym zostać twoim przyjacielem — powiedział.

Jakoś udało się jej zebrać siły, żeby ruszyć na górę, w jego kierunku.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej — pewnie wydało mu się, że przyjęła jego propozycję. Sięgnął do kieszeni spodni w kolorze khaki i wyciągnął parę karmelowych baloników Tootsie Roll...

Laura przypomniała sobie, jak się śmiały, kiedy □elma opowiadała o głupawych i prostackich propozycjach Węgorza i nagle przestał się jej wydawać tak groźny jak przed chwilą. Ofarowując jej Tootsie Roll i łypiąc na nią pożądlivym okiem, Sheener był zabawną postacią, karykaturą zła i roześmiałyby mu się w nos, gdyby nie wiedziała, jak postępował z Tammy i z innymi dziewczynkami. Więc choć nie była w stanie zdobyć się na śmiech, to nedorzeczny wygląd i zachowanie Węgorza dodały jej odwagi, by szybko go wyminąć.

Kiedy dotarło do niego, że nie zamierza wziąć słodyczy ani odpowiedzieć na jego propozycję, spróbował ją zatrzymać, kładąc rękę na ramieniu. Zrzuciła ją gniewnie.

— Nigdy nie dotykaj mnie, ty świrze.

Ruszyła schodami, starając się za wszelką cenę nie przyspieszyć kroku. Gdyby zaczęła biec, zorientowałby się, że się go boi i stałby się jeszcze bardziej natrętny.

Kiedy była tylko dwa stopnie od następnego podestu, odetchnęła, prawie pewna, że wygrała, że jej odwaga wywarła na nim wrażenie. Wtedy usłyszała charakterystyczny dźwięk zamka błyskawicznego. Zza pleców doszedł ją głośny szept:

— Hej, Laura, popatrz na to. Popatrz, co tu mam dla ciebie. — W jego głosie brzmiał obłąkańczy, pełen nienawiści ton. — Popatrz, popatrz na to, co mam w ręce, Laura.

Nie obejrzała się.

Dotarła do podestu i zaczęła wchodzić na następną kondygnację, powtarzając w myśli: „Nie ma powodu uciekać, nie odważ się uciekać, nie uciekaj, nie uciekaj”.

Stojąc o jedną kondygnację niżej, Węgorz odezwał się.

— Popatrz na ten wielki batonik Tootsie Roli, który teraz trzymam. Jest większy niż inne.

Na drugim piętrze Laura pobiegła prosto do łazienki. Mocno wyszorowała ręce. Musiała to zrobić po tym, jak zrzuciła z ramienia rękę Sheenera.

Później razem z bliźniaczkami Ackerson na podłodze sypialni zwołały naradę wojenną. □elma wyła ze śmiechu, kiedy usłyszała, jak to Sheener chciał namówić Laurę, aby spojrzała na jego „duży batonik Tootsie Roll”.

— Jest nieoceniony, no nie? — wykrztusiła. — Skąd podłapał tę kwestię? Może Doubleday wydał Słownik Perwersów: Klasyczne Odzywki Wstępne albo coś w tym rodzaju?

50

— Kłopot w tym — odezwała się zaniepokojona Ruth — że nie zrezygnował, kiedy Laura mu się postawiła. Nie sądzę, żeby odczepił się od niej tak szybko, jak od innych dziewcząt, które mu się nie dały.

Tej nocy Laura miała kłopoty z zaśnięciem. Myślała o swoim specjalnym obrońcy i zastanawiała się, czy pojawi się w równie cudowny sposób jak poprzednio i czy zajmie się Willym Sheenerem. Jakoś nie czuła, że może na niego liczyć i tym razem.

Przez następne dziesięć dni, podczas gdy mijał sierpień, Węgorz towarzyszył Laurze równie wytrwale jak Księżyc Ziemi. Kiedy razem z bliźniaczkami Ackerson zachodziła do pokoju zabaw pograć w karty albo w Monopol, dziesięć minut później zjawiał się tam Sheener i zabierał się do pracy: ostentacyjnie mył okna, glansował meble albo naprawiał karnisze, choć w istocie cała jego uwaga skupiona była na Laurze. Jeżeli dziewczynki, chcąc pogadać lub pobawić się, szukały odosobnienia w kącie boiska, Sheener pojawiał się tam wkrótce, nagle odkrywszy, że krzewy wymagają podcięcia albo że trzeba podrzucić im nawozu. A chociaż drugie piętro było przeznaczone wyłącznie dla dziewcząt, to męska część obsługi mogła tam przebywać w celach porządkowych między dziesiątą rano a czwartą po południu, więc Laura nie miała w tych godzinach zapewnionego żadnego bezpieczeństwa w swoim pokoju.

Gorsza od uporu Węgorza była przerażająca gwałtowność, z jaką rosło jego złowrogie uczucie, chore pożądanie, którego objawem była rosnąca intensywność spojrzenia i strugi kwaśnego potu, zlewającego go, kiedy przebywał obok niej dłużej niż kilka chwil w jednym pomieszczeniu.

Laura, Ruth i □elma usiłowały sobie wmówić, że zagrożenie ze strony Węgorza maleje wraz z każdym dniem, w którym jej nie zaczepił, to jego wahanie dowodzi, że pogodził się z faktem, iż Laura nie jest dostępną zdobyczą. Ale w głębi serca wiedziały, że są to wyłącznie pobożne życzenia. Nie potrafiły jednak przyjąć do wiadomości pełnego wymiaru zagrożenia aż do pewnego sobotniego popołudnia pod koniec sierpnia, kiedy to powróciwszy do swojego pokoju zastały Tammy, która w napadzie szalonej zazdrości niszczyła zbiór książek Laury.

Biblioteczkę złożoną z pięćdziesięciu paperbacków — jej ulubionych, przywiezionych z mieszkania nad sklepem i przechowywanych teraz pod łóżkiem — Tammy wywlokła na środek pokoju i z gorączkową nienawiścią porwała dwie trzecie z nich.

Laura była zbyt osłupiała, żeby zdobyć się na działanie, ale Ruth i Elma odciągnęły dziewczynkę od książek i powstrzymały ją.

Były to ulubione książki Laury, stanowiły też więź z niezującym ojcem, który je kupił. Z tych powodów, ale przede wszystkim dlatego, że posiadała tak niewiele na własność, po ich stracie poczuła się cała obolała. Jej dobytek był skromny i ubogi, ale nagle uświadomiła sobie, że stanowił zapórę przed okrucieństwami życia.

51

Od momentu, w którym żywy obiekt jej wściekłości stanął przed nią, Tammy przestała myśleć o książkach.

— Nienawidzę cię, nienawidzę! — Po raz pierwszy od chwili ich poznania jej blada, ściągnięta twarzyczka była pełna życia, zarumieniona i konwulsyjnie wykrzywiona od nadmiaru emocji. Przypominające blizny kręgi wokół oczu nie zniknęły, ale przestały nadawać jej wygląd osoby słabej czy złamanej. Była teraz dzika i drapieżna.

— Nienawidzę cię, Laura, nienawidzę cię!

— Tammy, kochanie — uspokajała ją Elma, usiłując opanować dziewczynkę — Laura ci nigdy nic nie zrobiła.

Gwałtownie dysząc, ale nie szamocąc się już w objęciach Ruth i Elmy, wysokim, piskliwym głosem Tammy krzyczała do Laury:

— Tylko o tobie mówi, już go nie obchodzę, tylko ty, bez przerwy ty, nienawidzę cię, po co tu przyszłaś, nienawidzę cię!

Żadna z nich nie musiała pytać, kogo Tammy ma na myśli. Węgorz.

— Już mnie nie chce, teraz nikt mnie nie chce, żąda tylko, żebym mu pomogła się do ciebie dostać. Laura, Laura i Laura. Chce, żebym cię gdzieś ściągnęła, tam gdzie będzie cię miał samą, gdzie mu nikt nie będzie przeszkadzał, ale ja tego nie zrobię, nie! Bo co będzie ze mną, kiedy on już cię dostanie? Nic.

Twarz jej płonęła z gniewu. Ale gorsza niż wściekłość była malująca się na niej bezdenne rozpacz.

Laura wybiegła z pokoju i rzuciła się w dół korytarza, do ubikacji. Czując mdłości z obrzydzenia i strachu, upadła na kolana na popękane, żółte kafe przed jedną z toalet i zwymiotowała. Kiedy zrzuciła już wszystko z żołądka, podeszła do umywalki i wypłukała kilkakrotnie usta, a potem ochlapała twarz wodą. Wreszcie podniosła głowę, spojrzała w lustro i zapłakała.

To nie samotność czy strach wywołały jej łzy. Płakała nad Tammy.

Świat był niewyobrażalnie podły, jeżeli życie dziesięcioletniej dziewczynki mogło ulec takiej degradacji, że jedyne słowa aprobaty, jakie słyszała od dorosłego, padały z ust umysłowo chorego, napastującego ją mężczyzny, a jedynym przedmiotem jej dumy było wątłe, niedojrzałe ciało.

Laura uświadomiła sobie, że sytuacja Tammy jest nieskończenie gorsza od jej własnej. Nawet pozbawiona książek zachowa dobre wspomnienie o kochającym, życzliwym, delikatnym ojcu. Tammy nie miała nic. Nawet nie posiadając tych niewielu rzeczy, Laura dalej utrzyma pełnię władz umysłowych, a psychika Tammy uległa zniszczeniu, być może w stopniu nieodwracalnym.

4.

Sheener mieszkał w bungalowie przy spokojnej uliczce w Santa Ana. Było to jedno z tych miejsc zbudowanych po drugiej wojnie światowej: małe schludne domki ozdobione interesującymi szczegółami architektonicznymi. Tej jesieni 1967 roku dojrzały różne rodzaje drzew fkusowych i opiekuńczo wyciągały swe gałęzie nad domami. Dom Sheenera był ponadto ukryty wśród wyrosniętych krzewów azalii, eugeniei i czerwonołistnego hibiskusa.

Przed północą, używając plastikowej płytki, Stefan wypchnął, rygiel w tylnych drzwiach i wślizgnął się do domu. Śmiało zapalił światła; nie trudił się nawet zasunięciem zasłon w oknach.

Kuchnia była nieskazitelna. Niebieskie, laminatowe blaty błyszcząły. Chromowane rączki przyrządów, kurki zlewu, metalowe obramowania krzeseł kuchennych — wszystko to lśniło, nie skażone nawet jednym śladem palca.

Otworzył lodówkę. Nie miał pojęcia, czego się spodziewa. Może dowodu nienormalności Sheenera, szczątków dawnej ofary, którą gospodarz napastował, zamordował i zamroził, aby zachować pamiątkę swoich zwyrodniałych namiętności. Nic równie dramatycznego. Niemniej jednak oczywista była fetyszycacja czystości; cała żywność została schowana do odpowiednich plastikowych pojemników.

Równocześnie zawartość zarówno lodówki, jak i szafek, była nietypowa. Mieściły się tam słodycze, ogromne ilości słodyczy: lody, cukierki, ciasteczka, placuszki, pączki, nawet krakersy dla psów. Była również cała masa żywności mającej formę zabawek, takich jak Kościane Spaghetti i puszki zup jarzynowych, w których kluski miały kształt postaci z popularnych kreskówek. Spizarnia Sheenera wyglądała, jakby zapełniło ją dziecko dysponujące wprawdzie książeczką czekową, ale pozbawione opieki dorosłego. Stefan ruszył w głąb domu.

5.

Starcie nad podartymi książkami wyczerpało tę odrobinę żywotności, jaką Tammy dysponowała. Nie mówiła nic więcej o Sheenerze i wydawało się, że nie czuje już żadnej wrogości do Laury. Dzień po dniu wycofywała się w głąb siebie, odwracając oczy od wszystkich i jeszcze niżej spuszczać głowę; jej głos stawał się coraz słabszy.

Laura nie wiedziała, co bardziej jej doskwiera — nieustanne zagrożenie ze strony Białego Węgorza czy widok Tammy, której wiotka osobka nikła coraz bardziej, w miarę jak wpadała w stan bliski

wanie zostały zdjęte z ramion Laury. Dowiedziała się, że następnego dnia zostanie przeniesiona do rodziny opiekuńczej mieszkającej w Costa Mesa.

Do pewnego stopnia żal jej było opuszczać siostry Ackerson. Znała je zaledwie od kilku tygodni, ale przyjaźnie zadzierzgnięte w ciężkich warunkach zawiązują się szybciej i są trwalsze, niż zawarte w czas bardziej powszedni.

Tego wieczoru, kiedy we trójkę zasiadły na podłodze w ich pokoju, □elma odezwała się:

— Shane, jeśli to skończy się na dobrej rodzinie, szczęśliwym domu, to po prostu ląduj tam miękko i używaj. Jeśli dobrze trąfisz, to zapomnij o nas, znajdź nowych przyjaciół i idź własną drogą. Ale legendarne siostry Ackerson — Ruth i moi — przechodziłyśmy przez ten młyn z rodziną opiekuńczą w trzech niedobrych przypadkach, więc pozwól uświadomić się, że jeśli wylądujesz w fatalnym miejscu, to nie musisz tam zostawać.

— Po prostu dużo rozpaczaj i niech każdy wie, jaka jesteś nieszczęśliwa. Jeżeli nie umiesz rozpaczać, udawaj — powiedziała Ruth.

— Dąsaj się — radziła □elma. — Bądź niezdarna. Przypadkowo, za każdym razem, jak będziesz zmywać, tłucz talerz. Sprawiaj sobą kłopot.

Laura była zdziwiona:

— Robiłyście to wszystko, chcąc wrócić do McIlroya?

— To i jeszcze trochę — odpowiedziała Ruth.

— Ale czy nie czułyście się okropnie niszcząc cudze rzeczy?

— Ruth przychodziło to trudniej niż mnie — wyjaśniła □elma. — Ja mam w sobie diabła, podczas kiedy Ruth jest inkarnacją nieśmiałej, słodziuchnej, czternastowiecznej mniszki, której imienia nie zdołałyśmy jeszcze ustalić z całą pewnością.

Już pierwszego dnia Laura wiedziała, że nie chce zostać pod opieką rodziny Teagłów, ale usiłowała się z nimi zgrać, gdyż początkowo wołała ich towarzystwo od powrotu do McIlroya.

Dla Flory Teagel życie stanowiło mgliste tło. Liczyły się tylko krzyżówki. Spędzała dnie i noce przy stole w swojej pomalowanej na żółto kuchni, bez względu na pogodę opatulona w wełnianą kamizelę. Brnęła przez kolejne wydawnictwa z krzyżówkami z poświęceniem równie zadziwiającym co idiotycznym.

Zwykle odzywała się do Laury tylko po to, aby wręczyć jej listę obowiązków albo zapytać o pomoc w krzyżówkowych zawilościach. Kiedy dziewczynka stała przy zlewie, zmywając naczynia, Flora rzucała:

— Kot, na siedem liter.

Odpowiedź Laury była zawsze taka sama:

— Nie wiem.

— „Nie wiem, nie wiem, nie wiem” — szydziła pani Teagel. — Ty, zdaje się, niczego nie wiesz, dziewczyno. Nie uważasz w szkole? Nie dbasz o język, o słownictwo?

Laura była oczywiście zafascynowana słowami. Stanowiły dla niej twory piękna, każde jak magiczny pył czy napar, który zmieszany z innymi jest zdolny oddziaływać z potężną mocą. Ale dla Flory Teagel słowa były pionkami do gry, w drażniący sposób umykającymi jej kupkami liter, które musi wepchnąć w puste kwadraciki.

Mąż Flory, Mike, pracował jako kierowca ciężarówki. Był tęgim mężczyzną o dziecinnej twarzy. Wieczory spędzał w fotelu, ślęcząc nad National Enquirer i jego imitacjami, pochłaniając beużyteczne fakty z wątpliwych opowieści o kontaktach z „obcymi” i o gwiazdach filmowych oddających cześć diabłu. Jego pociąg do — jak to nazywał — „niesamowitych wiadomości” byłby nieszkodliwy, gdyby był równie zajęty sobą, jak jego żona. Niestety, często trafiał na Laurę w trakcie jej prac domowych albo w tych rzadkich chwilach, kiedy mogła odrabiać lekcje, i upierał się przy czytaniu jej co dziwniejszych artykułów.

Uważała te historie za grupie, nielogiczne i pozbawione sensu, ale nie mogła mu tego powiedzieć. Wiedziała, że nie poczuje się obrażony, jeśli powie mu, że jego gazety to bzdura. Zamiast tego popatrzy na nią z politowaniem, a potem z doprowadzającym do szaleństwa spokojem, rozwścieczającym, wszystkowiedzącym tonem, spotykanym tylko u przeuczonych albo totalnie nie douczonych osób, przystąpi do tłumaczenia jej zasad, według których funkcjonuje świat. W pełnym wymiarze, wciąż w kółko.

— Lauro, musisz dużo się nauczyć. Grube ryby, które rządzą w Waszyngtonie — oni wiedzą o tych „obcych” i o tajemnicach Atlantydy...

Różniac się od siebie. Flora i Mike dzielili jedno przekonanie: celem przyjęcia dziecka do rodziny opiekuńczej jest zapewnienie sobie darmowej służby. Od Laury oczekiwano sprzątanego, prania, prasowania i gotowania.

Ich jedynym własnym dzieckiem była córka Hazel, starsza od Laury o dwa lata i bardzo starannie zepsuta. Hazel nigdy nie gotowała, nie zmywała naczyń, nie prała ani nie sprzątała domu. Choć miała dopiero czternaście lat, nosiła znakomicie wykonany manicure i pomalowane paznokcie u rąk i nóg. Gdyby od liczby jej lat odjąć godziny spędzone na strojeniu się przed lustrem, miałyby dopiero pięć.

— Po wypraniu — wyjaśniła Laurze podczas jej pierwszego dnia pobytu w domu Teagłów — moje ubrania musisz zawsze prasować pierwsze. I wieszaj je zawsze kolorami.

Znam tę książkę, widziałam ten film — pomyślała Laura. Jezu! Załapałam się na tytułową rolę do Kopciuszka!

— Zamierzam zostać wielką gwiazdą filmową, a może modelką — mówiła Hazel. — Moja twarz, ręce i ciało to moja przyszłość; muszę ich pilnować.

Kiedy pani Ince — chuda jak patyk, o twarzy charta — pracowniczka z rządowej Agencji Opieki nad Dziećmi, zajmująca się sprawą Laury, w sobotni rano 16 września

złożyła zapowiedzianą wizytę w domu Teagłów, Laura miała zamiar domagać się powrotu do Domu

McIlroya. Zagrożenie ze strony Willy'ego Sheenera stało się mniejszym problemem niż codzienne współżycie z Teaglami.

Pani Ince pojawiła się punktualnie i zastała Florę przy zlewie. Zmywała pierwszy raz od dwóch tygodni. Laura siedziała przy kuchennym stole, na pozór zajęta krzyżówką, którą w istocie wetknęto jej w rękę w chwili, gdy u drzwi zadźwięczał dzwonek.

Podczas części wizyty poświęconej na prywatny wywiad z Laurą, przeprowadzony w jej sypialni, pani Ince nie okazała się skłonna uwierzyć w to, co usłyszała na temat zakresu obowiązkowych prac domowych Laury.

— Ależ moja droga, pan i pani Teagel są wyjątkowymi, godnymi naśladowania opiekunami. Nie wyglądasz mi na zaharowaną. Przybrałaś parę funtów.

— Nie oskarżam ich o to, że mnie głodzą — powiedziała Laura — ale nigdy nie starcza mi czasu na przygotowanie się do szkoły. Idę co wieczór spać wykończona...

— Poza tym — przerwała jej pani Ince — opiekunowie mają nie tylko dbać o dziecko, ale wychowywać je, a to oznacza naukę dobrych manier, wpojenie właściwych zasad i nawyku rzetelnej pracy.

Pani Ince była beznadziejna.

Laura przystąpiła do realizacji planu sióstr Ackerson dotyczącego uwolnienia się od nie chcianych opiekunów. Zaczęła sprzątać na chybił trafił. Kiedy kończyła zmywanie, talerze miały plamy i zacieki. A żelazko służyło jej do wprasowywania zmarszczek w ubrania Hazel.

Ponieważ utrata części zbioru książek nauczyła Laurę szacunku dla własności, nie mogła się zdobyć na zniszczenie talerza ani czegokolwiek innego należącego do Teagłów. Ale rezygnację z tej części planu rekompensowała uporem i brakiem szacunku. Ślęcząca nad krzyżówką Flora zapytała ją o sześcioliterowe słowo oznaczające „rodzaj osła”, na co Laura odpaliła: — Teagel. — A kiedy Mike zaczął powtarzać historię o latającym spodku, przeczytaną uprzednio w Enquirer, przerwała mu, rozwijając opowieść o zmutowanym człowieku-molu, żyjącym potajemnie w lokalnym supermarkecie. Co do Hazel, to zaproponowała jej wkroczenie w świat show-businessu w roli dublerki Ernesta Borgnine: — Naprawdę, Hazel, jesteś jak skóra zdarta z niego! Muszą cię zaangażować!

Upór szybko sprowadził na nią lanie. Przy swoich szerokich, upstrzonych bliznami dłoniach Mike nie potrzebował sięgać po trzepaczkę. Walił ją po pośladkach, ale zagryzła wargi, żeby nie miał satysfakcji z widoku jej łez. Obserwując to spoza kuchennych drzwi, Flora rzuciła:

— Mike, starczy. Bez śladów. — Przystał na to niechętnie dopiero wtedy, kiedy weszła do pokoju i powstrzymała jego rękę.

Tej nocy Laura miała kłopoty ze snem. Po raz pierwszy w życiu wykorzystała swoje umiłowanie słów, potęgę, tkwiącą w języku, aby osiągnąć zamierzony efekt i reakcja

Teagłów dowiodła, że potrafi jej używać. Jeszcze bardziej podniecała ją kielkująca w niej dopiero myśl, że słowa mogą jej służyć nie tylko jako tarcza przed światem. Słowa mogłyby zbudować jej drogę poprzez świat, drogę autorki książek, takich jak te, które lubiła. Rozmawiała z ojcem o zawodzie lekarki, tancerki baletowej, lekarza weterynarii, ale to były tylko rozmowy. Żaden z

tamtych projektów nie napełniał ją takim podnieceniem, jak wizja zostania pisarką.

Następnego ranka, kiedy zeszła do kuchni i zastała tam całą trójkę Teagłów nad śniadaniem, powiedziała:

— Hej, Mike, właśnie wpadłam na inteligentną kałamarnicę z Marsa. Mieszka w spłucze klozetowej.

— A cóż to ma być? — zagotował się Mike.

Laura uśmiechnęła się i wyjaśniła:

— Niesamowite wiadomości.

Dwa dni później była już w Domu McIlroya.

6.

Większa część mieszkania Sheenera, w tym living room, była urządzona tak, jakby mieszkał tu przeciętny człowiek. Stefan nie miał pojęcia, czego właściwie się spodziewał. Być może dowodów obłędu, ale nie tego czystego, utrzymanego we wzorowym porządku mieszkania.

Jedna z sypialni była pusta, za to druga wyglądała rzeczywiście niezwykle. Jedynym pościeleniem był wąski, leżący wprost na podłodze materac. Poszewki poduszek i prześcieradła, ozdobione kolorowymi, groteskowymi figurami królików z kreskówek, byłyby na miejscu w pokoju dzieciennym. Bładoniebieska szafa nocna i komódka były dostosowane do wymiarów dziecka. Na ich bokach i z przodu szufad wymalowano za pomocą szablonów żyrafy, króliczki, wiewiórki. Sheener posiadał też kolekcję Małych Złotych Książeczek i inne dziecięce wydawnictwa z obrazkami, wypchane zwierzątka i zabawki odpowiednie dla sześć-, siedmioletniego dziecka.

Na początku Stefan myślał, że w tym pokoju Sheener uwodzi dzieci z sąsiedztwa, że jest na tyle niezrównoważony, że wyszukuje sobie ofary nawet na swoim terenie, gdzie ryzyko jest największe. Ale w domu brakowało innego łóżka, a szafa i szufady komody były wypełnione męskimi ubraniami. Na ścianach wisiał z tuzin fotografii; przedstawiały tego samego, rudowłosego chłopczyka, niekiedy jako niemowlę, niekiedy jako siedmio-, ośmioletnie dziecko. To był mały Sheener. Jego twarz do dziś zachowała coś z rysów tego chłopca. W końcu Stefan pojął: to wewnątrz gospodarz urządził dla samego siebie. Świr tutaj spał. Kładąc się do łóżka, cofał się w pełen marzeń świat dziecka. Dopiero ta tajemnicza, nocna podróż w czas dzieciństwa przynosiła mu jakże rozpaczliwie upragniony spokój.

57

Stojąc w środku tego dziwnego pokoju, Stefan czuł równocześnie smutek i obrzydzenie. Prawdopodobnie Sheener napastował dzieci nie tylko czy nawet nie głównie po to, by zaspokoić swe seksualne pragnienia, ale by w ten sposób wchłonąć ich młodość, by mieć znowu tyle lat co one. Poprzez perwersję pragnął zanurzyć się nie tyle w moralnej ohydzie, co w utraconej niewinności. Budził zarówno wstręt, jak litość. Był nieprzystosowany do wymogów dorosłego życia, ale właśnie te braki powodowały, że równocześnie był niebezpieczny.

Stefan wzdrygnął się.

7.

Łóżko w dawnym pokoju sióstr Ackerson było teraz zajęte przez inne dziecko. Laurze wyznaczono mały dwuosobowy pokój w północnym skrzydle drugiego piętra, tuż przy schodach. Jej współlokatorka miała dziewięć lat i nazywała się Eloise Fisher. Nosiła mysi ogonek, była piegowata i cechował ją szalenie stateczny sposób bycia.

— Jak dorosnę, zostanę księgową — wyjaśniła Laurze. — Bardzo lubię cyfry. Możesz dodać całą kolumnę cyfr i za każdym razem wyjdzie ci to samo. Z cyframi nie ma niespodzianek; są kompletnie inne niż ludzie.

Rodzice Eloise zostali skazani na karę więzienia za rozprowadzanie narkotyków. U McIlroya oczekiwała na decyzję sądu, mającą ustalić, kto z jej krewnych może przejąć nad nią opiekę.

Laura, gdy tylko się rozpakowała, pognąła do pokoju sióstr Ackerson. Wpadając, krzyknęła:

— Ja być wolna, ja być wolna!

Tammy i nowa dziewczynka popatrzyły na nią bezmyślnie, ale Ruth i □elma podbiegły i uściskały ją. To było jak powrót do prawdziwego domu.

— Nie spodobałaś się swoim opiekunom? — pytała Ruth.

— Wiem! — wykrzyknęła □elma. — Użyłaś Planu Ackerson.

— Nie, załatwiłam ich podczas snu.

— Proste sposoby są zawsze skuteczne.

Nowa dziewczynka, Rebeka Bogner, miała około jedenastu lat. Ona i siostry Ackerson najwyraźniej nie mogły się ze sobą dogadać. Przysłuchując się rozmowie Laury z bliźniaczkami, Rebeka powtarzała: „jesteście kopnięte”, „zupełnie pokręcone” i „Jezu, ale cudaki”, z wyrazem, takiej wyższości i pogardy, że psuło to nastrój równie skutecznie, jak wybuch jądrowy.

Laura i bliźniaczki wyszły na dwór. Dopiero w kącie boiska mogły podzielić się nowinami, jakie zebrały się przez pięć tygodni, unikając przy tym zgryźliwych komentarzy

Rebeki. Był początek października i dni były jeszcze ciepłe, choć o tej porze, na kwadrans przed piątą, powietrze już się ochłodziło. Ubrane w żakiety siedziały na dolnych szczeblach „dżungli” zbudowanej z drabinek. Były same, młodsze dzieci myły się już przed wcześnie podawaną kolacją.

Nie minęło pięć minut, jak pojawił się Sheener. Niósł elektryczne nożyce do przycinania krzewów. Zajął się krzewem eugenii, oddalonym od nich o jakieś trzydzieści stóp, ale jego uwaga była skoncentrowana na Laurze.

Podczas kolacji Węgorz obsługiwał stanowisko z kartonami z mlekiem i z plackami wiśniowymi. Największy zachował dla Laury.

W poniedziałek poszła pierwszy raz do szkoły. Inne dzieci miały cztery tygodnie na pozawieranie znajomości. Nieliczne wspólne lekcje z Ruth i Elmą ułatwiały jej życie się ze szkołą, ale i przypominały o tym, że główną cechą życia sieroty jest tymczasowość.

We wtorek po południu, po powrocie ze szkoły, została zatrzymana w hallu przez panią Bowmaine.

— Lauro, czy możesz przyjść do mojego biura?

Pani Bowmaine miała na sobie purpurową sukienkę w kwiatowe wzory, które stanowczo kłóciły się z różową i brzoskwiniową tonacją zasłon i tapet. Laura została usadzona na krześle obitym tapicerką w różany wzór. Wychowawczyni stała za biurkiem, chcąc szybko załatwić sprawę Laury i zająć się innymi rzeczami. Pani Bowmaine była wciąż czymś zajęta i zaaferowana.

— Eloise Fisher opuściła nas dzisiaj — powiedziała.

— Kto się nią zajął? — spytała Laura. — Najbardziej lubiła babcię.

— Właśnie ona — potwierdziła pani Bowmaine.

To dobrze dla Elsie. Laura miała nadzieję, że piegowata przyszła księgowa z mysim ogonkiem znajdzie jakiegoś człowieka, któremu będzie mogła zaufać. Nie tylko suchym cyfrom.

— Teraz nie masz w pokoju koleżanki — rzeczowo podjęła pani Bowmaine — i nie ma gdzie indziej wolnego łóżka, więc nie mamy cię gdzie przenieść...

— Mogę coś zaproponować?

Pani Bowmaine skrzywiła się niecierpliwie i spojrzała na zegarek. Laura zaczęła szybko:

— Ruth i Elma są moimi najlepszymi przyjaciółkami, a ich koleżankami z pokoju są Tammy Hinsen i Rebeka Bogner. Nie wydaje mi się, żeby Tammy i Rebeka mogły się dogadać dobrze z Ruth i Elmą, więc...

— Chcemy, żebyście, dzieci, nauczyły się współżyć z ludźmi, którzy się od was różnią. Pobyt z dziewczętami, które już polubiłaś, nie kształtuje charakteru. W każdym ra

zie, nie jestem w stanie do jutra niczego zorganizować, a dziś jestem zajęta. Chcę więc wiedzieć, czy mogę ci zaufać i pozwolić ci spędzić samej noc w twoim dotychczasowym pokoju?

Laura nie była w stanie pojąć, jakich kłopotów wychowawczyni może się spodziewać po dziecku pozostawionym samotnie na jedną noc. Być może wyobrażała sobie, że Laura zabarykaduje się w pokoju tak skutecznie, że policja będzie musiała wysadzić drzwi, obezwładnić ją za pomocą gazu i wywlec w kajdankach.

Laura czuła się równie urażona, co oszołomiona.

— Oczywiście, że nic mi się nie stanie. Nie jestem niemowlakiem. Wszystko będzie w porządku.

— No... dobrze. Będiesz spała sama, ale przygotuj się, że jutro to się zmieni.

Po opuszczeniu kolorowego biura pani Bowmaine, Laura pomaszerowała ponurymi korytarzami. Wchodząc schodami na drugie piętro, nagle stanęła jak wryta. Biały Węgorz! Sheener dowie się o tym, że ma spać dziś w nocy sama. Wiedział o wszystkim, co się działo u McIlroya, a że miał klucze, mógł dostać się tu w nocy. Jej pokój mieścił się tuż przy schodach, więc mógł prześlizgnąć się z klatki schodowej do pokoju i obezwładnić ją w jednej chwili. Mógł ją ogłuszyć, oszołomić narkotykiem, wrzucić do worka, wynieść, zamknąć w piwnicy i nikt się nie dowie, co się z nią stało.

Na podeście drugiego piętra zawróciła. Zbiegła na dół, przeskakując po dwa stopnie, i skierowała się do biura pani Bowmaine. W rogu hallu prawie wpadła na Węgorza. Niósł zmywak na kij i pchał wiadro na kółkach. W powietrzu unosiła się gorzka woń środka czyszczącego o zapachu sosny.

Wyszczerzył do niej zęby. Może jej się tylko wydawało, ale była pewna, że Sheener już wiedział, że dzisiejszej nocy będzie spała sama.

Powinna wyminąć go, pójść do pani Bowmaine i prosić o zmianę ustaleń. Nie mogła poskarżyć się na Sheenera — spotkałby ją wtedy los Denny'ego Jenkinsa: utrata wiarygodności i nieustanne napastowanie ze strony narzuconego jej przez los prześladowcy. Ale stać ją było na wymyślenie rozsądnych argumentów, uzasadniających nagłą zmianę zdania.

Zastanawiała się, czy nie rzucić się na niego, pchnąć na wiadro, kopiąc przy tym po tyłku, i poradzić mu, żeby z nią nie zaczynał, bo jest od niego twardsza. Ale on — to nie Teaglowie. Mike, Flora i Hazel byli ograniczeni, natrętni i głupi, ale stosunkowo zdrowi na umyśle. Węgorz zdrowy nie był i nie wiadomo jak by zareagował, gdyby rozciągnęła go na podłodze.

Kiedy to rozważała, jego krzywe, żółtawe zęby wyszczerzały się coraz bardziej. Na policzkach pojawił się rumieniec, a kiedy Laura zdała sobie sprawę, że może to być rumieniec podniecenia, zebrało się jej na wymioty.

Odeszła i dopóki nie znikła mu z oczu na schodach, nie śmiała biec. Potem rzuciła się sprintem do pokoju sióstr Ackerson.

60

— Dziś w nocy będziesz tu spała — zdecydowała Ruth.

— Jasne — dodała □elma — u siebie musisz wytrzymać do nocnego obchodu, a potem prześlizgniesz się do nas.

Z kąta, w którym siedziała na łóżku i odrabiała matematykę, odezwała się Rebeka Bogner:

— Mamy tylko cztery łóżka.

— Będę spała na podłodze — odparła Laura.

— To jest sprzeczne z regulaminem — powiedziała Rebeka.

□elma spojrzała na nią groźnie i pogroziła pięścią.

— No dobra, w porządku — zgodziła się Rebeka. — Nigdy nie mówiłam, że nie życzę sobie, żeby tu zostawała. Podkreślałam tylko, że to sprzeczne z regulaminem.

Laura oczekiwała protestów Tammy, ale dziewczynka leżała na swoim zaścielonym łóżku, wpatrując się w sufit. Wydawała się zagubiona we własnych myślach; ich plany nie interesowały jej.

W wykładanej dębem jadalni, nad niestrawnym obiadem, składającym się z kotletów wieprzowych, kleistego puree i włóknistej zielonej fasolki, pod czujnym spojrzeniem Węgorza □elma powiedziała:

— A co do tego, dlaczego pani Bowmaine chciała wiedzieć, czy może ci zaufać w sprawie samotnie spędzonej nocy... bała się, czy nie popełnisz samobójstwa.

Laura nie chciała w to uwierzyć.

— Dzieciaki już tak tu robiły — przyznała Ruth. — Właśnie dlatego mieszkamy po dwie nawet w najmniejszych pokojach. Za dużo samotności... to jedna z tych rzeczy, które według nich załamują

emocjonalnie.

□elma dorzuciła:

— Nie pozwalają, żebyśmy z Ruth miały jeden z małych pokoi, bo skoro jesteśmy identycznymi bliźniaczkami, to myślą, że w gruncie rzeczy jesteśmy jak jedna osoba. Spodziewają się, że jak tylko zamkną za nami drzwi, natychmiast się powiesimy.

— To idiotyczne — powiedziała Laura.

— Jasne, że idiotyczne — zgodziła się □elma. — Wieszanie jest zbyt przyziemne. Zdziwiające siostry Ackerson — Ruth i moi — mają pociąg do dramatycznych rozwiązań. Zrobimy sobie harakiri skradzionymi nożami kuchennymi albo dorwiemy się do piły elektrycznej...

Rozmowy w jadalni były prowadzone półgłosem ze względu na pilnujących porządku dorosłych. Panna Keist, wychowawczyni mieszkająca na drugim piętrze, przesunęła się za stołem, przy którym Laura siedziała razem z siostrami Ackerson. □elma wyszeptała:

— Gestapo.

61

Kiedy panna Keist przeszła, Ruth kontynuowała:

— Pani Bowmaine ma dobre intencje, ale jej nie wychodzi. Gdyby zadała sobie trud i dowiedziała się, jaka jesteś, to nigdy nie zastanawiałaby się, czy popełnisz samobójstwo. Ty jesteś niezniszczalna.

Grzebiąc w niejadalnym posiłku, □elma powiedziała:

— Tammy Hinsen została raz przyłapaną w łazience z paczką żyletek. Zabierała się właśnie, żeby chlasnąć się po żyłach.

Laura poczuła się nagle przytłoczona tym cocktailem rzeczy zabawnych i tragicznych, absurdu i twardego realizmu, tworzących szczególny wzór ich egzystencji tu, w McIlroyu. W jednym momencie przekomarzały się radośnie, a po chwili dyskutowały nad samobójczymi skłonnościami ich znajomej. Uświadomiła sobie, że taki sposób patrzenia wykracza poza granice jej wieku. Kiedy tylko powróci do pokoju, zapisze to w pamiętniku z obserwacjami, który od niedawna prowadziła.

Ruth udało się wbić w siebie produkty z talerza. Westchnęła:

— Miesiąc po wypadku z żyletkami niespodziewanie przeszukali jej pokój, rozglądając się za niebezpiecznymi przedmiotami. Okazało się, że ma pojemnik z paliwem do zapalniczek i zapalki. Zamierzała iść pod prysznic, wylać go na siebie i podpalić.

— Och, Boże. — Laura myślała o chudej, jasnowłosej dziewczynce — z cerą jak popiół i obwódkami koloru sadzy pod oczami. Jej plan zniszczenia siebie był tylko wyrazem pragnienia, aby podsycić powolny ogień, który od dawna trawił ją od środka.

— Wysłali ją na dwa miesiące na intensywne leczenie — powiedziała Ruth.

— Kiedy wróciła — dokończyła □elma — dorośli opowiadali, jak to się jej polepszyło, ale według nas nic się nie zmieniło.

Dziesięć minut po tym, jak panna Keist przeprowadziła wieczorną inspekcję, Laura wymknęła się z łóżka. W opuszczonym korytarzu drugiego piętra paliły się tylko trzy lampy awaryjne. Ubrana w piżamę, z poduszką i kocem pod pachą, pobiegła na bosaka do pokoju sióstr Ackerson.

Tylko lampka przy łóżku Ruth była zapalona; jej właścicielka szepnęła:

— Laura, śpisz u mnie. Ja rozłożyłam sobie spanie na podłodze.

— No to złóż je i wracaj do łóżka — sprzeciwiła się Laura. Poskładała kilka razy koc i tak urządzone legowisko umieściła na podłodze w nogach łóżka Ruth i położyła się tam ze swoją poduszką. Ze swojego kąta odezwała się Rebeka Bogner:

— Jeszcze będziemy wszystkie miały z tego jakieś kłopoty.

— Czego się tak boisz? Co nam mogą zrobić? — spytała Elma. — Wystawią nas za dom, posmarują miodem i zostawią dla mrówek?

Tammy spała — albo udawała, że śpi.

Ruth zgasiła światło i zaczęły w ciemności układać się do snu.

62

Gwałtownie otworzyły się drzwi i górne światło nagle zalało pokój. Ubrana w czerwony szlafrok, z marsem na czole, wkroczyła do pokoju panna Keist.

— A, to tak! Laura, co ty tu robisz?

Rebeka Bogner zajęczała:

— Mówiłam wam, że będziemy miały kłopoty.

— Wracaj natychmiast do swojego pokoju, młoda damo.

Szybkość, z jaką panna Keist się zjawiała, była podejrzana. Laura spojrzała w kierunku Tammy Hinsen. Blondyneczka nie markowała dłużej snu. Oparta na łokciu, uśmiechała się nikle. Jasne — zdecydowała się być naganiaczką Węgorza. Spodziewała się, być może, że w ten sposób odzyska status faworytki.

Panna Keist odprowadziła Laurę do jej pokoju. Dziewczynka wdrapała się na łóżko. Panna Keist przez moment wpatrywała się w nią.

— Tu jest duszno. Otworzę okno. — Wracając już do siebie uważnie spojrzała na dziewczynkę. — Czy nie chciałabyś mi czegoś powiedzieć? Może coś jest nie tak?

Laura zastanawiała się, czy nie powiedzieć jej o Węgorzu. Ale co by się stało, gdyby Węgorz nie zdecydował się przyjść do jej pokoju i panna Keist czekałaby nadaremnie? Już nigdy więcej nie mogłaby go oskarżyć, bo wlokłoby się to za nią i nikt nie brałby jej na serio. A wtedy, nawet gdyby Sheener ją zgwałcił, wywinąłby się z tego.

— Nie, wszystko w porządku — odpowiedziała.

Panna Keist oświadczyła:

— Elma, jak na dziewczynkę w jej wieku, jest zbyt pewna siebie, przemądrzała. Jeżeli jesteś na tyle nierozsądna, by znów złamać regulamin, i to tylko dla całonocnej pogaduszki, znajdź przynajmniej takich przyjaciół, dla których warto podjąć to ryzyko.

— Tak jest, pszepani — bąknęła Laura, żeby tylko się jej pozbyć. Żałowała teraz, że w ogóle pomyślała o tym, by skorzystać z chwilowego zainteresowania wychowawczyni.

Gdy panna Keist opuściła pokój, Laura nie wyszła z łóżka i nie uciekła. Leżała w ciemnościach, pewna, że następny obchód będzie za jakieś pół godziny. Węgorz z pewnością nie pojawi się tu przed północą, a że była dopiero dziesiąta wieczór, to pomiędzy wizytą panny Keist i nadejściem Węgorza będzie miała masę czasu na przedostanie w bezpieczne miejsce.

Daleko, daleko w nocy zamruczał grom. Usiadła na łóżku. Jej obrońca! Odrzuciła przykrycie i podbiegła do okna. Nie było błyskawicy. Odległy odgłos rozplynał się. Czekwała dziesięć minut albo i więcej, ale nic się już nie zdarzyło. Rozczarowana, wróciła do łóżka.

Krótko po wpół do jedenastej trzasnęła gałka u drzwi. Laura zamknęła oczy, otworzyła usta i udawała sen.

Ktoś cicho przeszedł przez pokój i stanął przy jej łóżku.

63

Laura oddychała powoli, równo i głęboko, ale serce biło jej jak szalone.

To Sheener. Wiedziała, że to on. Och, Boże, zapomniała, że on ma źle w głowie, że jest nieobliczalny, a teraz zjawił się wcześniej, niż się go spodziewała, i już szykował zastrzyk. Zapakuje ją do worka i zabierze jak jakiś pomyłony Święty Mikołaj, który wynosi dzieci zamiast przynosić im prezenty.

Tykał zegarek. Zimny powiew poruszył frankami.

W końcu ten ktoś, stojący przy łóżku, wycofał się. Zamknął drzwi. A zresztą: to była panna Keist.

Wstrząsana gwałtownymi dreszczami Laura zsunęła się z łóżka i naciągnęła szlafrok. Otuliła ramiona kocem i opuściła pokój. Była boso, żeby nie robić hałasu stukającymi kapciami.

Nie mogła powrócić do pokoju sióstr Ackerson. Zamiast tego udała się w kierunku północnych schodów, ostrożnie otworzyła drzwi na klatkę schodową i weszła na zalany mglistym światłem podest. Nasłuchiwała odgłosu kroków Węgorza, które mogłyby dobiec z dołu. Schodziła uważnie, obawiając się zetknięcia z Sheenerem, ale do parteru dotarła bez przeszkód.

Drżąc z zimna, które z wykładanej płytkami podłogi przenosiło się na jej bose stopy, schroniła się w pokoju zabaw. Nie zapaliła światła, wystarczał jej niewyraźny poblask latarni, przenikający szyby okienne i kładący się srebrem na krawędziach mebli. Ostrożnie ominęła krzesła i stoliki do gier i położyła się za kanapą, na złożonym kocu.

Drzemała niespokojnie; często budziły ją koszmary. Stary dom pełen był tajemniczych nocnych odgłosów: trzeszczenia parkietu na wyższych piętrach i głuchych stęknień dobiegających ze starych wodociągów.

8.

Stefan zgasił światło i czekał w sypialni urządzonej dziecinnymi mebelkami. O wpół do czwartej nad ranem usłyszał powracającego Sheenera. Bezszelestnie wsunął się za drzwi sypialni. W parę chwil potem wkroczył tam Willy Sheener, zapalił światło i podszedł do materaca. Przechodząc przez pokój wydał dziwny dźwięk przypominający westchnienie lub sieknięcie zwierzęcia, które umykając wrogiemu światu zagłębia się w swoją norę.

Stefan zamknął drzwi. Sheener obrócił się gwałtownie, zaszokowany, że ktoś wdarł się do jego gniazda.

— Kim... kim jesteś? Co tu, do diabła, robisz?

Z chevroleta, zaparkowanego w cieniu po drugiej stronie ulicy, Kokoschka obserwował Stefana, opuszczającego dom Willy'ego Sheenera. Odczekał dziesięć minut, wyszedł z wozu i okrążył dom. Znalazł uchylone drzwi i ostrożnie wszedł do środka.

W dziecięcej sypialni odnalazł Sheenera — zmaltretowanego, skrwawionego i bez przytomności. W powietrzu unosił się odór moczu. Nieprzytomny mężczyzna stracił kontrolę nad pęcherzem.

Któregoś dnia, pomyślał Kokoschka z ponurą determinacją i dreszczem sadystycznej rozkoszy, urządę Stefana jeszcze lepiej. Jego i tę cholerną małą. Kiedy tylko dowiem się, jaką rolę ona gra w jego planach i dlaczego on przeskakuje dziesięciolecia, aby odmieniać jej życie, zadam im taki ból, że odkryją piekło na ziemi.

Opuścił dom Sheenera. Przez moment wpatrywał się w rozgwieżdżone niebo, po czym wrócił do instytutu.

9.

Krótko po wschodzie słońca, zanim pierwsi mieszkańcy przytułku obudzili się, Laura opuściła pokój zabaw i wróciła na swoje piętro. Nie zrobiła tego, zanim nie nabrała pewności, że niebezpieczeństwo ze strony Sheenera już jej nie grozi. Wszystko w jej pokoju było jak przedtem. Nic nie wskazywało na wizytę jakiegoś nocnego intruza.

Wyczerpana, z piekącymi oczyma, zastanawiała się, czy nie przeceniła odwagi i pomysłowości Węgorza. Było jej głupio.

Słała łóżko — u McIlroya było to obowiązkiem wszystkich dzieci — kiedy podniosła poduszkę i stanęła sparaliżowana na widok tego, co się pod nią kryło.

Tootsie Roll.

Tego dnia Biały Węgorz nie zjawił się w pracy. Czuwał przez całą noc, szykując się do porwania Laury, i bez wątpienia musiał to odespać.

— Jak taki człowiek może w ogóle zasnąć? — dziwiła się Ruth, kiedy po szkole spotkały się w kącie placu zabaw. — Chodzi mi o to, jak jego sumienie daje mu spać?

— Ruthie — uświadomiła ją □elma — on nie ma sumienia.

— Każdy ma, nawet najgorsi spośród nas. Takich nas Bóg stworzył.

— Shane — powiedziała □elma — gotuj się do asystowania przy egzorcyzmach. Nasza Ruth jest znów opętana kretyńskim duchem Dobrej Królowny.

Pani Bowmaine uległa niezwykłemu jak na nią odruchowi zrozumienia i przeniosła Tammy i

Rebekę do innego pokoju, a Laurze pozwoliła zamieszkać z bliźniaczkami. Czwarte łóżko na razie miało pozostać nie zajęte.

65

— To będzie łóżko Paula McCartneya — ogłosiła □elma, kiedy razem z Ruth pomogły Laurze się rozgościć. — Kiedy tylko Beatlesi będą w mieście, Paul może wpaść i skorzystać z niego. A ja z Paula!

— Czasem — upomniała ją Ruth — potrafisz być zenująca.

— Co ci jest?! Daję tylko upust moim zdrowym seksualnym pragnieniom.

— □elma, masz dopiero dwanaście lat! — powiedziała wyprowadzona z równowagi Ruth.

— Trzynastka za progiem. Mój pierwszy okres tuż-tuż. Któregoś dnia obudzimy się i będzie tu tyle krwi jak po masakrze.

— □elma!

Sheener nie pojawił się w pracy również we czwartek. W tym tygodniu miał wolny piątek i sobotę, więc kiedy minął sobotni wieczór, Laura i bliźniaczki z podniecenia zaczęły zastanawiać się nad szansą nieoglądania już nigdy Węgorza. Może wpadł pod ciężarówkę albo złapał beri-beri.

Ale podczas niedzielnego śniadania Sheener stał przy bufecie. Oczy miał podbite, prawe ucho zabandażowane, górną wargę nabrzmiałą i długie na sześć cali zadrapanie po lewej stronie szczęki. Brakowało mu dwóch przednich zębów.

— Może jednak wpadł pod ciężarówkę? — wyszeptala Ruth, kiedy przesuwały się wzdłuż kontuaru.

Inne dzieciaki komentowały okaleczenia Sheenera, a niektóre chichotały przy tym. Ale strach, nienawiść lub pogarda nie pozwalały zapytać wprost, co mu się stało.

Laura, Ruth i □elma ucichły, kiedy dotarły do bufetu. Im bliżej się przysuwały, tym wyraźniejsze stawały się ślady pobicia. Sińce pod oczami miały już parę dni, ale ciało dalej było okropnie odbarwione i spuchnięte; na początku obydwie opuchlizny musiały mu kompletnie przysłaniać oczy. Z rozciętej wargi wyglądało surowe mięso. Tam, gdzie na twarzy nie miał blizn ani zadrapań, zwykle mlecznobiała skóra była teraz szara. Ze swoją strzechą rozwichrzonych włosów koloru miedzi był absurdalną postacią — cyrkowy klaun, który fknął kozła ze schodów, spadł i połamał kości.

Podczas wydawania śniadania nie patrzył na żadne z dzieci, wzrok miał wbity w mleko i bułeczki. Kiedy Laura stanęła przed nim, wydawało się, że spał się cały, ale nie podniósł oczu.

Przy stole Laura i bliźniaczki ustawiły sobie tak krzesła, żeby móc obserwować Węgorza. Jeszcze przed godziną nie odważyłyby się o tym pomyśleć. Ale teraz był bardziej obiektem ciekawości niż strachu. Zamiast go unikać, włóczyły się za nim przez cały dzień. Staraly się robić to niby przypadkowo, po prostu wpadały tam, gdzie on był. Obserwowały go ukradkiem. Stopniowo stawało się jasne, że był świadomy obecności Laury, ale powstrzymywał się nawet przed zerknięciem w jej kierunku. Patrzył na inne dzieci, raz przystanął w pokoju zabaw, żeby zamienić cicho parę słów z Tammy Hinsen, ale wydawało się, że spojrzenie w oczy Laurze sprawiłoby mu taką przyjemność, jak wsadzenie palców w kontakt elektryczny.

Późnym popołudniem Ruth zauważyła:

— Laura, on się ciebie boi.

— Niech mnie, jeżeli jest inaczej — powiedziała □elma. — Czy to ty mu tak dołożyłaś, Shane? Ukrywałaś przed nami fakt, że jesteś ekspertem karate?

— To dziwne, nie? Dlaczego miałby się mnie bać?

Ale wiedziała dlaczego. Jej niezwykle obrońca. Chociaż była przekonana, że będzie musiała poradzić sobie sama z Sheenerem, jej opiekun znów przybył i ostrzegł, by trzymał się od niej z daleka.

Nie wiedziała, dlaczego czuła taki opór przed podzieleniem się opowieścią o jej tajemniczym opiekunie z bliźniaczkami Ackerson. Były jej najlepszymi przyjaciółkami. Ufała im. A jednak intuicyjnie czuła, że tajemnica jej obrońcy powinna pozostać tajemnicą. Jakkolwiek by była skąpa wiedza na jego temat, niech lepiej pozostanie wiedzą tajemną. Ona nie ma prawa wypaplać o nim innym ludziom, sprowadzając tajemną wiedzę do poziomu plotki.

Podczas następnych dwóch tygodni siniaki Węgorza rozpląły się, a usunięte z ucha bandaże odsłoniły żywą czerwień przy szwach, tam gdzie kawałek skóry został niemal oderwany. W dalszym ciągu trzymał się z daleka od Laury. Kiedy obsługiwał ją w jadalni, już nie trzymał dla niej lepszych kasek z deseru i dalej nie patrzył jej w oczy.

Czasem jednak chwytala jego spojrzenia z drugiego końca pokoju. Za każdym razem szybko odwracał wzrok, ale jego płonące, zielone oczy nosły teraz coś jeszcze gorszego niż dawne, chorobliwe pożądanie: wściekłość. Było oczywiste, że winił ją za bicie, które wycierpiał.

W piątek, 27 października, pani Bowmaine zakomunikowała jej nowinę: następnego dnia ma zostać przeniesiona do rodziny opiekuńczej.

Małżeństwo z Newport Beach, pan i pani Dockweiler, zostali właśnie włączeni w program opieki nad sierotami i byli gotowi zająć się nią.

— Jestem pewna, że ten układ da lepszy rezultat — oznajmiła pani Bowmaine, stojąc za biurkiem w żarzącej się żółtymi kolorami sukience z materiału w kwiatowe wzory. Wyglądała w niej jak sofa na oświetlonej słońcem werandzie.

— Lepiej, żeby kłopoty, jakie sprawiałaś państwu Teagel, nie powtórzyły się u Dockweilerów.

Tego wieczora w ich pokoju Laura i bliźniaczki starały się nie tracić humoru i omawiały zbliżające się rozstanie w takim samym zrównoważonym nastroju, co jej wyjazd do Teagłów. Ale były teraz bliższe sobie niż miesiąc temu, o tyle bliższe, że Ruth i □elma zaczęły traktować teraz Laurę, jakby była ich siostrą. Raz nawet □elma powiedziała:

— Zdziwiający siostry Ackerson — Ruth, Laura i moi — i Laura poczuła się bardziej potrzebna, kochana i żywa niż kiedykolwiek podczas trzech miesięcy od śmierci ojca.

— Kocham was — powiedziała.

— Och, Laura — wyszeptała Ruth i wybuchnęła płaczem.

□elma rzuciła gniewnie:

— Zaraz wrócisz. Ci Dockweilerowie to będą straszni ludzie. Każą ci spać w garażu.

— Mam nadzieję — powiedziała Laura.

— Będą cię tłukli wężem do podlewania kwiatów.

— Oby.

Tym razem grom, który w nią uderzył, to był dobry grom, a przynajmniej tak się wydawało na początku.

Dockweilerowie mieszkali w ogromnym domu, w drogiej dzielnicy Newport Beach. Laura dostała własną sypialnię, której wystrój utrzymany był w kolorach ziemi, głównie w beżach. Za oknem rozpościerał się ocean.

Prezentując pokój Carl Dockweiler powiedział:

— Nie znaleźliśmy twoich ulubionych kolorów, więc zostawiliśmy to tak, jak było, ale możemy to w całości przemaalować, jeśli tylko zechcesz. — Miał koło czterdziestki, był duży jak niedźwiedź, z klatką piersiową wielkości baryłki i szeroką, pomarszczoną twarzą, z której przypominałby Johna Wayne'a, gdyby w spojrzeniu Johna Wayne'a kryło się choć trochę rozbawienia. — Może dziewczynka w twoim wieku wolałaby różowy pokój?

— Och nie, podoba mi się tak, jak jest — zawołała Laura. Była stale oszołomiona widokiem bogactwa, które teraz na nią spłynęło. Podeszła do okna i ogarnęła wzrokiem wspaniały widok przystani Newport z jej jachtami podskakującymi na rozmigotanej w słońcu fali.

Nina Dockweiler podeszła do Laury i położyła rękę na jej ramieniu. Była śliczna. Z ciemną karnacją, kruczymi włosami i fołkowymi oczami wyglądała jak laleczka z chińskiej porcelany.

— Laura, w aktach agencji i opieki nad dziećmi napisano, że uwielbiasz książki, ale nie wiedzieliśmy jakie, więc idziemy prosto do księgarni i kupimy to, na co będziesz miała ochotę.

W księgarni Waladena Laura wybrała pięć tanich książek. Dockweilerowie zachęcali ją do dalszych zakupów, ale miała nieczyste sumienie, wydając ich pieniądze. Carl i Nina myszkowali między półkami, wyjmując z nich tom za tomem, odczytując jej reklamy z okładek, dodając do stosu książek nowe, kiedy tylko wykazała ślad zainteresowania. W pewnej chwili on zaczął czołgać się na kolanach obok działu literatury młodzieżowej, czytając tytuły z dolnej półki:

— Hej, tu jest jedna o psie. Lubisz historie o zwierzętach? A tu jest historia szpiegowska. — Przedstawiał sobą widok tak komiczny, że Laura zachichotała. Do czasu, kiedy wyszli z księgarni, kupili setkę książek, całe torbiszczce.

68

Pierwszy wspólny obiad zjedli w pizzerii, gdzie Nina ujawniła zaskakujący talent do sztuczek magicznych, wyciągając zza ucha Laury wianuszek pepperoni, żeby potem kazać mu zniknąć.

— To zadziwiające — powiedziała Laura. — Gdzie się tego nauczyłaś?

— Miałam firmę dekoracji wnętrz, ale musiałam z niej zrezygnować osiem lat temu. Względy zdrowotne. Za dużo napięć. Nie byłam przyzwyczajona do siedzenia w domu jak kupka nieszczęścia, więc zajęłam się tym wszystkim, o czym mogłam tylko marzyć, kiedy byłam kobietą interesu, nie mającą czasu dla siebie. Uczyłam się na przykład magii.

— Przyczyny zdrowotne? — spytała Laura.

Poczucie bezpieczeństwa jest jak dywan, który ludzie usiłują spod ciebie wyrwać, a teraz ktoś już szykował się, żeby znowu nim szarpnąć. Jej strach musiał być widoczny, gdyż Carl Dockweiler uspokoił ją:

— Nie martw się. Nina urodziła się z kiepskim sercem. To wada wrodzona, ale będzie żyła tak długo, jak ty czy ja, jeżeli będzie unikać napięć.

— A zoperować się tego nie da? — spytała Laura, odkładając właśnie nałożony kawałek pizzy. Nagle przeszedł jej apetyt.

— Chirurgia sercowo-naczyniowa rozwija się bardzo szybko — powiedziała Nina. — Może za parę lat. Ale, kochanie, nie ma się czym przejmować. Będę na siebie uważać, zwłaszcza teraz, kiedy mam córkę, którą będę mogła psuć!

— Bardziej niż cokolwiek innego chcieliśmy mieć dzieci — powiedział Carl — ale nie mogliśmy ich mieć. Jeszcze zanim zdecydowaliśmy się na adopcję, stan serca Niny stał się wiadomy, więc urząd do spraw adopcji nie zakwalifikowałby nas.

— Ale nadajemy się na rodzinę opiekuńczą — powiedziała Nina — więc jeżeli spodoba ci się u nas, możesz zostać na zawsze, jakbyś była adoptowana.

Tej nocy, w swojej wielkiej sypialni z widokiem na morze — teraz ten bezmiar czerni budził prawie strach — Laura powiedziała sobie, że nie wolno jej za bardzo polubić Dockweilerów, że stan serca Niny wyklucza jakąkolwiek możliwość znalezienia w tym domu bezpiecznej przystani.

Następnego dnia, w niedzielę, zabrali ją na zakupy do magazynów odzieżowych i wydaliby na nią fortunę, gdyby w końcu nie zaczęła ich błagać, żeby przestali. Pojechali potem ich wypakowanym po sam dach jej nowymi rzeczami mercedesem na komedię z Peterem Sellersem, a po kinie zjedli obiad w restauracji serwującej hamburgery. Wielkość cocktaili mlecznych przekraczała tam jakiegokolwiek poczucie przyzwoitości.

Polewając keczupem frytki, Laura zauważyła:

— Wy, chłopcy, macie szczęście, że agencja przysłała wam mnie, a nie jakiegoś innego dzieciaka.

Carl podniósł brwi:

— Taak?

69

— No, jesteście fajni, zbyt fajni — i o wiele bardziej nieodporni na ciosy, niż to się wam wydaje. Każdy dzieciak zobaczyłby, jak naprawdę jesteście wrażliwi, i wielu wykorzystałoby was. Bezlitośnie. Ale przy mnie możecie się rozluźnić. Nigdy was nie wykorzystam i nie pożałujecie, żeście mnie wzięli.

Patrzyli na nią zdziwieni.

W końcu Carl spojrział na Ninę.

— Oszukali nas. Ona nie ma czternastu lat. Wepchnęli nam karła.

Tej nocy, oczekując w łóżku na nadejście snu, Laura powtarzała swoją litanię samoobrony: „Nie lub ich za bardzo, nie lub ich za bardzo...” Ale już czuła, że lubi ich niezwykle.

Dockweilerowie posłali ją do prywatnej szkoły, w której nauczyciele byli bardziej wymagający niż

w szkołach publicznych, do jakich poprzednio uczęszczała, ale sprostała temu i osiągała dobre wyniki. Powoli poznawała nowych przyjaciół. Brakowało jej Ruth i □elmy, ale czerpała pewną pociechę ze świadomości, że byłyby zadowolone wiedząc, że udało się jej znaleźć szczęście.

Zaczęła nawet myśleć, że mogłaby żywić pewne nadzieje na przyszłość i ośmielić czuć się szczęśliwa. Poza wszystkim, miała niezwykłego obrońcę, czyż nie? Może nawet anioła stróża. Na pewno każda dziewczyna z aniołem stróżem przy boku może oczekiwać od życia miłości, szczęścia i poczucia bezpieczeństwa.

Ale czy anioł stróż posunąłby się aż do strzelenia człowiekowi w głowę? A potem stłukłby kogoś innego na krwawą miazgę? Mniejsza z tym, anioł czy nie anioł, miała obrońcę jak trzeba, kochających opiekunów i nie mogła uchylać się od szczęścia, które spływało na nią strumieniami.

We wtorek, 5 grudnia, Nina miała swoje comiesięczne spotkanie z kardiologiem, więc kiedy Laura wróciła ze szkoły, dom był pusty. Otworzyła drzwi własnym kluczem i odłożyła podręczniki na stolicek w stylu Ludwika XIV stojący w hallu u podnóża schodów.

Ogromny living room, utrzymany w odcieniach kremu, brzoskwini i jasnej zieleni, był przytulny mimo swych wymiarów. Kiedy stanęła przy oknie, rozkoszując się widokiem, pomyślała, o ileż byłoby przyjemniej, gdyby Ruth i □elma mogły podziwiać go razem z nią — i nagle wydało jej się to najbardziej naturalną rzeczą na świecie.

Czemu nie? Carl i Nina kochali dzieci. Tej miłości starczyłoby na pełen dom dzieciaków, na tysiąc dzieciaków.

— Shane — powiedziała głośno — jesteś genialna.

Poszła do kuchni i przygotowała sobie małą przekąskę do pokoju. Nalała do szklanki mleka, zagrzała w piecyku rogalika z czekoladą i wyjęła jabłko z lodówki. Przez cały ten czas obracała w głowie różne sposoby przedstawienia sprawy bliźniaczek podczas roz

mowy z Dockweilerami. Jej plan wydawał się tak oczywisty, że do chwili, w której niosąc talerz i szklankę pchnęła ramieniem wahadłowe drzwi kuchni, nie znalazła w nim żadnego zawodnego elementu.

Węgorz czekał w jadalni; złapał ją i rozpląszczył na ścianie — tak mocno, że straciła oddech. Jabłko i rogalik zleciały z talerzyka, talerzyk wypadł jej z ręki. Wytrącił jej szklankę z mlekiem z drugiej — uderzyła o stół jadalny, rozbijając się z głośnym brzękiem. Odciągnął ją — tylko po to, żeby znów walnąć nią o ścianę. Ból błyskawicą przebiegł jej w dół po plecach, kontury obrazu zamazały się, ale wiedziała, że nie wolno jej tracić przytomności, nie poddawała się więc uparcie, mimo że przeszywający ból dławił oddech i paraliżował.

Gdzie jest jej obrońca? Gdzie?

Sheener przysunął twarz do jej twarzy; przerażenie chyba wyostrzyło jej zmysły, bo każdy szczegół jego wykrzywionych nienawiścią rysów stał się ostro widoczny: znaki po szwach w miejscu, w którym doszyto mu ucho, były ciągle czerwone, czarne punkty wągrów w zmarszczkach koło nosa, ślady po trądziku na bladej cerze. Zielone oczy straciły ludzki wyraz, płonęły obco jak ślepiea kota.

Jej obrońca natychmiast, w jednej chwili odciągnąłby od niej Węgorza i zabił go. Natychmiast, w jednej chwili.

— Mam cię — odezwał się; w piskliwym tonie jego głosu wibrowało szaleństwo — teraz jesteś moja, złotko, i powiesz mi, kto to był ten skurwysyn, który mnie pobił, albo rozwalę ci łeb.

Trzymał ją za ramiona, wbijając palce w ciało. Uniósł nad podłogę na wysokość oczu i przyszpilił do ściany. Jej stopy zadyndały w powietrzu.

— Kto to jest ten drań? — Był bardzo silny jak na swój wzrost. Na moment ją przyciągnął, a potem znów walnął o ścianę, trzymając na wysokości oczu. — Powiedz mi, złotko, albo oderwę ucho tobie.

Natychmiast, w jednej chwili. W jednej chwili. Ból dalej kłębił się w plecach, ale mogła już wciągnąć oddech, chociaż zarazem wciągała jego oddech, kwaśny i wywołujący wymioty.

— Odpowiedz mi, złotko.

Mogła tu umrzeć, czekając na pomoc anioła stróża.

Kopnęła go w krocze. To był wspaniały strzał. Miał szeroko rozstawione nogi i był tak nie przyzwyczajony, żeby dziewczęta stawiały opór, że kompletnie się tego nie spodziewał. Oczy wyszły mu z orbit — Przynajmniej na moment odzyskały ludzki wyraz — i wydał niski, zduszony dźwięk. Wypuścił ją z rąk. Runęła na podłogę, a on zatoczył się w tył, tracąc równowagę walnął o stół jadalny i zwinął się na podłodze, na chińskim dywanie.

Ból, szok i strach prawie odebrały Laurze zdolność poruszania się. Nie potrafiła podnieść się na nogi. Szmaciane nogi. Bezwładne. Więc czołgaj się. Można się czołgać. Byle

dalej od niego. Gorączkowo. W stronę wyjścia z jadalni. Może zdoła wstać, zanim doczołga się do living roomu. Złapał ją za lewą kostkę. Usiłowała kopnąć, żeby się uwolnić. Bez skutku. Szmaciane nogi. Sheener nie puszczał. Zimne palce. Zimne jak u trupa. Wydał cienki, przeraźliwy dźwięk. Wariacki. Wsadziła rękę w plamę rozlanego na dywanie mleka. Zobaczyła pęknięte szkło. Brzeg wysokiej szklanki rozprysnął się na kawałki. Ciężka podstawa zachowała się w całości, okolona koroną najeżonych włóczni, do których przywarły kropelki mleka. Dalej zwinięty, na wpeł sparaliżowany Węgorz dosięgnął jej drugiej kostki. Sunął, szarpał i podciągał się ku niej. Dalej pisał. Jak ptak. Zaraz się na nią rzuci. Przyszpili ją. Złapała pękniętą szklankę. Przecięła sobie kciuk. Żadnego bólu. Puścił nogi i złapał za biodra. Przekręciła się na plecy. Jakby to ona była węgorzem. Wyrzuciła w jego kierunku rękę z utłuczoną szklanką, nie chcąc go ugodzić, a tylko odstraszyć. Ale on wczołgał się na nią i właśnie opadał i trzy szklane szpice przeszły mu gardło. Usiłował szarpnąć się w tył, a one obróciły się w nim. Szpice złamały się w ciele. Kaszłąc i krtusząc się przygniótł ją własnym ciałem do podłogi. Krew waliła mu z nosa. Zatrzepotała się. Wbił w nią pazury. Kolanem mocno walnął w biodro. Ugryzł. Zacisnął zęby na skórze. Jeżeli mu nie przeszkodzi, następnym razem wgryzie się głębiej. Szamotała się. Oddech gwizdał i świszczwał w jego zmasakrowanym gardle. Wyrwała się. Złapał ją. Kopnęła. Teraz nogi były sprawniejsze. Kopnięcia skuteczniejsze. Przez living room doczołgała się do końca jadalni. Złapała za krawędź łukowatego przejścia. Podciągnęła się na nogi. Obejrzała się. Węgorz również wstał, w rękach unosił jak maczugę krzesło z jadalni. Rzucił. Kucnęła. Krzesło walnęło w łuk między jadalnią a living roomem, wydając odgłos gromu. Zatoczyła się do living roomu, chciała do przedpokoju, do drzwi, uciec. Znowu rzucił krzesłem. Trafił ją w ramię. Osunęła się. Potoczyła. Podniosła wzrok. Wyrósł nad nią, złapał za lewe ramię. Siły zaczęły ją opuszczać. Widziany obraz zaczął na brzegach pulsować

ciemnością. Chwycił za drugie ramię. Była skończona. W każdym razie byłaby, gdyby szkło w jego gardle nie przebiło wreszcie kolejnej arterii. Krew nagle rzuciła mu się z nosa. Runął, przygniatając ją sobą, wielki i straszny martwy ciężar.

Nie była zdolna wykonać ruchu i ledwo oddychała. Z trudem zachowywała przytomność. Ponad niesamowitym odgłosem własnego zduszonego łkania dosłyszała otwieranie drzwi. Odgłos kroków.

— Laura? Jestem — to był głos Niny, najpierw lekki i świeży, a potem zniekształcony przerażeniem. — Laura, och, mój Boże, Laura!

Laura usiłowała zepchnąć z siebie nieżywego mężczyznę, ale udało się jej tylko w połowie wyslizgnąć spod trupa. Tyle że widziała Ninę stojącą w hallu.

Przez chwilę kobieta stała sparaliżowana przez szok. Ogarniała wzrokiem swój kremowo-brzoskwiniowo-bladozielony living room, szykowne wnętrza, od którego tła odbijały się teraz liczne smugi jaskrawej czerwieni. Potem spojrzenie jej fołkowych oczu powtórnie spoczęło na Laurze i otrząsnęła się z transu. — Laura, och, dobry Boże, Laura.

72

— Podeszła trzy kroki, gwałtownie zatrzymała się, skuliła i objęła rękoma, jakby poczuła uderzenie w żołądek. Wydała dziwny dźwięk. — Uch, uch, uch, uch. — Próbowwała się wyprostować. Miała wykrzywioną twarz. Nie mogąc ustać wyprostowana, w końcu opadła na podłogę; bezgłośnie.

To nie mogło się zdarzyć. To nie jest uczciwe, do diabła.

Nowy przypływ energii, wyzwolony przez obawę i miłość do Niny, ogarnął Laurę. Uwolniła się spod ciała Sheenera i podczołgała szybko do swojej opiekunki.

Nina leżała bezwładnie. Jej piękne oczy były otwarte, bez wyrazu.

Laura położyła swoją zakrwawioną rękę na szyi Niny, szukając pulsu. Wydało się jej, że znalazła: słaby, nieregularny, ale był.

Złapała z krzesła poduszkę i położyła Ninie pod głowę. Potem pobiegła do kuchni, gdzie na ściennym telefonie były zapisane numery policji i straży ogniowej. Trzęsąc się, zgłosiła atak serca i podała adres.

Kiedy odłożyła słuchawkę, wiedziała, że wszystko będzie dobrze. Na serce umarł ojciec, gdyby teraz z tej samej przyczyny utraciła Ninę, byłoby to zbyt absurdalne. W życiu zdarzały się absurdalne chwile, ale samo życie nie było absurdalne. Bywało dziwne, trudne, pełne cudowności, drogocenne, pozbawione treści, tajemnicze, ale nie było wyłącznie absurdem, więc Nina będzie żyła, bo śmierć Niny nie miała sensu.

Wciąż przestraszona i zmartwiona, ale czując się już lepiej, Laura pospieszyła z powrotem do living roomu, uklękła obok swojej opiekunki i objęła ją.

Newport Beach miała pierwszorzędną pogotowie ratunkowe. Karetka pojawiła się w trzy czy cztery minuty po tym, jak Laura ją wezwała. Dwaj sanitariusze byli sprawni i zaopatrzeni w znakomity sprzęt. Jednak już po paru minutach stwierdzili, że Nina nie żyje. Niewątpliwie była już martwa w chwili, kiedy upadała na podłogę.

10.

W tydzień po tym, jak Laura powróciła do McIlroya, i na osiem dni Przed świętami Bożego Narodzenia, pani Bowmaine przeniosła Tammy Hinsen na czwarte łóżko do pokoju sióstr Ackerson. W niezwyklej jak na nią prywatnej rozmowie z Laurą, Ruth i □elmą opiekunka wyjaśniła im, co stało za tą decyzją.

— Wiem, że wy, dziewczęta, uważacie, że Tammy nie jest z wami dobrze, ale wydaje mi się, że jest jej u was lepiej niż gdzie indziej. Dawaliśmy ją do innych pokoi, ale inne dzieci, zdaje się, nie tolerują jej. Nie wiem, dlaczego dla innych jest jak wyklęta, ale zwykle w końcu jej koleżanki traktują ją jak worek treningowy.

Wróciwszy do swojego pokoju, jeszcze przed pojawieniem się Tammy, □elma zasiadła na podłodze w podstawowej pozycji jogi. Nogi spłotła w precelek, z kostkami na

73

biodrach. Zainteresowała się jogą od czasu, kiedy Beatlesi zaczęli praktykować wschodnie formy medytacji. Wtedy też doszła do wniosku, że kiedy w końcu spotka Paula McCartneya (co było bezspornie jej przeznaczeniem) — ...to chciałabym, żebyśmy mieli ze sobą coś wspólnego, a to będzie możliwe, kiedy się połapię, o co chodzi w tym hinduskim dziadostwie...

Ale zamiast pograć się w medytacji, mówiła:

— A co by ta krowa zrobiła, gdybym jej walnęła: „Pani Bowmaine, dzieciaki nie znoszą Tammy, bo pozwalala, żeby Węgorz ją rolował i pomagała mu namierzać inne bezbronne dziewczyny, więc dla nich to ona jest wróg”. Co Bovine Bowmaine zrobiłaby, gdybym jej to wyłożyła?

— Nazwałaby cię kłamliwą łachmaniarą — powiedziała Laura, opadając na swoje wygięte jak siodło łóżko.

— Nie ulega kwestii. Potem schrupałaby mnie na lunch. Czy jej wymiary mieszczą wam się w głowie? Z każdym tygodniem ogromnieje. Każdy, kto jest tak ogromny, jest niebezpiecznym, wszystkożernym monstrem, gotowym do wsunięcia najbliższego dziecka do ostatniej kosteczki, tak machinalnie, jakby pochłaniał torebkę groszków.

Patrząc na boisko z tyłu domu, Ruth odezwała się:

— To nie w porządku, że dzieciaki obchodzą się tak z Tammy.

— Życie nie jest w porządku — stwierdziła Laura.

— Życie to nie jest też wiedeński sznycelek — powiedziała □elmą. — Rany, rany, Shane, jak chcesz się bawić w flozofa, to nie bądź banalna. Nienawidzimy tu banalności tylko o deko mniej niż słuchania, jak Bobbie Gentry śpiewa Odeę o Billy Jane.

Kiedy w godzinę później Tammy wprowadziła się, Laura była cała spięta. W końcu przecież to ona zabiła Sheenera, a Tammy była z nim związana. Oczekiwała od Tammy goryczy i gniewu, ale dziewczynka przywitała ją tylko szczerym, nieśmiałym, pełnym przeszywającego smutku uśmiechem.

Po dwóch dniach pobytu Tammy stało się jasne, że utrata niezdrowych uczuć Węgorza budziła w niej perwersyjny smutek — ale i ulgę. Gorący temperament, jaki ujawniła niszcząc książki Laury, ostygł. Znów była ponurą, kościstą, wyblakłą dziewczynką, która Laurze podczas pierwszego dnia

pobytu u McIlroya wydawała się bardziej zjawiskiem niż realnie istniejącym człowiekiem. Wyglądała, jakby groziła jej przemiana w zwiewną ektoplazmę, która przy pierwszym silniejszym podmuchu wiatru rozplynie się całkowicie.

Po śmierci Węgorza i Niny Dockweiler Laura uczęszczała na półgodzinne sesje z doktorem Boone'em, psychoterapeutą, który odwiedzał McIlroy w każdy wtorek i sobotę. Boone nie był zdolny pojąć, jak Laura bez psychicznych urazów mogła przeżyć szok wywołany napaścią Willy'ego Sheenera i tragiczną śmierć Niny. Oglupiały słuchał,

74

jak precyzyjnie analizowała swoje uczucia i jak dorosłe było słownictwo, którym opisywała, jak doszła do siebie po wypadkach w Newport Beach. Nie mając nigdy matki, utraciłszy ojca, przeszedłszy wiele kryzysów i lęków — ale przy tym wszystkim wykorzystując wspaniałą miłość, którą obdarzył ją ojciec — stała się jak gąbka, wchłaniając wszystko, co niesie życie. Pomimo to, że była zdolna mówić o Sheenerze ze spokojem, a o Ninie ze wzruszeniem i smutkiem, psychiatra uważał jej przystosowanie za powierzchowne i pozbawione wartości.

— Więc miewasz sny o Willym Sheenerze? — pytał, siedząc przy niej na kanapie w małym biurze, jakie przeznaczono mu u McIlroya.

— Tylko dwa. Koszmary, rzecz jasna. Ale wszystkie dzieci mają koszmary.

— Śniesz też o Ninie. Czy to są koszmary?

— Och, nie! To są cudowne sny.

Wyglądał na zaskoczzonego.

— Kiedy myślisz o Ninie, jesteś smutna?

— Tak. Ale też... pamiętam, jaka to była przyjemność jechać z nią po zakupy, przymierzać sukienki i swetry. Pamiętam, jak się uśmiechała i jak umiała się cieszyć.

— A poczucie winy? Czy nie czujesz się winna temu, co spotkało Ninę?

— Nie. Może Nina nie umarłaby, gdybym nie zamieszkała u nich i nie ściągnęła za sobą Sheenera, ale nie mogę się czuć temu winna. Bardzo starałam się być ich przybraną córką, a oni byli ze mną szczęśliwi. Życie jakby walnęło nas ogromnym tortem z kremem, a to nie jest moja wina; nigdy nie wiadomo, kiedy to nastąpi. Żeby slapstick był slapstickiem, wszyscy muszą być zaskoczeni.

— Kremowy tort? — spytał oszołomiony. — Traktujesz życie jak slapstickową komedię? Jak Trzy Ofermy?

— Częściowo.

— Więc życie to żart?

— Nie. Życie jest jednocześnie poważne i żartobliwe.

— Jak to może być?

— Jeżeli tego nie wiesz — powiedziała — to może ja tu powinnam zadawać pytania.

Wiele stron jej pamiętnika zostało wypełnionych obserwacjami na temat doktora Boone'a. O swym niezwykłym obrońcy nie pisała jednak nic. Zawiódł ją. Laura przywykła, że może na nim polegać, a heroiczne wysiłki, jakie dla niej podejmował, powodowały, że czuła się kimś wyjątkowym. W tym

przekonaniu znajdowała oparcie po stracie ojca. Teraz było jej głupio na myśl, że kiedykolwiek liczyła na to, że przetrwać pozwoli jej pomoc kogoś innego niż ona sama. Dalej trzymała list, który pozostawił jej po śmierci ojca, ale już do niego nie zaglądała. I dzień po dniu wspomnienia o jej obrońcy coraz bardziej przybierały postać dziecinnych marzeń o Świętym Mikołaju, z których trzeba wyrosnąć.

75

W bożonarodzeniowe popołudnie powróciły do swego pokoju z prezentami, jakie dostały od organizacji charytatywnych i różnych dobroczyńców. Wieczór skończyły na wspólnym odśpiewaniu kolęd, a Laura i bliźniaczki były zdumione, kiedy Tammy dołączyła do nich. Śpiewała niskim, niewprawnym głosem.

Przez parę ostatnich tygodni prawie zaniechała obgryzania paznokci. Była niewiele bardziej kontaktowa niż poprzednio, ale wydawała się spokojniejsza, bardziej pogodzona sama ze sobą niż kiedykolwiek przedtem.

— Jeżeli nie będzie się koło niej pętał żaden napastujący ją perwers — powiedziała □elma — to może stopniowo spłynie z niej tamten brud.

W piątek, 12 stycznia 1968 roku, były trzynaste urodziny Laury, ale nie miała nastroju do świętowania. Brakowało powodów do radości.

W poniedziałek została przeniesiona z McIlroya do Caswell Hall w Anaheim, położonego pięć mil dalej przytułku dla starszych dzieci.

Ruth i □elma pomogły jej znieść dobytek na dół, do frontowego hallu. Laura nigdy nie wyobrażała sobie, jak smutno będzie jej opuszczać McIlroy.

— Przyjeżdżamy w maju — uspokajała ją □elma. — Drugiego maja kończymy trzynastkę i wysuwamy stąd. Znowu będziemy razem.

Kiedy pracowniczka z Caswell pojawiła się wreszcie, Laurze trudno było się zmusić, aby pójść za nią. Ale poszła.

W Caswell Hall mieściło się dawniej liceum, którego poszczególne sale zostały zamienione na sypialnie, świetlice i biura dla wychowawców. W rezultacie atmosfera była tu sztywniejsza niż u McIlroya.

Caswell było również bardziej niebezpieczne niż McIlroy, ponieważ dzieciaki były starsze i wiele z nich miało już za sobą staż młodocianego przestępcy. Marihuana i prochy były w częstym użyciu, a walki między chłopcami — a nawet między dziewczętami — nie były wyjątkiem. Tworzyły się grupki, tak jak u McIlroya, ale w Caswell niektóre z nich sterowały niebezpiecznie w kierunku gangów ulicznych. Kradzieże były na porządku dziennym.

W przeciągu paru tygodni Laura uświadomiła sobie, że życie jest możliwe do przetrwania na dwa sposoby: tak jak czyniła to ona, która niezbędne siły czerpała z wielkiej miłości, jaką niegdyś ją

darzono, albo, jeżeli miłości się nie zaznało, czerpiąc z nienawiści, podejrzliwości i nędznej satysfakcji, jaką niesie zemsta. Ci niekochani sztydzili z tych, którzy odczuwali głód uczuć, a zazdrościli tym, którzy byli zdolni je dawać.

W Caswell miała się stale na baczności, ale nigdy nie pozwoliła, aby strach nad nią

76

zapanował. Chuligani budzili lęk, ale byli równocześnie tragikomiczni w swoim puszeniu się i rytuałach przemocy; czasem nawet zabawni. Nie miała tu nikogo, z kim mogłaby wspólnie bawić się czarnym humorem, jak z siostrami Ackerson, więc pozostawał jej tylko pamiętnik. Wypełniała go rozmowami ze sobą, odwracając się od zewnętrznego świata, a pochylając się nad stronami, zapisanymi wyraźnym pismem, oczekiwała chwili, w której bliźniaczki skończą trzynaste lat. Był to dla niej czas obftujący w liczne odkrycia, czas, w którym rosło w niej zrozumienie slapstickowego, tragicznego świata, w jakim przyszło jej żyć.

W sobotę 30 marca czytała w swoim pokoju w Caswell, kiedy usłyszała, jak jedna z jej współkoleżanek — chuda dziewczynka o nazwisku Fran Wickert — w rozmowie prowadzonej na korytarzu wspomniała o pożarze, którego ofarami były dzieci. Laura słuchała tego z roztargnieniem, póki nie padło słowo „McIlroy”.

Poczuła, jak przeszywa ją chłód, mroząc serce i paraliżując dłonie. Rzuciła książkę i wybiegła pędem na korytarz, budząc u dziewcząt osłupienie.

— Kiedy? Kiedy był ten pożar?

— Wczoraj — odparła Fran.

— Ile z-zginęło?

— Niedużo, wydaje się, że dwójka dzieciaków, może jedno, ale obito mi się o uszy, że ktoś tam spalił się żywcem. Czy to nie najokropniejsza rzecz o...

Napierając na Fran, Laura zapytała:

— Jak się nazywały?

— Hej, odczep się.

— Jak się nazywały?!

— Nie mam zielonego pojęcia. Jezu Chryste, co z tobą?

Laura nie pamiętała momentu, kiedy puściła Fran ani też w jaki sposób wybiegła z przytułku. Nagle stwierdziła, że jest na Katella Avenue, parę przecznic od Caswell. Katella była w tej dzielnicy ulicą handlową, z podjazdami dla samochodów, i na niektórych odcinkach nie miała chodnika, biegła więc skrajem drogi, zmierzając na wschód, a samochody z szumem mknęły z jej prawej strony. Od Caswell było pięć mil do McIlroya; nie znała całego dystansu, ale ufając instynktowi biegła, póki nie zmogło jej wyczerpanie. Potem szła, dopóki znów nie mogła zacząć biec.

Logicznie byłoby zwrócić się wprost do jednego z wychowawców Caswell i spytać go o nazwiska dzieci, które zginęły w pożarze w McIlroy. Ale Laurę opętała myśl, że los bliźniaczek Ackerson zależy wyłącznie od tego, czy będzie gotowa przebyć całą, uciążliwą drogę do McIlroya. Gdyby zatelefonowała tam, na pewno dowiedziałaby się, że nie żyją, jeśli zaś złoży ofarę w postaci pięćmiłowego biegu, uratuje siostry Ackerson. Był to przesąd, niemniej uległa mu.

Zapadł zmierzch. Późnomarcowe niebo nabrało barwy zgaszonej czerwieni, z wolna przechodzącej

w jaskrawą purpurę, a kiedy ujrzała wreszcie Dom McIlroya, brzegi po

strzępionych chmur wydawały się powleczone ogniem. Z ulgą dostrzegła, że płomienie pożaru nie tknęły frontowej ściany domu.

Mimo potu spływającego po drżącym ciele i pulsującego bólu głowy nie zwolniła, gdy zobaczyła, że dom się ostał, i w tym samym tempie minęła ostatnią przecznicę. Na parterze, idąc korytarzem przeszła obok sześciorga dzieci, a potem minęła jeszcze trójkę na schodach. Niektóre z nich przywitały ją po imieniu, ale nie zatrzymała się, żeby zapytać je o pożar. Musiała to zobaczyć.

Na ostatniej kondygnacji schodów poczuła zapach, jaki zostawił ogień: gryzący, zalatujący smołą smród spalonych sprzętów i nieusuwalną, kwaśną woń dymu. Kiedy minęła drzwi u szczytu klatki schodowej, zauważyła, że na obu krańcach korytarza drugiego piętra pozostawiono otwarte okna. W środku ustawiono elektryczne wentylatory, aby wywiewały w obu kierunkach zasnute dymem powietrze.

Pokój sióstr Ackerson miał nowe, nie pomalowane jeszcze drzwi i framugi, ale ściana wokół nich była osmalona i pokryta czarnymi sadzami. Namalowany czyjąś ręką znak ostrzegał przed niebezpieczeństwem. Jak i pozostałe drzwi u McIlroya, również i te były pozbawione zamka, nie zważając więc na ostrzeżenie pchnęła je mocno i przekroczyła próg. Zobaczyła to, czego się obawiała — obraz zniszczenia.

Światło padające z korytarza i purpurowy poblask zmierzchu tylko częściowo rozjaśniały wnętrze, ale dostrzegła, że resztki umeblowania usunięto; pokój stał pusty, pozostał tylko duch pożaru. Podłoga zwęgliła się i szerniała od sadzy, choć zasadniczo wyglądała na nienaruszoną. Ściany osmałił dym. Drzwi szafy ściennej ostały się tylko w postaci paru kawałeczków zwęglonego drewna, przylegającego do częściowo stopionych zawiasów. Obydwa okna były wypchnięte; zrobił to albo płomień, albo ci, którzy przed nim uciekali. Obecnie otwory okienne zostały przesłonięte plastikowymi płachtami przybitymi do ścian. Na szczęście dla innych dzieci z McIlroya ogień nie posuwał się w dół, lecz w górę, pochłaniając sufit. Spojrzała w kierunku poddasza, gdzie szerniały belki niewyraźnie prześwitywały w półmroku. Wyglądało na to, że płomienie nie zdążyły przebić dachu, bo nie mogła dojrzeć nieba.

Oddychała głośno, z wysiłkiem, nie tylko z powodu wyczerpania biegiem, ale także dlatego, że przerażenie, jak imadło, ścisnęło ją boleśnie za gardło, odcinając dopływ powietrza. Każdy wdech powietrza o gorzkim zapachu przynosił wywołujący wymioty posmak węgla.

Od chwili, kiedy w swoim pokoju w Caswell usłyszała o pożarze u McIlroya, знаła jego przyczynę, choć sama nie chciała się do tego przyznać. Tammy Hinsen została raz przyłapana z paliwem do zapalniczek i zapalkami. Mówiło się, że zamierzała się podpalić. Laura nie wątpiła, że taki był rzeczywiście jej zamiar, ponieważ samospalenie wydawało się w pewien sposób właściwą dla niej formą samobójstwa. Było to jakby przeniesienie do zewnętrznego świata tego ognia, który płonął w niej od lat.

„Boże, proszę, żeby była sama w pokoju, kiedy to zrobiła, proszę”.

Dusząc się od smrodu i ohydneho smaku, jaki pozostawił po sobie pożar, Laura wyszła z wypalonego pokoju na korytarz.

— Laura?

Podniosła wzrok i zobaczyła Rebekeę Bogner. Chociaż Laura spazmatycznie wdychała i wydychała powietrze, ale jakoś udało się jej wycharzczyć ich imiona:

— Ruth... □elma?

Ponure spojrzenie Rebeki zaprzeczyło, że bliźniaczkom udało się ujść bez szwanku, mimo to Laura powtórzyła pytanie i w jej załamującym się głosie Rebeka dosłyszała żalną, błagalną nutę.

— Na dole — powiedziała, wskazując na północny kraniec korytarza. — Przedostatni pokój po lewej.

Laura pobiegła tam, czując nagły przyptyw nadziei. Trzy łóżka były puste, ale na czwartym, w kręgu światła nocnej lampki, leżała obrócona twarzą do ściany dziewczynka.

— Ruth, □elma?

Dziewczynka z łóżka podniosła się powoli — była to jedna z sióstr Ackerson. Nie miała żadnych obrażeń. Była ubrana w ponurą, źle odprasowaną, szarą sukienkę; włosy miała w nieładzie, twarz zapuchniętą, oczy mokre od łez. Uczyniła krok w kierunku Laury, ale zatrzymała się, jakby wysiłek spowodowany chodzeniem był zbyt wielki.

Laura podbiegła i objęła ją.

Z głową na ramieniu Laury, trzymając twarz przy jej twarzy, odezwała się w końcu zmęczonym głosem:

— Och, chciałabym, żebym to była ja. Jeśli to miała być jedna z nas, to dlaczego nie ja?

Do momentu, w którym przemówiła, Laura przypuszczała, że widzi Ruth.

Nie mogąc się z tym pogodzić, spytała:

— Gdzie jest Ruth?

— Nie ma jej. Nie ma Ruth. Myślałam, że wiesz: moja Ruth nie żyje. Laura poczuła, jak coś w niej pękło. Ogarnął ją smutek tak ogromny, że nie mogła nawet zapłakać; była oszołomiona i zdrętwiała.

Przez niewyobrażalnie długi czas stały więc tylko objęte. Zmierzch przeszedł w noc. Podeszły w końcu do łóżka i usiadły na jego skraju.

Parę dzieciaków pojawiło się na progu. Widać dzieliły ten pokój z □elma, ale Laura odgoniła je machnięciem dłoni.

Z oczami wbitymi w podłogę, □elma mówiła:

— Obudził mnie wrzask, potworny wrzask... i całe to światło, tak jasne, że paliło mi oczy. I wtedy dotarło do mnie, że pokój się pali. Tammy się pali. Płonęła jak pochodnia. Miotła się w łóżku, płonąca i wrzeszcząc...

Laura objęła ją i czekała.

— ...ogień skoczył z Tammy, hop w górę, po ścianie, łóżko płonęło, ogień rozlewał się na podłodze, płonął dywan...

Laura przypomniała sobie, jak Tammy śpiewała z nimi podczas świąt Bożego Narodzenia i jak potem z każdym dniem stawała się cichsza, jakby odnajdywała wewnętrzny spokój. Teraz było jasne, że ten spokój wypływał z decyzji, by skończyć ze swą męką.

— Łóżko Tammy stało najbliżej drzwi, drzwi płonęły, więc rozbiłam okno nad moim łóżkiem, zawołałam Ruth, ona... o-ona odpowiedziała, że idzie, był dym, nic nie widziałam, potem Heather Doming, zajmująca twoje dawne łóżko, podeszła do okna, więc pomogłam jej wyjść, wywiało dym na zewnątrz, więc trochę się przejaśniło i wtedy zobaczyłam, jak Ruth próbuje narzucić swój koc na Tammy, żeby zdusić płomień, ale koc też się zajął i zobaczyłam Ruth... Ruth... Ruth w płomieniach...

Na zewnątrz purpurowe światło zachodu ustąpiło miejsca ciemności. Cienie w kątach pokoju stały się głębsze. Zastały odór spalenizny zdawał się pogłębiać.

— ...i podeszłabym do niej, podeszłabym, ale wtedy o-ogień eksplodował, był wszędzie, a dym był tak gęsty i czarny, że nie mogłam już dostrzec ani Ruth, ani nic innego... i wtedy usłyszałam syreny, głośne i bliskie, więc próbowałam sobie tłumaczyć, że będą tu na czas, że uratują Ruth, a to było k-kłamstwo, kłamstwo, które sobie wmówiłam i... wyszłam stamtąd, Shane. Och, Boże, wyszłam przez okno i zostawiłam Ruthie w ogniu, płonąca...

— Nie mogłaś zrobić nic innego — powiedziała Laura.

— Zostawiłam Ruthie w ogniu.

— Nie mogłaś nic zrobić.

— Zostawiłam Ruthie.

— Nie miało sensu, żebyś się też spaliła.

— Zostawiłam Ruthie w ogniu.

W maju, po swoich trzynastych urodzinach, □elma została przeniesiona do Caswell. Skierowano ją do pokoju Laury. Wychowawcy wyrazili na to zgodę, gdyż cierpiała na depresję i żadna terapia nie skutkowała. Sądzono, że może przyjaźń z Laurą pomoże jej dojść do siebie.

Przez całe miesiące Laura rozpaczliwie próbowała walczyć z bezwładem, w jakim pogrzyła się jej przyjaciółka. □elmę nocami dręczyły koszmary, a we dnie pastwiła się sama nad sobą. Wreszcie upływ czasu zaczął wywierać swój zbawienny wpływ, chociaż jej rany nigdy całkowicie się nie zagoiły. Powoli powróciło □elmie poczucie humoru i dowcip miała ostry jak dawniej, ale pojawił się w nim, nieobecny przedtem, cień melancholii.

Przez pięć lat mieszkały w jednym pokoju w Caswell Hall, dopóki się nie usamodzielnily i nie zaczęły same kierować własnym życiem. Przez te lata zaznały wielu radości. Życie bywało znów przyjemne, ale nigdy już nie było takie samo, jak przed pożarem.

11.

Najważniejszym obiektem w głównym laboratorium instytutu była brama, dzięki której można się było przenieść w inny czas. Było to wielkie urządzenie o wysokości dwunastu i średnicy ośmiu stóp. Z zewnątrz pokrywała je wypolerowana do połysku stal, wewnątrz polerowana miedź. Brama spoczywała na miedzianych blokach, osiemnaście cali nad podłogą. Wybiegały z niej grube elektryczne kable, a płynące wewnątrz dziwne prądy niosły takie odgłosy, jakby wypełniało ją nie powietrze, a szemrzący strumień wody.

Przemierzając się w czasie, Kokoschka powrócił do bramy i zmaterializował się we wnętrzu ogromnego cylindra. Tego dnia odbył kilka wypraw, podczas których śledził Stefana w odległych odcinkach czasu i w dalekich miejscach, aż w końcu dowiedział się, dlaczego ten zdrajca był pochłonięty przekształcaniem życia Laury Shane. Pospieszył do wylotu bramy i zszedł na podłogę laboratorium. Oczekiwało go dwóch naukowców i trzech jego własnych ludzi.

— Dziewczyna nie ma żadnego związku ze spiskiem tego łajdaka przeciw rządowi ani z jego działaniami zmierzającymi do zniszczenia programu podróżowania w czasie — wyjaśnił Kokoschka. — Ona to zupełnie odrębny problem, sprawa osobista.

— Teraz więc, kiedy znamy odpowiedzi na wszystkie dotyczące go „co?” i „dlaczego?” — powiedział jeden z naukowców — może pan go wyeliminować.

— Tak — powiedział Kokoschka, przechodząc przez pomieszczenie ku głównej tablicy programującej. — Teraz, gdy znamy wszystkie tajemnice tego zdrajcy, możemy go zabić.

Siadając przed tablicą programującą, by nastawić urządzenie na ten odcinek czasu, w którym mógłby zaskoczyć zdrajcę, Kokoschka zdecydował, że zabije również Laurę. To będzie łatwe zadanie. Załatwi ją samodzielnie, gdy element zaskoczenia będzie po jego stronie. Jeśli to tylko było możliwe, wolał pracować sam: nie lubił dzielić się przyjemnościami. Laura Shane nie stanowiła zagrożenia ani dla samego rządu, ani dla rządowych planów przekształcenia przyszłości świata, ale kiedy zabije ją pierwszą, i to na oczach Stefana, zada cios w samo serce zdrajcy, zanim jeszcze umieści w nim kulę. A poza tym — Kokoschka lubił zabijać.

ROZDZIAŁ III

ŚWIATŁO W CIEMNOŚCI

1.

Na swoje dwudzieste drugie urodziny, 12 stycznia 1977 roku, Laura Shane otrzymała pocztą żabę. Pudełko, w którym ją przysłano, pozbawione było adresu zwrotnego, nie załączono też żadnego listu. Otworzyła je przy biurku, w living roomie w swoim mieszkaniu. W ten zimowy, niezwykle ciepły dzień jasne światło słońca błyszczało wesoło na małej, uroczej figurce. Ceramiczna figurka miała dwa cale wysokości i była ustawiona na ceramicznej, liliowej podstawce; żaba miała na głowie cylinder, w łapce trzymała laseczkę.

Dwa tygodnie temu magazyn literacki wydawany w kampusie uniwersyteckim opublikował Ziarnowodne opowieści — jej nowelę o dziewczynce, której ojciec opowiadał zabawne historyjki o wymyślonej przez niego żabie, Sir Tommym z Anglii. Tylko ona wiedziała, ile w tej opowieści było prawdy, a ile fikcji. A jednak okazało się, że jeszcze ktoś zdawał sobie sprawę, jakie znaczenie ma dla niej ta nowela, gdyż uśmiechnięta żaba w cylindrze była zapakowana niezwykle starannie. Owinięto ją uważnie w kawałek miękkiej bawełny, obwiązano czerwoną wstążeczką, potem opakowano w papierowe chusteczki, umieszczono w śnieżnobiałym pudełku wyoszczonym bawełnianymi kuleczkami, a to pudełko włożono do jeszcze większego pudła, które wewnątrz wyłożono pogniecionymi gazetami. Nikt nie zadałby sobie tyle trudu, chcąc uchronić od rozbicia pięciodolarową, tanią zabawkę. Chyba że te wszystkie środki bezpieczeństwa miały oznaczać, że nadawca odkrył, ile uczucia włożyła w Ziarnowodne opowieści.

Aby podolać kosztom czynszu, Laura dzieliła swoje mieszkanie w Irvine z dwiema studentkami drugiego roku, Meg Falcone i Julią Ishimina, więc pomyślała najpierw o nich jako o prawdopodobnych nadawczyniach żaby. Ale ta możliwość odpadała, bo Laura nie była z nimi na bliskiej stopie. Zajęte były studiami i miały własne zainteresowania, a poza tym mieszkała z nimi dopiero od września minionego roku. Utrzymywały, że nie wiedzą nic o żabie i ich zaprzeczenia wyglądały na szczere.

Zastanawiała się, czy dr Matlin, sprawujący funkcję doradcy wydziałowego przy czasopiśmie literackim na Uniwersytecie Kalifornijskim w Irvine, nie przysłał jej przypadkiem tej figurki. Od pierwszego roku, kiedy to zaliczyła zajęcia ze sztuki pisarskiej, pro

wadzone przez Matlina, ten zachęcał ją, aby wykorzystała drzemiący w niej talent i doskonaliła swoje umiejętności. Szczególne wrażenie zrobiły na nim Ziemnowodne opowieści, więc może przesłał jej żabę, aby w ten sposób powiedzieć jej, że to dobra robota? Ale dlaczego nie ma adresu nadawcy i żadnej kartki? Po co te tajemnice? Nie, to nie wyglądało na Harry'ego Matlina.

Na uniwersytecie zawarła parę przelotnych znajomości, ale nie była z nikim naprawdę blisko; miała zbyt mało czasu, aby nawiązywać i utrzymywać przyjaźnie. Na studiowanie, pracę i pisanie zużywała każdą wolną chwilę nie przeznaczoną na sen i jedzenie. Nie mogła wyobrazić sobie nikogo, kto zadałby sobie tyle trudu, żeby najpierw kupić żabę, potem zapakować ją i jeszcze anonimowo wysłać.

To było tajemnicze.

Następnego dnia pierwsze zajęcia miała o ósmej rano, a ostatnie o drugiej. Za kwadrans czwarta wróciła do swojego dziewięcioletniego chevroleta, stojącego na parkingu kampusu, otworzyła drzwi, siadła za kierownicą i osłupiała na widok następnej żabiej figurki, stojącej na desce rozdzielczej.

Żaba była wysoka na dwa, a długa na cztery cale. Zrobiona również z ceramiki, tym razem szmaragdowozielonej; spoczywała na boku z głową wspartą na zgiętej ręce. Uśmiechała się marzycielsko.

Laura była pewna, że zostawiła drzwi zamknięte; były też na pewno wciąż zamknięte, kiedy wróciła z zajęć. Tajemniczy dostawca żab najoczywiściej zadał sobie trud, otwierając chevroleta bez klucza. Zrobił to chyba za pomocą plastikowej płytki albo może użył metalowego wieszaka, żeby dosięgnąć przycisku blokującego zamek — i podrzucił żabę w ten efektowny sposób.

Laura postawiła figurkę leżącej żaby na nocnym stoliku, gdzie już wcześniej znalazła się żaba z cylindrem i laseczką. Wieczór spędziła czytając w łóżku. Od czasu do czasu jej uwagę rozpraszał widok ceramicznych figurek.

Następnego dnia rano, wychodząc z mieszkania, znalazła przed drzwiami małe pudełko. Wewnątrz niego znajdowała się starannie zapakowana żaba. Tym razem była odlana z ołowiu; siedziała na powalonym pniaku i grała na bandžo. Tajemniczość pogłębiała się.

W lecie pracowała na całą zmianę w „Hamburgerowym Zaścianku” w Costa Mesa, ale podczas semestru masa obowiązków, jakie na siebie przyjęła, była tak ogromna, że mogła wziąć robotę tylko na trzy wieczory tygodniowo. „Zaścianek” był szykowną restauracją serwującą hamburgery. Smaczne jedzenie, utrzymane w granicach rozsądku ceny i dyskretnie urządzone, gościnne wnętrza — belkowany sufit, wiele drewnianych boazerii, wygodne fotele — wszystko to podobało się klientom, którzy byli zwykle bardziej zadowoleni niż w lokalach, w których pracowała uprzednio.

Ale nawet gdyby atmosfera była niemiła, a goście niesympatyczni, trzymałaby się tej pracy. Pieniądze były jej potrzebne. Na swoje osiemnaste urodziny dowiedziała się, że ojciec zostawił jej fundusz depozytowy, stworzony z aktywów zlikwidowanych po jego śmierci, i że majątek ten nie był

naruszony przez państwo na pokrycie kosztów jej pobytu w Domu McIlroya i Caswell Hall. Teraz weszła już w prawo dysponowania tymi funduszami, zużywając je na koszty utrzymania i studiów. Ojciec nie był bogaty i nawet z odsetkami nagromadzonymi w ciągu ostatnich sześciu lat suma ta nie wystarczała na cztery lata opłat za czynsz, jedzenie, ubranie i czesne. Była więc zmuszona do pokrywania różnicy dochodami z własnej pracy.

W niedzielę 16 stycznia, wieczorem, była w połowie swojej zmiany w „Zaścianku”, kiedy szef przyholował starsze małżeństwo do jednej z łóż w jej rewirze. Na czas, kiedy przeglądali menu, zamówili dwa micheloby. W parę chwil potem, kiedy wróciła od baru niosąc piwa i zamrożone kufe, spostrzegła na ich stole porcelanową żabę. Nieomalże upuściła tacę ze zdumienia. Spojrzała na starszego mężczyznę i starszą panią, ale oni uśmiechali się tylko do niej bez słowa, więc powiedziała:

— Państwo przysyłaliście mi żaby? Ale my się przecież nie znamy, prawda?

— Och, czy pani ma już takich więcej? — powiedział starszy pan.

— To jest czwarta. To nie państwo przynieśliście mi ją, prawda? Ale Przed chwilą jeszcze jej tu nie było. Kto ją postawił?

On mrugnął do żony i powiedział:

— Masz tajemniczego wielbiciela, kochanie.

— Kogo?

— Taki młody człowiek, siedział przy tamtym stoliku — powiedział mężczyzna, pokazując po przekątnej sali w kierunku rewiru obsługiwanego przez kelnerkę Amy Heppleman. Stół był teraz pusty, pomocnik kelnerski właśnie skończył go sprzątać.

— Jak tylko poszłaś po nasze piwa, podszedł do nas i zapytał, czy może zostawić to tutaj dla ciebie.

To była bożonarodzeniowa żaba, w stroju Świętego Mikołaja, bez brody, z workiem zabawek przewieszonym przez ramię. Kobieta zapytała:

— Naprawdę nie wiesz, kim on był?

— Nie. Jak wyglądał?

— Wysoki — wyjaśnił mężczyzna. — Bardzo wysoki, kawał chłopca. Kasztanowe włosy.

— Miał też piwne oczy — dodała żona. — Cicho mówił.

Oglądając żabę, Laura przyznała:

— W tym jest coś takiego... coś, co mnie niepokoi.

— Niepokoi? — spytała kobieta. — Ależ to po prostu młody, zadurzony w tobie chłopak, kochanie.

— Tak? — powiedziała niepewnie.

Laura dotarła do Amy Heppleman, stojącej przy stole, na którym przyrządzano sałaty, i poprosiła o dokładniejszy opis ofarodawcy żaby.

— Jadł omlet z grzybami, grzanekę z pełnoziarnistego chleba i pił colę — powiedziała Amy, nakładając widelcami z nierdzewnej stali liście sałaty do dwóch salaterek. — Nie widziałaś, jak tam siedział?

— Nie, jakoś go nie zauważyłam.

— Wielgachny facet. Dżinsy. Koszulka w niebieską kratę. Włosy miał za krótko obcięte, ale był miluchny, jeśli lubisz miluchne łosie. Milczek. Jakby nieśmiały.

— Płacił kartą kredytową?

— Nie, gotówką.

— Cholera — skwitowała to Laura.

Zaniosła do domu żabiego Świętego Mikołaja i ustawiła go obok innych figurek.

Następnego dnia, w poniedziałek, kiedy wychodziła z domu, znalazła na progu jeszcze jedno śnieżnobiałe pudełko. Otworzyła je z ociąganiem. W środku była żaba wykonana z przezroczystego szkła.

Kiedy Laura wróciła po południu z zajęć, Julia Ishimina siedziała przy małym stoliku w jadalnej części kuchni, czytając gazetę i popijając kawę.

— Dostałaś następną — powiedziała, wskazując na pudełko stojące na kuchennym stole. — Przyszła poczta.

Laura rozdarła pracowicie opakowaną przesyłkę. Szósta żaba była właściwie parą żab, które służyły jako solniczka i pieprzniczka.

Odłożyła je na nocną szafkę, obok innych figurek, a potem, siedząc na brzegu łóżka, przez długą chwilę wpatrywała się ze zmarszczonym czołem w swoją rosnącą kolekcję.

W piątek po południu zadzwoniła do Delmy Ackerson do Los Angeles i opowiedziała jej o żabach.

Nie mając żadnego funduszu depozytowego, Delma nawet nie zastanawiała się nad pójściem do college'u, ale nie robiła z tego tragedii, ponieważ, jak to ujęła, kariera akademicka jej nie interesowała. Po skończeniu liceum, prosto z Caswell Hall, udała się do Los Angeles, zamierzając wejść w świat show businessu jako artystka kabaretowa.

Prawie każdego wieczora, od jakiejś szóstej po południu do drugiej rano kręciła się po kabaretach — „Improv”, „Comedy Store” i wszelkich ich odmianach — licząc na załapanie się na sześciominutowkę, darmowy występ na scenie, nawiązując kontakty (albo licząc, że je nawiąże), walcząc z hordą młodych aktorów o upragniony występ.

Za dnia zarabiała na czynsz, zmieniając przy tym prace jedna za drugą, a niektóre z nich były doprawdy osobliwe. Między innymi przebrana za śpiewającego kurczaka obsługiwała klientów w jednej z tych zwariowanych pizzerii z wydumany własnym „charakterem”. Wynajmowała się też do zastępowania w pikietach niektórych członków

Związku Pisarzy Zachodniego Wybrzeża, którzy zobowiązani przepisami związkowymi do uczestnictwa w akcji strajkowej woleli jednak zapłacić komuś stówę dziennie, żeby nosił za nich transparent i wpisywał ich nazwisko na listę obecności.

Ponieważ obie prowadziły bardzo aktywny tryb życia, mimo że dzieliło je tylko dziewięćdziesiąt minut jazdy, Laura i Delma widywały się zaledwie dwa, trzy razy w roku. Zazwyczaj na długim lunchu czy obiedzie. Ile jednak czasu upłynęłoby od ostatniego spotkania, od razu trafiały we właściwy ton, dzieląc się najbardziej osobistymi myślami i przeżyciami.

Związek McIlroya-Caswella — oświadczyła raz □elma — jest silniejszy niż braterstwo krwi, silniejszy niż przysięga członka mafi, silniejszy niż więź pomiędzy Fredem Flinstonem a Barneyem Rubble — a ci dwaj są naprawdę sobie bliscy.

Teraz więc, po wysłuchaniu opowieści przyjaciółki, □elma powiedziała:

— Co za problem, Lauro? Wygląda na to, że jakiś nieśmiały kawał mężczyzny ma zawrócone w głowie na twoim punkcie. Na taką wieść wiele bab zemdlałoby z rozkoszy.

— Ale czy to naprawdę to? Niewinne zawrócenie w głowie?

— A co innego?

— Nie wiem, ale jakoś mi... nieswojo.

— Nieswojo? Te wszystkie żaby to śliczne, małe stworki, prawda? Żadna z nich nie jest zrzędliwą żabą? Żadna nie trzyma w łapie małego okrwawionego rzeźnickiego nożyka? Albo małej ceramicznej piły elektrycznej?

— Nie.

— Nie przysłał ci żadnej bezgłowej żabci, co?

— Nie, ale...

— Shane, ostatnie dwa lata były spokojne, chociaż poprzednio życie serwowało ci wiele różności. Jest zrozumiałe, że spodziewasz się po tym facecie, iż okaże się braciszkiem Charlesa Mansona. Ale jest prawie pewne, że jest tym, na kogo wygląda — facetem, który wielbi cię z dystansu. Jest może trochę nieśmiały, ale w spektrum jego osobowości pasmo romantyzmu ma jakieś osiemnaście cali. Jak twoje życie seksualne?

— Nie mam żadnego — wyznała Laura.

— A to dlaczego? Dziewicą nie jesteś. Ten facet w zeszłym roku...

— Wiesz, jakoś to nie wypaliło.

— Nikogo od tej pory?

— Nie. A co ty sobie myślisz, że się puszczam?

— Szszsz! Dzieciaku, dwóch kochanków przez dwadzieścia dwa lata nie zrobiłoby z ciebie dupodajki nawet według standardów Świętego Ofcjum. Odpręż się trochę. Rozluźnij. Przestań się zamartwiać. Płyn, gdzie cię poniesie, patrz za prądem. Może się jeszcze okazać księciem z bajki.

— No... może tak zrobię. Chyba masz rację.

— Ale, Shane?

86

— Tak?

— Na wszelki wypadek, lepiej trzymaj zawsze pod ręką magnum kaliber 357.

— Ale masz dowcip.

— Z tego żyję.

Przez następne trzy dni Laura otrzymała jeszcze dwie żaby i w sobotę dwudziestego drugiego rano była równie zła, co zbita z tropu i przestraszona. Na pewno żaden tajemniczy wielbiciel nie przeciągałby tak struny. Każda następna żaba wydawała się jej raczej szyderstwem niż hołdem.

Uporczywość ofarodawcy stawała się obsesyjna.

Większość piątkowego wieczoru i nocy spędziła na krześle przy oknie w wielkim living roomie, nie zapalając światła. Przez na wpół zaciągnięte zasłony miała widok na krytą werandę, okalającą cały budynek, i na miejsce przed drzwiami jej mieszkania. Jeżeli przyjdzie w nocy, przyłapie go na gorącym uczynku. Do wpół do czwartej rano nie pojawił się, więc zasnęła. Kiedy ocknęła się rankiem, nie było żadnej paczki.

Po prysznicu i skromnym śniadaniu zeszła na dół wewnętrznymi schodami i okrążyła budynek, aby dojść do krytego parkingu, gdzie trzymała swój wóz. Chciała pójść do biblioteki i poszperać trochę w materiałach, zwłaszcza że pogoda raczej nie zachęcała do spacerów na dworze. Zimowe niebo zwisało nisko; ciężka, przedburzowa atmosfera nie wpływała dobrze na samopoczucie. Zły nastrój pogłębił się, kiedy na desce rozdzielczej jej zamkniętego chevroleta znalazła następne pudełko. Chciało jej się krzyczeć z poczucia bezsilności.

Zamiast tego usiadła za kierownicą i otworzyła paczkę.

Poprzednie figurki były niedrogie, po nie więcej niż dziesięć czy piętnaście dolarów, a niektóre były chyba nawet tańsze, ale ta najnowsza była niezwykła. Porcelanowa, o miniaturowych wymiarach, na pewno kosztowała przynajmniej pięćdziesiąt dolarów. Jednak bardziej niż sama żaba zainteresowało ją pudełko, w którym ją przyniesiono. Nie było gładkie jak poprzednie, miało nadruk sklepu z pamiątkami — „Collectibles” — mieszczącego się przy promenadzie handlowej South Coast Plaża.

Laura pojechała wprost na promenadę; zjawiała się piętnaście minut przed otwarciem „Collectibles”, zaczekała na ławce i była pierwszą osobą, która tuż po otwarciu przekroczyła próg sklepu. Prowadziła go właścicielka, siwowłosa kobieta imieniem Eugenia Farvor.

— Tak jest, rozprowadzamy ten produkt — stwierdziła po wysłuchaniu zwięzłych wyjaśnień Laury i obejrzeniu porcelanowej żaby — rzeczywiście, sama ją sprzedałam, właśnie wczoraj, pewnemu młodemu człowiekowi.

— Czy nie wie pani, jak się nazywa?

— Przykro mi, ale nie.

— A jak wyglądał?

87

— Zapamiętałam go dobrze ze względu na wzrost. Bardzo wysoki. Powiedziałabym, że jakieś sześć stóp i pięć cali. I niezwykle barczysty. Bardzo dobrze ubrany. Szary, elegancki garnitur, szarobiałe, prążkowany krawat. Bardzo podobał mi się ten garnitur, a on wyjaśnił mi, że ma kłopoty z kupowaniem pasujących na niego ubrań.

— Płacił gotówką?

— Mmmmm... nie, sądzę, że korzystał z karty kredytowej.

— Czy ma pani jeszcze kwit kasowy?

— O tak, zwykle trzymamy je z dzień lub dwa, aby je uporządkować i przesłać do realizacji pod adresem konta.

Pani Farvor przeprowadziła Laurę obok serwantek wypełnionych porcelaną, kryształami Laliqua i Waterforda, talerzami Wedgwooda, figurkami Hummela i innymi kosztownymi drobiazgami. Weszły

do ciasnego biura na zapleczu. Nagle właścicielka zaczęła się wahać, czy wolno jej ujawnić tożsamość swojego klienta.

— Jeżeli jego zamiary są niewinne, jeżeli jest tylko pani wielbicielem, a muszę przyznać, że nie wydawał mi się groźny, był raczej miły — wtedy wszystko mu popsuję. Przedstawi się pani wtedy, kiedy sam uzna to za stosowne.

Laura spróbowała oczarować starszą panią i zdobyć jej sympatię. Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek przemawiała bardziej wymownie i z większym uczuciem. Zwykle łatwiej było jej wyrazić uczucia przelewając je na papier, a nie w bezpośredniej rozmowie. Autentyczne łzy pospieszyły z pomocą, zdumiewając ją samą jeszcze bardziej niż Eugenię Farvor.

Z kwitu kasowego zawierającego numer jego konta ustaliła, że nazywa się Daniel Packard. Miała też numer jego telefonu. Prosto ze sklepu udała się do automatu na promenadzie. W książce telefonicznej było dwóch Danielów Packardów, a posiadacz tego numeru mieszkał przy Newport Avenue w Tustin.

Kiedy powróciła na parking, zaczął zacinać chłodny deszczyk. Podniosła kołnierz płaszcza: nie wzięła kapelusza ani parasolki. Zanim dotarła do samochodu, miała mokre włosy i była zmarznięta. Trzęsła się przez całą drogę z Costa Mesa do północnego Tustin.

Pomyślała, że ma duże szansę zastać go w domu. Jeżeli jest studentem, to w sobotę nie ma zajęć. Jeżeli pracuje w biurze, to także w sobotę nie będzie go w pracy. A pogoda wykluczała wiele typowych zajęć weekendowych, uprawianych w południowej Kalifornii na wolnym powietrzu.

Na podstawie adresu trafiła do zespołu jednopiętrowych budynków w stylu hiszpańskim, otoczonych ogrodem. Przez jakiś czas biegała od budynku do budynku po omiatanych przez wiatr chodnikach, nad którymi unosiły się ociekające wodą palmy i drzewa koralowe, szukając jego mieszkania. Zanim je odnalazła — mieściło się na parterze w najodleglejszej części budynku położonego najdalej od ulicy — woda ściekała jej z włosów. Była jeszcze bardziej zziębnięta. Fatalne samopoczucie stąpiło obawy i wzmoгло jej gniew, nacisnęła więc dzwonek bez chwili wahania.

88

Na pewno nie spojrział przez wizjer, bo kiedy otworzył drzwi i ujrzał ją, osłupiał. Jakieś pięć lat starszy od niej, był naprawdę wielkim mężczyzną: sześć stóp i pięć cali wzrostu, dwieście czterdzieści funtów samych mięśni. Nosił džinsy i jasnoniebieski Tshirt, pomazany smarem i jakąś inną, oleistą substancją; mięśnie jego ramion były naprawdę wspaniałe. Na twarzy miał jednodniowy zarost i smugę smaru, a ręce kompletnie czarne.

Przezornie stojąc przed progiem, poza zasięgiem jego rąk, Laura spytała po prostu:

— Dlaczego?

— Dlatego że... — przestąpił z nogi na nogę: był niemal zbyt wielki, aby zmieścić się we framudze drzwi, w których stał. — Dlatego że...

— No, słucham.

Przesunął unurzana w smarze dłoń po sklejonych włosach, nie zwracając uwagi na fatalne skutki. Odwrócił od niej spojrzenie ku zbryzganemu deszczem podwórku, mówiąc:

— Jak... jak udało ci się dowiedzieć, że to ja?

— To nieważne. Co jest istotne, to fakt, że cię nie znam, nigdy cię nie widziałam i mimo to mam

przysłane przez ciebie żabie zoo: pałaszasz się w środku nocy i zostawiasz mi je na progu; włamujesz się do mojego samochodu i zostawiasz mi je na desce rozdzielczej i tak trwa to tygodniami, więc czy ci się nie wydaje, że nadszedł czas, żebym dowiedziała się, o co w tym wszystkim chodzi?

Dalej na nią nie spoglądając, zarumienił się.

— No jasne, ale nie... nie byłem gotowy... nie sądziłem, że nadszedł już czas.

— Czas nadszedł już tydzień temu!

— Mhmm...

— Więc powiedz mi, dlaczego?

Patrząc w dół, na swoje usmarowane ręce, powiedział cicho:

— Więc, rozumiesz...

— Tak?

— Kocham cię.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem. W końcu popatrzył na nią.

— Kochasz mnie? Ale przecież nawet mnie nie znasz. Jak można kochać kogoś, kogo się nawet nie poznało.

Odwrócił od niej wzrok, przesunął jeszcze raz swoją umorusaną ręką □□ włosach i wzruszył ramionami.

— Nie wiem, ale tak jest i ja... no... więc, hm... mam to poczucie, wiesz, to poczucie, że powinienem spędzić z tobą resztę swojego życia.

Deszcz spływał jej z mokrych włosów, w dół po szyi i po plecach. Dzień przeznaczony na pracę w bibliotece został zmarnowany. Jak miała się skupić na szukaniu materiałów po tej scenie ze szpitala wariatów. Czując coś więcej, niż tylko drobne rozczarowa

89

nie, że jej tajemniczy wielbiciel okazał się tym brudnym, spoconym, niezdolnym sklecić zdania tępakiem, Laura powiedziała:

— Niech pan posłucha, panie Packard, nie życzę sobie otrzymywać od pana więcej żab.

— Ale zrozum, ja naprawdę chcę ci je posyłać.

— Ale ja naprawdę nie chcę ich dostawać. I jutro odeślę ci te, które mi przysłałeś. Nie — dzisiaj. Odeślę je dzisiaj.

Znów spojrzał jej w oczy, zamrugał ze zdziwieniem i powiedział:

— Myślałem, że lubisz żaby.

Czuła rosnący gniew.

— Ja naprawdę lubię żaby. Kocham je. Myślę, że żaby są najcudowniejszymi istotami, jakie Bóg stworzył. Teraz nawet chciałabym być żabą, ale twoich żab nie chcę. Zrozumiano?

— Mhm.

— Nie przesładuj mnie, Packard. Może są kobiety, które ulegają twojej nieziemskiej mieszance przyciężkiego romantyzmu i pływającego w pocie męskiego wdzięku, ale ja do nich nie należę i potrafię się obronić; nie sądz, że nie. Jestem dużo twardsza niż wyglądam i radziłam sobie z lepszymi od ciebie.

Odwróciła się od niego, wyszła spod werandy na deszcz, dobrnęła do samochodu i wróciła do

Irvine. Przez całą drogę trzęsa się; nie tylko dlatego, że była przemoczona i zmarznięta, ale i dlatego, że miotła ją wściekłość. Jak on śmiał!

W mieszkaniu przebrała się, otuliła w pikowany szlafrok i zaparzyła dzbanek kawy, żeby odpędzić dreszcze.

Właśnie pociągnęła pierwszy łyk, kiedy zadzwonił telefon. Odebrała w kuchni. To był Packard.

Mówił tak szybko, że ze słuchawki lał się długi potok słów:

— Proszę, nie rozłączaj się, masz rację, jestem w tych sprawach beznadziejny, jestem idiota, ale daj mi choć minutę na wytłumaczenie; kiedy przysłaś, naprawiałem maszynę do mycia naczyń, dlatego byłem taki uświniony, w smarze i w pocie, musiałem sam wyciągnąć ją spod kontuaru — mógłby to zrobić dozorca, ale załatwienie tego przez administrację zabrałoby tydzień, a ja jestem w tym dobry, potrafię naprawić wszystko — deszczowy dzień, nic innego do roboty, więc dlaczego samemu tego nie zrobić. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że przyjdiesz. Nazywam się Daniel Packard, ale to już wiesz, mam dwadzieścia osiem lat, byłem w wojsku do 73, jestem absolwentem Uniwersytetu Kalifornijskiego w Irvine, trzy lata temu skończyłem wydział biznesu, teraz jestem maklerem, ale chodzę też na kilka wieczorowych kursów na uniwersytecie i w ten sposób trałem na twoją nowelę o żabie w magazynie literackim kampusu, była wspaniała, strasznie mi się spodobała, kapitalna nowela, naprawdę, więc poszedłem do biblioteki i przeszukałem poprzednie numery, żeby znaleźć wszystko, co napi

90

sałaś, i wszystko przeczytałem i bardzo dużo było dobrych, cholernie dobrych rzeczy, nie wszystkie, ale bardzo dużo. I gdzieś w trakcie tego zakochałem się w tobie, w osobie, którą znałem z pisarstwa, bo było takie piękne i takie pełne życia. Któregoś wieczoru siedziałem w bibliotece, czytając jedną z twoich nowelek — nikomu nie wypożyczają starych wydań magazynu literackiego, mają je oprawione i trzeba je czytać na miejscu — a bibliotekarka przechodziła obok i pochyliła się, i zapytała, czy mi się podoba ta nowela, a ja powiedziałem, że tak, a ona powiedziała: „No to autorka tam siedzi, jeśli chcesz jej powiedzieć, że jest dobra” — i byłaś tam, tylko trzy stoły dalej, za stosem książek, zagrzebana w materiałach, marszcząc brwi, robiąc notatki — i byłaś wstrząsająca. Rozumiesz, ja wiedziałem, że jesteś piękna wewnątrz, bo twoje opowieści są piękne, uczucie w nich jest piękne, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że możesz być też piękna z zewnątrz — i nie było sposobu, żeby się do ciebie zbliżyć, bo przy pięknej kobiecie zawsze plątał mi się język i nogi, może dlatego, że moja matka była piękna, ale zimna i zdystansowana, więc może boję się, że wszystkie piękne kobiety odepchną mnie jak moja matka — masz tu taką niedopieczoną analizę, ale na pewno byłoby mi łatwiej, gdybyś była brzydka albo przynajmniej zwyczajna. Z powodu twojej noweli pomyślałem, że użyję żab, tego numeru z tajemniczym wielbicielem wysyłającym prezenty, żeby cię jakoś zmiękczyć, i planowałem ujawnić się po trzeciej czy czwartej żabie, naprawdę tak planowałem, ale ciągle to odkładałem, bo nie chciałem zostać odepchnięty, jak sędzę, i wiedziałem, że to się robi kretyńskie, żaba po żabie za żabą, ale nie mogłem się od tego powstrzymać i zapomnieć o tobie, a równocześnie nie byłem w stanie stanąć przed tobą twarzą w twarz — i tak to wygląda. Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić i na pewno nie chciałem cię zdenerwować, możesz mi wierzyć, mam nadzieję, że uwierzysz.

W końcu umilkł, wyczerpany.

— Dobrze — powiedziała.

A on:

— Więc umówisz się ze mną?

Zdziwiona swoją własną reakcją odpowiedziała:

— Tak.

— Kolacja i film?

— W porządku.

— Dziś wieczór? Mogę cię zabrać o szóstej?

— OK.

Kiedy odłożyła słuchawkę, stała przez chwilę, patrząc na telefon. W końcu odezwała się głośno:

— Shane, czy ty masz źle w głowie? — a potem: — Ale on powiedział, że moje pisarstwo jest „takie piękne i pełne życia”.

Przeszła do sypialni i spojrzała na kolekcje żab, stojącą na nocnej szafce.

— Raz nie potrafię się wysłowić i milczy, a za drugim razem gada bez przerwy. Może to jakiś szalony morderca, Shane.

91

A potem dodała: — Taak, może, ale jest równocześnie wybitnym znawcą literatury.

Ponieważ zaproszono ją na kolację i do kina, Laura włożyła szarą spódniczkę, białą bluzkę i kasztanowy sweter, ale on zjawił się w bity w ciemnoszary garnitur, białą koszulę z wywijanymi mankietami, niebieski jedwabny krawat ze spinką, jedwabną ozdobną chusteczkę i lśniące czarne półbuty. Wyglądał, jakby wybierał się na otwarcie sezonu do opery. Niósł otwarty parasol i otaczał ją taką opieką, prowadząc pod ramię z domu do samochodu, jakby był przekonany, że jeśli kapnęłaby na nią jedna kropla deszczu, to rozpląnęłaby się natychmiast, a gdyby poślizgnęła się i upadła, to rozsypałaby się na milion kawałeczków.

Z powodu różnicy ich ubiorów i wymiarów — miała pięć stóp i pięć cali, czyli była od niego o stopę niższa, a ważąc sto piętnaście funtów, przeszło o połowę lżejsza — odnosiła wrażenie, że idzie na randkę i własnym ojcem albo ze starszym bratem. Nie była mała, ale przy jego ramieniu i pod parasolem czuła się naprawdę maciupka.

W samochodzie powróciła mu małowówność, twierdził jednak, że paskudna pogoda wymaga niezwyklej uwagi przy prowadzeniu. Pojechali do małej włoskiej restauracyjki w Costa Mesa — lokalu, w którym Laurze udało się już kiedyś zjeść parę niezłych posiłków. Siedli przy stole, sięgnęli po menu, ale zanim jeszcze kelnerka zdążyła zapytać, co piją, Daniel oświadczył:

— Tu jest niedobrze, wszystko jest nie tak, jak powinno być, poszukajmy innego miejsca.

Zaskoczona, spytała:

— Ale dlaczego? Tu jest miło. Mają tu bardzo dobre jedzenie.

— Nie, naprawdę, wszystko jest nie tak. Żadnej atmosfery, żadnego stylu, nie chcę, żebyś pomyślała ummmm — i zaczął bełkotać, jak przez telefon, rumieniąc się przy tym — uhmmm, no, w każdym razie, tu jest nie tak, nie jak powinno być przy naszym pierwszym spotkaniu, chcę, żeby było wyjątkowo — i podniósł się. — Uhmmm, myślę, że znam takie miejsce, przepraszam — to było do zaskoczonej kelnerki — mam nadzieję, że nie sprawiliśmy kłopotu — i odsuwając już krzesło Laury, pomagając jej wstać — znam właściwy lokal, spodoba ci się. Nigdy tam nie jadłem, ale słyszałem, że jest naprawdę dobry, doskonały.

Inni goście zaczęli się im przyglądać, więc Laura przestała protestować.

— To blisko, parę ulic stąd.

Wrócili do jego samochodu, przejechali dwie przecznice i zaparkowali przed bezpretensjonalnie wyglądającą restauracją na obrzeżach centrum handlowego.

Laura zdołała się już zorientować, że aby dostosować się do jego stylu, powinna poczekać w samochodzie, dopóki nie otworzy jej drzwi. Kiedy to zrobił, zobaczyła, że stoi w głębokiej na dziesięć cali kałuży.

92

— Och, twoje buty! — zawołała.

— Wyschną. Trzymaj parasol, a ja cię przeniosę przez tę kałużę. Zażenowana pozwoliła, aby ją wytaszczył z wozu i przeniósł jakby nie ważyła więcej niż puchowy Jasiak. Postawił ją na chodniku i bez parasola pobrnął zamknąć drzwi samochodu.

Francuska restauracja nie miała tak miłej atmosfery jak włoska. Zaprowadzono ich do narożnego stolika, przy samych drzwiach do kuchni. Przez cały czas z nasiąkniętych wodą eleganckich butów Daniela wydobywały się chlupoty i posykiwania.

— Będziesz miał zapalenie płuc — martwiła się, kiedy już usiedli i zamówili dwa wytrawne saksy z lodem.

— Niemożliwe. Mam dobry system odpornościowy. Nigdy nie choruję. Raz w Nam, podczas akcji, zostałem odcięty od oddziału. Byłem sam w dżungli przez tydzień, lało cały czas, nie miałem nie pomarszczonego kawałka skóry na ciele, zanim dotarłem w bezpieczne miejsce, i nie dostałem nawet kataru.

Podczas kiedy sączyli swoje aperitify, przeglądali menu i składali zamówienie, był swobodniejszy niż kiedykolwiek, a nawet okazało się, że potrafi być rozsądnym, miłym i momentami zabawnym rozmówcą. Ale po tym, jak pojawiły się przystawki — łosoś w sosie koperkowym dla niej, eskalopki w cieście dla niego — i szybko stało się jasne, że całe jedzenie jest paskudne, mimo że ceny były dwukrotnie wyższe niż we włoskiej restauracji, jego zakłopotanie rosło — w miarę, jak zdolność do podtrzymywania konwersacji dramatycznie malała. Laura zachwycała się każdym daniem i opróżniała talerze do czysta, ale nadaremnie — nie dał się oszukać.

W dodatku kucharz i obsługa nie spieszyli się nadmiernie. Zanim Daniel wypisał czek i odprowadził ją z powrotem do samochodu — znów przenosząc przez kałużę, jak dziewczynkę — byli pół godziny spóźnieni na zaplanowany seans filmowy.

— Nie szkodzi — powiedziała — możemy przecież wejść później i zobaczyć pierwszą część następnego seansu.

— Nie, nie — zaprotestował. — To nie jest dobry sposób oglądania filmu. Zepsułoby to całą

przyjemność. A ja chciałem, żeby ten wieczór był bez zarzutu.

— Rozluźnij się — powiedziała. — Ja bawię się doskonale.

Popatrzył na nią z niedowierzaniem, a ona uśmiechnęła się. Odpowiedział również uśmiechem, ale bardzo bolesnym.

— Jeżeli nie chcesz iść teraz do kina, tylko gdzie indziej — powiedziała — to mi to nie przeszkadza. Dostosuję się.

Kiwnął głową. Zapalił silnik i ruszyli. Przejechali parę mil, zanim uświadomiła sobie, że odwozi ją do domu.

Przez całą drogę od samochodu do drzwi jej mieszkania przeproszał ją za zmarnowany wieczór, a ona w kółko zapewniała go, że ani przez moment nie czuła się zawiedziona. Na progu, w momencie, kiedy włożyła klucz do zamka, Daniel obrócił się na pięcie i zbiegł z pierwszego piętra, ani nie prosząc o pocałunek na dobranoc, ani nie dając jej szansy na zaproszenie go do środka.

93

Podeszła do szczytu schodów i patrzyła za nim, jak biegnie. W połowie drogi wiatr wywrócił mu parasol. Walczył potem z nim przez całą drogę, dwukrotnie o mało się nie przewracając. Kiedy dotarł do chodnika na dole, w końcu udało mu się przywrócić parasolowi normalny kształt — a wiatr natychmiast go wywrócił. Ze złością cisnął go w pobliskie krzaki, a potem podniósł wzrok ku Laurze. Teraz spływał już wodą od stóp do głów i w bladym świetle lampy widziała, jak ubranie zwisa na nim bezkształtnie. Był potężnym mężczyzną, silnym jak byk, ale mogły pokonać go drobiazgi — kałuża, podmuch wiatru — i było w tym coś ogromnie zabawnego. Wiedziała, że nie powinna się śmiać, ale mimo to parsknęła śmiechem.

— Jesteś diabelnie piękna, Lauro Shane — krzyknął z chodnika. — Bóg świadkiem, że jesteś po prostu zbyt piękna!

A potem szybko odjechał w noc.

Czując wyrzuty sumienia z powodu śmiechu, ale nadal nie mogąc się od niego powstrzymać, weszła do mieszkania i przebrała się w piżamę. Była dopiero za dwadzieścia dziewięć.

Albo stanowił przypadek beznadziejny, albo był najcudowniejszym mężczyzną, jakiego poznała od śmierci ojca.

O wpół do dziesiątej zadzwonił telefon.

— Czy spotkasz się ze mną jeszcze kiedyś? — spytał.

— Myślałam, że już nigdy nie zadzwonisz.

— Spotkamy się?

— Jasne.

— Kolacja i kino?

— To brzmi zachęcająco.

— Już nie pójdziemy do tej okropnej francuskiej knajpy. Przykro mi z tego powodu, naprawdę.

— Nieważne, gdzie pójdziemy — powiedziała — ale kiedy już gdzieś siądziemy, obiecaj mi, że zostaniemy tam.

— Jestem bałwan w niektórych sprawach. I jak ci mówiłem... nigdy nie potrafię się zachować przy pięknej kobiecie.

— To przez matkę.

— Właśnie. Odrzuciła mnie. Odrzuciła mojego ojca. Nigdy nie doznałem żadnego ciepła ze strony tej kobiety. Odeszła od nas, kiedy miałem jedenaście lat.

— To bolesne.

— Jesteś od niej piękniejsza i przy tobie jestem nieprzytomny ze strachu.

— A to komplement!

— No, przepraszam, ale tak jest. Rzecz w tym, że jakkolwiek byś była piękna, nie jesteś nawet w połowie tak piękna, jak to, co piszesz — i to mnie najbardziej przeraża. Co taki geniusz, jak ty, może widzieć w takim facecie, jak ja — oprócz, ewentualnie, zabawnego urozmaïcenia codziennego życia.

94

— Jedno pytanie, Daniel.

— Danny.

— Jedno pytanie, Danny. Jaki z ciebie makler? Czy w ogóle dajesz sobie z tym radę?

— Jestem pierwszorzędny — powiedział z tak autentyczną dumą, że wiedziała, że mówi prawdę.

— Moi klienci słuchają mnie jak wyroczni i mam własny, niezły portfelik akcji, które przez kolejne trzy lata przynoszą dochód przewyższający średnią rynkową. Gdyby wiatr miał pojęcie, jaki ze mnie analityk wartości, makler i doradca inwestycyjny, to nigdy nie odważyłby się wywrócić mi parasola.

2.

Po południu, następnego dnia po rozmieszczeniu materiałów wybuchowych w piwnicach instytutu. Stefan wyruszył w przedostatnią — jak liczył — wyprawę po Piorunowej Drodze. Była to bezprawna wycieczka do 10 stycznia 1988, nie mieszcząca się w programie oficjalnym i przeprowadzona bez wiedzy jego kolegów.

Kiedy się tam pojawił, w Górach San Bernardino padał świeży śnieg. Był przygotowany na tę pogodę. Miał na sobie gumowe buty, skórzane rękawice i marynarską, ciężką kurtę. Schronił się pod gęstą kępę sosen, zamierzając przeczekać iluminacje, spowodowane gęsto padającymi piorunami.

Sprawdził czas na zegarku, korzystając z migocącego, niebiańskiego oświetlenia. Zaskoczyło go, że tak późno się tu pojawił. Miał mniej niż czterdzieści minut, aby spotkać Laureę, nim zostanie zabita. Jeżeli zawiedzie i nie zdąży na czas, następnej szansy nie będzie.

Jeszcze ostatnie eksplozje białego światła przeszywały nisko zwisające chmury, a potężny odgłos gromu ciągle odbijał się od dalekich szczytów i górskich krawędzi, gdy wyszedł spomiędzy drzew i ruszył w dół stoku. Zeszłoroczny śnieg sięgał mu do kolan. Górna warstwa była ścięta lodem, załamującym się pod nim przy każdym kroku, i pokonywanie śnieżnej połaci szło mu równie trudno, jak brodzenie po głębokiej wodzie. Dwukrotnie upadł i śnieg nasypał mu się do butów; szalejący wiatr rzucał nim, jakby świadomy jego celów usiłował go zniszczyć. Zanim dotarł na skraj śnieżnego pola i wdrapał się na zaspę przy dwupasmowej szosie, prowadzącej z Arrowhead do Big Bear, jego spodnie i kurtę pokrywał pancierz złodowaczego śniegu, stopy miał przemarznięte, a co najgorsze,

stracił już ponad pięć minut.

Droga została niedawno oczyszczona przez pług śnieżny; pozostały na niej tylko wąskie, śniegowe pasma, ślizgające się po nawierzchni pod wpływem przenoszących je prądów powietrza. Ale zawieja wzmagala się. Płatki śniegu malały i spadały dwa razy szybciej niż przed paroma minutami, kiedy się tu pojawił. Wkrótce jazda tędy stanie się niebezpieczna.

95

Na poboczu zauważył znak: JEZIORO ARROWHEAD 1 MILA — i przeraził się na myśl, jak daleko jest jeszcze od miejsca, w którym powinien się znaleźć, aby spotkać Laurę.

Oślaniając oczy przed uderzeniami wiatru, spoglądał ku północy. Na tle ponurego zmroku koloru szarego żelaza dojrzał ciepłe mruganie elektrycznej poświaty. Trzysta metrów dalej wznosił się szary, parterowy budynek, a po jego prawej stronie stały zaparkowane samochody. Ruszył natychmiast w tamtym kierunku, chroniąc pochyloną twarz przed lodowatymi igiełkami niesionymi przez wiatr.

Musiał mieć samochód. Laurze zostało mniej niż pół godziny życia, a jemu dziesięć mil do pokonania.

3.

Pięć miesięcy po ich pierwszej randce, w sobotę 16 lipca 1977 roku, sześć tygodni po otrzymaniu uniwersyteckiego dyplomu, w rezultacie odprawionej w gabinecie sędziego cywilnej ceremonii ślubnej, Laura stała się żoną Daniela Packarda. Jedynymi gośćmi byli, pełniący również rolę świadków, ojciec Danny'ego, Sam Packard, i Helma Ackerson.

Sam był przystojnym, srebrnowłosym mężczyzną, wysokim na jakieś pięć stóp i dwa cale i wyglądającym niepozornie przy swoim synu. Podczas krótkiej ceremonii rozplakał się i Danny odwracał ciągle głowę, pytając:

— Nic ci nie jest, tato?

Wtedy Sam zaprzeczał ruchem głowy, siąkał nos i prosił, żeby nie zawracali sobie nim głowy, ale po chwili ponownie wybuchał płaczem i Danny pytał go, czy nic mu nie jest, a Sam znowu siąkał nos z dźwiękiem przypominającym nawoływanie gęsi. Wreszcie sędzia powiedział:

— Synu, łzy twego ojca są łzami radości, więc załatwmy to — bo mam udzielić ślubu jeszcze trzem parom.

Gdyby nawet ojciec pana młodego nie rozkleił się i nawet gdyby on sam nie miał równocześnie wymiarów giganta i serca jelonka, to ich ślub stałby się godny zapamiętania ze względu na Helmę. Włosy miała ostrzyżone w przedziwną postrzępioną fryzurę z grzywką w kształcie purpurowego pióropusza. W środku lata — i do tego na ceremonię ślubną — nałożyła wysokie czerwone szpilki, obcisłe czarne spodnie, pracowicie wystrzępioną czarną bluzkę, przewiazaną zwyczajnym stalowym łańcuchem, służącym za pasek. Miała wyzywające, foletowopurpurowe cienie wokół oczu, na

wargach krwawoczerwoną szminkę, a w uchu jeden kolczyk, wyglądający jak haczyk na ryby.

Po ceremonii, kiedy Danny zamieniał z ojcem parę słów na osobności, □elma i Laura odbyły swoją własną prywatną konferencję w rogu sądowego hallu. □elma wyjaśniła swój wygląd:

96

— To się teraz nazywa styl punk i jest najświeższą modą w Anglii. Tu nikt jeszcze tak nie chodzi. Jeżeli mam być szczerą, to w Anglii też mało kto, ale za parę lat wszyscy będą się tak nosić. Strasznie mi to pasuje do pracy. To jest tak dziwaczne, że jak tylko wleżę na scenę, ludzie ryją ze śmiechu. I prywatnie też mi pasuje. Chodzi o to, Shane, że jak sama widzisz, z wiekiem raczej nie przybywa mi urody. Cholera, gdyby przeciętność była chorobą i organizowano by akcję dobroczynną na rzecz jej ofar, robiłabym za model do plakatu. Ale to, co w stylu punk jest wielkie, to fakt, że możesz ukryć się pod makijażem i fryzurą i nikt nie może powiedzieć, że jesteś przeciętna — w tym zawsze wyglądasz na wariatkę. Jezu, Shane, Danny to kawał chłopca. Tyle mi o nim opowiadałaś przez telefon, ale nigdy nie mówiłaś, że jest taki ogromny. Gdybyś go wbiła w kostium Godzilli i wypuściła luzem na ulice Nowego Jorku, a potem to skrzyła, nie musiałabyś wyrzucać forsy na robienie zmniejszonych makiet. Kochasz go, co?

— Uwielbiam go — powiedziała Laura. — Jest równie łagodny, jak duży, może dlatego, że widział tyle przemocy w Wietnamie, a może po prostu w głębi serca zawsze był łagodny. Jest kochany □elma, i taki troskliwy, i mówi, że jestem jedną z najlepszych pisarek, jakie w życiu czytał.

— A kiedy poprzednio posyłał ci żaby, myślałaś, że to psychopata.

Dwóch umundurowanych policjantów przemierzało hall, prowadząc młodego, zarośniętego mężczyznę w kajdankach do jednej z sal sądowych. Mijając □elmę więzień spojrzął na nią i rzucił:

— Hej, mamuśka, poznajmy się!

— Ach, ten wdzięk Ackersonów — zwróciła się □elma do Laury. — Ty masz faceta, który jest połączeniem greckiego boga, pluszowego misia i Bennetta Cerfa, a ja otrzymuję tylko prostackie propozycje od wyrzutków społeczeństwa. Ale mówiąc poważnie, przedtem daleko było mi nawet do takich osiągnięć, więc może mój czas jednak nadchodzi.

— Nie doceniasz się, □elma. Zawsze się nie doceniałaś. Jeszcze jakiś zupełnie nadzwyczajny facet zobaczy w tobie skarb...

— Charles Manson na zwolnieniu warunkowym.

— Nie. Kiedyś będziesz tak samo szczęśliwa jak ja. Wiem. Przeznaczenie, □elmo.

— Wielkie nieba, Shane, zamieniasz się w pozbawioną samokontroli optymistkę. A co z piorunem? Wszystkie te nasze otchłanne rozmówki na podłodze pokoju w Caswell — pamiętasz? Uznałyśmy, że życie to komedia absurdu, która co rusz jest przerywana gromami tragedii, żeby nastrój całości nie był zbyt monotony, a slapstickowy efekt przez kontrast mógł być zabawniejszy.

— Może już ostatni raz uderzył w moje życie?

□elma wpatrywała się w nią przenikliwie.

— No, no. Znam cię i wiem, ile emocjonalnie ryzykujesz, zaledwie marząc o szczęściu. Mam nadzieję, że się nie mylisz mała, i założę się, że tak nawet jest. Założę się, że w twoje życie już nie walnie żaden piorun.

— Dzięki, □elma.

— I myślę, że Danny to cudo, klejnot. Ale sprzedam ci coś, co jest dużo ważniejsze od tego, co myślę: Ruthie też byłaby nim zachwycona. Nie miałyby mu nic do zarzucenia.

Objęły się mocno i przez chwilę były znów małymi dziewczynkami, nieustępliwymi, a równocześnie łatwymi do zranienia, pełnymi zuchwałej pewności siebie i zarazem lęku przed ślepym losem, który ukształtował ich wspólne lata dorostania.

W sobotę 24 lipca, po powrocie z miodowego tygodnia w Santa Barbara, pojechali po zakupy, a potem w ich mieszkaniu w Tustin razem przygotowali obiad: zieloną sałatę, wiejski chleb, kotlety mielone z kuchenki mikrofalowej i spaghetti. Laura wprowadziła się do Danny'ego na parę dni przed ślubem. Zgodnie z planem, jaki sobie ułożyli, mieli tu mieszkać przez dwa, może trzy lata. (Tak często i z takimi szczegółami omawiali swoją przyszłość, że w myślach rozpoczynali te słowa z dużej litery — Nasz Plan — jakby odwoływali się do jakiejś instrukcji obsługi wszechświata, która pojawiła się wraz z ich małżeństwem i na której można było polegać w sprawie dokładnego pokierowania ich wspólnym losem). Chcieli przenieść się stamtąd dopiero po dwu, może trzech latach, kiedy będzie ich stać na zapłacenie pierwszej raty za odpowiedni dom, bez naruszania skromnego portfela akcji, który Danny starał się powiększyć.

Jedli przy małym stole we wnęce w kuchni, z której mieli widok na ogromne palmy na podwórzu, kołyszące się w złotym słońcu późnego popołudnia, i omawiali kluczowy punkt Planu, który na Danny'ego nakładał obowiązek utrzymywania ich, podczas gdy Laura będzie w domu pisała swoją pierwszą powieść.

— Kiedy staniesz się szaleńczo bogata i sławna — powiedział, zwijając spaghetti na widelcu — wtedy rzucam maklerstwo i zajmuję się inwestowaniem naszych pieniędzy.

— A co, jeżeli nigdy nie będę bogata i sławna?

— Będziesz.

— A co, jeżeli nawet nie będą chcieli mnie drukować?

— Wtedy się z tobą rozwiodę.

Rzuciła w niego kawałkiem chleba...

— Bydlę.

— Wiedzma.

— Jeszcze jednego mielonego?

— Jeżeli masz nim we mnie rzucać, to nie.

— Już mi przeszło. Robię niezłe mielone, co?

— Znakomite — zgodził się.

— Warto to uczcić, że masz żonę, która robi dobre mielone, nie uważasz?

— Niewątpliwie.

— Więc chodźmy się kochać.

Danny zaprotestował:

— W połowie obiadu?

— Nie, w łóżku — odsunęła krzesło i wstała. — Chodź, obiad zawsze można odgrzać.

Podczas ich pierwszego roku kochali się często i w ich zbliżeniach Laura znajdowała coś więcej niż tylko zaspokojenie, coś znacznie ważniejszego, niż oczekiwała. Będąc z Dannym, przyjmując go w siebie, czuła się z nim tak związana, że czasami wydawało się jej, że są jedną osobą, jednym ciałem i umysłem, jednym duchem, jednym snem. Kochała go całym sercem, oczywiście, ale to uczucie jedności było czymś więcej niż miłością — albo przynajmniej różniło się od miłości. Podczas ich pierwszego wspólnego Bożego Narodzenia zrozumiała, że jest to poczucie przynależności, którego od dawna nie doświadczyła, poczucie bycia częścią rodziny. To był jej mąż, a ona była jego żoną i pewnego dnia z ich związku urodzą się dzieci — po dwóch, trzech latach, zgodnie z Planem — i pod opiekuńczymi skrzydłami rodziny znajdowała taki spokój, jakiego gdzie indziej daremnie by szukała.

Dawniej skłonna była sądzić, że życie w trwałym i niezmiennym szczęściu, harmonii i poczuciu bezpieczeństwa prowadzi do umysłowego letargu, że od nadmiaru szczęścia ucierpi jej twórczość, potrzebująca różnorodności, podniety płynącej także z dni załamania i rozpacz. Ale wyobrażenie, jakoby do tworzenia arcydzieł artyście niezbędne było cierpienie, jest dzieckiem młodego wieku i ubogiego doświadczenia. Im czuła się szczęśliwsza, tym lepiej pisała.

Sześć tygodni przed ich pierwszą rocznicą ślubu Laura skończyła powieść Noce Jerycha i posłała egzemplarz do Spencera Keene'a, agenta literackiego w Nowym Jorku, który miesiąc wcześniej odpowiedział przychylnie na jej pytający list. Dwa tygodnie później zadzwonił, że przyjmuje książkę do promocji, spodziewa się szybkiej sprzedaży i sądzi, że czeka ją wspaniała przyszłość pisarska. Z szybkością zaskakującą nawet dla niego powieść została kupiona przez pierwsze wydawnictwo, któremu ją przedstawił — Viking Press — za skromną, ale całkiem przyzwoitą zaliczkę piętnastu tysięcy dolarów. Umowa została podpisana w piątek, 14 lipca 1978 roku, na dwa dni przed rocznicą ich ślubu.

4.

W dostrzeżonym z oddali domu mieściła się restauracja i bar, skryte w cieniu ogromnych sosen Ponderosa. Drzewa wznosiły się na wysokość dwustu stóp, przystrojone w kiście sześciocalowych szyszek. Niektóre konary uginały się nisko pod ciężarem śniegu z poprzednich zawiei. Parterowy budynek był zbudowany z bali. Sosny otacza

ły go szczelnie z trzech stron, a na krytym dachówkami dachu więcej było sosnowych igieł niż śniegu. Okna były albo zaparowane, albo pokrywał je szron, tak że płynące z wewnątrz światło łagodnie rozpraszała przezroczysta warstwa na szkle.

Na parkingu przed budynkiem stały dwa dziipy, dwie półciązarówki i thunderbird. Czując ulgę na

myśl, że nikt nie dojrzy go przez okna baru, Stefan podszedł wprost do jednego z dżipów, spróbował otworzyć drzwi, stwierdził, że nie są zamknięte, siadł za kierownicą i zamknął je za sobą.

Z kabury, którą miał w wewnętrznej kieszeni kurty, wyciągnął waltera PPK/S kaliber 380 i położył go obok siebie na siedzeniu.

Stopy miał boleśnie zlodowaciałe, marzył o odpoczynku i wytrząśnięciu śniegu z butów. Ale zjawił się późno, pierwotny harmonogram został zniweczony, więc obawiał się stracić nawet minutę. Poza tym, jeżeli stopy go bolały, to nie przemarzły do kości, odmrożenie jeszcze mu nie groziło.

W stacyjce nie było kluczyków. Odchylił siedzenie, pochylił się, pogrzebał pod deską rozdzielczą, odnajdując przewody zapłonu — i po minucie silnik zaczął pracować.

Stefan wyprostował się właśnie w momencie, gdy właściciel dżipa, zionąc piwem, otwierał drzwi: — Hej, co tu, u diabła, robisz, przyjacielu?

Na pozostałej części pokrytego śniegiem parkingu nie dostrzegł nikogo. Byli sami.

Właściciel dżipa szarpnął go i Stefan pozwolił wyciągnąć się zza koła kierownicy, łapiąc przy tym pistolet z siedzenia. Pozornie ulegając sile mężczyzny, wykorzystał jego ruch, by pchnąć przeciwnika do tyłu, na śliski parking. Upadli. W momencie, gdy uderzyli o ziemię, znalazł się na górze, wbijając facetowi lufę pod brodę.

— Jezus, szefe! Nie zabijaj mnie pan.

— Teraz podnosimy się. Spokojnie, do diabła, i bez podskakiwania. Kiedy znaleźli się na nogach, Stefan przesunął się za mężczyznę, szybko zmieniając uchwyt ręki, trzymającej waltera, jak do pałki. Uderzył raz, wystarczająco silnie, aby mężczyzna stracił przytomność, ale nie odniósł trwałego urazu. Właściciel dżipa ponownie upadł i pozostał na ziemi, nieruchomy.

Stefan rzucił spojrzenie w kierunku baru. Nikt nie wychodził.

Nie słyszał od drogi żadnego samochodu, ale wyjący wiatr mógł przecież stłumić odgłos pracy silnika.

Ponieważ znów zaczął padać coraz gęstszy śnieg, włożył pistolet do głębokiej kieszeni kurty i zaciągnął nieprzytomnego mężczyznę do najbliższego samochodu, thunderbirda. Wóz był otwarty; wciągnął mężczyznę na tylne siedzenie, zamknął za nim drzwi i szybko wrócił do dżipa.

Silnik zgasł. Znowu musiał spać krótko przewody.

Wrzucił bieg i zawrócił w kierunku drogi; wiatr przeraźliwie gwizdał w bocznym okienku. Spadający śnieg gęstniał nadal, przechodził już w zadymkę, a jego wczó

rajsze pokłady unosiły się z ziemi w postaci obracających się, świetlistych kolumn. Gigantyczne, spowite w cienie sosny kołysały się i dygotały pod uderzeniami wiatru.

Laurze zostało mniej niż dwadzieścia minut życia.

Uczcili kontrakt na Noce Jerycha i niezmierną harmonię pierwszego roku ich małżeństwa, spędzając rocznicę ślubu w ich ulubionym miejscu — Disneylandzie. Całkowicie obojętni na otaczające ich letnie tłumy wycieczkowiczów przeprawili się drogą Piratów Karaibów. Zrobili sobie zdjęcie z Myszka Miki, dostali zawrotów głowy w ogromnych fliżankach na karuzeli Szalonego Kapelusznika, kazali sobie narysować karykatury, jedli gorące parówki i lody, i polewane czekoladą mrożone banany na patyku i tańczyli wieczorem przy muzyce orkiestry grającej dobry, stary dixieland na New Orlean Square.

Po zapadnięciu zmroku park zyskał jeszcze na tajemniczym uroku.

Po raz trzeci z rzędu płynęli na łopatkowym parostatku Marka Twaina wokół wyspy Tomka Sawyera; stali objęci przy relingu na górnym pokładzie, blisko rufy. Danny powiedział:

— Wiesz, dlaczego tak lubimy to miejsce? Bo ono jest częścią tego, co pozostaje nietknięte przez zwyczajny świat. I takie jest nasze małżeństwo.

Później, nad pucharami truskawkowych lodów w Pawilonie Goździków, przy stole stojącym pod drzewami ozdobionymi białymi lampkami jak na Boże Narodzenie, Laura zauważyła:

— Piętnaście tysięcy dolarów za rok pracy... to nie jest fortuna.

— Nie jest to też zarobek niewolnika.

Odsunął na bok pucharek, pochylił się w przód, odsunął również drugi pucharek i wziął w dłonie jej rękę.

— Pieniądze w końcu przyjdą, bo jesteś świetna, ale nie to jest ważne. Najważniejsze, że jest w tobie coś wyjątkowego, co możesz ofarować. Nie, nie o to dokładnie mi chodzi. Nie ma w tobie czegoś wyjątkowego, to ty jesteś wyjątkowa. Wiem o tym, ale nie potrafię tego wytłumaczyć. Wiem, że kiedy zaczniesz dzielić się tym, czym jesteś, przyniesie to również wiele nadziei i szczęścia ludziom w odległych miejscach, tak jak przynosi mnie, tutaj, u twego boku.

Mrużąc oczy przed nagle napływającą falą łez, powiedziała:

— Kocham cię.

Noce Jerycha zostały wydane dziesięć miesięcy później, w maju 1979 roku. Danny upierał się, żeby użyła panińskiego nazwiska, bo wiedział, że przetrwała przez wszystkie te złe lata w Domu McIlroya i Caswell Hall częściowo dlatego, że chciała dorosnąć i do czegoś dojść, dochowując w ten sposób pamięci ojcu, a może również i matce, któ

rej nigdy nie znała. Tytuł sprzedawał się słabo, nie został wybrany przez żaden klub książki i Viking za skromną zaliczką odsprzedał prawo publikacji innemu wydawcy, drukującemu paperbacki.

— Nie szkodzi — powiedział Danny. — To jeszcze nastąpi. To nastąpi lada chwila. Dlatego, że jesteś tym, kim jesteś.

W tym czasie posunęła się już daleko w pracy nad następną książką, Shadrach. Spędzając przy biurku dziesięć godzin dziennie przez sześć dni w tygodniu, skończyła ją w lipcu.

W piątek wysłała jeden egzemplarz Spencerowi Keene do Nowego Jorku, a oryginał dała Danny'emu. Powinien pierwszy to przeczytać. Skończył wcześniej pracę i wziął się do czytania o pierwszej po południu w piątek, siedząc w swoim wysokim fotelu w living roomie, potem położył się do łóżka, spał tylko cztery godziny i o dziesiątej rano w sobotę był z powrotem w fotelu, mając już za sobą dwie trzecie całości. Nie chciał nic powiedzieć, ani słowa.

— Nic, dopóki nie przeczytam całości. Nie byłoby to uczciwe względem ciebie, gdybym zaczynał analizować i oceniać, zanim skończę, zanim połapię się w całości, a nie byłoby to też uczciwe wobec mnie, bo przy omawianiu akcji na pewno wygadałabyś się z czymś, co dopiero nastąpi.

Stale zaglądała, żeby zobaczyć, czy krzywi się, czy uśmiecha albo czy chociaż reaguje w jakikolwiek sposób. Ale nawet jeżeli coś okazywał, martwiła się, że jest to zła reakcja. O wpół do jedenastej w sobotę nie mogła już dłużej wytrzymać w mieszkaniu, więc pojechała do South Coast Plaza, poszperała trochę w księgarniach, zjadła wczesny lunch, choć nie była głodna, pojechała do Westminster Hall, pooglądała wystawy, zjadła mrożony jogurt, pojechała do Orange Mali, zajrzała do paru sklepów, kupiła kawałek ciasta i zjadła połowę.

— Shane — powiedziała do siebie — jazda do domu albo do obiadu będziesz się kwalifikowała na dublerkę Orsona Welleśa.

Kiedy parkowała na zadaszonym parkingu, przylegającym do ich budynku, zobaczyła, że samochód Danny'ego znikł. Weszła do mieszkania, zawołała, ale nie było odpowiedzi.

Maszynopis Shadrach leżał złożony na stoliku jadalnym.

Rozejrzała się, czy nie ma kartki z wiadomością. Nie było.

— O, Boże — westchnęła.

Książka była zła. Śmierdziała. Cuchnęła. Jak pierdnięcie muła. Biedny Danny wyszedł gdzieś na piwo, nabrać odwagi, by jej powiedzieć, że powinna zrobić kurs na hydraulika, póki jest jeszcze czas na karierę w innym zawodzie.

Czuła, że zaraz zwymiotuje. Pobiegła do łazienki, ale mdłości minęły. Umyła twarz zimną wodą.

Ta książka jest jak pierdnięcie muła.

102

Dobra, jakoś musi to przeżyć. Myślała, że Shadrach jest całkiem niezła, o niebo lepsza od Nocy Jerycha, ale oczywiście się pomyliła. Napisze więc inną książkę.

Weszła do kuchni, otworzyła piwo. Przełknęła zaledwie dwa łyki, gdy do mieszkania wkroczył Danny, dźwigając pudło takich rozmiarów, że mogłoby pomieścić piłkę do koszykówki. Było opakowane w papier przeznaczony do owijania prezentów. Złożył pakunek na stoliku jadalnym, obok maszynopisu, i popatrzył na nią z powagą.

— To dla ciebie.

Nie zwracając uwagi na paczkę, powiedziała:

— Mów.

— Najpierw obejrzyj prezent.

— Och, Boże! Czy jest aż tak zła? Czy jest tak zła, że musisz złagodzić ten cios prezentem? Zniosę to. Poczekaj! Pozwól, niech usiądę. — Odsunęła krzesło od stołu, opadła na nie. — Wal, najmocniej jak potrafisz, siłaczu. Jestem niezniszczalna.

— Za bardzo lubisz wszystko dramatyzować, Lauro.

— Co ty mówisz? Że książka jest melodramatyczna?

— Nie książka. Ty. W każdym razie w tej chwili. Czy, na litość boską, nie możesz przestać odgrywać młodej, rozdygotanej artystki i otworzysz swój prezent?

— Dobra, dobra. Jeżeli nie będziesz mówił, zanim go nie otworzę, to otwieram to cholerne pudło.

Położyła sobie karton na kolanach — był ciężki — i rozerwała wstążkę, podczas gdy Danny przysunął sobie krzesło i siadł przed nią, obserwując.

Pudełko miało znak firmowy eleganckiego sklepu, ale nie spodziewała się tego, co zawierało: wielką, wspaniałą wazę od Laliqua, całą z przezroczystego kryształu z wyjątkiem uszu, które były zarazem przejrzyste zielone i matowobiałe, każde w formie dwóch stojących na tylnych łapach żab; żab było więc w sumie cztery.

Podniosła szeroko otwarte oczy:

— Danny, w życiu czegoś takiego nie widziałam! To jest najpiękniejsze na świecie.

— No co, podoba ci się?

— Wielki Boże, ile?

— Trzy tysiące.

— Danny, nie stać nas na to!

— A właśnie, że stać.

— Nie, nie, naprawdę nie stać. Tylko dlatego, że napisałam marną książkę i chcesz teraz, żebym poczuła się lepiej...

— Nie napisałaś marnej książki. Napisałaś żabiocenną książkę. Czterożabią książkę, licząc w skali od jeden do czterech, gdzie cztery to góra i szczyt. Właśnie dlatego, że napisałaś Shadrach, stać nas na tę wazę. Książka jest piękna, nieskończenie lepsza niż poprzednia, a dlatego taka jest, bo jest jak ty. Ta książka jest jak ty, płynie z niej światło.

Z radości i pragnienia, aby jak najszybciej objąć Danny'ego, niemalże upuściła wazę wartości trzech tysięcy dolarów.

103

6.

Droga była teraz pokryta warstewką świeżego śniegu. Dżip miał łańcuchy śnieżne i napęd na obie osie, więc mimo warunków, jakie panowały na drodze, Stefan mógł rozwinąć niezłą prędkość.

Ale to nie wystarczy.

Oceniał, że spod baru, gdzie ukradł dżipa, do domu Packardów było około jedenastu mil. Dom stał tuż przy drodze państwowej nr 330, parę mil na południe od Big Bear. Górskie drogi były wąskie, kręte, pełne ostrych podjazdów i zjazdów, a zawiewający śnieg utrudniał widoczność, więc jego przeciętna szybkość wynosiła czterdzieści mil na godzinę. Nie mógł pozwolić sobie na szybszą ani bardziej ryzykowną jazdę, bo Laurze, Danny'emu i Chrisowi nie przyniosłoby to żadnej korzyści, gdyby stracił panowanie nad dżipem i runął w dół nasypu, ku śmierci. Jednak posuwając się z obecną prędkością pojawi się w ich domu dziesięć minut po tym, jak odjadą.

Poprzednio zamierzał ich zatrzymać, zanim niebezpieczeństwo nie minie. Teraz ten plan był bezużyteczny.

Styczniowe niebo zdawało się opadać tak nisko pod ciężarem zawiei, że wisiało tuż nad czubkami

zbitych szeregów szpilkowych drzew, rosnących po obu stronach drogi. Wiatr potrząsał nimi i dżipem. Śnieg przywierał do wycieraczek i lodowaciał, więc podkręcił ogrzewanie i pochylił się nad kierownicą, wypatrując oczy przez niedostatecznie oczyszczoną szybę.

Kiedy powtórnie spojrzął na zegarek, spostrzegł, że pozostało mu mniej niż piętnaście minut. Laura, Danny i Chris akurat wsiadali do swojego chevroleta blazer. A może już ruszyli z podjazdu.

Musi dopaść ich na autostradzie, choćby na ułamki sekund wcześniej niż śmierć.

Spróbował wycisnąć z dżipa jeszcze większą szybkość, nie wypadając równocześnie z zakrętu i nie waląc się w otchłań.

7.

Pięć tygodni po tym, jak Danny kupił jej wazę Laliqua, 15 sierpnia 1979 roku, parę minut po dwunastej, Laura stała w kuchni, grzejąc puszkę rosółu z kury na lunch, kiedy zadzwonił Spencer Keene, jej agent literacki z Nowego Jorku. Viking oszalał na punkcie Shadrach i proponuje sto tysięcy.

— Dolarów? — zapytała.

— Oczywiście, że dolarów — obruszył się Spencer. — A czego się spodziewasz, rubli? Co byś za to miała — kapelusik?

104

— O Boże — musiała oprzeć się o ladę kuchenną, bo nagle poczuła, jak miękną jej kolana.

Spencer kontynuował:

— Laura, złotko, tylko ty wiesz, co jest dla ciebie najlepsze, ale jeżeli oni nie złożą tych stu kawałków jako oferty ceny wywoławczej, uważam, że powinnaś z tego zrezygnować.

— Zrezygnować ze stu tysięcy dolarów? — spytała, nie dowierzając.

— Mam zamiar wysłać to do sześciu, może ośmiu wydawców, ustalić datę aukcji i zobaczyć, co się będzie działo. Spodziewam się, co się stanie, Lauro. Spodziewam się, że oni wszyscy oszaleją na punkcie tej książki tak samo jak ja. Z drugiej strony... może nie. To ciężka decyzja i musisz się i przemyśleć to, zanim mi odpowiesz.

W chwilę po tym, jak Spencer pożegnał się i rozłączył, Laura zadzwoniła do Danny'ego do pracy i powtórzyła treść rozmowy.

— Jeżeli nie złożą tej stówy jako oferty ceny wywoławczej, zrezygnuj — powiedział.

— Ależ Danny, czy nas na to stać? Chodzi mi o to, że mój samochód ma jedenaście lat i rozlatuje się. Twój ma prawie cztery...

— Posłuchaj, pamiętasz, co ci powiedziałem? Ta książka to odbicie tego, czym jesteś.

— Jesteś kochany, ale...

— Zrezygnuj, Lauro. Myślisz, że zlekceważenie setki portrecików McKinleya to jak splunięcie w twarz wszystkim bóstwom pomyślnego losu, jak ściągnięcie sobie na głowę gromu, o którym opowiadałaś. Ale ty zapracowałaś sobie na wysoką zapłatę i los nie może ci jej odebrać.

Zadzwoniła do Spencera Keene'a i przekazała mu swoją decyzję.

Podniecona, zdenerwowana, już żałując stu tysięcy dolarów, wróciła do gabinetu i siadła przy

maszynie do pisania, wpatrując się w niedokończoną nowelę, aż poczuła smród rosołu z kury i przypomniała sobie, że zostawiła go na ogniu. Pobiegła do kuchni i stwierdziła, że zupy zostało na pół palca, a spalone kluski pokryły całe dno garnka.

Dziesięć po dziesiątej — czyli dziesięć po piątej czasu nowojorskiego — Spencer zadzwonił z wiadomością, że Viking zgodził się postawić swoje sto tysięcy na aukcji.

— Dobra, więc tyle co najmniej weźmiesz za Shadrach — sto kawałków. Sądzę, że ustalę datę aukcji na dwudziestego szóstego września. To będzie duża sprawa, Lauro. Zobaczysz.

Spędziła resztę popołudnia próbując się cieszyć, ale nie była w stanie się uspokoić. Shadrach już była wielkim sukcesem, bez względu na to, co nastąpi na aukcji. Nie było powodu do niepokoju, a jednak nie mogła dla siebie znaleźć miejsca.

Danny wrócił z pracy do domu z butelką szampana, bukietem róż i bombonierką szwajcarskich czekoladek Godiva. Siedzieli na kanapie, pogryzali czekoladki, sączyli szampana i gadali o przyszłości. Zapowiadała się jasno, a mimo to Laury nie odstępował niepokój.

105

W końcu powiedziała:

Nie chcę czekoladek ani szampana, ani róż, ani stu tysięcy dolarów. Chcę ciebie. Zabierz mnie do łóżka.

Kochali się długo. Słońce późnego lata ześlizgnęło się z okna i noc wpłynęła do pokoju, zanim rozłączyli się niechętnie, przepelnieni słodyczą i budzącą się natychmiast tęsknotą. W ciemności, leżąc przy jej boku, Danny z czułością całował jej piersi, szyję, oczy i, na końcu, usta. Wtedy poczuła, że niepokój rozwiął się. Ale to nie seks przyszedł jej z pomocą. Bliskość drugiej osoby, całkowite oddanie samej siebie i poczucie dzielonych nadziei, marzeń i przeznaczeń były najlepszym lekarstwem. Wielkie, cudowne poczucie bycia rodziną, którą z nim tworzyła, stanowiło ten talizman, który skutecznie odpędzał nieprzychylny los.

We środę, 26 września, Danny zwolnił się z pracy, aby towarzyszyć Laurze, kiedy z Nowego Jorku będą nadchodzić wiadomości o przebiegu aukcji.

O wpół do ósmej rano, a wpół do jedenastej czasu nowojorskiego, Spencer Keene zadzwonił z wiadomością, że Random House złożył pierwszą propozycję powyżej ceny wywoławczej.

— Sto dwadzieścia pięć tysięcy, a jesteśmy dopiero na początku drogi. Dwie godziny później zadzwonił znowu.

— Całe towarzystwo poszło na lunch, więc na razie mamy spokój. W tej chwili doszliśmy do trzystu pięćdziesięciu tysięcy, a sześciu wydawców jest jeszcze w grze.

— Trzysta pięćdziesiąt tysięcy? — powtórzyła Laura.

Stojąc przy zlewie kuchennym, gdzie wycierał naczynia, Danny upuścił talerz.

Kiedy odwiesiła słuchawkę i spojrzała na niego, uśmiechnął się i powiedział:

— Może się mylę, ale czy nie bałaś się kiedyś, że ta książka jest jak pierdnięcie muła?

Cztery i pół godziny później siedzieli przy stoliku w jadalni udając skupionych na grze w remika. Zdradzało ich roztargnienie przy liczeniu punktów, bardzo odległe od jakiegokolwiek matematycznej dokładności. W tym momencie Spencer Keene odezwał się znowu. Danny poszedł za nią do kuchni,

żeby słuchać jej odpowiedzi.

— Siedzisz, złotko? — spytał Spencer.

— Jestem przygotowana, Spencer. Obejdę się bez krzesła. Mów.

— Skończyło się. Simon i Schuster. Milion dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Mokra z wrażenia i drżąca, rozmawiała ze Spencerem przez następne dziesięć minut, a kiedy odwiesiła słuchawkę, nie pamiętała nic, o czym była mowa po tym, jak dowiedziała się o wysokości kontraktu. Danny spoglądał na nią wyczekująco i zrozumiała, że jeszcze nie wie, co się stało. Powiedziała mu, kto kupił i za ile.

106

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

Potem powiedziała:

— Myślę, że teraz stać nas na dziecko.

8.

Stefan wjechał na szczyt wzgórza i spojrzał w dół na półmilową wstęgę pokrytej śniegiem drogi. To stanie się tu. Po lewej ręce, za południowym pasmem jezdni, pokryte drzewami wzniesienie opadało gwałtownie ku drodze. Po prawej północne pasmo było zakończone poboczem szerokości jakichś sześciu stóp, zbocze opadało za nim stromym urwiskiem. Żadne bariery nie chroniły podróżnych przed śmiertelnym upadkiem.

W dole stoku droga skręcała w lewo, niknąc z oczu. Pomiędzy dolnym zakrętem a wzniesieniem, na które wjechał, obydwie czarne pasma były teraz puste.

Według jego zegarka Laura będzie martwa za minutę. Najwyżej dwie.

Nagle zdał sobie sprawę, że jeżeli już zjawił się zbyt późno, to wcale nie powinien zdążać w kierunku, z którego jadą Packardowie. Powinien przestać myśleć o zatrzymaniu ich, a zamiast tego znaleźć i zatrzymać samochód Robertsonów, jadący z kierunku Arrowhead. Byłoby to równie skuteczne.

Teraz było na to za późno.

Stefan nie miał czasu na cofnięcie się ani nie mógł jechać dalej na północ, w stronę Packardów. Nie znał co do sekundy dokładnego momentu ich śmierci, ale wiedział, że katastrofa zbliża się błyskawicznie. Gdyby próbował pojechać pół mili dalej i usiłował zatrzymać ich, zanim znajdą się w tym fatalnym obniżeniu terenu, mógłby znaleźć się u podnóża stoku i przejeżdżając zakręt minąłby ich, jadących w odwrotnym kierunku. Wtedy nie zdążyłby zawrócić i dopaść ich, zanim zderzą się z ciężarówką Robertsonów.

Delikatnie zahamował, następnie przeciął południowy, wznoszący się pas drogi i zatrzymał dżipa na jego środku, w połowie zbocza, tak blisko skarpy, że nie był w stanie otworzyć drzwi przy fotelu

kierowcy. Przez cały czas, kiedy wrzucał bieg na luz, zaciągał hamulec ręczny, gasił silnik i przesuwał się na siedzeniu, by wysiąść po stronie pasażera, serce waliło mu tak, że prawie bolało.

Zacinający śnieg i lodowate powietrze ukąsiły go w twarz, a wiatr, owiewający całe górskie zbocze, wył i skrzeczał wieloma głosami, może głosami Parek, trzech sióstr z greckiego mitu, szydzących z jego rozpaczliwych wysiłków, aby zapobiec temu, co postanowiły.

107

9.

Po otrzymaniu redakcyjnych poprawek Laura z łatwością przeprowadziła ostateczną redakcję Shadrach. Doręczyła końcową wersję całości w połowie grudnia 1979, a Simon i Schuster ustalili datę wydania na wrzesień 1980.

Był to rok, w którym Laura i Danny byli tak zajęci, że tylko na marginesie dostrzegła kryzys z zakładnikami w Iranie i kampanię prezydencką, a w jeszcze mniejszym stopniu docierały do jej świadomości niezliczone pożary, katastrofy samochodowe, wypadki, zatrucia środowiska, masowe morderstwa, powodzie, trzęsienia ziemi i inne tragedie, stanowiące pokarm dla doniesień agencyjnych. W tym roku wydarzenia w ich życiu gnały na złamanie karku. Kupili w Orange Park Ackres swój pierwszy dom — w hiszpańskim stylu, z czterema sypialniami, dwoma łazienkami i toaletą — i wyprowadzili się z mieszkania w Tustin. Laura zaczęła swoją trzecią powieść, Złotą krawędź, a kiedy pewnego dnia Danny zapytał ją, jak idzie, a ona odpowiedziała: „Pierdnięcie muła”, krzyknął: „To cudownie!” Pierwszego września otrzymali od MGM czek na solidną sumę za prawa do sfilmowania Shadrach, a Danny zrezygnował z posady w firmie maklerskiej i zajął się wyłącznie prowadzeniem interesów finansowych żony. W sobotę 21 września, trzy tygodnie po pojawieniu się na półkach, Shadrach dostała się na listę bestsellerów New York Timesa, na dwunaste miejsce. 5 października 1980, kiedy Laura urodziła Christophera Roberta Packarda, ukazało się trzecie wydanie Shadrach, która nie zagrożona zajmowała ósme miejsce w Timesie, otrzymując, jak to określił Spencer Keene, „ogłuszająco dobrą” ocenę w dziale recenzji na piątej stronie.

Chłopiec przyszedł na świat o 14.23, w większej niż zwykle powodzi krwi, jaka wynosi dzieci z przedporodowych ciemności. Skręcanej bólami, krwawiącej Laurze musiano od popołudnia do wieczora przetoczyć półtora litra krwi. Jednak noc była już lepsza, niż się spodziewano, a rano pacjentka była obolała i zmęczona, ale niebezpieczeństwo całkowicie minęło.

Następnego dnia w godzinach szpitalnych odwiedzin przyjechała □elma Ackerson, żeby zobaczyć niemowlę i świeżo upieczoną matkę.

□elma pozostała sobą. Ubrana w strój punka, z fryzurą, której jedna połowa była długa, z pasmem

białych włosów, jak u narzeczonej Frankensteina, a druga krótka — wpadła do separatki Laury, podeszła prosto do Danny'ego, zarzuciła mu ręce na szyję, mocno objęła i ogłosiła światu:

— Boże, aleś ty wielki. Jesteś mutantem. Przyznaj się, Packard, że choć twoja matka mogła należeć do ludzkiego gatunku, to tatuś był grizzli.

Podeszła do łóżka, na którym podparta trzema poduszkami siedziała Laura. Ucałowała ją w czoło, a potem w policzek.

108

— Zanim do was wpadłam, zajrzałam do sali noworodków i przez szybę rzuciłam okiem na Christophera Roberta. Jest się czym zachwycić. Ale myślę, że wszystkie miliony, jakie zarobisz na książkach, dziecino, będą niezbędne, bo chłopiec wdał się w ojca i rachunek za żarcie wyniesie ze trzydzieści tysięcy miesięcznie. Dopóki nie przejdzie kursu dobrego wychowania dla kotków i piesków, poobgryza wam wszystkie meble.

— Cieszę się, że jesteś, □elmo — powiedziała Laura.

— Miałabym z tego zrezygnować? Może gdybym grała w jakimś klubie należącym do mafi w Bayonne w New Jersey i musiałabym wyciąć kawałek numeru, żeby mieć czas na powrót, może wtedy zrezygnowałabym. Jak się zerwie kontrakt z tymi facetami, odcinają ci kciuki i zmuszają do używania ich jako czopków. Ale kiedy doszły mnie ostatnie wieści, byłam po zachodniej stronie Missisipi i tylko wojna nuklearna albo randka z Paulem McCartneyem mogłyby mnie zatrzymać.

Prawie dwa lata temu □elma w końcu dostała swój występ w „Improv” i odniosła sukces. Zdobyła agenta i zaczęła występować za pieniądze w marnych trzeciorzędnych — a czasem drugorzędnych — klubach w całym kraju. Laura i Danny dwukrotnie pojechali do Los Angeles na jej występy i bawili się świetnie. Sama pisała sobie teksty i wykonywała je z tym wyczuciem komizmu, jakie posiadała już w dzieciństwie, ale które z wiekiem jeszcze dojrzało. Jej występy miały szczególny styl, który albo mógł z niej uczynić zjawisko na skalę całego kraju, albo pociągnąć za sobą kompletny brak popularności. Dowcipy były zabarwione wyraźną nutą melancholii — świadomością, że w życiu tragedie następują równocześnie z momentami zachwyty i rozbawienia. W istocie było to zbieżne z nastrojem powieści Laury, ale to, co przemawiało do czytelników książek, mogło nie przemawiać do publiczności, płacącej za niewyszukane żarty.

Teraz □elma pochyliła się nad oparciem łóżka, spojrzała z bliska na Laurę i powiedziała:

— Hej, coś jesteś blada. A te kręgi pod oczami...

— □elma, kochanie, robię to z prawdziwym bólem, ale muszę zniszczyć twoje iluzje. W rzeczywistości to nie bocian przynosi dziecko. Matka musi wypchać je ze swojej macicy, z miejsca, w które się dokładnie wpasowało.

□elma patrzyła na nią uporczywie, a potem skierowała równie przenikliwe spojrzenie na Danny'ego, który przeszedł na drugą stronę łóżka, aby wziąć żonę za rękę.

— Co tu się dzieje?

Laura westchnęła i przekręciła się nieco, szukając wygodniejszej pozycji, a potem powiedziała do Danny'ego:

— Widzisz? Mówiłam ci, że to pies gończy.

— To nie była łatwa ciąża, co? — domagała się wyjaśnień.

— Cięża nie była najgorsza — powiedziała Laura. — Prawdziwy problem zaczął się przy porodzie.

— Chyba nie byłaś w... stanie krytycznym czy czymś takim, Shane?

109

— Nie, nie, nie — odpowiedziała, a dłoń męża wzmocniła uścisk jej dłoni. — Nic równie dramatycznego. Od początku wiedzieliśmy, że czekają nas pewne kłopoty, ale znaleźliśmy naprawdę najlepszego lekarza, który miał przez cały czas wszystko pod kontrolą. Chodzi o to, że... nie będę mogła mieć więcej dzieci. Christopher jest naszym pierwszym i ostatnim dzieckiem.

□elma popatrzyła na nich i powiedziała cicho:

— Przykro mi.

— W porządku — odparła Laura, zmuszając się do uśmiechu. — Mamy małego Chrisa, który jest śliczny.

Trwali w niezręcznym milczeniu, aż w końcu Danny odezwał się:

— Jeszcze nie jadłem lunchu i umieram z głodu. Zejdę na dół do baru na jakiejś pół godziny.

Kiedy wyszedł, □elma odezwała się:

— Tak naprawdę, to nie jest głodny, co? Wiedział, że potrzeba nam babskiej pogaduchy.

Laura uśmiechnęła się:

— On jest cudowny.

Opuszczając oparcie z jednej strony, □elma spytała:

— Jak tam wskoczę i klapnę przy tobie, to nie wywrócę ci wnętrzości? Nie zaczniesz się na mnie wykrwawiać, obiecujesz, Shane?

— Spróbuję.

□elma usiadła obok Laury na szpitalnym łóżku. Wzięła w dłonie jej rękę.

— Słuchaj, czytałam Shadrach i to jest cholernie dobre. Jest tam to, co wszyscy pisarze próbują osiągnąć, a co rzadko im się udaje.

— Jesteś kochana.

— Jestem twarda, cyniczna, cwana dupa. Ale z tą książką jest tak, jak mówię. To brylant. Dostrzegłam w niej Bovine Bowmaine i Tammy. I Boona, tego lekarza psychiatrę od dzieci. Pozmieniałaś im nazwiska, ale ja ich poznałam. Uchwyciłaś ich doskonale, Shane. Boże, były momenty, kiedy przywoływałaś to wszystko z powrotem, momenty, kiedy czułam na plecach takie dreszcze, że musiałam odłożyć książkę i pospacerować po słońcu. A czasem wyłam i śmiałam się jak szalona.

Laura czuła ból w każdym mięśniu i w każdym stawie. Nie miała sił podnieść się z poduszek i objąć przyjaciółkę ramieniem. Powiedziała więc tylko:

— Kocham cię, □elma.

— Ale Węgorza tam nie było, na szczęście.

— Zachowuję go sobie do następnej książki.

— I mnie, cholero jedna. Nie ma mnie w tej książce, choć jestem najbogatszą duchowo postacią, jaką kiedykolwiek poznałaś.

— Ciebie zachowuję do książki, która będzie tylko o tobie — powiedziała Laura.

- Nie kłamiesz, co?
- Nie. To nie będzie ta książka, nad którą pracuję teraz, ale następna.
- Posłuchaj, Shane, albo zrobisz ze mnie zjawisko, albo obsmaruję ci w sądzie tyłek. Słyszysz?
- Słyszę.
- elma przygryzła wargi, a potem powiedziała:
- Czy...
- Tak. Ruth też w niej będzie.
- Przez moment siedziały w milczeniu, trzymając się tylko za ręce. Łzy w oczach nie pozwalały Laurze widzieć ostro, ale dostrzegła, że □elma też mruga powiekami.
- Tylko nie to. Spłynie ci z oczu cały ten wypracowany makijaż.
- elma podniosła jedną nogę.
- Jak myślisz, czy te buty są dostatecznie od czapy? Czarna skóra, ostre noski i podkówki. Wyglądam w nich, jakbym cholernie lubiła ujeżdżać facetów, nie?
- Kiedy weszłaś, to od razu zastanawiałam się, ilu dzisiaj mężczyzn miałaś już pod batem.
- elma westchnęła i mocno pociągnęła nosem.
- Shane, skup się, skup się dobrze. Ten twój talent to rzecz bardziej wartościowa, niż myślisz. Potrafsz oddać w książce ludzkie życie, a kiedy człowiek odchodzi, książka pozostaje, pozostaje w niej życie. Możesz w książce zamknąć uczucia i każdy, gdzie bądź, może ją wziąć do ręki i czuć to samo; potrafisz sięgnąć do ludzkiego serca, potrafisz przypomnieć nam, co to znaczy być ludzkim w świecie, który bardzo stara się o tym zapomnieć. Taki masz talent i taki powód, aby żyć. Większy niż mnóstwo ludzi, więc... no, ja wiem, jak bardzo chcesz mieć rodzinę... trójkę albo czwórkę dzieci, jak mówiłaś... więc wiem, jak musisz teraz cierpieć. Ale masz Danny'ego i Christophera, i ten niezwykły talent, i to jest bardzo dużo.
- Laurze głos się załamywał:
- Czasem... tak bardzo się boję.
- Czego się boisz, maleńka?
- Chciałam mieć rodzinę, bo... wtedy nie można by zabrać mi wszystkich.
- Nikt ci nie będzie zabrany.
- Kiedy będzie tylko Danny i mały Chris... tylko ich dwóch... coś może się stać.
- Nic się nie stanie.
- A wtedy zostanę sama.
- Nic się nie stanie — powtórzyła □elma.
- Zawsze coś może się stać. Takie jest życie.
- elma usiadła głębiej na łóżku, wyciągnęła się obok Laury i oparła swoją głowę na jej ramieniu.

— Kiedy powiedziałaś, że to był ciężki poród... i tak wyglądałaś, taka blada... przestraszyłam się. Mam przyjaciół w Los Angeles, jasne, ale wszystko to typy z show businessu. Jesteś jedyną prawdziwą osobą, z którą jestem blisko, choć nie widzimy się często, i jak pomyślę, że mogłaś prawie...

— Ale to się nie stało.

— Ale mogło — gorzko zaśmiała się □elma. — Do diabła, Shane, sierotką byłaś, sierotką zostaniesz, co?

Laura obejmowała ją i gładziła po włosach.

Krótko po pierwszych urodzinach Chrisa Laura skończyła Złoty wiek. Opublikowano go dziesięć miesięcy później i na drugie urodziny chłopca książka uplasowała się na pierwszym miejscu na liście bestsellerów Timesa, co Laurze udało się osiągnąć po raz pierwszy.

Danny nadzorował inwestycje z wpływów za książki z taką roztropnością i tak skutecznie, że po paru latach, mimo żarłocznej paszczy podatku dochodowego, stali się nie tylko zamożni — zamożni, wedle większości kryteriów, byli już wcześniej — ale bardzo zamożni. Nie wiedziała, co o tym myśleć. Nigdy nie oczekiwała, że będzie bogata. Kiedy rozważała godne zazdrości warunki, w jakich żyła, oraz to, jakie budziły na tym świecie pożądanie, myślała, że powinna czuć się oszołomiona albo przerażona. Ale pieniądze nie wywoływały w niej żadnego z tych uczuć. Poczucie bezpieczeństwa, którego dostarczały, było przez nią mile widziane, bo pozwalało mieć zaufanie do samej siebie. Niemniej jednak nie planowali opuszczenia ich przytulnego domu z czterema sypialniami, choć stać ich było na kupno całej posiadłości. Pieniądze były — i nie warto było o nich myśleć. Życie to nie pieniądze. Życie to Danny i Chris, i — w mniejszym stopniu — jej książki.

Z małym dzieckiem w domu nie mogła ani nie chciała pracować sześćdziesiąt godzin tygodniowo przy swoim komputerze. Chris mówił, chodził i nie okazywał żadnych złych ani buntowniczych nastrojów, opisywanych przez książki o wychowaniu dzieci jako normalne zachowania maluchów pomiędzy drugim a trzecim rokiem życia. Dostarczał rodzicom głównie zadowolenia; był inteligentnym i ciekawym dzieckiem. Spędzała z nim tyle czasu, na ile mogła sobie pozwolić bez obawy zepsucia go.

Jej czwarta powieść, Zadziwiające bliźniaczki Appleby, pojawiła się dopiero w październiku 1984. Mimo że minęły dwa lata od ukazania się Złotej krawędzi, czyli rok więcej, niż pozwalają na to zwyczaje rynku wydawniczego, przedsprzedaż była największa z dotychczasowych.

Pierwszego października siedziała z Dannym i Chrisem na kanapie w pokoju, oglądając na video stare kreskówki z Szalonym Kierowcą.

— Bruuum, bruum! — wykrzykiwał zajądając prażoną kukurydzę Christopher za każdym razem, kiedy Szalony Kierowca startował z szaloną prędkością.

I wtedy zadzwoniła z Chicago □elma. Laura odebrała telefon w kuchni, ale w telewizji osaczony kojot usiłował właśnie wysadzić w powietrze swoich prześladowców, lecz zamiast tego wysadził

się sam, więc Laura powiedziała:

— Danny, lepiej odbiorę w gabinecie.

W ciągu ostatnich czterech lat, od dnia narodzin Chrisa, kariera □elmy znacznie się rozwinęła. Miała zaproszenia do sal widowiskowych w paru kasynach w Vegas. („— Słuchaj, Shane, muszę być naprawdę dobra, bo panienki od roznoszenia cocktaili są prawie gołe; cycki i tyłki na wierzchu, a faceci z widowni czasem rzeczywiście spoglądają na mnie, zamiast na nie. Z drugiej strony, może działał tylko na pedałów".) Ostatniego roku weszła do głównego show w MGM Grand, wypełniając pierwszą część występu Deana Martina, i cztery razy pojawiła się w Tonight u boku Johna Carsona. Toczyły się rozmowy o filmie albo nawet o telewizyjnym serialu, który byłby nakręcony specjalnie z myślą o niej. Wydawało się, że zmierza w kierunku pozycji gwiazdy komedii. Obecnie była w Chicago i miała tam wkrótce rozpocząć występy w jednym z największych klubów — jako jego główna atrakcja.

Być może długa szczęśliwa passa, jaka nastąpiła w ich życiu, spowodowała, że przeraziła się, kiedy usłyszała płacz □elmy. Laura od dłuższego czasu oczekiwała, że niebo runie jej na głowę z przerażającą nagłością, która całkowicie zaskoczy Brzydkie Kaczętko. Opadła na krzesło za biurkiem w gabinecie i porwała za słuchawkę:

— □elma? O co chodzi, co się stało?

— Po prostu przeczytałam... twoją nową książkę.

Laura nie mogła pojąć, co w Zdziwiających bliźniaczkach Appleby mogło tak głęboko dotknąć □elmę, i nagle zaczęła się zastanawiać, czy nie było czegoś obraźliwego w charakterystykach Carrie i Sandry Appleby. Chociaż żaden z wątków powieści nie odzwierciedlał biografii Ruthie i □elmy, Appleby były oczywiście wzorowane na siostrach Ackerson. Ale obydwie postaci zostały narysowane z wielką miłością i poczuciem humoru; z pewnością nie było w nich nic, co mogłoby obrazić □elmę — i w dzikim przerażeniu Laura usiłowała to właśnie z siebie wydusić.

— Nie, nie, Shane, ty beznadziejna idiotko — wykrztusiła □elma, między atakami płaczu. — Nie obraziłam się. Dlatego ryczę, bo udało ci się coś najcudowniejszego. W Carrie Appleby jest tyle Ruthie, ile ja o niej wiem, ale w twojej książce Ruthie będzie żyła długi czas. Pozwoliłaś Ruthie żyć, Shane, i to jest o niebo lepszy kawałek roboty, niż udało się to Panu Bogu w prawdziwym życiu.

Rozmawiały przez godzinę, głównie o Ruthie, wspominając ją z czułością i, rzecz jasna, nie bez łez. Danny i Chris pojawiali się parę razy w otwartych drzwiach gabinetu. Wyglądali na opuszczonych i Laura posyłała im pocałunki, ale nie odchodziła od telefonu, ponieważ był to jeden z tych rzadkich momentów, kiedy wspomnianie zmarłych jest ważniejsze od zajmowania się potrzebami żyjących.

Na dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem 1985 roku, kiedy Chris miał pięć lat z kawałkiem, w południowej Kalifornii rozpoczął się sezon deszczowy. Ulewa trzęsła gwałtownie liśćmi palm, zrywała ostatnie kwiaty z krzewów niecierpków i zalewała ulice. Chris nie mógł bawić się na dworze. Ojca nie było w domu, bo oglądał nieruchomości, w które zamierzał zainwestować, a

chłopczyk nie miał nastroju do samotnej zabawy. Ciągłe znajdował jakiś powód, by przeszkadzać matce w pracy i o jedenastej Laura przerwała pisanie swojej ostatniej książki. Posłała go do kuchni, żeby wyjął foremki, obiecując, że pozwoli mu pomagać jej przy pieczeniu ciasteczek z czekoladą.

Zanim przysłała do niego, wyjęła z sypialnianej komody buciki na płetwiaste łapy, małą parasoleczkę i maleńki szaliczek Sir Tomasa Żaby. Chowała to wszystko na taki dzień jak dzisiejszy. Idąc do kuchni ułożyła te przedmioty przy frontowych drzwiach.

Później, kiedy wkładała foremki z ciastkami do piekarnika, posłała go do drzwi frontowych pod pretekstem sprawdzenia, czy goniec z United Parcel nie zostawił paczki, której się spodziewała. Chris wrócił cały zarumieniony z podniecenia:

— Mamo, chodź zobaczyć, chodź, popatrz.

W przedpokoju pokazał jej trzy miniaturowe przedmioty, a ona powiedziała:

— Sądzę, że należą do Sir Tomasa Żaby. Och, czyżbym zapomniała ci powiedzieć o lokatorze, którego przyjęliśmy? Wspaniała, godna szacunku żaba, przybyła tu z Anglii w interesach królowej.

Miała osiem lat, kiedy ojciec wymyślił Sir Tommy'ego, a ona przyjęła tę bajkową żabę jako jeszcze jeden temat zabawy, ale Chris miał dopiero pięć latek i uznał to za prawdę.

— A gdzie będzie spał — w wolnej sypialni? A co zrobimy, jak dziadek przyjedzie w gości?

— Wynajęliśmy Sir Tommy'emu pokój na strychu — wyjaśniła Laura — i nie wolno mu przeszkadzać ani nikomu o nim mówić z wyjątkiem taty, bo Sir Tommy przybył od Jej Królewskiej Mości z tajną misją.

Patrzył na nią szeroko otwartymi oczami i chciała wybuchnąć śmiechem, ale powstrzymała się. Miał brązowe oczy i włosy, jak ona i Danny, ale rysy miał delikatne i bardziej był podobny do niej niż do ojca. Mimo jego kruchości było w nim coś, co kazało jej przypuszczać, że prawdopodobnie wystrzeli w górę jak Danny i będzie wysoki i solidnie zbudowany. Przytulił się do niej i wyszeptał:

— Czy Sir Tommy jest szpiegiem?

Przez całe popołudnie, kiedy piekli ciastka, zmywali naczynia i grali parę razy w Czarnego Piotrusia, Chris zadawał masę pytań o Sir Tommy'ego i Laura odkryła, że opowiadanie bajek dzieciom wymaga więcej pracy niż pisanie powieści dla dorosłych.

Danny wrócił o wpół do piątej i głośno witał ich już od drzwi łączących garaż z resztą domu. Chris wyskoczył zza narożnego stolika w kuchni, przy którym razem z Laurą grali w karty, i gwałtownie uciszył ojca:

— Pssst, tato, Sir Tommy może teraz spać, miał długą podróż, jest Królową Anglii i szpieguje u nas na strychu!

Danny zmarszczył brwi.

— Wychodzę z domu na parę godzin, a kiedy mnie nie ma, nawiedzają nas łuskowaci brytyjscy szpiegowie i do tego transwestyci?

Tej nocy w łóżku, po miłosnych zmaganiach, w których Laura wykazała wyjątkową pasję, zaskakującą nawet ją samą, Danny powiedział:

— Co cię dziś napadło? Cały wieczór jesteś taka... radosna, taka podniecona.

Przytulając się do niego pod kołdrą, rozkoszując się jego bliskością, odpowiedziała:

— Och, nie wiem, może to tylko świadomość, że jestem taka pełna życia i Chris jest pełen życia, ty jesteś pełen życia, my wszyscy razem. I ta sprawa z Sir Tommym.

— To cię bierze?

— Tak, bierze. Ale jest jeszcze coś. To... jakoś mówi mi, że życie trwa, że cykl wiecznie się powtarza — czy to nie brzmi niemądrze? — i że nasze życie, nas wszystkich, będzie trwało długo, bardzo długo.

— No cóż, myślę, że masz rację — powiedział. — Chyba, że teraz będziesz równie energiczna za każdym razem, kiedy znajdziemy się w łóżku i w takim wypadku wpędzisz mnie do grobu w jakieś trzy miesiące.

W październiku 1986 roku, kiedy Chris skończył sześć lat, piąta powieść Laury, Rzeka bez końca, została wydana przy ogromnym aplauzie krytyki i w nakładach większych niż poprzednie jej książki. Jej wydawca przepowiadał ten wielki sukces:

— Jest w niej cały ten humor, całe napięcie, cała tragiczność, cała ta diabelska mieszanka z powieści Laury Shane, ale w jakiś sposób nie jest tak mroczna jak poprzednie i właśnie dlatego jest tak bardzo pociągająca.

Przez dwa lata Laura i Danny zabierali Chrisa w góry San Bernardino do Lake Arrowhead i Big Bear, przynajmniej na tydzień w każdym miesiącu, latem i zimą, aby dziecko zobaczyło, że świat nie składa się wyłącznie z wygodnych, ucywilizowanych miast i przedmieść, takich jak tereny Okręgu Orange. W końcu zdecydowali, że nadszedł czas dogadzania własnym zachciankom i zakupili drugi dom w górach. Pozwalał im na to kwitnący rozwój jej kariery, sukcesy inwestycyjnej strategii Danny'ego; nie bez znaczenia był także jej świeżej daty optymizm i związane z tym przekonanie, że żyć trzeba nie tylko dla radości innych, ale i dla własnej.

Jedenastopokojowy dom był zbudowany z kamienia i drzewa sekwojowego; stał na trzydziestoakrowym terenie tuż przy drodze stanowej nr 330, parę mil na wschód od Big Bear. Był on w istocie o wiele bardziej kosztowny niż dom w Orange Park Ackres. Teren był tu pokryty głównie jałowcem i różnego gatunku sosną, a najbliższy sąsiad mieszkał daleko poza zasięgiem wzroku. Gdy podczas ich pierwszego weekendu w tym

115

ustroniu budowali bałwana, na skraju kołyszącego się lasu, w odległości dwudziestu jardów, pojawiły się trzy sarny i patrzyły na nich z ciekawością.

Chris był strasznie poruszony widokiem zwierząt i zanim tego wieczora został zapakowany do łóżka, oświadczył, że są to renifery Świętego Mikołaja. Upierał się, że to tutaj, a nie, jak to się opowiada, na Biegun Północny po Bożym Narodzeniu udawał się ten wesoły grubas.

Gwiazdy i wiatr wyszły w październiku 1987 roku i odniosły jeszcze większy sukces niż poprzednie książki. Film oparty na Niekończącej się rzece miał premierę w Dzień Dziękczynienia i uzyskał w porównaniu do innych filmów wyprodukowanych w tamtym roku rekordowe wpływy w pierwszym tygodniu eksploatacji.

W piątek, 8 stycznia 1988, uniesieni radością z powodu pierwszego miejsca, które już od 5 tygodni

na liście Timesa zajmowały Gwiazdy i wiatr, zaraz po powrocie Chrisa ze szkoły pojechali do Big Bear na całe popołudnie. W następny wtorek przypadały trzydzieste trzecie urodziny Laury i z tej okazji planowali urządzić nieco wcześniejszą uroczystość, tylko we trójkę, wysoko w górach, gdzie śnieg lśni jak lukier na torcie, a wiatr śpiewa swoją pieśń.

W sobotę rano przyzwyczajone już do ich obecności sarny zbliżyły się do domu na odległość dwudziestu stóp. Ale Chris był już dojrzałym siedmiolatkiem i w szkole dowiedział się, że gadki o Świętym Mikołaju nie są prawdziwe, więc nie upierał się dłużej, że są one czymś więcej niż tylko zwyczajnymi sarnami.

Weekend udał się pierwszorzędnie, chyba najbardziej ze wszystkich, jakie spędzili w górach, ale musieli go skrócić. Mieli zamiar wyjechać w poniedziałek o szóstej rano, aby znaleźć się w Okręgu Orange na tyle wcześnie, żeby zawieźć Chrisa do szkoły. Jednak zapowiadano silną burzę śnieżną, nieco wczesną, jak na tę porę roku, i choć znajdowali się tylko o dziewięćdziesiąt minut drogi od ciepłego wybrzeża, prognozy przewidywały dwie stopy śniegu. Nie chcąc, aby śnieg ich zatrzymał i pozbawił Chrisa dnia szkoły — taka możliwość była całkiem realna, mimo że mieli blazera z napędem na obie osie — zamknęli swój wielki dom z kamienia i sekwoi i pojechali na południe, wzdłuż drogi stanowej nr 330. Było parę minut po czwartej.

Południowa Kalifornia jest jednym z niewielu miejsc na świecie, gdzie w czasie krótszym niż dwie godziny można przejechać samochodem z temperatur zimowych w tropikalne i Laura zawsze lubiła i podziwiała tę drogę. Cała trójka była ubrana odpowiednio do tej pogody: bawełniane skarpetki, zimowe buty, ciepła bielizna, pikowane spodnie, grube swetry i kurtki narciarskie. Jednakże za godzinę mieli znaleźć się w cieplejszym klimacie, w którym nikt już nie będzie się tak opatulał, a za dwie — rozebrać się do podkoszulków.

Laura prowadziła, a zajmujący sąsiedni fotel Danny bawił się z siedzącym z tyłu Chrisem w opracowaną podczas poprzednich wypraw grę, polegającą na kojarzeniu słów. Gęsto padający śnieg przykrywał nawet te odcinki drogi, które były w znacz

nym stopniu osłonięte przez rosnące po obu jej stronach drzewa. W odkrytych miejscach silnie miotany kapryśnymi podmuchami górskich powiewów śnieg tworzył białe zasłony i wiry z milionów płatków, które czasami znacznie ograniczały widoczność. Jechała ostrożnie, nie zastanawiając się, czy dwugodzinna zwykle podróż do domu zabierze im tym razem trzy lub cztery godziny. Wyjechali wcześnie i mieli masę czasu, ile dusza zapragnie.

Kiedy minęli szeroki zakręt parę mil na południe od domu i rozpoczęli półmilowy podjazd, zobaczyła czerwonego dżipa zaparkowanego na prawym poboczu i mężczyznę w marynarskiej kurcie, stojącego na środku drogi. Schodził w dół ze wzgórza, machając rękami, aby się zatrzymali.

Pochylając się i starając się coś zobaczyć poprzez szalejące wycieraczki, Danny powiedział:

— Wygląda, jak gdyby mu coś nawaliło i jakby potrzebował pomocy.

— Patrol Packardów rusza na ratunek — krzyknął Chris z tylnego siedzenia.

Kiedy Laura zwolniła, facet na drodze zaczął szaleńczo wymachiwać rękami, wskazując, że mają przesunąć się ku prawemu poboczu drogi.

— Coś jest z nim nie tak... — odezwał się zaniepokojony Danny.

Tak, coś było nie tak. To był jej niezwykle obrońca. Po tych wszystkich latach jego widok przeraził Laurę i wstrząsnął nią do głębi.

10.

W momencie, w którym blazer wynurzył się zza zakrętu, Stefan wyszedł już z ukradzionego dżipa. Biegając w ich kierunku zauważył, że Laura na wysokości jednej trzeciej wzniesienia zredukowała do pierwszego biegu, ale jechała dalej środkiem szosy, więc nakazał jej, jeszcze bardziej gwałtownie, że powinna zjechać na pobocze, tak daleko, jak to tylko jest możliwe. Nie zatrzymała się jeszcze, jakby niepewna, czy jest tylko kierowcą, który znalazł się w tarapatkach, czy też grozi im z jego strony niebezpieczeństwo, ale kiedy zbliżyli się na tyle, że mogła zobaczyć jego twarz, a może też rozpoznać ją, usłuchała natychmiast.

Kiedy go minęła i podjechała blazerem na szerszy fragment pobocza, stając tylko dwadzieścia stóp poniżej dżipa, Stefan zawrócił, podbiegł i gwałtownie otworzył drzwi samochodu.

— Nie wiem, czy wystarczy zjechać z drogi. Wychodźcie na skarpę, szybko, już!

Danny zaprotestował:

— Hej, o co...

— Słuchaj go! — krzyknęła Laura. — Chris, chodź, szybko!

117

Stefan złapał Laurę za rękę i pomógł jej wydostać się z miejsca dla kierowcy. Kiedy Danny i Chris gramolili się z blazera, Stefan usłyszał ryk silnika zagłuszający ostry poświst wiatru. Podniósł wzrok ku wysokiemu wzniesieniu i zobaczył wielką półciągarówkę, która osiągnęła szczyt i zaczęła się teraz toczyć w ich kierunku. Pociągając Laurę za sobą, przebiegł przed maską blazera.

— W górę na skarpę, szybko — powiedział jej obrońca.

Zaczął wspinać się po zepchniętym tu przez pług, twardo ubitym, zlodowaciałym śniegu, stromo opadającym od pobliskiej linii drzew.

Laura obejrzała się na szosę i zobaczyła ciężarówkę, o ćwierć mili od nich i tylko sto stóp poniżej grzbietu wzniesienia, rozpoczynającą długi, wywołujący skurcz żołądka ześlizg po zdradzieckiej nawierzchni, co w końcu ustawiło ją w poprzek szosy. Gdyby ich nie zatrzymano, gdyby jej obrońca ich nie powstrzymał, znajdowałiby się teraz tuż poniżej grzbietu i w momencie, w którym ciężarówka wymknęła się spod kontroli, zostaliby zmiażdżeni. W tej chwili byłoby już po nich.

Obok niej Danny, z dzieckiem na plecach mocno trzymającym się ojca, też na pewno dostrzegł niebezpieczeństwo. Pozbawiona kontroli kierowcy ciężarówka mogła przebyć całą drogę w dół wzniesienia i wpaść na dżipa i blazera. Unosząc Chrisa i zawzięcie wdzierając się na pokryte śniegiem zbocze, ryczał na nią, żeby się ruszała.

Wspinała się, szukając uchwytów dla rąk i wkopując stopy w podłoże. Śnieg nie był cały spojony w lodową tafelę, gdzieś tam pokruszony odpadał kawałkami i parę razy o mało nie przewróciła się

na plecy i nie osunęła się w dół, na pobocze szosy. Wydawało jej się, że do chwili, gdy dołączyła do swojego obrońcy, Danny'ego i Chrisa, na wąskiej, pozbawionej śniegu górskiej półce piętnaście stóp nad drogą, w pobliżu linii drzew, wspinała się dobre parę minut. Ale w istocie pod wpływem strachu musiała stracić poczucie czasu, bo kiedy spojrzała na szosę, zobaczyła, jak ciężarówka dalej ześlizguje się, aż wreszcie dwieście stóp od nich wykonała pełny obrót i znów stanęła bokiem.

Razem z nią, wśród spadających strumieni śniegu, jakby w zwolnionym tempie, nadciągało przeznaczenie, które przybrało postać paru ton stali. Na wielkiej platformie ciężarówki stał pojazd śnieżny. Widać było, że nie użyto ani łańcuchów, ani innego typu zabezpieczeń. Kierowca głupio zaufał sile inercji, która miała utrzymać pojazd na miejscu. Ale teraz miotał się od ściany do ściany, tłukł o brzegi i klapę platformy, o kabinę. W ciągu półmilowego ześlizgu gwałtowne zmiany jego położenia dodatkowo naruszały równowagę ciężarówki, aż stanął nieomal dęba i wydawało się, że następny obrót ciężarówka wykona nie wokół osi pionowej, ale poziomej i przetoczy się przez dach.

Laura widziała, jak kierowca walczy z kołem kierownicy, zobaczyła obok kobietę z ustami rozwartymi do krzyku i pomyślała: „Och, mój Boże, biedni ludzie!”

Jakby odczytując te myśli, jej obrońca krzyknął ponad wiatrem:

118

— Są oboje pijani i nie założyli łańcuchów na koła.

Jeżeli tyle o nich wiesz, pomyślała, to musisz ich znać; dlaczego ich nie zatrzymałeś, dlaczego ich też nie uratowałeś?

Z potwornym zgrzytem przód ciężarówki uderzył w bok dzipa i nie przypięta pasami kobieta została wypchnięta przez przednią szybę; zawisła tak, wychylona do połowy z kabiny...

— Chris! — krzyknęła przeraźliwie Laura, ale spostrzegła, że Danny zdjął już chłopca z pleców i tulił go mocno, odwracając jego twarz od wypadku.

Zderzenie nie zatrzymało ciężarówki; miała zbyt wielką bezwładność, a nawierzchnia była zbyt śliska, aby pozbawione łańcuchów koła mogły się jej uchwycić. Gwałtowne zderzenie zmieniło kierunek jej ślizgu — nagle obróciła się, osuwając się tyłem w dół wzgórza, a pojazd śnieżny wystrzelił przez tylną klapę, wyfrunął, wbijając się w maskę stojącego blazera i roztrzaskując przednią szybę. W mgnieniu oka tył ciężarówki z miażdżącą siłą uderzył w przód blazera, a skumulowana energia była tak wielka, że pchnięcie przesunęło pojazd dziesięć stóp do tyłu, mimo iż jego hamulec był mocno zaciągnięty...

Chociaż oglądała ten obraz zniszczenia z bezpiecznej wysokości, Laura uchwyciła się ramienia Danny'ego, porażona myślą, że na pewno zostaliby ranni, a może zabici, gdyby schronili się za którymś z boków blazera.

...teraz ciężarówka odbiła się od ich wozu; krwawiąca kobieta wpadła z powrotem do kabiny i wolno ześlizgującą się, ale nadal pozbawiona kontroli zniszczona ciężarówka obróciła się o trzysta sześćdziesiąt stopni w niesamowitym, pełnym gracji śmiertelnym pas i przesuwając się wzdłuż wzgórza, a zarazem w poprzek pokrytej śniegiem nawierzchni, przez dalsze pobocze, przez nie strzeżony brzeg, w pustkę, w dół, w niewidzialne — zniknęła.

Chociaż horror zginął jej przed oczu, Laura zasłoniła twarz obydwoma rękami, może usiłując nie widzieć wywołanego przez wyobraźnię widoku ciężarówki niosącej swych pasażerów w dół skalnej,

nieomal ogołoconej z drzew przepaści, walącej się w obrotach poprzez setki stóp. Kierowca i jego towarzysza nie będą już żyli w chwili zetknięcia się z dnem urwiska. Nawet szalejący wiatr nie był w stanie zagłuszyć huku uderzeń ciężarówki o wystające skały. Ale w ciągu sekundy hałas tego gwałtownego upadku rozplątał się i jedynym dźwiękiem było szaleńcze zawrodozenie wiatru.

Oszołomieni, podtrzymując się wzajemnie, ześlizgnęli się w dół stoku na pobocze szosy, pomiędzy dżipa a blazera, na miejsce, w którym kawałki szkła i metalu pokryły śnieżną powierzchnię. Pióropusz dymu unosił się spod blazera, gorący płyn chłodniczy wyciekał na zamarznęty grunt, a zniszczony samochód trzeszczał pod ciężarem śniegowego pojazdu wbitego w jego maskę.

Chris łkał. Laura wyciągnęła do niego rękę. Objął ją, a ona podniosła go i ścisnęła, kiedy szlochał w jej kark.

119

Oszołomiony Danny zwrócił się do ich wybawcy.

— Kim... kim, w imię Boże, jesteś?

Laura patrzyła na swego obrońcę, nie mogąc poradzić sobie z faktem, że naprawdę tu stoi. Nie widziała go od ponad dwudziestu lat, od chwili, kiedy miała dwunasty rok, tego dnia na cmentarzu, gdy dostrzegła, jak spod kępy wawrzynów obserwował pochówek ojca. A z bliska nie widziała go prawie dwadzieścia pięć lat, od dnia, kiedy w sklepie jej ojca zabił tamtego ćpuna. Kiedy nie udało mu się uratować jej przed Węgorzem i kiedy zostawił ją samą, żeby sobie z tym poradziła, zaczęła tracić w niego wiarę, a wątpliwości wzmocnił fakt, że nie zrobił też nic, aby uratować Ninę Dockweiler — lub Ruthie. Minęło tyle czasu, że stał się tylko senną marą, bardziej wyobrażeniem niż rzeczywistością. W ciągu ostatnich paru lat nie myślała o nim wcale; straciła wiarę w niego tak samo, jak Chris obecnie tracił wiarę w Świętego Mikołaja. Dalej przechowywała list, który po śmierci ojca zostawił na jej biurku. Ale już dawno temu przekonała samą siebie, że tak naprawdę to nie napisał go jej czarodziejski obrońca, ale, być może, przyjaciele jej ojca, Cora albo Tom Lance. Teraz ponownie uratował ją w cudowny sposób i Danny w imię Boga zaklinał go, by powiedział, kim jest — a to samo chciała wiedzieć również ona.

Najdziwniejsze, że wyglądał tak samo, jak wtedy, kiedy zastrzelił ćpuna. Dokładnie tak samo. Rozpoznała go od razu, choć przeminął taki szmat czasu, bo nie postarzał się. Ciągłe sprawiał wrażenie, że jest w połowie albo w drugiej połowie czwartej dziesiątki. Nie do wiary, lata nie pozostawiły na nim śladu, żadnego pasemka siwizny na szarych włosach, zmarszczek na twarzy. Chociaż tego krwawego dnia w sklepie był w wieku jej ojca, teraz należał do jej pokolenia lub był niewiele starszy.

Zanim mężczyzna zdołał odpowiedzieć na pytanie Danny'ego albo znaleźć sposób, aby uniknąć odpowiedzi, jakiś samochód pojawił się na szczycie wzgórza i zaczął posuwać się ku nim. Był to staromodny typ pontiaca, zaopatrzony w dzwięczące na nawierzchni łańcuchy śnieżne. Kierowca widocznie dostrzegł zniszczenia dżipa i blazera i zauważył ciągle świeże ślady poślizgu ciężarówki, nie zatarte jeszcze przez wiatr i śnieg, bo zwolnił — przy redukcji biegów śpiew łańcuchów śnieżnych przeszedł w grzechot — i przejechał w poprzek szosy na południową jej stronę. Zamiast jednak wjechać na pobocze i zupełnie wyłączyć się z ruchu, samochód jechał dalej w kierunku północnym, ale po niewłaściwej stronie drogi, i zatrzymał się zaledwie piętnaście stóp od nich, w

pobliżu tylnego zderzaka dżipa. Z rozmachem otwarły się drzwi pontiaca i wysiadł kierowca — wysoki mężczyzna ubrany na czarno. Trzymał w ręku przedmiot, który zbyt późno Laura zidentyfikowała jako pistolet maszynowy.

— Kokoschka! — krzyknął jej obrońca.

W tej samej chwili, w której padło jego imię, Kokoschka otworzył ogień.

Choć od czasu Wietnamu minęło już piętnaście lat, Danny zareagował instynktem żołnierza. Kiedy kule odbiły się od czerwonego dżipa i blazera, przed i za nimi, złapał Laurę, popychając ją i Chrisa na ziemię między dwoma pojazdami.

120

Kiedy Laura padała poniżej linii ognia, zobaczyła, jak Danny dostaje kule w plecy. Został trafiony raz, może dwa razy, a ona gwałtownie szarpnęła się, jakby to ją trafiły kule. Danny padł na kolana przed maską blazera.

Laura krzyknęła rozpaczliwie; trzymając jedną ręką Chrisa, drugą wyciągnęła do męża.

Jeszcze żył i próbował przesunąć się ku niej na kolanach. Jego twarz miała kolor padającego wokół nich śniegu. Ogarnęło ją dziwne i straszliwe uczucie, że spogląda raczej w oblicze ducha niż w twarz żyjącego człowieka.

— Wejdz pod dżipa — powiedział Danny, odpychając jej rękę. Miał niski, chrapliwy głos, jakby coś pękło mu w gardle. — Szybko!

Jedna z kul przeszła go na wylot. Świeża krew płynęła z przodu jego niebieskiej, pikowanej, narciarskiej kurtki.

Kiedy zawahała się, podciągnął się na rękach i kolanach i popchnął ją ku stojącemu o kilka stóp dalej dżipowi.

Następna głośniejsza seria z pistoletu maszynowego zaterkotała w powietrzu.

Bandyta bez wątpienia posuwa się ostrożnie do przodu, ku frontowi dżipa, i wymorduje ich, jeśli będą się tu kryć. Ale nie mieli gdzie uciekać. Gdyby pobiegli w górę stoku, ku drzewom, skosi ich seria, zanim skryją się bezpiecznie w lesie; jeżeli spróbują przebiec drogę, zastrzeli ich, nim dotrą na drugą stronę — zresztą po drugiej stronie czekała na nich tylko przepaść. Biegając pod górę, będą zbliżać się ku niemu, biegając na dół, odsłonią plecy, tym bardziej wystawiając się na strzał.

Zagrzechotał automat. Posypały się szyby. Kule przebiły karoserię z twardym „paagtaag”.

Czołgając się ku przodowi dżipa i ciągnąc za sobą Chrisa, Laura zobaczyła, jak jej obrońca wślizguje się w wąski przesmyk między pojazdem a pokrytym sprasowanym śniegiem stokiem. Przykucnął obok zderzaka, poza polem widzenia człowieka, którego nazwał Kokoschka. W tym momencie zagrożenia nie wyglądał już czarodziejsko, nie był aniołem stróżem, ale zwykłym człowiekiem. W istocie wcale nie był wybawcą, lecz posłańcem śmierci, bo to jego obecność ściągnęła tutaj zabójcę.

Wobec nalegań Danny'ego wślizgnęła się pod dżipa. Chris wślizgnął się tam również; nie płakał już, nie chcąc, żeby tata pomyślał, że się boi. Nie widział, jak jego ojciec dostał kulę, bo twarz miał wtedy wtuloną w kurtkę na piersiach Laury. Wpełzanie pod dżipa nie miało sensu; Kokoschka i tak ich znajdzie. Nie mógł być aż tak głupi, żeby nie zajrzeć pod dżipa, kiedy nie mogli przecież uciec gdzie indziej, więc najwyżej zyskali w ten sposób trochę czasu, zaledwie kilka minut.

Kiedy już cała była ukryta pod dżipem, przyciągnąwszy do siebie Chrisa, aby dostarczyć mu tyle dodatkowej osłony, ile mogło dać jej ciało, usłyszała, że Danny odzywa się sprzed samochodu:

— Kocham cię.

121

Przeszył ją dotkliwy ból, gdyż uświadomiła sobie, że te dwa krótkie słowa są również słowami pożegnania.

Stefan wcisnął się pomiędzy dżipa a brudny, sprasowany śnieg pokrywający zbocze. Było tu niewiele miejsca, poprzednio nie wystarczyło mu go nawet na otwarcie drzwi z tej strony samochodu. Było go zaledwie tyle, żeby prześlizgnąć się do tylnego zderzaka. Kokoschka mógł się go tam nie spodziewać. Wtedy wystarczyłby jeden celny strzał, nim zdążyłby się obrócić i wygarnąć do niego serię z automatu.

Kokoschka. Nigdy w życiu nie czuł się tak zaskoczony, jak w momencie, kiedy Kokoschka wysiadł z tego pontiaca. To znaczyło, że wiedzieli o jego zdradzieckich knowaniach w instytucie. I wiedzieli również, że stanął pomiędzy Laurą a jej losem. Kokoschka wyruszył Piorunową Drogą z oczywistym zamiarem wyeliminowania zarówno zdrajcy, jak i Laury.

Z nisko pochyloną głową Stefan przepychał się teraz zawzięcie między dżipem a zboczem. Automat zagrzechotał i szyba nad nim roztrzaskała się. Śnieg na stoku był w wielu miejscach zlodowaciały i boleśnie kaleczył mu plecy. Pokonał ból i zaparł się całym ciałem o samochód. Lód popękał, a śnieg leżący pod nim sprasował się jeszcze bardziej, ułatwiając mu przejście. Wiatr rwał przez ten wąski tunel, zapchany jego ciałem, wyjął pomiędzy karoserią a zboczem. Wydawało mu się, że towarzyszy mu tu jakaś niewidzialna istota, która ogłuszającym gwizdaniem szydzi z niego.

Widział, jak Laura i Chris wczołgują się pod dżipa, ale był świadomy tymczasowości tego schronienia, przedłużającego życie o minutę, może mniej. Kiedy Kokoschka dostanie się przed wóz i tam ich nie znajdzie, zajrzy pod dżipa, położy się i otworzy ogień, rozrywając ich na strzępy w tej kryjówce.

A co z Dannym? Był potężnie zbudowanym mężczyzną, ze swoimi barami niedźwiedzia, z pewnością zbyt wielkim, aby szybko wczołgać się pod dżipa. Poza tym był już postrzelony; ból musiał znacznie utrudniać mu ruchy. Ale przede wszystkim Danny był mężczyzną, który nie kryje się w obliczu niebezpieczeństwa, szczególnie w takiej sytuacji, jak ta.

W końcu Stefan dotarł do tylnego zderzaka. Ostrożnie podniósł głowę i zobaczył pontiaca zaparkowanego osiem stóp dalej, na południowym pasie. Drzwi były otwarte, silnik pracował. Kokoschki nie było. Trzymając swojego waltera PPK/S kaliber 380, Stefan oderwał się od ośnieżonego stoku i przesunął za tył dżipa. Kucnął i zerknął zza prawego, tylnego błotnika.

Kokoschka był na środku drogi, poruszając się w kierunku przodu dżipa, gdzie, jak sądził, wszyscy się skryli. Trzymał w ręku uzi z wydłużonym magazynkiem. O wyborze tej broni zapewne

zadecydowała konieczność przystosowania się do epoki. Kiedy Kokoschka dotarł do miejsca pomiędzy dżipem a blazerem, otworzył znowu ogień,

122

prowadząc go od lewej ku prawej. Kule zagwizdały, odbijając się od metalu, dziurawiąc koła i z głuchym odgłosem rykoszetowały od nawierzchni szosy.

Stefan strzelił i spudłował.

Nagle, z szaleńczą odwagą, Danny Packard rzucił się na Kokoschkę, wypadając zza swego ciasnego ukrycia przy chłodnicy dżipa, gdzie leżał przywierając do ziemi tak szczelnie, że wystrzelone właśnie pociski z automatu przeszły mu tuż nad głową. Był ranny od pierwszej serii, ale nadal zachował siłę i szybkość i przez moment zdawało się nawet, że zdoła dopaść bandyty i obezwładnić go. Kokoschka właśnie odwracał się w prawą stronę, by zmienić kąt ostrzału, kiedy dojrzał rwącego ku niemu Danny'ego, musiał więc obrócić się i zmienić kierunek ognia. Gdyby był kilka stóp bliżej dżipa, a nie na środku drogi, nie zdołałby na czas zareagować.

— Danny, nie! — krzyknął Stefan.

Udało mu się posłać trzy kule Kokoschce, mimo że Packard już biegł w stronę tamtego.

Ale Kokoschka utrzymywał bezpieczną odległość i skierował otwór lufy prosto na Danny'ego. Działy ich wtedy jeszcze trzy albo cztery stopy. Uderzenia kilku pocisków odepchnęły szarżującego mężczyznę do tyłu.

Dla Stefana nie było pocieszeniem nawet to, że kiedy został trafiony Danny, Kokoschka również dostał dwie kule z waltera — jedną w lewe biodro, drugą w lewy bark — które zwały go na ziemię. Padając upuścił automat; broń potoczyła się po asfalcie.

Leżąca pod dżipem Laura krzyknęła przeraźliwie.

Stefan uniósł się z ziemi z tyłu samochodu i pobiegł w kierunku Kokoschki, który leżał na ziemi tylko trzydzieści stóp dalej, w pobliżu blazera. Biegnąc ślizgał się po zaśniewanej nawierzchni, z trudem utrzymując równowagę.

Kokoschka był ciężko ranny i najwyraźniej w szoku, niemniej jednak dostrzegł Stefana. Przetoczył się w kierunku uzi, które leżało przy tylnym kole blazera.

Stefan wystrzelił w biegu trzy razy, ale nie miał właściwej pozycji do strzału, a Kokoschka toczył się w przeciwnym kierunku, więc nie trafił drania. Nagle Stefan potknął się i upadł na środku drogi na jedno kolano, uderzając się tak mocno, że ból wystrzelił w górę uda, aż do biodra.

Tocząc się, Kokoschka dosięgnął automatu.

Widząc, że nie zdąży dopaść tamtego na czas, Stefan opadł na drugie kolano i podniósł waltera obiema rękami. Znajdował się niedaleko, zaledwie dwadzieścia stóp od Kokoschki. Ale nawet wytrawny strzelec może nie trafić z dwudziestu stóp, jeżeli tylko warunki będą dostatecznie złe, a takie właśnie były teraz: stan paniki, nienormalny kąt strzału i wiejący z siłą sztormu wiatr, który mógł znieść pocisk.

Leżąc na ziemi, Kokoschka otworzył ogień w tym samym momencie, w którym jego ręce spoczęły na uzi, nawet nim jeszcze zdążył obrócić automat, marnując pierwsze dwadzieścia naboju na serię, która poszła pod blazera, przebijając opony przednich kół.

Kiedy Kokoschka obracał broń ku niemu, Stefan z ogromnym wysiłkiem zapanował nad sobą i trzykrotnie wystrzelił. Ponieważ wiał wiatr i strzelał pod nieodpowiednim kątem, musiał liczyć naboje. Jeżeli spudłuje, nie będzie czasu na ponowne załadowanie.

Pierwsza kula z waltera chybiła.

Kokoschka w dalszym ciągu strzelał obracając broń w jego kierunku, aż linia strzału dosięgła maski dżipa. Pod samochodem byli Laura i Chris; Kokoschka strzelał z poziomu zerowego i na pewno parę kul poszło pod samochód.

Stefan wystrzelił po raz drugi. Uderzenie pocisku trafiło Kokoschkę w korpus i automat umilkł. Ostatni strzał Stefana trafił Kokoschkę w głowę. Było po wszystkim.

Spod dżipa Laura widziała niewiarygodnie odważną szarżę Danny'ego, widziała, jak padł na plecy i znieruchomiał, i wiedziała, że nie żyje, że tym razem nie będzie odroczenia wyroku. Rozpacz załapała ją jak światło straszliwej eksplozji i w przeblasku intuicji ujrzała swą przyszłość pozbawioną Danny'ego, obraz tak mroczny i złowrogi, że prawie zemdląca.

Wtedy przypomniała sobie o Chrisie, ciągle żyjącym i potrzebującym ochrony jej ciała. Odepchnęła rozpacz, wiedząc, że i tak powróci do niej później — jeżeli przeżyje. Teraz ważne było tylko, aby Chris przebrnął przez to wszystko i — jeśli to możliwe — uchroniony został od widoku przeszytego kulami ciała swego ojca.

Leżące ciało Danny'ego zasłaniało jej widoczność, ale dostrzegła, jak Kokoschka upadł trafony. Widziała swojego obrońcę, jak zbliża się do obalonego bandyty i przez moment wydawało się jej, że najgorsze ma już za sobą. Potem jej obrońca poślizgnął się i upadł na kolano, a Kokoschka potoczył się w kierunku upuszczonej broni. Znowu rozległy się strzały. Padło ich wiele w ciągu kilku sekund. Usłyszała, jak parę kul przeszło pod dżipem, zatrważająco blisko, ołów przecinający powietrze ze śmiertelnie głośnym świstem, który brzmiał głośniejsz niż jakikolwiek inny dźwięk na świecie.

Nic nie mąciło ciszy, która zapadła po strzałach. Zrazu Laura nie słyszała ani wiatru, ani słabego szlochu syna. Aż z wolna rosnące natężenie tych dźwięków przerwało ciszę.

Zobaczyła swego obrońcę żywego i połowa jej istoty odczuła ulgę, ale druga połowa była pełna irracjonalnego gniewu o to, że przetrwał i że ściągnął tu za sobą tego Kokoschkę, który zabił Danny'ego. Z drugiej strony, Danny — a także ona i Chris — z pewnością zginęliby w katastrofie spowodowanej przez ciężarówkę, gdyby jej obrońca się nie zjawił. Kimże, do diabła, był? Skąd przychodził? Dlaczego tak się nią zajmował? Była przestraszona, zła, oszołomiona, chora na duszy i całkowicie zdezorientowana.

Jej obrońca, najwyraźniej przeszywany bólem, podniósł się z kolan i kulejąc podszedł do Kokoschki. Laura obróciła się jeszcze bardziej i spojrzała wzdłuż opadającej ze

wzgórza drogi, poza leżącą nieruchomo głową Danny'ego. Nie wiedziała, co dokładnie robi jej obrońca, ale wyglądało to jakby rozdzierał ubranie na Kokoschce.

Po chwili zawrócił, kulejąc, pod górę, niosąc coś, co ściągnął z trupa.

Kiedy dotarł do dżipa, przykucnął i zajrzał pod niego.

— Wyjdź. Skończone.

Miał pobladłą twarz i zdawało się, że w ostatnich paru minutach przeżył więcej niż w ciągu poprzedniego ćwierćwiecza. Odkaslnął. Głosem, w którym, jak się wydawało, rozbrzmiewał autentyczny, głęboki żal, powiedział:

— Przykro mi, Lauro, bardzo mi przykro.

Wyczołgała się na brzuchu w kierunku tyłu dżipa, po drodze uderzając głową o podwozie. Pociągnęła za sobą Chrisa, zachęcając go do wyjścia tą drogą, gdyby bowiem wysunął się bliżej maski samochodu, zobaczyłby ojca. Jej obrońca pociągnął ich przez ostatnie parę stóp. Laura oparła się na siedząco o tylny zderzak i mocno objęła syna.

Trzęsąc się, chłopiec powiedział:

— Chcę być z tatusiem.

Ja też — pomyślała Laura. Och, maleńki, ja też chcę z nim być, tak bardzo chcę; wszystkiego, czego mi na świecie potrzeba, to twój tatuś.

Śnieżyca, dmuchając z ogromną siłą śniegiem z nieba, zamieniła się teraz w prawdziwą zamięć. Popołudnie przeszło już w zmierzch. Światło dzienne przygasło i wszędzie szary, ponury dzień ustępował przed niezwykle, fosforyzującą ciemnością sypiącej śniegiem nocy.

W taką pogodę niewielu ludzi wybiera się w podróż, ale Stefan był pewien, że ktoś się pojawi. Nie minęło dziesięć minut, od kiedy zatrzymał blazera Laury, ale nawet w tej wiejskiej okolicy i podczas zawiei nie należy oczekiwać, że droga długo jeszcze będzie pusta. Musiał z nią porozmawiać, a potem zniknąć, zanim zostanie wciągnięty w następstwa tego krwawego zdarzenia.

Przykucnął za dżipem, przed nią i płaczącym chłopcem, i powiedział:

— Laura, muszę się stąd wynosić, ale niedługo wrócę, już za parę dni...

— Kim jesteś? — spytała gniewnie.

— Teraz nie ma na to czasu.

— Do diabła, chcę to wiedzieć, mam do tego prawo.

— Tak, masz i za parę dni się dowiesz. Ale w tej chwili musimy przygotować ci wiarygodne wytłumaczenie, tak jak zrobiliśmy to w sklepie. Pamiętaj?

— Idź do diabła.

Nie ustępował.

— To dla twojego dobra, Lauro. Nie możesz powiedzieć władzom całej prawdy, bo będzie to brzmiało nieprawdopodobnie, rozumiesz? Uznają, że to wszystko zmyślasz,

zwłaszcza gdy zobaczysz sposób, w jaki cię opuszczę... no więc, kiedy im opowiesz, jak zniknąłem, to albo będą pewni, że jesteś zamieszana w morderstwo, albo że jesteś szalona.

Popatrzyła na niego z furią i nie odezwała się. Nie miał do niej pretensji o ten gniew. Może pragnęła, aby nie żył, ale to również rozumiał. Budziła w nim jedynie miłość, współczucie i głęboki szacunek.

— Powiesz im, że kiedy ty i Danny minęliście zakręt w dole wzgórza i zaczęliście wjeżdżać pod górę, na drodze znajdowały się trzy pojazdy: džip, pontiac zaparkowany w miejscu, na którym teraz stoi — przy poboczu po niewłaściwej stronie drogi — i jeszcze inny samochód, znajdujący się po północnej stronie jezdni. Po prostu zjawiliście się tu nie w porę. Było... czterech mężczyzn, dwóch uzbrojonych, i wyglądało to tak, jakby zmusili kierowcę džipa do zjechania z drogi. Wzięli was na muszkę, kazali zjechać z jezdni, a potem polecieli wysiąść tobie, Danny'emu i Chrisowi z wozu. W pewnej chwili usłyszałaś, jak mówili o kokainie... o czymś, co dotyczyło narkotyków, ale nie wiesz dokładnie, o co chodziło; kłócili się o narkotyki i robiło to takie wrażenie, jakby ścigali faceta z džipa...

— Handlarze narkotyków, tutaj, ni z tego, ni z owego? — spytała z ironią.

— Mogliby tu gdzieś mieć laboratorium, w jakiejś chacie w lesie, gdzie oczyszczaliby PCP. Posłuchaj, jeżeli ta historyjka będzie miała przynajmniej trochę sensu, chętnie ją kupią. To, co się naprawdę zdarzyło, jest bez sensu, więc nie możesz się na tym oprzeć. Powiesz im, że Robertsonowie nadjechali w swojej ciężarówce — oczywiście nie użyjesz ich nazwiska — a że droga była zablokowana przez wszystkie te samochody, to gdy kierowca nacisnął na hamulec, ciężarówka wpadła w poślizg...

— Masz obcy akcent? — powiedziała gniewnie. — Lekki, ale wyczuwalny. Skąd jesteś?

— Opowiem ci o tym wszystkim za parę dni — powiedział ze zniecierpliwieniem, spoglądając w górę i w dół zawianej śniegiem szosy. — Naprawdę opowiem, ale teraz musisz się zastosować do tej historyjki; ubarwisz ją, jak tylko potrafisz, i nie powiesz im prawdy.

— Nie mam wyboru, co?

— Nie — powiedział, czując ulgę na myśl, że uświadomiła sobie swoją sytuację.

Przylgnęła do syna i nic już nie powiedziała.

Stefan poczuł, że ból w na pół zamarzniętych stopach powraca. Gorączka wydarzeń zaczęła opadać; przeszywały go fale dreszczy. Podał jej pas zdjęty z Kokoschki.

— Włóż go pod swoją kurtkę. Nikt nie powinien tego zobaczyć. W domu schowaj to gdzieś.

— Co to jest?

— Później. Przyrzekam, że wrócę za kilka godzin. Zaledwie kilka godzin. Teraz obiecaj mi tylko, że to schowasz. Nie daj się ponieść ciekawości, nie wkładaj tego na siebie i na miłość Boską, nie naciskaj tego żółtego przycisku.

— Dlaczego nie?

— Bo nie chciałabyś dostać się tam, gdzie on cię zabierze.

Zamrugła, nie rozumiejąc go.

— Zabierze mnie?

— Wyjaśnię ci to, ale nie teraz.

— Dlaczego nie weźmiesz tego ze sobą, cokolwiek by to było?

— Dwa pasy, jedno ciało — to anomalia, nastąpi jakieś pęknięcie w polu energii i Bóg tylko wie,

gdzie mógłbym się znaleźć i w jakim stanie.

— Nie rozumiem. O czym ty mówisz?

— Później. Ale, Lauro, jeżeli z jakiegoś powodu nie będę mógł powrócić, lepiej się przygotuj.

— Do czego i w jaki sposób?

— Uzbrój się. Bądź gotowa. Nie ma powodu, żeby wzięli ciebie na cel, kiedy wezmą się już za mnie, ale wszystko jest możliwe. Żeby dać mi nauczkę, poniżyć mnie. Oni uwielbiają się mścić. A gdy wezmą cię na cel... pojawi się tu cały oddział, uzbrojony po zęby.

— Kim, do diabła, jesteś?

Nie odpowiadając podniósł się, skrzywiony pod wpływem płynącego z kolana bólu. Cofnął się, obdarzając ją jeszcze jednym, długim spojrzeniem. Potem odwrócił się, zostawiwszy ją na ziemi, w zimnie i śniegu, przy zniszczonym, zrytym kulami dziupie, z przerażonym dzieckiem i ciałem zabitego męża.

Powoli wkroczył na środek drogi, gdzie wędrujący po asfalcie śnieg zdawał się rzucać więcej światła niż niebo, wiszące nad głową. Zawołała do niego, ale nie zwrócił na nią uwagi.

Wcisnął do kabury pod kurtą pistolet z opróżnionym magazynkiem. Włożył rękę pod koszulę, poszukał i znalazł żółty przycisk na swoim pasie powrotnym — i zawahał się.

Wysłali za nim Kokoszkę, aby go powstrzymał. Teraz w instytucie niecierpliwie czekają, żeby poznać rezultat. Zostanie zatrzymany w chwili powrotu. Prawdopodobnie nigdy już nie będzie miał możliwości skorzystania z Piorunowej Drogi, aby móc powrócić do niej, jak przyrzekł.

Pokusa, żeby pozostać, była wielka.

Jeżeli jednak zostanie, to natychmiast wyślą kogoś innego z rozkazem zabicia go i będzie musiał spędzić resztę życia uciekając przed kolejnymi zabójcami — widząc przy tym, jak świat wokół niego podlega zmianom zbyt potwornym, aby je można było znieść. Z drugiej strony, jeśli powróci, ma jeszcze nikłą szansę zniszczenia instytutu. Penlowski i inni oczywiście wiedzą już wszystko o jego wtrącaniu się w naturalny bieg życia tej kobiety, ale być może nie wiedzą, że porozmieszczał materiały wybuchowe na poddaszu i w piwnicach instytutu. W takim wypadku, jeżeli dadzą mu możliwość do

stania się choćby tylko na moment do jego biura, będzie mógł uruchomić zamaskowany mechanizm zegarowy i wysłać cały ten budynek wraz z dokumentacją tam, gdzie jego miejsce — do piekła. Najprawdopodobniej znaleźli materiały wybuchowe i usunęli je. Ale tak długo, jak tylko istnieje najmniejszy cień nadziei, że zdoła położyć na zawsze kres temu programowi i zamknąć Piorunową Drogę, był moralnie zobowiązany do powrotu, nawet jeżeli miałyby to oznaczać, że już nigdy nie zobaczy Laury.

W miarę, jak dzień gasł, zawieja zyskiwała coraz większą żywotność. Na stoku powyżej szosy wiatr pohukiwał, torując sobie drogę wśród ogromnych sosen; konary złowróźnie trzeszczały, jakby jakieś wielonożne, gigantyczne stwory mknęły w panice w dół zbocza. Płatki śniegu stały się ostre i suche, prawie jak kawałeczki lodu, szlifując cały świat, wygładzając go tak, jak papier ścierny wygładza drewno, aż w końcu znikną kiedyś szczyty i doliny i nie pozostanie nic, tylko pozbawiona zarysów, gładko oszlifowana płaszczyzna, rozściierająca się daleko jak okiem sięgnąć.

Ręką ukrytą pod koszulą Stefan trzy razy szybko nacisnął żółty przycisk, włączając samonaprowadzanie. Z żalem i lękiem powracał do swojej własnej epoki.

Trzymając Chrisa, którego łkanie z wolna cichło, Laura siedziała na ziemi z tyłu dżipa i obserwowała swego obrońcę, jak wkroczył na układający się zakosami śnieg, mijając tył pontiaca Kokoschki.

Zatrzymał się pośrodku drogi. Stał tam przez długi moment obrócony do niej plecami, a potem zdarzyło się coś niewiarygodnego. Najpierw powietrze stało się ciężkie; poczuła dziwne ciśnienie — coś, z czym do tej pory nigdy się nie zetknęła, jakby ziemską atmosferę zgęstniała podczas jakiegoś kosmicznego kataklizmu — i nagle poczuła, że nie może zaczerpnąć oddechu. Równocześnie rozszedł się dziwny zapach, znany, choć niecodzienny, i po paru sekundach uświadomiła sobie, że jest to woń rozgrzanych przewodów elektrycznych, tłącej się izolacji, podobna do tej, jaką czuła w kuchni, kiedy parę tygodni temu wtyczka od tosterka miała zwarcie; teraz ta woń została zdominowana przez ostry, ale nie przykry zapach ozonu, taki sam, jak podczas każdej gwałtownej burzy z piorunami. Ciśnienie rosło coraz bardziej, aż czuła się niemal wciśnięta w ziemię, a powietrze szemrało i pluskało, jakby zamieniło się w wodę. Z odgłosem, jaki wydałby ogromny korek wyskakujący z butelki, jej obrońca zniknął z purpurowoszarego zimowego zmierzchu i równocześnie z tym „poop!” nadleciało wielkie „wuuu!” wiatru, jakby ogromne masy powietrza runęły, by wypełnić zaistniałą pustkę. W istocie, przez moment czuła się jakby zamknięta w próżni, niezdolna oddychać. Potem miazdzące ciśnienie ustąpiło, a powietrze znów pachniało tylko śniegiem i sosnami, i wszystko powróciło do normy.

Z wyjątkiem tego, oczywiście, że po tym, co zobaczyła, nic nie mogło być dla niej normalne.

128

Nocny mrok wyraźnie zgęstniał. Pozbawiona Danny'ego przeżyła tej nocy najczarniejsze chwile swego życia. Pozostało tylko jedno światło, aby rozwidniać jej walkę o jakąś odległą nadzieję i szczęście: Chris. Był ostatnim promieniem w otaczającym ją mroku.

Później na szczycie wzgórza pojawił się samochód. Refektory przebiły ciemność i gęsto padający śnieg.

Z trudem dźwignęła się na nogi i weszła z Chrisem na środek drogi; zamachała, wzywając pomocy.

Kiedy zjeżdżający w dół samochód zwolnił, nagle zaczęła się zastanawiać, czy, gdy się zatrzyma, nie wyjdzie z niego inny mężczyzna z inną automatyczną bronią i otworzy ogień. Już nigdy nie miała czuć się bezpieczna.

ROZDZIAŁ IV

WEWNĘTRZNY OGIEŃ

1.

W sobotę 13 sierpnia 1988 roku, siedem miesięcy po tym, jak Danny został zastrzelony, □elma Ackerson przybyła do domu w górach z czterodniową wizytą.

Laura znajdowała się na tyłach budynku, prowadząc ćwiczenie w strzelaniu ze swego smitha & wessona kaliber 38 chief's special. Właśnie powtórnie załadowała, wcisnęła bębenek na miejsce i miała już nałożyć słuchawki ochronne na uszy, kiedy usłyszała samochód, nadjeżdżający długim, zwirowanym podjazdem, idącym od drogi publicznej. Podniosła z ziemi leżącą u jej stóp lornetkę i spojrzała uważnie na samochód, chcąc upewnić się, czy nie jest to jakiś niepożądany gość. Kiedy dojrzała za kierownicą □elme, odłożyła z powrotem szkła i kontynuowała strzelanie do tarczy. Był na niej zarys ludzkiej głowy i torsu, a sama tarcza była przymocowana do kulochwyty z beli sprasowanego siana.

Siedzący w pobliżu na trawie Chris wyciągnął z pudełka dalsze sześć naboju, które był gotów jej podać, gdy w cylindrze zostanie tylko jedna kula.

Dzień był gorący, jasny i suchy. Setki dzikich kwiatów rosły wzdłuż granicy posiadłości, na skraju lasu, gdzie obszar koszonego trawnika ustępował miejsca nie pielęgnowanej trawie i chwastom. Niedawno bawiły się tam wiewiórki i śpiewały ptaki, ale odgłos strzałów chwilowo je wystraszył.

Można było przypuszczać, że górskie schronienie będzie się Laurze kojarzyło ze śmiercią męża i że zechce je sprzedać. Zamiast tego sprzedała dom w Okręgu Orange i przeniosła się z Chrisem do San Bernardino.

Uważała, że to, co zdarzyło się im ubiegłego stycznia na drodze numer 330, mogło zdarzyć się wszędzie. Nie miejsce było winne, winne było jej przeznaczenie, tajemnicze moce kształtujące jej przedziwnie niespokojne życie. Intuicja mówiła Laurze, że gdyby jej obrońca nie zjawił się, aby ją uratować na tamtym kawałku zaśnieżonej drogi, wkroczyłby w jej życie gdzie indziej, w jakiejś innej przełomowej chwili. Ale i w tamtym następnym miejscu pojawiłby się Kokoschka z automatem i nastąpiłaby seria tych samych, gwałtownych i tragicznych wydarzeń.

Tamten dom bardziej przypominał jej o Dannym niż to schronienie, wzniesione z kamienia i sekwojowego drzewa na południe od Big Bear. Łatwiej było jej uporać się ze smutkiem w górach niż w Orange Park Ackres.

Poza tym, co dosyć dziwne, w górach czuła się znacznie bezpieczniej. W gęsto zamieszkałych przedmieściach Okręgu Orange, gdzie ulice i autostrady mrowiły się przeszło dwoma milionami ludzi, wroga nie można by wyodrębnić z tłumu, nim by nie zaczął działać. A w górach obcego dostrzegało się z daleka, zwłaszcza że dom leżał prawie pośrodku ich trzydziestoakrowej posiadłości.

Nie zapomniała o ostrzeżeniu swego obrońcy:

„Uzbrój się. Bądź gotowa. Gdy wezmą cię na cel... pojawi się tu ich cały oddział”.

Kiedy Laura wystrzeliła ostatnią kulę i zdjęła ochraniacze z uszu, Chris wręczył jej następne sześć naboí. Zdjął również swoje ochraniacze i podbiegł do tarczy, sprawdzić celność strzałów.

Kulochwyt ze sprasowanych brykietów siana ułożony był na wysokość siedmiu, głębokość czterech i szerokość czternastu stóp. Za nim rozciągały się akry sosnowego lasu, jej prywatny teren, więc potrzeba tak solidnego zabezpieczenia była wątpliwa, ale nie chciała nikogo zastrzelić. W każdym razie nie przypadkowo.

Chris przywiązał nową tarczę i powrócił do Laury ze starą.

— Cztery trafienia z sześciu, mamó. Dwa truposze, dwóch ciężko rannych, ale poza tym wygląda, jakbyś przestrzeliła trochę w prawo.

— Zobaczymy, czy dam radę to poprawić.

— Po prostu jesteś już zmęczona — powiedział Chris.

Trawa wokół niej była pokryta ponad stu pięćdziesięcioma wystrzelonymi łuskami. Przeguby, ramiona, barki i kark zaczęły ją boleć od kumulujących się odrzutów broni, ale chciała wystrzelać jeszcze jeden pełny bębenek, zanim ogłosi, że na dziś skończyła.

Blisko za domem trzasnęły drzwi samochodu □elmy.

Chris z powrotem nałożył ochraniacze na uszy i podniósł lornetkę, aby obserwować tarczę, gdy matka będzie strzelała.

Smutek ogarnął Laurę, kiedy na moment zastygła, patrząc na chłopca — nie tylko dlatego, że był pozbawiony ojca, ale i dlatego, że to nie było w porządku, aby dziecko w wieku siedmiu lat i dziesięciu miesięcy już poznało niebezpieczeństwo, jakie niesie życie, i musiało rosnać w nieustannym oczekiwaniu mogącej go zmiażdżyć przemocy. Zrobiła wszystko, aby zapewnić mu jak najwięcej rozrywki; dalej zabawiali się opowiastkami o Tommym Żabie, choć Chris nie wierzył już w jego istnienie. Powiększając wciąż jego biblioteczkę dziecięcej klasyki o nowe pozycje, Laura uczyła go, że książki mogą być źródłem przyjemności i sposobem ucieczki. Starła się, jak mogła, aby uczynić zabawę nawet z ćwiczeń strzeleckich i w ten sposób odwrócić jego uwagę od przygniatającej konieczności nieustannego zabezpieczania się. Jednakże teraz ich życie przebiegało pod znakiem poczucia straty, niebezpieczeństwa, strachu przed nieznanym. Tej

prawdy nie dało się przed chłopcem ukryć i nieuchronnie musiało to wywierać na niego głęboki i trwały wpływ.

Chris opuścił lornetkę i spojrzał na nią pytającym wzrokiem, a w jego oczach było zdziwienie, dlaczego nie strzela. Uśmiechnęła się do niego, a on jej odpowiedział. Jego uśmiech był tak słodki, że czuła, jak niemal pęka jej serce.

Odwróciła się w kierunku tarczy, podniosła trzydziestkę ósemkę, ujęła rękojeść obiema dłońmi i oddała pierwszy strzał z nowej serii.

Zanim Laura wystrzeliła po raz piąty, □elma stanęła przy niej. Stanęła, zatykając palcami uszy i krzywiąc się.

Pokonując zmęczenie Laura oddała dwa ostatnie strzały i zdjęła ochraniacze, a Chris pobiegł przynieść tarczę. Huk wystrzałów odbijał się jeszcze echem wśród gór, gdy odwróciła się do □elmy i uściskała ją.

— O co chodzi z tą bronią? — spytała □elma. — Piszesz jakiś nowy scenariusz dla Clinta Eastwooda? Nie, nie, jeszcze lepiej: napisz o babie, która by mu dorównywała — Brudna Harriet. Będę dobrą dupą do tej roli — twardą, zimną, z tak ostrym językiem, że Bogart schowałby się przed nią pod szafę.

— Pomyślę o tobie przy ustalaniu obsady — odpowiedziała Laura — ale tak naprawdę, to chciałabym zobaczyć, jak Clint się z tobą poci.

— Popatrz, popatrz, masz jeszcze poczucie humoru, Shane.

— Myślałaś, że już nie mam?

□elma zmarszczyła brwi.

— Nie wiedziałam, co mam o tym myśleć, kiedy zobaczyłam cię, jak walisz raz za razem z rewolweru. Miałaś groźną minę. Jak wąż, któremu psują się zęby.

— Samoobrona — powiedziała Laura. — Każda porządna dziewczyna powinna trochę się na tym znać.

— Waliałaś z tego jak zawodowiec. — □elma spostrzegła błyszczące na trawie łuski. — Jak często to robisz?

— Trzy razy tygodniowo, po parę godzin za każdym razem.

Chris powrócił z tarczą.

— Cześć, ciociu □elmo. Mamo, masz teraz czterech truposzów na sześć strzałów, jednego ciężko rannego i jedno pudło.

— Truposzów? — odezwała się □elma.

— Czy nadal przestrzeliwuję w prawo? — spytała chłopca Laura.

Pokazał jej tarczę.

— Nie tak bardzo jak ostatnim razem. □elma przerwała:

— Hej, Christopher Robin, czy to wszystko, co od ciebie usłyszę — marne „Cześć, ciociu □elmo”?

Chris odłożył tarczę na stos innych, już zużytych, podszedł do □elmy, uściskał ją mocno i ucałował. Zauważył, że nie była już zrobiona na punka i powiedział:

— Rany, co ci się stało, ciociu □elmo? Wyglądasz normalnie.

— Wyglądam normalnie? Co to ma być — komplement czy zniewaga? Zapamiętaj to sobie dobrze, mały, nawet kiedy twoja stara ciotka □elma wygląda normalnie, to jeszcze nie znaczy, że taka jest.

Jestem geniuszem komizmu, oszalamiającym gejzerem dowcipu, sławą z mojego własnego albumu z wycinkami. W każdym razie uważałam, że punk jest passé.

Zagonili □elmę do zbierania wraz z nimi pustych łusek.

— Mama ma fantastyczne oko — powiedział dumnie Chris.

— Musi mieć — z taką praktyką. Tu jest tyle miedzi, że po wystrzelaniu takiej ilości całej armii Amazonek urosłyby jaja.

Chris odwrócił się do matki:

— Co to znaczy?

— Zgłoś się po odpowiedź za dziesięć lat — powiedziała Laura.

Kiedy weszli do domu, Laura zatrzasnęła drzwi kuchenne. Dwa rygle. Spuściła na okna żaluzję levelor — ciężką zasłonę z pasów metalu na dwóch stalowych prowadnicach — przez którą nikt nie mógł ich zobaczyć.

□elma obserwowała te rytualne zabiegi z zainteresowaniem, ale nic nie powiedziała.

Chris wrzucił do video w salonie Poszukiwaczy zaginionej arki i ulokował się przed telewizorem z paką serowego popcornu i colą.

W sąsiadującej z salonem kuchni Laura i □elma siadły przy stole i piły kawę; Laura równocześnie rozłożyła i czyściła rewolwer.

Kuchnia była duża, ale przytulna. Wiele tu było ciemnego dębowego drewna, dwie ściany ułożono z nie tynkowanych cegieł, na hakach wisały miedziane garnki, miedzianą blachą był również obity wyciąg, a na podłodze leżały granatowe, ceramiczne płytki. Była to kuchnia tego samego rodzaju, jak te, w których rodziny z telewizyjnych komedii dorabiały się swych bezsensownych kryzysów i osiągały transcendentalne oświecenie (święcie wierząc w jego autentyczność) przez trzydzieści minut w każdym tygodniu, nie licząc czasu na reklamy. Nawet Laurze wydawało się dziwne, że siedzi w takim miejscu czyszcząc broń, przeznaczoną głównie do zabijania innych ludzkich istot.

— Naprawdę się boisz? — spytała □elma.

— Zgadnij.

— Ale Danny został zabity, bo fatalnie wpakowaliście się w sam środek jakiegoś narkotykowego interesu. Tamci ludzie dawno już was zapomnieli, nie sądzisz?

— Może nie.

— No dobra, gdyby bali się, że ich zidentyfikujecie, dobraliby się do was już wcześniej.

133

— Wolę nie ryzykować.

— Musisz się rozluźnić, mała. Nie możesz spędzić reszty życia oczekując, że ktoś wyskoczy zza krzaków. Rozumiem, że możesz trzymać w domu broń. To chyba niegłupie. Ale czy nie masz zamiaru wychylić się kiedyś znowu na świat boży? Nie możesz targać ze sobą spluwy wszędzie tam, gdzie się wybierasz.

— Mogę. Mam pozwolenie.

— Pozwolenie na taszczenie tej armaty?

— Wkładam ją do torebki, gdziekolwiek idę.

— Jezu, jak dostałaś pozwolenie na noszenie broni?

— Mój mąż został zabity w dziwnych okolicznościach przez nieznaną osobę. Zabójcy usiłowali zastrzelić mojego syna i mnie — i dalej są na wolności. W dodatku jestem bogatą i stosunkowo sławną kobietą. Byłoby to raczej dziwne, gdybym nie mogła dostać pozwolenia na noszenie broni.

□elma przez moment milczała, popijając kawę i obserwując Laurę, jak czyści swój rewolwer. W końcu powiedziała:

— Jesteś jak nawiedzona, Shane; traktujesz to wszystko z taką śmiertelną powagą, tak się spinasz. Minęło już siedem miesięcy od... śmierci Danny'ego. A jesteś tak podminowana, jakby ktoś strzelał do ciebie wczoraj. Nie możesz utrzymywać tego poziomu napięcia, gotowości, czy jak to nazywasz. To prosta droga w szaleństwo. Paranoja. Musisz pogodzić się z faktem, że naprawdę nie zdołasz pozostawać pod bronią przez całą resztę życia, w każdej sekundzie.

— A właśnie, że mogę, jeżeli będę musiała.

— Och, tak? A teraz? Masz rozłożoną broń. Co nastąpi, kiedy jakiś nieokrzesany młot z tatuażem na języku zacznie wykopywać ci kuchenne drzwi?

Krzesła w kuchni były na gumowych kółkach, więc kiedy Laura nagle odepchnęła się od stołu, błyskawicznie przetoczyła się do kontuaru przy lodówce. Szarpnęła szufadę i wyciągnęła inny rewolwer kaliber 38 chief's special.

— Czyżbym siedziała w środku arsenału? — spytała □elma.

Laura odłożyła drugi rewolwer do szufady.

— Chodź, oprowadzę cię.

□elma poszła za nią do spiżarni. Z drugiej strony drzwi wisiał półautomatyczny karabinek uzi.

— To broń maszynowa. Czy posiadasz ją legalnie?

— Za pozwoleniem rządu federalnego można kupić uzi w sklepie z bronią, ale tylko półautomat; nielegalne jest modyfikowanie ich na pełną automatykę.

□elma przyjrzała się uważnie Laurze, a potem westchnęła.

— A ten został zmodyfikowany?

— Tak, jest w pełni automatyczny. Ale ten model kupiłam od nielicencjonowanego sprzedawcy, nie w sklepie z bronią.

— Jesteś zbyt nawiedzona, Shane. Słowo daję.

Zaprowadziła □elmę do jadalni i pokazała jej rewolwer przymocowany pod blatem kredensu. W living roomie czwarty rewolwer był pod stolikiem, przy jednej z szaf. Drugi zmodyfikowany uzi wisiał z tyłu drzwi we frontowej sieni. Również w szufadzie biurka w gabinecie, w jej pracowni na górze, w głównej łazience i w nocnym stoliku w jej sypialni były ukryte rewolwery. Trzeci uzi wisiał w głównej sypialni.

Patrząc na uzi, który Laura wyciągnęła spod łóżka, □elma orzekła:

— Nawiedzona, naprawdę nawiedzona. Gdybym cię nie znała, Shane, pomyślałabym, że wariujesz, że zamieniłaś się w oszalałego na punkcie broni, paranoidalnego świra. Ale znając cię i widząc tak

przerażoną, myślę, że musisz mieć jakiś powód. Tylko jak możesz pogodzić taką ilość broni z obecnością Chrisa?

— On wie, że nie wolno jej dotykać; ufam mu. Większość rodzin w Szwajcarii należy do milicji — nieomal że każdy dorosły obywatel jest tam przygotowany do obrony ojczyzny, nie wiedziałaś o tym? — i choć mają broń prawie w każdym domu, to wskaźnik przypadkowych postrzeleń jest u nich najniższy na świecie. Jest tak, ponieważ posiadanie broni należy do stylu życia. Dzieci uczą się ją szanować od maleńkości. Chrisowi nic się nie stanie.

Kiedy Laura odkładała pod łóżko uzi, □elma spytała:

— Jak, u licha, wyszukuje się nielegalnego pośrednika w handlu bronią?

— Jestem bogata, zapomniałaś?

— I za pieniądze można mieć wszystko? Dobra, może to prawda. Ale nie opowiadaj; jak taka panienska jak ty potrafi znaleźć handlarza bronią? Chyba nie reklamują się na tablicach ogłoszeń w pralniach?

— Prowadziłam badania nad tłem obyczajowym niektórych swoich powieści, których akcja toczyła się w różnych sferach, □elmo. Nauczyłam się, jak znajdować każdą osobę i każdą rzecz, jaką tylko potrzebuję.

Kiedy wracały do kuchni, □elma milczała. Z salonu dobiegała wzniosła muzyka, towarzysząca Indianie Jonesowi podczas wszystkich jego wypraw. Laura siadła przy stole i kontynuowała czyszczenie rewolweru, a □elma nalała sobie świeżej kawy.

— Teraz bez owijania w bawełnę, mała. Jeżeli naprawdę istnieje gdzieś zagrożenie, które usprawiedliwia całą tę zbrojownię, to przerasta ono możliwości samotnej kobiety. Dlaczego nie obstawa?

— Nie ufam nikomu. Tylko tobie i Chrisowi. I ojcu Danny'ego, ale on jest na Florydzie.

— Taka sytuacja nie może trwać, jesteś sama, boisz się... Wpychając wycior w lufę rewolweru, Laura powiedziała:

— Tak, boję się, ale czuję, że jestem dobrze przygotowana. Przez całe moje życie przypatrywałam się, jak zabierano mi ludzi, których kochałam. Nie zrobiłam nic, potrafiłam tylko to przetrzymać. Więc do diabła z tym. Od dziś walczę. Jeżeli ktoś zechce zabrać mi Chrisa, to musi najpierw mnie załatwić. Musi wygrać wojnę ze mną.

— Laura, wiem, przez co przeszłaś. Ale posłuchaj, pozwól mi odegrać rolę psychoanalityka i powiedzieć ci, że nie okazujesz reakcji na prawdziwe zagrożenie, lecz przesadnie reagujesz w poczuciu bezradności wobec losu. Nie dasz rady Przeznaczeniu, mała. Nie możesz sięść do pokera z Panem Bogiem i oczekiwać wygranej tylko dlatego, że trzymasz trzydziestkę ósemkę w torebce. Straciłaś Danny'ego z winy przemocy, to prawda, i można byłoby uznać, że Nina Dockweiler żyłaby, gdyby ktoś wsadził Węgorzowi kulę, kiedy pierwszy raz na nią zasłużył, ale są to dwa wyjątkowe przypadki, w których za pomocą broni dałoby się uratować życie ludzi, których kochałaś. Twoja matka umarła przy porodzie. Ojciec zmarł na atak serca. Straciłyśmy Ruthie w pożarze. Nauka posługiwania się rewolwerem czy karabinkiem w obronie własnej to niegłupi pomysł, ale musisz zachować dystans, a nawet poczucie humoru wobec faktu, że bezbronny jest cały nasz gatunek, albo skończysz w zakładzie z osobnikami gadającymi do ściętych drzew i wyjadającymi sobie brud z

pępka. Niech Bóg broni, ale co byś zrobiła, gdyby Chris miał raka? Jesteś nastawiona na rozwalenie każdego, kto go dotknie, ale nie potrafisz walczyć z rakiem strzelając z rewolweru, a obawiam się, że jesteś tak szaleńczo przekonana, że musisz go ochronić, że gdyby coś takiego nastąpiło, coś przed czym nie umiałabyś go ustrzec, coś przed czym nikt nie umiałby go ustrzec — to rozsypałabyś się na kawałki. Martwię się o ciebie, mała.

Laura pokiwała głową i poczuła, jak ogarnia ją fala wzruszenia.

— Wiem, □elma. Możesz być spokojna. Przez trzydzieści trzy lata po prostu starałam się przetrwać; teraz również oddaję ciosy, najlepiej jak potrafię. Gdyby rak miał zaatakować mnie albo Chrisa, wynajęłabym najlepszych specjalistów, szukałabym najlepszych metod leczenia. Ale gdyby wszystko zawiodło, gdyby na przykład Chris umarł na raka, pogodziłabym się z klęską. Walka nie wyklucza przetrwania. Potrafię walczyć, ale jeśli walka okaże się daremna, mogę nadal jeszcze egzystować.

Przez długi czas □elma patrzyła na nią przenikliwie poprzez stół. W końcu skinęła głową.

— To właśnie miałam nadzieję usłyszeć. Nie było rozmowy. Przejdźmy do innych spraw. Kiedy masz w planach zakup czołgu?

— Dostawy mają w poniedziałki.

— Haubice, granaty, bazooki?

— Wtorki. A co z tym fmem z Eddie'em Murphym?

— Podpisaliśmy umowę dwa dni temu — powiedziała □elma.

— Poważnie?! Moja □elma będzie gwiazdą w filmie z Eddie'em Murphym?

— Twoja □elma będzie występować w filmie z Eddie'em Murphym. Gwiazdą to chyba jeszcze nie jestem.

— Byłaś czwarta na liście płac w tamtym filmie ze Stevem Martinem, trzecia z Chevym Chasem. A to jest druga wielka rola w tym filmie, zgadza się? A ile razy byłaś zapraszana do Tonight? Osiem razy, nie? Spójrz prawdzie w oczy, jesteś gwiazdą.

136

— Pośledniej wielkości; tu się zgodzę. Czy to nie dziwne, Shane? My dwie, startując od zera, z Domu McIlroya doszłyśmy do szczytu. Niesamowite?

— Nie takie niesamowite — powiedziała Laura. — Przeciwności rodzą wytrwałość, a twardzi wygrywają. I pozostają na placu.

2.

Stefan opuścił otuloną śniegiem noc w górach San Bernardino i w chwilę później stał w bramie na drugim końcu Piorunowej Drogi. Brama przypominała ogromną beczkę, nie różniącą się od tych spotykanych na festynach, poza tym, że jej wewnętrzna powierzchnia była z gładkiej, polerowanej

miedzi, a nie z drewna, i nie obracała się pod stopami. Beczka miała osiem stóp średnicy i dwanaście długości. Po paru zaledwie krokach wyszedł na otwartą przestrzeń, stanąwszy na posadzce laboratorium instytutu. Był przekonany, że natknie się tu na uzbrojonych ludzi.

Laboratorium było puste.

Zdumiony stał przez chwilę w swojej przysypanej śniegiem kurcie i rozglądał się wokół z niedowierzaniem. Trzy ściany mierzącego trzydzieści na czterdzieści stóp pomieszczenia pokryte były od suftu do podłogi mechanizmem, który samodzielnie pracując szumiał i brzęczał. Większość lamp u suftu była wygaszona, a pokój spowijało słabe, niepokojące światło. Mechanizm sterujący bramą był zaopatrzony w liczne wskaźniki i zegary, jarzące się jaskrawą zielenią i oranżem, gdyż brama — stanowiąca szczelinę w czasie, tunel prowadzący w wybraną epokę — nigdy nie bywała wyłączana. Powtórne otwarcie raz zamkniętej bramy było szalenie kłopotliwe i wymagało potężnego ładunku energii, ale otwarta brama mogła funkcjonować przy niewielkich nakładach pracy. Ponieważ prowadzone badania nie dotyczyły już problemów konstrukcyjnych bramy, główne laboratorium instytutu było w tych dniach wykorzystywane tylko sporadycznie, podczas wykonywania zadań niezbędnych do utrzymania ciągłości pracy mechanizmu sterującego, a także, oczywiście, podczas samych wypraw w czasie. W innych okolicznościach Stefan nigdy nie mógłby odbywać swoich podróży — znanych tylko jemu, nie objętych żadnym harmonogramem — których celem było śledzenie, a czasem i korygowanie, wydarzeń z życia Laury.

Ale chociaż w laboratorium przez większą część dnia panowała pustka, tym razem wydawało się to niezwykle. Wysłali przecież Kokoschkę, który miał mu przeszkodzić, i teraz, niepewni wyników jego misji w górach Kalifornii, powinni czekać na niego. Mogli przecież przewidzieć ewentualność, że wyprawa Kokoschki nie powiedzie się i na wypadek, gdyby z 1988 roku powrócił nie ten człowiek, powinni strzec bramy aż do uzyskania pewności. Gdzie jest tajna policja w swych czarnych płaszczach z wатовanymi ramionami? Gdzie broń, z którą, jak oczekiwał, miano go tu przywitać?

137

Spojrzał na duży zegar ścienny: wskazywał sześć po jedenastej czasu lokalnego. Tak być powinno. Rozpoczął wycieczkę za pięć jedenasta, a każda wycieczka kończyła się dokładnie po jedenastu minutach. Nikt nie wiedział dlaczego, ale niezależnie od tego, jak długo podróżny w czasie przebywał u celu wyprawy, w bazie upływało zaledwie jedenaście minut. Przebywał na San Bernardino blisko półtorej godziny, ale tylko jedenaście minut przeminęło w jego własnym życiu, w jego własnym czasie. Gdyby nawet spędził z Laurą całe miesiące, zanim dotknął żółtego przycisku, dalej powróciłby do instytutu zaledwie — i dokładnie — jedenaście minut po tym, jak go opuścił.

Ale gdzie są przedstawiciele władz, wycelowana broń, gdzie wściekli koledzy, wyrażający swoje oburzenie? Dlaczego po odkryciu roli, jaką pełnił w życiu Laury i po wysłaniu Kokoschki celem załatwienia ich obojga, odstąpili od bramy, jeśli musieli czekać tylko jedenaście minut, aby poznać wynik starcia?

Stefan zdjął buty, kurtę i naramienną kaburę i ukrył to za jakimś urządzeniem. Swój biały kitel znalazł w tym samym miejscu, w którym zostawił go przed wyruszeniem na wycieczkę w czasie, i wciągnął go z powrotem.

Wytrącony z równowagi i mimo nieobecności wrogiego komitetu powitalnego w dalszym ciągu niespokojny, wyszedł z laboratorium na korytarz parteru i ruszył, aby przekonać się, jakich kłopotów

może jeszcze oczekiwać.

3.

W niedzielę, o wpół do trzeciej nad ranem, Laura siedziała przy swoim pisarskim zestawie komputerowym, w pracowni przylegającej do głównej sypialni, ubrana w piżamę i szlafrok, popijając sok jabłkowy i pracując nad nową książką. Jedyne jasne plamki w pokoju były rzucone na ekran monitora zielone litery i światło nocnej lampy, skupione na wydruku wczorajszych stron. Rewolwer leżał na biurku obok tekstu.

Drzwi na ciemny korytarz były otwarte. Nigdy teraz ich nie zamykała, z wyjątkiem tych prowadzących do toalety, ponieważ wcześniej czy później zamknięte drzwi uniemożliwiłyby jej usłyszenie kroków skradającego się w innej części domu napastnika. Zostawiła je otwarte tylko na wszelki wypadek, w domu bowiem był zainstalowany szczególnie czuły i skomplikowany system alarmowy.

Usłyszała, jak □elma nadchodzi korytarzem, i obróciła się dokładnie w chwili, w której przyjaciółka zajrzała przez drzwi.

— Przepraszam, jeśli obudziłam cię jakimś hałasem.

— Skądże. My, egzemplarze gatunku żyjącego w nocnych klubach, harujemy do świtu, ale wstajemy po południu. A ty? Zawsze o tej porze jesteś na nogach?

— Nie śpiam dobrze już od pewnego czasu. Cztery czy pięć godzin na noc to i tak nieźle. Zamiast leżeć w łóżku i przewracać się z boku na bok, wstaję i piszę.

138

□elma przysunęła sobie krzesło, usiadła i oparła stopy na biurku Laury. Jej nocne stroje stały się jeszcze bardziej osobliwe niż w młodości: miała na sobie obszerną jedwabną piżamę w abstrakcyjne wzory — czerwone, zielone, niebieskie i żółte kwadraty i koła.

— To miłe, że nadal nosisz pantofle z króliczkami — powiedziała Laura. — Ujawnia to pewną stałość twego charakteru.

— Taka jestem. Niezmienna jak skała. Nie da się kupić pantofi z króliczkiem w moim rozmiarze, więc muszę kupować parę kapci dla dorosłych i parę dziecięcych, a potem odrywać oczka i uszka z małych i przesywać je na duże. Co piszesz?

— Bardzo ponurą książkę.

— Jednym słowem coś, z czym można spędzić wesoły weekend na plaży.

Laura westchnęła i usiadła wygodniej w swoim fotelu z miękkim oparciem.

— To książka o śmierci, o niesprawiedliwości śmierci. To robota idioty, bo usiłuję wytłumaczyć niewytłumaczalne. Próbuję wytłumaczyć mojemu idealnemu czytelnikowi, co to jest śmierć, ponieważ może wtedy będę mogła sama ją zrozumieć. To książka o tym, dlaczego musimy walczyć i iść naprzód mimo wiedzy o własnej śmiertelności; dlaczego musimy starać się nie ulec i przetrwać. Jest to czarna, posępna, ponura, beznadziejna, zniechęcająca, gorzka i szalenie przygnębiająca książka.

— Czy jest na takie rzeczy duży popyt?

Laura zaśmiała się.

— Prawdopodobnie w ogóle nie ma. Ale kiedy jakiś pomysł raz opanuje pisarza... wtedy to jest jak wewnętrzny ogień, który na początku ogrzewa cię i czujesz się dzięki niemu wspaniale, ale nagle zaczyna zżerać cię żywcem, spalać cię od środka. Nie możesz po prostu od niego uciec: płonie dalej. Jedyne sposoby, by go się pozbyć, to napisać tę przeklętą książkę. W każdym razie, kiedy już za bardzo w tym grzęznę, zajmuję się miłą, dziecięcą książeczką, w której piszę tylko o Sir Tommym Żabie.

— Jesteś szurnięta, Shane.

— A kto nosi pantofle z króliczkami?

Mówiły o tym i o owym ze szczerością, jaka rodzi się z dwudziestoletniej zażyłości. Być może spowodowała to samotność Laury, bardziej dotkliwa teraz niż w dniach, które przysły po zamordowaniu Danny'ego, lub może spowodował to strach przed niewiadomym, ale z jakichś przyczyn zaczęła opowiadać o swym niezwykłym obrońcy. Z wszystkich ludzi tylko □elma mogła uwierzyć w tę historię. W istocie, □elma słuchała jak zaklęta, opuściwszy nogi z biurka i wyprostowawszy się na krześle, nie wyrażając przy tym nawet cienia niewiary w opowieść, która rozwijała się od dnia, kiedy zastrzelony został ćpun, aż do zniknięcia obrońcy na górskiej szosie.

Kiedy Laura wyrzuciła z siebie ten wewnętrzny ogień, □elma spytała:

— Dlaczego mi nie powiedziałaś o tym... tym obrońcy przed laty? Wtedy, u McIlroya?

139

— Nie wiem. Było w tym coś... magicznego. Coś, co musiałam zatrzymać dla siebie, bo gdybym się tym z kimś podzieliła, złamałabym zaklęcie i nigdy bym go nie zobaczyła. Ale kiedy dopuścił, żebym sama musiała sobie poradzić z Węgorzem, i po tym, jak nic nie zrobił dla Ruthie, chyba przestałam w niego wierzyć. Nigdy nie powiedziałam o nim Danny'emu, ponieważ wówczas, kiedy go spotkałam, mój obrońca był już dla mnie mniej prawdziwy niż Święty Mikołaj. Potem jednak... pojawił się znów, tam na szosie.

— Tamtej nocy w górach powiedział, że za kilka dni wróci wszystko wyjaśnić...

— Ale od tej pory go nie widziałam. Czekałam siedem miesięcy i wyobrażałam sobie, że kiedy ktoś się nagle zmaterializuje, może to być mój obrońca, ale równie dobrze może pojawić się jakiś inny Kokoschka z pistoletem automatycznym.

Opowieść zelektryzowała □elmę; wierciła się na krześle, jakby przebiegał przez nią prąd. W końcu wstała i zaczęła krążyć po pokoju.

— Co z Kokoschka? Czy gliny dowiedziały się czegoś o nim?

— Niczego. Zresztą nie miał żadnych dokumentów. Pontiac, którego prowadził, był skradziony, podobnie jak czerwony dżip. Szukali jego odcisków palców we wszystkich dostępnych kartotekach — nic. A trupa nie da się przesłuchać. Nie wiedzą, kim był ani skąd się zjawiał, ani dlaczego chciał nas zabić.

— Miałaś dużo czasu na przemyślenie sobie tego. Masz jakieś Pomysły? Kim jest ten obrońca? Skąd przybywa?

— Nie wiem.

Miała jedną szczególną koncepcję, którą rozważała, ale wyglądała ona na czyste szaleństwo i brak było jakichkolwiek dowodów na jej poparcie. Jednakże nie zdradziła się z nią przed □elmą nie dlatego, że była szalona, lecz ponieważ brzmiała jak wymysł skrajnego egotysty.

— Po prostu nie wiem.

— Gdzie jest ten pas, który ci zostawił?

— W sejfe — powiedziała Laura, wskazując głową w kierunku rogu pokoju, gdzie pod dywanem mieściła się osadzona w podłodze skrytka.

Razem odciągnęły rozpostarty od ściany do ściany dywan, odrywając taśmę mocującą go do podłogi. Ukazały się drzwiczki sejfu. Miał cylindryczny kształt, dwanaście cali średnicy i szesnaście głębokości. Wewnątrz spoczywał jeden przedmiot. Laura wyjęła go.

Chcąc obejrzeć tajemniczy obiekt w lepszym świetle, wróciły do biurka. Laura odpowiednio nakierowała ruchome ramię lampy.

Pas miał cztery cale szerokości i był wykonany z elastycznego, czarnego materiału, może nylonu, z wplecionymi miedzianymi przewodami, tworzącymi zawile i niespotykane wzory. Z powodu swojej szerokości był zaopatrzony nie w jedną, ale w dwie małe klamry, wykonane z miedzianej blachy. Dodatkowo, po ich lewej stronie umieszczono

140

płaskie, także miedziane pudełeczko o wymiarach staromodnej papierośnicy — miało jakieś cztery na trzy cale i tylko trzy czwarte cala grubości. Nawet przy uważnym obejrzeniu nie można było ustalić sposobu jego otwarcia. Jedyнным wyróżniającym się elementem był żółty przycisk, o średnicy poniżej cala, umieszczony w lewym dolnym rogu.

□elma wzięła materiał w palce.

— Powiedz mi jeszcze raz, co według niego nastąpi, gdy się naciśnie ten żółty guzik.

— Powiedział mi, żebym, na miłość boską, nie naciskała go, a kiedy zapytałam, dlaczego, odrzekł: „Nie chciałabyś dostać się tam, gdzie cię zabierze”.

Stały obok siebie w blasku biurowej lampy, patrząc na trzymany przez □elmę pas. Było po czwartej rano i dom był tak cichy, jak martwa, pozbawiona powietrza, pokryta kraterami powierzchnia księżyca.

W końcu □elma spytała:

— Nigdy nie kusiło cię, żeby nacisnąć ten guzik?

— Nie, nigdy — odpowiedziała Laura bez wahania. — Kiedy wspomniał o miejscu, do którego zostałabym zabrana... w jego oczach pojawił się okropny wyraz. I wiem, że sam powracał tam niechętnie. Nie wiem, skąd on przychodzi, □elmo, ale jeśli zrozumiałam dobrze jego spojrzenie, miejsce to leży tylko o krok od piekła.

W niedzielne popołudnie włożyły szorty i T-shirty, rozpostarły na trawie z tyłu domu parę kocy i zrobiły sobie długi, próżniaczy piknik z sałatką ziemniaczaną, zimnymi wędlinami i serami, świeżymi owocami, chrupkami ziemniaczanymi i pulchnymi ciasteczkami cynamonowymi z mnóstwem orzechowej polewy. Bawiły się i przekomarzały z Chrisem, który był zachwycony, zwłaszcza że

□elma potrafiła przestawić mechanizm swego komizmu na wolniejszy bieg, tak że rzucane przez nią krótkie dowcipy były zrozumiałe dla ośmiolatka.

Chris dostrzegł biegające w pobliskim lesie wiewiórki i chciał je nakarmić. Laura dała mu ciasteczko z orzeszkami i powiedziała:

— Pokrusz je na kawałeczki i rzucaj im. Nie pozwolą ci się za bardzo zbliżyć. I nie odchodź ode mnie, słyszysz?

— Oczywiście, mam.

— Nie podchodź za blisko lasu. Tylko do połowy drogi. Odbiegł trzydzieści stóp od koca, tylko trochę więcej niż połowę odległości od drzew, a potem przyklęknął na jedno kolano. Odrywał kawałki cynamonowego ciastka i rzucał je wiewiórkom, przywabiając te szybkie i ciekawskie stworzonka coraz bliżej z każdym kolejnym kawałkiem.

— To dobry chłopiec — powiedziała □elma.

— Najlepszy — Laura przysunęła uzi bliżej siebie.

— Jest tylko dziesięć albo dwanaście jardów od nas — powiedziała □elma.

141

— Ale jest bliżej lasu niż mnie — Laura przyglądała się ceniom, kładącym się pod zwartą ścianą sosen.

Sięgając łąpczywie do torebki po ziemniaczane chrupki, □elma powiedziała:

— Nigdy nie byłam na pikniku z kimś, kto wziął ze sobą broń automatyczną. Zaczyna mi się to podobać. Mamy z głowy misie.

— Mrówki też nie czują się przy tym pewnie.

□elma wyciągnęła się bokiem na kocu, z jedną ręką zgiętą pod głową, ale Laura siedziała dalej z nogami skrzyżowanymi na sposób indiański. Pomarańczowe motyle, tak jasne jak skondensowane światło słoneczne, unosiły się w ciepłym sierpniowym powietrzu.

— Nie załamał się po tym wszystkim — powiedziała □elma.

— Chyba nie — zgodziła się Laura. — Było z nim bardzo źle. Dużo płakał, był emocjonalnie rozchwiany. Ale to minęło. Dzieci w jego wieku są elastyczne, szybko się adaptują, godzą się z losem. Ale choć niby wszystko jest w porządku, to... obawiam się, że jest w nim mrok, jakiego poprzednio nie było i który nie chce go opuścić.

— Nie — powiedziała □elma — to go nie opuści. To jest jak cień na sercu. Ale będzie żył i znajdzie szczęście; nadejdzie taki czas, że nie będzie w ogóle świadom jego istnienia.

Kiedy □elma spoglądała na Chrisa, wabiącego wiewiórki, Laura uważnie patrzyła na profil przyjaciółki.

— Stale brakuje ci Ruth, prawda?

— Każdego dnia od dwudziestu lat. A tobie nie brakuje stale ojca?

— Oczywiście — odpowiedziała Laura. — Ale kiedy o nim myślę, to nie wierzę, że ty i ja czujemy to samo. Ponieważ spodziewamy się za naszego życia śmierci rodziców, nawet gdy umrą przedwcześnie, jesteśmy w stanie zaakceptować tę śmierć, bo wiedzieliśmy zawsze, że wcześniej czy później ona nastąpi. Ale jest inaczej, kiedy odchodzi żona, mąż, dziecko... albo siostra. Nie spodziewamy się, że nastąpi to tak wcześnie, jeszcze za naszego życia. I wtedy trudno sobie z tym

poradzić. Szczególnie, jeżeli jest to siostra bliźniaczka.

— Kiedy są jakieś dobre wiadomości — na przykład gdy coś w pracy ruszyło się do przodu — zawsze najpierw myślę, jak cieszyłaby się Ruth. A co z tobą, Shane, radzisz sobie?

— Płacę w nocy.

— Teraz to zdrowo. Niezdrowo będzie za rok.

— Leżę w nocy, słuchając bicia serca i ten dźwięk jest samotny. Dzięki Bogu za Chrisa. Mam cel. I mam ciebie. Mam ciebie i Chrisa i jesteśmy jak rodzina, nie uważasz?

— Nie tylko „jak” rodzina. My jesteśmy rodziną. Ty i ja — to siostry.

Laura uśmiechnęła się. Wyciągnęła rękę i zburzyła □elmie resztki fryzury.

— Ale — dodała □elma — siostra czy nie siostra, to i tak nie będę ci pożyczać moich ciuchów.

142

4.

Na korytarzu i przez otwarte drzwi laboratoriów instytutu Stefan widział swoich kolegów przy pracy i żaden z nich specjalnie nim się nie interesował. Pojechał windą na drugie piętro, gdzie tuż przy własnym biurze spotkał doktora Władysława Janowskiego, który był długoletnim protegowanym i zastępcą doktora Włodzimierza Penlowskiego i w instytucie doglądał badań nad podróżami w czasie. Ten projekt pierwotnie nosił nazwę „Projekt Kosa”, ale od kilku miesięcy był znany pod trafniej dobranym kryptonimem „Piorunowa Droga”.

Janowski miał czterdzieści lat, był dziesięć lat młodszy od swego mentora, ale wyglądał starzej niż tryskający życiem, energiczny Penlowski. Mały, pękaty, łysiejący, miał plamy na skórze i dwa złote zęby na przodzie, nosił grube szkła, przez które jego oczy wyglądały jak pomalowane skorupki jajek. Tak prezentujący się Janowski powinien być komiczną figurą. Ale jego nieprawdopodobne przywiązanie do państwa i zapał dla sprawy totalitaryzmu wystarczały, aby zrównoważyć jego śmieszności. Tak naprawdę był on jednym z bardziej niebezpiecznych ludzi zajmujących się Piorunową Drogą.

— Aaa, Stefan, nasz drogi Stefan — wykrzyknął Janowski — chciałem ci właśnie powiedzieć, jak bardzo jesteśmy ci wdzięczni za twój w sam czas zgłoszony projekt z minionego października, żeby doprowadzić do bramy dopływ mocy z awaryjnego generatora. Gdybyśmy dalej korzystali z miejskiego zasilania... cóż, brama przestałaby funkcjonować już dobre parę razy, a my rozpaczliwie usiłowałibyśmy dogonić plan.

Stefan, oczekując aresztowania po powrocie do instytutu, z trudnością mógł się przestawić na sytuację, w której jego zdrada nie została odkryta, a on sam zaskakiwany był pochwałami tego złośliwego robaka. Zaproponował podłączenie bramy do awaryjnego generatora nie dlatego, że pragnął, aby ten złowrogi program zakończył się sukcesem, ale ponieważ obawiał się, że jego wycieczki w życie Laury mogą zostać przerwane z braku dopływu prądu.

— W październiku nawet do głowy by mi nie przyszło, że znajdziemy się dziś w sytuacji, w której

nie możemy już mieć zaufania do niezawodności służb publicznych — mówił Janowski, smutno kręcąc głową — a życie społeczne znajdzie się w stanie takiego chaosu. Czego nie muszą znieść ludzie, aby zatriumfowało socjalistyczne państwo ich marzeń, nieprawdaż?

— To czarne dni — powiedział Stefan, mając na myśli coś zupełnie innego niż Janowski.

— Ale zatriumfujemy — powiedział z naciskiem Janowski. Jego powiększone przez szkła okularów oczy wypełniły się szaleństwem aż nadto dobrze znanym Stefanowi. — Zatriumfujemy dzięki Piorunowej Drodze.

Poklepał Stefana po ramieniu i podreptał dalej korytarzem. Stefan patrzył za nim, jak zbliża się do wind, po czym odezwał się:

143

— Doktorze Janowski?

Tłusty robak odwrócił się i spojrzał na niego:

— Tak?

— Czy widział pan dzisiaj Kokoschkę?

— Dzisiaj? Nie, dzisiaj nie.

— Ale jest w pracy, prawda?

— O tak, jestem tego pewien. Pan wie, że on jest tutaj zawsze. Przykłada się do roboty. Gdybyśmy mieli więcej takich jak on, nie byłoby żadnych kłopotów z osiągnięciem ostatecznego zwycięstwa. Czy chce pan z nim rozmawiać? Jeżeli go zobaczę, czy mam go do pana przysłać?

— Nie, nie — powiedział Stefan. — To nic pilnego. Nie chciałbym mu przeszkadzać w innych zajęciach. Jestem pewien, że zobaczymy się wkrótce.

Janowski oddalił się w stronę wind, a Stefan wszedł do swojego biura, zamykając za sobą drzwi.

Przykucnął obok szafki z aktami, którą poprzednio nieco przesunął, aby zakryła jedną trzecią narożnego szybu wentylacyjnego. W wąskiej przestrzeni za szafką wiązka miedzianych przewodów, wychodząca z dolnej szczeliny kratki zamykającej szyb, była ledwo widoczna. Przewody prowadziły do mechanizmu zegarowego prostego typu, który z kolei był podłączony do kontaktu za szafką. Obwód nie został przerwany. Mógł sięgnąć za szafkę, nastawić zapalnik czasowy na okres od jednej do pięciu minut — zależnie od tego, jak daleko obróci tarczę mechanizmu zegarowego — i instytut zostanie zniszczony. Co się tu, do diabła, dzieje? — pomyślał.

Przez chwilę siedział przy biurku, patrząc na skrawek nieba za jednym z dwóch okien swego biura: strzępiaste, brudnoszare chmury przesuwwały się leniwie po lazurowym tle.

W końcu opuścił biuro, podszedł do północnych schodów i szybko mijając trzecie piętro, wspiał się na poddasze. Drzwi ustąpiły z cichym skrzypnięciem. Przekręcił kontakt i wszedł do długiego, na wpół wykończonego pomieszczenia, stąpając po nagiej podłodze tak lekko, jak tylko potrafił. Sprawdził ładunki plastyku, umieszczone dwie noce temu pomiędzy belkami. Materiały wybuchowe były nietknięte.

Nie było potrzeby sprawdzania ładunków w piwnicach. Opuścił strych i wrócił do siebie.

Było oczywiste, że nikt nie wiedział ani o jego zamiarach zniszczenia instytutu, ani o staraniach, aby nadać życiu Laury inny kierunek, uniemożliwiający spełnienie się przeznaczonego jej ciągu tragicznych zdarzeń. Nikt, poza Kokoschką. Do diabła, Kokoschka musiał o tym wiedzieć, skoro pojawił się z bronią na górskiej drodze. Więc dlaczego nikomu nie powiedział? Kokoschka był oficerem państwowej tajnej policji, prawdziwym fanatykiem, posłusznym i gorliwym sługą rządu. Był

Kokoschka nie zawahałby się zawezwać chmary agentów, by otoczyć budynek, zabezpieczyć bramę i poddać wszystkich przesłuchaniom.

Na pewno nie pozwoliliby Stefanowi udać się na górską drogę i pomóc Laurze tylko po to, by wyruszyć za nim i tam go zabić. Przede wszystkim chciałby zatrzymać Stefana i przesłuchać go, celem ustalenia, czy miał współników w instytucie.

Kokoschka dowiedział się o ingerencjach Stefana w przypisany pewnej kobiecie przez los bieg wypadków i prawdopodobnie nie odkrył ładunków wybuchowych w instytucie, gdyż w przeciwnym razie przynajmniej odłączyłby od nich przewody. Potem, dla jakichś nieznanych przyczyn, nie zareagował jak policjant, ale jak prywatna osoba. Tego ranka wyruszył przez bramę do zimowego popołudnia w styczniu 1988 roku z zamiarem, którego Stefan zupełnie nie był w stanie rozszyfrować.

To wszystko nie trzymało się kupy.

O co chodziło Kokoschce?

Prawdopodobnie nigdy się tego nie dowie.

Kokoschka leżał teraz martwy na drodze numer 330 i wkrótce ktoś w instytucie zauważy jego nieobecność.

O drugiej godzinie tego popołudnia Stefan miał w harmonogramie wycieczkę pod nadzorem Penlowskiego i Janowskiego. Zamierzał o godzinie pierwszej, na sześćdziesiąt minut przed realizacją zaplanowanego zadania, postawić krzyżyk na instytucie — w obydwu tego zwrotu znaczeniach. Obecnie, o 11.43, zdecydował, że musi działać szybciej, niż początkowo planował, zanim nieobecność Kokoschki wywoła alarm.

Podszedł do jednej z wysokich szaf na akta, otworzył i wyjął z szafki dolną szufadę, przesuwając wzdłuż mocujących ją listew. Od tyłu, przywiązany drutem, wisiał colt commander 9 mm parabellum, z magazynkiem na dziewięć naboji, zdobyty podczas jednej z jego nielegalnych wycieczek i sprowadzony w tajemnicy do instytutu. Zza innej szufady wyjął dwa wysokiej klasy tłumiki i cztery dodatkowe, pełne magazynki. Przy biurku, szybko pracując w obawie, aby nikt go nie zaskoczył wchodząc bez pukania, nakręcił jeden z tłumików na lufę pistoletu, który odbezpieczył, a inne magazynki i drugi tłumik ukrył w kieszeniach laboratoryjnego kitla.

Kiedy korzystając z bramy opuści po raz ostatni instytut, nie będzie miał pewności, czy w wyniku eksplozji zginą Penlowski, Janowski i niektórzy inni uczeni. Wybuch zdemoluje budynek i bez wątpienia zniszczy mechanizm i dokumentację, ale co będzie, jeżeli chociaż jeden z głównych konstruktorów przeżyje? Wiedza niezbędna do odbudowania bramy była zawarta w głowach Penlowskiego i Janowskiego, więc Stefan zamierzał zabić ich obu, a także innego człowieka nazwiskiem Wołków, zanim nastawi mechanizm zegarowy i wejdzie do bramy, by powrócić do Laury.

Z wkręconym tłumikiem colt commander był zbyt długi, aby zmieścić się cały w kieszeni kitla, więc musiał wyrzucić jedną z nich i wyrwać dno. Z palcem na cynglu włożył broń do tak spreparowanej kieszeni, po czym otworzył drzwi swego biura i wyszedł na korytarz.

Serce waliło mu jak szalone. Zabijanie było najbardziej niebezpieczną częścią planu, ponieważ istniało zbyt wiele okoliczności, które mogły spowodować klęskę całego przedsięwzięcia, nim broń nie będzie mu już potrzebna, zanim nie powróci do swego biura, aby ustawić mechanizm odmierzający czas do wybuchu.

Laura była daleko stąd, a on być może już nigdy więcej jej nie zobaczy.

5.

W poniedziałek po południu Laura i Chris włożyli szare stroje do ćwiczeń. Następnie, kiedy □elma pomogła im rozwinąć grube gimnastyczne maty na tyłach domu, usiedli obok siebie i rozpoczęli serię ćwiczeń oddechowych.

— Kiedy zjawi się Bruce Lee? — spytała □elma.

— O drugiej — wyjaśniła Laura.

— To nie jest Bruce Lee, ciociu □elmo — powiedział z irytacją Chris. — Tak go nazywasz, a przecież Bruce Lee nie żyje.

Pan Takahami zjawił się punktualnie o drugiej. Nosił granatowy dres, na którego plecach umieszczona była nazwa jego szkoły sztuki walki: „SPOKOJNA SIŁA”. Kiedy przedstawiono mu □elmę, powiedział:

— Jest pani damą o wielkim poczuciu humoru. Pani album płytowy wprawił mnie w istny zachwyty. Rozpromieniona z powodu pochwały, □elma zrewanżowała się:

— A ja szczerze i serdecznie panu życzę, żeby Japonia wygrała II wojnę światową.

Henry uśmiechnął się:

— Sądzę, że się nam to udało.

Siedząc na leżaku i popijając mrożoną herbatę, □elma obserwowała, jak Henry uczył Laurę i Chrisa samoobrony.

Miał czterdzieści lat, doskonale rozwinięty tors i stalowe nogi. Był zarówno mistrzem dzudo i karate, jak i ekspertem od kickboxingu. Nauczał odmiany samoobrony opartej na różnych szkołach walki — systemu przez siebie opracowanego. Dwa razy w tygodniu opuszczał Riverside i spędzał trzy godziny z Laurą i Chrisem.

Kopnięcia, uderzenia pięścią i głową, specjalne oddychanie, wykręcanie członków, pchnięcia, przrzucanie przez biodro — wszystkie te elementy ćwiczył z nimi na tyle ostrożnie, by nie spowodować kontuzji, ale zarazem stawiał im takie wymagania, że musieli je sobie przyswoić. Ćwiczenia Chrisa były nie tak obciążające i mniej zaawansowane niż Laury, a Henry dawał chłopcu wiele czasu na odpoczynek i zebranie sił. Przy końcu zajęć Laura, jak zwykle, pływała w pocie i była wykończona.

Kiedy Henry odjechał, Laura kazała Chrisowi pójść na górę pod prysznic i sama z □elma zwinęła maty.

- Miły — osądziła □elma.
- Henry? Chyba tak.
- Może ja wezmę się za dzudo albo karate.
- Czy twoja publiczność ostatnio była aż tak niezadowolona? — To cios poniżej pasa, Shane.
- Wszystko jest dozwolone, kiedy wróg jest bezlitosny i wymagający.

Następnego popołudnia, kiedy przed powrotem do Beverly Hills wkładała walizkę do bagażnika swojego camaro, □elma spytała:

— Hej, Shane, pamiętasz tę pierwszą rodzinę opiekuńczą, do której wysłano cię z McIlroya?

— Teaglowie — powiedziała Laura. — Flora, Hazel i Mike.

□elma oparła się o nagrany słońcem bok samochodu.

— Pamiętasz, jak opowiadałaś nam, że Mike fascynował się takimi piśmiłkami, jak National Enquirer?

— Pamiętam Teagłów, jakbym mieszkała z nimi do wczoraj.

— Otóż — kontynuowała □elma — dużo myślałam o tym, z czym się zetknęłaś — o twoim obrońcy, o tym, że on w ogóle się nie starzeje, że znika w rozrzedzającym się powietrzu — i pomyślałam o Teaglach. W tym wszystkim jest dla mnie jakaś ironia losu. Przez tyle tamtych wieczorów u McIlroya wyśmiewaliśmy się z durnowatego, starego Mike'a Teagla... a teraz znalazłaś się w samym środku czegoś, co wygląda na hit z rubryki niesamowitych wiadomości.

Laura zaśmiała się cicho.

— Może lepiej bym zrobiła, zastanawiając się raz jeszcze nad tymi wszystkimi opowieściami o obcych istotach żyjących potajemnie w Cleveland, co?

— Wiesz, chodzi chyba o to, że... życie jest pełne cudów i niespodzianek. Niektóre z nich są przykre, zgoda, i niektóre dni są tak ciemne jak zawartość łba przeciętnego polityka. Ale równocześnie zdarzają się chwile, w których uświadamiam sobie, że znaleźliśmy się tu dla jakiejś przyczyny, jakkolwiek zagadkowa by ona była. To nie jest bez znaczenia. Gdyby nie miało znaczenia, to nie istniałaby tajemnica. Byłoby to tak nudne, oczywiste i pozbawione tajemniczości, jak zasada działania automatu do kawy.

Laura skinęła głową.

— Boże, słyszysz mnie?! Torturuję język angielski tylko po to, aby dojść do ćwierćfiozoficznego stwierdzenia, które nie ma żadnego innego sensu, jak tylko „Głowa do góry, mała”.

— Nie jesteś ćwierćfiozo□ą.

— Tajemnica — powiedziała □elma. — Cud. Uczestniczysz w tym, Shane. I takie jest życie. Jeśli teraz wokoło jest ciemność... no cóż, kiedyś się rozwieje.

Stały przy samochodzie, obejmując się, bez zbędnych słów, dopóki Chris nie wypadł z domu z obrazkiem, który narysował kredkami dla □elmy, aby wzięła go do Los Angeles. Był to trochę nieudany, ale uroczy rysunek, przedstawiający Tommy'ego Żabę stojącego przed kinem i wpatrującego się w neon, na którym ogromnymi literami było wypisane imię □elmy.

Miał w oczach łzy:

— Ale czy naprawdę musisz jechać, ciociu □elmo? Nie możesz zostać jeszcze jeden dzień?

□elma uściskała go, a potem ostrożnie zwinęła rysunek, jakby weszła właśnie w posiadanie bezcennego dzieła sztuki.

— Bardzo chciałabym zostać, Christopherze Robinie, ale nie mogę. Rozkochani we mnie wielbiciele utopiliby mnie we łzach, gdybym kazała im dłużej czekać na ten film. Poza tym mam dużą hipotekę.

— Co to jest hipoteka?

— Najsilniejszy w świecie kopniak do pracy — wyjaśniła □elma, całując go po raz ostatni.

Wsiadła do samochodu, zapaliła silnik, opuściła boczną szybę i mrugnęła do Laury.

— Niesamowitych wiadomości.

— Tajemnicy.

— Cudu.

Laura pozdrowiła ją czterema palcami, jak w Gwiazdnej wędrówce.

□elma wybuchnęła śmiechem.

— Dasz sobie radę, Shane. Mimo tej broni i wszystkiego, czego się dowiedziałam w piątek, teraz obawiam się o ciebie mniej niż poprzednio.

Chris stał przy boku Laury i razem patrzyli, jak samochód □elmy dojechał do końca długiego podjazdu i zniknął na drodze stanowej.

6.

Duże biuro doktora Włodzimierza Penlowskiego znajdowało się na trzecim piętrze instytutu. W sekretariacie Stefan nie znalazł nikogo, ale dosłyszał głosy z sąsiedniego pokoju. Podszedł do wewnętrznych, lekko uchylonych drzwi i pchnął je do końca. Ujrzał Penlowskiego, dyktującego coś Annie Kaspar, swojej sekretarce.

Penlowski podniósł wzrok, nieco zaskoczony widokiem Stefana. Musiał dostrzec napięcie na jego twarzy, gdyż zmarszczył brwi i zapytał?

— Czy się stało coś złego?

— Coś złego działo się przez długi czas — powiedział Stefan — ale teraz wszystko będzie w porządku, jak sędzę.

Potem, kiedy niezadowolenie na twarzy Penlowskiego wzrosło, Stefan wyciągnął z kieszeni swojego kitla zaopatrzonego w tłumik colt commander i dwukrotnie strzelił naukowcowi w pierś.

Anna Kaspar zerwała się z krzesła, upuszczając ołówek i notes: krzyk uwiązał jej w gardle.

Nie podobało mu się zabijanie kobiet, nie podobało mu się zabijanie kogokolwiek — ale teraz nie miał wyboru, więc strzelił do niej trzy razy; kule odrzuciły ją do tyłu na biurko, zanim głos zdążył wyrwać się jej z gardła.

Martwa, ześlizgnęła się z biurka i upadła na podłogę. Strzały nie były głośniejsze od syczenia wściekłego kota, a odgłos padającego ciała był zbyt nikły, aby zwrócić czyjąkolwiek uwagę.

Penlowski zapadł się w fotel z niewidzącym spojrzeniem i otwartymi ustami. Jedna z kul musiała przebić mu serce, a obieg krwi został prawdopodobnie natychmiast zatrzymany, gdyż na koszuli pojawiła się tylko maleńka plamka.

Stefan wycofał się z pokoju i zamknął go. Przeciął sekretariat i wyszedł na korytarz, zamykając również zewnętrzne drzwi.

Serce waliło mu jak młotem. Przez te dwa morderstwa odciął się na zawsze od swego własnego czasu, swego własnego narodu. Od tej chwili jedyne życie, jakie mu pozostało, było możliwe w czasach Laury. Nie miał odwrotu.

Z rękami i bronią wciśniętymi w kieszenie laboratoryjnego kitla skierował się do biura Janowskiego. Kiedy zbliżył się do drzwi, wyszło z nich dwóch jego kolegów. Pozdrowili go, mijając. Zatrzymał się, aby zobaczyć, czy zmierzają do biura Penlowskiego. Jeżeli tam pójdą, będzie zmuszony ich zabić.

Poczuł ulgę, kiedy zatrzymali się przy windach. Im więcej trupów zostawi za sobą, tym bardziej stanie się prawdopodobne, że ktoś potknie się o jednego z nich i ogłosi alarm, który uniemożliwi mu nastawienie mechanizmu zegarowego przy materiałach wybuchowych i ucieczkę Piorunową Drogą.

Wszedł do gabinetu Janowskiego: tu także był sekretariat. Urzędniczka siedząca za biurkiem — przydzielona, tak jak Anna Kaspar, przez tajną policję — spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

— Czy doktor Janowski jest u siebie? — spytał Stefan.

— Nie, jest w sali dokumentów z doktorem Wołkowem. Wołków był trzecim człowiekiem, który na tyle orientował się w programie, by wyeliminowanie go stało się konieczne. To, że znajdował się teraz w tym samym miejscu, co Władysław Janowski, ułatwiało Stefanowi zadanie i było dobrym znakiem.

W sali dokumentów gromadzono i badano wiele książek, gazet, magazynów i innych materiałów, które podróżujący w czasie sprowadzali z zaplanowanych wycieczek. Właśnie w tych dniach ludzie, w których umysłach zrodziła się idea Piorunowej Drogi, pogrążeni byli w gorączkowym analizowaniu kluczowych zagadnień, których realizacja w praktyce nadałaby historii pożądany przez nich kierunek.

Zjeżdżając windą na dół Stefan wymienił tłumik w pistolecie na nowy. Pierwszy wprawdzie wyciszyłby jeszcze z tuzin strzałów, zanim jego pierścienie zostałyby zużyte, ale nie chciał go nadmiernie przeciążać. Nowy tłumik był ekstra zabezpieczeniem. Szybko wymienił również na pół opróżniony magazynek.

Parterowy korytarz był pełen ludzi, przemieszczających się z jednego laboratorium do drugiego. Dalej trzymał ręce w kieszeniach; skierował się prosto do sali dokumentów. W momencie, gdy wchodził, Janowski i Wołków stali przy dębowym stole, pochyleni nad egzemplarzem ilustrowanej gazety, zawzięcie wyklócając się półgłosem. Przerwali na moment, żeby na niego zerknąć, po czym

bezwzględnie powrócili do dyskusji — widać ocenili, że zjawił się tu, podobnie jak oni, dla przyczyn związanych z badaniami.

Stefan umieścił dwie kule w plecach Wołkowa.

Janowski osłupiał, kiedy Wołków padł na stół, rzucony tam siłą ognia prawie bezgłośnie broni.

Stefan strzelił do Janowskiego, trafając go w twarz, po czym obrócił się i opuścił pokój, zamykając za sobą drzwi. Obawiał się, że nie będzie w stanie zapanować nad swoim głosem ani powiedzieć nic sensownego, nie odzywał się więc do żadnego z kolegów i starał się wyglądać na człowieka zagubionego w myślach, mając nadzieję, że to ostatecznie ich zniechęci. Tak szybko, jak to tylko było możliwe, lecz panując nad sobą, żeby nie zacząć biec, podszedł do wind, wjechał na drugie piętro, wpadł do swojego biura i nastawił mechanizm zegarowy zapalnika na maksymalny czas, zostawiając sobie pięć minut na dotarcie do bramy, zanim instytut nie obróci się w dymiące zgłiszcza.

7.

Laurze udało się uzyskać zgodę, by Chris do czasu rozpoczęcia roku szkolnego uczył się w domu pod kierunkiem licencjonowanej nauczycielki. Nazywała się Ida Palomar i przypominała Laurze Marjorie Maine, nieżyjącą już aktorkę z rodzinnych komedii z Papą i Mamą Kettle. Ida była potężną, nieco opryskliwą kobietą o złotym sercu i jako nauczycielka sprawdzała się doskonale.

Do czasu szkolnej przerwy z okazji Dnia Dziękczynienia zarówno Laura, jak i Chris przywykli do odosobnienia, w jakim żyli. W istocie zaczęli znajdować przyjemność w tym wyjątkowym poczuciu bliskości, które rozwinęło się między nimi w rezultacie obcowania z niewieloma innymi ludźmi.

W Dniu Dziękczynienia □elma zadzwoniła z Beverly Hills, by złożyć im życzenia. Laura odebrała telefon w kuchni, pełnej zapachu pieczonego indyka. Chris był w pokoju dzieciennym i czytał Shel Silverstein.

150

— Oprócz życzeń świątecznych — powiedziała □elma — dzwonię, żeby zaprosić was na Boże Narodzenie do mnie i Jasona.

— Jasona? — zdziwiła się Laura.

— Jason Gaines, reżyser — wyjaśniła □elma. — Kręci film ze mną. Wprowadziłam się do niego.

— A on już o tym wie?

— Posłuchaj, Shane, ja tu jestem od dowcipów.

— Przepraszam.

— Mówi, że mnie kocha. Zwariował chyba, co? O Jezu, rozumiesz — zjawia się taki ledwie pięć lat ode mnie starszy, porządnie wyglądający facet, bez żadnych dostrzegalnych gołym okiem mutacji, świetnie zbudowany, wart grube miliony, reżyser filmowy z wielkim nazwiskiem — a więc taki facet, który mógłby mieć każdą znakomitą dupcię, kręcącą się przy filmie — i chce tylko mnie. Jasne — jest chory umysłowo, ale rozmawiając z nim nie wpadłabyś na to; mieści się w normie. Mówi, że tym, co we mnie kocha, jest mój mózg...

— Czy wie, jak poważnie jest chory?

— Znowu zaczynasz, Shane? Mówi, że kocha mój mózg i moje poczucie humoru i nawet podnieca go moje ciało — a jeśli go nie podnieca, to jest pierwszym facetem w historii, który potrafi udawać erekcję.

— Masz wspaniałe ciało.

— A, wiesz co? Zaczynam się zastanawiać, czy nie zachodzi możliwość, że nie jest aż tak strasznie, jak to do tej pory myślałam. Oczywiście tylko wtedy, kiedy uznasz kośćcistość za warunek sine qua non kobiecej urody. Ale jeśli nawet jestem teraz zdolna spojrzeć w lustro na moje ciało, to i tak ciągle mam tę twarz doczepioną na górze.

— Masz cudowną twarz — zwłaszcza teraz, kiedy nie jest zasłonięta tymi zielonymi i purpurowymi włosami.

— To nie twoja twarz, Shane. Ale do rzeczy. Teraz już rozumiesz, jak ogromnie mi zależy, żebyście przyjęli to zaproszenie. Choć wiem, że jak Jason cię zobaczy, to następnego ranka obudzę się przy krawężniku, w plastikowym worze w kubie na śmieci. No, co? Przyjedziecie? Kręcimy film w LA i w okolicach i większą część materiału mamy skręcić do dziesiątego grudnia. Potem Jason będzie miał kupę roboty z montażem i całym tym paskudztwem, ale podczas świąt mówimy po prostu „stop”. Chcemy, żebyście się zgodzili. Powiedz „tak”.

— Jasne, że chciałabym poznać mężczyznę, który okazał się na tyle mądry, żeby cię docenić, □elmo, ale nie wiem. Czuję się tu... bezpiecznie.

— A co ty sobie o nas myślisz — że jesteśmy niebezpieczni?

— Wiesz, o co mi chodzi.

— Możesz wziąć uzi.

— A co Jason sobie o tym pomyśli?

151

— Powiem mu, że jesteś radykalną lewaczką — wiesz, chrońmy-spernę-wieloryba, wywalmy-środky-konserwujące-z-mielonki — papugą-aktywistką i trzymasz przy sobie uzi na wypadek, gdyby rewolucja zaczęła się bez zapowiedzi. On to kupi. Tu jest Hollywood, mała. Większość aktorów, z którymi pracuje, ma jeszcze bardziej zwariowane poglądy polityczne.

Przez półokrągłe przejście do pokoju dziennego Laura widziała, jak Chris siedział skulony z książką na fotelu.

Westchnęła:

— Może rzeczywiście nadeszła już pora, żebyśmy od czasu do czasu wyrzeli na świat. Zwłaszcza że byłoby to dla nas trudne Boże Narodzenie: po raz pierwszy bez Danny'ego. Ale czuję się niepewnie...

— Minęło już dziesięć miesięcy, Lauro — powiedziała łagodnie □elma.

— Ale nie zamierzam przyjeżdżać bez broni.

— Nie musisz. Mówiłam poważnie o uzi. Przywieź cały ten arsenał, jeżeli masz czuć się z nim lepiej. Po prostu przyjeżdżaj.

— Więc... dobrze.

— Cudownie! Nie mogę się doczekać, kiedy poznasz Jasona.

— Czy mam przez to rozumieć, że miłość, jaką żywi do ciebie ta hollywoodzka wielkość z uszkodzonym mózgiem, jest odwzajemniona?

— Szaleję za nim — przyznała □elma.

— Ogromnie się cieszę, □elmo. Tak naprawdę, to stoję tu z wyszczerzonymi zębami i długo to jeszcze potrwa, bo od miesiący nic mnie tak nie ucieszyło.

Wszystko, co powiedziała, było prawdą. Ale kiedy odłożyła słuchawkę, poczuła, że brakuje jej Danny'ego jak nigdy dotychczas.

8.

Gdy tylko Stefan przekręcił tarczę mechanizmu zegarowego zapalnika, zaraz opuścił swoje biuro na drugim piętrze i skierował się do głównego laboratorium na parterze. Była 12.14, a ponieważ umieszczona w harmonogramie wycieczka miała się rozpocząć dopiero za dwie godziny, pomieszczenie stało puste. Okna były szczelnie zamknięte, a większość lamp suftowych wygaszona, dokładnie tak samo, jak to miało miejsce ponad godzinę temu, kiedy powrócił z San Bernardino. Liczne zegary, wskaźniki i podświetlone wykresy maszynierii sterującej płonęły zielenią i oranżem. Częściowo ukryta w cieniu brama czekała na niego.

Cztery minuty do detonacji.

152

Podszedł prosto do głównej tablicy programującej i dokładnie ustawił zegary, przyciski i dźwigienki, nastawiając bramę na pożądane miejsce i czas: południowa Kalifornia w pobliżu Big Bear, ósma wieczór 10 stycznia 1988, parę godzin po tym, jak zabity został Danny Packard. Wykonał niezbędne obliczenia parę dni temu i miał je przy sobie na kartce, z której teraz korzystał, więc potrzebował zaledwie minuty na całą operację.

Gdyby mógł zjawić się dziesiątego przed południem, zanim miał miejsce wypadek i strzelanina z Kokoschką, zrobiłby to w nadziei uratowania Danny'ego. Było już jednak wiadome, że podróżny w czasie nie może drugi raz odwiedzić tego samego miejsca, jeżeli wyznaczył sobie powtórne przybycie na krótko przed terminem poprzedniej wycieczki; istniał naturalny mechanizm, który nie pozwalał podróżnemu w czasie pojawić się w miejscu, gdzie mógłby spotkać samego siebie. Mógł powrócić do Big Bear po tym, jak owej styczniowej nocy rozstał się z Laurą i opuścił drogę 330, gdyż tylko wtedy unikał ryzyka spotkania z samym sobą. Ale gdyby nastawił bramę na taką porę, w której mógłby zetknąć się z samym sobą, to po prostu zostałby odrzucony z powrotem do instytutu, nie dostawszy się nigdzie. Był to jeden z tajemniczych aspektów podróży w czasie, znanych i badanych w instytucie, których mechanizmu nie rozumiano.

Kiedy zakończył programowanie bramy, spojrział na wskaźniki długości i szerokości geograficznej, aby upewnić się, że przybędzie w okolice Big Bear. Rzucił okiem na zegar podający czas przybycia i osłupiał — zegar wskazywał ósmą wieczorem 10 stycznia 1989, zamiast 1988. Brama była teraz

nastawiona tak, jakby miała dostarczyć go do Big Bear nie w godzinę po śmierci Danny'ego, ale o cały rok później.

Był pewien, że jego obliczenia są właściwe; przez parę ostatnich tygodni miał wiele czasu na ich sporządzenie i sprawdzenie. Było oczywiste, że ze zdenerwowania, wprowadzając dane cyfrowe popełnił błąd. Powinien przeprogramować bramę.

Zamrugnął powiekami, aby usunąć spływający do oczu pot i zabrał się do przeglądania cyfr na kartce, na której znajdował się końcowy wynik jego wyczerpujących obliczeń. Kiedy sięgnął po gałkę kontrolną, aby wymazać bieżący program i wprowadzić nowe dane, z korytarza dobiegł krzyk na alarm. Głosy brzmiały tak, jakby dochodziły z północnego końca budynku, z okolic pokoju dokumentów. Ktoś natknął się na ciała Janowskiego i Wołkowa. Usłyszał dalsze krzyki. Ktoś biegł.

Rzucił nerwowe spojrzenie na zamknięte drzwi na korytarz i uznał, że nie starczy mu czasu na przeprogramowanie bramy. Musi zadowolić się powrotem do Laury w rok po tym, jak ją opuścił.

Ściskając w ręce zaopatrzone w tłumik colt commander, podniósł się od konsoly programującej i pospieszył w kierunku bramy, wysokiej na osiem, długiej na dwanaście stóp, pozbawionej dna beczki z polerowanej stali, spoczywającej na miedzianych blokach stopę nad podłogą. Nie chciał nawet tracić czasu na zabranie swojej kurty, którą godzinę temu zostawił w rogu pokoju.

Wrzawa na korytarzu rosła.

153

Kiedy znajdował się tylko parę kroków od wejścia do bramy, drzwi laboratoryjne za jego plecami frunęły na boki, otwarte z taką siłą, że uderzyły z hukiem o ścianę.

— Ani kroku dalej!

Stefan rozpoznał ten głos, ale nie chciał uwierzyć własnym uszom. Obracając się podniósł pistolet, aby stawić czoło przeciwnikowi. Człowiekiem, który wpadł do laboratorium, był Kokoschka.

Nieemożliwe. Kokoschka nie żyje. Śledził Stefana na szosie do Big Bear, tamtej nocy, 10 stycznia 1988, i został wówczas przez niego zabity na tej ośnieżonej drodze. Osłupiały ze zdumienia, Stefan wypalił dwa razy. Dwa razy chybił. Kokoschka odpowiedział ogniem. Jeden strzał trafił Stefana w pierś, wysoko po lewej stronie, odrzucając go w tył, na skraj bramy. Utrzymał się jednak na nogach i strzelił trzykrotnie, zmuszając Kokoschkę do szukania osłony. Tamten przetoczył się po podłodze za potężny stół laboratoryjny.

Mniej niż dwie minuty do detonacji.

Z powodu szoku Stefan nie poczuł bólu. Ale lewą rękę miał kompletnie niesprawną, zwisała mu bezwładnie. W polu jego widzenia pojawiły się uporczywie powracające ciemne, rozmyte plamy.

Paliło się tylko parę górnych lamp, ale nagle nawet i one zamigotały i zgasły, pozostawiając jedynie słaby poblask licznych szkieł zegarów i wskaźników. Przez moment Stefan myślał, że jest to subiektywne doznanie jego zanikającej świadomości, ale nagle dotarło do niego, że znowu zawiodła miejska sieć energetyczna. Był to najwyraźniej sabotaż, gdyż nie słyszał syren poprzedzających nalot.

Kokoschka wypalił dwukrotnie w ciemności, błyski wystrzałów ujawniły jego pozycję i Stefan wystrzelił trzy ostatnie naboje, choć nie liczył na to, że traf Kokoschkę przez marmurowy stół laboratoryjny.

Czując ulgę na myśl, że brama ma dopływ energii z generatora awaryjnego i dalej jest sprawna,

Stefan odrzucił pistolet i zdrową ręką uchwycił się półkolistego portalu. Wciągnął się do środka i gorączkowo zaczął się czołgać do punktu znajdującego się w odległości trzech czwartych długości bramy, gdzie miał przekroczyć granicę pola energii, które wyekspediuje go do Big Bear, w rok 1989.

Kiedy tak w mrocznym wnętrzu beczki podciągnął się na kolanach i na zdrowym ramieniu, nagle zdał sobie sprawę, że mechanizm zegarowy detonatora, zainstalowany w jego biurze, jest podłączony do miejskiej sieci zasilania. Odliczanie czasu do wybuchu zostało przerwane w momencie, w którym zgasły światła.

Z rozczarowaniem pojął, dlaczego Kokoschka nie leży teraz zabity w Big Bear w roku 1988. Kokoschka jeszcze się tam nie udał. Dowiedział się właśnie o jego zdradzie, odkrywając ciała Janowskiego i Wołkowa. Zanim dopływ mocy z sieci miejskiej zostanie przywrócony, Kokoschka przeszuka biuro Stefana, odnajdzie detonator i rozbroi ładunki wybuchowe. Instytut nie zostanie zniszczony.

154

Stefan zawahał się, czy nie powinien wrócić.

Usłyszał za sobą dochodzące z laboratorium głosy innych ludzi, spieszących Kokoschce z pomocą. Podczołgał się naprzód.

A co z Kokoschka? Szef służby bezpieczeństwa na pewno odbędzie podróż do 10 stycznia 1988, usiłując zabić Stefana na drodze stanowej nr 330. Ale uda mu się tylko zabić Danny'ego, zanim sam nie zostanie wyeliminowany. Stefan był przekonany, że śmierć Kokoschki jest nieodwołalnie przesądzona. Potrzeba mu było tylko więcej czasu na przemyślenie paradoksów podróży w czasie i dostrzeżenie innych możliwości, dzięki którym Kokoschka mógłby ująć przed śmiercią, która dopadnie go w roku 1988 i której Stefan był już świadkiem.

W zawiłościach podróży w czasie można się było pogubić, nawet kiedy rozważało się je z jasnym umysłem. W stanie, w jakim się znajdował — ranny, z trudem zachowujący przytomność — próby przemyślenia całej tej sprawy wywoływały tylko uporczywe zawroty głowy. Nie teraz, później. Będzie martwił się tym później.

Za nim, w ciemnościach laboratorium, ktoś zaczął strzelać w kierunku wejścia do bramy, usiłując trafić go, zanim dotrze do punktu, gdzie rozpoczynała się podróż.

Przeczołgał się ostatnie parę stóp. Ku Laurze. Ku nowemu życiu w odległym czasie. Ale poprzednio żywił nadzieję, że na zawsze zburzy mosty pomiędzy tą epoką, którą porzucał, a tą, z którą się obecnie wiązał. Tymczasem jednak brama pozostawała otwarta. A oni mogą przybyć poprzez czas, by dopaść jego... i Laurę.

9.

Boże Narodzenie Laura i Chris spędzili z □elmą i Jasonem Gainesem w ich domu w Beverly Hills. Był to dwudziestopokojowy dworek, utrzymany w stylu Tudorów, położony na sześciu otoczonych murem akrach ziemi — nieprawdopodobnie rozległa posiadłość na terenach, gdzie cena każdego akra dawno już przekroczyła rozsądne granice. Zbudowany w latach czterdziestych dla producenta

szalonych komedii i obrazów wojennych, został wykonany bez oglądania się na koszty, gdy w grę wchodziła jakoś wystroju. W pokojach każdy detal był wykończony w stopniu niemożliwym do powtórzenia wspólnie — nawet za dziesięciokrotnie wyższą cenę. Były tam bogato zdobione kasetony na suftach, niektóre wykonane z dębu, inne z miedzi; zwieńczone wyszukаныmi sztukateriami portale; barwione lub rżnięte szkło w witrażowych oknach, tak głęboko osadzonych w ścianach, że można było wygodnie siedzieć na szerokich parapetach. Wewnętrzne nadproża udekorowano płaskorzeźbami wyobrażającymi winorośl i róże, amorki i chorągwie, wyciągnięte w skoku łanie, ptaki z wstęgami unoszonymi w dziobkach, zewnętrzne zaś wykonano z rzeźbionego granitu, przy czym dwoje z nich ozdo

155

biono kolorowymi kłściami ceramicznych owoców w stylu delia Robbia. Sześćoakrową posiadłość wokół domu porastał niesłychanie starannie pielęgnowany prywatny park, którego kręte, wyłożone kamieniami ścieżki wiodły przez tropikalny krajobraz palm, drzew benzoesowych, fkusów, azalii uginających się pod purpurowymi, błyszczącymi kwiatami niecierpków, paproci, rajskich jabłoni i kwiatów sezonowych w tak wielu gatunkach, że Laura potrafiła rozpoznać tylko połowę z nich.

Kiedy Laura i Chris pojawili się wczesnym sobotnim popołudniem, □elma zabrała ich na długą przechadzkę po domu i okolicy. Później pili gorące kakao i chrupali miniaturowe ciasteczka, przygotowane przez kucharza i podawane przez pokojówkę w salonie z widokiem na basen, gdzie przez ogromne okna wpływało światło słońca i leniwe powiewy wiatru.

— Czy życie to nie jest wariactwo, Shane? Czy uwierzyłabyś, że ta sama dziewczynka, która siedziała prawie dziesięć lat w takich norach, jak McIlroy i Caswell Hall, znajdzie się tu, nie przeszedłszy wcześniej reinkarnacji w księżniczkę?

Dom stwarzał tak imponujące wrażenie, że wydawało się, iż każdy jego właściciel musi poczuć się Ważny przez duże „W” i powinien być wyjątkowo zadowolonym z siebie i pompatycznym facetem. Ale kiedy Jason Gaines pojawił się o czwartej po południu, okazał się tak bezpretensjonalny, jak mało kto ze znajomych Laury, a było to szczególnie zadziwiające zważywszy, że tkwił już siedemnaście lat w przemyśle filmowym. Miał trzydzieści osiem lat, o pięć więcej niż □elma, i wyglądał jak młody Robert Vaugh, co było chyba znacznie lepszym określeniem niż „porządnie wyglądający”, jak wcześniej określiła go □elma. Nie minęło pół godziny, jak zaszyli się już z Chrisem w pokoju zabudowanym platformą wielkości piętnaście na dwadzieścia stóp, na której znajdowały się wsie, wiatraki, tunele, mosty, wodospady — i gdzie krążyły całe zestawy elektrycznych pociągów. Poza tym pomieszczeniem, Jason miał jeszcze dwa inne pokoje, w których mógł się oddawać swoim hobby.

Tej nocy, kiedy Chris zasnął w pokoju przylegającym do sypialni Laury, wpadła do niej □elma. Ubrane w piżamy zasiadły ze skrzyżowanymi nogami na łóżku, jakby znów były dziewczynkami, ale jadły prażone orzeszki pistacji i piły szampana, zamiast gryźć słodyczne i popijać je mlekiem.

— Najbardziej niesamowite w tym wszystkim, Shane, jest to, że mimo swojego pochodzenia czuję się tak, jakby tu było moje miejsce. Czuję się tu jak w domu.

I nie była tu wcale nie na miejscu. Chociaż nadal bez wątpienia pozostawała □elmą Ackerson, zmieniła się przez ostatnie pięć miesięcy. Miała lepiej obcięte włosy, po raz pierwszy w życiu była opalona, zachowywała się bardziej jak kobieta, a mniej jak komik usiłujący wywołać śmiech —

inaczej mówiąc aprobatę — każdym wysilonym gestem i słowem. Jej piżama była mniej ekstrawagancka, a bardziej seksy — przylegająca do ciała, bez wzorków, z jedwabiu w kolorze brzoskwiowym. Pantofe z króliczkami jednak zachowała.

156

— Pantofe z króliczkami — dowodziła — przypominają mi, kim jestem. Nie przewróci ci się w głowie, dopóki nosisz pantofe z króliczkami. Nie stracisz poczucia perspektywy i nie zaczniesz zachowywać się jak gwiazda albo nadziana stara baba, jeśli dalej będziesz nosiła pantofe z króliczkami. Poza tym dodają mi pewności siebie, bo są takie beztroskie, jakby mówiły: „Choćby cały świat chciał spaść mi na głowę, to i tak będę się dalej wygłupiać i grać wszystkim na nosie”. Gdybym umarła i znalazła się w piekle, zniosłabym to, gdybym na nogach miała pantofe z króliczkami.

Boże Narodzenie minęło jak sen. Jason okazał się sentymentalny, i potrafił cieszyć się i bawić jak dziecko. Nalegał, żeby zebrali się przy drzewku w piżamach i szlafrokach i otwierali swoje prezenty z takim hałasem wywołanym rozrywaniem wstążek i rozdzieraniem papieru i w tak dramatycznym napięciu, jak to tylko możliwe, żeby śpiewali kolędy i by wyrzekli się pożywnego śniadania, a zamiast tego opychali się słodyczami, cukierkami, orzechami, owocowymi plackami i prażoną kukurydzą w karmelowej polewie. Udowodnił, że zajmując się Chrisem poprzedniego wieczora nie czynił tego tylko z uprzejmości, gdyż bawił się z nim całe Boże Narodzenie, zarówno w domu, jak i poza nim, i było jasne, że kocha dzieci i dobrze się z nimi porozumiewa. Po kolacji Laura zdała sobie sprawę, że Chris śmiał się tego dnia więcej niż przez całe ostatnie jedenaście miesięcy.

Kiedy pakowała chłopca do łóżka, powiedział:

— Ale cudowny dzień, co, mamó?

— Jeden z najwspanialszych — zgodziła się.

— Myślę tylko — powiedział już zasypiając — że chciałbym mieć tu tatusia, żeby mógł się z nami bawić.

— Ja też bym chciała, kochanie.

— Ale trochę to on tu jest, bo dużo o nim myślę. Mamó, czy będę go pamiętał takiego, jakim był, nawet po wielu, wielu latach?

— Będę ci w tym pomagala, maleńki.

— Bo czasem są takie małe rzeczy o nim, które zapominam. Muszę się bardzo starać, żeby je sobie przypomnieć. Ale nie chcę ich zapomnieć, bo to był mój tatuś.

Kiedy zasnął, Laura przeszła do swojej sypialni obok. Poczwała ogromną ulgę, kiedy w parę minut potem zjawiała się □elma na następną rozmowę od serca. Bez □elmy czekałyby ją teraz bardzo ciężkie chwile.

— Jeżeli będę miała dzieci, Shane — powiedziała □elma, wdrapując się na łóżko Laury — to jak sądzisz, czy będą miały szansę życia w społeczeństwie, czy też zostaną wygnane do jakiegoś odpowiednika azylu dla trędowatych, takiego dla brzydali?

— Nie wygłupiaj się.

— Oczywiście, stać mnie będzie na zafundowanie im naprawdę gruntownej operacji plastycznej. Chodzi mi o to, że jeżeli nawet okaże się, że gatunek, do którego będą należeć, jest trudny do

ustalenia, stać mnie będzie na upodobnienie ich do ludzi.

157

— Czasami tak poniżasz samą siebie, że diabli mnie biorą.

— Przepraszam. Wpisz to na konto tego, że nie miałam mamusi i tatusia, którzy by mi dali poczucie bezpieczeństwa. Jestem równocześnie tak zarozumiała i tak niepewna jak sierota.

Przez moment nie odezwała się, a potem wybuchnęła śmiechem i powiedziała:

— Hej, masz pojęcie? Jason chce się ze mną ożenić. Najpierw myślałam, że opętał go zły duch i nie panuje nad sobą, ale upiera się, że nie potrzeba nam egzorcysty, choć widać, że dostał małego foła. Co o tym myślisz?

— Co myśle? O co ci chodzi? On jest fantastyczny. Bierzesz go chyba, co?

— Martwię się, że jest dla mnie za dobry.

— Nikt nie jest za dobry dla ciebie. Wychodź za niego.

— Martwię się, że jak to nie wypali, będę wykończona.

— Ale jak tego nie spróbujesz — powiedziała Laura — będziesz gorzej niż wykończona, będziesz sama.

10.

Stefan poczuł znajome, nieprzyjemne łaskotanie, towarzyszące podróży w czasie, szczególną wibrację przenikającą przez skórę i ciało do szpiku kości, a potem znowu w odwrotnym kierunku, od kości przez mięśnie do skóry. Z towarzyszącym temu „poop-wiuu” opuścił bramę i w tej samej chwili zataczając się schodził w dół stromego, pokrytego śniegiem zbocza — w górach Kalifornii, nocą 10 stycznia 1989 roku.

Potknął się, upadł na zraniony bok i stoczył się w dół po stoku, aż zatrzymała go gnijąca kłoda. Po raz pierwszy od chwili, gdy został postrzelony, poczuł ból. Krzyknął i upadł na plecy, przygryzając wargi, żeby nie stracić przytomności, i mrużąc oczy przed rozjarzoną błyskawicami nocą.

Następny piorun rozciął niebo, które pulsujące światło upodobniło do rozdartej rany. W widmowym blasku, odbitym od pokrytej śniegiem ziemi, w świetle jaskrawych, choć nieregularnych rozbłysków, Stefan zobaczył, że znajduje się na leśnej polanie. Bezlistne, czarne drzewa wyciągały swe ramiona do burzliwego nieba, jakby były fanatycznymi wyznawcami jakiegoś gwałtownego boga. Drzewa szpilkowe, o konarach uginających się pod ciężarem śnieżnych komży, stały jak pełni powagi duchowni odmiennego, dostojniejszego obrządku.

Zjawiając się w innym czasie podróży łamał prawa natury, co pociągało za sobą ogromne wyładowanie zbędnej energii. Niezależnie od stanu pogody w miejscu przybycia, zachwianie równowagi natury było wyrównywane przez rozrywające niebo popisy piorunów — i dlatego nieziemska droga podróżujących w czasie była nazywana

Piorunową Drogą. Z przyczyn dla nikogo niepojętych powrót do instytutu, do własnego czasu podróżnika, nie był iluminowany przez żadną niebiańską pirotechnikę.

Gromobicie, jak zawsze, powoli mijało; rozpoczęte błyskawicami godnymi Apokalipsy, skończyło się odległymi przebłyskami, po których zapadła znów noc, ciemna i cicha.

W miarę jak milkły odgłosy gromów, narastał ból. Wydawało mu się, że piorun, który rozerwał sklepienie niebieskie, był teraz zamknięty w jego piersi, w lewym barku i ramieniu, i że jest to moc zbyt wielka, aby śmiertelne ciało mogło ją udźwignąć lub choćby wytrzymać.

Podniósł się na kolana i wstał chwiejnie na nogi. Bał się, że nie zdoła wydostać się żywy z tego lasu. Poza oświetloną fosforyzującym blaskiem, pokrytą śniegiem polaną noc była czarna jak loch i równie posępna. Pomimo braku wiatru otaczające go powietrze było lodowato zimne, a on ubrany był tylko w cienki laboratoryjny kitel, nałożony na koszulę i spodnie.

Co gorsza, mógł znajdować się o mile od drogi lub innego punktu orientacyjnego, który wskazałby mu jego pozycję. Gdyby potraktować bramę jak działo, to jej precyzja w odniesieniu do czasu była godna uznania, lecz daleko jej było do celności w przestrzeni. Podróżny zwykle pojawiał się w zamierzonym czasie z dokładnością do dziesięciu czy piętnastu minut, ale nie zawsze — w wyznaczonym punkcie przestrzeni. Czasami zjawiał się sto jardów od zaprogramowanego miejsca przeznaczenia, ale kiedy indziej trafiał ponad dziesięć czy piętnaście mil od celu. Tak zdarzyło się w dniu, w którym podróżował do 10 stycznia 1988 roku, aby uratować Laurę, Danny'ego i Chrisa przed ciężarówką Robertsonów.

Podczas wszystkich swoich poprzednich wędrówek miał ze sobą mapę terenu celu i kompas, żeby znalazłszy się przypadkowo w takim pustkowiu, w jakie wpakował się teraz, móc się z niego wydostać. Ale tym razem zostawił swoją kurtę w kącie laboratorium i nie miał ani kompasu, ani mapy, a zachmurzone niebo nie pozwalało mieć nadziei, że znajdzie drogę wyjścia z lasu za pomocą gwiazd.

Na nogach zamiast zimowego obuwia miał cienkie półbuty i stojąc po kolana w śniegu poczuł, że musi natychmiast się ruszyć, jeśli nie chce przymarznąć do ziemi. Rozejrzał się wokół polany, licząc na jakąś wskazówkę, na przebłysk intuicji, ale w końcu wybrał kierunek na chybił trafił i poszedł w lewo, szukając śladu sarnich kopyt albo innego naturalnego szlaku, który mógłby wyprowadzić go z lasu.

Cała lewa strona jego ciała, od szyi do bioder, pulsowała bólem. Miał nadzieję, że kula przeszła nie rozrywając żadnej arterii i że nie stracił aż tyle krwi, aby nie móc dotrzeć do Laury, by zobaczyć jej twarz — twarz, którą kochał — po raz ostatni przed śmiercią.

Pierwsza rocznica śmierci Danny'ego przypadała we wtorek i choć Chris nic nie wspominał, jakie ten dzień ma znaczenie, był tego świadomy.

Chłopiec był wyjątkowo cichy. Większą część tego przygnębiającego dnia spędził bawiąc się w milczeniu w wojnę swoimi figurkami z „Władców wszechświata”, chociaż zwykle tej grze towarzyszyły dźwięki naśladujące odgłosy broni laserowej, szcęk mieczy i ryk silników pojazdów gwiazdnych. Potem wyciągnął się na łóżku w swoim pokoju i oglądał komiksy. Oparł się wszelkim próbom Laury wyciągnięcia go z tej samonarzuconej izolacji, co chyba okazało się najlepszym wyjściem, gdyż każdy jej wysiłek zmierzający do stworzenia wesołego nastroju zostałby przejrany, a chłopiec czułby się jeszcze gorzej widząc, jak matka sama stara się odwrócić myśli od bolesnej straty.

□elma, która odezwała się zaledwie parę dni wcześniej, aby podzielić się dobrą nowiną, że postanowiła poślubić Jasona Gainesa, zadzwoniła znów o wpół do ósmej wieczorem, jakby nieświadoma wagi tego dnia. Laura odebrała telefon w gabinecie, gdzie ciągle jeszcze walczyła z ponuro-gorzka książką, nad którą pracę rozpoczęła prawie rok temu.

— Hej, Shane, zgadnij, co się stało? Poznałam Paula McCartneya! Był w LA obgadać kontrakt na płytę i wpadliśmy na siebie na przyjęciu w piątek wieczór. W chwili, kiedy go zobaczyłam, miał w ustach przystawkę i okruszki na wardze, powiedział mi „cześć” i był cudowny. Mówił, że widział moje filmy, podobały mu się i gadaliśmy — uwierzysz — gadaliśmy ze dwadzieścia minut, a potem zaczęła się najdziwniejsza sprawa.

— Odkryłaś, że rozebrałaś go w trakcie rozmowy.

— No, wygląda dalej pysznie, wiesz, ciągle ta twarz cherubinka, na widok której mdlałyśmy dwadzieścia lat temu, ale teraz jest pełna doświadczenia, trés wyrafnowana, z tym chwytającym za serce smutkiem w oczach. Był wyjątkowo zabawny i czarujący. Na początku może i chciałam ściągnąć mu spodnie, taak, i nareszcie spełnić tamte marzenia, ale im dłużej rozmawialiśmy, tym mniej wydawał się boski a tym bardziej ludzki i po chwili mit wyparował i był tylko bardzo miłym, atrakcyjnym panem w średnim wieku. Co o tym myślisz?

— A co mam myśleć?

— Nie wiem — powiedziała □elma. — Jestem trochę wytrącona z równowagi. Czy żywa legenda nie powinna wprawiać cię w osłupienie trochę dłużej niż dwadzieścia minut po tym, jak ją spotkałaś? Teraz spotykam dużo sław i żadna nie okazała się bogiem, ale jednak to był McCartney.

— Jeżeli chcesz wysłuchać mojej opinii, to fakt, że tak szybko przestał być mityczną postacią, wcale nie świadczy źle o nim, natomiast bardzo dobrze o tobie. Osiągnęłaś nowy stopień dojrzałości, Ackerson.

— Czy to znaczy, że muszę zrezygnować z oglądania w sobotnie ranki starych slapsticków z Trzema Ofermami?

— Ofermy są dozwolone, ale obrzucanie tortami to rozdział już zamknięty, przeszłość.

Kiedy dziesięć po ósmej □elma odłożyła słuchawkę, Laura czuła się już nieco lepiej, więc przerzuciła się od ponuro-gorzkiej książki do opowieści o Sir Tommym Żabie. Napisała zaledwie

dwa akapity dziecięcej opowiadki, kiedy noc rozjaśnił błysk na tyle jaskrawy, aby obudzić straszliwe myśli o zagładzie nuklearnej. Towarzyszący mu grzmot wstrząsnął domem od dachu po fundamenty, jakby potężna kula do wyburzania walnęła w jedną ze ścian. Zerwała się na równe nogi, tak zaskoczona, że nawet nie wcisnęła „save” na klawiaturze komputera. Drugi błysk przeszył noc, rozszarżając okna jak ekrany telewizorów, a grzmot, który po nim nastąpił, był głośniejszy od poprzedniego.

— Mamo!

Obróciła się i w drzwiach zobaczyła Chrisa.

— W porządku — powiedziała.

Podbiegł do niej. Siadła na fotelu ze sprężynującym oparciem i wzięła go na kolana.

— Wszystko w porządku. Nie bój się, kochanie.

— Ale nie pada deszcz — powiedział. — Dlaczego grzmi tak głośno, jeśli nie pada deszcz?

Na zewnątrz niewiarygodne serie błyskawic i zlewających się ze sobą grzmotów trwały prawie przez minutę, po czym ustały. Potęga, która ujawniła się w trakcie tych zjawisk, była tak wielka, że Laura wyobraziła sobie, jak rankiem ujrzą porozrzucane po ziemi kawały nieba, spoczywające niczym skorupy jakiegoś gigantycznego jaja.

Zanim Stefan o pięć minut oddalił się od polany, był zmuszony stanąć i oprzeć się o gruby pień sosny, której gałęzie wyrastały tuż nad jego głową. Ból wyciskał z niego strumienie potu, a jednak drżał na ostrym styczniowym mrozie. Zbyt kręciło mu się w głowie, aby mógł iść dalej, a równocześnie obawiał się usiąść, bo wiedział, że wtedy zapadnie w wieczny sen. Mając nad sobą opadające gałęzie mamuciej sosny, otulające go zewsząd, czuł się jak ukryty pod połami wielkiej czarnej szaty śmierci, spod której może się już nigdy nie wychylić.

Przed położeniem Chrisa do łóżka przygotowała lody z migdałami i syropem czekoladowym. Zjedli je przy kuchennym stole i przygnębienie chłopca zdawało się ustępować. Być może zakończenie tej smutnej rocznicy w sposób tak dramatyczny, przedziwnym fenomenem natury, zamiast rozmyślać o śmierci kazało mu podziwiać cuda życia. Mówił z przejęciem o oglądanym tydzień temu starym filmie Jamesa Whale, w którym piorun w laboratorium doktora Frankensteina spłynął w dół po sznurze od latawca, o piorunie, który wystraszył Kaczora Donalda w kreskówce Disneya i o burzliwej nocy w filmie „101 dalmatyńczyków”, podczas której Cruella De Mon dybała na życie tytułowych szczeniaków.

161

Do chwili, w której go otuliła i pocałowała na dobranoc, zdołał się rozchmurzyć i zapadł w sen z uśmiechem — a przynajmniej z półuśmiechem, który zastąpił wyraz przygnębienia, malujący się na jego buzi przez cały dzień. Chociaż nie był już wystraszony i jej obecność nie była niezbędna, siedziała na krześle przy jego łóżku, aż zapadł w sen. Została po prostu dlatego, że chciała na niego popatrzeć, potrzebowała tej chwili spędzonej razem z nim.

Wróciła do gabinetu o wpół do dziesiątej, zanim jednak podeszła do zestawu komputerowego, zatrzymała się przy oknie, patrząc na pokryty śniegiem frontowy trawnik i wstęgę zwirowanego

podjazdu prowadzącego do drogi stanowej, a także wyżej, na bezgwiezdne niebo. Coś w tych wyładowaniach zaniepokoiło ją. Nie to, że były tak dziwne, że stanowiły potencjalne zagrożenie, ale że niespodziewany, prawie nadnaturalny pokaz ich potęgi był w pewien sposób... znajomy. Wydawało się jej, że przypomina sobie podobną burzliwą feerię, oglądaną przy innej okazji, ale nie mogła sobie przypomnieć kiedy. To było niesamowite wrażenie, jak déjà vu, i nie chciało zniknąć.

Weszła do głównej sypialni i sprawdziła na tablicy kontrolnej, umieszczonej w szafie ściiennej, sprawność całego obwodu alarmowego, idącego przez wszystkie okna i drzwi. Spod łóżka wyciągnęła uzi z przedłużonym magazynkiem, zawierającym sto importowanych, lekkich, odlanych ze stopu naboju. Zabrała broń do gabinetu i położyła ją obok krzesła na podłodze.

Już miała usiąść, kiedy błyskawica znów rozerwała niebo, przyprawiając ją o nagły przestrah, i zaraz po niej nastąpił tak potworny huk grzmotu, jakby wyładowanie nastąpiło za jej plecami. Następny piorun, i dalszy, i jeszcze jeden — zagorzały w oknach jak tłum szyderczych, widmowych twarzy ukształtowanych ze świecącej ektoplazmy.

Kiedy niebo drżało pod wpływem sypiących iskrami pęknięć, Laura szybko przeszła do pokoju Chrisa, aby go uspokoić. Ku jej zdziwieniu, chociaż pioruny i gromy były znacznie gwałtowniejsze niż poprzednio, chłopiec nie obudził się; być może dlatego, iż łoskot stał się częścią jakiegoś snu o dalmatyńczykach, przeżywających niezwykle przygody podczas burzliwej nocy.

Znowu nie spadła ani kropla deszczu.

Błyskawice i gromy ustąpiły, ale obawa zadomowiła się w niej na dobre.

Dostrzegł w ciemności dziwne, czarne jak heban kształty: istoty, które przemykając się między drzewami świdrowały go oczami ciemniejszymi niż kolor ich ciał. Chociaż niepokoiły go, jednak wiedział, że nie są realne, że to tylko fantomy spłodzone przez jego coraz bardziej oszołomiony umysł. Parł naprzód — mimo zewnętrznego zimna, wewnętrznego żaru, kłujących igieł sosnowych, ostrych kolców jeżyn i złodowaciałego podłoża, które czasem kołysało mu się pod nogami, a czasem zaczynało się obracać jak płyta gramofonowa. Ból w barku i piersi był tak intensywny, że osaczały go deliryczne obrazy szczurów wgrzyzających mu się od wewnątrz w ciało, choć nie mógł zrozumieć, jak się tam dostały.

162

Po co najmniej godzinnej wędrówce — wydało mu się, że minęło więcej godzin, że minęły nawet całe dni, ale nie mogły to być dni, ponieważ słońce jeszcze nie wzeszło — dotarł do skraju lasu i na dalekim krańcu półakrowego ośnieżonego stoku zobaczył dom. Niewyraźne światło sączyło się bocznymi szparami z zasłoniętych żaluzjami okien.

Stał nie wierząc własnym oczom. W pierwszej chwili był przekonany, że dom nie jest bardziej realny niż widmowe postaci towarzyszące mu w lesie. Potem ruszył w kierunku tego mirażu — na wypadek, gdyby jednak okazało się, że nie jest to wizja spłodzona przez gorączkę.

Kiedy zrobił zaledwie parę kroków, światło błyskawicy smagnęło noc, raniąc niebo — i bat nie przestawał trzaskać, i zdawało się, że za każdym razem przejmuje go coraz potężniejsza dłoń.

Cień Stefana podskakiwał i wił się na otaczającym go śniegu, choć strach na chwilę sparaliżował jego ruchy. Czasem miał dwa cienie, bo pioruny oświetlały jego sylwetkę równocześnie z dwóch stron. Doskonale tresowane myśliwskie bestie runęły już za nim po Piorunowej Drodze,

zdecydowane przeciąć jego szlak, zanim będzie miał szansę ostrzec Laurę.

Obejrzał się na drzewa, pomiędzy których się wyłonił. Pod niebem migającym światłem niczym stroboskop, zielone drzewa zdawały się rzucać ku niemu, cofać i rzucać powtórnie. Myśliwych nie było.

Kiedy błyskawice znikły, potoczył się znowu w stronę domu. Dwukrotnie upadł i podniósł się z wysiłkiem. Szedł dalej, choć bał się, że gdy znowu upadnie, nie znajdzie siły, aby wstać lub zawołać wystarczająco głośno, by go usłyszano.

Patrząc na ekran komputera i usiłując myśleć o Sir Tommym Żabie, a zamiast tego myśląc o piorunach, Laura nagle przypomniała sobie, kiedy poprzednio widziała burzowe niebo oświetlone w tak nadprzyrodzony sposób: właśnie tego dnia, w którym ojciec po raz pierwszy opowiedział jej o Sir Tommym, tego dnia, w którym ćpun wszedł do sklepu spożywczego i kiedy mając osiem lat po raz pierwszy zobaczyła swojego obrońcę.

Wyprostowała się na krześle.

Serce zaczęło jej bić mocno, coraz mocniej, jak młot.

Gromobicie o tak niezwykłej sile oznaczało kłopoty specyficznego rodzaju — kłopoty dla niej. Nie mogła sobie przypomnieć, czy pioruny były w dniu, kiedy zginął Danny lub kiedy jej obrońca pojawił się na cmentarzu podczas pogrzebu ojca, ale z absolutną, choć niewytłumaczalną pewnością wiedziała, że fenomen, z jakim miała do czynienia tej nocy, niesie jej straszliwe przesłanie — jest to znak i do tego zły znak.

163

Złapała uzi i zrobiła obchód górnej części domu, sprawdzając okna, zaglądając do Chrisa, upewniając się, że wszystko jest tak, jak być powinno. Potem pospieszyła na dół, aby sprawdzić pomieszczenia na parterze.

Kiedy weszła do kuchni, coś stuknęło o tylne drzwi. Wydając ostry krótki krzyk lęku błyskawicznie obróciła się w tym kierunku, podnosząc uzi, i niewiele brakowało, by pociągnęła za spust.

Ale to nie był dźwięk świadczący o tym, że ktoś włamuje się do domu. Było to niegroźne, głuche stuknięcie, niewiele głośniejsze od pukania; powtórzyło się dwukrotnie. Wydało się jej, że słyszy również głos słabo wołający jej imię.

Cisza.

Zbliżyła się do drzwi i przez blisko trzydzieści sekund nadsluchiwała.

Nic.

Drzwi zapewniały wysoki stopień bezpieczeństwa. Był to model ze stalowym rdzeniem wprasowanym pomiędzy dwie dwucalowe dębowe płyty, tak że mogła nie obawiać się postrzelenia przez bandytę stojącego na zewnątrz. Ale zawahała się przed podejściem i zerknięciem przez wizjer, bo obawiała się ujrzeć jakieś oko przyciśnięte z tamtej strony i próbujące zajrzeć do niej. Kiedy w końcu zebrała się na odwagę, wizjer ukazał szerokokątny obraz patio, na którego betonowej podłodze leżał mężczyzna z rękami rozrzuconymi na boki, jakby po zastukaniu do drzwi upadł na wznak.

Pułapka, pomyślała. Pułapka, oszustwo.

Zapaliła światło nad wejściowymi drzwiami i podeszła na palcach do okna zakrytego żaluzją levelor. Ostrożnie odchyliła jedną z metalowych listew. Człowiekiem na betonie był jej obrońca. Buty i spodnie miał pokryte śniegiem. Ubrany był w coś, co wyglądało na kitel laboratoryjny, na froncie którego widniała plama krwi.

O ile mogła to dostrzec z okna, nikt nie krył się na patio ani na trawniku poza nim, ale musiała wziąć pod uwagę możliwość, że ktoś podrzucił tu jego ciało jako przynętę. Ktoś mógł chcieć — wywabić ją z domu. Otwarcie drzwi w nocy, w takiej sytuacji, byłoby lekkomyślnością.

Niemniej jednak nie mogła go tam zostawić. Nie swego obrońcę. Zwłaszcza jeżeli był ranny czy umierający.

Przycisnęła guzik wyłączający alarm przy drzwiach, odsunęła rygle i z gotowym do strzału uzi niechętnie wyszła w zimową noc. Nikt do niej nie strzelał. Na trawniku, słabo oświetlonym poblaskiem idącym od śniegu, na całym obszarze ciągnącym się aż do lasu, nikt się nie poruszył.

Podeszła do swego obrońcy, uklękła przy nim i poszukała pulsu. Żył. Podniosła mu powiekę. Był nieprzytomny. Rana — wysoko, po lewej stronie klatki piersiowej — wyglądała poważnie, ale w tym momencie raczej nie krwawiła.

Treningi z Henrym i własne ćwiczenia fizyczne ogromnie ją wzmocniły, ale nie była wystarczająco silna, żeby podnieść rannego mężczyznę jedną ręką. Oparła uzi o drzwi

164

i okazało się, że nie potrafi unieść go nawet dwiema rękami. Ruszanie tak ciężko rannego człowieka było niebezpieczne, ale bardziej niebezpieczne było pozostawienie go tu w tę zimną noc, zwłaszcza kiedy prawdopodobnie ktoś go ścigał. Udało jej się w połowie go wnieść, a w połowie zaciągnąć do kuchni, gdzie ułożyła go na podłodze. Z ulgą sięgnęła po uzi, zamknęła drzwi i włączyła z powrotem alarm.

Był zastraszająco blady i lodowato zimny, więc koniecznie musiała zdjąć mu pokryte śniegiem buty i skarpetki. Zanim poradziła sobie z jego lewą nogą i zaczęła rozwiązywać sznurówki przy prawej, zamamrotał coś w obcym języku. Słowa tak zlewały się ze sobą, że nie mogła ustalić, jaki to język, a po angielsku bredził coś o materiałach wybuchowych, bramie i widmach pomiędzy drzewami.

Chociaż wiedziała, że jest nieprzytomny i w zasadzie zupełnie niezdolny ją zrozumieć, podobnie jak i ona nie rozumiała jego bełkotu, przemawiała do niego uspokajająco:

— Spokojnie, tylko spokojnie, wszystko będzie dobrze. Jak tylko wyjmę ci nogę z tej bryły lodu, dzwonię po lekarza.

Wzmianka o lekarzu przywróciła mu na moment przytomność. Słabo uchwycił ją za ramię i objął intensywnym, pełnym lęku spojrzeniem.

— Żadnego lekarza. Wyjść... muszę wyjść...

— Nie nadajesz się do wychodzenia gdziekolwiek — powiedziała. — Chyba że do karetki, do szpitala.

— Muszę wyjść. Szybko. Przyjdą zaraz... szybko...

Sprawdziła spojrzeniem, gdzie jest uzi.

— Kto przyjdzie?.

— Mordercy — mówił natarczywie. — Zabić mnie w odwecie. Zabić ciebie, zabić Chrisa. Nadchodzą. Już.

W tym momencie w jego oczach i głosie nie było obłądu. Jego twarz, wcześniej pozbawiona wyrazu, blada i spocona, nagle ścięła się grymasem straszliwego lęku...

Okazało się, że wszystkie ćwiczenia z bronią i treningi sztuki walki nie wyglądają już jak środki ostrożności powzięte przez histeryczkę.

— Dobrze — powiedziała — opuszczamy ten dom, ale najpierw muszę rzucić okiem na ranę i zobaczyć, czy nie trzeba jej opatrzyć.

— Nie! Zaraz. Jedźmy zaraz.

— Ale...

— Zaraz — upierał się...

W jego oczach było tyle przerażenia, że prawie uwierzyła, iż zabójcy, których się bał nie byli normalnymi ludźmi, ale stworami niezwykłego pochodzenia, demonami o bezwzględności i nieustępliwości istot pozbawionych duszy..

— W porządku — powiedziała. — Wyjeżdżamy natychmiast.

165

Jego ręka zsunęła się z jej ramienia. Spojrzenie straciło ostrość i zaczął coś mamrotać nieprzerwanie, bez sensu.

Kiedy szybko ruszyła przez kuchnię, zamierzając wejść na górę i obudzić Chrisa, usłyszała, jak jej obrońca, widać nawet we śnie nękany przez lęki, mówi coś o wielkiej, czarnej toczącej się maszynie śmierci. Nic to dla niej nie oznaczało, niemniej jednak poczuła grozę.

CZEŚĆ DRUGA POŚCIG

Nawyknienie do życia
nie sposobi nas do
umierania.

ROZDZIAŁ V

ARMIA CIENI

1.

Laura zapaliła lampkę i potrząsnęła Chrisem.

— Ubieraj się, słoneczko. Szybciotko.

— Co się dzieje? — spytał rozespany, przecierając oczy małymi piąstkami.

— Zbliżają się niedobrzy ludzie i musimy wyjechać stąd, zanim się zjawią. Pospiesz się.

Chris przeżył ten rok nie tylko na opłakiwaniu ojca, ale także przygotowując się na moment, w którym zwodniczy spokój codziennego życia zostanie obalony przez następną niespodziewaną erupcję chaosu, będącego nieodłączną częścią życia człowieka; chaosu, który od czasu do czasu wybuchał jak aktywny wulkan — jak tej nocy, kiedy został zamordowany jego ojciec. Chris obserwował, jak jego matka uzyskiwała biegłość we władaniu rewolwerem, widział, jak gromadzi swój arsenał, uczestniczył z nią w lekcjach samoobrony i wobec tego wszystkiego zachował postawę i zwyczaje dziecka, zdawał się w niczym nie różnić od rówieśników, choć od śmierci ojca miał oczywiście pewną skłonność do melancholii. Ale teraz, gdy nadszedł kryzys, nie reagował jak ośmiolatek: nie biadolił ani nie zadawał niepotrzebnych pytań, nie kłócił się, nie upierał, nie grzebał się z wykonywaniem poleceń. Odrzucił kołdrę, od razu wstał z łóżka i szybko skoczył do szafy ściennej.

— Spotkamy się w kuchni — zarządziła Laura.

— Okay, mamó.

Była dumna z jego odpowiedzialnej reakcji i poczuła ulgę, że nie zatrzyma ich tu dłużej, ale równocześnie poczuła smutek na myśl, że w wieku ośmiu lat wiedział wystarczająco wiele o kruchości i bezwzględności życia, aby zareagować na kryzys z szybkością i opanowaniem osoby dorosłej.

Miała na sobie dzinsy i fanelową koszulę w niebieską kratkę. Kiedy wpadła do sypialni, musiała tylko wciągnąć wełniany sweter, zdjąć lekkie pantofle i włożyć wysoko sznurowane buty do górskich wycieczek na grubych gumowych podeszwach.

Pozbyła się rzeczy Danny'ego, więc nie miała płaszcza dla rannego mężczyzny. W domu była jednak cała masa koców, więc złapała dwa z nich z szafy na pościel w hallu.

Po namyśle przeszła do gabinetu, otworzyła sejf i wyjęła niezwykle czarny pas z miedzianymi dodatkami, który przed rokiem otrzymała od swego obrońcy i wrzuciła go do torebki. Na dole zatrzymała się przy szafie w przedpokoju, aby wyjąć z niej niebieską kurtkę narciarską i wiszący z tyłu na drzwiach karabinek uzi. Podczas tych wszystkich czynności czujnie nadśluchiwała, czy spoza domu nie dobiegną jakieś niezwykle dźwięki — rozlegające się w nocy głosy lub szmer pracującego silnika samochodu — ale wszędzie panowała cisza.

W kuchni położyła automat na stole obok drugiego uzi, a potem przyklękła przy swoim obrońcy, który znów stracił przytomność. Rozpięła jego mokry od śniegu kitel i obejrzała ranę. Była wysoko, na lewym barku, szczęśliwie znacznie powyżej serca. Mimo to stracił już wiele krwi, którą przesiąkło jego ubranie.

— Mamo? — Chris stał w drzwiach gotowy do wyjścia w zimową noc.

— Bierz jeden z tych uzi, zdejmij tamten z drzwi spiżarni, a potem wrzuć je do dzipa.

— To on — powiedział Chris z oczami rozszerzonymi ze zdumienia.

— Tak, to on. Pojawił się w takim stanie, jest ciężko ranny. Weź dwa rewolwery, jeden z tej szufady, a drugi z jadalni. I uważaj, żeby przypadkowo...

— Nie bój się, mamo — rzucił i ruszył spełnić jej polecenia.

Tak delikatnie, jak to tylko możliwe, przewróciła mężczyznę na prawy bok; zajęczał, ale nie ocknął się. Chciała sprawdzić, czy ma też ranę wylotową na plecach. Tak. Kula przeszła go na wylot przechodząc pod łopatką. Na plecach miał wielką czerwoną plamę, ale nie krwawił wyraźnie z żadnej z ran. Mógł mieć krwotok wewnętrzny, ale nie była w stanie ani go zlokalizować, ani zatamować.

Pod ubraniem miał jeden z tych pasów. Odpięła mu go. Nie mieścił się w samej torbie, więc musiała upchać go w bocznej kieszeni zamykanej na zamek błyskawiczny, uprzednio wyrzucając zwykle noszone tam drobiazgi.

Zapięła mu koszulę i zastanowiła się, czy nie powinna zdjąć z niego przemoczonego kitla. Uznała jednak, że ściągnięcie rękawów byłoby zbyt trudne. Obracając go ostrożnie z boku na bok, wsunęła mu pod plecy szary wełniany koc i owinęła go nim.

Kiedy Laura okrywała rannego mężczyznę, Chris wykonał parę kursów do dzipa, znosząc broń. Używał do tego celu wewnętrznych drzwi łączących pralnię z garażem. Potem zjawił się z małą drewnianą platformą na kółkach, szeroką na dwie i długą na cztery stopy, półtora roku temu pozostawioną przypadkowo przez jakiegoś dostawcę mebli. Jadąc na niej w kierunku spiżarni jak na deskorolce, wyjaśnił:

— Musimy zabrać skrzynkę z amunicją, ale jest dla mnie za ciężka, więc położę ją sobie na tym.

Zadowolona, że w tej sytuacji Chris wykazuje inicjatywę i spryt, dorzuciła:

— Mamy dwanaście naboń w rewolwerach i trzy setki w trzech uzi i nie sądzę, żeby było nam potrzebne więcej, bez względu na to, co by miało nastąpić. Dawaj tu tę plat

formę. Szybko. Nie mogłam wykombinować, jak przenieść go do dzipa bez zbyt dużych wstrząsów. To się nam przyda.

Działali sprawnie, jakby już kiedyś przećwiczyli sobie tę alarmową sytuację, ale Laura czuła, że

zabiera im to zbyt dużo czasu. Ręce jej się trzęsły, a mięśnie brzucha skakały bez przerwy. Oczekiwała, że lada chwila ktoś zacznie walić do drzwi.

Chris trzymał platformę, podczas kiedy Laura układała na niej nieprzytomnego mężczyznę. Kiedy wepchnęła deskę pod jego głowę, barki, plecy i pośladki, mogła podnieść mu nogi i pchać jak taczkę. Chłopiec posuwał się w kucki przy przednich kółkach, trzymając jedną rękę na ramieniu nieprzytomnego mężczyzny, chroniąc go przed upadkiem, a równocześnie pilnując, żeby deska nie wysunęła się spod niego. Mieli nieco trudności przy przetaczaniu platformy przez próg pralni, ale udało się im dopchnąć ją do garażu. Były tam trzy stanowiska: mercedes stał na lewym, duży džip na prawym, a środkowe było puste. Podjechali do dżipa.

Chris otworzył drzwi bagażnika. Rozwinął małą gimnastyczną matę mającą teraz posłużyć za materac.

— Jesteś wielki — powiedziała matka.

We dwójkę zdołali przez otworzone drzwi bagażnika przenieść rannego do środka.

— Weź jeszcze kocy i jego buty z kuchni — powiedziała do Chrisa. Zanim chłopiec pojawił się z rzeczami, Laura ułożyła swojego obrońcę na wznak na macie. Przykryła jego nagie stopy drugim kocem i położyła obok przemoczone buty. Zamykając drzwi powiedziała:

— Chris, siadaj z przodu i zapnij pasy.

Pobiegła do mieszkania. Jej torebka ze wszystkimi kartami kredytowymi leżała na stole; zarzuciła ją na ramię. Wzięła trzeci uzi i skierowała się z powrotem do pralni, ale nie zrobiła jeszcze trzech kroków, kiedy nagle tylne drzwi zatrzęsły się od potężnego uderzenia.

Obróciła się, błyskawicznie podnosząc broń.

Znowu coś walnęło w drzwi, ale stalowy rdzeń i mocne rygle nie poddawały się łatwo.

A potem koszmar rozpoczął się na dobre.

Zaterkotał pistolet automatyczny i Laura, szukając osłony, rzuciła się za lodówkę. Usiłowano rozwalić tylne drzwi seriami pocisków, ale stalowy rdzeń oparł się także i temu atakowi. Jednak drzwi trzęsły się, a kule przebiły ścianę po obu stronach wzmocnionej framugi, wyrывая otwory w gipsie.

Odezwał się drugi automat i szyby w oknach pokoju dziennego i kuchni rozprysły się. Metalowe żaluzje levelor zatańczyły w szynach. Stalowe listwy dźwięczały, kiedy przeszywały je kule i parę z nich się wygięło, ale większość strzaskanego szkła okiennego pozostała za żaluzjami, spadła na parapet, a stamtąd na podłogę. Drzwi szafek kuchennych trafianych pociskami pękały i rozpadały się, a z jednej ze ścian poleciały

odłamki cegieł, pozostawiając ją porytą i pobrużdżoną. Zwisające na hakach miedziane garnki i patelnie odpowiedziały na serie całą gamą „kliink” i „paąg”. Jedna z górnych lamp rozleciała się. Levelor przy oknie nad biurkiem został w końcu wydarty z szyn i pół tuzina pocisków rozoroło drzwi lodówki, zaledwie o parę cali od niej.

Serce waliło jej jak szalone, ale przyływ adrenaliny wyostrzył jej zmysły aż do bólu. Chciała biec do stojącego w garażu dżipa i spróbować ucieczki, zanim zorientują się, co robi, ale pierwotny instynkt wojownika kazał jej zostać. Rozpłaszczyła się na ścianie lodówki, poza linią ognia, w

nadziei, że nie zostanie trafona przez rykoszet.

Kim, do cholery, jesteście? — zastanawiała się w furii.

Strzelanina ustała. Instykt ją nie mylił; po przygotowaniu ogniowym bandyci zaatakowali bezpośrednio. Uderzyli na dom. Pierwszy wdarł się przez okno w kuchni. Wychyliła się z lodówki i otworzyła ogień, wyrzucając go z powrotem na patio. Drugi, tak jak i pierwszy ubrany w czerń, wpadł przez rozsuwane, a roztrzaskane teraz drzwi dziennego pokoju. Dostrzegła go na sekundę przedtem, nim jemu się to udało — i obróciła uzi w jego stronę, siejąc kulami, rozwalając ekspres do kawy, wydzierając kawał ściany kuchennej przy drzwiach, ścinając go w chwili, w której podniósł i skierował broń w jej kierunku. Ćwiczyła z uzi dawno temu i zapomniała, jak wygodny był w użyciu. Zdumiewało ją to teraz, podobnie jak zdumieniem i obrzydzeniem napełniała ją konieczność zabijania, mimo że był to jedyny sposób, by nie dopuścić do zmasakrowania jej i jej dziecka. Jak haust oleistego płynu napłynęła jej do gardła fala mdłości, ale powstrzymała ją. Trzeci mężczyzna wdarł się do pokoju dziennego; była gotowa zabić również i jego, zabić setkę takich jak on bez względu na obrzydzenie, jakie przy tym czuła, ale gdy zobaczył, jak pada jego towarzysz, rzucił się błyskawicznie do tyłu, poza linię strzału.

Teraz do dżipa.

Nie wiedziała, ilu zabójców jest na zewnątrz; może było tylko trzech: dwóch, których zabiła, i jeden wciąż żywy; może czterech albo dziewięciu czy stu, ale niezależnie od tego, ilu ich było, nie oczekiwali, że spotkają się z tak śmiałą odpowiedzią, a na pewno nie z taką siłą ognia, wykluczone, nie ze strony kobiety i małego dziecka, a wiedzieli przecież, że jej obrońca jest ranny i bezbronny. Więc w tej chwili są ogłupiali i zaczynają rozglądać się za jakąś osłoną, oceniają sytuację i planują następny ruch. To może być jej pierwsza i ostatnia szansa, aby uciec dżipem. Pędem przebiegła przez pralnię do garażu.

Zobaczyła, że Chris już zapalił silnik — zapewne wtedy, gdy usłyszał strzały. Niebieskie kłęby spalin waliły z rury wydechowej. Kiedy biegła do samochodu, drzwi garażu zaczęły się podnosić — Chris musiał otworzyć je pilotem w chwili, gdy ją zobaczył.

Kiedy znalazła się za kierownicą, drzwi garażu były otwarte w jednej trzeciej. Wrzuciła bieg.

— Na dół!

Chris momentalnie usłuchał, ześlizgując się po siedzeniu poniżej poziomu okien. Laura puściła hamulce. Wbiła pedał gazu w podłogę. Zdzierając gumy o beton, z rykiem silnika wypadła w noc, mijając zaledwie o cal lub dwa podnoszące się wciąż drzwi i odrywając antenę.

Choć wielkie opony dżipa nie były zaopatrzone w łańcuchy śnieżne, miały jednak gruby zimowy bieżnik. Wryły się w zamarzniete błoto i żwir, tworzące nawierzchnię podjazdu, bez kłopotu łapiąc zaczepność, miotając szrapnele kamieni i lodu.

Z jej lewej strony w odległości czterdziestu czy pięćdziesięciu stóp pojawiła się postać mężczyzny w czerni, który biegł przez frontowy trawnik, wyrzucając fontanny śniegu. Sylwetka była tak niewyraźna, że mogła być tylko cieniem, gdyby nie to, że mimo wycia silnika usłyszała miarowy szcęk automatycznej broni. Pociski walnęły obok dżipa i tylne okienko rozleciało się, ale bliższe pozostało nietknięte. Odjechała z rosnącą szybkością, wychodząc poza zasięg kul i po paru sekundach

znalazła się już w bezpiecznej odległości. Wiatr gwizdał przez zbitą szybę. Modliła się, żeby opony pozostały całe, słysząc, jak coraz więcej pocisków uderza o karoserię, ale może to tylko hałasował żwir i lód, wymiatany spod kół dzipa.

Kiedy dotarła do drogi stanowej na końcu podjazdu, była pewna, że znalazła się poza ich zasięgiem. Gdy zahamowała ostro, aby zakręcić w lewo, zerknęła we wsteczne lusterko i zobaczyła, hen daleko, w otwartych drzwiach garażu, świecącą parę reflektorów samochodowych. Zabójcy nie przyjechali wozem — Bóg jeden wie, jak podróżowali, może za pomocą tych dziwnych pasów — a teraz skorzystali z jej mercedesa, aby ich ścigać.

Zamierzała wjechać na drogę stanową i skręcić w lewo, przejechać Running Springs, minąć zakręt przy Lake Arrowhead, wjechać na autostradę i kierować się do miasta San Bernardino, gdzie było dosyć ludzi, aby zapewnić im bezpieczeństwo, gdzie ubrani na czarno mężczyźni z automatami nie mogliby jej tropić tak otwarcie i gdzie znalazłaby opiekę lekarską dla swojego obrońcy. Ale kiedy zobaczyła za sobą reflektory, zareagowała pod wpływem wrodzonego instynktu przeżycia: wbrew planom skręciła w prawo, zmierzając w kierunku wschodnio-północno-wschodnim, do Big Bear Lake.

Gdyby skręciła w lewo, dojechaliby do tego fatalnego półmilowego odcinka drogi, na którym rok temu został zamordowany Danny. Laura czuła instynktownie — z niemal zabobonną pewnością — że najbardziej niebezpiecznym miejscem na świecie jest dla nich teraz ta stroma czarna wstęga dwupasmowej drogi. Jej i Chrisowi dwukrotnie było pisane umrzeć na tym wzgórzu: po raz pierwszy, kiedy samochód Robertsonów wymknął się spod kontroli, a po raz drugi, kiedy Kokoschka otworzył do nich ogień. Czasami przychodziło jej do głowy, że los biegnie różnymi kolejniami — zarówno korzystnymi, jak i złowróżbnymi — i kiedy się je zmienia, on usiłuje powrócić na te przeznaczone mu ścieżki. Choć nie istniały żadne logiczne przesłanki, że zginą, jeżeli pojedą w kierunku Running Springs, w głębi serca wiedziała, że naprawdę czeka tam na nich śmierć.

172

Kiedy wjechali na drogę stanową i ruszyli ku Big Bear, a wysokie zielone drzewa wyrosły po obu stronach szosy, Chris wyprostował się i spojrzał do tyłu.

— Dochodzą nas — powiedziała Laura — ale damy im radę.

— Czy to właśnie oni zabili tatę?

— Tak mi się wydaje. Wtedy nic o nich nie wiedzieliśmy, nie byliśmy przygotowani.

Mercedes był już na szosie, przeważnie ginąc im z oczu, bo jezdnia wiła się, wznosiła i opadała, a nierówności terenu i zakręty rozdzielały samochody. Wydawało się, że wóz za nimi znajduje się w odległości jakichś dwustu jardów, ale prawdopodobnie ten dystans się zmniejszał, bo mercedes miał silnik większy i potężniejszy od dzipa.

— Kim oni są? — spytał Chris.

— Nie jestem pewna, kochanie. I nie wiem też, dlaczego chcą nas skrzywdzić. Ale wiem, czym są. To zbiry, najgorsze ludzkie dno, dowiedziałam się o nich wszystkiego dawno temu w Caswell Hall i wiem, że jedyna rzecz, którą można z takimi ludźmi zrobić, to stawić im czoło, oddawać cios za cios, bo oni szanują tylko siłę.

— Byłaś dziś niesamowita, manio.

— Ty też byłeś dzielny, mały. To było bardzo sprytne, że zapaliłeś silnik dzipa, kiedy usłyszałeś strzały, i otworzyłeś drzwi garażu, kiedy siadałam za kierownicę. To nas uratowało.

Za nimi mercedes zmniejszył dystans do jakichś stu jardów. To był pożeracz przestrzeni: 420 SEL. Na szosie był nie do pobicia, dużo lepszy niż dżip.

— Doganiają nas, mamó.

— Wiem.

Zbliżając się do wschodniego brzegu jeziora, Laura zwolniła za telepiącą się półciężarówką dodge z jednym pękniętym światłem pozycyjnym i pordzewiałym zderzakiem, która zdawała się trzymać kupy wyłącznie dzięki „dowcipnym” naklejkom: HAMUJĘ DLA BLONDYNEK; WÓZ MAFII — OBSTAWA SZEFA. Rozsypywała się przy szybkości trzydziestu mil na godzinę — i tak poniżej limitu prędkości. Jeżeli Laura zawahałaby się, mercedes pokonałby dystans, a mordercy, znalazłszy się bliżej, mogliby znów użyć broni. Na tym odcinku szosy obowiązywał zakaz wyprzedzania, ale Laura widziała wystarczająco daleko drogę przed sobą, aby móc zaryzykować manewr; wysunęła się na miejsce obok rzeźącego trupa, nacisnęła mocno pedał gazu, minęła go i wróciła na prawy pas. Natychmiast wyrósł przed nią buick, jadący około czterdziestu mil na godzinę — i jego minęła również w momencie, w którym droga stała się zbyt kręta, aby Mercedes mógł wyprzedzić starą półciężarówkę.

— Zostali z tyłu — powiedział Chris.

Laura rozpedziła dżipa do pięćdziesięciu mil na godzinę, co było na niektórych zakrętach niebezpieczne, choć dobrze trzymał się drogi, i zaczęła liczyć na to, że zdoła ująć pogoni. Ale droga rozdzielała się przy jeziorze i ani buick, ani stary ford nie pojechały za nią wzdłuż południowego brzegu do Big Bear City — obydwa skrzyły w kierunku

173

Fawnskin i północnego brzegu, pozostawiwszy ją na pustej szosie, samą z mercedesem, który od razu zaczął skracać dystans.

Teraz wszędzie wznosiły się zabudowania, zarówno wysoko po prawej stronie, jak i na niższym terenie schodzącym w kierunku jeziora rozciągającego się po lewej. Niektóre z nich, nie oświetlone, były prawdopodobnie wakacyjnymi domami, używanymi tylko podczas lata i zimowych weekendów, ale światła w pozostałych prześwitywały pomiędzy drzewami.

Wiedziała, że może wjechać na którykolwiek z podjazdów prowadzących do setek różnych domostw i że wszędzie tam przyjęto by ją i Chrisa. Otworzono by im drzwi bez wahania. To nie miasto; w wiejskiej atmosferze górskich okolic ludzie nie byli skłonni traktować podejrzliwie niezapowiedzianych nocnych gości.

Mercedes zbliżył się na sto jardów, a kierowca zamigał światłami, raz i jeszcze raz, jakby mówił rozradowany: „Hej, jesteście — Laura, dopadniemy cię! To my, straszdyła, istniejemy naprawdę i nikt przed nami nie ucieknie, nikt! Jesteśmy tuż-tuż!”

Gdyby usiłowała schronić się w jednym z pobliskich domów, zabójcy poszliby jej śladem i zamordowaliby nie tylko ją i Chrisa, ale i ludzi, którzy udzieliliby im gościny. Te sukinsyny może nie śmiałyby dopaść jej w centrum San Bernardino lub Riverside albo nawet w Redlands, gdzie mogliby się spotkać z reakcją policji, ale czuliby się bezkarni wobec garstki przypadkowych widzów. Ilekolwiek by ludzi zmasakrowali, bez wątpienia uszliby przed pościgiem naciskając żółty przycisk na swoich pasach; zniknęliby, jak jej obrońca rok temu. Nie miała pojęcia, dokąd by zniknęli, ale

podejrzewała, że policja nie byłaby w stanie ich tam dostać. Nie mogła narażać niewinnych ludzi, więc nie zwalniając mijała dom za domem.

Mercedes był tylko jakieś pięćdziesiąt jardów za nimi i zbliżał się szybko.

— Mamo...

— Widzę ich, kochanie.

Jechała w kierunku Big Bear City, ale na nieszczęście ta nazwa niezbyt doń pasowała. Nie tylko było mniejsze od jakiegokolwiek miasta, ale nie było nawet wsią, a ledwie osadą. Miało za mało ulic, żeby mogła ich zgubić, a miejscowa policja była zbyt nieliczna, by poradzić sobie nawet z kilkoma fanatykami obwieszonymi bronią automatyczną.

Minęło ich parę wozów zmierzających w przeciwnym kierunku. Znalazła się za innym samochodem na ich pasie: szarym volvo; wyprzedziła go na prawie pozbawionym widoczności odcinku, ale nie miała wyboru, gdyż mercedes zmniejszył odległość do czterdziestu jardów. Zabójcy minęli volvo z równą brawurą.

— Jak nasz pasażer? — spytała.

Nie rozpinając pasów Chris odwrócił się.

— Chyba nieźle, tylko że bardzo nim rzuca.

— Nic na to nie poradzę.

— Kim on jest, mamo?

174

— Nie wiem o nim dużo, ale jak wydostaniemy się z tego bagna, to opowiem ci to, co wiem. Nie mówiłam o tym przedtem, bo... bo nie wiedziałam, co się stanie, a chyba bałam się, że niebezpiecznie będzie, jeżeli w ogóle będziesz coś o nim wiedział. Ale gorzej chyba już być nie może, co? Więc dowiesz się, ale potem.

Zakładając, że będzie jakieś potem.

Kiedy pokonała dwie trzecie drogi wzdłuż południowego brzegu jeziora, wyciągając dżipem tyle, na ile tylko mogła się odważyć, zobaczyła przed sobą zjazd na biegnącą granią polną drogę. Prowadząca przez góry, obok szczytu Clarka, dziesięciomilowa droga ścinała trzydziesto — czy trzydziestopięciomilowy wschodni zakręt szosy stanowej nr 38, łącząc się z nią ponownie na południu, w pobliżu Barton Flats. Jak pamiętała, droga miała asfaltową nawierzchnię tylko na przestrzeni kilku mil z obydwu swych krańców, natomiast środkowy, sześć — czy siedmiomilowy odcinek był nie utwardzony. W przeciwieństwie do dżipa mercedes nie miał napędu na obie osie i choć był wyposażony w zimowe opony, to jednak koła nie zostały zabezpieczone łańcuchami. Jadący nim mężczyźni nie mogli wiedzieć, że asfalt tej polnej drogi wkrótce ustąpi miejsca ziemnej nawierzchni porytej koleinami i miejscami powleczonej lodem, a na pewnych odcinkach pokrytej śniegiem.

— Trzymaj się! — krzyknęła do Chrisa.

Do ostatniej chwili nie używała hamulców, skręcając na idącą skrajem zbocza dróżkę tak szybko, że dżip zarzucił bokiem z piskiem torturowanych opon; zadrżał jak stary koń zmuszony do przerastającego jego siły skoku.

Mercedes lepiej wziął zakręt, mimo że jego kierowca nie wiedział przecież, co go czeka.

Samochody pędziły teraz w kierunku, gdzie były wyższe wzniesienia, a krajobraz bardziej dziki. Drugi wóz zmniejszył dzielący ich dystans do około trzydziestu jardów.

Dwadzieścia pięć jardów. Dwadzieścia...

Kolczaste gałęzie błyskawic wyrosły nagle na południowej stronie nieba. Nie tak blisko jak te, które widzieli koło domu, ale wystarczająco niedaleko, aby noc zamieniła się w dzień. Huk gromu słychać było nawet przez warkot silnika.

Wytrzeszczając oczy na burzliwą feerię, Chris spytał:

— Mamo, co się dzieje? Co się stało?

— Nie wiem! — Musiała przekrzykiwać kakofonię szalejącego silnika i walących się niebios, aby jej głos dotarł do niego.

Nie usłyszała samych wystrzałów, lecz dopiero odgłosy, z jakimi kule waliły po karoserii dżipa — jedna z nich przebiła okno w drzwiach bagażnika i utkwiała w oparciu fotela, na którym siedzieli. Nie tylko usłyszała, także poczuła to wyraźne uderzenie. Zaczęła obracać w obie strony kierownicą, tańcząc zygzakiem po drodze i starając się możliwie najbardziej utrudnić trafienie, aż od tych manewrów i migocącego światła zrobiło się jej niedobrze. Albo strzelec wstrzymał ogień, albo pudłował za każdym razem, bo odgłosy strzałów przestały do niej docierać. Jednakże zygzakowanie spowolniło jazdę i mercedes zbliżył się jeszcze bardziej.

175

Musiała używać bocznych lusterek zamiast wstecznego. Choć większa część tylnej szyby pozostała nietknięta, hartowane szkło pokryło się pajęczyną tysięcy małych pęknięć, czyniąc szybę nieprzejrzystą i bezużyteczną.

Piętnaście jardów; dziesięć...

Błyskawice i grzmoty na południowej stronie nieba rozplynęły się jak poprzednim razem.

Osiągnęła szczyt wzniesienia i nawierzchnia urwała się w pół drogi do następnego wzniesienia rysującego się przed nią. Przestała zygzakować, przyspieszyła. Kiedy dżip zjechał z czarnego pasa, przez moment tańczył po drodze, jakby zdumiony tą zmianą, a potem wystrzelił do przodu po pokrytym śniegiem i lodem zamrożonym gruncie. Podskoczyli na paru koleinach, minęli płytkie zagłębienie osłonięte drzewami i pomknęli ku następnemu wzniesieniu.

W bocznym lusterku ujrzała, jak mercedes przejeżdża zagłębienie na polnej drodze i rozpoczyna wspinać się za nią po stoku. Ale kiedy dotarła do grzbietu zbocza, tamten wóz zaczął zostawać w tyle. Ślizgał się na boki, a światła jego reflektorów osunęły się z dżipa. Kierowca niepotrzebnie skontrolował, zamiast właśnie skręcić w kierunku poślizgu. Koła samochodu zaczęły bezsensownie obracać się w miejscu. Zjechał nie tylko w bok, ale i dwadzieścia jardów wstecz. Tylne koła wpadły w rów odwadniający biegnący wzdłuż drogi. Promienie reflektorów podniosły się, padając teraz w poprzek polnej drogi.

— Utknęli! — zawołał Chris. — Będą potrzebowali z pół godziny, żeby się z tego wykaraskać.

Laura jechała dalej grzbietem wzniesienia, w dół następnego wzniesienia, po ciemnej polnej drodze.

Choć udana ucieczka powinna przynieść jej poczucie zwycięstwa lub przynajmniej ulgę, bała się nadal. Intuicyjnie czuła, że nie są jeszcze bezpieczni, a nauczyła się ufać przeczuciom bardziej niż dwadzieścia lat temu. Tamtej nocy u McIlroya, kiedy została sama w końcowym pokoju korytarza, blisko klatki schodowej, podejrzewała przecież, że Biały Węgorz będzie chciał po nią przyjść;

zostawił jej wtedy Tootsie Roli pod poduszką. Przechucia to tylko wiadomości, które przekazują nam podświadomość, pracująca na szaleńczych obrotach i korzystająca z informacji, jakimi wzgardziła świadomość. Coś było nie tak. Ale co?

Robili mniej niż dwadzieścia mil na godzinę po tej wąskiej, krętej, pełnej dziur i kolein, zamarzniętej polnej drodze. Droga przez moment wiała się wzdłuż nagiego, skalistego grzbietu, a potem opadała wraz ze ścianą wzniesienia, schodząc w dolinę, po bokach której drzewa rosły tak gęsto, że światła odbijały się od szeregów sosen jak od drewnianej boazerii.

176

Z tyłu jej obrońca majaczył niezrozumiale w gorączkowym śnie. Martwiła się o niego i chętnie przyspieszyłaby, ale nie śmiała.

Przez pierwsze dwie mile po oderwaniu się od pościgu Chris milczał. W końcu powiedział:

— U nas w domu... zabiłaś jakiegoś?

Zawahalała się.

— Tak. Dwóch.

— Dobrze.

Zaniepokojona tym tonem ponurej satysfakcji, Laura powiedziała:

— Nie, Chris, zabijać nie jest dobrze. Zemdliło mnie wtedy.

— Ale oni zasłużyli na śmierć.

— Tak, zasłużyli. Ale to nie znaczy, że było miło ich zabijać. Nie było. To żadna przyjemność. Wobec takiej konieczności czułam tylko obrzydzenie. I smutek.

— Chciałbym zabić jednego z nich — powiedział z zapiekłą, zimną nienawiścią, niepokojącą u chłopca w jego wieku.

Spojrzała na niego. Z twarzą, której rysy rzeźbiły padające cienie i blady, żółty poblask idący od tablicy rozdzielczej, wyglądał na starszego niż w rzeczywistości; dojrzała w nim cząstkę tego mężczyzny, na jakiego wyrosł.

Kiedy dno doliny stawało się już zbyt kamieniste, aby można było po nim przejechać, droga podniosła się znów, idąc za wspinającą się po ścianie półką.

Nie odrywała wzroku od trudnej nawierzchni.

— Słoneczko, będziemy musieli o tym dłużej porozmawiać. Teraz tylko chcę, żebyś posłuchał uważnie i spróbował coś zrozumieć. Na świecie jest wiele złego myślenia, takich pomyłonych flozofi. Wiesz, co to jest flozofa?

— Tak jakby. Nie... chyba nie.

— Więc powiedzmy tylko, że ludzie wierzą w wiele spraw, które potem obracają się przeciw nim. Są dwa rodzaje poglądów, w które wierzą różni ludzie, a które są najbardziej niebezpieczne, najgorsze ze wszystkich. Niektórzy ludzie wierzą, że najlepszym sposobem rozwiązywania problemów jest przemoc, dlatego biją albo zabijają każdego, kto się z nimi nie zgadza.

— Tak jak ci faceci, którzy nas gonią.

— Tak. Jasne, że to są tacy ludzie. To złe myślenie, bo przemoc prowadzi do jeszcze większej

przemocy. Poza tym jeżeli załatwiasz spór z bronią w rękę, to nie ma sprawiedliwości, momentu spokoju, nie ma nadziei. Rozumiesz, o co chodzi?

— Chyba tak. A jaki jest ten drugi rodzaj najgorszego myślenia?

— Pacyfizm — powiedziała. — To przeciwieństwo tego pierwszego. Pacyfista wierzy, że nigdy nie powinien podnieść ręki na inną ludzką istotę, niezależnie od tego, co zrobiła albo co ma zamiar zrobić. Gdyby pacyfista stał obok swego brata i zorientował się, że ktoś chce go zabić, to zachęcałby brata do ucieczki, ale sam nie sięgnąłby po broń i nie powstrzymałby napastnika.

177

— Pozwoliłby, żeby tamten facet dopadł mu brata? — spytał zdumiony Chris.

— Tak. Gdyby miało stać się najgorsze, pozwoliłby raczej, żeby jego brat został zabity, niż zламаłby swoje zasady i sam został zabójcą.

— Trzeba być kopniętym.

Wjechali na szczyt wzgórza i droga znów zaczęła opadać w inną dolinkę. Gałęzie pochylonych sosen zwisały tak nisko, że uderzały o dach, śniegowe czapy spadały na maskę i przednią szybę.

Laura włączyła wycieraczki i pochyliła się nad kierownicą. Wykorzystała pretekst, jakim była zmiana ukształtowania terenu, aby nie odzywać się, dopóki nie znajdzie lepszych argumentów na wyłożenie swojego punktu widzenia. Doświadczyli wiele przemocy przez ostatnią godzinę, bez wątplenia o wiele więcej jeszcze ich czekało i ważne było, aby Chris mógł zająć wobec niej odpowiednią postawę. Nie chciała, by opanowało go przekonanie, że broń i siła mięśni mogą zastąpić umysł. Z drugiej strony nie chciała, żeby przemoc napawała go takim lękiem, że wyzbyłby się godności i w odrętwieniu marzył tylko o przetrwaniu.

W końcu odezwała się:

— Niektórzy pacyfści to zamaskowani tchórze, ale niektórzy głęboko wierzą, że lepiej jest pozwolić na zamordowanie niewinnej osoby, niż zabić samemu, by do tego nie dopuścić. Mylą się, bo nie sprzeciwiając się złu, stają się jego częścią. Są równie podli jak facet, który naciska spust. Może nie mieści ci się to teraz w głowie, może, aby to zrozumieć, musisz to jeszcze przemyśleć, ale ważne jest, abyś pojął, że można żyć nie będąc ani zabójcą, ani pacyfistą. Staraj się unikać przemocy. Nigdy nie stosuj jej pierwszy. Ale jeżeli ktoś inny zacznie jej używać, broń siebie, przyjaciół, swojej rodziny, każdego, kto jest zagrożony. Kiedy musiałam zabić tamtych ludzi u nas w domu, to byłam od tego chora. Nie jestem bohaterką. Nie napawa mnie dumą fakt, że ich zabiłam, ale również nie wstydzę się tego. Nie chcę, żebyś ty był z tego powodu ze mnie dumny albo pomyślał sobie, że zabicie ich przyniosło mi jakąś satysfakcję, że zemsta w jakikolwiek sposób powoduje, że lżej mi znieść zabójstwo twojego taty. Tak nie jest.

Milczał.

— Czy nie za dużo wepchnęłam ci do głowy? — spytała.

— Nie. Muszę po prostu o tym przez chwilę pomyśleć. Teraz chyba niedobrze myślę. Bo chciałem zabić ich wszystkich, wszystkich, którzy mieli coś wspólnego z... tym, co się stało z tatą. Ale popracuję nad tym, mamó. Spróbuję być lepszy.

Uśmiechnęła się.

— Wiem, że będziesz, Chris.

Podczas rozmowy z Chrisem i przez parę chwil obopólnego milczenia, które potem zapadło, Laurę w dalszym ciągu prześladowało uczucie, że nie znaleźli się jeszcze poza zasięgiem bezpośredniego niebezpieczeństwa. Przejechali około siedmiu mil po bieżącej

cej granią drodze i mieli przed sobą jeszcze milę ziemnej nawierzchni i dwie mile asfaltu, nim wrócą na drogę stanową nr 38. Im dalej się posuwali, tym bardziej rosła w niej pewność, że pominęła coś i że zbliża się następne niebezpieczeństwo.

Nagle zatrzymała się na szczycie kolejnego wzniesienia, zanim droga zaczęła opadać po raz ostatni. Zgasiła silnik, wyłączyła światła.

— Coś złego? — spytał Chris.

— Nie. Muszę o czymś pomyśleć i obejrzeć naszego pasażera.

Wysiadła i obeszała dzipa. Otworzyła drzwi bagażnika. W oknie widniał otwór po kuli. Hartowana szyba popękkała i kawałeczki szkła upadły na ziemię u jej stóp. Wspięła się na platformę bagażową i kładąc się obok swego obrońcy, zbadała mu puls. Dalej był słaby, może nawet słabszy niż poprzednio, ale bił regularnie. Położyła mu rękę na czole i poczuła, że nie jest już zimne; zdawał się płonąć od środka. Na jej prośbę Chris podał jej latarkę ze schowka. Odchyliła koce, aby sprawdzić, czy męczyzna nie krwawi mocniej niż wtedy, kiedy ładowali go do dzipa.

Jazda po bezdrożach wytrzymała nim solidnie i rana nie wyglądała dobrze, choć krwawienie prawie ustało. Przykryła go z powrotem, oddała latarkę Chrisowi, wysiadła z dzipa i zamknęła drzwi.

Wytlukła całe pozostałe szkło z tylnej szyby i małego bocznego okienka za kierowcą. Kiedy szkła w ogóle nie będzie, uszkodzenie stanie się mniej widoczne i w mniejszym stopniu będzie przyciągało uwagę glin czy kogokolwiek innego.

Przez chwilę stała obok samochodu w zimowym powietrzu, wypatrując oczy w ciemną pustkę, i starała się odnaleźć ten punkt, gdzie na styku intuicji i świadomości słyszała głos, który ostrzegał, że niebezpieczeństwo znów nadciąga, że przemoc, z jaką się zetknęli tej nocy, powróci. Skąd była tak pewna, że ten głos nie kłamie?

Wysoko wiejący w górze wiatr rozrywał chmury, gnając je w kierunku wschodnim. Nie dosięgnął jeszcze ziemi, gdzie powietrze było prawie nienaturalnie spokojne. Światło księżyca przebijało się przez nierówne przeręble w chmurach i w fantastyczny sposób oświetlało ośnieżony krajobraz wznoszących się i opadających wzgórz, zbitych w gromady skał i wiecznie zielonych drzew, którym noc odebrała teraz wszelki kolor.

Laura spojrzała na południe, gdzie biegnąca grzbietem wzgórz droga parę mil dalej dochodziła do drogi stanowej nr 38. Wszystko to zdawało się tchnąć spokojem. Popatrzyła następnie na wschód i na zachód i odwróciła się ku północy, skąd przybyli. Na całym obszarze gór San Bernardino nie było śladu ludzkiej obecności, nawet pojedynczego światła; spoczywały w pierwotnej czystości i spokoju.

Zadawała sobie te same pytania i dawała na nie te same odpowiedzi, które były częścią jej wewnętrznego dialogu przez cały zeszły rok. Skąd przybyli ludzie w pasach? Z innej planety, innej galaktyki? Nie. Byli takimi samymi ludźmi jak ona. Więc może przybyli z Rosji? Może pasy działały jak transmitery materii, urządzenia podobne do teleporterów w tym starym filmie Mucha? Wyjaśniałoby to akcent jej obrońcy — jeśli

by został teleportowany z Rosji — ale nie tłumaczyłoby, dlaczego nie postarzał się przez ćwierć wieku, a poza tym, prawdę mówiąc, odkąd skończyła osiem lat, nie wierzyła, że w Związku Radzieckim albo gdzie indziej ludzie prowadzili badania nad transmitterami materii. Zostawały więc tylko podróże w czasie.

Rozważała tę możliwość od kilku miesięcy, choć nie była jej nawet na tyle pewna, by podzielić się swoimi spostrzeżeniami z □elmą. Gdyby obrońca wkraczał w jej życie w krytycznych momentach dzięki podródom w czasie, to wtedy, kiedy u niej mijały lata, on mógłby odbyć wszystkie wyprawy w przeciągu jednego miesiąca albo tygodnia swojego czasu i dlatego by się nie starzał. Dopóki nie będzie mogła go zapytać i dowiedzieć się prawdy, teoria podróży w czasie była jedyną sensowną koncepcją. Jej obrońca przybył do niej z jakiegoś przyszłego świata i najwyraźniej nie była to przyjemna przyszłość, bo mówiąc o swoim pasie, powiedział: „Nie chciałabyś dostać się tam, gdzie mógłby cię zabrać”, a w jego oczach pojawił się posępny, pełen strachu wyraz. Nie miała pojęcia, dlaczego podróżny w czasie miałby cofać się z przyszłości, aby troszczyć się właśnie o nią, chronić przed uzbrojonymi ćpunami i walącymi się na nią ciężarówkami — ale nie miała czasu na rozważanie tego problemu.

Noc była cicha, ciemna i zimna.

Jechali prosto w paszczę niebezpieczeństwa.

Wiedziała o tym, ale nie miała pojęcia, jakie ono jest ani skąd nadejdzie.

Kiedy wsiadła z powrotem do dżipa, Chris zapytał:

— A teraz, co znowu nie gra?

— Wariujesz na punkcie Gwiazdnej wędrówki, Gwiazdnych wojen, Batteries Not Included, więc może w twojej osobie mamy tu wreszcie kogoś w rodzaju eksperta, takiego faceta od różnych konkretnych, fachowych szczegółów, z pomocy którego korzystam przy pisaniu książki. Jesteś teraz moim stałym ekspertem od niesamowitości.

Silnik był wyłączony i wewnątrz dżipa rozjaśniał tylko niepewny blask prześwitującego między chmurami księżyca. Ale widziała nieźle twarz syna, bo przebywając parę chwil na zewnątrz przyzwyczała oczy do ciemności. Zamrugał, patrząc jej w oczy i wyglądało, że nie może się w tym połapać.

— O co ci chodzi?

— Chris, jak już wspomniałam, opowiem ci potem wszystko o tym leżącym z tyłu mężczyźnie, o dziwnych momentach, w których pojawiał się w moim życiu, ale teraz nie mamy na to czasu. Nie zasypuj mnie więc zbyt wieloma pytaniami, dobra? Przypuśćmy tylko, że mój obrońca — tak go nazywam, bo chronił mnie przed potwornymi rzeczami, kiedy tylko mógł — przypuśćmy, że on jest podróżnym w czasie, przybyłym z przyszłości. Przypuśćmy, że nie przybywa w wielkiej, niezgrabnej maszynie czasu. Przypuśćmy, że cała ta machina to pas, który ma zapięty na biodrach pod ubraniem i że kiedy przybywa tu z przyszłości, po prostu materializuje się w rozrzedzonym powietrzu. Nie pogubiłeś się w tym?

Chris patrzył na nią szeroko otwartymi oczami.

— I tak właśnie jest?

— Tak, to możliwe.

Chłopiec uwolnił się z pasów, zmienił pozycję, klękając na siedzeniu i spojrzął na leżącego w tyle wozu mężczyznę.

— Ale jaja.

— Z uwagi na niezwykle okoliczności — powiedziała — pominię milczeniem twoje niestosowne słownictwo.

Popatrzył na nią z zakłopotaniem.

— Przepraszam. Ale podróżnik w czasie!

Jeżeli nawet była na niego zagniewana, to krótko, bo ujrzała nagle odmieniającą go falę chłopięcego podniecenia i zachwytu, jakich nie widziała u niego od roku, nawet podczas Bożego Narodzenia, kiedy bawił się tak świetnie z Jasonem Gainesem. Możliwość spotkania podróżnika w czasie natychmiast spowodowała, że poczuł smak i radość przygody. Na tym polega uroda życia; mimo że okrutne, jest również pełne tajemnic, przepełnione cudownością i niespodziankami. Czasem te niespodzianki są tak zadziwiające, że można je uznać za cuda, i jeśli przeżywa je odpowiednia osoba, to dzięki nim ma możliwość odkryć sens życia; zgorzkniały cynik może niespodziewanie uwolnić się od chorobliwego znudzenia, a głęboko zraniony chłopiec — nabrać dzięki nim sił, by otrząsnąć się z melancholii.

— Dobra, przypuśćmy, że kiedy on chce opuścić nasz czas i powrócić do swojego, naciska przycisk na specjalnym pasie, który zawsze nosi.

— Mogę zobaczyć ten pas?

— Później. Pamiętaj, że obiecałeś nie zadawać pytań.

— W porządku. — Jeszcze raz obejrzał się na obrońcę, potem obrócił się i usiadł prosto, koncentrując uwagę na matce. — Co się dzieje, kiedy naciska przycisk?

— Po prostu znika.

— Ojej! A kiedy przybywa z przyszłości, po prostu pojawia się w rozrzedzonym powietrzu?

— Nie wiem. Nigdy go wtedy nie widziałam, choć wydaje mi się, że towarzyszą temu pioruny i błyskawice...

— Dzisiejsze pioruny!

— Tak, ale nie zawsze grzmi i błyska. Dobra, przypuśćmy, że przybył, żeby nam pomóc, by ustrzec nas przed pewnymi niebezpieczeństwami...

— Jak przed ciężarówką, która wpadła w poślizg.

— Nie wiem dlaczego chce nas chronić, nie jesteśmy w stanie się tego dowiedzieć, dopóki sam nam tego nie powie. W każdym razie przypuśćmy, że inni ludzie z przyszłości nie chcą, abyśmy byli chronieni. Nie potrafimy również domyślić się, dlaczego tego nie chcą. Ale jednym z nich był Kokoschka, człowiek, który zastrzelił twojego ojca...

— Faceci, którzy zjawili się dziś wieczór u nas — powiedział Chris — też są z przyszłości.

— Chyba tak. Planowali, że zabiją mojego obrońcę, ciebie i mnie. Ale zamiast tego zabiliśmy paru z nich i zostawiliśmy dwóch na łodzi w mercedesie, który ugrzązł w rowie. No więc, co oni teraz robią, mały? Jesteś ekspertem od niesamowitości. Masz jakiś pomysł?

— Daj mi pomyśleć.

Przyćmione światło księżyca padało na maskę dżipa.

Wnętrze dużego samochodu oziębiło się; z ust zaczęły im ulatywać chmurki marznącej pary, a szyby pokryła mgiełka. Laura włączyła silnik, odmrażacz i ogrzewanie, ale światła pozostawiła zgaszone.

Chris przemówił:

— No tak — nie wykonali zadania, więc nie będą się tu teraz kręcić. Wrócą do przyszłości, skąd przybyli.

— Ci faceci z naszego wozu?

— Tak. Prawdopodobnie nacisnęli już przyciski na pasach tych gości, których zabiłaś, i wysłali trupy z powrotem w przyszłość. W domu nie ma już ciał, nie ma żadnego dowodu, że podróżni w czasie kiedyś u nas byli. Może zostało trochę krwi. Więc jak tych ostatnich dwóch czy trzech facetów utknęło w rowie, to prawdopodobnie poddali się i wrócili do siebie.

— Więc nigdy tu już nie wrócą? Nie pójdą na piechotę do Big Bear, nie ukradną samochodu i nie będą próbowali nas znaleźć?

— Nie. To byłoby za trudne. Chodzi o to, że mają łatwiejszy sposób, żeby nas znaleźć, niż jeżdżenie w kółko i rozglądanie się za nami, jakby to zrobili szanujący się bandyci w filmie.

— Jaki sposób?

Chłopiec skrzywił się i mrużąc oczy spoglądał przez szybę na śnieg, światło księżyca i otaczającą ich ciemność.

— Zrozum, mamó, kiedy tylko stracili nas z oczu, nacisnęli przyciski na pasach i wrócili do przyszłości. Potem podejmą nową wyprawę do naszego czasu, żeby zastawić jeszcze jedną pułapkę. Wiedzą, że jesteśmy na tej drodze. Więc prawdopodobnie wrócili jeszcze raz do naszego czasu, ale trochę wcześniej, i zastawili pułapkę na drugim końcu drogi i teraz czekają tam na nas. Taak, są właśnie tam! Założę się, że tam są!

— Ale dlaczego nie mogliby wrócić nawet jeszcze wcześniej, wcześniej niż za pierwszym razem, zjawić się z powrotem u nas w domu i zaatakować nas, zanim mój obrońca pojawiłby się, żeby nas ostrzec?

— Paradoks — powiedział chłopiec. — Rozumiesz, o co chodzi?

To słowo wydawało się zbyt skomplikowane jak na chłopca w jego wieku, ale powiedziała:

— Tak, wiem, co to jest paradoks. Coś, co jest wewnętrznie sprzeczne, choć wydaje się możliwe.

— Zrozum, mamó, klasa tej całej sprawy z podróżowaniem w czasie polega na tym, że jest pełna różnych możliwych paradoksów. Rzeczy, które nie mogą się zdarzyć, nie powinny się zdarzyć — a jednak się zdarzają.

Teraz mówił tym podnieconym głosem, jakim opisywał sceny ze swoich ulubionych filmów fantastycznych i komiksów, ale z większą żarliwością, niż to kiedykolwiek słyszała. Prawdopodobnie dlatego, iż teraz to nie była wymyślona historyjka, ale rzeczywistość, jeszcze bardziej zadziwiająca niż fikcja.

— Na przykład: cofasz się w czasie i wychodzisz za swojego dziadka. Rozumiesz — jesteś własną babką. Gdyby podróż w czasie była możliwa, może dałoby się tak postąpić, ale jak wtedy mogłabyś się w ogóle urodzić, jeśli twoja prawdziwa babka nigdy nie wyszłaby za twojego dziadka? Paradoks! Albo co by było, gdybyś cofnęła się w czasie i spotkała własną matkę, kiedy była jeszcze dzieckiem, i przypadkowo ją zabiła? Czy wtedy po prostu przestałabyś istnieć — bum! — jakby cię nigdy nie było? Ale gdyby cię nie było, to jak mogłabyś przedtem cofnąć się w czasie? Paradoks! Paradoks!

Patrząc na niego w rozjaśnionych światłem księżyca ciemnościach dżipa Laura czuła się tak, jakby patrzyła na całkiem innego chłopca niż ten, którego zawsze znała. Oczywiście, wiedziała o jego wielkiej fascynacji fantastycznymi opowieściami, które przypuszczalnie zajmowały teraz większość dzieci, niezależnie od wieku. Ale aż do tej chwili nie zastanowiła się głębiej nad umysłem, który pod ich wpływem się ukształtował. Jasne było, że amerykańskie dzieci końca dwudziestego wieku miały nie tylko bogatsze życie wewnętrzne niż jakiegokolwiek inne dzieci w historii. Potrafiły zaczerpnąć ze swych fantastycznych opowieści coś, czego nie dostawało opowieściom o elfach, wróżkach i duchach, jakimi zabawiali się żyjący wcześniej ich rówieśnicy. Dzieci współczesne potrafiły posługiwać się tak abstrakcyjnymi pojęciami jak przestrzeń i czas w sposób daleko przekraczający ich dojrzałość intelektualną i emocjonalną. Miała dziwne uczucie, że rozmawia z małym chłopcem i specjalistą od lotów rakietowych — i że obaj ci ludzie mieszczą się w jednym ciele.

Czując zamęt w głowie, powiedziała:

— Ale... jeżeli ci ludzie nie zdołali nas zabić podczas swojej pierwszej wyprawy dziś wieczór, to dlaczego nie mieliby podjąć drugiej wyprawy, wcześniejszej niż ta pierwsza, żeby nas zabić, zanim mój obrońca ostrzeże nas, że nadciągają?

— Zrozum — twój obrońca pojawił się już w strumieniu czasu i ostrzegł nas. Więc gdyby pojawili się powtórnie, zanim nas ostrzegł, to jak mógłby, po pierwsze, ostrzec nas i jak mogliśmy znaleźć się tu, gdzie teraz jesteśmy — i do tego żywi? Paradoks!

Zaśmiał się i klasnął w ręce niczym gnom rechocący nad jakimś szczególnie zabawnym działaniem ubocznym magicznego zaklęcia.

W odróżnieniu od jego dobrego nastroju Laura czuła ból głowy, gdy usiłowała uporządkować sobie cały ten galimatias.

— Niektórzy ludzie sądzą, że podróże w czasie są w ogóle niemożliwe z powodu tych wszystkich paradoksów — kontynuował Chris. — Ale inni uważają, że są możliwe o tyle, o ile podróż, którą robisz w przeszłość, nie tworzy paradoksu. Otóż jeżeli jest to prawda, to zabójcy nie mogą powrócić wcześniej niż za pierwszym razem, bo dwóch z nich zostało już zabitych podczas tej pierwszej wyprawy. Nie mogą tego zrobić, bo już nie żyją i właśnie to byłoby paradoksem. Ale ci faceci, których nie zabiłaś, i może jacyś nowi podróżni w czasie mogą udać się na wyprawę, żeby wykończyć nas na końcu tej drogi.

Pochylił się do przodu, żeby zerknąć znów przez pokrytą smugami przednią szybę.

— I stąd te wszystkie pioruny na południu, kiedy uciekaliśmy przed nimi — w tym czasie przybywało więcej facetów z przyszłości. Taak, założę się, że czekają na nas gdzieś tam w ciemności.

Rozcierając skronie palcami, Laura powiedziała:

— Ale kiedy zawrócimy i pojedziemy z powrotem, żeby nie wpaść w zastawioną na nas pułapkę, zorientują się, że ubiegliśmy ich rozumowanie. A wtedy wyruszą na trzecią wyprawę pod prąd czasu i zastrzelą nas, kiedy będziemy usiłowali wrócić tą drogą. Dopadną nas, obojętnie w którym kierunku byśmy nie pojechali.

Gwałtownie potrząsnął głową.

— Nie. Bo zanim się połapią, że jedziemy w kierunku powrotnym, upłynie jakieś pół godziny, a my już wtedy z powrotem minimy mercedesa. — Chłopiec podskakiwał teraz na siedzeniu w górę i w dół podniecony. — Więc kiedy ruszą na trzecią wyprawę w czasie, aby znaleźć się na początku tej polnej drogi i tam nas złapać, to im się to nie uda, bo my już wcześniej zawróciliśmy i znajdziemy się poza nią. Będziemy bezpieczni, mamó. Oni nie są czarodziejami. Muszą grać według przepisów i można im dołożyć!

W ciągu trzydziestu trzech lat życia nigdy jeszcze nie miała bólu głowy, który by tak szybko zmienił się z lekkiego pulsowania w skroniach w walenie młotem w czaszkę. Im bardziej usiłowała rozwikłać problem wymknięcia się eskadrze podróżujących w czasie morderców, tym silniej młot używał sobie wewnątrz jej czaszki.

W końcu powiedziała:

— Poddaję się. Chyba powinnam była przez wszystkie te lata oglądać Gwiezdną wędrówkę i czytać Roberta Heinleina, zamiast prowadzić żywot osoby dorosłej — po prostu nie jestem w stanie sobie z tym poradzić. Powiem ci, co zrobimy, żeby ich przechytrzyć — będziemy polegać na tobie. Będziesz musiał być o krok przed nimi. Chcą nas mieć martwych. Więc jak mogą nas zabić, nie stwarzając jednego z tych paradoksów? Gdzie pojawią się następnym razem.. i jeszcze następnym? W tej chwili jedziemy tam, skąd przybyliśmy, obok mercedesa, i jeżeli się nie pomyliłeś, nikogo tam nie będzie. Gdzie więc pokażą się potem? Czy zobaczymy ich dziś w nocy? Myśl o tym, a kiedy ci coś zaświta, mów.

— Jasne, mamó.

Zapadł się w fotel, przez moment szeroko uśmiechnięty, a potem zagryzł wargi, włączając się na całego w tę grę.

Poza tym że, oczywiście, nie była to gra. Stawką było ich życie. Musieli wymknąć się zabójcom o niemalże nadludzkich możliwościach, a ich szansę przetrwania zależały tylko od bogactwa wyobraźni ośmioletniego chłopca.

Laura zapaliła dżipa, wrzuciła tylny bieg i cofała się paręset jardów, aż znalazła odcinek wystarczająco szeroki, by można było zawrócić. Potem skierowali się z powrotem tam, skąd przybyli, w kierunku leżącego w rowie mercedesa, w kierunku Big Bear.

Przerażenie nie miało nad nią władzy. W ich sytuacji zawarty był tak ogromny element niewiadomego — i niemożliwego do poznania — że strach nie miał tu pożywki. Przerażenie nie było

podobne do szczęścia czy depresji, to było gwałtowne doznanie, które zgodnie ze swą naturą trwało krótko. Szybko traciło siły. Rosło w tobie — i albo mdlałeś, albo umierałeś ze strachu, krzyząc, aż jakieś naczynie krwionośne pękło ci w mózgu. Nie krzyczała i mimo bólu głowy nie sądziła, żeby miało jej tam coś pękać. Stan jej ducha ustabilizował się na poziomie umiarkowanego, chronicznego strachu, niewiele większego od niepokoju.

Co to była za noc. Co za rok. Co za życie.

Niesamowite wiadomości.

2.

Minęli rozkraczanego mercedesa i pojechali do końca polną drogą na północ, nie spotykając ludzi z automatami. Na skrzyżowaniu z drogą biegnącą obok jeziora Laura zatrzymała się i spojrzała na Chrisa.

— No i?

— Dopóki tylko kręcimy się tu i tam — powiedział — i dopóki jedziemy do miejsca, w którym nigdy nie byliśmy i do którego zwykle nie jeździmy, to jesteśmy całkowicie bezpieczni. Nie znajdują nas, nie mając pojęcia, gdzie moglibyśmy być. Tak jak zwyczajni włóczędzy.

Włóczędzy — pomyślała. W co ja się tu wplątałam — mieszanka H.G. Wellsa z Hill Street Blues?

— Widzisz — mówił dalej Chris — jak już daliśmy przed nimi dyla, to ci faceci szybko wrócą do przeszłości i przejrzą wszystkie oficjalne zapisy na twój temat, twoją historię i sprawdzą, gdzie się teraz pojawisz — na przykład kiedy zdecydujesz się na powrót do domu. Albo czy zaszyjesz się gdzieś na rok i napiszesz nową książkę, a potem wyjedziesz z nią na promocję. Wtedy pokażą się w księgarni, w której będziesz ją podpisywać, rozumiesz, bo będzie zapis w przyszłości: będą wiedzieli, że znajdziesz się w tym sklepie o określonym czasie w określonym dniu.

185

Zmarszczyła brwi.

— Chodzi ci o to, że jedyny sposób, żeby nie spotkać się z nimi do końca życia, to zmienić nazwisko, udać się na wieczną tułaczkę, nie pozostawiać po sobie ani śladu w publicznych zapisach — po prostu w tym miejscu i od tej chwili zniknąć z oficjalnej historii świata?

Miał dosyć sprytu, aby wyobrazić sobie sposób na wywiedzenie w pole podróżujących w czasie morderców, ale nie był wystarczająco dojrzały, by dostrzec, jak trudne byłoby dla nich porzucić wszystko, co posiadali i zacząć na nowo tylko z tym, co mają w kieszeniach. W pewien sposób był jak mędrzec-idiota, niezwykle przenikliwy i utalentowany w jednej wąskiej dziedzinie, a naiwny i szalenie ograniczony w innych. W sprawach podróży w czasie miał tysiąc lat, ale poza tym zbliżał się dopiero do dziewiątego roku życia.

— Nigdy nie będę mogła napisać następnej książki. Muszę przecież mieć kontakt z wydawcami i agentami, choćby telefoniczny, a to jest do sprawdzenia. I nie mogę odebrać honorariów, bo ilu bym miała pełnomocników, jak wiele bym miała różnych rachunków do transferu pieniędzy, wcześniej czy później musiałabym odebrać te pieniądze osobiście, a to zostawiłoby ślad. Więc będą mieli taki ślad

w przyszłości i cofną się w przeszłość, do tego banku, i zetrą mnie z powierzchni ziemi, kiedy się tam pokażę. Jak mam podjąć nawet te pieniądze, które już posiadamy? Jak mogę gdziekolwiek zrealizować czek bez pozostawiania śladu, który znajdą w przyszłości? — zamrugła powiekami, patrząc w niebo. — Dobry Boże, Chris, jesteśmy w ślepych zaułku!

Teraz chłopiec był bezradny. Patrzył na nią niewiele rozumiejącym spojrzeniem. Nie wiedział, z jakich źródeł czerpie się pieniądze i jak odkłada się je do dalszego spożytkowania albo jak trudno w ogóle je zdobyć.

— No, przez parę dni możemy po prostu jeździć to tu, to tam, spać w motelach...

— W motelach możemy spać tylko wtedy, kiedy będę mieć gotówkę. Tylko tego potrzeba, żeby przez rachunek bankowy mojej karty kredytowej i dowód zapłaty znaleźli motel. Wtedy powrócą w czasie do tej nocy, kiedy płaciłam za nocleg, i zabiją mnie tam.

— Taak. Więc będziemy płacili gotówką. No to jemy tylko u McDonalda! Tam jest tanio i dają takie dobre jedzenie.

Wyjechali z gór, z zaśnieżonych terenów, i pojechali do San Bernardino, miasta liczącego 300 000 mieszkańców, nie napotykając po drodze morderców. Musiała zawieźć swego obrońcę do lekarza nie tylko dlatego, że miała wobec niego dług wdzięczności, ale i dlatego, ponieważ bez niego nie dowiedzą się prawdy o tym, co się stało i mogą nigdy nie wyjść ze ślepej uliczki, w jakiej się znaleźli.

186

Nie mogła zabrać go do szpitala, gdyż w szpitalnych archiwach jej wrogowie z przyszłości znaleźliby ślad, po którym trafiliby do niej. Musiała skorzystać z pomocy medycznej kogoś dyskretnego, kto nigdy nie ujawni ani jej nazwiska, ani niczego na temat pacjenta.

Tuż przed północą stanęła przy budce telefonicznej na stacji Shella. Telefon znajdował się za budynkiem, co było optymalną okolicznością, ponieważ nie mogła ryzykować, że obsługa zauważy stłuczone szyby lub nieprzytomnego mężczyznę.

Pomimo wcześniejszej godzinnej drzemki, którą sobie uciął, i całego podniecenia Chris spał. W części bagażowej wozu, za przednim siedzeniem, spał również ich obrońca, ale jego sen nie był ani spokojny, ani naturalny. Nie mamrotał już, ale od paru minut wciągał oddech charcząc i krztusząc się.

Zostawiła dzipa na luzie z włączonym silnikiem i poszła do budki, aby przejrzeć książkę telefoniczną. Wyrwała jedną z żółtych kart z adresami lekarzy.

Po zakupieniu u obsługującego stację planu San Bernardino zaczęła poszukiwać lekarza, który nie przyjmował pacjentów w klinice czy szpitalu, ale w gabinecie domowym, jak to dawniej czyniła większość lekarzy w małych miasteczkach, choć obecnie niewielu z nich prowadziło równocześnie praktykę szpitalną i domową. Była w pełni świadoma, że mi więcej czasu zajmie jej znalezienie medyka, tym mniejsza będzie szansa przeżycia ich obrońcy.

Kwadrans po pierwszej w nocy zatrzymała się przed jednopiętrowym białym, wiktoriańskim domem w spokojnej dzielnicy rezydencjalnej, postawionym w innej epoce, w przeminionej już

Kalifornii, zanim wszystko zaczęto budować z gipsu. Stał na zbiegu ulic wraz z garażem na dwa samochody, w cieniu olch, nagich teraz w środku zimy, które przydawały temu miejscu, nie tylko widokowo, czegoś z atmosfery Wschodniego Wybrzeża. Według wyrwanej ze spisu żółtej kartki pod tym numerem mieszkał doktor Carter Brenkshaw — i faktycznie obok podjazdu znajdował się mały, zawieszony na dwóch słupkach znak, potwierdzający dokładność tych danych.

Podjechała do końca kwartału domów i zatrzymała się przy krawężniku. Wsiadła z dżipa, nabrała do ręki garść inspektowego czarnoziemu z kwietnika pobliskiego domu i zasmarowała tak dokładnie, jak się tylko dało, obydwie tablice rejestracyjne.

Zanim wytarła ręce o trawę i powróciła do dżipa, Chris obudził się już, ale był rozespany i oszołomiony po ponad dwugodzinnym śnie w samochodzie. Poklepała go po twarzy, odgarnęła włosy z czoła i szybko dobudziła kilkoma słowami. Zimne nocne powietrze też zrobiło swoje.

— Dobra — powiedziała, kiedy upewniła się, że się całkowicie ocknął — słuchaj uważnie, partnerze, mam lekarza. Czy dasz radę odegrać chorego?

— Jasne — skrzywił się, jakby miał zaraz zwymiotować, po czym zakrztusił się i zajęczał.

— Tylko z tym nie przesadz — powiedziała po wyjaśnieniu mu swych zamiarów.

187

— Dobry plan, mam.

— Nie, kretyński. Ale jedyny, jaki mi przyszedł do głowy.

Zawróciła dżipem pod dom Brenkshawa, gdzie zaparkowała na podjeździe wiodącym do zamkniętego teraz garażu, który stał w pewnym oddaleniu od domu. Chris wyslizgnął się przez drzwi kierowcy, a ona podtrzymywała go ze swojej lewej strony. Trzymał głowę opartą na jej ramieniu; przywarł do niej tak, że potrzebowała tylko lewej ręki, aby utrzymać go na nogach, choć był całkiem ciężki. Jej dzieciątko nie było już żadnym dzieciątkiem. W wolnej ręce trzymała rewolwer.

Kiedy ciągnęła Chrisa po ścieżce obok rozrośniętych olch, oświetlonej jedynie szerokim purpurowym kręgiem rzucanym przez stojącą na krawężniku ręciovą lampę uliczną, miała nadzieję, że nikt nie stoi w oknie żadnego z pobliskich domów. Z drugiej strony nie było wcale rzeczą niezwykłą, że ktoś potrzebujący pomocy odwiedza w środku nocy lekarza.

Weszła na frontowe schodki, minęła werandę i zadzwoniła szybko trzy razy, tak jak zrobiłaby to rozgorączkowana matka. Odczekała zaledwie kilka sekund, żeby powtórzyć ten sam trzykrotny dzwonek.

Po paru minutach od powtórnego dzwonka, gdy zaczęła już podejrzewać, że w domu nikogo nie ma, zapaliły się światła na werandzie. Zobaczyła mężczyznę przyglądającego się jej przez półokrągłą, najwyższą szybę trójdzielnych przeszkłonych drzwi.

— Proszę — powiedziała nagłaco, trzymając z boku rewolwer tak, że nie był w stanie go zobaczyć — mój chłopiec, trucizna, połknął truciznę!

Mężczyzna otworzył drzwi do wewnątrz, a że były tam i otwierające się na zewnątrz szklane drzwi, chroniące przed deszczem, usunęła mu się z drogi.

Wyglądał na sześćdziesiąt pięć lat, był siwy, z irlandzkimi rysami twarzy poza zdecydowanie rzymską linią nosa i piwnymi oczami. Ubrany był w luźny brązowy szlafrok, narzucony na białą piżamę i miał na nogach kapcie. Patrząc na nią przez szylkretowe okulary, spytał:

— Co się stało?

— Mieszkam dwie ulice stąd, tuż obok pana, a mój chłopiec — trucizna.

Histeryzując, wypuściła Chrisa, który natychmiast usunął jej się z drogi, żeby mogła wepchnąć wylot lufy kaliber 38 w brzuch mężczyzny.

— Wywalę ci bebechy, jeśli tylko zaczniesz wzywać pomocy.

Nie miała zamiaru do niego strzelać, ale widocznie zabrzmiało to przekonująco, bo skinął głową i nic nie powiedział.

— Doktor Brenkshaw? — Znów skinął głową, a ona zapytała: — Jest jeszcze ktoś w domu, doktorze?

— Nikt. Jestem sam.

— Żona?

— Jestem wdowcem.

188

— Dzieci?

— Wszystkie dorosły i wyprowadziły się.

— Nie kłam.

— Taki mam życiowy nawyk, że nie kłamię — powiedział. — Parę razy przyniosło mi to trochę kłopotów, ale ogólnie rzecz biorąc mówienie prawdy ułatwia życie. Proszę posłuchać, tu jest chłodno, a mój szlafrok jest przewiewny. Wewnątrz równie dobrze może mnie pani trzymać na muszce.

Weszła, przestępując próg i popychając lekarza wciśniętą w brzuch bronią. Chris szedł za nią.

— Kochanie — szepnęła — idź i sprawdź dom. Po cichu. Zaczynij od góry i nie opuść żadnego pokoju. Jakbyś na kogoś trafił, powiedz, że doktor ma pacjenta z wypadku i potrzebuje wszystkich do pomocy.

Chris skierował się ku schodom, a Laura w hallu trzymała Cartera Brenkshawa na muszce. Stojący w pobliżu stary zegar cicho tykał.

— Wie pani — powiedział Brenkshaw — przez całe życie czytałem dreszczowce.

— O co chodzi? — zmarszczyła brwi.

— Otóż często trafałem na scenę, w której wspaniała, choć występna kobieta trzymała na muszce bohatera, oczywiście wbrew jego woli. A potem, kiedy jak zawsze udawało mu się odwrócić sytuację, ulegała nieprzepartemu urokowi męskiej siły i kochali się z dziką namiętnością. Dlaczego więc, kiedy mnie to spotyka, jestem już zbyt stary, aby radować się perspektywą drugiej połowy takiego starcia?

Laura powstrzymywała się od śmiechu, ponieważ nie potrafiaby powrócić do srogiej miny, gdyby już raz pozwoliłaby sobie na uśmiech.

— Zamknij się.

— Na pewno stać panią na coś więcej.

— Przymknij się, dobra?

Nie zbladł i nie zaczął się trząść. Uśmiechnął się.

Chris powrócił z obchodu piętra.

— Nikogo, mammo.

— Zastanawiam się, ilu niebezpiecznych bandziorów ma takich ledwo odrostłych od ziemi wspólników, którzy mówią do nich „mamo”? — zapytał Brenkshaw.

— Nie radzę ci mnie nie doceniać, doktorze. Jestem zdecydowana na wszystko.

Chris zniknął w pokojach na parterze, zapalając światła. Laura odezwała się do Brenkshawa:

— Mam w samochodzie rannego...

— Jasne, postrzał.

— ...chcę, żeby go pan opatrzył i trzymał gębę na kłódkę, bo jak nie, to wrócimy tu którejs nocy i załatwimy cię.

— To brzmi obiecująco — skonstatował nie tracąc pogody ducha.

189

Chris powrócił, pogasiwszy światła, które poprzednio zapalił.

— Nikogo, mammo.

— Ma pan nosze? — spytała Laura.

Brenkshaw spojrzał na nią.

— Naprawdę ma pani rannego?

— A po co, u diabła, bym się tu znalazła, gdyby było inaczej?

— To dziwne. No cóż, w porządku. Czy bardzo krwawi?

— Poprzednio obficie, teraz słabiej. Ale jest nieprzytomny.

— Jeżeli teraz nie krwawi, możemy go przewieźć. Mam w gabinecie składany fotel inwalidzki. Czy mogę nałożyć płaszcz — wskazał na szafę w hallu — czy też takie ostre panienki jak pani lubią ten dreszcz podniecenia, który przenika je na widok staruszków trzęsących się w piżamach?

— Wkładaj pan swój płaszcz, doktorze, ale, do diabła, nie lekceważ mnie.

— Tak — powiedział Chris. — Zastrzeliła dziś w nocy dwóch gości. Spróbował naśladować dźwięk uzi. — Ścięła ich po prostu i żaden nie miał nawet szansy do niej się zbliżyć.

Chłopiec mówił tak przekonująco, że Brenkshaw spojrzał na Laurę innym okiem.

— W szafę są tylko płaszcze, parasole i para kaloszy. Nie trzymam tam broni.

— Tylko ostrożnie, doktorze. Bez pośpiechu.

— Bez pośpiechu — tak, słyszałem.

Choć dalej raczej uważał sytuację za zabawną, to nie brał już tego tak lekko jak przedtem.

Włożył płaszcz; wyszli za nim z hallu przez drzwi z lewej strony. Bez zapalania światła, korzystając z poświaty padającej z hallu i znajomości pomieszczenia, Brenkshaw przeprowadził ich przez poczekalnię, gdzie stały wysokie, proste krzesła i parę małych stolików. Następne drzwi wiodły do biura, w którym zapalił światło. Był tam stół do pracy, trzy krzesła, książki lekarskie. Kolejne drzwi prowadziły dalej, w głąb domu, do gabinetu przyjęć.

Laura spodziewała się, że zobaczy łóżko i sprzęt ambulatoryjny utrzymane w dobrym stanie, ale używane przez co najmniej ostatnie trzydzieści lat — przeciętnie wyglądający skansen medyczny prosto z obrazów Normana Rockwella. Tymczasem całe wyposażenie wyglądało tu na nowe. Był nawet aparat do EKG, a na drzwiach w głębi pokoju napis ostrzegał: PROMIENIE RTG; ZAMYKAĆ PODCZAS PRZEŚWIETLANIA.

— Ma pan tu wyposażenie do robienia prześwietleń? — zdziwiła się.

— Oczywiście. Nie kosztuje już tyle co dawniej. Dzisiaj dysponuje tym każda klinika.

— Klinika, zgoda, ale nie indywidualny...

— Może wyglądam jak Barry Fitzgerald zabawiający się w lekarza w jakimś starym filmie i może wolę staroświecki, wygodny gabinet we własnym domu, ale nie leczę pa

190

cjentów według przestarzałych metod tylko po to, żeby wyglądać na dziwaka. Ośmielę się rzec, że poważniejszy ze mnie lekarz niż z pani desperado.

— Niech pan nie będzie taki pewny — powiedziała ostro, choć czuła się już znużona udawaniem osoby, która nie traci nigdy zimnej krwi.

— Niech się pani nie martwi — powiedział. — Dostosuję się do pani stylu. Chyba sam wtedy lepiej się będę bawić.

Zwrócił się do Chrisa.

— Kiedy przechodziliśmy przez moje biuro, czy zauważyłeś duży czerwony, ceramiczny dzbanek na moim biurku? Jest pełen cukierków i lizaków, gdyby ci przyszła na nie ochota.

— Ojej, dzięki! — rozpromienił się Chris. — Och... mogę, mam?

— Jeden albo dwa — powiedziała — tylko żeby nie zrobiło ci się niedobrze.

— W sprawie słodczy dla moich małych pacjentów jestem chyba staroświecki — powiedział Brenkshaw — bo nie trzymam tu gumy do żucia pozbawionej cukru. Cóż to za pomysł, do diabła? Smakuje jak plastik. Jeżeli zaraz za drzwiami zęby mają im od tego wypaść, to już problem ich dentystów.

Tak rozprawiając wyciągnął z kąta składany fotel inwalidzki, rozsunął go i wyprowadził na środek pokoju.

— Kochanie, zostaniesz tu, kiedy my pójdziemy do dżipa — powiedziała Laura.

— W porządku — wyraził zgodę Chris z następnego pokoju, gdzie grzebiąc w dzbanku podejmował trudną decyzję w sprawie wyboru poczęstunku.

— Pani dżip stoi na podjeździe? — spytał Brenkshaw. — To lepiej wyjdźmy tyłem. Myślę, że w ten sposób będziemy mniej widoczni.

Z rewolwerem wycelowanym w lekarza, ale czując się przy tym głupio, Laura wyszła za nim bocznymi drzwiami otwierającymi się na rampę, dzięki której można było się dostać do pokoju dla pacjentów omijając schody.

— Wejście dla inwalidów — rzucił cicho przez ramię Brenkshaw, pchając fotel po ścieżce idącej wzdłuż tylnej ściany domu. Jego nocne pantofle klapały głośno po betonie.

Lekarz miał dużą posesję, więc sąsiedni dom był nieco oddalony. Boczny trawnik, inaczej niż frontowy, nie był obsadzony olchami, ale pysznił się fkusami i sosnami, zachowującymi zieleń przez cały rok. Jednak pomimo mroku i ograniczonej gałęziami widoczności Laura widziała puste okna sąsiedniego domostwa, przypuszczała więc, że i ją można było stamtąd dostrzec.

Świat pograżony był teraz w tej ciszy, jaka zapada tylko pomiędzy północą a świtem. Gdyby nawet nie wiedziała, że jest druga w nocy, to i tak odgadłaby to z dokładnością do pół godziny. Mimo że z oddali dobiegały ciche odgłosy miasta, tu panowała cmentarna cisza, tak że czułaby się jak kobieta w

tajnej misji, nawet jeżeli w istocie szłaby tylko wyrzucić śmieci.

Ścieżka prowadziła wokół domu i przecinała inną, biegnącą w stronę położonej w głębi części posesji. Przeszli obok tylnej werandy alejką łączącą dom i garaż i weszli na podjazd.

Brenkshaw zatrzymał się z tyłu dzipa i zachichotał.

— Błoto na tablicach rejestracyjnych — zamruczał. — Przekonujący szczegół.

Gdy otworzyła drzwi bagażnika, wszedł do dzipa, aby obejrzyć rannego.

Zlustrowała ulicę. Wszędzie spokój. Na razie.

Gdyby jednak patrol policji San Bernardino przypadkowo miał teraz objazd, to sierżant na pewno zatrzymałby się, by sprawdzić, co się dzieje u miłego starego doktora Brenkshawa...

Lekarz już gramolił się z dzipa.

— Na Boga, pani naprawdę ma tam rannego.

— Czemu, do diabła, tak pan się dziwi? Czy wyprawiałabym takie sztuki dla zabawy?

— Zawieźmy go do środka, szybko — powiedział Brenkshaw.

Nie był w stanie sam udźwignąć rannego. Aby mu pomóc, Laura musiała zatknąć swoją trzydziestkę ósemkę za pasek dzinsów.

Brenkshaw wcale nie próbował uciekać ani nie rzucił się na nią, aby ją obalić i zawładnąć bronią. Zamiast tego, kiedy tylko umieścili rannego w fotelu inwalidzkim, wytoczył go na podjazd i pobiegł alejką wokół domu w kierunku znajdującego się z drugiej strony wejścia dla inwalidów.

Złapała jeden uzi z przedniego siedzenia i pospieszyła za nim. Nie sądziła, aby zaszła konieczność użycia karabinka, ale czuła się lepiej, mając go przy sobie.

Piętnaście minut później Brenkshaw odwrócił się od wywołanych już zdjęć rtg, zawieszonych na podświetlanej tablicy w kącie pokoju.

— Kula przeszła czysto i w całości. Nie naruszyła żadnej kości, więc nie ma kłopotu z odłamkami kostnymi.

— Duża sprawa — powiedział Chris, siedząc na krześle w rogu i z błogim wyrazem twarzy ssąc lizaka. Mimo że dom był dobrze ogrzany, oboje nadal mieli na sobie kurtki, ponieważ chcieli być gotowi do szybkiego wyjścia.

— Ma śpiączkę czy coś takiego? — spytała Laura lekarza.

— Tak, jest w stanie śpiączki. Ale nie jest ona spowodowana infekcją. Na to za wcześnie. A po opatunku do infekcji prawdopodobnie nie dojdzie. Jest w śpiączce pourazowej wywołanej postrzałem, utratą krwi, szokiem, tym wszystkim. Wie pani, że nie należy go przemieszczać.

— Nie mam wyboru. Czy wyjdzie z tego?

— Prawdopodobnie. Śpiączka to sposób, w jaki organizm ogranicza wydatkowanie energii, co ułatwia leczenie. Nie stracił tak dużo krwi, jak to się wydaje. Puls ma regularny, więc ten stan nie potrwa długo. Koszulę i ten kitel ma tak zakrwawione, jakby krew lała się z niego strumieniami, ale ubytek był dużo mniejszy, co nie znaczy, że całkiem niewielki. Musiał bardzo cierpieć. Ale żadne z głównych naczyń nie zostało uszkodzone, bo byłby w gorszym stanie. Jednak powinien znaleźć się w szpitalu.

— To już przerabialiśmy — powiedziała ze zniecierpliwieniem Laura. — Nie może jechać do szpitala.

— Jaki bank załatwiliście? — spytał żartobliwie lekarz, ale w oczach miał wyraźnie mniej rozbawienia niż przedtem, gdy rzucał podobne żarciki.

Kiedy wcześniej czekał, aż wywołają się zdjęcia, oczyścił ranę, zajodynował, posypał zasypką antybiotykową i przygotował bandaż. Następnie wziął grubą nić, igłę i urządzenie, którego zastosowania Laura nie знаła. Wyjął to wszystko z szafki i położył na tacce z nierdzewnej stali, którą przymocował z boku łóżka, spełniającego teraz rolę stołu operacyjnego. Ranny mężczyzna leżał na nim nieprzytomny, oparty na prawym boku za pomocą kilku gąbkowych poduszek.

— Co pan robi? — spytała Laura.

— Te dziury są całkiem spore, szczególnie wylotowa. Jeżeli koniecznie chce pani narażać jego życie, nie oddając go do szpitala, to przynajmniej założę mu parę szwów.

— Dobrze, ale niech się pan pospieszy.

— Oczekuje pani agentów FBI wylamujących lada chwila drzwi?

— Gorzej — powiedziała. — Oczekuję czegoś dużo gorszego.

Od momentu, gdy pojawili się u Brenkshawa, oczekiwała, że nagle nocą wstrząśnie pokaz piorunów niczym tętent gigantycznych koni jeźdźców Apokalipsy i pojawi się większa liczba dobrze uzbrojonych podróżnych w czasie. Piętnaście minut temu, kiedy lekarz prześwietlał pierś jej obrońcy, wydało się jej, że słyszy daleki, ledwo słyszalny grzmot. Szybko podeszła do najbliższego okna, żeby rozejrzeć się po niebie w poszukiwaniu dalekich błyskawic, ale w prześwitach między gałęziami nie udało się jej niczego dostrzec — być może dlatego, że niebo nad San Bernardino miało rudawy poblask od świateł miasta, albo może usłyszała grom zbyt późno. Uznała w końcu, że mógł to być przelatujący odrzutowiec, który w panice wzięła za coś innego.

Brenkshaw zszył rany pacjenta i odciął nożyczkami katgut — stosował rozpuszczalne szwy — i przytwierdzając bandaż taśmą samoprzylepną, owinął je parokrotnie wokół klatki piersiowej i pleców.

Powietrze było przesiąknięte ostrym, typowo szpitalnym zapachem i Laurze zrobiło się trochę niedobrze, ale Chrisowi to w najmniejszym stopniu nie przeszkadzało. Siedział w kącie i uszczęśliwiony pochłaniał następnego lizaka.

Poprzednio, kiedy czekał na zdjęcia, Brenkshaw zajął się również podaniem pacjentowi penicyliny. Teraz z kolei podszedł do wysokiej, białej, metalowej szafki stojącej

w głębi pokoju, wyjął z dużego słoja pigułki i przełożył je do małej buteleczki, a następnie do drugiej buteleczki włożył lekarstwo z innego słoja.

— Trzymam tu niektóre podstawowe leki. Sprzedają je biedniejszym pacjentom po cenie produkcji, nie muszą się więc rujnować w aptekach.

— Co tu jest? — spytała Laura, kiedy podszedł z powrotem do łóżka, przy którym stała, i wręczył jej dwie małe plastikowe butelki.

— W tej są kolejne dawki penicyliny. Trzy razy dziennie podczas posiłku — jeżeli będzie w stanie przyjmować pokarm. Myślę, że niebawem odzyska przytomność. Jeżeli się nie ocknie, to zacznie się odwadniać i będzie konieczna kroplówka. Nie można mu podawać płynów doustnie podczas śpiączki — zadławi się. Ta druga zawiera środki przeciwbólowe. Tylko gdy będą niezbędne, i nie więcej niż dwa dziennie.

— Da mi pan więcej. A zresztą, potrzebuję wszystkiego, co tam jest — wskazała na dwa duże słoje zawierające setki pojedynczych dawek obu lekarstw.

— Nie będzie potrzebował tak dużo żadnego z nich. On...

— Nie, jestem pewna, że nie — odpowiedziała — ale nie mam pojęcia, jakie cholerne problemy nas jeszcze czekają. Możemy potrzebować zarówno penicyliny, jak i środków przeciwbólowych — dla mnie lub dla mojego syna.

Brenkshaw popatrzył na nią dłuższą chwilę.

— W co, na miłość boską, się pani wpakowała? To jak w jakiejś pani książce.

— Proszę po prostu dać... — Laura przerwała, zaskoczona tym, co usłyszała. — Jak w jakiejś mojej książce? W mojej książce! Och, mój Boże, pan wie, kim jestem.

— Oczywiście. Rozpoznałem panią niemal od razu, gdy zobaczyłem panią na werandzie. Jak mówiłem, czytam dreszczowce i choć pani książki nie należą dokładnie do tego gatunku, budzą takie napięcie, że czytam je również. Pani fotografa jest na tylnej okładce, proszę mi wierzyć, pani Shane, żaden mężczyzna, jeśli ujrzał pani twarz choć jeden raz, nie zapomni jej nigdy, nawet jeśli tym mężczyzną jest taki stary dziad jak ja.

— Ale dlaczego nie powiedział pan...

— Najpierw pomyślałem, że to żart. Przede wszystkim z powodu tego melodramatycznego sposobu, w jaki zjawiała się pani na moim progu, w środku nocy: broń, ten zaczepny, twardy język... to wszystko było jak filmowy numer. Proszę mi wierzyć, mam takich przyjaciół, których byłoby stać na tego rodzaju fgiel i gdyby panią znali, zapewne zdołaliby ją przekonać do włączenia się w tę zabawę.

Wskazała na swego obrońcę.

— Ale kiedy zobaczył pan jego...

— Wtedy wiedziałem już, że to nie żart.

Chris podbiegł do matki, wyjmując lizaka z ust.

— Mamo, jeżeli on o nas doniesie...

Laura wyciągnęła trzydziestkę ósemkę zza pasa. Uniosła ją, a potem opuściła dłoń, uświadamiając sobie, że broń nie zdoła już onieśmielić Brenkshawa. Prawdę mówiąc,

nie bał się jej ani przez moment. Uświadomiła sobie również, że z jednej strony on nie był mężczyzną, którego da się zastraszyć, a z drugiej — ona też nie była już w stanie w sposób przekonywający udawać niebezpiecznej, gardzącej prawem kobiety. Przecież wiedział, kim jest.

Jej obrońca, leżący na łóżku i pogrążony nadal w letargu, próbował się poruszyć, ale Brenkshaw położył mu rękę na piersi i to go uspokoiło.

— Posłuchaj, doktorze, jeżeli powie pan o tym, co się tu stało dziś w nocy, jeżeli nie zdoła pan dochować sekretu do końca życia, to będzie oznaczało śmierć moją i mego dziecka.

— Wie pani, że prawo wymaga, aby lekarz doniósł o każdej ranie postrzałowej, jaką opatrywał.

— Ale ten wypadek nie jest normalny — powiedziała Laura z naciskiem. — Ja nie uciekam przed prawem, doktorze.

— A przed kim?

— W pewnym sensie... przed tymi samymi ludźmi, którzy zabili mojego męża, ojca Chrisa.

W jego spojrzeniu było zdumienie i ból.

— Pani mąż został zabity?

— Musiał pan czytać o tym w gazetach — powiedziała z goryczą. — To była sensacyjna historia, taka, jaką prasa uwielbia.

— Przykro mi, ale raczej nie czytuję gazet ani nie oglądam wiadomości telewizyjnych — powiedział Brenkshaw. — Są tam tylko pożary, wypadki, szaleni terroryści. Nie ma nic o tym, co istotne, tylko krew, tragedie i polityka. Przykro mi z powodu pani męża, ale jeżeli jego mordercy, kimkolwiek są, chcą teraz zabić panią, to powinna pani iść prosto na policję.

Patrzyła na tego człowieka i myślała, że więcej rzeczy łączy ich, niż dzieli. Wyglądał na miłego i rozsądnego. Ale miała niewielką nadzieję, że uda się nakłonić go do milczenia.

— Policja nie jest w stanie mnie ochronić. Nikt nie jest w stanie mnie ochronić poza mną samą — i może człowiekiem, którego właśnie pan opatrywał. Ludzie, którzy nas gonią... są nieznużeni, nieugięci i poza zasięgiem prawa.

Potrząsnął głową.

— Nikt nie jest poza zasięgiem prawa.

— Oni są, doktorze. Zajęłoby mi godzinę wytłumaczenie dlaczego, a i wtedy prawdopodobnie nie uwierzyłby mi pan. Więc błagam, jeżeli nie chce pan mieć na sumieniu naszej śmierci, proszę nic nie mówić. Nie przez parę dni, ale nigdy.

— Otóż...

Patrzyła na niego uważnie i wiedziała, że jej zabiegi są bezskuteczne. Przypomniała sobie, co powiedział jej wcześniej w hallu, kiedy ostrzegła go, aby nie ukrywał przed

nią obecności innych ludzi w swoim domu. Nie kłamał, ponieważ mówienie prawdy upraszcza życie; taki już miał nawyk. Nie upłynęło jeszcze czterdzieści minut, a znała go wystarczająco dobrze, aby uwierzyć, że jest niezwykle prawdomówny. Nawet teraz, kiedy błagała go o utrzymanie ich najścia w sekrecie, nie wydusił z siebie kłamstwa, żeby uspokoić ją i nakłonić do opuszczenia gabinetu. Patrzył na nią z poczuciem winy w oczach i nie był w stanie splamić sobie ust kłamstwem. Kiedy zostanie sam, spełni swój obowiązek: wypełni formularz dla policji. Gliny będą szukać jej w domu koło Big

Bear, trafia tam na krew, jeśli nie na ciała podróżnych w czasie, na setki wystrzelonych łusek, potraskane okna, pokryte kulami ściany. Jutro albo pojutrze ta historia będzie na pierwszych stronach gazet...

Samolot, który przeleciał nad nimi ponad pół godziny temu, mógł w rzeczywistości wcale nie być samolotem. To mogło być coś, co przyszło jej do głowy w pierwszym odruchu — bardzo daleki odgłos gromu, piętnaście albo dwadzieścia mil stąd.

Następny piorun w bezdeszczową noc.

— Doktorze, niech mi pan pomoże go ubrać — powiedziała, wskazując na swego obrońcę leżącego na łóżku. — Niech pan przynajmniej tyle dla mnie zrobi, skoro zdradzić mnie pójdzie pan później.

Wyraźnie drgnął na słowo „zdradzić”.

Wcześniej posłała Chrisa na górę, żeby wziął z garderoby Brenkshawa koszulę, sweter, kurtkę, spodnie, skarpetki i buty. Lekarz nie był tak umięśniony jak jej obrońca, ale wymiary mieli podobne.

Teraz ranny mężczyzna miał na sobie tylko swoje przesączone krwią spodnie, ale Laura wiedziała, że nie będzie miała czasu nałożyć mu wszystkich części garderoby.

— Niech mi pan pomoże włożyć na niego kurtkę, doktorze. Zabiorę ze sobą resztę i ubiorę go później. W kurtce będzie mu wystarczająco ciepło.

Niechętnie podnosząc na łóżku nieprzytomnego mężczyznę do pozycji siedzącej, lekarz powiedział:

— Nie powinno się go ruszać.

Nie zwracając uwagi na Brenkshawa, usiłując włożyć prawe ramię rannego mężczyzny w rękaw watowanej, sztruksowej kurtki, Laura odezwała się:

— Chris, idź do poczekalni od frontu. Jest tam ciemno, nie zapalaj światła. Podejdź do okna, rozejrzyj się dobrze i, na miłość boską, nie pozwól, żeby ktoś zobaczył ciebie.

— Myślisz, że są tutaj? — spytał lękliwie chłopiec.

— Jeżeli nie w tej chwili, będą wkrótce — powiedziała, wpychając lewą rękę swego obrońcy w rękaw kurtki.

— O czym pani mówi? — zapytał Brenkshaw, kiedy Chris pomknął do ciemnej poczekalni przez przylegające do niej biuro.

Laura nie odpowiedziała na pytanie.

— Dalej, przełóżmy go na fotel.

196

Razem podnieśli rannego z łóżka i na fotelu zacisnęli pas bezpieczeństwa wokół jego bioder.

Kiedy Laura pakowała pozostałe części ubrania i dwa słoiki z lekarstwami w tobołek, owijając ubrania wokół słoików i zawiązując to razem rękawami od koszuli, Chris przybiegł pędem z poczekalni.

— Mamo, właśnie są, to muszą być oni, dwa wozy pełne mężczyzn z drugiej strony ulicy, w każdym razie jest ich sześciu czy ośmiu. Co robimy?

— Do diabła — powiedziała — nie dostaniemy się teraz do dżipa. — I nie możemy wyjść bocznymi drzwiami, bo zobaczą nas od frontu.

Brenkshaw pospieszył do biura.

— Wezwę policję...

— Nie! — Złożyła tobołek z ubraniami i lekarstwami na fotel między nogami swego obrońcy; położyła tam również swoją torbę i złapała uzi i kaliber 38 chief's special.

— Nie ma na to czasu, niech to szlag... Dostaną się tu w parę minut i wytluką nas. Musi mi pan pomóc wywieźć ten fotel przez werandę na tyły domu.

Wydawało się, że jej paniczny strach w końcu udzielił się lekarzowi, bo nie wahał się ani nie utrudniał jej pracy. Złapał za fotel, pchnął szybko poprzez drzwi łączące gabinet z hallem. Laura i Chris spieszyli za nim mrocznym korytarzem, a potem przez kuchnię oświetloną tylko przez cyfrowe zegary piecyka elektrycznego i mikrofalowej kuchenki. Fotel podskoczył na progu między kuchnią a werandą, ale ranny miał za sobą gorsze przejścia niż to pojedyncze szarpnięcie.

Powiesiwszy uzi na ramieniu i zatknąwszy rewolwer za pasek od spodni, Laura szła szybko obok Brenkshawa. Na stopniach werandy ujęła fotel od przodu, pomagając mu się łagodnie stoczyć na betonową nawierzchnię ścieżki.

Spojrzała na alejkę pomiędzy domem a garażem, na wpół przekonana, że zobaczy nadchodzącego stamtąd uzbrojonego człowieka i wyszeptała do lekarza:

— Musi pan iść z nami. Zabiją pana, jeżeli pan tu zostanie, to pewne.

Znowu nie sprzeczał się, ale szedł za Chrisem, kiedy chłopiec spieszył w dół ścieżki i dalej poprzez trawnik do furtki w sekwojowym płocie na tyłach rozległej posesji. Zsunąwszy uzi z ramienia, Laura szła ostatnia, gotowa obrócić się i otworzyć ogień, jeśliby tylko usłyszała za plecami dobiegający od strony domu hałas.

Kiedy Chris dotarł do furtki, ta otworzyła się i z uliczki wszedł przez nią ubrany na czarno mężczyzna. Był ciemniejszy niż spowijająca ich noc, tylko ręce i twarz bieleły mu jak światło księżycy. Zdawał się równie zdumiony ich widokiem, jak oni jego. Musiał nadejść ulicą biegnącą wzdłuż domu, potem skręcając w małą, tylną uliczkę, by zająć pozycję od tej strony. W lewej ręce trzymał ciemno pobłyskujący pistolet automatyczny. Nie był gotowy do strzału, ale mężczyzna zaczął go podnosić. Laura nie mogła go zdmuchnąć, nie zabijając przy tym własnego syna, ale Chris zareagował tak, jak miesiącami uczył go Henry Takahami. Z szybkiego obrotu kopnął go w prawe przed

ramię, wytrącając broń z ręki — upadła na trawę, wydając miękki, cichy brzęk — a potem kopnął ponownie przeciwnika w krocze; mężczyzna w czerni z jękiem grzmotnął o słupek furtki.

Laura wysunęła się zza fotela, zajmując pozycję między zabójcą a Chrisem. Odwróciła uzi, podniosła nad głowę i spuściła całym ciężarem na czaszkę mordercy. Uderzyła powtórnie z całej siły, a on padł na trawę obok ścieżki, nie mając nawet możliwości wydania głosu.

Wydarzenia zaczęły teraz biec szybko, za szybko, jakby znaleźli się na stromym zjeździe. Chris, a za nim Laura już przekraczali furtkę, gdy zaskoczyli drugiego mężczyznę w czerni; z oczami jak dziury w białej twarzy wyglądał jak wampir. Był poza zasięgiem kopnięcia karate, więc musiała otworzyć ogień, zanim zdążył użyć swojej broni. Wypaliła ponad głowę Chrisa, trafając blisko siebie kilkoma pociskami: w klatkę piersiową, w szyję i gardło napastnika; kule odcięły mu głowę, odrzucając go na chodnik.

Brenkshaw ostatni minął furtkę, pchając fotel w dół uliczki. Laura czuła, że pakowanie go w tę

historię nie jest w porządku, ale teraz nie było już odwrotu. Tylna uliczka była wąska, ściśnięta z obu stron przez ogrodzenie posesji, z których każda na tyłach miała garaże i upchane pojemniki na śmieci. Uliczkę oświetlało jedynie słabe światło stojących na rogach lamp.

— Niech pan go przewiezie na drugą stronę, parę domów dalej — powiedziała Laura do Brenkshawa. — Znajdźcie otwartą furtkę i wepchnijcie go na czyjś teren, żeby zniknął z oczu. Chris, idziesz z nim.

— A co z tobą?

— Dojdę do was za sekundę.

— Mamo...

— Idź, Chris! — powiedziała, bo lekarz odjechał już z fotelem pięćdziesiąt stóp, przecinając uliczkę.

Kiedy chłopiec podreptał niechętnie za medykiem, Laura wróciła do otwartej furtki w sekwojowym płocie na tyłach posesji Brenkshawa. Zdażyła w samą porę, aby ujrzeć dwie ciemne postaci wymykające się z alejki między domem a garażem, trzydzieści jardów od niej, prawie niewidoczne, zauważalne tylko dlatego, że były w ruchu. Biegli pochyleni, jeden z nich zmierzał w kierunku werandy, a drugi w stronę trawnika, ponieważ nie wiedzieli jeszcze dokładnie, gdzie mają spodziewać się kłopotów i skąd padły strzały.

Weszła przez furtkę na ścieżkę i, zanim ją spostrzegli, otworzyła do nich ogień, zasypując tył domu gradem kul. Choć nie był to szczyt jej możliwości strzeleckich, przeciwnicy znaleźli się w polu rażenia — dziewięćdziesiąt stóp to niedaleko — i dali nura, żeby zejść z linii ognia. Nie potrafiła osądzić, czy ich trafiła i nie kontynuowała ognia, ponieważ nawet magazynek uzi na setkę pocisków, wyrzucanych w krótkich seriach, opróżnia się szybko, a teraz była to jej jedyna automatyczna broń. Wycofała się przez furtkę i pobiegła za Brenkshawem i Chrisem.

198

Wchodzili właśnie przez kutą bramę na tyły posesji po drugiej stronie uliczki, dwa domy dalej. Kiedy tam dotarła i weszła na podwórze, zauważyła, że stare krzewy zostały zasadzone wzdłuż żelaznego ogrodzenia po obu stronach bramy. Zarosły jak gęsty żywopłot i nikt z uliczki nie byłby w stanie ich dostrzec, chyba że stanąłby na wprost bramy.

Lekarz przepchnął fotel na drugą stronę domu. Dom był w stylu elżbietańskim, nie wiktoriańskim, jak u Brenkshawa, ale także mógł mieć pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat. Doktor minął już róg domu i zmierzał wzdłuż jego boku po podjeździe, kierując się ku następnej, tym razem dużej ulicy.

Światła rozbłyskiwały w oknach, a była pewna, że również tam, gdzie się nie zapaliły, do okien przyłgnęły twarze, ale nie sądziła, żeby ktokolwiek był w stanie wiele dojrzeć.

Dotarła do Brenkshawa i Chrisa znajdujących się teraz przed domem; zatrzymała ich w cieniu jakiegoś rozrośniętego krzaka.

— Doktorku, niech pan tu zaczeka ze swoim pacjentem — wyszeptała.

Lekarz trząśł się i modliła się do Boga, żeby nie dostał ataku serca, ale zachował jeszcze nieco sił.

— Zaczekam.

Wyszła z Chrisem na następną ulicę, gdzie co najmniej kilka samochodów parkowało przy obu krawężnikach. W niebieskim świetle lampy ulicznej jej chłopiec nie wyglądał tak źle, jak się obawiała, nie był tak przerażony jak lekarz; przyzwyczajając się do sytuacji wyzwalających paniczny

strach.

— Dobra, sprawdzimy te samochody. Ty bierzesz tę stronę, a ja tę dalszą. Jeżeli będą otwarte drzwi, poszukaj kluczy w stacyjce, pod siedzeniem kierowcy i za osłonami słonecznymi.

— Nie ma sprawy.

Zbierając kiedyś materiały do książki, w której drugoplanową postacią był złodziej samochodów, dowiedziała się między innymi, że przeciętnie jeden na siedemnaście kierowców zostawia na noc klucze w samochodzie. Miała nadzieję, że ta liczba zwiększy się na jej korzyść w takim miejscu jak San Bernardino; w gruncie rzeczy w Nowym Jorku, Chicago, LA i innych wielkich miastach nikt poza masochistami nie zostawiał kluczy w samochodzie, więc aby przeciętnie wypadło to jak jeden do siedemnaście, musiało być więcej ufnych ludzi wśród mieszkańców pozostałych miast Ameryki.

Usiłowała śledzić Chrisa wzrokiem, kiedy sprawdzała drzwi wozów po dalszej stronie ulicy, ale wkrótce straciła go z oczu. Z pierwszych ośmiu samochodów cztery nie były zamknięte, ale w żadnym nie było kluczyków.

Z daleka zaczęło narastać wycie syren.

To chyba odstraszy ludzi w czerni. W każdym razie było najbardziej prawdopodobne, że szukali dalej wzdłuż uliczki za domem Brenkshawa, unikając pośpiechu, aby nie wejść pod lufę.

199

Laura poruszała się śmiało, nie zachowując ostrożności, nie dbając, czy zostanie dostrzeżona przez mieszkańców sąsiednich domów. Ulica była wysadzona rozłożystymi palmami karłowatymi, które dobrze ją zasłaniały. A w każdym razie, gdyby ktoś obudził się o tej porze w środku nocy, to prawdopodobnie stałby teraz przy oknie na piętrze, spoglądając daleko ku domowi Brenkshawa, skąd dobiegały strzały. Nie wysyłałby raczej oczu, usiłując dojrzeć między palmami, co też dzieje się na jego spokojnej ulicy.

Dziewiątym samochodem był oldsmobile cutlass i miał klucze od stacyjki pod siedzeniem. Właśnie kiedy zapaliła silnik i zamknęła drzwi, Chris znalazł się przy samochodzie od strony pasażera, prezentując jej pęk znalezionych kluczy.

— Nowa toyota — powiedział.

— Ten będzie dobry — odparła.

Syreny wyły coraz bliżej.

Chris cisnął klucze toyoty, wskoczył do oldsmobila i razem podjechali do domu stojącego po drugiej stronie ulicy, przy rogu, gdzie doktor czekał na zacięzionym podjeździe. Tu światła nie zapaliły się jeszcze. Może mieli szczęście, a może w domu nie było nikogo. Podnieśli jej obrońcę z fotela i opuścili go na tylne siedzenie.

Syreny wyły teraz bardzo blisko i rzeczywiście patrol policyjny z czerwonym migającym światłem alarmowym przemknął boczną ulicą z odległej strony kwartału, zmierzając ku kwartałowi Brenkshawa.

— Z panem wszystko w porządku, doktorze? — spytała, zwracając się do niego i równocześnie zamykając tylne drzwi oldsmobila.

Opadł na fotel inwalidzki.

— Żadnej apopleksji, jeżeli tego pani się obawia. Co, do diabła, panią spotkało, dziewczyno?

— Nie mam czasu, doktorku. Muszę spływać.

— Posłuchaj — powiedział — może im nie powiem.

— Powiesz, powiesz — odparła. — Tak ci się wydaje, że nie, ale powiesz im wszystko. Gdybyś nie zamierzał im tego powiedzieć, to nie byłoby raportu policyjnego i artykułu w gazecie, a bez tego zapisu w przyszłości ci bandyci nie mogliby mnie znaleźć.

— Co oznacza ten bełkot?

Pochyliła się i pocałowała go w policzek.

— Nie mam czasu na wyjaśnienia, doktorku. Dzięki za pomoc. I przepraszam, ale muszę zabrać ci ten fotel.

Złożył go sam i wepchnął do bagażnika. Noc była teraz wypełniona wyciem syren. Siadła za kierownicą i zatrzasnęła drzwi.

— Pasy, Chris.

— Zapięte — powiedział.

Skręciła w lewo na końcu podjazdu i podjechała do dalszego końca kwartału, oddalając się od domu Brenkshawa, a zmierzając ku ulicy, którą przed momentem prze

200

mknął wóz patrolowy. Wyobraziła sobie, że jeżeli policja przyjedzie tu w odpowiedzi na doniesienia o strzałach z broni automatycznej, to będą to różne patrole przybywające z różnych obszarów miasta, więc może żaden inny wóz nie nadjedzie już tą samą drogą. Szeroka aleja była prawie opustoszała, a jedyne pojazdy, jakie dostrzegła, nie miały na dachach migających świateł. Skręciła w prawo, oddalając się coraz bardziej od domu Brenkshawa, przecinając San Bernardino i zastanawiając się, gdzie szukać schronienia.

3.

Laura dotarła do Riverside o 3.15 rano; ukradła z cichej, willowej ulicy buicka, przetransportowała do niego swego obrońcę i porzuciła oldsmobila. Podczas całej tej operacji Chris spał i trzeba go było przenosić z wozu do wozu.

W pół godziny później w innej okolicy, padając z braku snu i wyczerpania, ukradła komplet tablic rejestracyjnych z nissana. Użyła do tego celu śrubokręta z zestawu narzędziowego buicka. Tablice z nissana założyła na buicka, a tablice z tego ostatniego schowała do bagażnika, ponieważ mogły trafić do policyjnych wykazów skradzionych wozów.

Może minąć parę dni, zanim właściciel nissana zauważy brak tablic, a jeśli nawet zgłosi ich zniknięcie, policja potraktuje to doniesienie z dużo mniejszą uwagą niż kradzież samochodu. Tablice zwykle bywały odkręcane przez robiące głupie kawały dzieci lub przez chuliganów, a ich odnalezienie dla przepracowanej, zajętej poważnymi przestępstwami policji nie było sprawą

najważniejszą. To jeszcze jeden pożyteczny fakt, jaki udało się jej ustalić podczas zbierania materiałów do książki, w której złodziej samochodów odgrywał jedną z drugorzędnych ról.

Zatrzymała się wystarczająco długo, aby przebrać swego obrońcę w wełniane skarpetki, buty i sweter z wykładanym kołnierzem. Teraz przynajmniej nie dostanie dreszczy. W pewnej chwili otworzył oczy, zamrugał na widok Laury i wypowiedział jej imię. Pomyślała, że dochodzi do siebie, ale potem znów stracił przytomność, mrucząc coś w języku, którego nie mogła zidentyfikować, gdyż żadne ze słów nie docierało do niej wyraźnie.

Przejechała z Riverside do Yorba Linda w Okręgu Orange, gdzie o 4:50 rano zaparkowała w rogu parkingu supermarketu Ralpa, obok miejsca, w którym organizacja dobroczynna prowadziła zbiórki dla ubogich. Zgasła silnik i światła, odpięła pasy. Chris, nadal zapięty pasami, spał mocno z głową opartą o drzwi. Leżący na tylnym siedzeniu obrońca był wciąż nieprzytomny, choć przy oddychaniu już tak nie charczał, jak przed wizytą u Cartera Brenkshawa. Laura nie sądziła, że zdolna będzie zasnąć, miała tylko zamiar zebrać myśli i dać odpocząć oczom, ale po minucie czy dwóch już spała.

201

Po tym, jak zabiła przynajmniej troje ludzi, wielokrotnie znajdowała się pod ostrzałem, ukradła dwa samochody, przeżyła śmiertelny pościg przez trzy okręgi — można było oczekiwać, że jej sny będą snami o śmierci, rozszarpywanych ciałach i rozlanej krwi, a tłem dźwiękowym tych koszmarów będzie grzechot broni automatycznej. Można było przypuszczać, że będzie śniła o stracie Chrisa, bo był jednym z dwóch ostatnich źródeł światła w otaczających ją ciemnościach: on i □elma. Przerazała ją myśl o życiu bez niego. Ale zamiast tego śniła o Dannym i nie były to koszmary, ale cudowne sny. Danny był znowu pełen życia i powtórnie przeżywali sprzedaż Shadrach za ponad milion dolarów, ale Chris był tam również i miał osiem lat, choć w istocie Chrisa nie było przecież wtedy na świecie. Świętowali jej szczęśliwy los, spędzając dzień w Disneylandzie, gdzie całą trójką zrobili sobie zdjęcie z Myszką Miki, a w Pawilonie Goździków Danny powiedział jej, że ją kocha po wieczne czasy, podczas kiedy Chris udawał, że potrafi wyłącznie chrumkać w chrząkliwym języku świń, którego nauczył się od Carla Dockweilera, siedzącego przy następnym stoliku z Niną i z ojcem Laury, a przy innym siedziały zadziwiające bliźniaczki Ackerson, zajadając lody truskawkowe z orzechami i polewą czekoladową...

Obudziła się po trzech godzinach, o 8.26. Czowała się wypoczęta zarówno dzięki duchowemu kontaktowi z najbliższymi, za który odpowiedzialna była jej podświadomość, jak i dzięki samemu snowi. Światło słoneczne padające z bezchmurnego nieba połyskiwało na chromowanych częściach samochodu i wpadało jasnymi strzałami koloru miedzi przez tylną szybę. Chris dalej spał. Na tylnym siedzeniu ranny mężczyzna nie odzyskał przytomności. Zaryzykowała szybki spacer do budki telefonicznej przy supermarkecie. Samochód miała w zasięgu wzroku. Wrzucając drobne, znalezione w torebce, zadzwoniła do Idy Palomar, prywatnej nauczycielki Chrisa z Arrowhead, aby powiedzieć jej, że nie będzie ich w domu przez resztę tygodnia. Nie chciała narażać biednej Idy na niespodziewane znalezienie się w zrytym kulami, poplamionym krwią domu, w którym z pewnością harowały już ciężko policyjne ekipy śledcze. Nie powiedziała Idzie, skąd dzwoni, niemniej jednak nie zamierzała pozostawać w Yorba Linda dużo dłużej.

Po powrocie do wozu usiadła, ziewając, przeciągając się i masując sobie kark, obserwując

równocześnie, jak kilkaset stóp dalej poranni klienci wchodzą i wychodzą z supermarketu. Była głodna. Chris obudził się po niecałych dziesięciu minutach ze sklejonymi od snu oczami i nieświeżym oddechem. Dała mu pieniądze, by poszedł do sklepu i kupił torebkę słodkich bułeczek i dwa kartonowe opakowania soku pomarańczowego, co może nie było najbardziej pożywnym śniadaniem, ale miało im dostarczyć niezbędnej energii.

— A co z nim? — spytał Chris, wskazując na jej obrońcę.

Pamiętała ostrzeżenia doktora Brenkshawa o ryzyku odwodnienia pacjenta, ale wiedziała również, że nie może pozostającemu w stanie śpiączki wlewać na siłę płynów, bo zadławi się na śmierć.

202

— No... przynieś jeszcze jeden sok. Może uda mi się go obudzić.

Kiedy Chris wysiadł z auta, powiedziała:

— Mógłbyś kupić też coś na lunch — coś, co się nie zepsuje, powiedzmy bochenek chleba i słoik masła orzechowego. I weź jeden dezodorant i szampon.

Uśmiechnął się szeroko:

— Dlaczego nie pozwalasz mi tak jeść w domu?

— Bo jak nie będziesz odżywiał się właściwie, to będziesz miał jeszcze większy mętlik w głowie niż teraz, mój mały.

— Dziwię ci się, że nawet kiedy uciekamy przed wynajętymi mordercami, nie wzięłaś ze sobą kuchenki mikrofalowej, świeżych jarzyn i butli witamin.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że jestem dobrą, ale nadopiekuńczą matką? Komplement przyjęty, krytyka zostanie rozpatrzona. Teraz wynocha.

Zaczął zamykać drzwi...

Powiedziała:

— Ale, Chris...

— Wiem: uważaj.

Kiedy Chris odmaszerował, zaczęła słuchać wiadomości porannych. Wysłuchiwała informacji o sobie: o wypadkach w jej domu koło Big Bear, o strzelaninie w San Bernardino. Jak większość informacji i ta była niedokładna, poprzekręcana i miała niewiele sensu. Ale stanowiła potwierdzenie faktu, że policja szuka jej w południowej Kalifornii. Według reportera władze spodziewały się znaleźć ją szybko — głównie dlatego, że jej twarz była szeroko znana.

Ostatniej nocy było dla niej szokiem, kiedy Carter Brenkshaw rozpoznał ją jako sławną pisarkę Laurę Shane. Nie myślała o sobie jako o kimś sławnym; była tylko autorką powieści, prządką bajek, która na warsztacie języka tkła ze słów specjalną tkaninę. Odbyła tylko jedno tournée promocyjne przy okazji pierwszej powieści; zienawidziła ten koszmar i nie powtórzyła go nigdy. Nie była też regularnym gościem telewizyjnych spotkań. Nigdy nie zachwalała żadnego produktu w reklamach TV, nigdy nie pojawiła się publicznie, aby popierać jakiegoś politycznego kandydata i — generalnie rzecz biorąc — starała się stronić od tego cyrku, jakim były środki masowego przekazu. Stosowała się do tradycji, każącej umieszczać fotografię autora na tylnej stronie okładki, ponieważ wydawało się jej to nieszkodliwe, a także dlatego, że w wieku trzydziestu trzech lat mogła bez specjalnego zażenowania stwierdzić, że jest niezwykle atrakcyjną kobietą — ale nigdy nie wyobrażała sobie, że

ma (jak to określiła policja) szeroko znaną twarz.

Teraz była skonsternowana — i to nie tylko dlatego, że utrata anonimowości łatwo sprowadzi jej na kark policję. Było coś dużo gorszego: wiedziała, że osiągnięcie we współczesnej Ameryce statusu „sławy” oznacza utratę zdolności samokrytycznych i gwałtowny spadek możliwości twórczych. Niewielu pisarzy, zostawszy osobami pu

203

blicznymi, potrafiło dalej pisać; większość, jak się wydawało, ulegała deprawacji w blasku jupiterów. Laura obawiała się tej pułapki prawie tak samo, jak ujęcia przez policję.

Nagle z pewnym zdziwieniem uświadomiła sobie, że jeżeli jest zdolna lękać się sławy i utraty swego artystycznego „ja”, to wciąż musi wierzyć w bezpieczną przyszłość, kiedy będzie mogła nadal pisać książki. W nocy były momenty, gdy przysięgała sobie walczyć aż do śmierci, nie poddawać się aż do krwawego końca, aby tylko uchronić swego syna — ale cały czas czuła, że ich sytuacja jest w istocie beznadziejna, ich wróg zbyt potężny i nieosiągalny, aby można było go zniszczyć. Teraz coś ją odmieniło, zwróciło ku nieśmiałości, ostrożnemu optymizmowi.

Może to sen.

Chris wrócił z dużą paczką bułeczek posypanych cynamonem i orzeszkami, trzema opakowaniami soku pomarańczowego i pozostałymi artykułami. Zjedli bułeczki, wypili sok — i nigdy nic im lepiej nie smakowało.

Kiedy sama skończyła jeść, przesiadła się do tyłu, próbując dobudzić swego obrońcę. Bez rezultatu. Oddała trzeci sok Chrisowi i powiedziała:

— Zatrzymaj to dla niego. Prawdopodobnie niedługo się obudzi.

— Jeżeli nie może pić, to i nie może wziąć penicyliny — powiedział Chris.

— Przez parę godzin nie musi jeszcze jej przyjmować. Doktor Brenkshaw dał mu w nocy bardzo silny zastrzyk i lek jeszcze działa.

Ale była zaniepokojona. Jeżeli mężczyzna nie odzyska świadomości, to nigdy nie dowie się o prawdziwej naturze niebezpiecznego labiryntu, w którym teraz się zgubili, i może nigdy nie znaleźć drogi wyjścia.

— Co teraz? — spytał Chris.

— Znajdziemy stację benzynową, umyjemy się, następnie wejdziemy do sklepu z bronią i kupimy amunicję do uzi i rewolweru. A potem... zaczniemy szukać odpowiedniego motelu w miejscowości, w której moglibyśmy się ukryć.

Kiedy zdecydują się już gdzieś dłużej zatrzymać, musi to być przynajmniej pięćdziesiąt mil od domu doktora Brenkshawa — od miejsca, w którym wrogowie znaleźli ich ostatni raz. Ale czy odległość ma jakieś znaczenie dla ludzi, którzy precyzyjnie mierzą swe podróże raczej w dniach i latach niż milach?

Najwięcej moteli tego typu, jakiego szukała, można było znaleźć w niektórych częściach Santa Ana, w okolicach na południe od Anaheim i na przylegających terenach. Nie był jej potrzebny nowoczesny, błyszczący „Red Lion Inn” czy „Howard Johnson's Motor Lodge” z kolorowymi telewizorami, puszystymi dywanami i podgrzewanym basenem pływackim, ponieważ w cieszących się dobrą sławą przedsiębiorstwach wymagano ważnych dokumentów tożsamości i uznawanej

powszechnie karty kredytowej, a ona nie śmiała zostawić za sobą śladów pobytu, które mogły sprowadzić na jej trop policję lub morderców. Szukała motelu, który by nie był ani tak czysty, ani tak dobrze utrzymany, aby przyciągnąć turystów. Szukała sypiącego się domu, którego właścicie

le byliby szczęśliwi, że w ogóle ktoś się zjawił i że płaci gotówką i niechętnie zadawaliby pytania, które odstraszą klientów.

Wiedziała, że nie będzie jej łatwo znaleźć pokój i nie była zaskoczona, że pierwsze dwanaście moteli, do których weszła, albo nie mogło, albo nie chciało jej przyjąć.

W trzynastym motelu, „Szczęśliwy Drozd”, osobiście zarządzający nim właściciel żywił jeszcze nadzieję na przyciągnięcie turystów, choćby najpośledniejszej kategorii. Nie uległ pokusie łatwego wzbogacenia się kosztem ubogich emigrantów.

Motel miał trzy skrzydła w kształcie litery U, z parkingiem pośrodku, a ich pokój znajdował się w prawym rogu tylnego skrzydła. Laura i Chris rozłożyli fotel inwalidzki i posadzili na nim rannego, nie próbując tego ukryć, jakby po prostu zajmowali się niepełnosprawną osobą. Ubrany od stóp do głów, z ukrytymi ranami, jej obrońca mógł ujść za chorego na obustronny paraliż, wyjąwszy odmienny sposób, w jaki głowa opadała mu na ramiona.

Ich pokój okazał się mały, ale dość czysty. Dywan był wyleniały, ale niedawno czyszczony, a parę kłębków kurzu w jednym rogu nie urosło jeszcze do rozmiarów wędrujących chwastów pustynnych. Kapa w kasztanową kratę na łożu królewskich rozmiarów była wystrzępiona na brzegach, a jej wzór był nieco zbyt spokojny, aby ukryć dwie łaty, ale prześcieradła były sztywne i unosił się nad nimi lekki zapach detergentów. Przenieśli jej obrońcę z fotela na łóżko i podłożyli mu pod głowę dwie poduszki. Siedemnastocalowy telewizor był solidnie przykręcony do stołu o laminatowym blacie, którego tylne nogi z kolei przyśrubowano do podłogi. Chris siadł na jednym z dwóch krzeseł nie od pary i obracał skrzypiący przełącznik kanałów w poszukiwaniu jakiejś kreskówki albo starej komedii. Pozostał przy Get Smart, narzekając, że jest to „zbyt głupie, żeby było śmieszne”, a Laura zastanawiała się, ilu chłopców w jego wieku pomyślałoby podobnie.

Usiadła na drugim krześle.

— Dlaczego nie idziesz pod prysznic?

— A potem mam włożyć to samo ubranie? — spytał głosem wyrażającym wątpliwość.

— Wiem, że brzmi to jak czyste szaleństwo, ale spróbuj. Gwarantuję, że poczujesz się czystszy nawet w nieświeżym ubraniu.

— Ale po całej tej męce z prysznicem wchodzić w wymięte rzeczy?

— A od kiedy to jesteś taki picuś-glancuś, że parę zmarszczek jest w stanie cię załamać?

Uśmiechnął się szeroko, wstał z krzesła i przedelfował do łazienki krokiem, który według niego miał naśladować ruchy zaprzysięgłego eleganta.

— Król i królowa będą zaszokowani, kiedy zobaczą mnie tak zaniedbanego.

— Każemy im założyć końskie okulary, kiedy wpadną z wizytą.

Po sekundzie wrócił z łazienki.

— W klozecie pływa zdechły robak. Myślę, że to karaluch, ale nie jestem pewny.

— A czy gatunek odgrywa tu jakąś rolę? Będziemy zawiadamiać krewnych?

Chris wybuchnął śmiechem. Boże, uwielbiała, jak się śmiał. Spytał:

— Co mam zrobić — spłukać go?

— Możesz go wyłowić, włożyć do pudełka po zapalkach i pogrzebać na trawniku za ścianą.

Roześmiał się znowu:

— Nic z tego. Pogrzeb na morzu.

Z łazienki dobiegł odgłos imitujący żałobny trzel marynarskich gwizdków, a potem odgłos spuszczonej wody.

Kiedy chłopiec brał prysznic, skończyło się Get Smart, a zaczęło e Harlem Globtrotters on Gilligan's Island. Laura właściwie tego nie oglądała, ale zostawiła włączony odbiornik, żeby tworzył dźwiękowe tło. Jednak nawet zaabsorbowana ucieczką kobieta posiada ograniczoną odporność na lejącą się z ekranu głupotę, toteż szybko zmieniła na kanał jedenasty i magazyn kulturalny.

Przez chwilę patrzyła na swego obrońcę i jego nienaturalna senność zaczęła ją niepokoić. Parę razy odsuwała zasłony na tyle, żeby omieść wzrokiem motelowy parking, ale absolutnie nikt nie mógł mieć pojęcia, gdzie się znajdują, a więc bezpośrednio niebezpieczeństwo im nie zagrażało. Wpatrywała się obojętnie w ekran telewizora, aż częściowo uległa jego hipnotycznemu wpływowi. Gospodarz Hour Magazine przeprowadzał wywiad z młodym aktorem, który jednostajnym głosem buczał coś na swój temat, nie zawsze z sensem. Po chwili dotarło do niej, że powtarza coś o wodzie i zaczęła podsypiać, gdyż jego uparte gładzenie działało równocześnie hipnotycznie i nużąco.

— Mamo?

Zamrugła, prostując się na krześle, i zobaczyła Chrisa w drzwiach łazienki. Właśnie wyszedł spod prysznica z mokrą głową i miał na sobie tylko majtki. Widok jego chudego chłopięcego ciała — sama skóra i kości — chwycił ją za serce, bo wyglądał niewinnie i bezbrinnie. Był tak drobny i kruchy, że zastanowiła się, jak zdoła go uchronić i lęk urósł w niej na nowo.

— Mamo, on coś mówi — Chris wskazał mężczyznę na łóżku. — Nie słyszałaś? On coś mówi.

— Wody — wykrztusił chrapliwym szeptem. — Wody.

Nie spał już, próbował się wyprostować, ale brakowało mu sił. Skierowane na nią niebieskie nabiegłe krwią oczy były szeroko otwarte i malowała się w nich czujność i uwaga.

— Pić — powiedział.

Zawołała:

— Chris...

Już tam był ze szklanką wody przyniesioną z łazienki.

Usiadła na łóżku obok swego obrońcy, podniosła mu głowę, wzięła szklankę od Chrisa i pomogła rannemu mężczyźnie się napić. Pozwoliła mu tylko pociągać drobnymi łyčzkami w obawie, żeby się

nie zakrztusił. Wargi miał spękane od gorączki, a język pokrywała mu biała flegma, jakby najadł się popiołu. Wypił ponad jedną trzecią szklanki, a potem pokazał, że ma dosyć.

Opuściła jego głowę na poduszkę i dotknęła czoła:

— Nie jest już tak rozpalony.

Przetoczył głowę z jednej strony na drugą, usiłując rozejrzeć się po pokoju. Mimo wypitej wody głos miał suchy, jakby wypalony.

— Gdzie jesteśmy?

— W bezpiecznym miejscu — odpowiedziała.

— Nigdzie... nie jest bezpiecznie.

— Udało się nam więcej zrozumieć z tej zwariowanej sytuacji, niż sobie wyobrażasz — powiedziała mu.

— Taak — powiedział Chris lokując się obok matki. — Wiemy, że jest pan podróżnikiem w czasie!

Mężczyzna popatrzył na chłopca, uśmiechnął się słabo i skrzywił z bólu.

— Mamy lekarstwa — powiedziała. — Środki uśmierzające.

— Nie. Nie teraz. Może potem. Mogę więcej wody?

Laura podniosła go powtórnie i tym razem wypił większość z tego, co zostało w szklance. Nie zapomniała o penicylinie i włożyła mu do ust pastylkę. Popił ją dwoma ostatnimi łykami.

— Z jakiego czasu pan jest? — spytał Chris, bardzo zaniepokojony, nie zwracając uwagi na krople wody, które spływały mu z mokrej głowy na twarz. — Skąd?

— Kochanie — powiedziała Laura — on jest bardzo osłabiony i nie uważam, że powinniśmy go teraz męczyć zbyt wieloma pytaniami.

— Tyle w każdym razie może nam powiedzieć, mamo.

Chris zwrócił się do rannego mężczyzny:

— Z jakiego czasu pan pochodzi?

Popatrzył na Chrisa, potem na Laurę i wyraz lęku znów pojawił się w jego oczach.

— Z jakich czasów pan przywędrował? Z dwutysięcznego setnego? trzeczysięcznego?

Swym suchym jak szeleszczący papier głosem obrońca powiedział:

— Z tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego.

Ta odrobina aktywności wyraźnie go wyczerpała, gdyż powieki opadły mu, a głos zabrzmiał słabiej niż poprzednio. Laura była pewna, że znów zapadnie w śpiączkę.

— Co? — spytał Chris, oszołomiony odpowiedzią.

— Tysiąc dziewięćset czterdziesty czwarty.

— To niemożliwe — powiedział Chris.

— Berlin — odezwał się jej obrońca.

— Jest nieprzytomny — wyjaśniła Laura Chrisowi.

Głos zabrzmiał mu bełkotliwie od zmęczenia, ale to, co powiedział, nie pozostawiało wątpliwości.

— Berlin.

— Berlin? — powtórzył Chris. — Masz na myśli Berlin w Niemczech?

Ranny mężczyzna zasnął, ale nie była to już chorobliwa śpiączka, lecz sen niosący zdrowie. Natychmiast potwierdziło to lekkie chrapanie; tylko jeszcze na moment przed odpłynięciem w sen powiedział:

— W nazistowskich Niemczech.

4.

W telewizji leciało teraz One Life to Live, ale ani ona, ani Chris nie zwracali uwagi na tę mydlaną operę. Przysunęli oba krzesła do łóżka, aby być bliżej śpiącego mężczyzny. Chris ubrał się i włosy prawie mu wyschły, choć na karku pozostały jeszcze wilgotne pasma. Laura czuła się jak oblepiona brudem i marzyła o prysznicu, ale nie zamierzała opuścić swego obrońcy, bo mógł ocknąć się znowu i przemówić. Rozmawiała szeptem z chłopcem.

— Chris, właśnie do mnie dotarło, że gdyby ci ludzie byli z przyszłości, to czy napadając na nas nie mieliby broni laserowej albo czegoś takiego przyszłościowego?

— Nie chcieliby, żeby wszyscy zorientowali się, że są z przyszłości — wyjaśnił Chris. — Mieliby broń i ubrania pasujące do tego, co jest teraz. Ale mam, on powiedział, że jest z...

— Wiem, co powiedział. Ale to nie ma sensu, prawda? Gdyby potrafono podróżować w czasie w roku 1944, to chyba wiedzielibyśmy o tym teraz?

O wpół do drugiej jej obrońca obudził się i przez moment wyglądał na człowieka, który ma trudności z odnalezieniem się w tym miejscu. Poprosił jeszcze o wodę i Laura pomogła mu się napić. Powiedział, że czuje się trochę lepiej, choć jest bardzo słaby i nadal straszliwie śpiący. Poprosił też, by podnieść mu wyżej głowę. Chris wyciągnął dwie dodatkowe poduszki z szafy i pomógł matce unieść rannego.

— Jak się nazywasz? — spytała Laura.

— Stefan. Stefan Krieger.

Powtórzyła miękko to imię, niezbyt melodyjne, ale brzmiące solidnie, po męsku. To jednak nie było imię dla anioła stróża i była nieco rozbawiona, że po tylu latach, włączając w to dwa dziesięciolecia, podczas których utrzymywała, że w niego nie wierzy, dalej oczekiwała, że imię będzie miał muzyczne, nieziemskie.

— I naprawdę przybywasz z...

— Tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku — powtórzył. Wysięk wywołany zmianą pozycji wycisnął na jego czole wyraźne krople potu. Może był to również wynik myśli o miejscu i czasie, w którym rozpoczął tę podróż.

— Z Berlina. Z Niemiec. Ale ta historia zaczyna się w Warszawie, gdzie żył i pracował wybitny polski uczyony, Włodzimierz Penlowski. Jedni uważali go za geniusza, inni za szaleńca. Ja myślę, że

był kompletnie szalony. Pracował nad pewnymi teoriami dotyczącymi natury czasu; zajęło mu to ponad dwadzieścia pięć lat. W 1939 roku Niemcy i Rosja wspólnie najechały na Polskę...

Według Stefana Penlowski był sympatykiem nazistów i z radością przywitał hitlerowskie armie. Być może wiedział, że otrzyma od Hitlera takie finansowe wsparcie na potrzeby swych badań, jakiego nie mógł oczekiwać od trzeźwiej myślących ludzi. Penlowski i jego najbliższy asystent, Władysław Janowski, udali się do Berlina, żeby pod osobistym patronatem Hitlera stworzyć tam instytut zajmujący się badaniem czasu. Został on otoczony taką tajemnicą, że nawet nie nadano mu nazwy. Nazywano go po prostu instytutem. Tam we współpracy z niemieckimi uczonymi, równie zaangażowanymi w badania i także wybiegającymi myślami daleko w przyszłość, finansowany przez niewyczerpane niemal fundusze Trzeciej Rzeszy, Penlowski znalazł sposób na przebicie arterii czasu i dowolne poruszanie się w krwiobiegu dni, miesięcy i lat.

— Blitzstrasse — powiedział Stefan.

— Blitz to znaczy błyskawica — powiedział Chris. — Blitzkrieg to wojna błyskawiczna, jak w tych wszystkich starych filmach.

— A w tym przypadku jest to droga błyskawic, „Piorunowa Droga” — powiedział Stefan. — Droga przez czas. Droga do przyszłości.

Dosłownie mogłaby zostać nazwana Zukun□strasse, czyli „Droga do Przyszłości”, wyjaśniał Stefan, gdyż Włodzimierz Penlowski nie był w stanie odkryć sposobu na przesyłanie ludzi wstecz czasu od stworzonej przez siebie bramy. Można było poruszać się tylko do przodu, w swoją przyszłość, i automatycznie powracać do własnego czasu.

— Chyba istnieje jakiś kosmiczny mechanizm, który uniemożliwia podróżnym w czasie wtrącanie się do ich własnej przeszłości, jeśliby zechcieli zmieniać swoje własne życie. Rozumiecie, gdyby mogli podróżować wstecz w czasie do własnej przeszłości, to powstałyby pewne...

— Paradoksy! — wykrzyknął podniecony Chris.

Stefan wyglądał na zaskoczonego, usłyszawszy to słowo z ust chłopca.

Uśmiechając się Laura powiedziała:

— Jak ci mówiłam, rozmawialiśmy długo o twoim ewentualnym pochodzeniu i podróz w czasie okazała się najbardziej logiczna. A w Chrisie masz tu mojego eksperta od niezwykłości.

— Tak. Paradoks — zgodził się Stefan. — Tak samo to brzmi po angielsku i po niemiecku. Gdyby podróżny w czasie był zdolny powrócić do swojej własnej przeszłości i wywrzeć wpływ na jakieś zdarzenie w historii, taka zmiana miałaby potężne skutki. Odmieniłaby przyszłość, z jakiej przybył. Dlatego też nie byłby w stanie powrócić do takiego samego świata, jaki opuścił...

— Paradoks — powiedział rozpromieniony Chris.

— Paradoks — zgodził się Stefan. — Wydaje się, że natura czuje odrazę do paradoksów i dla zasady nie pozwoli, aby podróz w czasie stworzyła coś takiego. I dzięki Bogu za to. Ponieważ... przypuśćmy, że Hitler wysłałby mordercę wstecz czasu, aby zabił Franklina Roosevelta i Winstona Churchilla na długo przedtem, zanim zdążą objąć wysokie stanowiska. Wtedy wybrano by innych ludzi w USA i Anglii, ludzi miernych, z którymi łatwiej byłoby sobie poradzić i doprowadziłoby to

do triumfu Hitlera w 1944 roku lub wcześniej.

Mówił teraz z takim żarem, na jaki jego stan nie pozwalał, i Laura widziała, ile kosztowało go każde słowo. Pot na jego bladym czole poprzednio prawie już wysechł, ale teraz, mimo że nawet nie gestykulował, znów pojawiły się nowe srebrzyste kropelki. Cienie pod oczami stały się jeszcze ciemniejsze. Ale nie potrafiła wykrzesać z siebie siły, by go powstrzymać od mówienia i kazać mu odpocząć, ponieważ musiała usłyszeć wszystko, co miał do powiedzenia, a i on nie dałby się uciszyć.

— Przypuśćmy, że Führer wysłałby w przeszłość morderców, którzy zabiliby Dwighta Eisenhowera, George'a Pattona, marszałka Montgomery'ego, zabiliby ich w kołyskach, kiedy byli niemowlętami, eliminując ich oraz innych, wszystkie najwybitniejsze talenty wojskowe, jakimi dysponowali alianci. Wtedy większa część świata znalazłaby się do

1944 roku w jego rękach — a w takim razie podróżni w czasie cofnęliby się, aby zabić ludzi, którzy już dawno zostali zabici i nie stanowili zagrożenia. Paradoks, rozumiecie. Ale, dzięki Bogu, natura nie zezwala na takie paradoksy, na żadne ingerencje we własną przeszłość. Gdyby było inaczej, Adolf Hitler zamieniłby cały świat w obóz koncentracyjny i w gigantyczne krematorium.

Milczeli przez chwilę, oszołomieni obrazem takiego piekła na Ziemi. Nawet Chris zareagował na stworzoną przez Stefana wizję tak okrutnie zmienionego świata. Był dzieckiem lat osiemdziesiątych, w których czarne charaktery w kinie i telewizji były zazwyczaj albo żarłocznymi przybyszami z odległych gwiazd, albo nazistami. Swastyka, srebrna trupia czaszka, czarny mundur SS i ten niesamowity fanatyk z małym wąsikiem były dla Chrisa szczególnie przerażające, ponieważ stanowiły część tworzonej przez mass media mitologii, w której dorastał. Laura wiedziała, że prawdziwi ludzie i zdarzenia, kiedy już raz zostaną wchłonięte przez mitologię, w pewien sposób wydają się dzieciom bardziej realne niż codzienna kromka chleba. Stefan mówił dalej:

— Więc z instytutu mogliśmy się tylko udawać w przyszłość, ale miało to również swoje plusy. Mogliśmy przeskoczyć parę dziesięcioleci w przód i przekonać się, czy

210

Niemcy przetrzymają mroczne dni wojny i zdołają jakoś odwrócić niekorzystny bieg wydarzeń. Oczywiście odkryliśmy, że nic takiego się nie udało — Trzecia Rzesza została zdruzgotana. Ale czy korzystając z ogromu wiedzy, zaczerpniętej z przyszłości, nie dałoby się odwrócić biegu historii? Na pewno Hitler mógłby przedsięwziąć jeszcze takie kroki, że nawet w 1944 roku zdołałby uratować Rzeszę. Mogły mu w tym dopomóc pewne rzeczy dostarczone z przyszłości. Mógł jeszcze wygrać wojnę...

— Tak — powiedział Chris — dzięki bombie atomowej!

— Lub wiedzy, jak ją zbudować — dopowiedział Stefan. — W Rzeszy istniał już, jak wiecie, program badań jądrowych i gdyby udało się go wcześniej odpowiednio przyspieszyć, rozbiliby atom...

— Wygraliby wojnę — powiedział Chris.

Stefan poprosił o wodę i tym razem wypił pół szklanki. Chciał utrzymać naczynie w zdrowej ręce, ale za bardzo mu się trzęsła, woda rozlewała się na łóżko i Laura musiała mu pomóc.

Kiedy przemówił znowu, głos momentami mu się załamywał.

— Ponieważ podróżny w czasie porusza się poza czasem, pokonuje nie tylko czas, ale również

przestrzeń. Wyobraźcie go sobie wiszącego nad Ziemią bez ruchu, podczas gdy ziemski glob obraca się pod nim. Oczywiście, w istocie dzieje się to inaczej, ale tak najłatwiej przedstawić sobie jego wędrówkę. Otóż kiedy tak wisi nad światem, to Ziemia obraca się pod nim i jeżeli podróż jest odpowiednio wysterowana, potrafi udać się dokładnie do tego czasu, w jakim znajdzie się w Berlinie, w tym samym mieście, które opuścił przed laty. Ale jeżeli zdecyduje się na podróż parę godzin dłuższą lub krótszą, świat obróci się pod jego stopami i podróżny pojawi się w innym miejscu. Wykonanie obliczeń, według których można zjawić się gdzieś punktualnie, stwarza w moich czasach kolosalne problemy...

— Ale teraz byłoby to łatwe — przerwał Chris — są komputery.

Poszukując wygodniejszej pozycji, Stefan poruszył się na poduszkach i położył drżącą prawą dłoń na zranionym ramieniu, jakby ten dotyk mógł ukoić ból.

— Grupy niemieckich uczonych i towarzyszących im gestapowców zostały w tajemnicy wysłane do różnych miast Europy i Stanów Zjednoczonych w roku 1985 celem zebrania ważnych informacji dotyczących produkcji broni jądrowej. Materiały, jakich poszukiwali, nie były tajne ani trudne do znalezienia. Do tego, co wynikało z ich własnych badań, resztę mogli dodać na podstawie podręczników szkolnych i publikacji naukowych dostępnych w każdej dużej bibliotece uniwersyteckiej w 1985 roku. Cztery dni przed moją ostatnią wyprawą z instytutu grupy te wróciły z

1944 z informacjami, na podstawie których najdalej do jesieni zbudują arsenał nuklearny Trzeciej Rzeszy. Parę tygodni zajmie badanie materiałów, zanim w instytucie zapadną decyzje, jak i gdzie wykorzystać tę wiedzę w niemieckim programie nuklearnym bez ujawniania sposobu, w jaki ją zdobyto. Wiedziałem więc, że muszę zniszczyć instytut

211

— wszystko, co się nań składało, zarówno personel, jak akta — aby zapobiec ukształtowaniu przyszłości przez Adolfa Hitlera.

Laura i Chris słuchali, pochłonięci opowieścią, a Stefan Krieger wyjaśnił im, jak rozlokował materiały wybuchowe w instytucie, jak w ostatnim dniu zastrzelił Penlowskiego, Janowskiego i Wołkowa i tak zaprogramował bramę czasu, aby zaniósł go do Laury, do współczesnej Ameryki.

Ale w ostatniej chwili przed wyruszeniem plan się załamał. Zawiódł państwowy dopływ mocy.

— Mechanizm zegarowy sterujący eksplozją materiałów wybuchowych stanął. Brama nie została zniszczona. Jest ciągle otwarta i ciągle mogą nas dosięgnąć. I... dalej mogą wygrać wojnę.

Laura poczuła, że zaczyna się następny ból głowy. Przyłożyła sobie koniuszki palców do skroni.

— Nie, zaczekaj. Hitlerowi nie może się udać zbudowanie bomby atomowej; nie wygra II wojny światowej, ponieważ my żyjemy w świecie, w którym to się nie zdarzyło. Nie musisz się tym przejmować. Jasne jest, że mimo całej tej wiedzy, jaką zdobyli dzięki bramie, nie udało im się zbudować arsenału nuklearnego.

— Nie — powiedział — do tej pory im się nie udało, ale nie możemy zakładać, że dalej będzie podobnie. Dla tych ludzi w instytucie, w Berlinie w 1944 roku, przeszłość nie może ulec zmianie, jak to już powiedziałem. Nie mogą udać się w podróż w czasie, aby zmienić swoją własną przeszłość. Ale mogą zmienić swoją przyszłość, a tym samym i naszą, ponieważ przyszłość podróżującego w

czasie podlega zmianie i może on przedsięwziąć kroki, które ją zmieniają.

— Ale jego przyszłość jest moją przeszłością — powiedziała Laura. — A jeżeli jego przeszłość nie może ulec zmianie, to jak może on zmienić moją?

— Taak — powiedział Chris. — Paradoks.

— Posłuchaj, nie przeżyłam ostatnich trzydziestu trzech lat w świecie rządzonym przez Adolfa Hitlera i jego następców — powiedziała Laura — dlatego też, mimo bramy, Hitlerowi się nie udało.

Stefan miał posępny wyraz twarzy.

— Gdyby podróż w czasie została teraz wynaleziona, w roku 1989, przeszłość, o jakiej mówicie — II wojna światowa i wszystkie następne wydarzenia — byłaby nie do zmiany. Nie potraflibyście jej zmienić, gdyż prawa natury rządzące podróżami w czasie, uniemożliwiający wyprawę wstecz, i prawo paradoksów stosowałyby się do was. Ale podróż w czasie nie została wynaleziona tu — ani nie została wynaleziona powtórnie. Podróźni w czasie z instytutu w Berlinie w 1944 roku mogą najwyraźniej swobodnie zmieniać swoją przyszłość i choć będą oni równocześnie zmieniać waszą przeszłość, żadne z praw natury ich nie zatrzyma. I tu macie największy paradoks ze wszystkich — jedyny, na jaki, z niewiadomych przyczyn, natura zezwala.

212

— Upierasz się, że dalej mogą skonstruować broń jądrową dzięki informacjom uzyskanym z roku 1985 i wygrać wojnę? — spytała Laura.

— Tak. Chyba że instytut zostanie najpierw zniszczony.

— A jeżeli nie? Nagle wszędzie tutaj zobaczymy, jak życie zmienia się i znajdziemy się pod panowaniem nazistów?

— Tak. I nawet nie zauważysz, co się zmieniło, ponieważ będziesz inną osobą niż teraz. Nie będzie całej twojej przeszłości. Przeżyjesz inną przeszłość i nie będzie niczego poza tym, co zdarzy ci się w tamtym życiu, ponieważ tego obecnego życia nigdy nie będzie. Będziesz przeżywać świat taki, jaki zawsze był. Jakby nigdy nie istniał świat, w którym Hitler przegrał wojnę.

To, co przed nimi rysował, napawało ją lękiem i przerażeniem, ponieważ teraz życie wydało się jeszcze bardziej kruche, niż poprzednio sądziła. Świat pod stopami wydawał się mniej realny niż świat ze snu; mógł rozpląnąć się bez ostrzeżenia i wyrzucić ją obracającą się wokół własnej osi, w wielką, ciemną pustkę...

Z rosnącym przerażeniem wyszeptała:

— Jeżeli zmienię świat, w jakim wyrastałam, to mogę nigdy nie spotkać Danny'ego i nigdy nie wyjść za mąż.

— Mógłbym nigdy się nie urodzić — powiedział Chris.

Wyciągnęła rękę i położyła na ramieniu syna, nie tylko po to, by go uspokoić, ale także, by przekonać samą siebie, że jej mały nadal istnieje.

— Ja sama mogłabym się też nie urodzić. Wszystko, co widziałam, dobro i zło, jakie istniało w świecie od 1944 roku... zostanie zmiecione jak zamek z piasku i na tym miejscu zacznie egzystować nowa rzeczywistość.

— Nowa i gorsza rzeczywistość — powiedział Stefan, wyraźnie wyczerpany tłumaczeniem, co im zagraża.

— W tym nowym świecie mogłabym nigdy nie napisać żadnej powieści.

— Lub, jeżeli byś je pisała, będą się one różnić od tych, jakie napisałaś w tym życiu, będą to groteskowe dzieła, wyprodukowane przez artystkę trudzącą się pod rządami wszechmocnej władzy, pod żelazną pięścią nazistowskiej cenzury.

— Jeżeli ci goście zbudują bombę atomową w 1944 roku — powiedział Chris — wtedy po prostu wszyscy zamienimy się w pył i zostaniemy zdmuchnięci.

— Nie dosłownie. Ale tak jak pył znikniemy, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu — zgodził się Stefan.

— Musimy ich zatrzymać — oświadczył Chris.

— Jeżeli zdołamy — powiedział Stefan. — Ale najpierw musimy utrzymać się przy życiu w tej rzeczywistości, a nie będzie to takie łatwe.

Stefan musiał skorzystać z toalety i Laura pomogła mu, opiekując się nim, jakby była pielęgniarką przyzwyczajoną do obsługi pacjentów odmiennej płci podczas załatwiania

213

potrzeb fizjologicznych. Powracając z nim do łóżka znów zaniepokoiła się jego stanem; chociaż był muskularny, przelewał się przez ręce, pocił i był przerażająco słaby.

Opowiedziała mu krótko o strzelaninie u Brenkshawa, podczas której pozostawał w śpiączce.

— Jeżeli ci zabójcy przybywali z przeszłości zamiast z przyszłości, to jak wiedzieli, gdzie nas szukać? Skąd w 1944 roku wiedzieli, że znajdujemy się u doktora Brenkshawa czterdzieści lat później?

— Aby was odszukać, wykonali dwie wyprawy. Najpierw pojawili się w dalszej przyszłości, parę dni później, może w najbliższy weekend, aby upewnić się, czy do tego czasu gdzieś się nie pojawicie. Prawdopodobnie tak nie będzie — więc zaczęli przeglądać dostępne dla wszystkich źródła informacji. Przede wszystkim stare wydania gazet. Szukali opowieści o strzelaninie w waszym domu poprzedniej nocy i wtedy przeczytali, że zabraliście rannego mężczyznę do domu Brenkshawa w San Bernardino. Więc po prostu wrócili do 1944 roku i wykonali drugą wyprawę — tym razem do Brenkshawa, przed świtem 11 stycznia. — Mogą jak przy grze w klasy skakać koło nas — zwrócił się Chris do Laury. — Mogą wyskakiwać z wyprzedzeniem w czasie, aby zobaczyć, gdzie się pokażemy, a potem mogą starannie wybrać najodpowiedniejsze miejsce wzdłuż strumienia czasu, aby zrobić na nas zasadzkę. To tak jakbyśmy... byli kowbojami, a wszyscy Indianie byli psychiczni.

— Kim był Kokoschka? — chciał wiedzieć Chris. — Kim był człowiek, który zabił mojego tatę?

— Szef służby bezpieczeństwa instytutu — powiedział Stefan. — Twierdził, że jest dalekim krewnym Oskara Kokoschki, znanego austriackiego malarza ekspresjonisty. Wątpię, czy to prawda, gdyż nasz Kokoschka nie posiadał cienia artystycznej wrażliwości. Standartenführer — to znaczy pułkownik — Heinrich Kokoschka był sprawnym zabójcą pracującym w gestapo.

— Gestapo — powiedział zdumiony Chris — tajna policja?

— Państwowa policja — wyjaśnił Stefan. — Fakt jej istnienia był szeroko znany, ale pozwalano jej korzystać z tajnych środków postępowania. Kiedy Kokoschka pokazał się 10 stycznia 1988 roku na tej górskiej drodze, byłem równie zaskoczony jak wy. Nie było piorunów. Musiał pojawić się w jakiejś innej dolinie San Bernardino w odległości piętnastu, dwudziestu mil i dlatego nie dostrzeżliśmy błyskawic. Gromobicie związane z podróżowaniem w czasie jest w istocie bardzo lokalnym fenomenem — wyjaśnił Stefan. — Po tym, jak Kokoschka pojawił się tam moim śladem, myślałem, że kiedy powrócę do instytutu, znajdę wszystkich moich współpracowników oburzonych moją zdradą. Jednak kiedy tam przybyłem, nikt nie zwrócił na mnie specjalnej uwagi. Byłem kompletnie zaskoczony. A potem, kiedy zabiłem Penlowskiego i innych, kiedy znalazła

214

złem się w głównym laboratorium, przygotowując się do mojej końcowej wycieczki w przyszłość, wpadł Heinrich Kokoschka i strzelił do mnie. Nie został zabity! Nie został zabity na tej szosie w styczniu 1988 roku. Wtedy uświadomiłem sobie, że Kokoschka dowiedział się przed chwilą o mojej zdradzie, dopiero wtedy, kiedy znalazł zabitych przeze mnie ludzi. Udał się w podróż do 1988 roku i będzie usiłował zabić mnie — i was wszystkich — później. Co znaczyło, że brama musi pozostać otwarta, aby mógł to zrobić, i że nie udało mi się jej zniszczyć. Przynajmniej nie tym razem.

— Boże, ten ból głowy — westchnęła Laura.

Chris zdawał się nie mieć żadnych kłopotów z rozwikłaniem komplikacji podróży w czasie.

— Więc po tym, jak udał się pan do naszego domu wczorajszej nocy, Kokoschka wyruszy w podróż do roku 1988 i zabije mojego tatę. Jezu! Można powiedzieć, że pan, panie Krieger, zabił Kokoschkę trzydzieści trzy lata po tym, jak on postrzelił pana w tym laboratorium.. a jednak pan zastrzelił go wcześniej, niż on strzelił do pana. To niesamowita sprawa. Mamo, czy to nie jest niesamowite? Czy to nie cudowne?

— Tak. To nie byle co — zgodziła się. — A skąd Kokoschka wiedział, jak cię znaleźć na tej górskiej drodze?

— Po tym, jak odkrył, że zastrzeliłem Penlowskiego, i po tym, jak uciekłem przez bramę, Kokoschka musiał znaleźć materiały wybuchowe na strychu i w piwnicach. Potem musiał przekopać automatyczne zapisy, które maszyna gromadzi po każdym użyciu bramy. Kontrola zapisów należała do moich obowiązków, więc poprzednio nikt nie zauważył wycieczek, jakie robiłem do twojego życia. Lauro. W każdym razie Kokoschka musiał zrobić wiele wypraw, kiedy ja obserwowałem ciebie, oglądając, jak zmieniam przeznaczenie na twoją korzyść. Musiał śledzić mnie w dniu, w którym pojawiłem się na cmentarzu podczas pogrzebu twojego ojca, i musiał mnie widzieć, kiedy pobiłem Sheenera, ale ja nigdy go nie zauważyłem. Więc ze wszystkich wypraw, jakie zrobiłem w twoje życie, ze wszystkich przypadków, i tych, podczas których tylko cię obserwowałem, i tych, podczas których wkraczałem czynnie, aby cię uratować, wybrał ten, w którym mógł nas zabić. Chciał zabić mnie, ponieważ byłem zdrajcą, a ciebie i twoją rodzinę, ponieważ... no, ponieważ zrozumiał, że jesteś dla mnie ważna.

Dlaczego? — pomyślała. Dlaczego jestem dla ciebie taka ważna, Stefanie Krieger? Dlaczego wdzieraleś się w moje przeznaczenie, usiłując mi zapewnić lepsze życie?

Postawiłaby natychmiast to pytanie, ale on miał więcej do powiedzenia o Kokoschce. Sił ubywało

mu szybko i miał pewne trudności z utrzymaniem logicznego toku opowieści. Nie chciała mu przerywać i wprowadzać zamieszania.

— Na podstawie zegarów i wykresów na tablicy programującej bramę Kokoschka był w stanie ustalić mój punkt przeznaczenia — wczorajsza noc, twój dom. Ale rozumiesz oczywiście, że chciałem powrócić tej nocy, kiedy zginął Danny, tak jak to obiecałem, ale powróciłem rok później, ponieważ pomyliłem się wprowadzając moje oblicze

215

nia do maszyny. Kiedy ranny uciekłem przez bramę, Kokoschka znalazł te obliczenia i uświadomił sobie moją pomyłkę. Wiedział już, gdzie ma mnie szukać — nie tylko w tę błędnie zaprogramowaną noc, ale również wtedy, kiedy zginął Danny. W pewien sposób, przybywając w zeszłym roku, aby uratować was przed tą ciężarówką, sprowadziłem za sobą zabójcę Danny'ego. Czuję się za to odpowiedzialny, choć w innym wypadku Danny i tak by zginął. Przynajmniej ty i Chris żyjecie. Na razie.

— Dlaczego Kokoschka nie udał się za tobą w rok 1989, we wczorajszy dzień, do naszego domu? Wiedział, że jesteś ranny i stanowisz łatwy cel.

— Ale wiedział również, że spodziewam się, iż będzie mnie śledzić i obawiał się, że będę uzbrojony i gotów do walki. Więc wrócił do roku 1988, gdzie się go nie spodziewałem, gdzie korzystał z przewagi, jaką daje zaskoczenie. Równocześnie prawdopodobnie wyobraził sobie, że jeśli będzie mnie śledził w roku 1988 i zabije mnie tam, to nigdy nie powrócę do instytutu z tej górskiej drogi i nie zdołam zabić Penlowskiego. Bez wątplenia myślał, że zdoła zrobić sztuczkę z czasem i anuluje te zabójstwa, ratując szefa programu. Ale oczywiście nie był w stanie tego dokonać, bo wtedy zmieniliby własną przeszłość, co jest niemożliwe. Penlowski i inni byli już martwi i pozostaną martwi. Gdyby Kokoschka lepiej rozumiał prawa podróży w czasie, wiedziałby, że zabiję go w roku 1988, kiedy mnie śledził — ponieważ do czasu, gdy rozpoczął tę wycieczkę, żeby pomścić Penlowskiego, ja już wróciłem do instytutu po tamtej nocy zdrów i cały!

— Nic ci nie jest, mamó? — zatroszczył się Chris.

— Czy produkują tabletki od bólu głowy w jednofuntowych dawkach? — spytała.

— Wiem, że jest tego za dużo, by to od razu ogarnąć. Ale to tłumaczy, kim jest Heinrich Kokoschka. A raczej był. Usunął materiały wybuchowe przeze mnie porozmieszczane. Z tego powodu — i przez tę fatalną przerwę w dopływie prądu, co zatrzymało mechanizm zegarowy detonatora — instytut stoi nadal, brama działa, a agenci gestapo dalej usiłują znaleźć nasz ślad w bieżącym czasie — i zabić nas.

— Dlaczego? — spytała Laura.

— Z zemsty — wyjaśnił Chris.

— Przebywają czterdzieści pięć lat, żeby nas zabić dla samej zemsty? — powiedziała Laura. — Musi w tym być coś więcej.

— I jest — powiedział Stefan. — Chcą nas zabić, ponieważ wierzą, iż jesteśmy jedynymi żyjącymi ludźmi, którzy mogą znaleźć sposób zamknięcia bramy, zanim oni wygrają wojnę i odmienia swoją przyszłość. I nie myślą się co do tego.

— Ale jak? — spytała oszołomiona. — Jak możemy zniszczyć instytut czterdzieści pięć lat temu?

— Jeszcze nie jestem pewien — powiedział — ale zastanawiam się nad tym.

Zacząła zadawać więcej pytań, ale Stefan potrząsnął głową. Wymówił się zmęczeniem i wkrótce znów odpłynął w sen.

216

Chris przygotował późny lunch, na który złożyły się kanapki z masłem orzechowym i dodatki. Laura nie miała apetytu, spodziewała się, że Stefan będzie spał jeszcze przez kilka godzin, więc wzięła prysznic. Poczowała się lepiej, nawet w nie odprasowanym ubraniu.

Przez całe popołudnie serwowano tę samą kretyńską telewizyjną papkę: mydlane opery, teleturnieje, i jeszcze mydlane opery, powtórki Fantasy Island i *Joe Bold and the Beautiful* i Phil Donahue, fruający między widownią w studio i nawołujący do zrozumienia i współczucia dla wyjątkowych problemów dentystów-transwestytów.

Uzupełniła magazynek uzi amunicją zakupioną tego ranka w sklepie.

Na zewnątrz, w miarę jak dzień chylił się ku końcowi, zbierające się grudy czarnych chmur zbiły się w płaszcz, który zasłonił całe niebo. Rozłożysta palma, przy której stał skradziony buick, stuliła liście, chroniąc je przed nadciągającą burzą.

Usiadła na jednym z krzeseł, opierając nogi na krawędzi łóżka, zamknęła oczy i zdrzemnęła się chwilę. Obudziła się ze złego snu, w którym jej ciało składało się z piasku, a deszcz zmył je z powierzchni ziemi. Chris spał na drugim krześle, a Stefan dalej chrapał na łóżku.

Padał deszcz; uderzał głucho o dach motelu i pluskał w kałuże na parkingu z odgłosem maleńkich eksplozji tłuszczu, wylanego na rozgrzaną patelnię. Była to zwykła południowokaliifornijska burza, gwałtowna jak w tropikach i równie długotrwała, ale pozbawiona gromów i błyskawic. Od czasu do czasu takie pirotechniczne pokazy towarzyszyły tu deszczowi, ale zdarzało się to rzadziej niż gdzie indziej. Teraz Laura miała specjalny powód do wdzięczności za tę klimatyczną właściwość, gdyż w razie piorunów nie wiedziałyby, na ile ich przyczyna jest naturalna, a na ile sygnalizują one pojawienie się agentów gestapo z innej epoki.

Chris obudził się o wpół do czwartej, a Stefan Krieger doszedł do siebie jakieś pięć minut potem. Obydwaj stwierdzili, że są głodni, a Stefan poza apetytem okazywał też inne oznaki powrotu do zdrowia. Oczy, które poprzednio miał przekrwione i mętne, teraz były przejrzyste. Był w stanie podnieść się na zdrowym ramieniu. Odzyskiwał również czucie w lewej ręce, poprzednio zdrętwiałej i właściwie bezużytecznej, i był teraz zdolny ją zgiąć, poruszyć palcami i słabo zacisnąć w pięść.

Zamiast obiadu wolałaby usłyszeć odpowiedzi na swoje pytania, ale życie nauczyło ją — między innymi — cierpliwości. Kiedy rozmawiała w recepcji, tuż przed jedenastą tego przedpołudnia, zauważyła chińską restaurację po drugiej stronie ulicy. Teraz, choć niechętnie, zostawiła Stefana i Chrisa i wyszła na deszcz, żeby kupić coś do zjedzenia na wynos.

Miała pod kurtką trzydziestkę ósemkę, a uzi zostawiła na łóżku, obok Stefana. Choć karabinek automatyczny był zbyt duży i dawał zbyt silny odrzut, aby Chris mógł się nim posługiwać, to Stefan, zaparłszy się o wezglowie, nacisnąłby spust używając prawej ręki, choć siła odrzutu mogła rozerwać

Kiedy wróciła, ociekając deszczem, położyła na łóżku kartonowe, woskowane pojemniczki z jedzeniem, a dwie porcje zupy przeznaczonej dla Stefana postawiła na nocnym stolyczku. Napełniona zapachami restauracja pobudziła jej apetyt, więc naturalnie zamówiła zbyt wiele: kurczę w słodko-kwaśnym sosie, wołowinę w sosie pomarańczowym, krewetki z brązowym pieprzem, mo gu gai pan i wieprzowinę mu szu oraz dwa pojemniki z ryżem.

Kiedy razem z Chrisem próbowali wszystkiego, posługując się plastikowymi widelcami i zapijając to colą z motelowego automatu, Stefan zjadł swoją zupę. Myślał, że nie zdoła utrzymać w żołądku solidniejszego jedzenia, ale po sprząnięciu zupy zaczął podjadać mu gu gai i kurczaka.

Podczas kiedy jedli, na prośbę Laury opowiedział im o sobie. Urodził się w 1909 roku w niemieckim mieście Gittelde w górach Harzu, co oznaczało, że ma trzydzieści pięć lat. (— Dobre — stwierdził Chris — z drugiej strony, jeżeli policzyć czterdzieści pięć lat, jakie zaliczyłeś, podróżując w czasie, od roku 1944 do 1989, to właściwie masz osiemdziesiąt lat! — roześmiał się zadowolony z siebie — chłopie, nieźle wyglądasz jak na osiemdziesięcioletniego mamuta!) Po I wojnie światowej jego rodzina przeniosła się do Monachium i ojciec Stefana, Franz Krieger, został jednym z pierwszych popleczników Hitlera w roku 1919 i członkiem Niemieckiej Partii Robotniczej począwszy od tygodnia, w którym Hitler rozpoczął swoją polityczną karierę w tej organizacji. Redagował nawet z Hitlerem i Antonem Drexlerem manifest, dzięki któremu grupa ta, początkowo będąca kołem dyskusyjnym, przekształciła się ostatecznie w prawdziwą partię polityczną, która później miała stać się partią narodowych socjalistów.

— Byłem jednym z pierwszych członków Hitlerjugend w 1926 roku, kiedy miałem siedemnaście lat — powiedział Stefan. — Po niecałym roku przyłączyłem się do Sturmabteilung, czyli SA, brunatnych koszul, zbrojnego ramienia partii, w gruncie rzeczy prywatnej armii. Nie minął rok 1928, jak byłem już członkiem Schutzstaffel...

— SS! — wykrzyknął Chris, używając tego samego tonu dzikiego przerażenia zmieszanego z niezdrową fascynacją, z jakim mówił o wampirach i wilkołakach. — Był pan członkiem SS? Nosił pan czarny mundur ze srebrną trupią czaszką i sztylet?

— Nie jestem z tego dumny — powiedział Stefan Krieger. — Och, wtedy oczywiście byłem; byłem głupcem. To zasługa mojego ojca. Na samym początku SS była małą grupą, elitą elit i naszym zadaniem było osłanianie Führera nawet własnym ciałem, jeżeli okazałoby się to konieczne. Mieliśmy wszyscy od osiemnastu do dwudziestu dwu lat, byliśmy młodzi, nieświadomi i zapaleni. Na moją własną obronę powiem, że nie byłem tak żarliwy, tak oddany sprawie, jak wszyscy wokół mnie. Robiłem to, czego ode mnie żądał ojciec, ale jeśli chodziło o nieświadomość, to przyznaję, że miałem jej ponad miarę.

Niesiony wiatrem deszcz stukał o szybę i bulgotał głośno w ścieku za ścianą, przy której stało łóżko.

Od momentu przebudzenia z drzemki Stefan wyglądał zdrowiej, a po zjedzeniu zupy ożywił się jeszcze bardziej. Ale teraz, wspominając młodość spędzoną w gnieździe nienawiści i śmierci, pobladał znów, a oczy zdawały mu się wpadać głębiej w kręgi oczodołów.

— Nigdy nie wystąpiłem z SS; będąc jej członkiem znalazłem się w tak pożądanej sytuacji, że nie dało się z niej zrezygnować bez wzbudzania podejrzeń, że straciłem wiarę w naszego uwielbianego wodza. Ale rok po roku, miesiąc po miesiącu, a potem dzień po dniu czułem, jak rośnie we mnie obrzydzenie do tego, co widziałem — do szaleństwa, morderstw i strachu.

Ani krewetki, ani kurczak w cytrynowym sosie nie smakowały już dłużej Laurze; czuła w ustach taką suchość, że ryż zaczął kleić się jej do podniebienia. Odepchnęła jedzenie i napiła się coli.

— Ale jeżeli nigdy nie wystąpiłeś z SS... to kiedy poszedłeś na studia, kiedy włączyłeś się w badania naukowe?

— Och — westchnął — nie znalazłem się w instytucie jako badacz. Nie mam wykształcenia uniwersyteckiego. Chyba że liczyć dwa lata, kiedy uczestniczyłem w intensywnej nauce angielskiego, usiłując opanować amerykański akcent. Byłem zaangażowany w przygotowanie programu mającego na celu zrzucenie setki dobrze zakonspirowanych agentów w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych. Nigdy nie udało mi się całkiem wyzbyć akcentu, więc nigdy nie zostałem wysłany za morze, ale ponieważ mój ojciec był od bardzo dawna zwolennikiem Hitlera i uważano, że można mi zaufać, więc znaleziono mi inne zajęcia. Pełniłem specjalne funkcje w otoczeniu Führera — spełniałem delikatne misje, głównie jako łącznik pomiędzy skłóconymi frakcjami w rządzie. Była to doskonała pozycja, dzięki której zdobywałem informacje użyteczne dla Brytyjczyków. Trwało to bez przerwy od 1938 roku.

— Był pan szpiegiem? — spytał z podnieceniem Chris.

— Kimś w tym rodzaju. Chociaż moje możliwości były skromne, robiłem wszystko, żeby doprowadzić do upadku Rzeszy, by odkupić to, że kiedykolwiek jej sprzyjałem. Musiałem odpokutować — choć pokuta wydawała się niemożliwa. Ale potem, kiedy jesienią 1943 roku Penlowski zaczął odnosić pierwsze sukcesy ze swoją bramą czasu, wysyłając zwierzęta Bóg wie gdzie i sprowadzając je z powrotem, zostałem przeniesiony do instytutu jako obserwator, jako osobisty przedstawiciel Führera, a także jako świnka morska, jako pierwszy człowiek wysyłany w czas przyszły. Rozumiecie, kiedy byli już w stanie wysłać człowieka, nie chcieli ryzykować życia Penlowskiego, Janowskiego czy Helmuta Wołkowa albo też Mittera czy Shencka, innych uczonych, których strata mogła zaszkodzić programowi. Nikt nie wiedział, czy człowiek wróci z powrotem tak samo niezawodnie jak zwierzęta — i czy będzie po powrocie zdrów na ciele i umyśle.

Chris skinął z powagą głową.

— To jest niewykluczone, że podróż w czasie mogłaby okazać się bolesna albo wprowadzałyby jakieś zaburzenia psychiczne, taak. Kto to mógł wiedzieć?

Kto to doprawdy mógł wiedzieć? — pomyślała Laura. Stefan dodał:

— Równie ważne było, aby wysłannik okazał się godny zaufania i zachował swoją misję w tajemnicy. Byłem idealnym kandydatem.

— Oficer SS, szpieg i pierwszy chrononauta — powiedział Chris. — Rany, co za życie...

— Niech Bóg da ci życie mniej obftujące w wydarzenia — powiedział Stefan.

Potem spojrzął prosto w oczy Laurze, bardziej bezpośrednio niż poprzednio. W jego oczach był przepiękny, czysty błękit, teraz zmącony bólem.

— Lauro... co teraz myślisz o swoim obrońcy? Nie anioł, ale adiutant Hitlera, zbir z SS.

— Nie zbir — powiedziała. — Twój ojciec, twój czas, twoje społeczeństwo usiłowały zrobić z ciebie zbira, ale było w tobie ziarno, które nie mogło zginąć. Nie zbir, Stefanie Krieger. Nigdy Nie ty.

— Ale też i nie anioł — powiedział. — Daleko mi do anioła, Lauro. Kiedy plamy na mojej duszy zostaną odcyfrowane przez Tego, który sprawuje sądy, zostanie mi przyznane moje własne małe miejsce w piekle.

Deszcz bębniący po dachu był jak płynący w zapomnienie czas, wiele milionów drogocennych minut, godzin, dni, lat spływające w rynsztoki i ścieki, ginące z oczu bezpowrotnie.

Po tym, jak zgarnęła nie dojezdzone resztki i wyrzuciła je do wielkiego pojemnika na odpadki z tyłu motelu, i po tym, jak wzięła jeszcze trzy coile z automatu, po jednej dla każdego, w końcu zadała swemu obrońcy pytanie, które chciała mu postawić od momentu, kiedy ocknął się ze śpiączki.

— Dlaczego? Dlaczego skoncentrowałeś się na mnie, na moim życiu i dlaczego uprzedzałeś w nim złe wydarzenia, żeby od czasu do czasu mnie uratować? Na miłość boską, w jaki sposób mój los jest związany z nazistowskimi podróżnikami w czasie, z losem świata?

Podczas jego trzeciej wyprawy w przyszłość, wyjaśnił, podróżował do Kalifornii, do roku 1984. Do Kalifornii, ponieważ podczas jego poprzednich wypraw — dwa tygodnie w 1954, dwa w 1964 roku — okazało się, że Kalifornia będzie prawdopodobnie przyszłym kulturalnym i naukowym ośrodkiem życia najbardziej rozwiniętego narodu na kuli ziemskiej. Tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty czwarty, ponieważ było to dokładnie czterdzieści lat od jego własnego czasu. Do tego momentu nie był już jedynym człowiekiem wyruszającym poza bramę; czterech innych również zaczęło robić wycieczki, jak tylko okazało się to bezpieczne. Podczas trzeciej wyprawy Stefan rozglądał się po przyszłości, ucząc się dokładnie tego, co stało się w świecie po wojnie. Dowiadywał się również, jakie wynalazki naukowe minionych czterdziestu lat należało zabrać do

Berlina w roku 1944, aby pozwoliły Hitlerowi wygrać wojnę. Nie dlatego, że chciał pomóc w tych zamiarach, ale że miał nadzieję je udaremnić. Jego zadaniem było czytanie gazet, oglądanie telewizji i obracanie się w amerykańskim społeczeństwie, aby czuć puls życia końca dwudziestego wieku.

Wsparty na poduszkach wspominał trzecią podróż w tonie całkowicie różnym od przygnębienia, z jakim opisywał swe ponure życie do roku 1944.

— Nie potrafisz sobie wyobrazić, czym było dla mnie spacerowanie ulicami Los Angeles po raz pierwszy. Gdybym przybył w przyszłość odległą o tysiąc lat zamiast czterdziestu, nie byłoby to dla mnie bardziej cudowne. Samochody! Samochody wszędzie — i tyle niemieckich, co chyba wskazywało, że w jakimś stopniu wybaczone nam wojnę, zaakceptowano nowe Niemcy. Wzruszyło

mnie to.

— Mamy mercedesa — wyjaśnił Chris. — Jest w porządku, ale wolę dzipa.

— Samochody — mówił Stefan — różnie ubrani ludzie, zadziwiający postęp we wszystkim; zegarki kwarcowe, komputery osobiste, wideo do oglądania filmów we własnym salonie! Nawet kiedy minęło już pięć dni mojej wizyty, byłem dalej w stanie cudownego olśnienia i z niecierpliwością czekałem każdego ranka na nowe cuda. Szóstego dnia, kiedy przechodziłem obok księgarni w Westwood, zobaczyłem kolejkę ludzi czekających na autograf autora na egzemplarzu. Wszedłem do środka, żeby poprzebrać na półkach i zobaczyć, jakie książki są teraz popularne, a przez to trochę lepiej zrozumieć amerykańskie społeczeństwo. I ty byłaś tam, Lauro — przy stole, na którym leżał stos egzemplarzy twojej trzeciej powieści i zarazem twojego pierwszego wielkiego sukcesu. To były Złóża.

Laura pochyliła się do przodu, jakby zdziwienie miało siłę zdolną ściągnąć ją z krzesła.

— Złóża? Ale ja nigdy nie napisałam takiej książki.

Chris wiedział, o co chodzi.

— To książka, którą napisałabyś w tym życiu, w którym pan Krieger by nie namieszał.

— Miałaś dwadzieścia dziewięć lat, kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy na tym spotkaniu, podczas którego podpisywałaś książki w Westwood — powiedział Stefan. — Siedziałaś na wózku inwalidzkim, ponieważ twoje nogi były powykręcane i niesprawne. Twoje lewe ramię było również częściowo sparaliżowane.

— Kaleka? — spytał Chris. — Mama była kaleką?

Laura dosłownie siedziała teraz na krawędzi krzesła. Chociaż to, co mówił jej obrońca, wydawało się jej zbyt fantastyczne, aby mogła w to uwierzyć, czuła, że jest w tym prawda. W głębi duszy, dużo głębiej nawet niż na tym poziomie, z którego odzywa się instynkt, słyszała głos mówiący, że to był właściwy obraz jej samej: na wózku inwalidzkim, z nogami bezużytecznymi i obumarłymi. Być może to, co teraz czuła, było dalekim echem zmienionego przeznaczenia.

221

— Byłaś w takim stanie od urodzenia — powiedział Stefan.

— Dlaczego?

— Dowiedziałem się tego dopiero dużo później, po dokładnym zbadaniu twojej biografii. Lekarz, który przyjmował cię w Denver w Colorado w 1955 roku — nazywał się Markwell — był alkoholikiem. Zresztą i tak przyszałaś na świat z kłopotami...

— Mama umarła podczas porodu.

— Tak, w tamtej rzeczywistości również umarła. I w tamtej rzeczywistości Markwell spaprał poród, i doznałaś uszkodzenia kręgosłupa, które uczyniło cię kaleką na całe życie.

Poczuła, jak drży na całym ciele. Chcąc udowodnić sobie samej, że umknęła przed życiem, jakie los jej zgotował, wstała i podeszła do okna, korzystając ze swych nóg — swych sprawnych i szczęśliwie użytecznych nóg.

Stefan odezwał się do Chrisa:

— W dniu, w którym ją zobaczyłem na tym wózku, twoja matka była taka piękna. Och, tak bardzo piękna. Ale nie była to tylko uroda oblicza. Unosiła się wokół niej aura takiej odwagi; mimo

ułomności była w tak cudownym nastroju. Każda osoba, która podchodziła do niej ze Złozami, odchodziła nie tylko z autografem, ale i z uśmiechem. Mimo życia przypisanego do wózka na kółkach twoja matka była pełna radości i pogody. Patrzyłem na nią z daleka i byłem urzeczony i tak głęboko poruszony, jak nigdy dotąd.

— Ona jest wspaniała — powiedział Chris. — Nic nie może przerazić mojej mamy.

— Wszystko może przerazić twoją mamę — powiedziała Laura. — Ta cała zwariowana rozmowa przeraża twoją mamę do szpiku kości.

— Nie, nigdy przed niczym nie uciekasz ani się nie kryjesz — powiedział Chris, zwracając na nią spojrzenie.

Zarumienił się. Chłopcy w jego wieku zwykli utrzymywać większy dystans, gdy zaczynało się w nich budzić przekonanie, że są o niebo mądrzejsi od własnych matek. Normalnie takie uwielbienie dla matki nie objawia się wprost w żadnych okolicznościach, zanim dziecko nie skończy czterdziestki lub matka nie umrze.

— Może bałaś się, ale nigdy się tak nie zachowywałaś.

Wcześniej się nauczyła, że ci, którzy ujawniają strach, stają się łatwym celem.

— Tego dnia kupiłem egzemplarz *Złóż* — powiedział Stefan — i zabrałem go do hotelu, w którym się zatrzymałem. Przeczytałem książkę przez noc i miejscami była tak piękna, że płakałem.. a tak zabawna w innych, że śmiałem się na głos. Następnego dnia kupiłem dwie inne twoje powieści: *Srebrny warkocz* i *Pola nocy* i okazały się równie doskonałe i wzruszające jak *Złóża*, które przyniosły ci sławę.

Dziwnie było słuchać pochwalnych recenzji książek, których w tym życiu nigdy się nie napisało. Ale mniej interesowała się fabułą tych powieści niż odpowiedzią na mrozące krew w żyłach pytanie, które właśnie przyszło jej do głowy:

— W tamtym życiu, w którym dane mi było istnieć, w tamtym innym roku 1984... czy byłam zameźna?

222

— Nie.

— Ale poznałam Danny'ego i...

— Nie. Nigdy nie poznałaś Danny'ego. Nigdy nie wyszłaś za mąż.

— Nigdy się nie urodziłem! — krzyknął Chris.

Stefan mówił dalej:

— Wszystko to nastąpiło, ponieważ cofnąłem się do Denver w Colorado do 1955 roku i zapobiegłem temu, aby Markwell towarzyszył twoim narodzinom. Lekarz, który zajął miejsce Markwella, nie był w stanie uratować twojej matki, ale sprowadził cię na świat całą i zdrową. I od tego momentu całe twoje życie uległo przekształceniu. Zmieniłem twoją przeszłość, zgoda, ale to była moja przyszłość, dlatego też była plastyczna. Dzięki Bogu za niezwykle właściwości podróży w czasie, bo inaczej nie zdołałbym cię uchronić przed losem kaleki.

Powiał wiatr i kolejna nawała deszczu zatrzęsała oknem, przy którym stała Laura.

Znowu ogarnęło ją uczucie, że pokój, w którym stoi, Ziemia, na której go zbudowano, i wszechświat, w którym się ona obraca, są tak niematerialne jak dym, niewolnik każdego powiewu.

— Od tej pory śledziłem twoje życie — powiedział Stefan. — Pomędzy połową stycznia a

połową marca 1944 roku zrobiłem w sekrecie trzydzieści wycieczek, aby dowiedzieć się, jak ci się powodzi. Podczas czwartej z nich, kiedy dotarłem do roku 1964, odkryłem, że od roku nie żyjesz, zamordowana wraz z ojcem przez ćpuna, który napadł na sklep. Więc udałem się do 1963 roku i zabiłem go, zanim on zdołał zabić was.

— Ćpuna? — zdumiał się Chris.

— Opowiem ci o nim później, kochanie.

Stefan mówił dalej:

— Aż do tej nocy, kiedy Kokoschka pojawił się na tamtej górskiej drodze, wszystko szło mi znakomicie. Czyniłem twoje życie łatwiejszym i lepszym. Jednak moje ingerencje nie pozbawiły cię talentu ani książek, w których dawałaś mu wyraz. One są nie mniej piękne od tych napisanych w tamtym życiu. Są inne, ale nie gorsze; mówią w gruncie rzeczy tym samym głosem, jakim przemawiałaś wtedy.

Czując, jak kolana uginają się pod nią, Laura wróciła na swoje krzesło.

— Ale dlaczego? Dlaczego dokonałeś tak ogromnego wysiłku, aby polepszyć moje życie?

Stefan Krieger spojrział na Chrisa, potem na nią, a potem zamknął oczy, żeby w końcu powiedzieć:

— Po tym, jak zobaczyłem cię na tym wózku, inwalidzkim podpisującą egzemplarze *Złóż* i po przeczytaniu twoich książek, pokochałem cię... bardzo cię pokochałem.

Chris poruszył się niespokojnie na krześle, w oczywisty sposób zażenowany wysłuchiwaniem takiej deklaracji, skierowanej do własnej matki.

223

— Twój umysł był jeszcze piękniejszy niż twoja twarz — powiedział cicho Stefan. Oczy trzymał nadal zamknięte. — Pokochałem twoją wielką odwagę być może dlatego, że w moim własnym świecie żaden z tych stąpających wyniosłe fanatyków w mundurach nie miał prawdziwej odwagi. Popelniali okropności w imię narodu i nazywali to odwagą, byli gotowi umrzeć dla zakłamanych ideałów totalitaryzmu i to nazywali odwagą, podczas kiedy naprawdę była to głupota i szaleństwo. I pokochałem twoją godność, gdyż ja nie miałem żadnej, żadnego szacunku do samego siebie, jakim ty promieniowałaś. Pokochałem twoją zdolność do współczucia, gdyż w moim świecie dostrzegałem bardzo mało współczucia. Pokochałem cię, Lauro, i zrozumiałem, że mogę uczynić dla ciebie to, co każdy mężczyzna zrobiłby dla tych, których kocha, gdyby posiadał moc bogów: jeżeli dołożę wszelkich starań, najgorsza część twego losu będzie ci oszczędzona.

W końcu otworzył oczy.

To były piękne niebieskie oczy. Lecz były przepelnione cierpieniem.

Była mu niewyobrażalnie wdzięczna, ale nie odwzajemniała jego uczuć — przecież prawie go nie знаła. Ale wyznając, że ją kocha, wyznając uczucie, które spowodowało, że zmienił jej przeznaczenie i odbył podróż przez rozległe morza czasu, aby znaleźć się przy jej boku — w jakiejś mierze odzyskał magiczną aurę, jaką niegdyś w jej oczach posiadał. Znowu zdawał się wyrastać ponad zwyczajne życie: jeżeli nie bóg, to półbóg wyniesiony ponad zwyczajny status śmiertelnika na tyle, na ile wyzbyte egoizmu było jego przywiązanie.

Tej nocy Chris dzielił poskrzypujące sprężynami łożę ze Stefanem Kriegerem. Laura usiłowała zasnąć, siedząc na jednym krześle i opierając nogi na drugim.

Deszcz padał w nieustającym, kołyszącym do snu rytmie, który wkrótce uspił Chrisa. Laura usłyszała, jak cichutko pochrapuje.

Przesiedziawszy godzinę w ciemnościach, spokojnie zapytała:

— Śpisz?

— Nie — od razu odpowiedział Stefan.

— Danny — powiedziała — mój Danny...

— Tak?

— Dlaczego nie...

— ...zrobiłem drugiej wyprawy do tej nocy 1988 roku i nie zabiłem Kokoschki, zanim zdołał zabić Danny'ego?

— Tak. Dlaczego tego nie zrobiłeś?

— Ponieważ... zrozum, Kokoschka był ze świata roku 1944, więc zabicie Danny'ego i jego własna śmierć były częścią mojej przeszłości, a tego nie mogłem anulować. Gdybym usiłował dotrzeć do wcześniejszego momentu tamtej nocy, aby zatrzymać

224

Kokoschkę, zanim zabije Danny'ego, zostałem natychmiast cofnięty do bramy, z powrotem do instytutu, nie dostawszy się nigdzie; prawo natury nie dopuszczające paradoksów powstrzymałoby mnie przed dostaniem się tam.

Laura milczała.

— Rozumiesz? — zapytał.

— Tak.

— Godzisz się z tym?

— Nigdy nie zgodzę się z faktem jego śmierci

— Ale... wierzysz mi?

— Chyba tak, tak.

— Lauro, wiem, jak bardzo kochałaś Danny'ego Packarda. Gdybym mógł go uratować, nawet za cenę własnego życia, zrobiłbym to. Nie zawahałbym się.

— Wierzę ci — powiedziała. — Bo bez ciebie... nigdy nie miałabym Danny'ego.

— A Węgorz? — spytała.

— Przeznaczenie walczy o przywrócenie tego kształtu, jaki miało posiadać — mówił w ciemnościach Stefan. — Kiedy miałaś osiem lat, zastrzeliłem ćpuna, uniemożliwiając zgwałcenie cię i zabicie, ale los nieuchronnie pchnął cię ku innemu pedoflowi, który był potencjalnym mordercą. Willy Sheener. Węgorz. Ale los zdecydował również, że zostaniesz pisarką, że będziesz znaną autorką, która niezależnie od tego, co ja zrobię, aby zmienić twoje życie, przyniesie światu to samo posłanie. To dobry los. Jest coś przerażającego, a równocześnie uspokajającego w sposobie, w jaki

różne siły próbują przywrócić przeznaczeniu jego zmieniony kształt... prawie tak, jakby we wszechświecie istniał jakiś porządek — coś, co mimo że nieprzerwanie skazuje nas na cierpienie, moglibyśmy nawet nazwać Bogiem.

Przez chwilę słuchali deszczu i wiatru oczyszczających świat.

— Ale dlaczego sam nie zająłeś się Węgorzem, zostawiając to mnie?

— Czekałem na niego pewnej nocy w jego mieszkaniu...

— Pobiłeś go ciężko. Tak, wiedziałam, że to ty.

— Pobiłem i ostrzegłem, że ma się trzymać z daleka od ciebie. Powiedziałem mu, że następnym razem go zabiję.

— Ale pobicie tylko tym mocniej pchnęło go ku mnie. Dlaczego nie zabiłeś go od razu?

— Powinienem, ale... nie wiem. Być może widziałem już tyle zabójstw i w tyłu brałem udział, że... tym razem miałem nadzieję, że to nie jest konieczne.

Myślała o jego świecie wojen, obozów koncentracyjnych, ludobójstwa i była zdolna zrozumieć, skąd brała się ta nadzieja, że nie będzie musiał zabijać, choć trudno byłoby powiedzieć, że Sheener zasługiwał na to, by żyć.

225

— Ale kiedy Sheener napadł na mnie w domu Dockweilerów, dlaczego cię tam nie było, aby go powstrzymać?

— Następnym razem, kiedy sprawdzałem twoje życie, miałaś trzynaście lat; było to po tym, jak sama zabiłaś Sheenera i przeżyłaś. Zdecydowałem, że nie wrócę i nie załatwię tego za ciebie.

— Przeżyłam — powiedziała — ale Nina Dockweiler nie przeżyła. Może gdyby nie przyszła do domu i nie zobaczyła tego ciała, krwi...

— Może tak, a może nie. Przeznaczenie usiłuje powrócić do raz nadanego kształtu — najlepiej jak potrafi. Może umarłaby i tak. Poza tym nie zdołałbym uchronić cię przed każdym bolesnym doświadczeniem. Potrzebowałbym dziesięciu tysięcy wypraw w czasie, aby tego dokonać. A może taki stopień ingerencji nie byłby dla ciebie korzystny. Nie napotykać w życiu przeciwności, nie stałabyś się kobietą, którą pokochałem.

Zapadło między nimi milczenie. Słuchała wiatru i deszczu. W końcu odezwała się:

— Nie kocham cię.

— Rozumiem to.

— Zdaje się, że trochę powinnam.

— Nawet mnie jeszcze nie znasz.

— Może nigdy nie będę mogła cię pokochać.

— Wiem.

— Pomimo wszystkiego, co dla mnie zrobiłeś...

— Wiem. Ale jeżeli uda nam się przeżyć... cóż, jest zawsze czas.

— Tak — powiedziała. — Myślę, że jest zawsze czas.

ROZDZIAŁ VI

TOWARZYSZ NOCY

1.

W sobotę 18 marca 1944 roku w głównym parterowym laboratorium instytutu Obersturmführer SS Erich Kleitmann i jego oddział, trzech doskonale wyszkolonych ludzi, szykowali się do skoku w przyszłość i do wyeliminowania Kriegera, kobiety i chłopca. Byli odpowiednio ubrani, aby mogli uchodzić za młodych kalifornijskich menedżerów: wytworne garnitury od Yves St. Laurenta, białe koszule, ciemne krawaty, czarne miękkie półbuty od Ballego, czarne skarpetki i na wypadek słonecznej pogody — okulary Ray-Ban. Powiedziano im, że w przyszłości nazywa się to „styl mocy” i chociaż Kleitmann nie rozumiał dokładnie tego określenia, podobało mu się jego brzmienie. Ubrania zostały zakupione przez naukowców z instytutu podczas poprzedniej wycieczki w przyszłość; nic, z bielizną włącznie, nie było anachroniczne.

Każdy z tej czwórki miał przy sobie dyplomatkę od Marka Crossa — elegancki model z cielejącej skóry z połączanymi dodatkami. Również teczki sprowadzone zostały z przyszłości, podobnie jak schowane do dyplomatek przerobione na ogień automatyczny karabinki uzi i zapasowe magazynki.

Zespół badawczy instytutu odbył podróż do USA w rok i miesiąc, w którym John Hinckley usiłował zabić Ronalda Reagana. Oglądając w telewizji film z zamachu byli pod niezwykłym wrażeniem łatwości, z jaką agenci ochrony mogli użyć broni automatycznej, ukrytej w ich dyplomatkach. Mogli wyciągnąć swoje karabinki w ciągu jednej — dwóch sekund. Dlatego też uzi był nie tylko karabinkiem automatycznym stosowanym najchętniej przez wiele policji i armii w 1989 roku, ale i ulubioną bronią podróżujących w czasie oddziałów Schutzstaffel.

Kleitmann przeszedł szkolenie z uzi. Obdarzał tę broń takim uczuciem, jakiego nigdy nie skierował ku żadnej ludzkiej istocie. Jedyne, co go martwiło, to fakt, że był to automat zaprojektowany i wyprodukowany przez bandę Żydów w Izraelu. Z drugiej strony za parę dni nowi dyrektorzy instytutu prawdopodobnie zaaprobuje włączenie uzi w świat 1944 roku i zaopatrzeni w nie niemieccy żołnierze będą mogli skutecznie odeprzeć hordy podludzi, które śmiały targnąć się na Führera. Spojrzał na zegar na tablicy programującej bramy i zauważył, że minęło siedem minut, odkąd zespół zwiadow

czy wyruszył do Kalifornii 15 lutego 1989 roku. Jego członkowie mieli tam przejrzeć powszechnie dostępne źródła informacji — głównie stare numery gazet — aby uzyskać wiadomość, czy w miesiąc po strzelaniu w Big Bear i San Bernardino Krieger, kobieta i chłopiec zostali odnalezieni i zatrzymani przez policję. Potem wrócą do 1944 roku i podadzą Kleitmannowi dzień, czas i miejsce, w którym można znaleźć Kriegera i kobietę. Ponieważ za każdym razem, niezależnie od ilości czasu spędzanego w przyszłości, podróżny wracał z wycieczki dokładnie jednaście minut od chwili wyruszenia, Kleitmann i jego oddział mieli przed sobą zaledwie cztery minuty oczekiwania.

2.

W czwartek 12 stycznia 1989 roku przypadały trzydzieste czwarte urodziny Laury i spędzili je w tym samym pokoju motelu „Szczęśliwy Drozd”. Stefan potrzebował jeszcze jednego dnia odpoczynku, aby nabrać sił i dać penicylinie czas na działanie. Potrzebował również czasu na myślenie — musiał ułożyć plan zniszczenia instytutu, a ten problem był wystarczająco zawikłany, aby niezbędne mu były długie godziny intensywnego skupienia.

Deszcz przestał padać, ale niebo dalej wyglądało jak pokryte szramami i spuchnięte. Po pierwszej, zapowiadana była następna burza — miała przyjść o północy.

Oglądali lokalne wiadomości TV, nadawane o piątej po południu, i obejrzeni reportaż o niej, Chrisie i tajemniczym, rannym mężczyźnie, którego przywieźli do doktora Brenkshawa. Policja szukała jej nadal i wszystko, na co było ją stać, to snucie przypuszczeń, że handlarze narkotyków, którzy zabili jej męża, teraz ścigali ją i syna, ponieważ mogli ich zidentyfikować, albo dlatego, że sama była w jakiś sposób zamieszana w handel narkotykami.

— Moja mama handlarką narkotyków? — powiedział Chris, oburzony tą insynuacją. — Ale z nich kupa durniów!

Choć ani w Big Bear, ani w San Bernardino nie znaleziono ciał, cała historia miała tak sensacyjny posmak, że zapewniała dalsze zainteresowanie mass mediów. Reporterzy dowiedzieli się, że w obydwu miejscach natrafiono na krew, a w uliczce za domem Brenkshawa, między dwoma pojemnikami na śmieci, na odciętą ludzką głowę.

Laura przypominała sobie, jak po przekroczeniu sekwojowej furtki przy posesji Cartera Brenkshawa zobaczyła zaskoczonego bandytę i otworzyła do niego ogień z uzi. Seria trafiła go w gardło i twarz i wtedy pomyślała, że skoncentrowany ogień broni automatycznej mógłby gładko odrąbać głowę.

— Pozostali SS-mani wcisnęli przycisk na pasie powrotnym trupa — wyjaśnił Stefan — i odesłali ciało w przeszłość.

— Ale dlaczego nie głowę? — spytała Laura, czując obrzydzenie do tematu rozmowy, ale zbyt

zaciekawiona, aby nie zadać pytania.

— Musiała potoczyć się daleko od nich, pomiędzy pojemniki na śmieci — wyjaśnił Stefan — i nie potrafił jej znaleźć w ciągu tych paru sekund, jakie mieli na szukanie. Gdyby ją znaleźli, mogliby położyć na trupie i opleść ją jego rękami. Wszystko, co podróżny w czasie ma na sobie lub ze sobą, jest zabierane w drogę. Ale w obliczu zbliżających się policyjnych syren i w ciemnościach panujących na uliczce... nie mieli czasu na znalezienie głowy.

Chris, od którego można by oczekiwać żywego zainteresowania tymi groteskowymi komplikacjami, zapadł się w krzesło, podwinął nogi i milczał. Być może złowieszczy widok odciętej głowy uczynił obecność śmierci bardziej realną niż wszystkie strzały, które były w niego skierowane.

Laura zajęła się nim jak mogła najlepiej, tuliła czule i zapewniała, że wyjdą z tego wszyscy nietknięci, ale chyba i ona sama niezbyt była przekonana, iż łatwo sobie poradzą, i pocieszała go bez wiary w skuteczność tych zabiegów.

Na lunch i kolację mieli jedzenie z chińskiej knajpy z naprzeciwka. Poprzedniej nocy nikt z tamtejszych pracowników nie rozpoznał w niej sławnej pisarki ani uciekinierki, więc czuła się stosunkowo bezpieczna. Wydawało się głupotą chodzenie gdzie indziej i narażanie na ryzyko rozpoznania.

Pod koniec kolacji, kiedy Laura opróżniła kartonowe pojemniki, Chris wyczarował dwa czekoladowe torciki i świeczki. Kupił to wszystko w supermarkecie Ralpa wczoraj rano, a następnie ukrył. Z wielką ceremonią wyniósł z łazienki torciki, każdy z zatkniętą i zapaloną żółtą świeczką. Złote iskierki dwóch płomyków jasno odbijały się w jego oczach. Uśmiechnął się szeroko, ujrawszy zaskoczenie i radość matki. Musiała zapanować nad sobą, żeby nie wybuchnąć płaczem. Wzruszyło ją, że nawet w szponach lęku, zagrożony śmiertelnym niebezpieczeństwem, miał tyle przytomności umysłu, by pomyśleć o jej urodzinach, i tyle miłości, by chcieć sprawić jej radość. To właśnie wydawało się jej istotą związku między matką a dzieckiem.

Każdy zjadł swoją porcję tortu. Kolację miało zakończyć pięć ciastek fortuny, każde zawierające jakąś wróżbę, zapisaną na skrawku papieru. Chińczyk dołożył je ekstra do posiłku.

Oparty plecami o łóżko Stefan odczytał swoją wróżbę:

— Gdyby to mogło się sprawdzić: „Żyć będziesz w czasach pokoju i obfitości”.

— To jeszcze może okazać się prawdą — powiedziała Laura.

Rozłamała swoje ciasteczko i wyciągnęła pasek papieru.

— No, dobrze, ale myślę, że dość już tego, serdeczne dzięki: „Przygoda będzie twym towarzyszem”.

Kiedy Chris otworzył swoje ciasteczko, w środku nie znalazł wiadomości od Fortuny. Milczała.

Strach obleciał Laurę, jakby nieme ciasteczko szczęścia naprawdę znaczyło, że nie oczekuje go żadna przyszłość. Idiotyczne przesady. Ale nie mogła odpędzić nagłej obawy.

— Masz — powiedziała szybko wręczając mu dwa pozostałe ciasteczka. — Jeżeli nie dostałeś żadnego znaku od Fortuny, to będziesz miał dwa razy więcej szczęścia.

Chris otworzył pierwsze, przeczytał je po cichu, wybuchnął śmiechem a następnie odczytał na głos:

— „Zdobędziesz sławę i bogactwo”.

— Jeśli staniesz się odrażająco bogaty, czy będziesz mnie utrzymywał, gdy będę już staruszką?

— Jasne, mamó. No... pod warunkiem, że będziesz mi nadal gotować, przede wszystkim zupełną jarzynową.

— Każesz swojej starej matce zarabiać na utrzymanie, co?

Rozbawiony z tej wymiany uprzejmości, Stefan Krieger powiedział:

— Twardy z niego klient, czyż nie?

— Będzie mnie pilnował, żebym szorowała podłogi, kiedy skończę osiemdziesiątkę — powiedziała Laura.

Chris rozłamał drugie ciasteczko: „Czeka cię wygodne życie, pełne drobnych przyjemności, książki, muzyka, sztuka”.

Ani Chris, ani Stefan zdawali się nie dostrzegać, iż zapowiedzi Fortuny w ostatecznym rezultacie wykluczają się nawzajem. W pewien sposób potwierdziła to złowróżbna zapowiedź pustego ciasteczka.

Ech, chyba rzeczywiście dostajesz kręcka, Shane — pomyślała — to są tylko ciasteczka szczęścia. Naprawdę to one nic nie zapowiadają.

Po paru godzinach, kiedy zgasili światło i Chris zasnął, z ciemności Stefan odezwał się do Laury:

— Ułożyłem plan.

— Sposób zniszczenia instytutu?

— Tak. Jest bardzo skomplikowany i potrzeba nam wielu rzeczy. Nie wiem na pewno... ale podejrzewam, że prywatne osoby nie są w stanie kupić niektórych artykułów.

— Mogę dostać wszystko, czego ci trzeba — powiedziała z pewnością w głosie. — Mam dojścia.

— Potrzeba nam naprawdę dużo pieniędzy.

— To gorzej. Zostało mi tylko czterdzieści dolców i nie mogę iść do banku i wyciągnąć pieniędzy, ponieważ to zostawi ślad...

— Tak. To naprowadzi ich prosto do nas. Czy istnieje ktoś, komu ufasz i kto ufa tobie, ktoś, kto wręczyłby ci dużo pieniędzy i nie zdradził nikomu, co się stało?

230

— Wiesz o mnie wszystko — powiedziała Laura — więc wiesz o □elmie Ackerson. Ale, mój Boże, nie chcę jej w to wciągać; jeżeli coś stałoby się □elmie...

— Potrafę to tak zorganizować, żeby nic się jej nie stało — powiedział z naciskiem.

Na zewnątrz zapowiadany deszcz spadł nagłą ulewą.

Laura powiedziała:

— Nie.

— Ale ona jest naszą jedyną nadzieją.

— Nie.

— Skąd jeszcze możesz wyciągnąć pieniądze?

— Możemy ułożyć inny plan, przy którym obejdzie się bez wykładania dużej forsy.

— Zajmiemy się tym tak czy inaczej — ale pieniądze będą nam potrzebne. Twoje czterdzieści

dolarów nie wystarczy nawet na jeden dzień. Ja nie mam nic.

— Nie będę narażała □elmy na ryzyko — upierała się.

— Powiedziałem, możemy zrobić to bez ryzyka, bez...

— Nie.

— No to przegraliśmy — powiedział ponuro.

Słuchała deszczu, który w jej wyobraźni zabrzmiał jak ciężki ryk bombowców z II wojny światowej — a potem usłyszała zawodzący, szalejący tłum.

W końcu odezwała się:

— Ale jeżeli nawet zachowamy środki ostrożności, by nie narażać □elmy, to przecież SS może ją mieć na oku? Muszą wiedzieć, że jest moją najlepszą przyjaciółką — jedyną prawdziwą przyjaciółką. Więc dlaczego nie mieliby wysłać w przyszłość jednego ze swoich zespołów, po to tylko, aby obserwować □elmę z nadzieją, że zaprowadzi ich do nas?

— Ponieważ jest to zbyt absorbujący sposób odszukania nas — powiedział. — Mogą po prostu wysłać zespoły zwiadowcze w przyszłość, do lutego tego roku, a potem marca, kwietnia i miesiąc po miesiącu, by sprawdzały prasę, aż odkryją, gdzie pojawiliśmy się po raz pierwszy. Każda z tych wycieczek zajmuje tylko jedenaście minut ich czasu, pamiętaj, więc dzieje się to szybko i ta metoda zadziała z pewnością wcześniej czy później, ponieważ jest wątpliwe, że zdołamy przetrwać w ukryciu przez resztę naszego życia.

— Dobrze, ale...

Odczekał dłuższą chwilę. Potem powiedział:

— Wy dwie jesteście jak siostry. I jeżeli w takiej sytuacji jak ta nie możesz zwrócić się o pomoc do siostry, to do kogo masz się zwrócić, Lauro?

— Gdybyśmy mogli otrzymać od niej pomoc bez narażenia jej... Ale chyba musimy spróbować.

— Jutro od tego zaczniemy — powiedział.

231

To była deszczowa noc i deszcz wypełnił również jej sny i były w nich wybuchy piorunów.

Obudziła się ogarnięta straszliwym przerażeniem, ale deszczowa noc w Santa Ana nie została skażona tymi jasnymi, hałaśliwymi zapowiedziami śmierci. Była to stosunkowo spokojna ulewa bez grzmotów, błyskawic i wiatru. Ale wiedziała, że nie zawsze tak będzie.

3.

Maszyneria szumiała i tykała.

Erich Kleitmann spojrział na zegar. Dokładnie za trzy minuty zespół zwiadowców powróci do instytutu.

Dwóch naukowców, następców Penlowskiego, Janowskiego i Wołkowa, stało przy tablicy

programującej, obserwując nieskończoną liczbę zegarów i wskaźników. Oświetlenie w pomieszczeniu było sztuczne. Nie ograniczono się do zaciemnienia okien — zamurowano je. Nie tyle z powodu nocnych bombardowań, ile dla zachowania tajności. Było duszno.

Stojąc w kącie głównego laboratorium, blisko bramy, porucznik Kleitmann podniecony oczekiwał podróży do roku 1989 nie tylko dlatego, że przyszłość była wypełniona wieloma cudami, ale ponieważ ta misja dawała mu szansę przysłużenia się Führerowi — szansę, jaka dana była niewielu. Jeżeli uda mu się zabić Kriegera, kobietę i chłopca, to zasłuży na prywatną audiencję u Hitlera — spotka się z tym wielkim człowiekiem twarzą w twarz. Dotknie jego dłoni i poprzez nią poczuje moc, wszechpotężną moc niemieckiego państwa i narodu, historii i przeznaczenia. Porucznik Kleitmann naraziłby się dziesięć razy, tysiąc razy na śmierć, gdyby dzięki temu miał szansę zwrócić uwagę Führera, gdyby Hitler w ten sposób stał się świadom istnienia jego osoby, nie tylko jako jeszcze jednego oficera SS, ale właśnie jako Ericha Kleitmanna, człowieka, który uratował Rzeszę przed straszliwym losem, który niemalże się spełnił.

Kleitmann nie był ideałem Aryjczyka i czuł to całą swą zboląłą duszą. Jego dziadek ze strony matki był Polakiem, wrednym słowiańskim kundlem, i Kleitmann był tylko w trzech czwartych Niemcem. Nie dość na tym; choć wszyscy jego pozostali przodkowie, w tym rodzice, mieli jasne włosy, niebieskie oczy i nordyckie rysy twarzy, Erich miał migdałowe oczy, ciemne włosy i grube, zmysłowe rysy po swym dziadku barbarzyńcy. Nienawidził swej powierzchowności i usiłował skompensować wady swego wyglądu postawą; był najbardziej czujnym nazistą, najodważniejszym żołnierzem i najbardziej gorliwym zwolennikiem Hitlera w Schutzstaffel. Było to piekielnie trudne, bo o ten honor toczył się zażarty wyścig. Czasami popadał nawet w rozpacz, że musi sprostać temu chwalebnemu zadaniu. Ale nigdy się nie poddawał, a oto teraz stał przed heroicznym skokiem, którym zasłuży sobie na Walhallę.

232

Chciał zabić Kriegera osobiście. Nie tylko po to, by Führer obdarzył go życzliwością, ale i dlatego, że Krieger był typem aryjskim: blond włosy i niebieskie oczy, prawdziwy nordyk w każdym calu, z dobrej zarodowej stajni. Führer został zdradzony przez człowieka, który mając taką przewagę nad Kleitmannem ośmielił się sprzeniewierzyć wodzowi. Rozwścieczało to porucznika, który w pocie czoła musiał trudzić się, aby osiągnąć wielkość, uginając się przy tym pod ciężarem kundlowatych genów.

Teraz, mając niewiele ponad dwie minuty do pojawienia się w bramie zwiadowców powracających z 1989 roku, Kleitmann spoglądał na swych trzech podwładnych, wszystkich ubranych jak młodzi menedżerowie z innej ery, i czuł na ich widok dumę i wzruszenie. Niewiele brakowało, a łzy zakręciłyby mu się w oczach.

Cała trójka pochodziła z samych nizin społecznych. Unterscharführer Felix Hubatsch, sierżant, zastępca Kleitmanna w tym małym oddziale, był synem stale zapitego tokarza i kurwy amatorki, których nienawidził. Ojciec Rottenführera Rudolpha von Mansteina był zrujnowanym junkrem, którego upadek do pozycji wieśniaka przyprawiał syna o pałący wstyd. Rottenführer Martin Bracher nie znał swoich rodziców. Obaj kaprale, sierżant i porucznik Kleitmann nie urodzili się pod jednym dachem, ale mimo to spajał ich węzeł wyjątkowego braterstwa — zrozumienie, że najprawdziwsza, najgłębsza i najcenniejsza człowiecza więź nie dotyczy rodziny, ale państwa, ojczyzny i wodza,

wodza, który jest ucieleśnieniem ojczyzny. A ojczyzna jest jedyną rodziną, jaka się liczy. Ta skromna cząstka wiedzy wywyższała ich i czyniła godnymi ojcostwa przyszłej rasy nadludzi.

Kleitmann dyskretnie przetarł sobie oczy, opędzając się od łez, nad którymi nie był w stanie zapanować.

Za minutę powróci oddział zwiadowczy.

Maszyneria szumiała i tykała.

4.

W piątkowe popołudnie 13 stycznia o godzinie trzeciej biała furgonetka wjechała na zły deszczem parking motelu; podjechała prosto do tylnego skrzydła i zaparkowała tuż obok buicka ze skradzionymi z nissana tablicami rejestracyjnymi. Drzwi od strony kierowcy były poobijane, a nadproże przeżarte rdzą. Widać było, że właściciel przeprowadzał zabiegi renowacyjne w sposób chałupniczy, ponieważ część plam rdzy została przeszlifowana i zagruntowana, ale czekała jeszcze na lakierowanie, Laura obserwowała furgonetkę zza ledwie rozsuniętych zasłon. W ręce trzymała uzi.

Światła samochodu zgasty, wycieraczki zatrzymały się i w chwilę później wysiadła z niej kobieta z baranią szopą blond włosów i podeszła do drzwi numeru Laury. Zastukała trzy razy.

233

Stojący za drzwiami Chris spojrzął na matkę.

Laura skinęła głową.

Chłopiec otworzył drzwi i powiedział:

— Cześć, ciociu □elmo. Jezu, co za okropna peruka!

— No, no, serdeczne dzięki — powiedziała □elma wchodząc do pokoju i ściskając go mocno. — A co byś powiedział, gdybym ci oświadczyła, że jesteś posiadaczem kosztownego nocha, z jakim już się urodziłeś i z jakim zostaniesz do końca życia, a ja tę perukę mam na trochę krócej? No? Co byś wtedy powiedział?

Chris zachichotał:

— Nic. Bo wiem, że mam fajny nos.

— Fajny nos? Boże kochany, ty to naprawdę przepadasz za samym sobą — to się nazywa mieć aktorskie ego.

Puściła go, obrzuciła spojrzeniem Stefana Kriegera, siedzącego na stojącym przy telewizorze krześle, i zwróciła się do Laury:

— Shane, ty widzisz tego gruchota, w jakim się tu musiałam tłuc? Czyż nie jest to dowód prawdziwej przebiegłości? Kiedy ładowałam się do mojego merca, powiedziałam do siebie: □elma — zawsze się tak do siebie zwracam — □elma, powiedziałam, czy w tym marnym motelu to nie wywoła niezdrowej sensacji, kiedy zwalisz się w tym wózku za sześćdziesiąt tysięcy dolarów? Więc chciałam pożyczyć samochód od naszego kamerdynera, ale wiesz, czym on jeździ? Jaguarem. Czy Beverly Hills to już strefa, w której spełniają się wszystkie marzenia? Więc musiałam wziąć tę furgonetkę ogrodnika. Ale oto jestem. A co powiesz na to przebranie?

Miała na sobie ociekającą kroplami deszczu, absolutnie zwariowaną blond perukę i okulary w

rogowej oprawie, a ponadto parę sztucznych szczęk wypychających wydatnie jej wargi.

— Wiesz, tak ci chyba lepiej — powiedziała Laura, szeroko się uśmiechając.

□elma wypluła sztuczne zęby.

— Kiedy już udało mi się dopaść takich czterech kółek, które nie przyciągałyby uwagi, uświadomiłam sobie, że ja będę przyciągała uwagę, będąc gwiazdą pierwszej wielkości itd., itd. A ponieważ mass media dokopały się faktu, że jesteśmy przyjaciółkami i już usiłowano zadawać mi jakieś pytania, odnoszące się do ciebie, o sławną, biegającą z bronią maszynową autoressę — zdecydowałam się przybyć incognito.

Rzuciła torebkę i sztuczne zęby na łóżko.

— Ten kostium miałam już na sobie osiem razy u Ballego w Vegas. Przygotowałam nową postać na występy w nocnych klubach. Taki nieprawdopodobny nieudacznik. Reakcja — boska. Publika pluła na mnie, Shane, wezwali obstawę kasyna i usiłowali wsadzić mnie do pierdla, kwestionowali moje prawo do przebywania z nimi na jednej planecie — och, byli niezbyt mili, byli niemili...

Nagle ustała w środku tego potoku słów i wybuchnęła płaczem. Podbiegła do Laury i zarzuciła jej ręce na szyję.

234

— Och, mój Boże, Laura, byłam taka przerażona, taka przerażona. Kiedy usłyszałam wiadomości o San Bernardino, o broni maszynowej, a potem, w jakim stanie znaleźli twój dom w Big Bear, pomyślałam, że ty... albo może Chris... tak się bałam...

Odwzajemniając się □elmie równie gorącym uściskiem, Laura powiedziała:

— Wszystkiego się dowiesz, ale najważniejsze jest to, że jesteśmy zdrowi i cali i chyba mamy sposób na wydostanie się z tego bagna.

— Dlaczego nie zadzwoniłaś do mnie, głupia krowo?

— Zadzwoniłam.

— Dopiero dziś rano! Dwa dni po tym, jak pojawiaasz się na pierwszych stronach wszystkich gazet. Mało nie oszalałam.

— Przepraszam. Powinna zadzwonić wcześniej. Po prostu tak długo, jak się dało, starałam utrzymać cię z dala od tego.

□elma niechętnie wypuściła ją z objęć.

— Jestem w tym, jestem w tym po uszy i bez nadziei na szybkie wyjście, ty kretynko, bo ty w tym jesteś.

Wyjęła papierową chusteczkę z kieszeni zamszowej kurtki, by wytrzeć oczy.

— Nie masz jeszcze jednej? — spytała Laura.

□elma dała jej chusteczkę i obie wysiakały nosy.

— Nawiewaliśmy, ciociu □elmo — wyjaśnił Chris. — Ciężko jest być z kimś w kontakcie, jak się nawiewa.

Wciągając długi, drżący oddech, □elma powiedziała:

— Więc, Shane, gdzie trzymasz swoją kolekcję odciętych głów? W łazience? Słyszałam, że jedna wypadła ci w San Bernardino? Niezdara. Czy to jakieś twoje nowe hobby, czy też zawsze żywiłaś uwielbienie dla piękna ludzkiej głowy nie skażonego płatającymi się dodatkami?

— Chcę, żebyś kogoś poznała — powiedziała Laura. — □elma Ackerson, to jest Stefan Krieger.

— Miło mi pana poznać — powiedziała □elma.

— Proszę mi wybaczyć, że nie wstaję — powiedział Stefan. — Dochodzę jeszcze do siebie.

— Jeżeli pan wybaczy mi tę perukę, wybaczę panu wszystko.

Spytała:

— To on?

— Tak.

— Twój obrońca?

— Tak.

□elma podeszła do Stefana i ucałowała go serdecznie w oba policzki.

— Nie mam pojęcia, skąd przybywasz ani kim, u diabła, jesteś, Stefanie Krieger, ale będę kochać cię po wszystkie czasy za to, że pomagałeś mojej Laurze. — Cofnęła się

235

i usiadła w nogach łóżka obok Chrisa. — Shane, ten mężczyzna, którego tu masz, jest wspaniały. Popatrz, jakie to cudo, założę się, że to ty go postrzeliłaś, żeby nie dał nogi. Wygląda tak, jak anioł stróż wyglądać powinien.

Stefan był zażenowany, ale □elma była nie do powstrzymania.

— Smaczny z ciebie kasek, Stefanku. Musisz mi wszystko o sobie opowiedzieć. Ale najpierw forsa, o którą prosiłaś, Shane.

Rozwarła gigantycznych rozmiarów torebkę i wyciągnęła gruby plik studolarowych banknotów.

Rzuciwszy na nie okiem, Laura powiedziała:

— □elma, prosiłam cię o cztery tysiące. Tu jest co najmniej dwa razy tyle.

— Dziesięć albo dwanaście tysięcy. — □elma mrugnęła do Chrisa i powiedziała: — Kiedy moi przyjaciele nawiewają, życzę sobie, żeby korzystali z pierwszej klasy.

□elma wysłuchiwała całej opowieści ani razu nie wyrażając niewiary w przedstawioną historię. Stefanowi, zdumionemu otwartością jej umysłu, powiedziała:

— Wiesz, kiedy się przeżyło Dom McIlroya i Caswell Hall, wszechświat nie kryje już żadnych tajemnic. Podróżny w czasie z roku 1944? Phi! U McIlroya mogłabym ci pokazać kobietę wielkości kanapy, ubraną w ciuchy z okropnej tapicerki, kasującą niezłą pensję urzędnika państwowego za to, że traktowała osierocone dzieci jak robactwo. To jest powód do zdumienia.

Była wyraźnie poruszona pochodzeniem Stefana, przerażona i oszołomiona sytuacją, w jakiej się znaleźli, ale nawet w takiej chwili pozostała □elma Ackerson, szukającą wszędzie okazji do śmiechu.

O godzinie szóstej założyła znowu monstrualne szczęki i poszła w górę ulicy, aby przynieść jedzenie z meksykańskiej restauracji.

— Kiedy uciekasz przed prawem, musisz wrzucić na ruszt trochę fasoli, zarcia dla twardych gości.

Wróciła przemoknięta. Uginała się pod ciężarem toreb i pojemniczków wypełnionych naleśnikami z różnym nadzieniem. Siekana wieprzowina z soczystą sałatą, różne rodzaje mięs wymieszanych i wspólnie podsmażonych, parująca fasolka polana obficie chili, zapiekanki z żółtym serem i

oczywiście chimichanga. Położyli jedzenie w nogach łóżka, a □elma i chłopiec usiedli w głowach. Pozostała dwójka ulokowała się na dosuniętych do tego prowizorycznego stołu krzesłach.

— □elma — powiedziała Laura — dziesięciu twardzieli nie dałoby temu rady.

— Zgadza się, ale pomyślałam sobie, że muszę zabrać też coś dla karaluchów. Gdyby nic nie dostały, mogłyby stać się niemiłe, wybiegłyby na parking i przewróciłyby wóz mojego ogrodnika. Chyba macie tu karaluchy? Myślę, że takie miluchne ustronie bez karaluchów to jak Beverly Hills bez szczurów drzewnych.

236

Kiedy jedli, Stefan przedstawił opracowany przez siebie plan zamknięcia bramy i zniszczenia instytutu. □elma przerywała mu dowcipami, ale gdy skończył, była poważna.

— To jest cholernie niebezpieczne, Stefan. Tak odważne, że chyba głupie.

— Nie ma innego wyjścia.

— Rozumiem — rzekła. — Więc w czym mogę pomóc?

Zatrzymując w połowie drogi wędrującą do ust garść prażonej kukurydzy, Chris powiedział:

— Potrzebujemy cię, żebyś kupiła nam komputer osobisty, ciociu □elmo.

Laura dodała:

— IBM PC, najlepszy model, taki jaki mam w domu, żeby nie musiała się z nim męczyć. Nie mamy czasu na uczenie się obsługi innego. Wszystko masz zapisane. Jak sądzę, mogłabym kupić go sama za pieniądze, jakie dostałam od ciebie, ale boję się pokazywać swoją twarz w miejscach publicznych.

— I będziemy potrzebowali jakiegoś miejsca do ukrycia się — powiedział Stefan.

— Nie możemy tu zostać — powiedział Chris, ciesząc się z możliwości uczestnictwa w rozmowie — to nie byłoby rozsądne, jeżeli mamy zajmować się takimi niezwykłymi sprawami, jak praca z komputerem. Nawet gdybyśmy bardzo się z tym kryli, pokojówka może coś zobaczyć i będzie o tym gadała, no bo to niezbyt pasuje, żebyśmy w takiej dziurze zaszywali się z komputerem.

Stefan podsunął:

— Laura powiedziała, że macie drugi dom w Palm Springs.

— Mamy dom w Palm Springs i posiadłość w Monterey i inną posiadłość w Vegas i nie dziwiłoby mnie, gdybyśmy mieli — albo chociaż wynajmowali — jakiś własny wulkanik na Hawajach. Mój mąż jest zbyt bogaty. Więc wybierajcie, co chcecie. Tylko nie używajcie ręczników do polerowania dekli kół waszego samochodu, a jak musicie żuć tytoń i spluć na podłogę, to nie uświńcie nam kątów, błagam.

— Tak sobie myślałam, że dom w Palm Springs byłby idealny — powiedziała Laura. — Mówiłaś, że jest na uboczu.

— Jest położony na dużym terenie, z masą drzew. W tej dzielnicy mieszkają ludzie z przemysłu rozrywkowego i nie musicie się martwić, że będą u was przesiadywać na kawie, bo sami mają mało czasu. Nikt nie będzie wam zawracał głowy.

— W porządku — powiedziała Laura. — Jest jeszcze parę innych spraw. Potrzeba nam rzeczy do przebrania się, wygodnych butów i drobiazgów niezbędnych do normalnego życia. Listę zrobiłam — wymiary i tak dalej. I oczywiście kiedy będzie po wszystkim, oddaję ci z powrotem gotówkę i to, co

wydasz na komputer i inne rzeczy.

— Niech cię cholera, Shane, jasne, że mi oddasz. I czterdzieści procent odsetek. Tygodniowo. Kapitalizowane godzinowo. Plus twoje dziecko. Twoje dziecko zostaje u mnie.

237

Chris roześmiał się:

— Moja ciocia Rumpelstiltskin.

— Już ci zrzędzie mina, kiedy zostaniesz moim dzieckiem, Christopherze Robinie. Chyba że przynajmniej zaczniesz do mnie zwracać się: „Matko Rumpelstiltskin, proszę Matki”.

— Tak jest, Matko Rumpelstiltskin, proszę Matki! — wykrzyknął Chris i zsalutował.

O wpół do dziewiątej □elma przygotowała się do odjazdu z listą zakupów i danymi komputera.

— Wracam jutro po południu, najszybciej jak się da — powiedziała ściskając po raz ostatni najpierw Laurę, a potem Chrisa. — Naprawdę jesteście tu bezpieczni, Shane?

— Chyba tak. Gdyby odkryli, że tu jesteśmy, pojawiliby się wcześniej.

— Zapamiętaj, □elma — powiedział Stefan — to są podróżni w czasie. Kiedy tylko zdobędą informację, gdzie się ukrywaliśmy, mogą po prostu odbyć wycieczkę w przyszłość, do momentu, w którym pojawiliśmy się tam po raz pierwszy. W istocie mogliby czekać na nas, kiedy przyjechaliśmy do tego motelu we środę. Fakt, że pozostajemy tu tak długo nie napastowani, jest najlepszym dowodem, że informacja o tej kryjówce nigdy nie przedostała się do publicznej wiadomości.

— W głowie mi się kręci — powiedziała □elma. — A myślałam, że przebrnięcie przez kontrakt z dużą wytwórnią to wystarczająco skomplikowana sprawa!

Wyszła w noc i deszcz z peruką na głowie i okularami w rogowej oprawie na nosie, ale sztuczne, teatralne zęby schowała do kieszeni. Odjechała furgonetką swojego ogrodnika.

Wszyscy troje obserwowali ją z motelowego okna, a Stefan powiedział:

— Ona jest niezwykłą osobą.

— Tak — potwierdziła Laura. — Proszę Boga, żebyśmy nie narazili jej na żadne niebezpieczeństwo.

— Nie przejmuj się, mamó — uspokoił ją Chris. — Ciocia □elma to twarda dupa. Zawsze tak o sobie mówi.

Tej nocy o godzinie dziewiątej, krótko po rozstaniu z □elmą, Laura pojechała do domu Tłustego Jacka w Anaheim. Deszcz nie był już tak gęsty jak poprzednio, ale nadal siąpił monotonicznie. Twarda nawierzchnia ulic błyszczała srebrem i czernią, a spływy kanałów wypływały z powrotem nadmiar wody, w dziwnym świetle sodowych lamp ulicznych mającej wygląd oleju. Nadciągnęła również mgła, ale nie powolutku — krokiem małego kotka, ale wślizgując się ciężko i pewnie, jak ogromny pełznący wąż.

Pozostawienie Stefana w motelu wiele ją kosztowało. Ale narażenie go na przenikliwy chłód rozpadanej, styczniowej nocy nie byłoby mądre, zważywszy jego brak sił. Poza tym byłby dla niej tylko dodatkowym kłopotem.

Chociaż Stefan pozostał w motelu, Chris towarzyszył matce — nie chciała się z nim rozstawać nawet na czas zakupu broni. Chłopiec był z nią także wtedy, gdy rok temu spotkała się z Tłustym Jackiem z okazji zakupu nielegalnie zmodyfikowanego uzi, więc grubas nie będzie zaskoczony jego widokiem. Niezadowolony — tak, gdyż nie przepadał za dziećmi, ale nie zaskoczony.

Kiedy jechali, Laura spoglądała często we wsteczne i boczne lusterka i oceniała innych kierowców z rozwagą, która nadawała nowe znaczenie pojęciu „ostrożna jazda”. Nie mogła pozwolić, by jakiś dureń, jadący z nadmierną prędkością, wyrzucił ją na pobocze. Policja zjawiłaby się na miejscu wypadku, rutynowo rzuciła okiem na tablice rejestracyjne i zanim nawet zdążyłaby ich aresztować, zmaterializowałiby się ludzie z bronią automatyczną i zabiliby ją i Chrisa.

Mimo protestów Stefana, zostawiła mu uzi. Nie chciała pozbawić go możliwości obrony. Przy sobie miała jednak chief 's special kaliber 38. A pięćdziesiąt zapasowych naboii porozkładała po zapinanych na zamek błyskawiczny kieszeniach narciarskiej kurtki.

W pobliżu Disneylandu objawił się, jak fantasmagoria, obwieszony neonami „Pałac Przyjęć z Pizzą” — duma i własność Tłustego Jacka. Wyglądał we mgle jak gwiazdny okręt z Bliskich spotkań trzeciego stopnia, spływający z chmur siłą własnego napędu. Laura odetchnęła z ulgą. Wjechała na zatłoczony parking i wyłączyła silnik. Wycieraczki przestały pracować i deszcz opadał na szybę jak szeleszczące prześcieradła. Pomarańczowe, czerwone, niebieskie, żółte, zielone, białe, purpurowe i różowe światła neonów połyskiwały w tańczących płachtach deszczu i Laura poczuła się jak w środku jednej z tych staromodnych, krzykliwych szaf grających z lat pięćdziesiątych.

Chris zauważył:

— Tłusty Jack podokładał neonów od zeszłego roku.

Wyszli z wozu i patrzyli w górę na mrugającą, pobłyskującą, drgającą kolorami, groteskowo migoczącą fasadę „Pałacu Przyjęć z Pizzą” Tłustego Jacka. Neon nie informował wyłącznie o nazwie budynku. Neonowe było również obramowanie gmachu, każdego okna, frontowych drzwi. Na dachówkę na dachu znajdowała się również para wielkich okularów słonecznych, a po drugiej stronie startowała wielka, kosmiczna rakietka. U dołu bez przerwy kłębiły się jej dymy i sypały skry, jakby wylatując z silników odrzutowych. Pizza o średnicy dziesięciu stóp była starym elementem, ale uśmiechnięta twarz klauna pojawiła się dopiero niedawno.

Neonów było tak dużo, że każda spadająca kropla deszczu była lekko koloryzowana, jakby stanowiła cząstkę tarczy połamanej przez nadchodzącą noc. W każdej kałuży jak żywe trzepotały się barwne odłamki.

Efekt był oszałamiający, ale przygotowywał gościa do widoku wnętrza pałacu Jacka, odzwierciedlającego ułamek chaosu, z którego świat wyłonił się miliardy lat temu. Kelnerzy i kelnerki byli przebrani za klaunów, duchy, wampiry, przybyszów z kosmosu,

wiedźmy i Cyganów. A śpiewające trio w kostiumach niedźwiedzi chodziło od stołu do stołu,

znakomicie zabawiając młodą klientelę o rozradowanych buziach, usmarowanych nadzieniem pizzy. W łóżach, mieszczących się poza główną salą, starsze dzieci wystawiały przy grach wideo i „biip-zing-zap-baąg” tej elektronicznej zabawy służyło za tło muzyczne śpiewającym misiom i wydzierającej się dzieciarni.

— Wariatkowo — osądził Chris.

Przy drzwiach zostali przywitani przez Dominika, młodszego partnera Tłustego Jacka. Dominik był wysoki, miał trupi wygląd, oczy pełne żaloby i wyglądał stanowczo nie na miejscu wśród tej wysilonej wesołości.

Podnosząc głos ponad wrzawę, Laura spytała o Tłustego Jacka i dodała:

— Dzwoniłam wcześniej, jestem starą przyjaciółką jego matki — co należało oświadczyć, kiedy wpadało się tu po broń, a nie na pizzę.

Dominik nauczył się już bez wysiłku podnosić głos ponad tę kakofonię:

— Była tu już pani, jak sądzę.

— Ma pan niezłą pamięć — pochwaliła go. — Rok temu.

— Proszę za mną — odezwał się Dominik głosem przedsiębiorcy Pogrzebowego.

Nie musieli wkraczać w oko cyklonu, szalejącego na sali, co było sprzyjającą okolicznością, pozwalającą Laurze uniknąć spojrzeń klientów i ewentualnego rozpoznania. Drzwi po drugiej stronie wejściowego hallu otwierały się na korytarz prowadzący do kuchni i magazynu oraz do prywatnego gabinetu Tłustego Jacka, znajdującego się w jego końcu. Dominik zapukał i wprowadził ich do środka.

— Starzy przyjaciele twojej matki — powiedział, a potem zostawił Laurę i Chrisa z potężnym mężczyzną.

Tłusty Jack brał na serio swoje pseudo i usiłował mu sprostać. Miał pięć stóp i dziesięć cali i ważył ponad trzysta pięćdziesiąt funtów. Nosił niebotycznych rozmiarów opięty jak kostium narciarza, bawełniany cienki dres. Wyglądał w nim jak tłusciuch z fotografii, stawianych przez żarłoków na ich lodówkach — fotografii mających magiczną mocą odstraszać od lasowania. A przy okazji — Tłusty Jack sam wyglądał jak lodówka.

Siedział na godnie prezentującym się, obrotowym fotelu za odpowiednim do jego wymiarów biurkiem i ani drgnął.

— Posłuchaj tych małych bestii — powiedział do Laury, ignorując Chrisa. — Moje biuro jest na tyłach budynku, ma specjalne wygłuszanie, a dalej je tutaj słyszę, jak wrzeszczą i wyją, jakby dzielił mnie od nich tylko korytarz.

— To tylko bawiące się dzieci — powiedziała Laura, stojąc za Chrisem po drugiej stronie biurka.

— A pani O'Leary była tylko staruszką, która miała głupią krowę, ale udało się jej spalić Chicago — kwaśno stwierdził Tłusty Jack. Wpychał w siebie baton Marsa. Z odległości dziecięce głosy, stłumione przez dźwiękoszczelne płyty, urastały w głuchy ryk. Jakby odzywając się do tego znienawidzonego tłumu, tłusty mężczyzna powiedział: — Ach, zatkajcie się, małe trolle.

— Tam jest prawdziwy dom wariatów — powiedział Chris.

— Pytał cię kto?

— Nikt, proszę pana.

Jack miał dziobatą cerę i szare oczy, prawie całkiem wtopione w twarz przypominającą pysk, tłustej, jadowitej żmii. Skupił wzrok na Laurze i zapytał:

— Widziałaś mój nowy neon?

— Ten klaun jest nowy, tak?

— Taak. Czy nie jest śliczny? Zaprojektowałem go, zrobiłem, a potem, w środku nocy, zamontowałem, więc następnego rana było za późno, żeby ktoś mógł mi tego zabronić. Ta cholerna rada miejska jest już prawie załamana — załatwiłem ich wszystkich za jednym zamachem.

Tłusty Jack był uwikłany w toczącą się od dziesięciu lat prawną potyczkę z biurem Głównego Architekta Anaheim i z radą miejską.

Władze sprzeciwiały się jego oślepiającym neonom, zwłaszcza teraz, kiedy zdecydowano o usunięciu z terenu wokół Disneylandu ruder i slumsów. Tłusty Jack wydał już dziesiątki, jeśli nie setki tysięcy dolarów na walkę w sądzie i płacenie kar, otrzymując pozwy, sam skarżąc, a nawet przebywając w więzieniu za obrazę sądu. Wyznawał doktrynę o istnieniu niczym nie ograniczonej wolnej woli, którą dawniej nazywano libertarianizmem, a obecnie anarchizmem. Nie znosił ograniczenia praw jednostki — prawdziwych czy urojonych — przysługujących niezależnie myślącym obywatelom.

Handlował nielegalnie bronią z tego samego powodu, dla jakiego konstruował neony, łamiąc przepisy władz miejskich. Był to protest przeciwko władzy, instrument walki o prawa jednostki. Potrafił godzinami mówić o złu, jakie niesie rząd — każdy rząd. Podczas swojej poprzedniej wizyty, będąc tu z Chrisem, Laurą, aby móc zakupić zmodyfikowany uzi, na którym jej bardzo zależało, musiała wysłuchać przydługich wyjaśnień, dlaczego rząd nie ma nawet prawa do sankcjonowania przepisów zakazujących zabijania.

Laura nie miała wielkiego nabożeństwa do silnego rządu, obojętnie o jakim charakterze, ale nie przepadała za Tłustym Jackiem. Nie uznawał prawa do istnienia i działania żadnej władzy, żadnej sprawdzonej instytucji, nawet rodziny.

Teraz, kiedy otrzymał od Laury nową listę potrzeb i wymienił cenę, a następnie przeliczył otrzymane pieniądze, przeprowadził ją i Chrisa przez ukryte w głębi gabinetu drzwi. Schodzili wąskimi, kręconymi schodkami — mało w nich nie utknął — do piwnicy, gdzie składował nielegalny towar. Chociaż restauracja wyglądała jak dom wariatów, to arsenał ujawniał maniackalny wręcz porządek. Stosy za stosami kartonów z ręczną bronią i karabinkami automatycznymi były rozmieszczone na metalowych półkach zgodnie z kalibrem i ceną. W piwnicach „Pałacu Przyjęć z Pizzą” miał przynajmniej tysiąc sztuk broni.

Był w stanie zaopatrzyć ją w dwa zmodyfikowane uzi — „niezwykle popularną broń od czasu zamachu na Reagana”, powiedział — i następny rewolwer kaliber 38 chief 's special. Stefan liczył, że otrzyma colt commander 9 mm parabellum z dziesięcionabojowym magazynkiem i lufą przystosowaną do tłumika.

— Nie mam na składzie — powiedział Tłusty Jack — ale służę coltem commander model IV kaliber 38 super. Ma dziewięć naboju w magazynku. Są dwie sztuki z lufami do tłumików. Tłumiki

mam też.

Wiedziała już, że nie był w stanie zaopatrzyć jej w amunicję, ale kiedy skończył swój baton, wyjaśnił to raz jeszcze.

Nie trzymam amunicji ani materiałów wybuchowych. Zrozum, nie obchodzi mnie, co mówi władza, ale nie jestem zupełnie nieodpowiedzialny. Mam restaurację pełną wrzeszczących, zasmarkanych gówniarzy i nie mogę ryzykować, że rozniosę ją na strzępy, nawet gdyby miało to przynieść światu nieco spokoju. Poza tym zniszczyłbym wszystkie moje piękne neony.

— W porządku — powiedziała Laura, przyciągając do siebie Chrisa — a co z gazem z mojej listy?

— Jesteś pewna, że nie chodzi ci o gaz łzawiący?

— Nie. Vexxon. Chodzi mi właśnie o taki towar.

Stefan podał jej tę nazwę. Powiedział, że był to jeden z rodzajów broni chemicznej znajdującej się na liście artykułów wojskowych, jakie instytut miał nadzieję sprowadzić do przeszłości i wyposażyć w nie armię niemiecką. Teraz można by użyć go przeciw nazistom.

— Potrzebujemy czegoś, co zabija błyskawicznie.

Tłusty Jack oparł się o metalowy, roboczy stół na środku pomieszczenia, gdzie wyłożył poprzednio uzi, rewolwery, pistolet i tłumiki. Stół zatrzeszczał złowróźnie.

— No, to, o czym teraz mówimy, należy do zaopatrzenia wojska i jest towarem podlegającym ścisłej kontroli.

— Nie zdobędziesz tego?

— No wiesz, trochę vexxonu da się załatwić — powiedział Tłusty Jack.

Odsunął się od stołu, który skrzypnął z ulgą, uwolniony od jego ciężaru. Podeszedł do metalowych półek, spomiędzy których wyciągnął parę batonów Hersheya, ukrytych między kartonami z bronią. Nie częstując Chrisa, jeden wsadził od razu do ust, a drugi do kieszeni spodni.

— Nie mam tu tego święstwa. Jest tak samo niebezpieczny, jak materiał wybuchowy. Ale jeśli ci to nie przeszkadza, to mogę go mieć jutro.

— No to gra.

— I kosztuje.

— Wiem.

Tłusty Jack wyszczerzył zęby; przykleił mu się do nich kawałek czekolady.

— Nie mam dużo zamówień na takie rzeczy, nie od kogoś takiego jak ty, drobnego klienta. Ciekaw jestem, po co ci to. No, nie oczekuję, żebyś mi się tu spowiadała, ale normalnie tylko wielcy nabywcy z Afryki Południowej albo Środkowego Wschodu biorą te neuroaktywne lub respiraktywne gazy. Iran i Irak zużyły tego masę ostatnimi laty.

— Neuroaktywne, respiraktywne? Co za różnica?

— Respiraktywny trzeba wchłonąć do płuc, zabija w kilka sekund po tym, jak tam dotrze i rozejdzie się z krwią. Kiedy go wypuszczasz, musisz mieć maskę gazową na twarzy. Neuroaktywny zabija szybciej, wystarczy, że dotknie skóry, a przy pewnych rodzajach — jak vexxon — nie potrzeba maski gazowej ani ubrania ochronnego, ponieważ wystarczy wziąć parę pigułek przed wypuszczeniem go, które zadziałają jak antidotum.

— Tak, o pigułki też miałam zapytać.

— Vexxon. Najporęczniejszy gaz na rynku. Niegłupi z ciebie klient — pochwalił Tłusty Jack.

Pochłonął już baton i wydawało się, że wyraźnie powiększył się od czasu, kiedy przed półgodziną Laura i Chris weszli do jego gabinetu. Uświadomiła sobie, że jego przywiązanie do politycznego anarchizmu odzwierciedlało się nie tylko w atmosferze pizzerii, ale i w jego fizycznych warunkach — ciało ogromniało mu nie powstrzymywane przez jakiegokolwiek społeczne czy medyczne względy. Jego wymiary chyba sprawiały mu wielką frajdę, gdyż często klepał się po brzuchu albo ścisnął zwały tłuszczu zwisające po bokach i miętosił je nieomalże z uczuciem. Poruszał się z wojowniczą arogancją, odpychając świat swym brzuchem. Doznała wizji Tłustego Jacka, ogromniejącego jeszcze bardziej, przeskakującego wagę czterystu, pięciuset funtów, równocześnie z rosnącymi niepowstrzymanie piramidalnymi strukturami neonów na dachu, z każdym dniem coraz bardziej wymyślnymi, aż pewnego dnia dach zapadnie się i równocześnie Tłusty Jack eksploduje.

— Gaz będę miał jutro o piątej — powiedział, kładąc uzi, trzydziestki ósemki, colt commander i tłumiki do pudełka z napisem DODATKI NA PRZYJĘCIE URODZINOWE, które poprzednio zawierało prawdopodobnie kapelusiki i różnego rodzaju zagłuszacze, dostarczane do restauracji. Zamknął pudełko i wskazał, że to Laura zanieś je na górę. Rycerskość nie należała do cech kultywowanych przez Tłustego Jacka.

Gdy znaleźli się z powrotem w gabinecie, Chris otworzył przed matką drzwi do hallu. Laura odetchnęła z ulgą, słysząc pisk dzieci dobiegający z pizzerii. Był to pierwszy normalny, zdrowy głos, jaki doszedł ją od ponad pół godziny.

— Posłuchajcie tych małych kretynów — skrzywił się Tłusty Jack. — To nie są dzieci, to ogolone małpy, udające dzieci. — Zatrzasnął dźwiękoszczelne drzwi za Laurą i Chrisem.

W samochodzie, podczas drogi powrotnej do motelu, Chris zapytał:

— Kiedy już będzie po tym wszystkim... co zamierzasz zrobić z Tłustym Jackiem?

243

— Wsadzić jego tłustą dupę za kraty — powiedziała Laura. — Anonimowo.

— Słusznie. On jest wariat.

— Gorzej, kochanie. Jest fanatykiem.

— Co to dokładnie znaczy fanatyk?

Pomyślała przez chwile, a potem wyjaśniła:

— Fanatyk to wariat, który w coś wierzy.

5.

Porucznik Erich Kleitmann obserwował dużą wskazówkę zegara na tablicy programującej i kiedy dobiła do dwunastki, obrócił się i spojrzał w głąb bramy. Wewnątrz długiej na dwanaście stóp,

wypełnionej mrokiem, ogromnej rury coś zajaśniało jak niewyraźna szaroczarna plama, z której zaczęła się wyodrębniać sylwetka człowieka, a potem kolejno trzy następne. Zespół zwiadowczy wyszedł z bramy i został przywitany przez trzech uczonych, kontrolujących tablicę programującą.

Powrócili z lutego 1989 roku i uśmiechali się. Poczul, jak serce bije mu mocniej. Nie uśmiechaliby się, gdyby nie zlokalizowali Stefana Kriegera, kobiety i chłopca. Pierwsze dwa oddziały morderców wysłane w przyszłość — jeden, który zaatakował dom koło Big Bear, i następny, który znalazł się w San Bernardino — składały się z oficerów gestapo. Ich porażki spowodowały, że Führer uparł się, aby trzeci oddział pochodził z Schutzstaffel i teraz Erich z ich uśmiechów wywnioskował, że jego oddziałek będzie miał szansę udowodnić, iż SS składa się z bardziej wartościowych ludzi niż gestapo.

Porażki dwóch poprzednich grup nie były jedynymi czarnymi plamami w raportach gestapo w tej sprawie. Heinrich Kokoschka, szef komórki służby bezpieczeństwa instytutu, był również oficerem gestapo i prawdopodobnie okazał się zdrajcą. Dotychczasowe materiały dowodowe zdawały się potwierdzać przypuszczenie, że dwa dni temu, 16 marca, uciekł do przyszłości z pięcioma innymi członkami zespołu instytutu.

Wieczorem 16 marca Kokoschka wykonał samotną wycieczkę w góry San Bernardino, utrzymując wcześniej, że zamierza zabić Stefana Kriegera w przyszłości, zanim Krieger powróci do roku 1944 i zabije Penlowskiego. W ten sposób Kokoschka anulowałby śmierć najwybitniejszych ludzi programu. Ale sam nie pojawił się już. Niektórzy twierdzili, że został zabity, tam w roku 1988, że Krieger wygrał to starcie — ale to nie tłumaczyłoby, co tamtego wieczora stało się w instytucie z pięcioma innymi ludźmi: dwoma agentami gestapo oczekującymi na powrót Kokoschki i trójką uczonych, kontrolujących tablicę programującą bramy. Wszyscy zniknęli i nie było też pasów powrotnych — więc dowody wskazywały na istnienie grupy pięciu zdrajców wewnątrz instytutu, opanowanych przekonaniem, że Hitler przegra wojnę nawet przy przewadze cu

244

downej broni, ściągniętej z przyszłości. Zdrajcy woleli raczej uciec do innej ery, niż pozostać w skazanym na zagładę Berlinie.

Ale Berlin nie był skazany. Kleitmann nie brał pod uwagę takiej możliwości. Berlin jest nowym Rzymem; trzecia Rzesza będzie istnieć tysiąc lat. Teraz, kiedy SS dano szansę odnalezienia i zabicia Kriegera, to, o czym marzył Führer, zostanie ocalone i spełnione. Kiedy wyeliminują Kriegera, kiedy jego egzekucja odsunie widmo destrukcji bramy, wtedy skupią się na odnalezieniu Kokoschki i innych zdrajców. Gdzie by się te świny nie udały, w jak odległym roku i miejscu nie szukałoby schronienia, Kleitmann i jego bracia z SS zajmą się nimi skrupulatnie i z wielką przyjemnością.

Obecnie doktor Teodor Juttner — dyrektor instytutu od czasu śmierci Penlowskiego, Janowskiego i Wołkova i od czasu zniknięcia z 16 marca — obrócił się do Kleitmanna i powiedział:

— Chyba znaleźliśmy Kriegera, Obersturmführer Kleitmann. Proszę przygotować swoich ludzi do drogi.

— Jesteśmy gotowi, doktorze — odpowiedział Erich. Gotowi do przyszłości — pomyślał — gotowi do Kriegera, gotowi do chwały.

6.

W sobotę 14 stycznia, za dwadzieścia druga po południu, kiedy upłynęło ponad dwadzieścia cztery godziny od pierwszej wizyty, Elma powróciła do motelu „Szczęśliwy Drozd” rozklekotaną furgonetką swego ogrodnika. Przywiozła dla każdego po dwie zmiany ubrania i walizki, by można było je gdzieś zapakować, oraz parę tysięcy sztuk amunicji do rewolwerów i uzi. W wozie miała również IBM PC oraz drukarkę, różne programy, paczkę dyskietek i wszystko to, co jeszcze miało zapewnić pracę całego systemu, zgodnie z potrzebami.

Mając za sobą zaledwie cztery dni rekonwalescencji, Stefan dochodził do formy zadziwiająco szybko, choć nie mógł jeszcze niczego podnosić, bez względu na ciężar. Pozostał z Chrisem w motelowym pokoju i pakował walizki, kiedy Laura i Elma przenosiły paki z częściami komputera do bagażnika i na tylne siedzenie buicka.

Nocą przeszła burza. Poszarpane czarne chmury zwisały z nieba jak Postrzępione brody. Temperatura skoczyła do trzydziestu stopni Celsjusza, Powietrze oczyściło się.

Zamykając bagażnik buicka po ulokowaniu ostatniej paczki, Laura Powiedziała:

— Robiłaś zakupy w tej peruce, okularach i z tymi zębami?

— Nie — powiedziała Elma, wypluwając je i chowając do kieszeni kurtki, ponieważ nosząc je w ustach sepleniła. — Stojąc blisko sprzedawcy mogłabym narazić się na rozpoznanie i w tym przebraniu wzbudziłabym jeszcze większe zainteresowanie,

245

niż gdybym była normalnie ubrana. Ale kiedy już wszystko załatwiłam, stanęłam sobie w kącie parkingu innego supermarketu i zanim tu przyjechałam, zrobiłam z siebie coś pomiędzy Harpo Marxem i Bucky Beaverem, tak na wszelki wypadek, żeby jakiś kierowca nie rozpoznał mnie na drodze. Mówię ci, Shane, jakoś odpowiada mi taka fabułka. Może jestem kolejną inkarnacją Maty Hari, bo jak myślę o uwodzeniu mężczyzn, aby wyciągać od nich jakieś sekrety, a potem sprzedawać je obcemu rządowi, to czuję dreszcz rozkoszy.

— To kawałek z uwodzeniem wywołuje u ciebie te dreszcze — wyjaśniła jej Laura — a nie sprzedawanie sekretów. Nie jesteś żadnym szpiegiem tylko zwyczajną nimfomanką.

Elma dała jej klucz od domu w Palm Springs.

— Nie trzymamy tam stałej służby. Na parę dni przed przyjazdem dzwoni się po prostu do agencji wynajmującej sprzątaczkę. Jasne, że tym razem do niej nie dzwoniłam, więc macie szansę znaleźć trochę kurzu, ale na prawdziwy brud nie liczcie i żadnych odciętych łbów, które ty masz w zwyczaju siać za sobą.

— Jesteś kochana.

— Mamy tam ogrodnika, ale nie na stałe jak w Beverly Hills. Ten facet zjawia się raz w tygodniu, we wtorki, strzyże trawę, obcina żywopłot i depce parę kwiatków, żeby miał czym nas obciążyć za

nowe sadzonki. Radzę nie podchodzić do okien i nie zabawiać się głośno, kiedy przyjdzie.

— Schowamy się pod łóżkiem.

— Znajdziecie tam masę pejczy i łańcuchów, ale żeby nie przyszło wam do głowy, że Jason i ja mamy jakiegoś erotycznego świra. Pejczy i łańcuchy były własnością jego mamusi i zachowujemy je wyłącznie jako pamiątkę rodzinną.

Wynieśli z motelu wypakowane walizki i złożyli je na tylnym siedzeniu, obok paczek, które nie zmieściły się w bagażniku. Obszedłszy wszystkich z uściskami, □elma powiedziała:

— Mam przerwę w występach w klubach przez następne trzy tygodnie, więc jak będziesz ode mnie jeszcze czegoś potrzebowała, złapiesz mnie w Beverly Hills. Waruję przy telefonie dzień i noc.

I oglądając się za siebie, odjechała.

Laura poczuła ulgę, kiedy furgonetka zniknęła w ruchu ulicznym. □elma była bezpieczna, wyłączyła się z ich sprawy. Laura zostawiła klucze od pokoju w recepcji, a potem odjechała buickiem z Chrisem obok i Stefanem na tylnym siedzeniu, wciśniętym między bagaże. Żałowała, że musi wyjechać ze „Szczęśliwego Drozda”, ponieważ byli tu przez cztery dni bezpieczni, a nie mieli gwarancji, że będzie tak w jakimkolwiek innym miejscu.

Zatrzymali się najpierw przy sklepie z bronią. Ponieważ najrozsądniej było nie wystawiać Laury na widok publiczny, Stefan wszedł kupić pudełko amunicji do pistole

246

tu. Nie zaznaczyli □elmie takiej pozycji na liście sprawunków, gdyż wtedy nie wiedzieli jeszcze, czy dostaną parabellum 9 mm, na jakim zależało Stefanowi. I faktycznie, zamiast niego mieli colt commander kaliber 38.

Po opuszczeniu sklepu z bronią pojechali do „Pałacu Przyjęć z Pizzą” Tłustego Jacka, aby odebrać dwa kanistry ze śmiertelnie działającym gazem paraliżującym. Stefan i Chris zostali w wozie pod neonowymi znakami, już jarzącymi się w świetle wieczoru, choć musiały jeszcze czekać na nadejście nocy, aby zapłonąć pełną krasą.

Kanistry stały na biurku Jacka. Wymiary miały identyczne, jak małe domowe gaśnice, ale pomalowane były nie na czerwono, lecz na kolor nierdzewnej stali. Opatrzono je plakietkami: VEXXON. AEROSOL. TRUCIZNA. PARALIZUJE UKŁAD NERWOWY. ZGODNIE Z PRAWEM FEDERALNYM USA POSIADANIE BEZ ZEZWOLENIA JEST KARALNE, a poza tym cała masa drobnego druku.

Paluchem grubości gigantycznej parówki Tłusty Jack wskazał na pokrętło o średnicy półdolarówki, znajdujące się na każdym cylindrze.

— To są mechanizmy zegarowe; podziałka minutowa — od jeden do sześćdziesięciu. Jeżeli nastawisz mechanizm i naciśniesz guzik pośrodku, możesz wypuścić gaz z pewnej odległości, jak przy bombie zegarowej. Kiedy chcesz sterować tym ręcznie, trzymasz dół cylindra w jednej ręce, łapiesz ten uchwyt, który wygląda jak rączka pistoletowa, drugą ręką i naciskasz tylko tu — jak cyngiel. To świństwo, wypuszczane pod ciśnieniem, rozprzestrzenia się w budynku o powierzchni pięciu tysięcy stóp w ciągu półtorej minuty, a jeszcze szybciej, jeżeli jest włączone ogrzewanie albo klimatyzacja. Gaz wystawiony na światło i działanie powietrza rozpada się szybko na elementy nietoksyczne, ale pozostaje zabójczy przez czterdzieści do sześćdziesięciu minut. Trzy miligramy na

skórze wystarczają do zabicia w trzydzieści sekund.

— Antidotum? — spytała Laura.

Tłusty Jack uśmiechnął się i poklepał zapieczętowane, plastikowe niebieskie torebeczki o powierzchni czterech cali kwadratowych, przymocowane do rączek cylindrów.

— Dziesięć kapsulek w każdym opakowaniu. Dwa zabezpieczają Jedną osobę. Instrukcja w środku opakowania, ale mówiono mi, że musicie wziąć pastylki przynajmniej jedną godzinę przed wypuszczeniem gazu; chronią przez trzy do pięciu godzin.

Wziął pieniądze i włożył cylindry z vexxonem do kartonowego pudła z napisem SER MOZZARELLA — TRZYMAĆ W CHŁODZIE. Kiedy nakładał pokrywkę, potrząsnął głową i roześmiał się.

— Coś nie tak? — spytała Laura.

— To mnie po prostu śmieszy — wyjaśnił Tłusty Jack. — Kobieta z taką klasą jak ty, widać, że po dobrym college'u i z małym chłopcem.. Jeżeli ktoś taki jak ty jest zamieszany w takie gówno, to społeczeństwo naprawdę musi pękać w szwach jeszcze szybciej, niż ja bym tego chciał. Może dożyję jeszcze tego dnia, kiedy klasy rządzące upadną, kie

247

dy zapanuje anarchia, kiedy jedynymi prawami będą te, jakie poszczególni ludzie będą zawierać między sobą i za gwarancję wystarczy uścisk dłoni.

Po namyśle podniósł przykrywkę kartonu, wyłowił parę zielonych kartek papieru z szufady biurka i rzucił je na cylindry.

— Co to jest? — spytała Laura.

— Jesteś dobrym klientem — powiedział Tłusty Jack. — Dorzuciłem ci parę kuponów na bezpłatną pizzę.

Dom □elmy i Jasona w Palm Springs stał naprawdę na odludziu. Jego nieco kuriozalna architektura zrodziła się z połączenia stylu hiszpańskiego i stylu południowego zachodu Stanów. Był zbudowany z wypalanej na słońcu cegły. Stał na jednoakrowej posesji, otoczony wysokim na dziewięć stóp gipsowym murem w kolorze brzoskwiniowym, którego monotonię przerywały tylko wjazd i wyjazd z biegnącego kuliście podjazdu dla samochodów.

Teren był gęsto zarośnięty drzewami oliwkowymi, palmami i fkusami, z trzech stron izolującymi posiadłość od sąsiadów. Tylko front był odsłonięty.

Choć pojawili się o ósmej tego sobotniego wieczora, przejechawszy pustynię po wizycie u Tłustego Jacka w Anaheim, dom i otaczający go teren były dokładnie oświetlone dzięki sprytnie zakomponowanej i sterowanej fotokomórką iluminacji, której walorem było zarówno zabezpieczenie, jak i podniesienie urody tego miejsca. Palmy i paprocie rzucały dziwne cienie na gipsowe ściany.

□elma dała im pilota do otwierania drzwi mieszczącego trzy samochody garażu, więc wprowadzili do niego buicka i po wyłączeniu systemu alarmowego — za pomocą hasła podanego im przez □elmę — weszli do domu drzwiami łączącymi garaż z pralnią.

Był to całkiem spory dom, z dziesięcioma pokojami i czterema sypialniami, chociaż daleko

mniejszy niż dwór Gainesa w Beverly Hills.

Indywidualny styl Steve'a Chase, dekoratora preferowanego w Palm Springs, zaznaczał się w każdym pokoju: dramatyczne przestrzenie dramatycznie oświetlone; proste kolory — ciepły morelowy i ciemny łososiowy — z akcentami turkusowymi tu i tam; ściany pokryte zamszem i cedrowe sufty; tu stoliki kryte miedzią z grubą warstwą patyny, tam granitowe blaty, interesująco skonstrastowane z wygodnymi meblami pokrytymi różnorodnymi tkaninami; elegancko, a równocześnie przytulnie. W kuchni Laura odkryła prawie pustą spiżarnię, z wyjątkiem jednej półki wypchanej puszkami. Byli zbyt zmęczeni, by iść po zakupy, więc zrobili sobie kolację z tego, co było pod ręką. Gdyby Laura nawet włamała się do tego domu i nie wiedziała, kto jest jego właścicielem, zorientowałyby się, że należy do Philmy i Jasona, gdy tylko rozejrzałyby się po spiżarni. Nie wyobrażała sobie innej pary milionerów, którzy w głębi serca pozostaliby tak dzie

248

cinni, żeby wypakowywać swoją spiżarnię puszkami ravioli i spaghetti Chefa Boyarda. Chris był w siódmym niebie. Na deser wykończyli dwa pudełka polewanych czekoladą lodów Klondike, jakie znaleźli w pustej poza tym lodówce.

Laura i Chris podzielili się królewskich rozmiarów łóżem w głównej sypialni, a Stefan rozłożył się w gościnnym pokoju po drugiej stronie salonu. Mimo że włączyła powtórnie obwodowy system alarmowy, kontrolujący wszystkie drzwi i okna, mimo że załadowany uzi leżał na podłodze koło niej, mimo że załadowana trzydziestka ósemka spoczywała na nocnym stoliku, a nikt poza Philmą nie orientował się, gdzie są, Laura usypiała tylko na krótkie chwile. Przy każdym przebudzeniu siadała prosto na łóżku, nasłuchując odgłosów, które dobiegały z nocy — ostrożnych kroków, szepczących głosów.

Blisko poranka, kiedy przez długi czas nie była w stanie zanurzyć się w sen, patrzyła w sufit pełen cieni, myśląc o tym, co Stefan powiedział parę dni temu, gdy wyjaśniał jej niektóre z subtelniejszych elementów podróży w czasie i zmian, jakich podróżujący mogli dokonać wobec swojej przyszłości: „Przeznaczenie walczy o przywrócenie kształtu, jaki miało posiadać”. Kiedy Stefan uratował ją przed ćpunem w sklepie w 1963 roku, los nieuchronnie poprowadził ją do innego pedofla, Willy'ego Sheenera, w roku 1967. Było jej pisane sieroctwo, więc gdy znalazła nowy dom rodzinny u Dockweilerów, los uknuł spisek — przyczynił się do ataku serca, który zabił Ninę i odesłał Laurę z powrotem do sierocińca.

Przeznaczenie walczy o przywrócenie kształtu, jaki miało posiadać.

Co teraz?

W pierwotnym zapisie oczekujących ją zdarzeń Chrisa nigdy być nie miało. Dlatego też wkrótce los zaaranżuje jego śmierć, aby rzeczywistość była znów bliska tego, co miało nastąpić i w czym Stefan Krieger dokonał zmian. Było jej przeznaczone życie w wózku inwalidzkim, zanim Stefan nie wziął na muszkę doktora Paula Markwella i zapobiegł jego asyście przy jej przyjściu na świat. Więc teraz los postawi ją na linii strzału gestapowców, aby uszkodzić jej kręgosłup i zgodnie z pierwotnym planem uczynić kaleką. Jak długo po dokonaniu zmian siły przeznaczenia próbują przywrócić zdarzeniom projektowany kształt? Chris żył ponad osiem lat. Czy było to wystarczająco długo, by jego istnienie zostało zaakceptowane? Ona żyła trzydzieści cztery lata z dala od wózka inwalidzkiego. Czy

przeznaczenie nadal zajmowało się tym, jak tkaczka usiłująca wpleść we wzór samowolną nić?

Przeznaczenie walczy o przywrócenie kształtu, jaki miało posiadać.

Kiedy światła poranka zaczęły miękko żarzyć się na krawędziach zasłon, Laura kręciła się i przewracała w swym łóżku, czując rosnący gniew, ale niepewna, przeciw komu lub czemu mógłby być skierowany. Czym jest przeznaczenie? Czy była to moc kształtująca pewien wzór i usiłująca potem go odcisnąć? Bóg? Czy powinna unosić się gniewem na Boga — czy też błagać go, aby pozwolił żyć Chrisowi i oszczędził jej kalectwa?

249

Czy też moc kryjąca się za przeznaczeniem była jedynie naturalnym mechanizmem, siłą pochodzącą z tego samego źródła, co grawitacja i magnetyzm?

Nie znalazła wyraźnego obiektu, przeciw któremu mogłaby obrócić swój gniew. I czuła, jak ustępując, z wolna przeradzał się w paniczny lęk. Wydawało się, że są bezpieczni w domu Gainesa w Palm Springs. Po spędzeniu jednej spokojnej nocy, mogli być prawie pewni, że wiadomość o tej kryjówce nigdy nie przedostanie się do publicznej wiadomości, gdyż zabójcy bez wątpienia już by się tu zjawili. Ale Laura bała się.

Coś złego nastąpi. Coś bardzo złego.

Niebezpieczeństwo zbliżało się, ale nie wiedziała, skąd.

Grom. Wkrótce.

Jaka szkoda, że stare powiedzenie rozmijało się z prawdą. W istocie piorun uderza dwa razy w ten sam pień, trzy razy, sto razy, a ona czuła się jak drzewo, które z pewnością go przyciągnie.

7.

Doktor Juttner wprowadził ostatnie dane do tablicy programującej system sterowania i kontroli bramy. Odezwał się do Ericha Kleitmanna:

— Pan i pańscy ludzie udacie się w okolice Palm Springs w Kalifornii w styczniu 1989 roku. — Palm Springs? — Kleitmann był zdziwiony. — Tak, raczej oczekiwaliśmy, że będziecie musieli udać się gdzieś do Los Angeles lub Okręgu Orange, gdzie wasze garnitury młodych menedżerów byłyby bardziej na miejscu niż w miejscowości wypoczynkowej, ale tam również nie będziecie wzbudzać zainteresowania. Jest tam teraz zima, więc nawet na pustyni wasze ciemne ubrania będą właściwe ze względu na porę roku.

Juttner wręczył Kleitmannowi kartkę papieru, na której zapisano dane geograficzne.

— Oto, gdzie znajdziecie kobietę i chłopca.

Składając papier i wsuwając go do wewnętrznej kieszeni, porucznik zapytał:

— A co z Kriegerem?

— Zwiadowcy nie znaleźli o nim wzmianki — powiedział Juttner — ale musi być z kobietą i z dzieckiem. Jeżeli go nie znajdziecie, zróbcie wszystko, aby ująć ich żywych. Gdybyście musieli ich

torturować, aby zlokalizować Kriegera, zróbcie to. A gdyby, co by było najgorsze, nie zdradzili tego — zabijcie ich. Wtedy być może sam się nam wystawi w przyszłości.

— Znajdziemy go, doktorze.

250

Kleitmann, Hubatsch, von Manstein i Bracher mieli pasy powrotne pod garniturami od Yves St. Laurenta. Dzierżąc swoje dyplomatki od Marka Crossa podeszli do bramy, weszli do gigantycznej beczki i ruszyli ku linii, za którą w mgnieniu oka przeniosą się z 1944 do 1989 roku.

Porucznik czuł niepokój, ale równocześnie radość; był żelazną pięścią Hitlera, przed którą Krieger nie zdoła ukryć się nawet w czterdziestu pięciu latach przyszłości.

8.

Podczas pierwszej doby spędzonej w domu w Palm Springs, w niedzielę piętnastego stycznia, zainstalowali komputer i Laura zaznajomiła z nim Stefana. Program operacyjny IBM i software wprowadzony do realizacji ich celów były niezwykle łatwe w użyciu i choć do nadejścia wieczoru Stefanowi jeszcze daleko było do pełnej biegłości w jego obsłudze, sądził, że rozumie już, jak to działa. Zresztą i tak nie on miał wykonać większość pracy z maszyną — czekało to Laure, już obeznaną z całym systemem. Jego obowiązkiem będzie wytłumaczyć, jak ustalić dane, które wprowadzone do komputera pozwolą rozwiązać wiele czekających ich zadań.

Zamiarem Stefana było udanie się wstecz do roku 1944, do bramy, za pomocą pasa powrotnego Kokoschki. Pasy nie były machinami czasu. Machiną była brama — ona była środkiem transportu, który pozostawał jednak zawsze w roku 1944. Pasy dostrajały się zawsze do czasowej wibracji bramy i po prostu sprowadzały podróżnego z powrotem, kiedy naciskał przycisk wzbudzający to połączenie.

— Jak to przenosi cię z powrotem? — spytała Laura, kiedy wytłumaczył jej sposób korzystania z pasa.

— Nie wiem. Czy masz pojęcie, jak obwód scalony działa wewnątrz komputera? Nie. Ale to nie przeszkadza ci używać komputera, podobnie jak moja ignorancja nie przeszkadza mi korzystać z bramy.

Powróciwszy do instytutu w roku 1944 i przejąwszy kontrolę nad głównym laboratorium, Stefan odbędzie dwie rozstrzygające wycieczki, każdą tylko na parę dni w przyszłość od marca 1944. Zorganizuje wtedy zniszczenie instytutu. Te dwie wyprawy muszą być niezwykle precyzyjnie zaplanowane, aby pojawił się w każdym miejscu przeznaczenia dokładnie pod względem położenia geograficznego i pod względem czasu. Tak precyzyjne obliczenia nie były możliwe do uzyskania w roku 1944, nie dlatego, że nie można było wtedy korzystać z komputerów, ale dlatego, że w tamtych czasach wiedziano nieco mniej o kącie i tempie obrotów Ziemi i innych czynnikach dotyczących

ruchu planety, a mających wpływ na wycieczkę. Dlatego też podróżujący w czasie, którzy wyruszyli z instytutu, często rozmijali się z harmonogramem o minuty w czasie

i o mile w przestrzeni. Za pomocą danych z komputera IBM będzie można tak zaprogramować bramę, aby dostarczyła Stefana z dokładnością do jednego jarda i ułamka sekundy w stosunku do pożądanego miejsca i czasu przybycia.

Korzystali ze wszystkich książek, jakie Elma zakupiła. Były to nie tylko teksty naukowe i matematyczne, ale książki historyczne o II wojnie światowej, dzięki którym mogli zlokalizować miejsca pobytu pewnych kluczowych osób w określonych momentach.

Poza wykonaniem skomplikowanych wyliczeń potrzebowali czasu, aby Stefan mógł dojść do formy. Kiedy powróci do roku 1944 i wkroczy do jaskini lwa, nawet zaopatrzony w gaz paraliżujący i pierwszorzędną broń, będzie musiał być szybki i zręczny, aby nie dać się zabić.

— Dwa tygodnie — powiedział. — Myślę, że za dwa tygodnie osiągnę wystarczającą sprawność, po zagojeniu się ramienia i barku, żeby móc wyruszyć w przeszłość.

Nie miało znaczenia, czy zabierze mu to dwa tygodnie czy dziesięć, bo kiedy powróci do instytutu, używając powrotnego pasa Kokoschki, nastąpi to tylko jedenaście minut po tym, jak Kokoschka stamtąd wyruszył. Data wyruszenia z aktualnego czasu nie wpłynie na datę jego powrotu do 1944 roku.

Martwili się, że gestapo może odnaleźć ich wcześniej i wysłać pluton egzekucyjny do 1989 roku celem ich wyeliminowania, zanim Stefan powróci do swej ery i zrealizuje plan. Choć stanowiło to ich jedyne zmartwienie — było o czym myśleć.

Z ogromną ostrożnością, oczekując w każdej chwili nagłego uderzenia gromu, w niedzielę po południu zrobili sobie przerwę i pojechali kupić coś do jedzenia. Laura, będąc dalej przedmiotem zainteresowania mass mediów, pozostała w samochodzie, a Stefan i Chris wyszli po zakupy. Nie było piorunów i wrócili do domu z pełnym bagażnikiem jedzenia.

Rozpakowując w kuchni torby z zakupami Laura odkryła, że jedna trzecia toreb zawierała tylko słodczyce: trzy rodzaje lodów, czekolady, masło migdałowe, groszki migdałowe, ogromnych rozmiarów torby z cukierkami, czekoladkami, niezliczone ilości opakowań masła czekoladowego, różne batony (z nadzieniem migdałowym, orzechowym etc.), chrupki ziemniaczane, precle, ciasteczka meksykańskie, prażoną kukurydzę z serem, orzeszki ziemne, cztery rodzaje cukierków, ciasto czekoladowe i wiśniowe, pudełko z paczkami i cztery paczki ciasteczek z czekoladą.

Stefanowi, który pomagał jej wyklądać te rzeczy, powiedziała:

— Jesteś największym łasuchem, jakiego w życiu widziałam.

— Widzisz, to jest jeszcze jedna rzecz, która mnie tak zachwyca i zdumiewa w waszej przyszłości. Popatrz, nie ma już żadnej różnicy w jakości odżywczej czekoladowego tortu i steku. Tyle samo witamin i składników mineralnych jest w chrupkach ziemniaczanych i w zielonej sałacie. Można jeść tylko desery, a pozostaje się równie zdrowym jak człowiek stosujący się do zaleceń dietetyków. Niewiarygodne! Jak osiągnięto taki postęp?

Laura obróciła się na czas, aby przyłapać Chrisa, jak wymykał się z łazienki.

— No, no, ty mały artysto od nawijania.

Starając się zachować minę pełną niewinności, powiedział:

— Zdaje się, że pan Krieger wyrobił sobie raczej dziwaczne zdanie na temat naszej cywilizacji.

— Wiem, kto go w to wyrabianie wrobił — powiedziała. — Numerant.

Chris westchnął i przybrał minę stosowną do dalszych usprawiedliwień — pełną cierpienia i żałoby:

— Taak. Wyobraziłem sobie... jeżeli ci agenci gestapo ścigają nas, to powinniśmy zjeść przynajmniej tyle ciastek z czekoladą, ile się da, bo każdy posiłek może być już ostatni.

Spojrzał na nią z ukosa, aby sprawdzić, na ile kupuje tę grę, ilustrującą ostatnie chwile skazańca.

W istocie to, co chłopiec powiedział, zabrzmiało wystarczająco prawdziwie, aby jego wybryk stał się zrozumiały, jeśli nie wybaczalny, i nie potrafiła znaleźć siły, by go ukarać.

Tego wieczoru po kolacji Laura zmieniła opatrunek na ranie Stefana. Kula pozostawiła ogromny ślad na jego piersi, którego centrum był otwór wlotowy pocisku. Blizna wokół punktu wylotowego była mniejszych rozmiarów. Szwy i wewnętrzną stronę bandażu pokrywała zeschnięta ropa. Delikatnie przemyła ranę, usuwając opatrunek tak ostrożnie, jak tylko się dało, by nie naruszyć strupa, po czym lekko nacisnęła skórę, powodując, że zaperliła się świeżą krwią, ale nie było w niej ropy, wskazującej na infekcję. Oczywiście mógł mieć ropień w środku, sączący się do wewnątrz, ale było to mało prawdopodobne, bo nie gorączkował.

— Bierz dalej penicylinę — powiedziała — i myślę, że wszystko będzie dobrze. Doktor Brenkshaw wykonał świetną robotę.

W poniedziałek i wtorek Laura i Stefan spędzili długie godziny przy komputerze. Chris oglądał telewizję, przetrząsał półki w poszukiwaniu czegoś do czytania i medytował nad drogim wydaniem starych komiksów z Barbarellą.

— Mamo, co to znaczy orgasm?

— A co ty tam masz? Oddaj mi to.

Na ogół zabawiał się sam, bez narzekania. Od czasu do czasu zaglądał do gabinetu i stał minutę albo dwie podglądając, jak pracują przy komputerze. Po dobrych paru wizytach powiedział:

— W Powrocie do przyszłości mają po prostu ten podróżujący w czasie samochód. Naciskają parę guzików na desce rozdzielczej i już ich nie ma — wuuu! — prosto jak drut. Jak to się dzieje, że w prawdziwym życiu nic nie jest tak proste jak w filmie?

We wtorek 17 stycznia zachowywali się cicho, kiedy ogrodnik strzygł trawę i wyrównywał niektóre krzewy. Od czterech dni był pierwszą osobą, jaką tu dostrzegli. Nie

zapukał do nich żaden chodzący od drzwi do drzwi komiwojazer ani nawet Świadek Jehowy, próbujący wepchnąć magazyn Watchtower.

— Jesteśmy tu bezpieczni — powiedział Stefan. — Jest pewne, że informacja o naszej obecności nigdy nie przedostała się do wiadomości publicznej. Gdyby było inaczej, gestapo już by się tu

zjawilo.

Niemniej Laura przez dwadzieścia cztery godziny na dobę trzymała włączony obwodowy system alarmowy. W nocy śniła o przeznaczeniu walczącym o przywrócenie kształtu, jaki miało posiadać, o Chrisie wymazanym spomiędzy żywych i o przebudzeniu na wózku inwalidzkim.

9.

Powinni pojawić się o ósmej rano, aby mieć wystarczająco dużo czasu na dotarcie do wskazanego im przez zwiadowców miejsca pobytu kobiety i chłopca, a może też i Kriegera. Ale kiedy porucznik Kleitmann zamrugał oczami i stwierdził, że znalazł się czterdzieści pięć lat poza własnym czasem, wiedział od razu, że spóźnili się parę godzin. Słońce zbyt wysoko wisiało nad horyzontem. Temperatura wynosiła powyżej dwudziestu pięciu stopni w skali Celsjusza, nieco zbyt ciepło, jak na rzeński, zimowy poranek na pustyni.

Jak pęknięcie na pokrytej niebieską glazurą wazie, biała linia błyskawicy przebiegła w dół nieba. Rozwarły się następne pęknięcia i rozjarzyły się nad nimi błyski, jak iskry spod kopyt byka szalejącego w niebiańskim sklepie z chińską porcelaną.

Kiedy gromy ucichły, Kleitmann obejrzał się, aby sprawdzić, czy von Manstein, Hubatsch i Bracher cało przebyli podróż. Wszyscy trzej znajdowali się obok niego, trzymając w dłoniach dyplomatkę. Zewnętrzne kieszonki ich drogich, wizytowych garniturów wypychały okulary przeciwsłoneczne.

Ale był pewien problem. Trzydzieści stóp poniżej miejsca, w którym znaleźli się sierżant i dwaj kaprale, w pobliżu tylnych drzwi wznoszącego się nie opodal kościoła stała para starszych, siwowłosych pań, ubranych w elastyczne spodnie i bluzki w pastelowych kolorach. Stały i wpatrywały się w osłupieniu w Kleitmanna i jego oddziałek. Trzymały w rękach coś, co wyglądało na garnki. Obok stał zaparkowany biały samochód.

Kleitmann rozejrzał się wokoło i spostrzegł, że wraz ze swymi ludźmi znalazł się na parkingu za kościołem. Poza samochodem, należącym prawdopodobnie do stojących kobiet, były tam jeszcze dwa wozy, oba puste. Parking był otoczony murem, tak że jedyna droga wyjazdu biegła obok kobiet, wzdłuż ściany kościoła.

Uznając, że śmiałość zawsze decyduje o zwycięstwie, Kleitmann podszedł wprost do kobiet, tak jakby nie było absolutnie nic niezwykłego w jego materializacji. Pozostali SSmani ruszyli w jego ślady. Kobiety, jak zahipnotyzowane, obserwowały ich.

254

— Dzień dobry, szanownym paniom.

Tak jak i Krieger, Kleitmann uczył się amerykańskiej wymowy w nadziei, że będzie pracował jako szpieg-rezydent, ale nie mógł pozbyć się niemieckiego akcentu, niezależnie od tego, jak bardzo przykładał się do nauki i ćwiczeń. Mimo że jego zegarek był skorelowany z lokalnym czasem, wiedział, że nie może teraz mu ufać, więc zapytał:

— Czy byłyby panie tak uprzejme i poinformowały mnie łaskawie, która jest teraz godzina?

Gapiły się na niego.

— Która godzina? — powtórzył.

Kobieta w żółtych pastelach, nie wypuszczając gara podniosła rękę i popatrzyła na zegarek:

— Och, jest dziesiąta czterdzieści.

Mieli dwie godziny i czterdzieści minut spóźnienia. Nie mogli tracić czasu na szukanie samochodu, żeby uruchomić go bez kluczyka, zwłaszcza że stał im tuż pod nosem porządny wóz, przy którym nie trzeba było się męczyć ze spinaniem na krótko przewodów. Kleitmann był gotów zabić obie kobiety, byle tylko mógł z niego skorzystać. Ale nie można było zostawić ciała na parkingu, bo po ich znalezieniu podniósłby się alarm i policja zaczęłaby deptać im po piętach. Parszywa komplikacja. Byłby zmuszony upchać trupy w bagażniku i wozić ze sobą.

Kobieta w niebieskich pastelach zapytała:

— Dlaczegoście przybyli do nas, o anieli?

Kleitmann zastanowił się, czy jego interlokutorka nie cierpi już na uwiad starczy. Anioły w wizytowych garniturach? Wtedy uświadomił sobie, że znaleźli się w sąsiedztwie kościoła, a w ich pojawieniu się mogło być coś cudownego, więc religijnym niewiastom wydało się logiczne, że mają do czynienia z aniołami, bez względu na ich strój. Może zabijanie nie okaże się jednak konieczne. Powiedział:

— Szanowna pani, jesteśmy aniołami, a Bóg potrzebuje waszego samochodu.

Kobieta w żółtych pastelach spytała:

— Tej mojej toyoty?

— Tak jest, szanowna pani.

Drzwi od strony kierowcy stały otworem i Kleitmann umieścił swoją dyplomatkę na przednim siedzeniu.

— Ujrzałyście nas zstępujących z perłowej bramy niebios, tuż przed waszymi oczami. Jesteśmy zesłani z niecierpiącym zwłoki posłaniem od Boga i niezbędny jest środek transportu.

Von Manstein i Bracher obeszl samochód, otworzyli drzwi i wsiedli do środka.

Kobieta w niebieskim stwierdziła:

— Shirley, zostałam wybrana do pożyczenia swojego wozu.

— Bóg wam go zwróci — powiedział Kleitmann — kiedy nasze dzieło na ziemskim padole dopełni się.

255

Pamiętając o brakach w zaopatrzeniu w benzynę w jego własnej, nękannej wojną erze i niepewny, na ile rok 1989 obftował w paliwo, dodał:

— Oczywiście, kiedy samochód zostanie wam zwrócony, bak będzie pełny i takim pozostanie po wieczne czasy. Pamiętajcie ten numer z chlebem i rybami?

— Ale z tyłu mamy sałatkę ziemniaczaną na wspólny posiłek w kościele.

Felix Hubatsch już otworzył drzwi za kierowcą i znalazł sałatkę. Teraz wyjął ją z auta i postawił na żwirze, u stóp kobiety.

Kleitmann wsiadł, zatrzasnął drzwi, usłyszał, jak Hubatsch z tyłu uczynił to samo, odnalazł kluczyk w stacyjce, zapalił samochód i wyjechał z parkingu. Kiedy obejrzał się za siebie, starsze panie stały wciąż jeszcze, z garnkami w rękach, i patrzyły za nimi.

10.

Dzień za dniem ich obliczenia stawały się coraz bardziej precyzyjne, a Stefan, na tyle, na ile mógł się odważyć, ćwiczył swoje prawe ramię i bark, walcząc, by nie zeszywniały mu podczas gojenia się rany. Miał nadzieję, że odzyska szybko całkowitą sprawność mięśni. W sobotę po południu, 21 stycznia, kiedy ich pierwszy tydzień pobytu w Palm Springs dobiegał końca, doszli do kresu prac z obliczeniami, korelując dokładnie dane czasu i miejsca, jakie były Stefanowi niezbędne do wycieczek, czekających go po powrocie do 1944 roku.

— Teraz potrzeba mi trochę więcej czasu na dojście do pełnej formy — powiedział, kiedy podniósł się od komputera i na próbę obracał w koło ramieniem.

— To już jedenasty dzień od chwili, jak cię postrzelono. Dalej boli?

— Trochę. Głęboki, tępy ból. Czasami znika. Ale ciągle jestem osłabiony; myślę, że lepiej jeszcze odczekać parę dni, aż ręka będzie sprawna. Może do środy dwudziestego piątego. Wtedy wrócę do instytutu. Może wcześniej, jak szybciej dojdę do formy, ale na pewno nie później niż w najbliższą środę.

Tej nocy Laura obudziła się z koszmarne go snu, w którym znów była skazana na wózek inwalidzki i w którym przeznaczenie, przybrawszy Postać mężczyzny bez twarzy odzianego w czerń, zawzięcie wymazywało Chrisa z rzeczywistości, jakby był tylko kredkowym rysunkiem na szklanej płycie. Złana potem przez chwilę siedziała wyprostowana na łóżku, wsłuchując się w dźwięki dobiegające z domu, ale słyszała tylko spokojny, równy oddech leżącego obok niej syna.

Później, niezdolna zasnąć, leżała myśląc o Stefanie Kriegerze. Był interesującym mężczyzną, niezwykle samodzielnym i czasami trudnym do rozszyfrowania.

Od środy poprzedniego tygodnia, kiedy powiedział, że stał się jej obrońcą, ponieważ ją pokochał i zaprzagnął zmienić na lepsze los, jaki był jej sądzony, nie wspominał więcej

o miłości. Nie wyznał jej powtórnie swych uczuć, nie czynił z niej obiektu znaczących spojrzeń, nie odgrywał roli cierpiącego adoratora. Powiedział jej, co czuje, i teraz dawał jej czas, aby mogła pomyśleć o nim i poznać go, zanim podejmie decyzję. Podejrzewała, że jeżeli będzie trzeba, będzie czekał lata, bez słowa skargi. Posiadał cierpliwość zrodzoną w trakcie zwalczania krańcowych przeciwności losu. Rozumiała to.

Był spokojny, spędzał wiele czasu na rozmyślaniu, czasem trapiiony głęboką melancholią, co jak przypuszczała, było wynikiem potworności, których był świadkiem w dawnych Niemczech. Być może źródłem smutku były czyny, które sam popełnił i których teraz żałował, czyny, których nigdy nie zdoła odpokutować. Przecież powiedział, że w piekle i na niego czeka miejsce. Nie ujawnił niczego więcej o swojej przeszłości ponad to, co dziesięć dni temu powiedział jej i Chrisowi w

motelowym pokoju. Czuła jednak, że pragnął wyznać jej wszystko, zarówno to, co rzucało na niego cień, jak i to, co stawiało go w dobrym świetle. Nie będzie niczego przed nią ukrywał, czekał jedynie, aż zadecyduje, co o nim myśli i czy chce wiedzieć więcej.

Mimo przepełniającego go głębokiego smutku posiadał żywe poczucie humoru. Potrafił znaleźć wspólny język z Chrisem i zabawiać chłopca, co Laura umiała docenić. Jego uśmiech był ciepły i delikatny.

Nie kochała go i nie sądziła, by miała go kiedyś pokochać. Zastanawiała się, z czego wynika ta pewność. Myśląc nad tym, leżała parę godzin w ciemnej sypialni, aż w końcu zaczęła podejrzewać, że jedyną przyczynę stanowił fakt, że nie był Dannym. Jej Danny był wyjątkowym mężczyzną i z nim poznała miłość tak bliską doskonałości, jak tylko świat na to pozwalał. Teraz, szukając w niej odzewu na swoje uczucie, Stefan Krieger zawsze będzie skazany na współzawodnictwo z duchem.

Dostrzegła patos tej sytuacji i była świadoma, że ona sama była kluczem do jej samotności. W głębi serca potrzebowała miłości i chciała móc ją dawać, ale w ich wzajemnym stosunku ze Stefanem dostrzegła tylko jego nieodwzajemnione uczucia i jej nadzieje — niespełnione.

Obok niej Chris zamruczał we śnie, a potem westchnął.

Kocham cię, mój najdroższy, pomyślała. Kocham cię tak bardzo. Jej syn, jedyne dziecko, jakie mogła mieć, był teraz najważniejszą sprawą w jej życiu — teraz i w dającej się przewidzieć przyszłości. To głównie ze względu na niego uparcie nie poddawała się losowi. Jeżeli coś miałyby spotkać Chrisa, Laura wiedziała, że nie potrafiłaby już znaleźć pocieszenia w czarnym humorze życia. Świat, w którym tragedia i komedia były ze sobą tak nierozłącznie splecione, stałby się dla niej wyłącznie miejscem tragedii, zbyt czarnej i ponurej, aby mogła być jej widzem i uczestnikiem.

257

11.

Trzy ulice za kościołem Kleitmann ustawił białą toyotę przy krawężniku, parkując w bocznej uliczce Palm Canyon Drive, w centrum handlowym miasta. Tłumy ludzi spacerowały po ulicach, oglądając wystawy. Niektóre z młodych kobiet nosiły szorty i krótkie koszulki, niedbale odsłaniające ciało w sposób niespotykany w jego własnej erze, co Kleitmann uważał nie tylko za rzecz skandaliczną, ale i krępującą. Pod żelazną pięścią Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Partii Robotniczej z Führerem na czele, takie bezwstydnne zachowanie nie byłoby dozwolone; triumf Hitlera stworzy w rezultacie inny świat, w którym moralność będzie ściśle pilnowana, w którym te obnażone, nie noszące biustonoszy kobiety będą mogły paradować tylko narażając się na więzienie i

reedukację, gdzie dekadenci nie będą tolerowani. Kiedy patrzył na ich pośladki, przeżące się pod ciasnymi szortami, na swobodnie kołyszące się pod cienką tkaniną T-shirtów piersi, najbardziej doskwierało mu rozpaczliwe pragnienie, aby posiąść każdą z tych kobiet, nawet gdyby miały być szczątkami zdegenerowanej rasy, którą rozdepcę kiedyś but Wodza.

Siedzący obok Kleitmanna Rudi von Manstein rozwinął mapę Palm Springs, dostarczoną mu przez zespół zwiadowczy, który zlokalizował miejsce pobytu kobiety i chłopca. Zapytał:

— Gdzie uderzamy?

Z wewnętrznej kieszeni swej marynarki Kleitmann wyciągnął złożoną kartkę papieru, którą doktor Juttner wręczył mu w laboratorium, rozwinął ją i zaczął czytać na głos:

— Droga stanowa 111, w przybliżeniu sześć mil na północ od granic miasta Palm Springs. Kobieta zostanie aresztowana przez policjanta z patrolu drogowego policji kalifornijskiej. Czas: jedenasta dwadzieścia, środa rano, 25 stycznia. Będzie prowadziła czarnego buicka riviera. Chłopiec będzie przy niej; zostanie oddany pod opiekę kuratora. Krieger może być z nimi, ale co do tego nie ma pewności, może wywinąć się policjantowi, ale nie wiadomo jak.

Von Manstein wyznaczył już trasę, którą wyjadą z Palm Springs na szosę 111.

— Mamy trzydzieści jeden minut — powiedział Kleitmann, zerkając na zegar na desce rozdzielczej.

— To będzie łatwe zadanie — osądził von Manstein. — Zajmie nam najwyżej piętnaście minut.

— Jeżeli znajdziemy się tam wcześniej — powiedział Kleitmann — zdołamy zabić Kriegera, zanim wymknie się policji drogowej. W każdym razie musimy dostać się tam, zanim kobieta i chłopiec zostaną aresztowani, bo będzie dużo trudniej dostać się do nich, kiedy już wpakują ich do pudła.

258

Obejrzał się, omiół spojrzeniem Brachera i Hubatscha na tylnym siedzeniu.

— Zrozumiano?

Obydwaj kiwnęli twierdząco głowami, ale sierżant Hubatsch klepnął się jeszcze po kieszonce na piersi i spytał:

— Panie poruczniku, a co z okularami?

— O co chodzi? — spytał niecierpliwie Kleitmann.

— Powinniśmy teraz je nałożyć? Może ułatwi nam to wtopienie się w tłum tutejszych obywateli? Obserwowałem ludzi na ulicach i choć wielu z nich nosi okulary, to jednak część nie.

Kleitmann spojrzał na pieszych, usiłując zachować zimną krew na widok skąpo ubranych kobiet, i stwierdził, że Hubatsch miał rację. Co więcej, zauważył, iż żaden z ludzi w zasięgu jego wzroku nie prezentował na sobie „stylu mocy”, preferowanego przez młodych menedżerów. Czyżby wszyscy młodzi menedżerowie byli o tej porze w swoich biurach? Bez względu na przyczynę, dla której nie widziało się ani ciemnych garniturów, ani czarnych półbutów od Ballego, nawet wewnątrz samochodu Kleitmann czuł się ze swymi ludźmi jak na widelcu. Ponieważ wielu przechodniów nosiło okulary słoneczne, zdecydował, że założenie własnych pozwoli mu zmanifestować przynajmniej jedną wspólną cechę z częścią miejscowej społeczności.

Kiedy porucznik nałożył swoje ray-bans, podobnie zrobili von Manstein, Bracher i Hubatsch.

— W porządku, ruszamy — powiedział Kleitmann.

Ale zanim zdążył spuścić hamulec ręczny i wrzucić bieg, ktoś zapukał w okno od strony kierowcy,

tuż przy jego głowie. Był to policjant z Palm Springs.

12.

Laura czuła, że tak czy inaczej czekająca ich próba ogniowa wkrótce nadejdzie. Uda im się zniszczyć instytut albo sami zginą podczas tych usiłowań. Dotarła już prawie do punktu, w którym marzyła tylko, aby strach przestał ją dręczyć, bez względu na cenę, jaką przyjdzie za to zapłacić.

W środę rano, 25 stycznia, Stefan nadal odczuwał promieniujący z głębi ból, ale nie był on już tak ostry jak poprzednio. Ramię i ręka nie drętwiały, co znaczyło, że kula nie uszkodziła żadnego nerwu. Ponieważ ostrożnie ćwiczył każdego dnia, odzyskał ponad połowę swojej normalnej władzy w lewej ręce, wystarczająco, aby nabrać pewności, że zdoła wykonać swój plan. Ale Laura czuła, że obawia się czekającej go wyprawy.

Założył powrotny pas Kokoschki, wyjęty z sejfu tamtej nocy, kiedy ranny Stefan pojawił się na jej progu. Wciąż jeszcze widoczny niepokój zastąpiła teraz żelazna determinacja.

259

O godzinie dziesiątej każde z nich, w tym również Chris, zażyło dwie pigułki, które miały ich zabezpieczyć przed efektem działania gazu paraliżującego — vexxonu. Popili je sokiem pomarańczowym o wysokiej zawartości witaminy C.

Trzy uzi, jeden rewolwer kaliber 38, zaopatrzony w tłumik colt commander model IV i mały nylonowy plecak załadowany książkami zostały wrzucone do bagażnika.

Dwie wykonane z nierdzewnej stali, nabite pod ciśnieniem butle vexxonu spoczywały już tam wcześniej. Po przeczytaniu ulotek informacyjnych z niebieskich plastikowych torebek doczepionych do pojemników, Stefan zdecydował, że do jego zadania będzie potrzebny tylko jeden kanister. Vexxon był gazem przeznaczonym głównie do użycia w pomieszczeniach — do zabijania wroga w barakach, za osłonami, w głębokich bunkrach — raczej w takich warunkach niż na terenie otwartym. Nie ograniczony ścianami budynków rozprzestrzeniał się zbyt szybko i zbyt szybko rozpadał w słońcu, aby był skuteczny w zasięgu większym niż dwieście jardów od punktu wyzwolenia. Jednakże przy pełnym otwarciu zaworu pojedynczy cylinder był zdolny skazić budynek o powierzchni pięćdziesięciu tysięcy stóp kwadratowych w ciągu paru minut. Te parametry w pełni go satysfakcjonowały.

O 10.35 wsiedli do samochodu i opuścili dom Gainesa, zmierzając w kierunku pustynnej drogi 111, na północ od Palm Springs. Laura upewniła się, że pasy bezpieczeństwa Chrisa są zapięte, a chłopiec powiedział:

— Widzicie, gdybyśmy mieli samochód do podróżowania w czasie, to zajechalibyśmy do 1944 roku z pełnym komfortem.

Dwa dni temu wykonali nocną przejażdżkę na pustynię, aby znaleźć dla Stefana miejsce odpowiednie do startu. Musieli znać dokładnie lokalizację tego punktu, by dokonać obliczeń, które pozwolą mu na bezpieczny powrót do nich po robocie, którą wykona w 1944 roku.

Stefan zamierzał otworzyć cylinder z vexxonem, zanim użyje pasa powrotnego, tak żeby gaz paraliżujący rozprzestrzeniał się już w momencie, w którym stanie w bramie powracając do instytutu

i zabijając każdego, kto byłby w laboratorium na końcu Piorunowej Drogi w roku 1944. Dlatego też część trucizny zostanie wypuszczona w miejscu, z którego będzie wyruszał i ostrożność nakazywała, aby odbyło się to na bezludziu. Dom Gainesa dzieliło tylko dwieście jardów od ulicy, co przy zasięgu efektywnego oddziaływania vexxonu zagrażało niewinnym przypadkowym przechodniom, których nie mogli tak narażać.

Ponadto, mimo że gaz zachowywał własności toksyczne tylko przez czterdzieści do sześćdziesięciu minut, Laura obawiała się, iż jego pozostałości, nawet nie wywołujące już śmiertelnych skutków, kryją jednak nie znane jeszcze substancje trujące. Nie zamierzała ich zostawiać w domu Elmy i Gainesa.

Dzień był czysty, słoneczny i spokojny.

260

Kiedy minęli zaledwie parę ulic i zjeżdżali w kotlinę, w której skraj drogi porastały wielkie palmy daktyłowe, Laura dostrzegła we wstecznym lusterku dziwną pulsację światła na niebie. Jak wyglądałaby błyskawica w świetle jasnego, bezchmurnego dnia? Nie rysowałaby się tak wyraziście, jak na tle chmur, gdyż musiałaby rywalizować z blaskiem słońca. To, co zobaczyła, mogło więc być w istocie tym, co podejrzewała, że dostrzeżę — dziwną, krótką pulsacją jasności.

Chociaż zahamowała buicką, to znalazłszy się w dole kotliny nie mogła już we wstecznym lusterku zobaczyć nieba, zasłoniętego teraz ścianą wzgórze. Wydało się jej, że słyszy huk jakby odległego gromu, ale nie mogła być tego pewna, bo hałaśliwie pracowała klimatyzacja. Szybko zjechała na bok drogi, manipulując przy pokrętkach.

— Czy coś się popsuło? — spytał Chris, kiedy zatrzymała wóz, otworzyła drzwi i wyszła z samochodu.

Spojrzała na ograniczony ścianami kotliny parasol nieba, osłaniając ręką oczy przed blaskiem słońca.

— Słyszysz to, Stefan?

W ciepłym, suchym pustynnym powietrzu odległy huk gasł powoli.

— Może to hałas odrzutowca.

— Nie. Ostatni raz, kiedy tak pomyślałam, pojawili się oni.

Niebo znów przeszła pulsacją. Ostatni raz. Nie widziała właściwie samego pioruna, żadnego postrzępionego ostrza, rwącego niebo, tylko jego odbicie w górnych warstwach atmosfery; jasną falę światła, pobłyskującego na niebieskim sklepieniu.

— Są — powiedziała.

— Tak — zgodził się.

— Gdzieś podczas naszej jazdy do szosy 111 ktoś nas zatrzyma, może glina z patrolu drogowego, może będziemy mieli wypadek, więc zostanie to odnotowane, a wtedy oni się pokażą. Stefan, musimy zawrócić, wracajmy do domu.

— To niczego nie zmieni — powiedział. Chris wysiadł z auta po swojej stronie.

— On ma rację, mamó. Nie ma znaczenia, co zrobimy. Ci podróżujący w czasie przybysze już są — zerknęli w przyszłość i wiedzą, gdzie nas znajdą, może za pół godziny, może za dziesięć minut. To

nie ma znaczenia, czy wrócimy do domu, czy też pojedziemy przed siebie; już nas gdzieś widzieli — może nawet w domu. Zrozum, jakkolwiek byśmy zmienili nasze plany, przetną nam drogę.

Przeznaczenie.

— Gówno! — powiedziała i kopnęła samochód, ale to nie pomogło, nawet nie poczuła się lepiej.

— To doprowadza mnie do szału. Jak można liczyć na to, że wygra się z tymi cholernymi podróżnikami w czasie? To jak gra w oko, kiedy Pan Bóg trzyma bank.

Błyskawice nie powtórzyły się.

— Jak się o tym pomyśli, to całe życie jest jak gra w oko z Bogiem, który rozdaje karty, no nie? Więc teraz nie jest wcale gorzej. Właź do wozu, Chris. Kończmy to.

261

Kiedy jechali przez zachodnią część kurortu, nerwy Laury były napięte jak struny. Oczekiwała niebezpieczeństwa ze wszystkich stron, choć wiedziała, że zjawi się z tej strony i wtedy, kiedy najmniej będzie się tego spodziewała.

Bez żadnych przygód dotarli do północnego końca Palm Canyon Drive, potem do drogi stanowej 111. Przed nimi leżało dwanaście mil prawie nagiej pustyni, zanim droga 111 przetnie międzystanową drogę nr 10.

13.

Łudząc się, że uniknie katastrofy, porucznik Kleitmann opuścił szybę po swojej stronie i uśmiechnął się do policjanta, który zastukał w okno, żeby zwrócić jego uwagę, i który teraz schylał się, patrząc mu w twarz.

— Słucham, panie władzo?

— Czy zatrzymując się tutaj nie zauważyliście czerwonego krawężnika?

— Czerwonego krawężnika? — spytał Kleitmann, uśmiechając się i równocześnie zastanawiając, o czym, do diabła, ten gliniarz mówi.

— Tak jest, proszę szanownego pana — powiedział dziwnie żartobliwym tonem policjant — czy chce mi pan wmówić, że nie widział pan czerwonego krawężnika?

— Tak jest, proszę pana, widziałem, oczywiście, że widziałem.

— Nie przypuszczałem, że pan będzie się wymigiwał — powiedział policjant, jakby znał Kleitmanna i wierzył w jego uczciwość, zdumiewając porucznika tym oświadczeniem. — Więc jeżeli widział pan czerwony krawężnik, to dlaczego pan tu zaparkował?

— Och, rozumiem — odetchnął Kleitmann — zatrzymywanie się jest dozwolone tylko przy krawężnikach, które nie są czerwone. Tak, to jasne.

Policjant popatrzył ze zdziwieniem na porucznika. Przeniósł wzrok na von Mansteina, siedzącego obok kierowcy, potem na Brachera i Hubatscha, siedzących z tyłu. Uśmiechnął się i skinął im głową.

Kleitmann nie musiał patrzeć na swoich ludzi, by wiedzieć, że siedzą jak na szpilkach. Powietrze w

wozie było gęste od napięcia.

Kiedy policjant znów skierował spojrzenie na Kleitmanna, uśmiechnął się niezobowiązująco i spytał:

— Czy mam rację, że wy, dobrzy ludzie, jesteście kaznodziejami?

— Kaznodziejami? — powtórzył Kleitmann, wytrącony z równowagi zadany pytaniem.

— Trochę lubię pogłównkować na własny użytek — powiedział gliniarz, nadal utrzymując niezobowiązujący uśmiech. — Sherlock Holmes to może ze mnie nie jest, ale naklejki na waszych zderzakach „Kocham Jezusa” i „Chrystus wstał z martwych”, to co? W mieście jest zjazd baptystów, a wy wszyscy jesteście na czarno.

262

A więc to dlatego pomyślał, że Kleitmann nie będzie się migał, bo sądził, że są pastorami baptystów.

— Zgadza się, jesteśmy ze zjazdu baptystów — od razu powiedział Kleitmann. — Przepraszam za nielegalne parkowanie. Tam, skąd jesteśmy, nie ma czerwonych krawężników. Teraz jeśli...

— A skąd jesteście? — spytał policjant, powodowany nie podejrzliwością, lecz próbując zachować przyjazną ciekawość.

Kleitmann wiedział sporo o Stanach Zjednoczonych, ale nie na tyle, żeby uczestniczyć w rozmowie, w której to jemu zadaje się pytania. Trudne pytania. Sądził, że baptyści mieszkali na południu kraju; nie będąc pewny, czy jacyś przebywają na północy, zachodzie czy wschodzie, usiłował przywołać z pamięci jakiś południowy stan. Powiedział: — Jestem z Georgii — zanim uświadomił sobie, jak nieprawdopodobnie to zabrzmiało, wypowiedziane z jego niemieckim akcentem.

Uśmiech na twarzy gliniarza przygasł. Przenosząc spojrzenie z Kleitmanna na von Mansteina, zapytał:

— A pan skąd jest, proszę pana?

Idąc w ślady swego porucznika, von Manstein powiedział z jeszcze wyraźniejszym akcentem:

— Georgia.

Z tylnego siedzenia, zanim jeszcze zadano im pytanie, Hubatsch i Bracher powiedzieli: — Georgia, jesteśmy z Georgii — jakby to słowo miało magiczną moc i mogło rzucić urok na pytającego policjanta.

Uśmiech gliniarza zgasł kompletnie. Patrząc się na Kleitmanna zmarszczył brwi i powiedział:

— Proszę pana, czy zechciałby pan opuścić na chwilę samochód?

— Oczywiście, panie władzo — powiedział Kleitmann, otwierając drzwi. Nie omieszkał zauważyć, że policjant cofnął się parę kroków i opuścił prawą rękę na kolbę rewolweru, spoczywającego w kaburze na jego biodrze. — Ale jesteśmy spóźnieni na wspólną modlitwę...

Na tylnym siedzeniu Hubatsch błyskawicznie rozwarł swoją dyplomatkę i wyszarpnął z niej uzi, równie szybko jak mógłby to uczynić członek osobistej ochrony prezydenta. Nie opuszczał okna, ale przytykając wylot lufy do szkła otworzył ogień w kierunku gliniarza, nie dając mu szans na wyciągnięcie rewolweru. Szyba samochodu rozleciała się, przeszły pociskami. Trafiony z bliskiej odległości przynajmniej dwudziestoma kulami, policjant runął do tyłu między jadące samochody. Zapiszczały opony, kiedy nadjeżdżający samochód gwałtownie zatrzymał się, unikając zmiżdżenia ciała. Po drugiej stronie ulicy posypało się trafione kulami szkło wystawy sklepu z męską konfekcją.

Z niezmaconym spokojem i bez chwili zbędnego namysłu, co napełniło serce Kleitmanna dumą z przynależności do Schutzstafel, Martin Bracher wyskoczył z toyoty i wypuścił szerokim łukiem serię ze swego uzi, zwiększając chaos i stwarzając im większe szansę ucieczki. Szyby okienne wypadały z wystaw ekskluzywnych sklepów nie tylko na bocznej uliczce, przy której zaparkowali, ale również na całej wschodniej stronie skrzyżowania z Palm Canyon Drive. Ludzie wrzeszczeli, padali na chodnik, rozpaczliwie szukali osłony za drzewami. Kleitmann widział na Palm Canyon samochody przeszywane kulami i może dlatego, że niektórzy kierowcy zostali trafeni, lub też dlatego, że ulegli panice, pojazdy zataczały się dziko od jednego pasa jezdni do drugiego; brązowy mercedes uderzył bokiem w dostawczą ciężarówkę, a niski, czerwony, sportowy wóz przeskoczył krawężnik, przejechał chodnik, oderwał kawałek palmy i zarył się w sklepie z pamiątkami.

Kleitmann wsunął się za kierownicę i spuścił hamulec ręczny.

Usłyszał, jak Bracher i Hubatsch wskoczyli do wozu, więc wrzucił bieg i skoczył naprzód w Palm Canyon, robiąc ostry zakręt w lewo i zmiierzając na północ. Od razu zauważył, że wpadł w ulicę jednokierunkową i jedzie pod prąd. Przeklinając, omijał nadjeżdżające samochody, toyota przechylała się z boku na bok na podniszczonych resorach, a zawartość schowka kierowcy wypadła na kolana von Mansteina. Na następnym skrzyżowaniu Kleitmann zakręcił w prawo. Ulicę dalej wpadł na czerwone światła, o włos mijając pieszych na przejściu, skręcił w lewo, w następną aleję, która poprowadziła go w kierunku północnym.

— Mamy tylko dwadzieścia jeden minut — powiedział von Manstein, wskazując na zegar w samochodzie.

— Mówcie, jak jechać — powiedział Kleitmann — zgubiłem się.

— Nie, nie zgubiłeś się — uspokoił go von Manstein, spychając zawartość schowka — zapasowe klucze, papierowe serwetki, parę białych rękawiczek, jednorazowe opakowania keczupu i musztardy, dokumenty różnego rodzaju — z mapy, którą nadal trzymał otwartą na kolanach. — Nie zgubiłeś się. Ta droga łączy się z Palm Canyon, przechodząc dalej w dwukierunkową. Stamtąd jedziemy prosto na północ do szosy 111.

14.

Mniej więcej sześć mil na północ od Palm Springs, tam gdzie nagi teren wygląda szczególnie pusto, Laura podjechała do pobocza, które opadało stromym nasypem. Powoli przejechała paręset jardów, aż znalazła miejsce, gdzie wzniesienie szosy obniżało się do poziomu otaczającej pustyni i pozwalało zjechać na płaską przestrzeń. Poza małymi kępami trawy o suchym połysku i paroma skarłowaciałymi krzakami mesquite jedyną roślinność stanowiły wędrujące chwasty — niektóre zielone i rosnące w zie

mi, inne suche i poruszające się swobodnie. Wrosnięte w ziemię chwasty szurały cicho o karoserię buicka, a te, które utraciły korzenie, uciekały unoszone podmuchem, tworzonym przez poruszający się wóz.

Laura nie wjeżdżała na piasek, trzymała się skalistego gruntu o szaroróżowym kolorze. Nie zatrzymywała się, dopóki nie odjechała trzystu jardów od drogi, zostawiwszy uczęszczaną szosę poza zasięgiem oddziaływania vexxonu. Zaparkowała niezbyt daleko od arroyo, głębokiego na dwadzieścia, szerokiego na trzydzieści stóp naturalnego zagłębienia, uformowanego przez powstające podczas pustynnych pór deszczowych liczne, krótkotrwałe powodzie. Poprzednio, w nocy, jadąc ostrożnie, ale mając za całe oświetlenie tylko samochodowe reflektory, mieli to szczęście, że nie wjechali w tę ogromną rozpadlinę.

Chociaż po błyskawicach nie pojawili się żadni uzbrojeni ludzie, pośpiech kierował ich poczynaniami. Laura, Chris i Stefan poruszali się tak, jakby docierało do nich tykanie wskazówek zegara, spieszącego ku chwili bliskiego wybuchu. Kiedy Laura wyjmowała jeden z trzydziestofuntowych cylindrów vexxonu z bagażnika samochodu, Stefan założył na ramiona szelki małego nylonowego plecaka wypakowanego książkami. Zacisnął paski przechodzące przez pierś i zapiął rzepy. Chris zaniósł jeden uzi z samochodu, dwadzieścia stóp dalej do centrum koła, jakie tworzył pokryty łupkiem grunt, pozbawiony nawet trawy, kompletnie ogołocony z roślinności. Wyglądało to na dobre miejsce do startu Stefana z roku 1989. Laura podeszła do chłopca, a za nią Stefan, trzymając w prawym ręku colt commander z tłumikiem.

Na północ od Palm Springs, na drodze stanowej 111, Kleitmann wyciskał z toyoty wszystko, na co było ją stać, co oznaczało, że poruszali się stanowczo za wolno. Samochód miał na liczniku czterdzieści tysięcy mil i bez wątplenia starsza pani, będąca jego właścicielką, nigdy nie jeździła nim szybciej niż pięćdziesiąt mil na godzinę, odmawiał więc uparcie dostosowania się do wygórowanych wymagań Kleitmanna. Kiedy usiłował przekroczyć sześćdziesiątkę, toyota zaczęła tańczyć i trzeszczeć, zmuszając go do zwolnienia.

Na domiar złego, dwie mile na północ poza granicami Palm Springs znaleźli się za wozem patrolowym CHP: Kalifornijskiej Policji Drogowej. Kleitmann wiedział, że muszą dogonić policjanta, który traf na Laurę Shane i jej syna i zaaresztuje ich. Gliniarz włókł się poniżej pięćdziesięciu mil na godzinę na obszarze, na którym granica prędkości wynosiła 55 mil.

— Zabij go — rzucił Kleitmann przez ramię do kaprala Martina Brachera, siedzącego z tyłu wozu.

Porucznik sprawdził we wstecznym lusterku, czy ma za sobą samochody. Nikt nie nadjeżdżał, ruch był jedynie na południowych pasach szosy. Wjechał na drugi, idący

w kierunku północnym pas, służący do wyprzedzania, i zaczął przesuwać się obok policyjnego samochodu z szybkością sześćdziesięciu mil na godzinę.

Bracher opuścił szybę. Drugie tylne okno, rozbite kulami, które zabiły policjanta w Palm Springs,

ziało pustką. Wiatr huczał w tej części samochodu i dopadając przednich foteli furkotał mapą, spoczywającą nadal na kolanach von Mansteina.

Policjant z CHP obejrzał się zdziwiony, gdyż kierowcy rzadko kiedy ośmielali się wyprzedzać policjanta jadącego z szybkością niewiele niższą niż maksymalna. Kiedy Kleitmann przyspieszył powyżej sześćdziesiątki, toyota zatańczyła i silnik zachłysnął się, zwiększając niechętnie obroty. Policjant dostrzegł, że kierowca uparcie dąży do złamania prawa i lekko nacisnął syrenę alarmową, która zawyła i ucichła, co chyba miało oznaczać, że Kleitmann ma zwolnić i zatrzymać się przy poboczu.

Zamiast tego porucznik wycisnął na silniku protestującego wozu następne pięć mil na godzinę, narażając go na rozsypanie się. To wystarczyło, by wysunął się nieco przed zaskoczonoego policjanta. Okienko Brachera zrównało się z przednią szybą wozu patrolowego. Kaprał otworzył ogień z uzi.

Okna samochodu policyjnego rozsypały się, a kierowca zginął w jednej sekundzie. Musiał umrzeć, zanim zdążył zrozumieć, że to zamach na jego życie. Z całą pewnością dostał parę pocisków w głowę i tors. Policyjny samochód zjechał w stronę toyoty i otarł się o nią mocno, zanim Kleitmann zdążył zejść mu z drogi. Pozbawiony kontroli wóz sunął w kierunku pobocza.

Czteropasmowa szosa biegła na wysokości minimum dziesięciu stóp ponad płaszczyznę pustyni i wóz patrolowy przeleciał przez pozbawiony barier skraj pobocza. Przez moment szybował w powietrzu, potem opadł z taką siłą, że opony strzeliły w momencie lądowania. Dwoje drzwi otworzyło się, w tym te od strony kierowcy.

Kiedy Kleitmann przejechał na prawy pas i wolno minął wrak, von Manstein stwierdził:

— Widzę go, zwinął się na kierownicy. Nie będzie zawracał nam głowy.

Nadjeżdżający kierowcy byli świadkami widowiskowego lotu policyjnego samochodu. Zjeżdżali na swój skraj szosy. Kiedy Kleitmann spojrział w lusterko, zobaczył ludzi wybiegających z wozów, dobrych samarytanów spieszących na ratunek policjantowi z CHP. Jeżeli nawet niektórzy z nich uświadamiali sobie przyczynę wypadku, to nie zdecydowali się na pogoń za Kleitmannem i dostarczenie go w ręce sprawiedliwości. Co było z ich strony niegłupie.

Przyspieszył znów, spojrział na licznik i powiedział:

— Trzy mile stąd tamten gliniarz miał zaaresztować kobietę i chłopca. Więc rozglądajcie się za czarnym buickiem. Trzy mile.

Stojąc w jasnym słońcu pustyni, na skrawku nagiej skały w pobliżu buicka, Laura obserwowała, jak Stefan zarzuca sobie pas od uzi na prawe ramię. Karabinek maszynowy zwisał luźno i nie zawadzał o plecak z książkami.

266

— Zastanawiam się, czy powinienem go brać — powiedział. — Jeżeli gaz zadziała tak jak powinien, to broń nie będzie mi potrzebna, nawet pistolet, nie mówiąc już o automacie.

— Weź go — powiedziała ponuro Laura.

Skinął głową.

— Masz rację. Kto wie?

— Szkoda, że nie masz paru granatów — westchnął Chris. — Granaty też by się przydały.

— Miejmy nadzieję, że nie będzie aż tak źle — powiedział Stefan. Odbezpieczył pistolet i gotowy

do strzału ujął w prawą dłoń.

Uchwyciwszy kanister vexxonu za rączkę, podniósł go lewą ręką i spróbował, jak zareaguje na ten ciężar jego zraniony bark.

— Trochę boli — powiedział. — Rwie. Ale jest nie najgorzej, wytrzymam.

Odcięli drut na spuście kanistra, co pozwalało na ręczne kontrolowanie ilości wypuszczanego gazu. Wsunął palec w osłonę cyngla.

Kiedy zakończy misję w roku 1944, odbędzie ostatnią swoją podróż do 1989. Plan zakładał, że nastąpi to dokładnie w pięć minut po starcie. Teraz powiedział:

— Wkrótce się zobaczymy. Nawet nie zauważycie, że mnie nie było. Nagle Laurę ogarnął lęk, że Stefan nigdy nie wróci. Dotknęła ręką jego twarzy i pocałowała go w policzek.

— Powodzenia, Stefan.

Nie był to pocałunek kochanki, nie była to nawet obietnica uczucia — był to serdeczny gest przyjaciela, kobiety, która miała wieczny dług wdzięczności, ale która nie czuła się zobowiązana do wyrównywania rachunków z wierzyicielem monetą własnego serca. Zobaczyła w jego oczach zrozumienie. W głębi serca, mimo przeblysków dobrego humoru, był człowiekiem pełnym melancholii i pragnęłaby go uszczęśliwić. Żałowała, że nie może przynajmniej udawać większego uczucia, ale wiedziała, że przejrzałby tę grę.

— Chcę, żebyś wrócił — powiedziała. — Naprawdę chcę. Bardzo.

— To wystarczy. — Spojrzał na Chrisa i powiedział: — Opiekuj się swoją matką, kiedy odejdę.

— Spróbuję — powiedział Chris — ale ona sama jest całkiem niezła w opiekowaniu się sobą.

Laura przyciągnęła syna do boku.

Stefan podniósł trzydziestofuntowy cylinder vexxonu wyżej, nacisnął spust.

Gaz zaczął uchodzić z sykiem, jaki wydałby jednocześnie tuzin węży; Laurę ogarnęła krótka chwila paniki. Nagle poczuła, że zażyte pigułki nie uchronią ich przed trucizną paraliżującą nerwy, że padną na ziemię, miotając się w konwulsjach i drgawkach, i zginą w ciągu trzydziestu sekund. Vexxon był bezbarwny, ale nie pozbawiony smaku i zapachu; nawet na świeżym powietrzu czuła słodki zapach moreli i ostry, wywołujący od

ruch wymiotny smak — jakby zmieszano pół na pół sok z lemona ze skwaśniałym mlekiem. Ale mimo tych odczuć organizm nie reagował.

Trzymając pistolet przy piersi, Stefan sięgnął pod koszulę i wolnym palcem uzbrojonej w pistolet ręki, nacisnął trzy razy przycisk na swym pasie powrotnym.

Von Manstein pierwszy dostrzegł czarny samochód, rysujący się na panoramicznym tle białego piasku i bladych skał, paręset jardów na wschód od szosy. Zwrócił na niego uwagę pozostałych.

Oczywiście porucznik Kleitmann nie był w stanie dostrzec z tak daleka marki samochodu, ale był pewien, że właśnie jego szukali. Trójka ludzi stała w jego pobliżu; z tej odległości nie byli więksi od ludzików z zapalek i w pustynnym słońcu zdawali się tylko drżącym mirażem, ale Kleitmann wiedział, że to dwoje dorosłych i dziecko.

Nagle jedno z dorosłych znikło. Nie był to chwilowy trick pustynnego światła i powietrza. Figurka nie przyplęnęła z powrotem. Zniknęła i Kleitmann wiedział, że to był Stefan Krieger.

— Wrócił! — krzyknął zaskoczony Bracher.

— Dlaczego wrócił — zastanowił się von Manstein — kiedy wszyscy w instytucie chcą jego tyłka?

— Coś jest cholernie nie w porządku — odezwał się zza porucznika Hubatsch — powróci do 1989 na parę dobrych dni przed nami. Jego pas zabierze go z powrotem do tego samego dnia i dokładnie jedenaście minut po tym, jak został postrzelony przez Kokoschkę. A my wiemy na pewno, że nie wrócił tego dnia. Co tu się, do diabła, dzieje?

Kleitmann też się tym martwił, ale nie miał czasu na rozważanie tego problemu. Jego zadaniem było zabicie kobiety i jej syna — jeżeli już nie mógł załatwić Kriegera. Powiedział:

— Przygotować się — i przyhamował toyotę, aby znaleźć drogę w dół nasypu.

Hubatsch i Bracher już w Palm Springs wyciągnęli uzi ze swych dyplomatek; teraz von Manstein uzbroił się podobnie.

Teren podniósł się na wysokość szosy. Kleitmann zjechał z nawierzchni w dół, na pustynię, zmierzając w kierunku kobiety i chłopca.

Kiedy Stefan wzbudził działanie pasa powrotnego, powietrze stało się ciężkie i Laurze wydało się, że napiera na nią wielki, niewidzialny ciężar. Skrzywiła się poczuwszy swąd rozgrzanych elektrycznych przewodów i spalonej izolacji, spływający na nią z góry zapach ozonu i uderzającą w nią z dołu morelową woń vexxonu. Ciśnienie powietrza wzrosło, mieszanka zapachów stała się jeszcze silniejsza i Stefan opuścił jej świat z na

268

głym, głośnym „poop”. Przez chwilę wydawało się, że zabraknie jej powietrza do oddychania, ale krótki moment próżni został zastąpiony przez nagły podmuch gorącego wiatru zabarwionego znajomym zapachem słabej, alkalicznej woni pustyni.

Trzymając się blisko niej, przytulony do jej boku, Chris powiedział:

— Rany! To było naprawdę coś! Mamo, wspaniałe, co?

Nie odpowiedziała, bo zauważyła biały samochód zjeżdżający na pustynię z drogi stanowej 111. Zawrócił w ich kierunku i skoczył w przód, kiedy kierowca przyspieszył.

— Chris, przed maskę wozu. I na dół!

Dojrzał nadjeżdżający samochód i usłuchał jej bez wahania.

Podbiegła do otwartych drzwi buicka i złapała jeden z automatów leżących na siedzeniu. Cofnęła się, stanęła przy otwartym bagażniku i czekała na zbliżający się wóz.

Był nie dalej niż dwieście jardów i szybko zmniejszał dystans. Światło słońca odbijało się oślepiająco od chromowanych części i skrzyło na przedniej szybie.

Rozważała możliwość, że jego pasażerowie to nie niemieccy agenci z 1944 roku, ale niewinni ludzie. Lecz ta ewentualność była tak nieprawdopodobna, że nie mogła pozwolić, aby powstrzymała ją od działania.

Przeznaczenie walczy o przywrócenie kształtu, jaki miało posiadać.

Nie. Niech to cholera, nie.

Kiedy biały samochód był w odległości stu jardów, wystrzeliła dwie długie serie i zobaczyła, jak kule wrywają przynajmniej dwa otwory w przedniej szybie. Reszta uszkodzonego szkła pokryła się natychmiast pajęczyną pęknięć.

Samochód — dostrzegła teraz, że to toyota — obrócił się o pełne trzysta sześćdziesiąt stopni, po czym jeszcze dziewięćdziesiąt, wzbijając tumany kurzu, przedzierając się przez zielone, wędrujące chwasty. Zamarł sześćdziesiąt jardów dalej, z maską skierowaną ku północy i drzwiami dla pasażera od jej strony.

Po drugiej stronie drzwi otwarły się gwałtownie i Laura widziała, że pasażerowie pochyleni wygrzebują się gorączkowo z wozu, na stronę ukrytą przed jej oczami. Znów otworzyła ogień, nie licząc, że trafi ich za toyota, ale mając nadzieję, że uda się jej przebić bak; wtedy być może jakaś wyzwolona przez kulę, rykoszetującą o metal, szczęśliwa iskra mogłaby spowodować wybuch benzyny i nagle schwytać niektórych z tych ludzi w płomienie, kiedy tak kryli się za niewidoczną stroną pojazdu. Ale opróżniła wydłużony magazynek uzi nie spowodowawszy wybuchu, choć na pewno przedziurawiła zbiornik.

Odrzuciła na ziemię broń, otworzyła tylne drzwi buicka i chwyciła z przedniego siedzenia drugi uzi z pełnym magazynkiem. Wzięła też trzydziestkę ósemkę, nie odrywając oczu od toyoty na dłużej niż jedna czy dwie sekundy. Teraz żałowała, że Stefan nie zostawił jej trzeciego automatu.

Z drugiego samochodu, sześćdziesiąt jardów dalej, jeden z bandytów otworzył ogień z broni automatycznej i teraz nie było już wątpliwości, kim są. Kiedy Laura kucnęła,

269

opierając się o bok buicka, kule grzmotnęły w otwartą klapę bagażnika, wybiły tylną szybę, rozerwały błotniki, odbiły się od zderzaka, od otaczających skał z ostrym „krrak”, wznosząc pióropusze białego, sypkiego jak puder piasku.

Usłyszała, jak parę pocisków przecięło powietrze blisko jej głowy — śmiertelny, wysoki, cichy jęk — i zaczęła cofać się w kierunku maski buicka, nie odklejając się od wozu, starając jak najmniej wystawiać się na kule. Po chwili dotarła do Chrisa, który przytulił się do metalowej kraty na chłodnicy samochodu.

Bandyta przy toyocie przerwał ogień.

— Mamo? — powiedział ze strachem w głosie Chris.

— Nic się nie martw — powiedziała, starając się, aby zabrzmiało to przekonywająco. — Stefan wróci najpóźniej za pięć minut, kochanie, a ma jeszcze jeden uzi, to wyrówna nasze szansę i to bardzo. Nic nam nie będzie. Musimy ich tylko powstrzymać przez parę minut. Tylko parę minut.

15.

Pas Kokoschki przeniósł Stefana do instytutu w mgnieniu oka. W bramie Krieger pojawił się z

otwartym maksymalnie zaworem cylindra vexxonu, ściskając uchwyt i spust tak mocno, że ręka zaczęła go boleć. Ból zrobił już pierwsze kroki w wędrówce w górę ramienia i wewnątrz zranionego barku.

Z półmroku beczki mógł zobaczyć tylko mały fragment laboratorium. Dojrzał przelotnie dwóch mężczyzn w czarnych garniturach, zagląających w odległy koniec bramy. Przypominali agentów gestapo — wszyscy, skurwysyny, wyglądali, jakby rozmnożyli się przez klonowanie z tego samego egzemplarza fanatyka i degenerata. Poczuł ulgę pomyślawszy, że mają gorszą niż on widoczność — przez chwilę przynajmniej wzięli go za Kokoschkę.

Ruszył do przodu, z hałaśliwie syczącym kanistrem vexxonu, trzymanym przed sobą w lewej ręce i pistoletem w prawej, zanim w laboratorium ktokolwiek zrozumiał, że w bramie pojawiła się śmierć. Upadli na podłogę, poniżej bramy i gdy Stefan zszedł do laboratorium, wili się w agonii. Wyrzucali gwałtownie wymiociny. Krew biła im z nozdrzy. Jeden leżał na boku, kopiąc nogami i trzymając się za gardło, drugi embrionalnie skulony z palcami zgiętymi jak szpony, potwornie rozrywając sobie oczy. W pobliżu tablicy programującej bramę trzech mężczyzn w kitlach laboratoryjnych — Stefan ich znał: Hoepner, Eicke i Schmauser — upadło na podłogę. Okaleczali się jak w szaleństwie czy w ataku wścieklizny. Cała umierająca piątka usiłowała krzyczeć, ale ich gardła w jednej chwili tak wyschły, że byli zdolni tylko do szarpiących serce, przeciągłych jęków, brzmiących jak kwilenie małych, torturowanych stworzeń. Stefan stał pośród nich nie draśnięty, ale przerażony i wstrząśnięty. W trzydzieści sekund już nie żyli.

270

Użycie vexxonu przeciw tym ludziom było aktem okrutnej sprawiedliwości, gdyż byli to ci sami naukowcy, którzy popierani przez nazistów w 1936 roku stworzyli pierwszy syntetyczny gaz paralityczno-drgawkowy, organiczno-fosforatowy ester zwany tabun. Wszystkie następnie produkowane gazy — te, które zabijały poprzez zakłócenie działania elektrycznych impulsów nerwowych — miały swój początek w tej pierwszej, chemicznej substancji. Również vexxon. Ci ludzie z 1944 roku zostali zabici bronią z przyszłości, ale był to gaz, który swoje istnienie zawdzięczał nienormalnemu, hołdującemu śmierci społeczeństwu.

Jednakże Stefan nie czuł satysfakcji na widok tych pięciu zgonów. Widział w swoim życiu tyle zabijania, że nawet eksterminacja winnych dla ratowania niewinnych, nawet morderstwo w służbie sprawiedliwości, brzydziło go. Ale nie miał wyboru.

Położył pistolet na stole laboratoryjnym. Zrzucił uzi z ramienia i położył obok.

Z kieszeni dzinsów wyjął parę zwojów drutu i użył ich do zablokowania spustu cylindra w pozycji, w jakiej otwierał zawór. Wyszedł na korytarz parteru i postawił cylinder na środku. Za parę minut gaz rozprzestrzeni się po całym budynku, poprzez klatki schodowe, szyby wind i drogi wentylacyjne.

Zdumiało go, że działa tylko oświetlenie korytarza. Wszystkie pracownie na parterze wyglądały na opuszczone. Pozostawił otwarty kanister z gazem i wrócił do głównego laboratorium, by na tablicy programującej odczytać datę i dokładny czas, w jakim przyniósł go tu pas Kokoschki. Było jedenaście minut po godzinie dziewiątej, wieczór

16 marca.

To był wyjątkowo szczęśliwy zbieg okoliczności. Stefan spodziewał się powrócić do instytutu w czasie, w którym większość pracowników — z których jedni zaczęli pracę już o szóstej rano, a inni

zostawali aż do ósmej wieczór — przebywała na miejscu. To oznaczałoby co najmniej sto ciał porzucanych po trzypiętrowym budynku, a kiedy by je znaleziono, stałoby się oczywiste, że tylko Stefan Krieger mógł być za to odpowiedzialny. Zdano by sobie sprawę, że powrócił nie po to, by zabić część personelu, lecz kierowany innym zamysłem, a to spowodowałoby szeroko zakrojone dochodzenie w celu wykrycia istoty jego zamierzeń i naprawienie wyrządzonego przez niego zła. Ale teraz, kiedy budynek jest prawie pusty, będzie mógł pozbyć się tych paru ciał w sposób, który zamaskuje jego obecność, a podejrzania zwróci na tych nieżywych ludzi.

Po pięciu minutach cylinder vexxonu był pusty, gaz rozszedł się po gmachu, nie dotarłszy tylko do dwóch przedpokoi dla straży, przy frontowym i tylnym wejściu, których wentylacja nie łączyła się z centralnym systemem. Stefan szedł z pokoju do pokoju, szukając dalszych ofar. Znalazł jedynie w piwnicach trupy zwierząt; pierwszych podróżnych w czasie, i ten widok poruszył go tak samo, a nawet bardziej, niż obraz pięciu zagazowanych ludzi.

Stefan powrócił do głównego laboratorium, wziął pięć pasów z białej sznury i zapiął je na ubraniach zmarłych ludzi. Szybko przeprogramował bramę, aby posłać ciała mniej

271

więcej sześć miliardów lat w przyszłość. Przeczytał gdzieś, że do tego czasu Słońce zmieni się w supernową lub też zgaśnie i zamierzał przenieść pięć ciał w miejsce, w którym nie będzie już nikogo, kto mógłby użyć ich pasów i zjawić się w bramie.

Krzężanie się przy trupach w tym milczącym, opuszczonym budynku miało posmak czegoś nierealnego. Nagle zmarł, bo wydało mu się, że słyszy jakiś ukradkowy ruch. Parę razy nawet przerywał pracę, aby odszukać źródło wyimaginowanych dźwięków, ale niczego nie znalazł. Raz obejrzał się na jednego z nieżyjących ludzi, na wpół przekonany, że ta martwa istota zaczyna się podnosić. Uzmysłował sobie, jakich spustoszeń dokonała w nim śmierć, której był świadkiem tak często i przez tyle lat.

Jedne po drugich ciągnął cuchnące zwłoki do bramy, popychając je do punktu transmisyjnego i przerzucając przez pole energii. Wirując w niewidzialnych odrzwiach czasu, znikwały. W niewyobrażalnie dalekiej przyszłości pojawią się powtórnie — albo na Ziemi dawno już wymarłej i zimnej, albo w pozbawionej powietrza, pustej przestrzeni, gdzie wirowała niegdyś ich planeta, zanim pochłonęło ją eksplodujące Słońce.

Uważał, by nie przekroczyć punktu transmisji. Gdyby został przeniesiony do pustki otwartych przestrzeni, sześć miliardów lat w przód, umarłby, nim miałby szansę użyć przycisku na pasie i powrócić do laboratorium.

Kiedy pozbył się pięciu nieboszczyków i zlikwidował ślady, jakie pozostawili konając, był zmęczony. Na szczęście gaz nie pozostawiał osadu, nie musiał więc zmywać podłóg i ścian. Jego zraniony bark pulsował takim bólem, jak w dniach tuż po postrzeleniu.

Teraz już nikt nie wpadnie na jego trop. Rano może się wydawać, że Kokoschka, Hoepner, Eicke, Schmauser i dwaj agenci gestapo uznali, że Trzecia Rzesza jest skazana na zagładę i zdezerterowali do przyszłości, w której znajdą spokój i dostatek.

Nie zapomniał o zwierzętach z piwnicy. Gdyby zostawił je w klatkach, przeprowadzono by testy celem ustalenia przyczyn ich śmierci, a wyniki podważyłyby hipotezę tłumaczącą zniknięcie

Kokoschki i jego kompanów ucieczką w przyszłość. A wtedy znowu głównym podejrzanym stałby się Stefan Krieger. Lepiej, żeby zwierzęta zniknęły. To będzie zagadkowe, ale nie wskaże na prawdziwego sprawcę.

Gorący, pulsujący ból w barku rósł w miarę, jak używając czystych fartuchów laboratoryjnych jako grzebalnych całunów owijał parami zwierzęta, wiążąc je potem sznurem. Posłał je bez pasów powrotnych sześć miliardów lat w przyszłość. Poszedł do hallu po pusty kanister po gazie i również wysłał go na odległy kraniec czasu.

W końcu był gotów udać się na dwie krytyczne wycieczki, które, jak wierzył, doprowadzą do całkowitego zniszczenia instytutu i pewnej klęski Trzeciej Rzeszy.

Podchodząc znów do tablicy programującej, wyjął kartkę papieru z tylnej kieszeni dzinsów. Zawierała efekty kilku dni pracy z komputerem IBM, którą on i Laura wykonali w domu w Palm Springs.

272

Gdyby można było powrócić z 1989 roku do instytutu z wystarczającą ilością materiałów wybuchowych, aby obrócić go w dymiące zgliszcza, wykonałby tę pracę sam. Jednak oprócz ciężkiego kanistra vexxonu, plecaka wypełnionego sześcioma książkami, pistoletu i uzi nie był w stanie zabrać więcej niż czterdzieści do pięćdziesięciu funtów plastyku. To nie wystarczało do wykonania zadania. Ładunek wybuchowy, jaki rozmieścił na strychu i w piwnicach, został usunięty przez Kokoschkę parę dni temu — oczywiście licząc według czasu lokalnego. Mógłby powrócić z roku 1989 z paroma pojemnikami benzyny, mógłby usiłować spalić ten dom do fundamentów, ale wiele akt zostało zamkniętych w ognioodpornych szafach, do których ogień nie miał dostępu i tylko potężna eksplozja mogła rozerwać je i wydać na pastwę płomieni ich zawartość.

Nie był w stanie sam zniszczyć instytutu.

Ale wiedział, kto może mu pomóc.

Korzystając z danych, jakie otrzymał za pomocą IBM PC, zaprogramował bramę, aby wysłała go do dnia, który nastąpi zaledwie po upływie trzech i pół doby od nocy 16 marca. Jeżeli zaś chodzi o lokalizację, to miał się pojawić na ziemi brytyjskiej, w samym sercu podziemnego schronu, poniżej biur rządowych wychodzących na park St. James przy Storey's Gate. W tych podziemiach podczas Blitzu zbudowano biura i kwatery dla premiera oraz innych wysokich urzędników. Tu także znajdował się na stałe Pokój Wojenny, mieszczący mapy, na których oznaczano ruchy wojsk na wszystkich frontach. Dokładnie rzecz biorąc, Stefan — wykonując podróż zaplanowaną tak precyzyjnie, że tylko stan wiedzy i komputeryzacji w roku 1989 pozwalał na równie skomplikowane obliczenia, mogące ustalić niezbędne dane czasowe i przestrzenne — liczył na to, że pojawi się o 19.30 w pewnym szczególnym pokoju konferencyjnym.

Bez broni, jedynie z plecakiem pełnym książek, wkroczył do bramy, minął punkt transmisji i zmaterializował się w rogu gabinetu konferencyjnego o niskim suficie, na którego środku stał duży stół otoczony dwunastoma krzesłami. Dziesięć z nich stało pustych. Obecnych było tylko dwóch mężczyzn. Pierwszym z nich był sekretarz w brytyjskim mundurze, z piórem w jednej, a notatnikiem w drugiej ręce. Drugim mężczyzną, zajęтым dyktowaniem pilnego listu, był Winston Churchill.

16.

Przykucnięty za toyotą Kleitmann uznał, że nie byłoby bardziej niedorzecznie ubrani na swoją misję, gdyby zrobiono z nich cyrkowych klaunów. Otaczająca ich pustynia była białobeżowa, gdzieniegdzie bladorożowa albo koloru brzoskwini. Było tu niewiele roślinności i wznosiło się zaledwie parę skalnych formacji, dających jaką taką osłonę. Kiedy będą próbowali oskrzydlić kobietę i zająć ją od tyłu, to w swych czarnych garniturach staną się tak widoczni jak karakon na weselnym torcie.

273

Hubatsch, który stał przy masce toyoty i krótkimi seriami automatu prowadził ogień w kierunku buicka, pochylił się niżej:

— Podchodzi do przodu wozu z chłopcem, zniknęła z pola widzenia.

— Lokalna policja zaraz się tu pojawi — powiedział Bracher, wskazując w kierunku zachodnim ku drodze stanowej 111, a potem na południowy zachód, mniej więcej w kierunku samochodu patrolowego, który cztery mile wcześniej zdmuchnęli z drogi.

— Zdjąć marynarki — powiedział Kleitmann, zrzucając własną. — Białe koszule będą mniej widoczne na tym terenie. Bracher zostajesz, pilnujesz, żeby ta dziwka nie uciekła tą drogą. Von Manstein i Hubatsch, spróbujecie okrążyć ją z prawej strony. Rozproście się i nie wychodźcie z za jednej osłony, dopóki nie znajdziecie następnej. Ja przesuwam się na północ i wschód, znajdę ją po kole z lewej.

— Czy zabijemy ją, nie próbując się dowiedzieć, o co chodziło Kriegerowi? — spytał Bracher.

— Tak — od razu powiedział Kleitmann. — Jest zbyt dobrze uzbrojona, żeby wziąć ją żywcem. W każdym razie stawiam głowę, że za parę minut Krieger będzie chciał do nich wrócić przez bramę. Łatwiej nam z nim pójdzie, kiedy kobietę będziemy mieli już z głowy. Teraz naprzód.

Hubatsch, a parę sekund później von Manstein, opuścili schronienie, jakie dawała im toyotą, poruszając się szybko w kierunku południowo-południowo-wschodnim.

Porucznik Kleitmann skierował się na północ od toyoty. Trzymając w jednej ręce karabinek automatyczny, biegł pochylony, zmierzając ku skromnej osłonie, jaką był rozcapierzony krzew mesquito, na którym zawisło parę wędrujących chwastów.

Laura podniosła się nieco i wyjrzała nad przednim błotnikiem buicka akurat na czas, aby dojrzeć dwóch mężczyzn w białych koszulach i czarnych spodniach biegnących szybko od toyoty. Zmierzali ku niej, równocześnie skręcając na południe z oczywistym zamiarem okrążenia jej od tyłu. Wyprostowała się i puściła krótką serię do pierwszego z nich. Rzucił się i ukrył za spiczastą skałą, gdzie znalazł bezpieczne schronienie.

Na odgłos strzałów drugi mężczyzna rozciągnął się płasko w płytkim obniżeniu terenu, które nie ukryło go całego, ale kąt strzału i odległość utrudniały jej celowanie.

W tej samej chwili, w której ujrzała padającego na ziemię drugiego z napastników, trzeci bandyta otworzył do niej ogień z za toyoty. Kule odbiły się od buicka, mijając ją o cale. Została znów

zmuszona do skulenia się przy ziemi.

Stefan wróci za trzy lub cztery minuty. Niedługo. Bardzo niedługo. Cała wieczność.

Chris siedział oparty plecami o zderzak buicka, obejmując nogi podciągnięte pod brodę i wyraźnie się trzęsąc.

— Trzymaj się, mały — powiedziała.

274

Spojrzał na nią, ale nie przemówił nawet słowem. Podczas wszystkich niebezpiecznych momentów, przez jakie musieli przejść w ostatnich paru tygodniach, nie widziała, żeby był tak załamany. Twarz miał bladą i bez wyrazu. Zrozumiał, że ta gra w chowanego nie była grą. Tylko on tak to widział, nic nie było w rzeczywistości takie łatwe jak w kinie. Zszokowany tą okrutną prawdą miał teraz w spojrzeniu taką pustkę i obojętność, że przeraziło to Laurę.

— Trzymaj się — powtórzyła, a potem przesunęła się na czworakach do drugiego przedniego błotnika, po stronie kierowcy, skąd przykucnięta obserwowała północną część pustyni.

Obawiała się, że inni mężczyźni obejdą ją z tej strony. Nie mogła im na to pozwolić, bo wtedy buick nie będzie już mógł spełniać roli barykady i nie będzie gdzie uciekać poza otwartą pustynią, na której zabijają ją i Chrisa, zanim zdążą przebiec pięćdziesiąt jardów. W pobliżu jedynie buick był dobrą osłoną. Musiała utrzymać go między nimi a sobą.

Nie mogła dostrzec nikogo na swym północnym skrzydle. Teren był tam pofałdowany kilkoma niskimi skalnymi wzniesieniami i paroma wydmiami białego piasku. Bez wątplenia wiele z nich mogło zakryć człowieka. Osaczający ją myśliwy miał teraz możliwość tam się ukrywać. Ale poruszały się tylko trzy wędrujące chwasty; toczyły się wolno, zmieniając kierunek w słabym, nieregularnym powiewie.

Prześlizgnęła się obok Chrisa i powróciła do drugiego błotnika. Zobaczyła, że dwaj mężczyźni z południowej strony znów byli w ruchu. Znajdowali się trzydzieści jardów od niej, ale tylko dwadzieścia od frontu buicka, zbliżając się z zastraszającą szybkością. Choć ten na przedzie biegł skulony, zygzakiem, drugi był śmielszy, być może myślał, że uwaga Laury skupi się na pierwszym.

Przechytrzyła go — podniosła się, wychyliła spoza buicka najdalej jak to było możliwe, wykorzystując go jako osłonę, i wypuściła dwusekundową serię. Bandyta zza toyoty, osłaniający kumpli, otworzył ogień, ale trafiła drugiego z biegnących wystarczająco celnie, aby unieść go w górę i rzucić na pobłyskujący krzew manzanity.

Żył jeszcze, ale został wyeliminowany z walki, jego krzyki były tak ostre i pełne bólu, że nie było wątpliwości, iż jest śmiertelnie ranny.

Kiedy znowu znalazła się poniżej linii strzałów, poczuła, że uśmiecha się okrutnie. Przepelniało ją zadowolenie wywołane bólem i przerażeniem, które wypełniały krzyk trafonego mężczyzny. Dzikość reakcji, prymitywna żądza krwi i odwetu zaskoczyły ją, ale czuła, że ulegając magii tego pierwotnego uniesienia przeistacza się w walecznego i przebiegłego wojownika.

Jeden skreślony. Może jeszcze tylko dwóch i koniec.

Stefan pojawi się tutaj wkrótce. Czas trwania misji w 1944 roku nie odsunie bliskiej godziny jego powrotu. Przyłączy się do niej — i wkroczy do walki — już za dwie lub trzy minuty.

17.

W momencie materializowania się Stefana premier przypadkowo patrzył w jego kierunku, ale mężczyzna w mundurze sierżanta armii brytyjskiej uświadomił sobie jego obecność dopiero dzięki wyładowaniom elektrycznym, towarzyszącym jego przybyciu. Tysiące jasnych węży białoniebieskiego światła splotywały się wokół Stefana, jakby zrodzone z jego ciała. Być może głębokie huki gromów i strzały błyskawic wstrząsały niebem w świetle wznoszącym się ponad tymi podziemnymi pomieszczeniami, ale część wydzielającej się podczas podróży w czasie energii wyzwalała się również tu, w zadziwiającym pokazie, który poderwał umundurowanego mężczyznę na nogi. Błyszczące węże elektryczności przemknęły po podłodze, po ścianach, zabłysły krótko na suficie, a potem znikły, nie czyniąc nikomu krzywdy; jedyną szkodę poniosła wielka mapa Europy, która zatliła się i przepaliła w paru punktach.

— Straż! — krzyknął sierżant. Był bez broni, ale widocznie spodziewał się szybkiej reakcji na swój krzyk, gdyż powtórzył go tylko raz i nie wykonał nawet ruchu w kierunku drzwi. — Straż!

— Panie Churchill, proszę — powiedział Stefan, nie zwracając uwagi na sierżanta — moja obecność panu nie zagraża.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i dwóch brytyjskich żołnierzy wpadło do pokoju. Jeden trzymał rewolwer, a drugi automat.

Szybko. W obawie przed zastrzeleniem Stefan szybko powiedział:

— Przyszłość świata zależy od tego, czy mnie pan wysłucha. Proszę.

W trakcie całego tego zamieszania premier pozostawał w fotelu stojącym przy końcu stołu. Stefanowi zdawało się, że dojrzał krótki błysk zaskoczenia, a może nawet cień strachu na twarzy wielkiego człowieka, ale nie dałby za to głowy. Po chwili premier był równie rozbawiony i spokojny, jak na każdej z tych fotografii, na których Stefan miał możliwość go oglądać. Podniósł dłoń w kierunku wartowników:

— Zaczekajcie.

A kiedy sierżant począł protestować, dorzucił:

— Gdyby chciał mnie zabić, z pewnością już by to zrobił.

Zwrócił się do Stefana:

— To było niezłe wejście, drogi panie. Tak dramatyczne, że nie powstydziliby się go młody Olivier.

Stefan nie mógł powstrzymać uśmiechu. Wystąpił z rogu pokoju, ale kiedy zaczął podchodzić do stołu, ujrzał, że warta sztywnieje, więc zatrzymał się i powiedział z dystansu:

— Sir, z samego sposobu, w jaki się tu pojawiłem, wie pan, że nie jestem zwyczajnym posłańcem i że to, co mam panu do powiedzenia, musi być... niezwykle. Jest to również wyjątkowo poufne i

przeznaczone wyłącznie dla pańskich uszu. Sam pan się o tym przekona.

276

— Jeżeli spodziewasz się, że zostawimy cię samego z premierem, to musisz... musisz być szalony!
— powiedział sierżant.

— Może i jest szalony — przyznał premier — ale ma styl, musi pan to przyznać, sierżancie. Jeżeli straż przeszuka go i nie znajdzie przy nim broni, poświęcę temu dżentelmenowi nieco mojego czasu, tak jak o to prosi.

— Ależ sir, pan nie wie, kto to jest. Nie wie pan, czym on jest. Sposób, w jaki się tu pojawił...

Churchill przerwał mu:

— Wiem, jak się tu pojawił, sierżancie. I proszę, zapamiętajcie, że tylko my dwaj o tym wiemy. Oczekuję, że będziecie równie małomówni w tej materii, jak w sprawach objętych tajemnicą państwową.

Zrugany sierżant cofnął się i przesywał wzrokiem Stefana, kiedy straż przeprowadzała rewizję.

Nie znaleźli broni, jedynie książki w plecaku i parę kartek w kieszeniach. Zwrócili kartki, a książki położyli na środku dużego stołu i Stefan był rozbawiony nonszalancją, z jaką potraktowali sześć opasłych tomów.

Zabrawszy notatnik i ołówek sierżant niechętnie towarzyszył warcie, kiedy opuszczała pokój zgodnie z rozkazem premiera. Kiedy drzwi się zamknęły, Churchill wskazał Stefanowi krzesło opuszczone przez sierżanta. Usiedli w milczeniu, obserwując się z ciekawością. Potem premier wskazał stojący na tacce, dymiący dzbanek:

— Herbaty?

Dwadzieścia minut później, kiedy Stefan przedstawił zaledwie połowę uproszczonej wersji swojej opowieści, premier wywołał sierżanta z korytarza.

— Zabawimy tu jeszcze przez moment, sierżancie. Obawiam się, że będę musiał opóźnić spotkanie Gabinetu Wojennego o godzinę. Proszę dopilnować, aby wszyscy zostali o tym zawiadomieni — i przeproszeni.

Dwadzieścia pięć minut potem Stefan skończył. Premier zadał jeszcze kilka dodatkowych pytań — nielicznych, ale przemyślanych i trafających w istotę sprawy. W końcu westchnął i powiedział:

— Za wcześnie na cygaro, jak sądzę, ale mam na nie ochotę. Przyłączy się pan do mnie?

— Nie, dziękuję, sir.

Przygotowując cygaro do zapalenia, Churchill powiedział:

— Pańskie widowiskowe pojawienie się tu nie dowodzi niczego, świadczy tylko o istnieniu rewolucyjnego sposobu przemieszczania się. Czy dotyczy on podróży w czasie — to odrębna sprawa. Czy potrafiłby pan przekonać... powiedzmy... zdrowo myślącego człowieka o prawdziwości tego, co pan powiedział?

277

Stefan oczekiwał takiej próby i był na nią przygotowany.

— Sir, ponieważ byłem w przyszłości i czytałem tam pewne partie pańskich relacji z wojny,

wiedziałem, że zastanę pana w tym pokoju o tej godzinie i tego dnia. Co więcej, wiedziałem też, co będzie pan tu robił na godzinę przed spotkaniem Gabinetu Wojennego.

Zaciągając się cygarem, premier podniósł brwi.

— Dyktował pan list do generała Alexandra we Włoszech, wyrażając swoje zaniepokojenie sposobem prowadzenia bitwy o Monte Cassino, Przedłużającej się mimo ogromnych strat w ludziach.

Churchill pozostał nieprzenikniony. Musiał być zaskoczony wiedzą Stefana, ale nie zachęcił go niczym, nawet skinieniem głowy albo zmrużeniem oczu.

Stefan nie potrzebował zachęty, ponieważ wiedział, iż to, co mówi, było zgodne z prawdą:

— Z pamiętników, jakie pan kiedyś napisze, zapamiętałem początek listu do generała Alexandra — listu, którego nie skończył pan dyktować sierżantowi, kiedy się tu pojawiłem: „Pragnąłbym, aby wyjaśnił mi pan, dlaczego to przejście przez wzgórze i klasztor Monte Cassino etc., etc., jest jedynym miejscem na całym dwu — czy trzymilowym odcinku frontu, o które musi pan walić głową?”

Premier znów zaciągnął się cygarem, wydmuchnął dym i przyglądał się uważnie Stefanowi. Ich krzesła stały tylko o parę stóp od siebie i będąc obiektem tak skoncentrowanej uwagi Churchilla Stefan poczuł się o wiele bardziej skrępowany, niż mógłby przypuszczać.

W końcu premier powiedział:

— I zdobył pan tę informację z czegoś, co ja napiszę w przyszłości? Stefan podniósł się z krzesła, przysunął sześć grubych tomów, które straż wydobyła z jego plecaka. Było to wydanie Houghton Mifflin Company, w formacie podwójnego wydania kieszonkowego, reprint za 9,95 dolara za tom. Rozłożył go na końcu stołu przed Winstonem Churchillem:

— To, sir, pańska sześciotomowa historia II wojny światowej, uchodząca za pełną relację tych zmagania, która zostanie uznana za wielkie dzieło zarówno w dziedzinie historii, jak literatury.

Zamierzał dodać, że za tę właśnie książkę Churchill otrzyma w 1953 roku Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury, ale zdecydował się tego nie ujawniać. Życie byłoby mniej interesujące, gdyby ograbiono je z tak satysfakcjonujących niespodzianek.

Premier przejrzał napisy z przodu i z tyłu okładki każdego z sześciu woluminów. Czytając trzywersowy urywek z recenzji, która ukazała się w Times Literary Supplement, pozwolił sobie na uśmiech. Otworzył jeden z tomów i szybko przerzucił strony, nie zatrzymując się na żadnej z nich.

— To nie jest fałszerski majstersztyk — zapewnił go Stefan. — Jeżeli przeczyta pan jakąkolwiek stronę, na chybił trafił, rozpozna pan swój własny, indywidualny styl. Będzie pan...

— Nie muszę ich czytać. Wierzę ci, Stefanie Krieger. — Odsunął książki i oparł plecy o fotel. — I sądzę, że wiem, dlaczego przybył pan do mnie. Chce pan, żebym rozkazał zbombardować Berlin, ograniczając cel nalotu do obszaru, na którym jest zlokalizowany ten pański instytut.

— Tak jest, panie premierze, o to dokładnie chodzi. Musi to być wykonane, zanim uczeni z instytutu zakończą analizę sprowadzonej z przyszłości dokumentacji broni nuklearnej, zanim ustalą sposób przekazania tych informacji całemu środowisku naukowemu w Niemczech — co mogą zrobić lada dzień. Musi pan działać, zanim powrócą z przyszłości z czymś, co może odwrócić bieg zdarzeń i doprowadzi do klęski aliantów. Dostarczę panu dokładne dane lokalizujące instytut. Zresztą bombowce amerykańskie i RAF dokonują zarówno dziennych, jak i nocnych bombardowań Berlina od początku roku...

— W Parlamencie energicznie sprzeciwiano się bombardowaniu obiektów cywilnych, mimo że są

to obiekty wroga.

— Tak, ale to nie znaczy, że nie można zarządzić nalotu na Berlin. Ponieważ cel jest bardzo ściśle określony, ten nalot rzecz jasna musi mieć miejsce w dzień. Ale jeśli uderzy się dokładnie w wyznaczony obszar, jeżeli całkowicie obróci się w gruzy ten kwartał...

— Parę kwartałów po obu stronach ulicy będzie musiało zostać obrócone w gruzy — powiedział premier. — Nie możemy uderzyć z taką dokładnością, aby z chirurgiczną precyzją odciąć jeden tylko budynek z kwartału.

— Tak jest, rozumiem. Ale musi pan wydać taki rozkaz, sir. Na ten obszar musi spaść więcej ton materiałów wybuchowych — i to w ciągu paru następnych dni — niż zostanie zrzuconych kiedykolwiek podczas tych zmagania na jakikolwiek skrawek ziemi w obrębie całego europejskiego teatru wojny. Po tym instytucie nie ma prawa zostać nic. Tylko pył.

Premier milczał przez dłuższą chwilę, obserwując wąskie niebieskie pasmo dymu, ulatujące z cygara, i zastanawiał się. W końcu powiedział:

— Muszę skonsultować się z moimi doradcami, rzecz jasna, ale sądzę, że najwcześniej moglibyśmy przygotować i zarządzić bombardowanie za dwa dni, licząc od dziś, czyli dwudziestego drugiego, ale możemy też zdążyć dopiero na dwudziestego trzeciego.

— Sądzę, że jest to wystarczająco bliski termin — powiedział Stefan, czując wielką ulgę. — Ale nie później. Na miłość boską, sir, nie później.

18.

Gdy kobieta przykucnęła za buickiem przy błotniku od strony kierowcy i patrzyła bacznie na pustynię w kierunku północnym, Kleitmann obserwował ją zza płataniny mesquito i wędrujących chwastów. Nie widziała go. Kiedy przesunęła się do drugie

279

go błotnika i obróciła plecami do Kleitmanna, poderwał się i pobiegł pochylony do następnej skąpej osłony — omiatanego wiatrem, kryjącego go częściowo ułamka skały.

Porucznik po cichu przeklinał eleganckie buty od Ballego, które miał na nogach, a których podeszwy były zbyt śliskie do takich akcji. Wysłanie ich z zadaniem dokonania morderstwa w ubraniach młodych menedżerów czy pastorów baptystów wydało mu się szczytem głupoty. Przynajmniej te ray-bans przydały się na coś. Oślepiające słońce odbijało się od każdego kamienia i zbrocza osypującego się piasku; bez okularów słonecznych nie widziałby terenu tak wyraźnie, jak to było konieczne, i na pewno nieraz źle postawiłby nogę, co skończyłoby się upadkiem.

Właśnie miał znów skryć się, kiedy usłyszał, jak kobieta otwiera ogień w innym kierunku. Wykorzystał to i znów zmniejszył dystans. Wtedy doszedł go krzyk, tak ostry i pełen rozpacz, że ledwo przypominał ludzki głos; brzmiał raczej jak wycie rozrywanego żywca dzikiego zwierzęcia.

Wstrząśnięty, skrył się w długim, wąskim zagłębieniu w skale, poniżej linii wzroku kobiety. Podczołgał się na brzuchu do końca tego koryta i legł tam, dysząc. Kiedy podniósł głowę, aby rzucić wzrokiem na otaczający teren, zobaczył, że jest dokładnie piętnaście jardów na północ od tylnych drzwi buicka. Jeżeli zdołałby przesunąć się jeszcze parę jardów na wschód, znajdzie się za plecami kobiety, w doskonałej pozycji, aby ją wykończyć.

Krzyki ucichły.

Uznając, że drugi mężczyzna z kierunku południowego zatrzyma się przez chwilę, zaszokowany śmiercią partnera, Laura wróciła do drugiego przedniego błotnika. Mijając Chrisa, powiedziała:

— Jeszcze dwie minuty, maleńki. Najwyżej dwie.

Schylona przy rogu samochodu badała wzrokiem północną fankę. Pustynia z tej strony nadal wydawała się pozbawiona ludzkiej obecności. Podmuch zamarł i nawet ruchome chwasty zastygły.

Jeżeli było ich tylko trzech, na pewno nie zostawiliby jednego przy toyocie, kiedy dwóch pozostałych próbowałoby ją okrążyć z tego samego kierunku. Gdyby było ich tylko trzech, wtedy dwójka z południowej strony podzieliłaby się i jeden z nich zachodziłby ją od strony północnej. Co znaczyło, że musi być czwarty mężczyzna, może nawet piąty, gdzieś w skałach, wśród piasku i pustynnej roślinności, na północ od buicka.

Ale gdzie?

19.

Kiedy Stefan wyraził wdzięczność premierowi i wstał, aby go opuścić, Churchill wskazał książki, leżące na stole, i powiedział:

— Nie chciałbym, aby pan o nich zapomniał. Gdyby tu zostały, cóż to byłaby za pokusa popełnienia autoplageratu!

— To typowe dla pańskiego charakteru, że z tego właśnie powodu nie molestowałem mnie pan o zostawienie ich tutaj.

— Nonsens — Churchill odłożył cygaro na popielniczkę i wstał z krzesła. — Gdybym dostał te książki, nie zadowoliliby mnie opublikowanie ich w takim kształcie. Bez wątplenia znalazłbym rzeczy warte ulepszenia i zaraz po wojnie spędziłbym parę lat grzebiąc w nich bez wytchnienia — stwierdziwszy po ukończeniu prac i opublikowaniu, że zniszczyłem ten właśnie element, dzięki któremu w pańskiej przeszłości zyskają rangę klasyki.

Stefan wybuchnął śmiechem.

— Mówię to całkiem serio — powiedział Churchill. — Powiedział mi pan, że moje dzieło będzie zamkniętą całością. Taka wiedza o przyszłości zadowala mnie. Jeśli wolno mi tak powiedzieć, napiszę je tak, jak je napisałem, nie będę udawał, że jestem mądrzejszy, niż jestem.

— Brzmi to rozsądnie — zgodził się Stefan.

Kiedy wkładał sześć tomów do plecaka, Churchill przyglądał mu się, stojąc z rękami splecionymi na plecach, kiwając się lekko w przód i w tył.

— Jest tyle spraw dotyczących przyszłości, o jakie chciałbym pana zapytać, a do których dokładam ręki. Rzeczy, które mają dla mnie większą wagę niż problem, czy moje książki odniosą sukces, czy nie.

— Naprawdę muszę odejść, sir, ale...

— Wiem, tak — powiedział premier. — Nie będę pana zatrzymywał. Ale proszę mi powiedzieć przynajmniej jedną rzecz. Dręczy mnie ciekawość. Powiedzmy... no, na przykład, co będzie z Rosjanami po wojnie?

Stefan zawahał się, zapiął plecak i powiedział:

— Panie premierze, przykro mi o tym mówić, ale po wojnie Rosjanie staną się potęgą. Przewyższą Wielką Brytanię i tylko Stany Zjednoczone będą im mogły dorównywać.

Churchill po raz pierwszy wyglądał na zaskoczonego.

— Ten ich potworny system faktycznie przyniesie sukcesy ekonomiczne, dobrobyt?

— Nie, nie. Ten system spowoduje ekonomiczną klęskę — ale stworzy wielką militarną potęgę. Rosjanie będą bez wytchnienia militaryzowali całe społeczeństwo i eliminowali wszystkich dysydentów. Niektórzy twierdzą, że ich obozy koncentracyjne dorównają obozom Rzeszy.

281

Twarz premiera pozostała nieprzenikniona, tylko jego oczy wyrażały zaniepokojenie.

— Niemniej teraz są naszymi sprzymierzeńcami.

— Tak, sir. A bez nich wojna przeciwko Rzeszy być może nie zostałaby wygrana.

— Och, zostałyby, zostałyby — powiedział z pewnością siebie Churchill. — Tylko nie tak szybko — westchnął. — Mówią, że polityka kojarzy dziwne pary, ale sojusze wojenne kojarzą jeszcze dziwniejsze.

Stefan był gotów do podróży. Wymienili uścisk dłoni.

— Z pańskiego instytutu zostaną tylko ruiny i zgliszcza — powiedział premier. — Ma pan na to moje słowo.

— Takie zapewnienie wystarczy mi całkowicie — powiedział Stefan. Sięgnął pod koszulę i nacisnął trzy razy przycisk, wyzwalający połączenie pasa powrotnego z bramą.

Wydawało się, że po sekundzie znalazł się w instytucie w Berlinie. Wyszedł z bramy i powrócił do tablicy programującej. Na zegarze minęło dokładnie jednaście minut.

Bark bolał go nadal, ale ból nie zmienił napięcia. Jednakże nieustępliwe rwanie powoli kumulowało się, toteż usiadł na chwilę odpocząć.

Potem, korzystając z dalszych wyliczeń komputera, zaprogramował bramę do swojej przedostatniej wycieczki. Tym razem uda się na odległość pięciu dni w przyszłość, pojawiając się w innym zabezpieczonym przed bombami podziemnym pomieszczeniu — nie w Londynie, ale w swoim mieście — w Berlinie.

Kiedy brama była gotowa, wszedł do niej, nie zabierając broni. Tym razem nie zabrał również sześciotomowego dzieła Churchilla.

Kiedy przekroczył punkt transmisji wewnątrz bramy, znajome nieprzyjemne łaskotanie przeszło przez skórę do wewnątrz, w ciało, w szpik, a natychmiast potem z powrotem z kości do ciała, do

skóry.

Pozbawione okien, podziemne pomieszczenie, w jakim znalazł się Stefan, oświetlała pojedyncza lampa stojąca na skraju biurka, a przez moment — również błyski, które wywołało jego pojawienie się.

W tym nierealnym blasku Hitler był dokładnie widoczny.

20.

Jedna minuta.

Laura wraz z Chrisem siedzieli wciśnięci w karoserię buicka. Nie zmieniając pozycji spojrzęła najpierw na południe, gdzie, jak wiedziała, ukrywał się jeden mężczyzna, a potem ku północy, gdzie, jak podejrzewała, leżeli ukryci pozostali wrogowie.

Nienaturalny spokój ogarnął pustynię. Powietrze ani drgnęło — wiatr ustał jak oddech nieboszczyka. Słońce słało tyle światła na wysuszone płaszczyzny, że ziemia zdawa

282

ła się równie jasna jak niebo; na odległych krawędziach świata rozświetlone niebiosa łączyły się z rozświetloną ziemią tak płynnie, że horyzont właściwie zniknął. Temperatura dochodziła do trzydziestu stopni Celsjusza. Każda rzecz — każdy krzak, skała, chwast i zatoka piasku — wydawała się zespawana przez upał z tym, co mieściło się za nią.

Tylko minuta.

Tylko minuta lub mniej dzieliła ich od powrotu Stefana z roku 1944. Stefan na pewno ją uratuje. Nie tylko dlatego, że będzie miał uzi, ale dlatego, że jest jej obrońcą. Jej obrońcą. Mimo że wiedziała teraz, skąd przybywa, i była świadoma, że nie jest nadnaturalną postacią, w jakiś sposób wyrastał w jej oczach ponad wymiary ludzkie, był zdolny czynić cuda.

Żadnego ruchu na południu.

Żadnego ruchu na północy.

— Nadchodzą — powiedział Chris.

— Wyjdziemy z tego, kochanie — powiedziała miękko.

A jednak w sercu pulsował jej nie tylko lęk, ale i poczucie straty, jakby na jakimś pierwotnym poziomie świadomości wiedziała, że jej syn — jedyny syn, jakiego będzie kiedykolwiek miała, to dziecko, któremu nie było przeznaczone przyjść na świat — był już martwy. Nie dlatego, że nie zdołała go obronić, ale dlatego, że przeznaczenia nie można odmienić. Nie, do diabła z tym, nie. Tym razem ona zwycięży los. Zachowa swego chłopca. Nie utraci go, jak na przestrzeni lat traciła wielu ludzi, których kochała. On był jej. Nie należał do przeznaczenia. Nie należał do fatum. On był jej. On był jej.

— Wyjdziemy z tego, kochanie. Już tylko pół minuty.

Nagle zobaczyła ruch na południu.

21.

W prywatnym gabinecie Hitlera, w jego berlińskim bunkrze, wyzwolona podróżą w czasie energia materializowała się, syczała i uciekała od Stefana w pręgach oślepiającego światła, wykreślając siatki krętych drózek na podłodze i na betonowych ścianach, podobnie jak w konferencyjnym gabinecie w Londynie. To oślepiające, hałaśliwe zjawisko nie przywołało jednak warty z innych pomieszczeń, gdyż w tym momencie Berlin przeżywał kolejny nalot aliantów. Bunkier trząsł się od uderzeń bomb o ogromnej sile, walących się na miasto. Nawet na tej głębokości huk nalotu zagłuszał niezwykle dźwięki towarzyszące pojawieniu się Stefana.

Hitler wykonał ruch na swym obrotowym krześle, zwracając się twarzą do niego. Nie okazał więcej zdziwienia niż Churchill, choć rzecz jasna w przeciwieństwie do Churchilla był świadom prac prowadzonych w instytucie i od razu wiedział, jakim sposobem Stefan zmaterializował się w jego prywatnej kwaterze. Co więcej, znał Stefana i to zarówno jako syna wiernego starego towarzysza, jak i oficera SS, który od dawna pracował dla sprawy.

283

Choć Stefan nie oczekiwał zdziwienia na twarzy Hitlera, to jednak miał nadzieję, że ujrzy, jak te sępie rysy wykrzywia strach. Przede wszystkim, jeżeli Führer przeglądał raporty gestapo na temat ostatnich wydarzeń w instytucie — co czynił z całą pewnością — to wiedział, że na Stefanie ciąży podejrzenie o zabicie sześć dni temu, 15 marca, Penlowskiego, Janowskiego i Wołkowa i o ucieczkę w przyszłość. Prawdopodobnie myślał, że Stefan wyruszył do niego na nie objętą harmonogramem wycieczkę tuż przed zabiciem tamtych naukowców, i że zamierza zabić również jego. Jednak jeżeli był przestraszony, to nie pokazał tego po sobie. Siedział dalej; z zimną krwią otworzył szufadę i wyjął lugera.

Zaledwie ustąpiły ostatnie wyładowania elektryczne, Stefan wyrzucił ramię w nazistowskim pozdrowieniu i wykrzyknął z całym udawanym entuzjazmem, na jaki go było stać:

— Heil Hitler!

Aby szybko udowodnić, że nie ma złych intencji, opadł na jedno kolano, jak przed ołtarzem, i pochylił głowę, stając się łatwym i bezbronnym celem.

— Mein Führer, przybyłem do ciebie, aby oczyścić swe dobre imię i ostrzec cię przed zdradziecką szajką, która uwiła sobie gniazdo w instytucie i w komórce gestapo odpowiedzialnej za jego bezpieczeństwo.

Przez długi czas dyktator milczał.

Wysoko nad ich głowami fala uderzeniowa nocnego bombardowania przedzierała się przez warstwy ziemi, przez dwadzieścia stóp metalowych i betonowych pokładów, i napełniała bunkier niskim, złowróżbnym dźwiękiem. Przy każdej detonacji potężnych bomb trzy zagarnięte z Luwru obrazy kołysały się na ścianach, a z wysokiego miedzianego pucharka wypełnionego ołówkami, stojącego na biurku Führera, podnosił się pusty, wibrujący dźwięk.

— Wstań, Stefanie — powiedział Hitler. — Usiądź — wskazał obity brązową skórą fotel. Poza nim niewiele mebli wypełniało ten ciasny, pozbawiony okien gabinet. Położył lugera w zasięgu ręki. — Nie ze względu na twój honor, ale ze względu na honor twojego ojca i honor SS mam nadzieję, że mówisz prawdę.

Stefan przemawiał z ogromną pasją. Wiedział, że Hitler uwielbia każdy przejaw siły. Równocześnie cały czas w jego głosie brzmiał podziw i szacunek, jakby szczerze wierzył, że znajduje się przed obliczem człowieka, w którego wcielił się duch niemieckiego narodu, duch czasów minionych, obecnych i przyszłych. Jeszcze bardziej niż dowody siły Hitlera upajał zachwyty, jakiego nie szczędzili mu jego liczni podwładni. Łatwo można było uderzyć w niewłaściwy ton, ale

Stefan nie po raz pierwszy stawał przed tym człowiekiem; posiadał już praktykę w postępowaniu z tym megalomanem, z tą zmiłą w ludzkim ciele.

— Mein Führer, nie ja zabiłem Włodzimierza Penlowskiego, Janowskiego i Wołkowa. To Kokoschka. On był zdrajcą Rzeszy. Dopadłem go w sali dokumentów w instytucie,

284

zaraz po tym, jak zastrzelił Janowskiego i Wołkowa. Strzelił również do mnie — Stefan położył dłoń na piersi. — Mogę odsłonić ranę, jeżeli sobie tego życzysz. Postrzelony, uciekałem przed nim do głównego laboratorium. Byłem oszołomiony. Nie wiedziałem, ilu jeszcze zwerbował, i nie wiedziałem, na kogo mogę liczyć — uratowałem się więc uciekając przez bramę do przyszłości, zanim zdołał mnie dopaść i wykończyć.

— Raport pułkownika Kokoschki mówi coś kompletnie innego. Podobno zostałeś ranny dopiero po tym, jak uciekłeś przez bramę, po tym, jak ty zabiłeś Penlowskiego i innych.

— Gdyby tak było, mein Führer, czy wracałbym tu, aby oczyścić swoje imię? Gdybym był zdrajcą, żywiącym większą wiarę w przyszłość niż w ciebie, czy nie pozostałbym w przyszłości, gdzie byłbym bezpieczny? Po cóż powracałbym do ciebie?

— Ale czy byłeś tam bezpieczny, Stefanie? — powiedział Hitler, uśmiechając się sucho. — Z tego, co wiem, dwa oddziały gestapo, a później jeden SS zostały wysłane za tobą w ten odległy czas.

Wiadomość o oddziale SS wstrząsnęła Stefanem. To musiała być ta grupa, która pojawiła się w Palm Springs na niecałą godzinę przed jego zniknięciem, ta grupa, której przybycie zwiastował grom z czystego nieba nad pustynią. Jego lęk o Laurę i Chrisa wzrósł. Poświęcenie SS-manów dla sprawy i ich kwalifikacje morderców daleko przekraczały podobne cechy ludzi z gestapo. Miał czego się bać.

Równocześnie zdał sobie sprawę, że Hitlerowi nie doniesiono, iż ta kobieta przetrzebiła oddziałki gestapo. W jego mniemaniu to Stefan dotrzymał im pola. Nie wiedział, że podczas tych potyczek Stefan leżał złożony śpiączką. To pozwoliło Stefanowi podsunąć Hitlerowi następne kłamstwo:

— Mein Führer, rozprawiłem się z nimi, kiedy poszli moim śladem, tak, i zrobiłem to w dobrej wierze, bo wiedziałem, że oni wszyscy zdradzili ciebie, chcąc mnie zabić, bym nie mógł do ciebie powrócić i ostrzec przed dywersją, która szerzyła się i szerzy w instytucie. Od tej pory Kokoschka zniknął — czyż nie? I chyba z pozostałą piątką stało się to samo. Nie wierzyli w przyszłość, jaka czeka Rzeszę, i obawiając się, że ich udział w morderstwach z piętnastego marca zostanie wkrótce ujawniony, uciekli do przyszłości, kryjąc się w innej epoce.

Stefan zamilkł, czekając, aż jego słowa wywrą spodziewany efekt.

Eksplozje nad ich głowami ucichły. Po bombardowaniu z wolna zapadała głucha cisza. Hitler przypatrywał mu się badawczo. Przeszywające spojrzenie tego człowieka było równie bezpośrednie jak spojrzenie Churchilla, ale Hitlerowi brakowało bezinteresowności przy ocenie. Churchill nie patrzył na człowieka jak na rzecz, którą mógł wykorzystać, ale spoglądał na niego jak na drugą istotę ludzką. Hitler natomiast oceniał Stefana z perspektywy samozwańczego boga, spoglądającego na ukształtowany przez siebie twór i lękającego się, że wymknie mu się on spod kontroli. A był to bóg pełen zła, nie żywiący miłości do swych stworzeń; kochał tylko ich ślepe posłuszeństwo.

W końcu Führer odezwał się:

— Jeżeli w instytucie są zdrajcy, jaki jest ich cel?

— Chcą cię oszukać — odpowiedział Stefan. — Dostarczają ci fałszywych informacji o przyszłości w nadziei, że popchną cię do popełnienia fatalnych pomyłek na froncie. Mieli czelność oświadczyć, że absolutnie wszystkie twoje decyzje z ostatnich szesnastu miesięcy działań wojennych okażą się błędne. Kłamstwo. Tak, jak to wygląda z przyszłości — przegrasz wojnę o włos. Ale jeżeli dokonasz paru zaledwie zmian w swojej strategii — wygrasz.

Twarz Hitlera zastygła, oczy zwęziły się. Przestał podejrzewać Stefana, przerzucił swą nieufność na pozostałych pracowników instytutu, tych, którzy powiedzieli mu, że popełni fatalne omyłki w prowadzeniu wojny w czekającej go przyszłości. Wpływ Stefana spowodował, że znów poczuł, jak wzbiera w nim wiara we własną nieomyślność, we własny geniusz. Wystarczyło tylko rzucić szaleńcowi iskrę, aby rozpałił się w nim płomień.

— Jeżeli dokonam paru zaledwie zmian w mojej strategii? — spytał Hitler. — A cóż to za zmiany?

Stefan szybko podsumował sześć wariantów, które mogłyby być decydujące w pewnych kluczowych starciach. W gruncie rzeczy pozostaną one bez wpływu na wynik zmagania i wcale nie zadecydują o wyniku dogorywającej wojny.

Ale Führer wolał wiarę w bliski triumf niż rozpacz wobec zdecydowanej klęski i teraz uczepił się opinii Stefana, wierząc święcie w każde słowo, ponieważ sugerowała ona posunięcie niemalże bliźniaczo podobne do tych, jakie dyktator sam gotów był zastosować. Zerwał się z krzesła i w podnieceniu zaczął krążyć po pokoju.

— Od momentu, w którym pierwsze raporty z instytutu znalazły się na moim biurku, czułem to: one muszą błędnie przedstawiać przyszłość; czułem, że nie jest możliwe, abym prowadził tę wojnę tak wspaniale, jak ją prowadziłem, a potem został pokarany równie długą serią własnych błędów. Och, tak, mamy teraz zły okres, ale on już się kończy. Kiedy alianci rzucą wreszcie tę swoją inwazję na Europę — upadną. Zepchniemy ich do morza.

Mówił prawie szeptem, z hipnotyczną pasją tak dobrze znaną z wielu jego publicznych wystąpień.

— W tym nieudanym ataku wyczerpią resztkę sił i nie odzyskają już ich, cofając się zbyt szerokim frontem; podniosą się dopiero po wielu miesiącach. Tymczasem my umocnimy się w Europie, zmiażdżymy rosyjskich barbarzyńców i wzrośniemy w potęgę, jak nigdy dotąd!

Przystanął, zamrugał, jakby budząc się z transu, w jaki sam się wprowadził, i zapytał:

— Tak, co z tą inwazją? Ma się nazywać „D-Day”, czy coś takiego. W raportach z instytutu donoszą mi, że alianci będą lądować w Normandii.

— Kłamstwo — powiedział Stefan.

Teraz dotknęli problemu, którego rozwiązanie było głównym powodem wizyty Stefana. Hitler dzięki instytutowi dowiedział się, że plaże Normandii będą głównym miejscem inwazji. W

przyszłości, jaką gotował mu los, Führer źle ocenił zamiary aliantów i przygotował się na lądowanie gdzie indziej, pozostawiając Normandię wystawioną na atak. Należało go zachęcić do posunięć, jakie wykonałby, gdyby instytut nie istniał. Musiał przegrać tę wojnę, zgodnie z wolą losu. Ale najpierw Stefan musiał poderwać jego wiarę w instytut i zapewnić sukces inwazji w Normandii.

22.

Kleitmannowi udało się przesunąć parę jardów na wschód, okrążając kobietę. Leżał twarzą do ziemi za niskim wzniesieniem białej skały pożyłkowanej niebieskim kwarcem, czekając, aż Hubatsch poruszy się i ściągnie uwagę kobiety w kierunku południowym. Kiedy zostanie w ten sposób zajęta, Kleitmann wyskoczy ze swojego ukrycia i rzuci się na nią, strzelając z uzi. Rozwali ją na kawałki, zanim nawet będzie miała szansę obrócić się i zobaczyć twarz swojego kata.

Rusz się, sierżancie, nie klej się do skały jak tchórzliwy Żyd — myślał Kleitmann w dzikim podnieceniu. Pokaż się. Ściągnij na siebie ogień.

W sekundę potem Hubatsch wyskoczył zza osłony i kobieta zobaczyła go. Kiedy skupiła na nim uwagę, Kleitmann wyskoczył zza żyłkowanej kwarcem skały.

23.

Pochylając się w przód z pokrytego skórą fotela, Stefan powiedział:

— Kłamstwa, same kłamstwa, mein Führer. Chcą cię zmylić, żebyś pchnął wojska do Normandii, tak jak zakłada kluczowa część ich planu. Masz zrobić wielki błąd, jakiego nigdy nie zamierzałeś popełnić. Chcą, żebyś skupił całą uwagę na Normandii, kiedy prawdziwa inwazja nastąpi w...

— Calais! — wykrzyknął Hitler.

— Tak.

— Czuję, że nastąpi na obszarze Calais, na północ od Normandii. Przekroczą Kanał w najważniejszym miejscu.

— Nie mylił się pan, mein Führer — potwierdził Stefan. — Pewna część wojsk zostanie wysadzona w Normandii siódmego czerwca...

Faktycznie nastąpi to 6 czerwca, ale tego dnia pogoda będzie tak zła, że najwyższe dowództwo Wehrmachtu wykluczy możliwość tak gigantycznej operacji aliantów na rozszalałym morzu.

— ...ale będzie to pozorowany atak, operujący niewielkimi siłami, mający ściągnąć doborowe dywizje pancerne do Normandii. Prawdziwy front zostanie otwarty w pobliżu Calais.

Ta informacja współgrała ze wszystkimi przesadami dyktatora i jego wiarą we własną nieomyślność. Powrócił na fotel i walnął ręką w biurko.

— To wygląda na prawdę, Stefanie. Ale widziałem dokumenty, wybrane karty z historii wojny, dostarczone mi tu z przyszłości...

— Fałszerstwa — zaprzeczył Stefan licząc, że w swojej paranoi Hitler uzna odpowiadające mu kłamstwo za bardziej wiarygodne od prawdy — zamiast przedstawić ci prawdziwe dokumenty z przyszłości, dokonali fałszerstw, żeby cię wyprowadzić w pole.

Przy odrobinie szczęścia obiecane przez Churchilla bombardowanie nastąpi jutro. Zrówna z ziemią bramę i każdego, kto umiałby ją odbudować, oraz każdy strzęp dokumentacji przemycony z przyszłości. Wtedy Führer nigdy nie zdoła przeprowadzić dokładnego śledztwa, które podważyłoby prawdomówność Stefana.

Hitler może przez minutę siedział w milczeniu, wpatrzony w stal leżącego na biurku lugera, głęboko zamyślony.

Ponad ich głowami zwała się kolejna fala bomb. Obrazy na ścianach i przybory do pisania w pucharku poruszyły się.

— Jak udało ci się do mnie dostać? — spytał Hitler. — W jaki sposób przebrnąłeś przez bramę? Od dezercji Kokoschki i tamtej piątki jest dobrze pilnowana.

— Nie korzystałem z bramy, żeby do ciebie przybyć — powiedział Stefan. — Przybyłem tu prosto z przyszłości, używając tylko pasa podróżnego.

To było najzuchwalsze kłamstwo. Pas nie był machiną czasu, spełniał rolę urządzenia odstawiającego do bramy i nie mógł dokonać niczego więcej. Stefan liczył, że wspomocze go tu ignorancja typowa dla polityka, który zmuszony wiedzieć po trochu o wszystkim, nie zgłębił niczego. Hitler oczywiście znał działanie bramy i orientował się, na czym polega podróżowanie w czasie, ale tylko bardzo ogólnikowo. Szczegóły, jak na przykład zasada działania pasów, powinny mu być obce.

Gdyby Hitler wiedział, że Stefan zjawił się tu z instytutu, uprzednio zjawiwszy się tam z pasem Kokoschki, wiedziałby też, że i Kokoschka, i pozostała piątka nie zdezerterowała, ale że załatwił ich Stefan. Wtedy cała kunsztowna konstrukcja rozleciałaby się, a jej autor byłby skończony.

Marszcząc brwi, dyktator zapytał:

— Użyłeś pasa nie korzystając z bramy? To jest możliwe?

Język zeszywniał mu w ustach z braku śliny, ale z całą siłą Przekonywania, na jaką było go stać, Stefan przystąpił do wyjaśnień:

— Och, mein Führer, nie ma żadnych problemów z... przystosowaniem go nie tylko do powrotu do bramy, ale do wykonywania dowolnych przeskoków w czasie, wedle życzenia. To się zresztą szczęśliwie złożyło, bo inaczej na drodze do ciebie zatrzymaliby mnie Żydzi.

288

— Żydzi?

— Tak jest. Tym gniazdem konspiratorów w instytucie rządzą Żydzi, którym udało się ukryć swoje pochodzenie.

Twarz szaleńca ściągnął teraz grymas nagłej wściekłości.

— Żydzi. Zawsze ten sam problem. Zawsze i wszędzie Żydzi. I teraz jeszcze w instytucie.

Usłyszawszy te słowa, Stefan wiedział, że udało mu się pchnąć historię na właściwe tory.

Przeznaczenie walczy o przywrócenie kształtu, jaki miało posiadać.

24.

Laura odezwała się:

— Chris, myślę, że lepiej byś zrobił, chowając się pod samochód.

Nie skończyła jeszcze mówić, kiedy bandyta ukryty z jej południowo-zachodniego kierunku wyskoczył z ukrycia i szybko pobiegł wzdłuż skraju arroyo, zmierzając ku niej i ku skąpej osłonie, jaką tworzyło następne płytkie zagłębienie.

Skoczyła na równe nogi, pewna, że buick osłania ją przed człowiekiem z toyoty i otworzyła ogień. Pierwszych kilkanaście pocisków podniosło tylko małe fontanny piasku i sypnęło skalnymi odłamkami po stopach biegnącego mężczyzny. Ale potem kule poderwały się do wyższego lotu, rozrywając mu mięśnie nóg. Zakrzyczał przeraźliwie i padł, zanurzając się w strumieniu pocisków, które zaniósły go ku śmierci. Przetoczył się kilkakrotnie i znikł za krawędzią arroyo, spadając trzydzieści stóp na dno.

Kiedy już zniknął z jej pola widzenia, Laura usłyszała ogień z broni automatycznej. Te strzały nie dobiegały od toyoty. Źródło ognia było za nią. Zanim wykonała obrót, aby stawić czoło nowemu zagrożeniu, kilka kul wyprzedziło ją. Rozdarły jej plecy i padła, uderzając twarzą w twarde, skaliste podłoże.

25.

— Żydzi — odezwał się Hitler, wściekły. Potem spytał: — A co z tą atomową bronią, dzięki której, jak mówią, moglibyśmy wygrać wojnę?

— Następne kłamstwo, mein Führer. Chociaż w przyszłości wielokrotnie usiłowano skonstruować taką broń, nigdy się to nie udało. To mrzonki, które podsuwają konspiratorzy, aby jeszcze bardziej roztrwonić środki i zasoby Rzeszy.

Łoskot przebił się przez ściany, jakby znajdowali się nie pod ziemią, ale byli zawieszani w niebiosach, wśród szalejącej burzy.

Ciężkie ramy obrazów zastukały o beton.

Ołówki w miedzianym pucharku zatańczyły.

Hitler wbił wzrok w oczy Stefana i przypatrywał mu się przez długi czas. Potem powiedział:

— Podejrzewam, że gdybyś nie był mi wierny, po prostu zjawiłbyś się tu z bronią i zabiłbyś mnie bez wahania.

Przychodziło mu to do głowy, gdyż tylko zabicie Adolfa Hitlera mogłoby zmyć niektóre plamy z jego własnej duszy. Ale byłby to akt egoizmu. Zabijając go odmieniłby bieg historii i naraziłby znaną mu przyszłość na ryzyko krańcowych zmian. Nie mógł zapomnieć, że jego przyszłość była również przeszłością Laury; modyfikując serie zdarzeń ustalonych przez los być może generalnie zmieniłby świat na gorszy, a świat Laury w szczególności. Co by zrobił, gdyby zabiwszy teraz Hitlera i

powróciwszy do 1989 roku, znalazł się w świecie tak zupełnie odmienionym, że z takiego czy innego powodu byłby to świat, w którym Laura nie urodziłaby się nawet?

Pragnął rozdeptać tego węża w ludzkiej skórze, ale nie mógł wziąć na siebie odpowiedzialności za, przysły świat. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że mógłby to być lepszy świat, ale wiedział, że zdrowy rozsądek i los to pojęcia, które wykluczają się nawzajem.

— Tak — powiedział — gdybym był zdrajcą, mein Führer, zrobiłbym to. I obawiam się, że prawdziwi zdrajcy z instytutu wcześniej czy później mogą pomyśleć o tym również.

Hitler pobladł.

— Jutro wstrzymam prace w instytucie. Brama pozostanie zamknięta, póki nie dowiem się, że zespół został oczyszczony ze zdrajców.

Bombowce Churchilla mogą cię ubiec, pomyślał Stefan.

— Zwycięzimy, Stefanie, i osiągniemy nasz cel utrzymując wiarę w nasze wielkie przeznaczenie, bez bawienia się w odgadywanie przyszłości. Zwycięzimy, ponieważ zwycięstwo jest nam sądzone.

— Tak — powiedział Stefan. — Racja jest po naszej stronie.

W końcu szalenciec uśmiechnął się. Ogarnięty sentymentalnym wzruszeniem, w dziwaczny sposób zmieniając zupełnie nastrój, Hitler zaczął mówić o ojcu Stefana, Franzu, i dawnych dniach w Monachium, tajnych spotkaniach w mieszkaniu Antona Drexlera i publicznych zebraniach w piwiarniach „Ho□rauhaus" i „Eberlbrau".

Stefan słuchał, udając wielkie zainteresowanie, ale kiedy Hitler wyraził swoją stałą i niezachwianą wiarę w syna Franza Kriegera, Stefan wykorzystał to jako okazję do zniknięcia.

— A ja, mein Führer, zachowam do końca życia wiarę w ciebie i zawsze będę twym wiernym poddanym.

Wstał, zasalutował dyktatorowi, wsunął jedną rękę pod koszulę, dotknął przycisku pasa i powiedział:

— Obecnie muszę wrócić do przyszłości, aby nadal pracować tam dla ciebie.

— Odchodzisz? — zdziwił się Hitler, wstając z fotela. — A sądziłem, że pozostaniesz teraz w swym własnym czasie. Po co odchodzisz, kiedy odzyskałeś już swoje dobre imię?

— Może uda mi się dowiedzieć, gdzie skrył się zdrajca Kokoschka, w jakim zakątku czasu? Muszę go znaleźć i doprowadzić tutaj, bo tylko on zna imiona zdrajców w instytucie i można go zmusić, aby je wyjawiał.

Szybko zasalutował, nacisnął przycisk na pasie i zanim Hitler zdążył odpowiedzieć, zniknął z bunkra.

Powrócił do instytutu w nocy 16 marca, tej nocy, kiedy Kokoschka udał się za nim w góry San Bernardino, aby nigdy z nich nie wrócić. Na ile tylko mógł, przygotował zniszczenie instytutu i wzbudził nieufność Hitlera wobec prawie każdej płynącej stamtąd informacji. Czułby się lepiej, gdyby nie nękała go myśl o oddziale SS, który prawdopodobnie tropił Laurę w 1989 roku.

Przy tablicy programującej wrzucił dostarczone przez komputer dane ostatniej wycieczki, jaką miał kiedykolwiek odbyć — na pustynię koło Palm Springs, gdzie Laura i Chris oczekiwali go rano 25 stycznia 1989 roku.

Jej ciało nie dotknęło jeszcze ziemi, a Laura już wiedziała, że jej kręgosłup został zraniony lub strzaskany przez jedną z kul, nie czuła bowiem żadnego bólu od szyi w dół straciła czucie we wszystkich członkach.

Przeznaczenie walczy o przywrócenie kształtu, jaki miało posiadać.

Ogień maszynowy zamilkł.

Mogła tylko poruszać głową i to jedynie na tyle, żeby obróciwszy ją zobaczyć Chrisa, jak stoi przed buickiem, sparaliżowany przerażeniem, tak jak ona była sparaliżowana pociskiem, który rozbił jej kręgosłup. Za chłopcem, w odległości piętnastu jardów, widziała nadbiegającego z północnego kierunku mężczyznę w okularach słonecznych, białej koszuli i czarnych spodniach. W ręku miał automat.

— Chris — wymamrotała ochryple — uciekaj! Uciekaj!

Twarczyzkę wykrzywił mu straszliwy ból, jakby wiedział, że zostawia ją na śmierć. Potem pobiegł w kierunku wschodnim, najszybciej jak mogły go unieść jego krótkie nóżki. Był na tyle sprytny, aby biec zygzakami, utrudniając celowanie.

Laura ujrzała, jak morderca unosi broń..

W głównym laboratorium Stefan podniósł umocowaną na zawiasach pokrywę auto matycznego urządzenia rejestrującego wycieczki w czasie.

Zapis na szpuli dwucalowej białej taśmy wskazywał, że dziś wieczór brama zostanie wykorzystana w celu wycieczki do 10 stycznia 1989 roku, co oznaczało wyprawę Heinricha Kokoschki w góry San Bernardino, kiedy to zabił Danny'ego Packarda. Taśma miała naniesiony automatyczny zapis ośmiu wypraw do roku 6 000 000 000 n.e. — pięciu ludzi i trzy tobołki ze zwierzętami doświadczalnymi. Również zanotowane były dwie wycieczki Stefana: 20 marca 1944 roku z podaną długością i szerokością geograficzną schronu w pobliżu St. James Park w Londynie; 21 marca 1944 roku z dokładną — długością i szerokością geograficzną bunkra Hitlera. Była też naniesiona lokalizacja docelowej wycieczki, którą już przygotował, ale jeszcze nie odbył: Palm Springs, 25 stycznia 1989. Porwał taśmę, schował skrawki do kieszeni i założył nową szpulę. Nastawił już zegary tablicy programującej, aby skasowały się i zaczęły pracę od zera, kiedy przekroczy bramę. Zorientują się, że ktoś manipulował przy mechanizmie zapisującym, ale obciążą tym Kokoschkę i innych dezertów, podejrzewając ich, że chcieli zatrzeć ślady.

Zamknął pokrywę i zapiął plecak, pełen tomów dzieła Churchilla. Przerzucił przez ramię pasek od uzi i podniósł pistolet z tłumikiem ze stołu laboratoryjnego.

Szybko omiół wzrokiem pomieszczenie, aby upewnić się, że nie zostawił niczego, co mogłoby zdradzić jego dzisiejszą obecność. Wydruki z IBM miał zwinięte w kieszeni dzinsów. Pusty cylinder vexxonu dawno już wysłał do przyszłości, gdzie Słońce umarło lub jeszcze konało. Chyba nie

zaniedbał niczego.

Wkroczył do bramy i dotarł do punktu transmisji czując, jak po raz pierwszy od wielu lat napełnia go nadzieja. Zapewnił zniszczenie instytutu i klęskę nazistowskich Niemiec poprzez serię machinacji w czasie i przestrzeni godnych Machiavellego. On i Laura na pewno poradzą sobie z tym pojedynczym oddziałem SS, który znajdował się gdzieś w Palm Springs w 1989 roku.

Sparaliżowana, leżąc na pustynnej skale, Laura chciała krzyknąć „Nie!” — jej głos nie był jednak głośniejszy niż szept. Nie miała ani siły, ani powietrza w płucach, żeby krzyżeć.

Automatyczny karabinek zaniósł się serią wymierzoną w Chrisa. Przez moment uwierzyła, że chłopiec wyrwie się poza jego zasięg, ale była to ostatnia, nieprawdopodobna mrzonka, bo to był tylko chłopiec, mały chłopiec na krótkich nóżkach i rozrzucony początkowo płaszcz kul zaraz otulił go pewnie, pociski przeszły równym ściegiem środek kruchych pleców, wduszając go w piasek. Upadł, nieruchomiejąc w pulsującej kałuży krwi.

Cały nieodczuty ból jej zrujnowanego ciała był niczym wobec udręki, jaka przeszła ją na widok martwego ciała jej chłopczyka. Przy wszystkich tragediach swojego życia nie zaznała takiego cierpienia. Było to tak, jakby przeżyła znów wszystkie stra

292

ty — matki, której nigdy nie poznała, jej ukochanego ojca, Niny Dockweiler, łagodnej Ruthie i Danny'ego, za którego chętnie oddałaby własne życie — w tym nowym okrucieństwie losu. Nie tylko przeżywała rozpacz z powodu śmierci Chrisa, ale na nowo odczuła straszliwe męczarnie, jakie przyniosły jej wszystkie tamte odejścia. Leżała sparaliżowana i bez czucia, ale w mękach, zmiażdżona duchowo, w końcu złamana i bezsilna na nienawistnym kole fortuny, wyprana z odwagi i nadziei. Bez celu w życiu. Jej chłopiec nie żył. Nie udało się jej go uratować, a z nim zniknęła cała radość życia. Czuła się okrutnie samotna w zimnym, wrogim wszechświecie i wszystko, czego oczekiwała, to śmierć, pustka, bezgraniczna nicość i wreszcie koniec tego wszystkiego, wszystkich strat i smutków.

Zobaczyła zbliżającego się bandytę.

Powiedziała:

— Zabij mnie, proszę, zabij mnie, skończ ze mną — ale jej głos był tak nikły, że chyba nie docierał do niego.

Po co miała żyć? Po co przeszła przez te wszystkie tragedie? Po co cierpiała i trzymała się życia, jeżeli jedynym kresem miało być to? Jaki okrutny rozum krył się za działaniami wszechświata? Dlaczego zmuszono ją do walki, która nie miała żadnego sensu, która nie zmierzała do żadnego celu?

Christopher Robert był martwy.

Czuła spływające po twarzy łzy, ale to było wszystko, co czuło jej ciało — to i szorstkość skały pod prawym policzkiem.

W paru krokach bandyta był przy niej, stanął i kopnął ją w bok. Wiedziała, że ją kopnął, bo patrzyła na swoje nieruchome ciało i zobaczyła, jak jego stopa uderza ją w żebra, ale nie czuła niczego.

— Zabij mnie — wymamrotała.

Nagle ogarnęła ją groza, że przeznaczenie będzie usiłowało zbyt wiernie trzymać się wyznaczonego dla niej planu, że spędzi życie przykuta do wózka inwalidzkiego, od którego wybawił ją Stefan, zmieniając okoliczności jej narodzin. Chris był dzieckiem, które nigdy nie było częścią planów przeznaczenia i teraz został wytarty z życia. Ale ona nie musiała być wymazana, gdyż jej przeznaczone było życie w kalectwie. Ujrzała wizję swojej przyszłości: przeżyje, ale jej nogi lub całe ciało zostanie sparaliżowane; przeżyje skazana na wózek inwalidzki i na coś jeszcze gorszego — na życie w nieszczęściu, gorzkie wspomnienie, bezgraniczny smutek, nieznośną tęsknotę za swym synem, mężem, ojcem, za wszystkimi, których straciła.

— Och, Boże, proszę, proszę, zabij mnie.

Stojący nad nią bandyta uśmiechnął się i powiedział:

— No, chyba muszę być jednak wysłannikiem boskim.

Zaśmiał się jeszcze głośniej i jeszcze okrutniej.

— W każdym razie wysłucham twojej modlitwy.

Błysnął piorun i huk przetoczył się nad pustynią.

293

Dzięki obliczeniom przeprowadzonym na komputerze Stefan powrócił na to samo miejsce na pustyni, z którego wyruszył do roku 1944, dokładnie w pięć minut po tym, jak znikł. Pierwszą rzeczą, którą zobaczył w oślepiającym blasku pustynnego światła, było zakrwawione ciało Laury i stojący nad nią bandyta z SS. Potem ujrzał Chrisa.

Bandyta zareagował na grom i błyskawicę. Zaczął rozglądać się w poszukiwaniu Stefana.

Stefan nacisnął trzy razy przycisk na swoim powrotnym pasie. Ciśnienie natychmiast wzrosło; smród gorących przewodów i woń ozonu wypełniły powietrze.

Zbir z SS dojrzał go, podniósł automat i otworzył ogień. Pierwsze kule padły daleko od Stefana, ale kolejne uderzały coraz bliżej.

Zanim doszły celu, Stefan wyskoczył z roku 1989 i powrócił do instytutu, do nocy 16 marca 1944 roku.

— Gównu! — zaklął Kleitmann, kiedy Krieger wyslizgnął się nietknięty i zniknął w strumieniu czasu. Bracher nadbiegł od toyoty, krzycząc:

— To on! To był on!

— Wiem, że to był on — wycedził Kleitmann, kiedy tamten dotarł do niego. — A kto by to miał być — Jezus w swoim drugim przyjściu?

— Czego chciał? — zastanawiał się Bracher. — Co on wyczynia tam, skąd się zjawił, o co w tym wszystkim chodzi?

— Nie wiem — powiedział ze złością Kleitmann. Spojrzał w dół na ciężko ranną kobietę. — Wiem tylko, że jak zobaczył ciebie i trupa twojego chłopaka, to nawet nie próbował mnie zabić za to, co zrobiłem. Zwinął się i uciekł, ratując własną skórę. Co teraz myślisz o swoim bohaterze?

Prosiła tylko o śmierć.

Cofając się od niej na krok, Kleitmann rzucił:

— Bracher, rusz się.

Bracher odsunął się, a Kleitmann puścił serię dwudziestu, może dziesięciu strzałów, z których wszystkie przeszły kobietę, zabijając ją na miejscu.

— Mogliśmy ją przepyttać — powiedział kapral Bracher. — O Kriegera, o to, co tu robił...

— Była sparaliżowana — powiedział ze zniecierpliwieniem Kleitmann. — Nic nie czuła. Kopnąłem ją, musiałem jej złamać połowę żeber, a ona nawet nie krzyknęła. Nie wyciągniesz torturami informacji od kobiety, która nie czuje bólu.

*** 16 marca 1944 roku. Instytut.

294

Z sercem walącym jak kowalski młot, Stefan wyskoczył z bramy i pobiegł do tablicy programującej. Wyciągnął z kieszeni kartkę z obliczeniami dostarczonymi przez komputer i rozprostował ją na małym biurku programisty, które wypełniało niszę w ścianie maszynerii.

Siadł na krześle, wyciągnął z szufady notatnik, wziął do ręki ołówek. Ręce tak mu się trzęsły, że upuścił go dwukrotnie.

Miał już te cyfry, dzięki którym znalazł się na pustyni pięć minut po tym, jak opuścił ją po raz pierwszy. Mógł od nich wyjść, cofając się, i znaleźć nowy zestaw, który umieściłby go w tym samym miejscu cztery minuty i pięćdziesiąt pięć sekund wcześniej, tylko pięć sekund po rozstaniu z Laurą i Chrisem.

Gdyby jego nieobecność trwała tylko pięć sekund, do czasu jego powrotu mordercy z SS nie zabiliby jeszcze jej i chłopca. Mógłby wzmocnić ich siły i być może wystarczyłoby to do zmiany wyniku starcia.

Nauczył się podstawowych zasad obsługi maszynerii, kiedy jeszcze jesienią 1943 roku przeniesiono go do instytutu. Da sobie radę z obliczeniami. To zadanie nie przekraczało jego możliwości, bo nie musiał zaczynać całej pracy od początku. Powinien tylko nieco zmienić dane komputerowe, zakładając, że cofnie się te kilka minut w czasie.

Ale kiedy wpatrywał się w papier, nie był zdolny myśleć. Laura i Chris nie żyli.

Pozbawiony ich nie miał nikogo.

„Możesz ich odzyskać” — powiedział do siebie. „Do diabła, zbierz się do kupy. Jeszcze możesz to wszystko odwrócić”.

Usiadł do pracy i harował prawie przez godzinę. Wiedział, że było nieprawdopodobne, aby ktoś przyszedł tak późno w nocy do instytutu i odkrył jego obecność, ale bez przerwy wyobrażał sobie, że słyszy kroki na parterowym korytarzu, „klik-klik-klik” wysokich butów SS. Dwukrotnie spojrzął w kierunku bramy na wpół przekonany, że słyszy pięciu zabitych ludzi powracających z 6 000 000 000 roku, jakoś przywróconych do życia i poszukujących go.

Kiedy otrzymał właściwe cyfry i sprawdził je, wprowadził dane do programu. Trzymając pistolet w jednej ręce, a automat w drugiej, wszedł do bramy i minął punkt transmisji...

...i powrócił do instytutu.

Stał przez chwilę w bramie, zaskoczony, zdezorientowany. Potem powtórnie wszedł w pole energii...

...i powrócił do instytutu.

Wy tłumaczenie dotarło do niego z taką siłą, że skulił się, jakby otrzymał cios w żołądek. Nie może wrócić wcześniej, ponieważ pojawił się już w tym miejscu pięć minut po tym, jak je opuścił. Gdyby powrócił wcześniej, stworzyłoby to sytuację, w której na pewno zobaczyłby samego siebie pojawiającego się po raz pierwszy. Paradoks! Prawa wszechświata nie pozwalają podróżującemu w czasie spotkać się ze sobą w strumie

295

niu czasu. Kiedy próbuje się takiej wycieczki, niezmiennie okazuje się to niemożliwe. Natura nie cierpi paradoksów.

Słyszał w pamięci głos Chrisa, kiedy w nędznym motelu po raz pierwszy dyskutowali o podróży w czasie: „Paradoks! Czy to nie niesamowita sprawa, mamó? Niesamowita, co? Fantastyczna!” I uroczy śmiech podekscytowanego chłopca.

Ale musiał być jakiś sposób.

Powrócił do tablicy programującej, rzucił broń na biurko i usiadł na krześle.

Pot słuwał mu z czoła. Otarł twarz rękawem koszuli.

Myśl!

Patrzył na uzi, zastanawiając się, czy mógłby jej posłać przynajmniej to. Chyba nie. Kiedy powrócił do niej po raz pierwszy, miał przy sobie automat i pistolet, więc gdyby przesłał któreś z nich cztery minuty i pięćdziesiąt pięć sekund wcześniej, pojawiłyby się w miejscu, w którym pojawia się po raz drugi cztery minuty i pięćdziesiąt pięć sekund później. Paradoks.

Ale może mógłby posłać jej coś innego, coś, co pochodziło z tego pokoju, coś, czego nie miał ze sobą i co nie stworzyłoby paradoksu.

Odepchnął broń, złapał za ołówek i napisał krótką wiadomość na kartce papieru z notatnika: **SS ZABIJE CIEBIE I CHRISA, JEŻELI BĘDZIECIE DALEJ TRZYMAĆ SIĘ WOZU. UCIEKAJCIE. KRYJCIE SIĘ.** Przerwał, zastanawiając się. Gdzie mogli się ukryć na płaskiej pustyni? Napisał: **MOŻE W ARROYO.** Wyrwał kartkę z notatnika. Potem szybko dopisał: **DRUGI KANISTER VEXXONU TO TEŻ BRONŃ.**

Przeszukał szufady stołu laboratoryjnego, rozglądając się za szklaną zlewką z wąską szyjką, ale takich naczyń w sali nie było, bo prowadzono tu badania raczej z zakresu fizyki niż chemii. Przeszedł wzdłuż korytarza, szukając w innych laboratoriach, dopóki nie znalazł tego, czego szukał.

Wrócił do głównego laboratorium niosąc zlewkę z umieszczonym wewnątrz listem, wszedł do bramy i zbliżył się do punktu transmisji. Rzucił przedmiot poprzez pole energii jak rozbitek na bezludnej wyspie rzuca do morza butelkę z wezwaniem o ratunek.

Nie powróciła do niego.

...po krótkim momencie pustki nastąpił wybuch gorącego wiatru, którego zapach zabarwiony był lekko alkaliczną wonią pustyni.

Stojąc przy niej blisko, przytulony do jej boku, zachwycony magicznym zniknięciem Stefana, Chris powiedział:

— Rany! To było naprawdę coś! Mamo, wspaniałe, co?

Nie odpowiedziała, ponieważ zauważyła biały samochód, zjeżdżający z drogi stanowej 111 na pustynię.

Zalśnił piorun, huk wstrząsnął niebem.

296

W powietrzu zawisła szklana butelka, upadła u jej stóp, rozbiła się o skalny grunt i Laura ujrzała, że wśród odłamków leży kawałek papieru.

Chris wyłowił papier spośród kawałków szkła. Jak zwykle od razu wyjaśnił niesamowite zdarzenie. Krzyknął:

— To musi być od Stefana!

Odebrała to od niego, przeczytała, zauważając równocześnie, że biały samochód jedzie w ich kierunku. Nie rozumiała, w jaki sposób ani w jakim celu ta wiadomość została jej przesłana, ale uwierzyła w nią bez namysłu. Kiedy kończyła czytać, dotarły do niej równocześnie błysk i huk pioruna i wycie silnika zbliżającego się samochodu.

Podniosła wzrok. Pojazd skoczył ku niej, kiedy kierowca wcisnął gaz. Byli prawie trzysta jardów dalej, ale zbliżali się najszybciej jak mogli, podskakując na pustynnym terenie.

— Chris, bierz obydwie uzi z samochodu i czekaj na mnie na brzegu arroyo. Szybko!

Kiedy chłopiec rzucił się do drzwi stojącego nie opodal buicka, Laura podbiegła do otwartego bagażnika, złapała kanister vexxonu, wyciągnęła go i dogoniła Chrisa, zanim dotarł do brzegu głębokiego, wrytego przez wodę kanału, który podczas krótkotrwałych powodzi zamieniał się w szalejącą rzekę.

Biały samochód połknął już ponad sto pięćdziesiąt jardów.

— Chodź — powiedziała, prowadząc Chrisa na wschód, wzdłuż krawędzi arroyo — musimy znaleźć drogę w dół.

Prawie pionowe ściany kanału stromo opadały do leżącego trzydzieści stóp niżej dna. Erozja powyrzynała w nich niewielkie rynny; niektóre wąskie na parę cali, inne szerokie na trzy, cztery stopy. Podczas burzy woda spływała nimi do arroyo, gdzie łączyła się w wielkie rozhukane potoki. W części rozpadlin ziemia została wymyta i teraz świeciła tam naga skała. Gdzie indziej wrastające w ścianę gęste krzaki mesquito zamykały powodziowym strumykiem drogę na dół.

Nieco ponad sto jardów od nich samochód zjechał z kamienistego podłoża i wskoczył na piasek. Koła zabuksowały, wóz zwolnił.

Kiedy Laura przeszła dwadzieścia jardów wzdłuż krawędzi arroyo, odkryła szeroki, pozbawiony skał czy mesquito, pionowo opadający kanał, prowadzący prosto w dół. Przed nią znajdowała się szeroka na cztery, a długa na trzydzieści stóp wypolerowana przez wodę ziemna ślizgawka.

Spuściła kanister vexxonu tym naturalnym torem zjazdowym. Ześlizgnął się płynnie do połowy długości rynny.

Odebrała jeden uzi od Chrisa, zwróciła się ku nadjeżdżającemu samochodowi, który znajdował się teraz jakieś siedemdziesiąt pięć jardów od nich, i otworzyła ogień. Zobaczyła, że przynajmniej dwie kule uderzyły w przednią szybę. Hartowane szkło rozprysnęło się natychmiast.

Samochód — dostrzegła teraz, że to toyota — obrócił się o pełne trzysta sześćdziesiąt stopni, potem jeszcze o dziewięćdziesiąt, wyrzucając tumany kurzu, przedzierając się przez zielone jeszcze, wędrujące chwasty.

Zamarł jakieś czterdzieści jardów od buicka, sześćdziesiąt jardów od nich, maską skierowany ku północy. Po tamtej stronie gwałtownie otworzyły się drzwi. Laura widziała, że pasażerowie, pochyleni, wygrzebują się gorączkowo z wozu na teren ukryty przed jej oczami.

Wzięła drugi uzi z rąk Chrisa i powiedziała:

— Na ślizgawkę, mały. Kiedy dojedziesz do kanistra, spychaj go przed sobą na sam dół.

Zjechał w dół arroyo, ściągany głównie siłą grawitacji, ale był zmuszony odepchnąć się parokrotnie, kiedy zatrzymywały go wyrzucenia ryny. Był to dokładnie ten sam rodzaj szaleńczych wyczynów, jakie w innych okolicznościach wzbudziłyby gniew matki, ale teraz posyłała mu słowa zachęty.

Wsadziła sto pocisków w toyotę, licząc, że przebije zbiornik z paliwem i iskra od kuli zapali benzynę, piekąc żywcem bandytów, kryjących się po niewidocznej stronie wozu. Ale opróżniła magazynek bez spodziewanego rezultatu.

Kiedy przestała strzelać, wzięli ją na cel. Nie zatrzymywała się na tyle długo, żeby wystawiać im się na strzał. Z drugim uzi trzymanym przed sobą w obu rękach, siadła na skraju arroyo i zjechała ślizgawką, z której skorzystał Chris. Po paru sekundach była na dole.

Suche wędrujące chwasty spoczywały tu, zdmuchnięte przez wiatr z rozciągającej się powyżej pustyni. Pokręcone kawałki gałęzi, przyniesione przez wodę, jakieś drewniane szczątki starego pustynnego szałasu i parę kamieni pokrywał drobny jak puder piasek, zaścielający dno arroyo. Nigdzie nie dostrzegła szans ukrycia się czy choćby osłonięcia przed kulami, które wkrótce polecą na nich z góry.

Mamo? — spytał Chris, co miało znaczyć: „Co teraz?” Arroyo miało wiele dopływów, przecinających pustynię, a wiele tych dopływów miało własne dopływy. Ta sieć tworzyła rodzaj labiryntu. Nie mogli ukryć się w nim na zawsze, ale jeżeli oddzieli ich od prześladowców parę odgałęzień, zyskają czas na przygotowanie zasadzki.

— Biegnij, kochanie. Idź głównym arroyo, skręć w pierwszą odnogę po prawej ręce i czekaj na mnie.

— Co zrobisz?

— Zaczekam, aż zdecydują się zajrzeć przez tę krawędź — powiedziała, wskazując szczyt urwistej ściany — potem zdmuchnę ich. Może się uda. Teraz idź, idź.

Pobiegł.

Pozostawiając kanister vexxonu na widocznym miejscu, Laura powróciła do ściany arroyo, tam gdzie się ześlizgnęli. Potem jednak podeszła do innego pionowego kanału, który głębiej wgrzyzał się w skałę, w połowie zasłonięty przez mesquito. Stała na dnie głębokiego parowu, pewna, że krzak nad jej głową zasłoni ją przed spojrzeniem z góry.

Po wschodniej stronie Chris zniknął za zakrętem w odnodze głównego kanału.

W chwilę potem dosłyszała głosy. Czekala i czekała, aż nabiorą przekonania, że oboje z Chrisem uciekli. Potem zrobiła krok poza wyrzeźbiony erozją kanał, obróciła się i pokryła szczyt stromizny kulami.

Stało tam czterech mężczyzn spoglądając w dół. Zabiła dwóch, ale pozostali odskoczyli do tyłu, poza zasięg jej wzroku, zanim idąca łukiem seria mogła ich dosięgnąć. Jeden z trupów leżał na szczycie arroyo z ręką i nogą przerzuconą przez krawędź. Drugi spadł na samo dno kanału, gubiąc po drodze okulary.

16 marca 1944 roku. Instytut.

Kiedy butelka z wiadomością nie wróciła, Stefan zaczął nieśmiało wierzyć, że dotarła na miejsce, zanim Laura została zabita, zaledwie w parę sekund po jego odejściu do roku 1944.

Usiadł ponownie przy biurku programatora i zaczął liczyć. Wynik pozwoli mu powrócić na pustynię parę minut po tym, jak zjawił się tam poprzednio. Ta druga wyprawa musi się udać, gdyż nastąpi po pierwszej, zakończonej pospieszoną ucieczką. Teraz już nie grozi mu spotkanie ze sobą — uniknie więc paradoksu.

Powtórne obliczenia nie sprawiły mu kłopotu. Musiał tylko nieco rozwinąć liczby dostarczone przez IBM. Wiedział, że czasu jego i Laury nie odmierza ta sama klepsydra, a mimo to każda sekunda wlokła się jak wieczność. Nawet jeżeli Laura skorzysta z przysłanych w butelce rad i nawet jeżeli w odmienionej przyszłości wciąż jeszcze żyje, to musi poradzić sobie z bandytami z SS. I będzie potrzebowała pomocy.

Po czterdziestu minutach miał potrzebne dane i przeprogramował bramę.

Powtórnie otworzył pokrywę mechanizmu rejestrującego wycieczki i oderwał od szpuli kawałek papierowej taśmy, zacierając po sobie ślad.

Uzbrojony w uzi i pistolet, zagryzając zęby, podczas kiedy rósł głuchy, rwący ból w jego na wpół wyleczonym barku, wkroczył do bramy.

Niosąc kanister vexxonu i uzi, Laura dołączyła do Chrisa w wąskim dopływie głównego kanału, około sześćdziesięciu stóp od miejsca, w którym ześliznęli się do labiryntu. Kucając w rogu utworzonym przez dwie ziemne skały, spojrzała tam, skąd przyszła.

Wyżej na pustyni jeden z ocalałych morderców zepchnął poza krawędź zwisające zwłoki, sprawdzając, czy była tuż pod nimi, czy nie uda im się wywabić jej z ukrycia. Kiedy nic się nie stało, pozwolili sobie na większą śmiałość. Najpierw jeden położył się na krawędzi z gotowym do strzału automatem, a drugi ześlizgnął się w dół. Potem zamienili się rolami.

Kiedy obaj znaleźli się na dole, Laura odważnie wysunęła się zza rogu i puściła dwusekundową serię. SS-mani byli tak zaskoczeni jej agresywnością, że odskoczyli do głębokiej rozpadliny w ścianie arroyo, wykorzystując miejsce zasadzki Laury jako kryjówkę. Jednemu się udało. Drugi został ścięty serią.

Powróciła za róg, podniosła cylinder z vexxonem i powiedziała do Chrisa:

— Zmiotamy.

Kiedy biegli dopływowym kanałem, poszukując następnego odgałęzienia, piorun rozdarł czyste niebo nad ich głowami.

— Pan Krieger! — zawołał Chris.

Powrócił na pustynię siedem minut po tym, jak wyruszył na spotkanie z Churchillem i Hitlerem do roku 1944, zaledwie dwie minuty po swym pierwszym powrocie, kiedy ujrzał Laurę i Chrisa zabitych przez bandytów z SS. Tym razem ciało nie było; tylko buick i stojąca w innym miejscu, podziurawiona kulami toyota. Wciąż niepewny, czy jego plan okazał się skuteczny, Stefan podbiegł do arroyo i pospieszył wzdłuż krawędzi szukając kogokolwiek: przyjaciela lub wroga. Nie upłynęło wiele czasu, gdy na dnie kanału, trzydzieści stóp niżej, ujrzał trupy trzech mężczyzn.

Musi być jeszcze czwarty, żaden oddział SS nie składałby się z trzech ludzi. Gdzieś w sieci biegnących zygzakami kanałów, które rozcinały pustynię jak łańcuch zjeżonych grotów błyskawic, Laura dalej kryła się przed ostatnim napastnikiem.

W ścianie arroyo Stefan natrafił na wertykalny kanał, który wyglądał tak, jakby nieraz już z niego korzystano. Odpiął plecak wypełniony książkami i ześlizgnął się na dół. Podczas tego zjazdu otarł się barkiem o ziemię i gorący ból wybuchł w jego nie zagojonej ranie na plecach. Na dole stoku, kiedy stanął na nogach, przepłynęła przez niego fala mdłości; poczuł, jak żółć wypełnia mu gardło.

Gdzieś we wschodniej części labiryntu rozległ się grzechot automatu.

Zatrzymała się w samym wejściu do nowego odgałęzienia i gestem nakazała Chrisowi milczenie.

Oddychając przez otwarte usta czekała, aż zabójca obejdzie róg, wchodząc w kanał, który właśnie opuściła. Nawet na tym miękkim podłożu jego kroki były słyszalne.

Wychyliła się, żeby go załatwić. Ale teraz był niezwykle ostrożny; zbliżał się nisko pochylony i bardzo powoli. Kiedy strzały wskazały mu jej pozycję, przeskoczył na przeciwległą stronę i przykleił się do ściany, od której otwierało się nowe odgałęzienie. Teraz mogła go zaatakować tylko wracając do arroyo, gdzie jej oczekiwał.

Podjęła to ryzyko, ale po dwusekundowej serii jej uzi zamilkł. Wystrzeliła ostatnie dziesięć czy dwanaście naboí i broń stała się bezużyteczna.

Kleitmann usłyszał szcęk pustego magazynka. Wychylił się z ukrycia i zobaczył, jak Laura rzuca broń i znika w odgałęzieniu.

Przypomniał sobie widok wnętrza jej buicka. Na siedzeniu kierowcy leżała trzydziestka ósemka. Widocznie nie zdążyła zabrać jej ze sobą, zajęta tym dziwnym cylindrem z bagażnika.

Miała dwa uzi i obydwą już porzuciła. Czy możliwe, że miała też dwa rewolwery — i jeden zostawiła w samochodzie?

Mało prawdopodobne. Tak, dwa karabinki — to miało sens. Nawet w trudnych warunkach i na duży dystans były bardzo skuteczne. Musiałaby być doświadczonym strzelcem albo mierzyć z niewielkiej odległości, żeby strzałem z rewolweru, który mieścił tylko sześć pocisków, załatwić swojego przeciwnika. Drugi rewolwer nie był jej potrzebny.

Czym więc mogła się jeszcze bronić? Tym kanistrem? Nie wyglądał groźniej niż gaśnica pianowa.

Ruszył za nią.

Nowe odgałęzienie było węższe niż poprzednie, tak jak tamto z kolei było węższe niż główny kanał. Początkowo głębokie na dwadzieścia pięć stóp i tylko na dziesięć szerokie, stawało się płytsze i węższe o połowę, w miarę jak wycinało krętą ścieżkę w dnie pustyni. Po stu jardach zwężało się lejkowato i kończyło.

Stanąwszy przy końcu rozejrzała się, szukając możliwości ucieczki. Ściany po obu stronach były zbyt strome i kruche, aby można było się po nich wspinać. Za plecami miała odcinek, gdzie opadały pod większym kątem, a porastające je krzaki mesquito ofarowały uchwyty dla rąk. Wiedziała jednak, że nie znaleźliby się nawet w połowie stoku, kiedy prześladowca by ich dopadł; zawieszeni wysoko staliby się łatwym celem. Tu miała być jej ostatnia linia obrony.

Zapędzona w róg, u krańca tej wielkiej naturalnej rozpadliny, spojrzała w górę na prostopadłą łatę czystego nieba i pomyślała, że są tutaj niczym na dnie przeogromnego cmentarzyska, na którym spoczywają jedynie giganci.

Przeznaczenie walczy o przywrócenie kształtu, jaki miało posiadać. Wepchnęła Chrisa za siebie, w ślepy koniec arroyo. Przed sobą miała ostatnie czterdzieści stóp przebytej drogi, licząc od miejsca, w którym skręciła w lewo w szeroki na pięć stóp kanał. Tamten pojawi się na zakręcie za minutę lub dwie.

Upadła na kolana z kanistrem vexxonu, zamierzając oderwać zabezpieczenie z drutu, blokujące ręczny spust. Ale nie była to pojedyncza nitka stali, przewleczona przez osłonę spustu — to była cała zabezpieczona cyną wiązka. Nie można jej było odwinąć, należało przeciąć. A ona nie miała niczego, czym mogłaby to zrobić.

301

Może kamieniem. Ostro zakończony kamień zdołałby przerwać drut, gdyby go wystarczająco długo piłowała.

— Znajdź mi kamień — rzuciła gwałtownie do chłopca. — Z twardym, ostrym brzegiem.

Kiedy Chris, poszukując odpowiedniego kawałka łupku, przeszukiwał miękką, nanoszoną przez powódzie ziemię, która spłynęła tu z pustyni, Laura obejrzała automatyczny mechanizm zegarowy na kanistrze, stwarzający inną możliwość uwolnienia gazu. Było to proste urządzenie: obracająca się tarcza miała minutową podziałkę, kiedy chciało się ustawić mechanizm na dwadzieścia minut,

obracało się tarczę, aż „20” zrównało się z czerwonym znakiem na obudowie. Po naciśnięciu centralnie umieszczonego guzika, zaczynał biec czas.

Problem polegał na tym, że tarczy nie można było ustawić na mniej niż pięć minut. Morderca dotrze do niej wcześniej.

Mimo to obróciła tarczę do „5” i nacisnęła guzik. — Masz, mamó — powiedział Chris, wręczając jej płaski kamień, który świetnie nadawał się do tego celu.

Mimo że mechanizm zegarowy działał, wzięła się do pracy, gorączkowo tnąc twardy, zwinięty parokrotnie drut, zapobiegający przypadkowemu, ręcznemu zwolnieniu mechanizmu.

Co parę sekund podnosiła wzrok, aby zobaczyć, czy morderca ich odnalazł, ale wąskie arroyo przed nimi wciąż było puste.

Stefan szedł po śladach w miękkim gruncie, tworzącym dno arroyo. Zupełnie nie orientował się, jaki dystans go od nich dzieli. Mieli przynajmniej parę minut przewagi, ale poruszali się prawdopodobnie szybciej od niego, ponieważ ból w barku, wyczerpanie i zawroty głowy zwalniały jego marsz.

Odkręcił tłumik z pistoletu, pozbył się go i wetknął bron za pas. W obu rękach trzymał gotowy do strzału uzi.

Kleitmann odrzucił swoje ray-bans, ponieważ dno arroyo było w wielu miejscach ocienione, zwłaszcza w mijanych teraz węższych odgałęzieniach, gdzie ściany zbliżały się i zostawiały mniejszą szczelinę dla wpadających promieni słonecznych.

Jego eleganckie pantofle od Ballego wypełniły się piaskiem, który nie zapewniał tu pewniejszego oparcia dla stóp niż łupkowe podłoże na pustyni. W końcu zatrzymał się, kopnięciami odrzucił buty, ściągnął skarpetki i szedł dalej boso. To bardzo ułatwiło mu poruszanie się.

Nie szedł za kobietą i chłopcem tak szybko, jakby tego pragnął, po części z winy odrzuconych butów, ale głównie dlatego, że przez cały czas nie zaniedbywał zabezpiecze

302

nia sobie tyłów. Widział i słyszał niedawne odgłosy piorunów; wiedział, że Krieger musiał powrócić. Nie ulega wątpliwości — tak jak on tropi kobietę i chłopca, Krieger podąża jego śladem. Nie będzie mięsem dla tamtego tygrysa.

Na mechanizmie zegarowym minęły dwie minuty.

Prawie przez cały ten czas Laura piłowała drut kamieniem, najpierw jednym, potem drugim, który Chris jej wyszukał, kiedy pierwszy rozsypał się jej w palcach. Rząd nie potrafił wyprodukować znaczka pocztowego, któremu można było zaufać, że nie odleci od koperty, nie potrafił skonstruować czołgu, który nie zatonąłby przy trzeciej próbie sforsowania rzeki, nie potrafił uchronić środowiska naturalnego ani zlikwidować biedy, ale na pewno, cholera jasna, potrafił wystarać się o

niezniszczalny drut. To gównu musiało być zrobione z jakiegoś cudownego materiału, który produkowali dla promów kosmicznych i przypadkiem wymyślili dla niego bardziej ziemski użytek: to był drut stosowany przez Pana Boga do podwiązywania chwiejących się słupów, które podtrzymywały świat. Palce miała otarte do żywego mięsa, druga płytką skały była śliska od krwi, a jedynie połowa warkoczyka z drutu była przecięta, kiedy bosy mężczyzna w czarnych spodniach i białej koszuli wychylił się zza zakrętu wąskiego arroyo, w odległości czterdziestu stóp.

Kleitmann posuwał się ostrożnie naprzód, zastanawiając się, po kiego diabła ona tak zaciekle walczy z tą gaśnicą. Czy naprawdę myśli, że strumień chemicznej piany zdezorientuje go i uchroni ją przed ogniem z broni maszynowej?!

A może gaśnica nie była tym, na co wyglądała? Od pojawienia się w Palm Springs, mniej niż dwie godziny temu, napotkał parę rzeczy, które okazały się czymś zupełnie innym, niż wyglądały na pierwszy rzut oka. Czerwony krawężnik, na przykład, nie oznaczał PARKING W RAZIE WYPADKU, jak to sobie wyobrażał, lecz ZAKAZ ZATRZYMYWANIA SIĘ. Komu by to przyszło do głowy? A o co chodzi z tym kanistrem, z którym się teraz tak szarpie?

Popatrzyła na niego i zaraz wróciła do pracy.

Kleitmann z rozwagą zbliżał się wąskim arroyo, w którym nie zmieściłoby się obok siebie nawet dwóch mężczyzn. Nie podszedłby bliżej, gdyby nie fakt, że nie widział nigdzie chłopca. Gdyby upchała go gdzieś po drodze, w jakiejś rozpadlinie, wtedy będzie musiał jej wydrzeć z gardła ten sekret, gdyż rozkaz był wyraźny — należy zabić wszystkich troje: Kriegera, kobietę i dziecko. Nie sądził, aby chłopiec stanowił zagrożenie dla Rzeszy, ale nie do niego należało kwestionowanie rozkazów.

303

Stefan znalazł porzuconą parę butów i zwinięte czarne skarpetki, upaprane piachem. Wcześniej natrafił na okulary słoneczne.

Nigdy przedtem nie ścigał człowieka, który rozbierałby się podczas pogoni i w pierwszej chwili rozbawiło go to. Ale potem pomyślał o świecie z powieści Laury Shane, świecie, w którym rzeczy zabawne i przerażające są ze sobą wymieszane; świecie, w którym tragedia potrafi uderzyć w chwili radosnej zabawy i nagle porzucone buty i skarpetki przeraziły go, ponieważ były śmieszne i ogarnęło go szaleńcze przypuszczenie, że nie wolno mu się roześmiać, gdyż przyspieszyłyby to śmierć Laury i Chrisa.

A gdyby tym razem umarli, nie mógłby ich uratować, gdyż szczelina w czasie, która mu pozostała, liczyła zaledwie pięć sekund. Nawet z pomocą IBM nie potrafiłby tak rozdzielić włosa na czworo.

Na naniesionym piachu odciski bosych stóp mężczyzny prowadziły do wylotu odgałęzienia. Choć ból na wpół uleczonego barku wyciskał — z niego pot i powodował zawroty głowy, szedł dalej tym śladem jak Robinson Crusoe śladem Piętaszka; ale on kroczył z większą obawą.

Z rosnącą rozpaczą Laura patrzyła na zbliżającego się nazistowskiego mordercę przesuwanego przez kolejne cienie rzucane przez wyryty w ziemi korytarz. Jego uzi był wycelowany w nią, ale z jakiegoś powodu nie strzelał od razu. Wykorzystała tę niezrozumiałą chwilę zwłoki, aby nieprzerwanie piłować drut na spuście kanistra vexxonu.

Ale nawet w takich okolicznościach nie opuszczała jej nadzieja, którą przed momentem przyniosła jej pamięć własnych słów, zapisanych kiedyś w powieści: „W nieszczęściu i rozpacz, kiedy wydaje się, że zapadnie wieczna noc, nadzieja spływa wraz z uświadomieniem, że towarzyszem nocy nie jest następna noc, że towarzyszem nocy jest dzień, że ciemności zawsze ustępują przed światłem, a śmierć rządzi tylko połową stworzonego świata, życie zaś drugą połową”.

Z odległości zaledwie dwudziestu stóp zabójca spytał:

— Gdzie jest chłopiec? Ten chłopiec? Gdzie jest chłopiec?

Czuła Chrisa za swoimi plecami, zwiniętego w cieniu pomiędzy nią a ślepią ścianą. Zastanawiała się, czy jej ciało uchroni go od kul i czy po zabiciu jej ten człowiek odejdzie nie uświadomiwszy sobie, że Chris jest w ciemnym zagłębieniu za nią.

Mechanizm zegarowy na cylindrze cykał. Gaz paralizujący wytrysnął z wylotu, napęlniając powietrze silną wonią moreli i obrzydliwym smakiem soku z lemona zmieszanego z zepsutym mlekiem.

Kleitmann nie dostrzegł niczego, ale usłyszał: syk kłębowiska węży.

Chwilę później poczuł, jakby ktoś wbił mu pięść w splot słoneczny, złapał żołądek w imadło i wyrwał wszystkie wnętrzności. Zgiął się wpół, rzygając gwałtownie na ziemię i na nagie stopy. W głębi czaszki, jakby zza gałek ocznych, poczuł ból i zobaczył błysk; coś wybuchło w jego zatokach i krew rzuciła mu się z nosa. Padając na dno arroyo, odruchowo nacisnął spust uzi; świadom, że umiera, i tracąc wszelką kontrolę nad sobą, usiłował w ostatnim wysiłku woli upaść na bok, zwrócony do kobiety tak, żeby końcowa seria z automatu pozwoliła mu zabrać ją ze sobą.

Wkrótce po tym, jak Stefan wszedł do najwęższego z rozgałęzień, gdzie ściany zdawały się nachylać nad nim, zamiast jak w innych kanałach rozchodzić się ku niebu, usłyszał grzechot wystrzałów z automatu. To było blisko, bardzo blisko. Pobiegł przed siebie. Potykał się często i odbijał od ziemnych ścian, ale zmierzał wijącym się korytarzem do końca. Tam ujrzał martwego oficera SS, zatrutego vexxonem.

Za trupem siedziała z rozrzuconymi nogami Laura, obejmując zakrwawionymi rękami stojący między jej udami kanister z gazem paralizującym. Głowa zwisała jej w dół, podbródek opadł na piersi, była tak bezwładna i bez życia, jak szmaciana lalka.

— Laura, nie — odezwał się głosem, który zabrzmiał mu obco we własnych uszach. — Nie, nie.

Podniosła głowę i zamrugła na jego widok, zadrżała, a w końcu uśmiechnęła się słabo.

— Chris — powiedział, przekraczając ciało zmarłego człowieka. — Gdzie jest Chris?

Odstawiła na bok syczący kanister i przesunęła się na bok. Chris wyjrzał z ciemnego zagłębienia za nią i zapytał:

— Panie Krieger, nic panu nie jest? Wygląda pan gównianie. Przepraszam, mamó, ale on naprawdę tak wygląda.

Po raz pierwszy od ponad dwudziestu lat — lub po raz pierwszy od ponad sześćdziesięciu pięciu, które przyszło mu przeskoczyć, aby żyć z Laurą w jej czasie — Stefan Krieger zapłakał. I własne łzy zaskoczyły go, gdyż sądził, że lata przeżyte w Rzeszy na zawsze odebrały mu zdolność płaczu nad kimś lub nad czymś. A jeszcze bardziej zdumiewające było, że te pierwsze od dziesiątków lat łzy — były łzami szczęścia.

ROZDZIAŁ VII

I ŻYLI DŁUGO I SZCZĘŚLIWIE

1.

Ponad godzinę później, z północy, z miejsca napaści na policjanta CHP na drodze nr 111, nadjechała policja. Kiedy znaleźli podziurawioną kulami toyotę i ujrzeli krew na piasku i na skale w pobliżu krawędzi arroyo i zobaczyli Laurę i Chrisa wydrapujących się z kanału w pobliżu buicka z tablicami nissana — spodziewali się znaleźć pobliski teren pokryty ciałami. Nie zawiedli się. Pierwsze trzy spoczywały w niedalekim parowie, a czwarte w odległym odgałęzieniu, do którego skierowała ich wyczerpana kobieta.

Przez następne dni wydawało się, iż w pełni współpracuje z lokalnymi, stanowymi i federalnymi władzami — a jednak nikt nie wierzył, że mówi całą prawdę. Handlarze narkotyków, którzy zabili jej męża rok temu, w końcu wysłali za nią płatnych morderców — jak utrzymywała — gdyż widocznie obawiali się, że zdoła ich rozpoznać. Zaatakowali ją z taką bezwzględnością w jej domu w pobliżu Big Bear i byli tak nieustępliwi, że musiała uciec, a nie zwróciła się do policji, ponieważ nie wierzyła, że władze potrafią odpowiednio ochronić ją i jej syna. Uciekała przez piętnaście dni od czasu, kiedy zaatakowano ją nocą 10 stycznia, w pierwszą rocznicę zabójstwa jej męża. Mimo wszelkich środków ostrożności, jakie przedsięwzięła, zabójcy odnaleźli ją w Palm Springs, gonili ją na drodze 111, wymusili na niej zjazd z szosy na pustynię i ścigali ją pieszo do arroyo, gdzie w końcu ich pokonała.

Wyjaśnienie, że jedna kobieta załatwiła czterech doświadczonych morderców, plus przynajmniej jednego, którego głowa została znaleziona w uliczce za domem Brenkshawa, byłoby zupełnie nieprawdopodobne, gdyby nie udowodniła, że jest doskonałym strzelcem, że ukończyła pełny kurs sztuki walki i jest właścicielką nielegalnego arsenału, którego mogłoby jej pozazdrościć jakieś państewko Trzeciego Świata. Podczas przesłuchania mającego ustalić, jaką drogą weszła w posiadanie nielegalnie zmodyfikowanego uzi i gazu paraliżującego, który wojsko trzymało pod siedmioma pieczęciami, wyjaśniła:

— Piszę powieści. Częścią mojej pracy jest zdobycie wielu materiałów. Nauczyłam się znajdować wszystko, co muszę wiedzieć, podobnie jak otrzymywać wszystko, czego mi potrzeba.

Potem wydała im Tłustego Jacka, a nalot na „Pałac Przyjęć z Pizzą” potwierdził to, co powiedziała.

— Nie mam jej tego za złe — oświadczył prasie postawiony w stan oskarżenia Tłusty Jack. — Nic mi nie zawdzięcza, nikt z nas nie zawdzięcza nic nikomu, czego sam nie chce zawdzięczać. Jestem anarchista. Uwielbiam takie dupy jak ona. A zresztą nie wsadzą mnie. Jestem za gruby, umarłbym, a to byłaby okrutna i niemoralna kara.

Nie wyjawiała im nazwiska mężczyzny, którego wczesnym rankiem 11 stycznia przywiozła do domu Cartera Brenkshawa i którego rany od kul opatrywał lekarz. Powiedziała tylko, że jest jej bliskim przyjacielem i kiedy ją napadnięto nocą 10 stycznia, przebywał w jej domu w pobliżu Big Bear. Upierała się, że jest on niewinnym świadkiem, którego życie prywatne ległoby w gruzach, gdyby wpłatała go w tę wstrętną sprawę, i dawała do zrozumienia, że jest człowiekiem żonatym, z którym łączy ją intymne stosunki. Teraz wraca szczęśliwie do zdrowia, a ponadto dość już wycierpiał.

Władze przyciskały ją mocno w sprawie tego bezimiennego kochanka, ale nie ustąpiła, a ich możliwości wywierania nacisku nie były zbyt wielkie, zwłaszcza że stać ją było na najlepszą pomoc prawną w kraju. Nigdy nie uwierzyli twierdzeniu, jakoby tajemniczy mężczyzna był jej kochankiem. Wystarczyło niewielkie dochodzenie, aby ustalić, że zmarły zaledwie przez rok był jej niezwykle bliski i że nie otrząsnęła się po jego stracie w takim stopniu, by ktokolwiek mógł uwierzyć, że była zdolna do nawiązania romansu, gdy tak żywa była w niej pamięć o Dennym Packardzie.

Nie, nie potrafiła wytłumaczyć, dlaczego żaden z martwych zabójców nie miał przy sobie dowodu tożsamości ani dlaczego byli identycznie ubrani lub dlaczego nie posiadali własnego wozu i byli zmuszeni ukraść go przy kościele dwóm kobietom, a także dlaczego wpadli w panikę w Palm Springs i zabili tam policjanta. W wypadku dwóch zwłok ciało w okolicach żołądka nosiło ślady czegoś, co wyglądało na rodzaj mocno zapiętych pasów przepuklinowych, ale żaden ze zmarłych bandytów nie miał na sobie niczego takiego i ona też nic o tym nie wiedziała. Któż może wiedzieć, jakie pobudki kierują takimi ludźmi w ich działaniach przeciw społeczeństwu? Było to pytanie, na które najlepsi kryminolodzy i socjologowie nie byli w stanie dać zadowalającej odpowiedzi. A jeżeli wszyscy eksperci nie potrafili rzucić nawet najmniejszego promyka światła na najgłębsze i najistotniejsze przyczyny takiego socjopatologicznego zachowania, jak można było oczekiwać, że ona dostarczy wyjaśnienia bardziej przyziemnej, ale równie niesamowitej tajemnicy zniknięcia pasów przepuklinowych? Skonfrontowana z kobietą, której skradziono toyotę i która twierdziła, że zabójcy byli aniołami, Laura Shane słuchała z widocznym zainteresowaniem, nawet fascynacją, ale zaraz potem zasięgnęła informacji policji, czy zamierzają częstować ją opowieściami każdego wariata, który zainteresuje się jej sprawą.

Była jak granit.

Była jak żelazo.

Była jak stal.

Nie dała się złamać. Władze waliły w nią nieustannie i z taką siłą, jak bóg Thor uderzał swym młotem Mjollnir, ale bez skutku. Po paru dniach byli na nią źli. Po paru tygodniach byli wściekli. Po

trzech miesiącach zniechęcili ją i pragnęli ukarać, że nie drży w lęku przed ich potęgą. Po sześciu miesiącach byli zmęczeni. Po dziesięciu miesiącach byli znudzeni. Po roku sami powiedzieli sobie, że muszą dać jej spokój.

Naturalnie jej syna, Chrisa, uważali przez cały ten czas za słabe ogniwo łańcucha. Zastosowali wobec niego odmienną taktykę, uciekając się do sztuczek, podstępów i kłamstw, a wreszcie fałszywej przymilności, by tylko wydrzeć z niego to, co tak starannie ukrywała jego matka. Ale kiedy pytali go o nieobecnego rannego mężczyznę, powiedział im wszystko o Indianie Jonesie, Luke'u Skywalkerze i Hanie Solo. Kiedy usiłowali wydusić z niego parę szczegółów o zdarzeniach w arroyo, opowiedział im o Sir Tommym Żabie, słudze królowej, który wynajmował pokój w jego domu. Kiedy próbowali się przynajmniej dowiedzieć, gdzie się oboje ukrywali — i co robili — podczas czternastu dni pomiędzy 10 a 25 stycznia, chłopiec powiedział: „Przespałem to wszystko, miałem śpiączkę, chyba malarię albo nawet marsjańską gorączkę, rozumiecie, i teraz mam amnezję jak Willy Kojot, kiedy raz Szalony Biegacz wpuścił go w kanał i sam sobie ściągnął na głowę spychacz”. W końcu, załamany, że nie chwytają istoty sprawy, powiedział:

— To jest rodzinna sprawa, rozumiecie. Nie wiecie niczego o rodzinnych sprawach? Mogę o tym rozmawiać tylko z moją mamą i z nikim więcej. Zapomnisz, gdzie twój dom, pogubisz się, jak zaczniesz gadać o rodzinnych sprawach z obcymi.

Aby utrudnić życie władzom, Laura Shane publicznie przeprosiła każdego, czyją własność zagarnęła lub zniszczyła podczas ucieczki przed ścigającymi ją płatnymi mordercami. Rodzinie, której ukradła buicka, ofarowała nowego cadillaca. Człowiekowi, któremu ukradła z nissana tablicę, dała nowego nissana. W każdym przypadku zrekompensowała z nawiązką poniesione szkody i zdobyła wielu przyjaciół.

Jej stare książki były wciąż wznawiane, a niektóre z nich pojawiły się powtórnie na listach bestsellerów popularnych wydań, całe lata po ich pierwotnych sukcesach. Wielkie wytwórnie filmowe stawały w szranki, walcząc o prawa do sfilmowania tych niewielu jej powieści, których jeszcze nie przeniesiono na ekran. Wieści — prawdopodobnie rozsiewane przez jej agenta, ale brzmiące bardzo prawdziwie — głosiły, że wydawcy potrafili zadłużyć się po uszy, aby tylko móc jej zapłacić rekordowe zaliczki na następną powieść.

Podczas tego roku Stefan Krieger tęsknił ogromnie za Laurą i Chrisem, ale życie w pałacu Gainesa w Beverly Hills pozwoliło mu wypocząć i nabrać sił. Wyszkolona służba, wspaniałe jedzenie, uszczęśliwiony Jason, który w domowym studio odkrywał przed nim cudowny świat celuloidowej taśmy, i □elma, zawsze potrafiąca go rozbawić.

— Posłuchaj, Krieger — powiedziała pewnego letniego dnia, kiedy siedzieli nad basenem. — Może wolałbyś być raczej z nimi, może masz już dosyć ukrywania się tutaj, ale mogło być gorzej. Mógłbyś utknąć w twojej własnej epoce, gdzie nie ma plastikowych toreb na śmieci, ciast z owocami, bielizny z materiału fluorescencyjnego, filmów z □elma Ackerson i powtórek Gilligan's Island. Policz, za jak wiele możesz podziękować Bogu, żyjąc w tej oświeconej epoce.

— Chodzi tylko o to... — wpatrywał się przez chwilę w odbicie słonecznego światła w wodzie, nad którą unosiła się lekka woń chloru. — Cóż, obawiam się, że podczas tego roku rozłąki stracę nawet najmniejszą szansę zdobycia jej.

— Nie zdołasz jej i tak zdobyć, Herr Krieger. Ona nie jest zestawem naczyń na płatki zbożowe, które możesz wygrać na loterii dla biednych. Kobiety takiej jak Laura się nie zdobywa. Ona sama decyduje, komu chce siebie dać — i to wszystko.

— Nie dodajesz mi wiele odwagi.

— Dodawanie odwagi to nie jest moja specjalność...

— Wiem...

— ...moją specjalnością...

— ...tak, tak...

— ..jest komedia. Chociaż z moim oszalamiającym wyglądem prawdopodobnie odnosiłabym równie wielkie sukcesy jako wędrowna kurwa — przynajmniej w jakimś zabitym dechami obozie drwali.

Na święta Bożego Narodzenia Laura i Chris przyjechali do domu Gainesa. Jej prezentem dla Stefana była nowa tożsamość. Mimo że przez większą część roku przedstawiciele prawa nie spuszczali jej z oczu, zdobyła przy pomocy swych pełnomocników prawo jazdy, kartę ubezpieczeniową, karty kredytowe i paszport na nazwisko Steven Krieger.

Wręczyła mu je w świąteczny poranek w pudełku z luksusowego domu towarowego.

Wszystkie dokumenty są ważne. W Nie kończącej się rzece dwaj moi bohaterowie uciekają, więc żeby załatwić sobie nowe dowody tożsamości...

309

— Tak — powiedział Stefan — czytałem to trzy razy.

— Tę samą książkę trzy razy? — zdumiał się Jason.

Siedzieli wszyscy wokół choinki i opychali się jedzeniem absolutnie pozbawionym wartości odżywczej, i popijali je kakao, a Jason był w swym najradośniejszym w roku nastroju.

— Lauro, uważaj na tego człowieka. Dla mnie to brzmi maniakalnie.

— No, jasne — powiedziała □elma — wam, facetom z Hollywood, każdy, kto czyta jakąkolwiek książkę, choćby jeden raz, wydaje się albo intelektualnym gigantem, albo psychopatą... Lepiej powiedz, Lauro, jak udało ci się załatwić te wszystkie prawdziwie wyglądające, fałszywe

dokumenty?

— Nie są fałszywe — sprostował Chris. — Są prawdziwe.

— Zgadza się — potwierdziła Laura. — Prawo jazdy i wszystkie pozostałe dokumenty mają pokrycie w rejestrach rządowych. Przygotowując Nie kończąca się rzekę musiałam dowiedzieć się, jak można otrzymać nowe, gwarantowane dowody tożsamości. Znalazłam fascynującego człowieka w San Francisco, który prowadzi istną fabrykę dokumentów pod nocnym klubem topless...

— A co to jest topless? — zainteresował się Chris.

Laura zmierzwiła mu włosy i kontynuowała:

— Ponadto, Stefanie, jeżeli zajrzysz głębiej do tego pudła, znajdziesz tam również parę książeczek czekowych. Otworzyłam dla ciebie konta na nowe nazwisko w Security Pacific Bank i Great Western Savings.

Był bardzo zaskoczony.

— Nie mogę wziąć od ciebie pieniędzy. Nie mogę...

— Uratowałeś mnie od wózka inwalidzkiego, bez przerwy ratowałeś mi życie — i nie mogę dać ci pieniędzy, kiedy mam na to ochotę? □elma, co mu jest?

— To mężczyzna.

— To chyba wyjaśnia wszystko.

— Włochacz, neandertalczyk — powiedziała jednym tchem □elma — na wpół szalony od nadmiaru testosteronu, nawiedzany właściwymi dla swej hordy wspomnieniami utraconej chwały wypraw myśliwskich na mamuty — oni wszyscy są tacy sami.

Ku swemu zdziwieniu i prawie wbrew własnej woli Stefan Krieger poczuł, jak ciemności rozwiewają się i światło zaczyna znajdywać sobie szczelinę, przez którą jego promyk pada mu na serce.

W ostatnich dniach lutego następnego roku, trzynaste miesiące po wydarzeniach na pustyni w okolicy Palm Springs, Laura zaproponowała Stefanowi, żeby zamieszkał z nią i Chrisem w domu koło Big Bear. Przyjechał następnego dnia nowym, lśniącym, sportowym rosyjskim samochodem, kupionym za część pieniędzy, które otrzymał od Laury na gwiazdkę.

310

Przez następne siedem miesięcy spał w pokoju gościnnym. Każdej nocy. Nie chciał niczego więcej. Tylko być z nimi, dzień po dniu, w poczuciu, że jest akceptowany — to było tyle miłości, ile potrafił na razie przyjąć.

W połowie września, dwadzieścia miesięcy po tym, jak pojawił się na jej progu z raną od kuli w piersi, powiedziała mu, że chce z nim spędzić noc. Trzy noce później znalazł odwagę, aby wejść do jej sypialni.

3.

W roku, w którym Chris skończył dwanaście lat, Jason i □elma kupili w Monterey dom, do którego mogli uciec od swych codziennych zajęć. Rozciągał się z niego widok na najpiękniejsze wybrzeże morskie świata. W sierpniu oboje mieli przerwę między filmami i uparli się, że Laura, Stefan i Chris spędzą z nimi cały ten miesiąc. Poranki na wybrzeżu były zimne i mgliste, dni ciepłe i jasne, a nocny chłód nadciągał szybko mimo lata i ten codzienny porządek pogody decydował o ich zajęciach.

Drugiego piątku miesiąca Stefan i Chris wybrali się z Jasonem na spacer po plaży. Na skałach niedaleko wybrzeża lwy morskie wylegiwały się w słońcu i czekały głośno. Samochody turystów gęsto parkowały przy drodze na plaży; goście spieszyli popstrykać zdjęcia wyznawcom słońca, „fokom”, jak je nazywali.

— Co roku — powiedział Jason — jest coraz więcej turystów. To normalna inwazja. I zauważ, głównie Niemcy, Japończycy i Rosjanie. Mniej niż pół wieku temu prowadziliśmy przeciw wszystkim trzem największą wojnę w historii i teraz im wszystkim wiedzie się lepiej niż nam. Japończycy — elektronika i samochody; Rosjanie — samochody i komputery; Niemcy — samochody i wszelkiego rodzaju urządzenia... Jak mi Bóg miły, Stefan, myślę, że Amerykanie często lepiej traktują starych wrogów niż starych przyjaciół.

Stefan przystanął, aby popatrzeć na lwy morskie, które tak ściągały uwagę turystów, i myślał o pomyłce, popełnionej w czasie spotkania z Winstonem Churchillem.

„Ale proszę mi powiedzieć przynajmniej jedną rzecz. Dręczy mnie ciekawość. Powiedzmy... no, na przykład, co z Rosjanami po wojnie?”

Stary lis rzucił to tak mimochodem, jakby pytanie nasunęło mu się przypadkowo, jakby równie dobrze mógł zapytać, czy fason garniturów ulegnie zmianie po wojnie, podczas gdy w istocie jego ciekawość była wykalkulowana, a odpowiedź była oczekiwana z ogromnym zainteresowaniem. Korzystając z wydobytej od Stefana informacji, Churchill po klęsce Niemiec zjednoczył zachodnich aliantów z zamiarem kontynuowania walki w Europie. Pretekst do wypowiedzenia wojny dali mu sami Rosjanie, zagrabiając ziemie państw Europy Wschodniej. Zachód zmusił Rosjan do powrotu na ich

ziemi ojczyste, a w końcu zadał im decydującą klęskę. W istocie przez cały czas wojny z Niemcami Sowieci korzystali z zaopatrzenia w broń i materiały z USA i kiedy te dostawy ustały, załamali się w parę miesięcy. Przecież już byli wyczerpani wojną z ich dawnym sprzymierzeńcem, Hitlerem. Jakże inny, niż chciało przeznaczenie, był współczesny świat. A sprawcą tej zmiany był Stefan, który odpowiedział na jedno pytanie Churchilla.

Inaczej niż □elma, Jason, Laura czy Chris, Stefan był człowiekiem nie związanym z konkretnym wycinkiem czasu, człowiekiem, dla którego jego własny wiek nie stał się domem; lata po Wielkich Wojnach miały być jego przyszłością, podczas gdy dla tych ludzi stanowiły one przeszłość. Dlatego też wspominał zarówno przyszłość, która kiedyś już była, jak i przyszłość, która miała ją zastąpić. Oni jednak nie mogli wspominać świata innego niż ten, w którym żadne supermocarstwo nie było wrogiem innego, w którym żaden wielki arsenał broni atomowej nie czekał na wykorzystanie, w

którym demokracja kwitła nawet w Rosji, w którym był pokój i dostatek.

Przeznaczenie walczy o utrzymanie kształtu, jaki miało posiadać. Ale czasem, na szczęście, nie udaje mu się.

Kołysząc się na fotelach na biegunach, Laura i □elma od dłuższego czasu siedziały na werandzie, patrząc, jak ich panowie schodzą w dół ku morzu, a potem idą wzdłuż plaży, ginąc im z oczu.

— Jesteś z nim szczęśliwa, Shane?

— To melancholik.

— Ale miły.

— Nigdy nie będzie Dannym.

— Ale Danny odszedł.

Laura skinęła głową. Kołysały się.

— Mówi, że odkupiłam go — powiedziała Laura.

— Jak premiowe kupony w sklepie spożywczym, tak?

W końcu Laura powiedziała:

— Kocham go.

— Wiem — powiedziała □elma.

— Nigdy nie sądziłam, że będę kochała... jeszcze raz. Że będę kochała w taki sposób.

— Jaki sposób, Shane? Mówisz o jakiejś wydziwiastej nowej pozycji? Zbliżasz się do średniego wieku, Shane; za niewiele miesięcy przyjdzie czterdziestka, więc czy nie czas zreformować sposoby, w jakich objawia się twoje libido?

— Jesteś niepoprawna.

— Staram się.

312

— A ty? Jesteś szczęśliwa?

□elma poklepała się po bardzo wydatnym brzuchu. Była od siedmiu miesięcy w ciąży.

— Bardzo szczęśliwa, Shane. Mówiłam ci już, że to mogą być bliźniaki?

— Mówiłaś.

— Bliźniaki — powtórzyła □elma, jakby ta wizja napawała ją zdumieniem. — Pomyśl, jaka to byłaby radość dla Ruthie.

Bliźniaki.

Przeznaczenie walczy o przywrócenie kształtu, jaki miało posiadać — pomyślała Laura. I czasem, na szczęście, udaje mu się.

Siedziały, milcząc, wdychając zdrowe morskie powietrze i słuchając wiatru szeleszczącego wśród pinii i cyprysów Monterey.

Po dłuższej chwili □elma powiedziała:

— Pamiętasz ten dzień, kiedy przyjechałam do waszego domu w górach, a ty ćwiczyłaś strzelanie?

— Pamiętam.

— Waliałaś do tych sylwetek. Stawiwszy czoło światu przeklinałaś go za to, że ofarował ci taki

podły los. Broń poupychana w każdym kącie. Tamtego dnia powiedziałaś mi, że będziesz żyła znosząc to, co los ci narzuci, ale nie będziesz też dłużej bezbronna — będziesz walczyć, będziesz bronić tego, co twoje. Byłaś bardzo zła tamtego dnia, Shane, bardzo zła i potwornie zgorzkniała.

— Tak.

— Teraz wiem, że dalej potrafsz wiele znieść. I wiem, że wciąż potrafsz walczyć. Świat nadal jest pełen śmierci i nieszczęść. Ale mimo wszystko nie ma już w tobie goryczy.

— Nie.

— Zdradzisz mi swój sekret?

— Nauczyłam się trzeciej wielkiej lekcji, to wszystko. Jako dziecko nauczyłam się, jak przetrwać. Po śmierci Danny'ego nauczyłam się walczyć. Teraz dalej potrafię przetrwać i walczyć — ale również nauczyłam się przyjmować wszystko bez zastrzeżeń. Los po prostu jest.

— Brzmi to jak bardzo wschodnio-mistyczno-transcendentalne-pieprzenie-w-bambus. Jeezu. „Los jest”. Brakuje jeszcze, żebyś kazała mi recytować mantrę i koncentrować się na własnym pępku.

— Wypchana bliźniakami — powiedziała Laura — nie widzisz nawet własnego pępka.

— Och, widzę. Wszystko zależy od kąta, pod jakim ustawię lustro...

Laura wybuchnęła śmiechem.

— Kocham cię, □elmo.

313

— Kocham cię, siostrzyczko.

Kołysały się i kołysały.

W dole zaczęła wzbierać fala przyływu.

SPIIS TREŚCI

CZEŚĆ PIERWSZA LAURA 4

ROZDZIAŁ I PŁOMYK NA WIETRZE 5

ROZDZIAŁ II NIEGASNĄCY PŁOMIENI 41

ROZDZIAŁ III ŚWIATŁO W CIEMNOŚCI 82

ROZDZIAŁ IV WEWNĘTRZNY OGIEŃ 130

CZEŚĆ DRUGA POŚCIG 167

ROZDZIAŁ V ARMIA CIENI	168
ROZDZIAŁ VI TOWARZYSZ NOCY	227
ROZDZIAŁ VII I ŻYLI DŁUGO I SZCZĘŚLIWIE	306

Spis treści

[Table of Contents](#)

[PŁOMYK NA WIETRZE](#)

[NIEGASNĄCY PŁOMIEN](#)

[ŚWIATŁO W CIEMNOŚCI](#)

[WEWNĘTRZNY OGIEŃ](#)

[ARMIA CIENI](#)

[TOWARZYSZ NOCY](#)

[I ŻYLI DŁUGO I SZCZEŚLIWIE](#)